



SARAH WATERS

**MUSKAJAC
AKSAMIT**

Prószyński i S-ka

Sarah Waters

**MUSKAJAĆ
AKSAMIT**

przekład
Magdalena Gawlik

Część pierwsza

Rozdział 1

Jedliście kiedyś ostrygi z Whitstable? Jeśli tak, na pewno pamiętacie ich smak. Z niejasnych przyczyn, może za sprawą tutejszej wody, uchodzą za najbardziej soczyste, najsmaczniejsze, a przy tym najdelikatniejsze w całej Anglii. Ostrygi z Whitstable cieszą się ze wszech miar zasłużoną sławą. W beczkach wypełnionych lodem podróżują na stoły Hamburga i Berlina; Francuzi, znani z wybrednego podniebienia, regularnie przepływają po nie przez Kanał. Ba, podobno nawet sam król specjalnie jeździ z panią Keppel do Whitstable, aby raczyć się nimi w prywatnym hotelu, a co do królowej, mówią, że do śmierci spożywała jedną z naszych ostryg dziennie.

Byliście kiedyś w Whitstable i widzieliście tamtejsze gospody z ostrygami? Jedna z nich należy do mojego ojca, tutaj przyszedł na świat. Pamiętacie wąski, pokryty łuszczącą się niebieską farbą, odeskowany budynek w połowie drogi między główną ulicą a portem? Czytaliście zawieszony nad drzwiami wybrzuszony szyld, który głosił, że w środku można zjeść „Ostrygi Astleya, najlepsze w Kent”? A może pchnęliście owe drzwi i znaleźliście się w mrocznym pomieszczeniu z niskim stropem? Przypominacie sobie stoły z obrusami w kratkę, jadłospis wypisany kredą na tablicy, lampy spirytusowe, wilgotne osetki masła?

Czy obsługiwała was figlarna, kędzierzawa dziewczyna o różanych policzkach? To moja siostra Alice. A może dość wysoki, przygarbiony mężczyzna w śnieżnobiałym fartuchu do samej ziemi? To mój ojciec. Czy przez rozkołysane drzwi do kuchni dostrzeżliście pochmurną niewiastę w kłębach pary unoszącej się znad rusztu bądź rondla z zupą? To była moja matka.

A może u jej boku stała szczupła, blada dziewczyna o dość przeciętnym wyglądzie, z rękawami sukienki zakasanyymi aż po łokcie i mysimi kosmykami bez przerwy wpadającymi do oczu, nucąca pod nosem śpiewkę ulicznego pieśniarza albo musicalową piosenkę?

To byłem ja.

Niczym Molly Malone ze starej ballady sprzedawałam dary morza, gdyż tym właśnie trudnili się moi rodzice. Mieszkaliśmy nad gospodą: byłam dziewczyną od ostryg i przesiąkałam wszystkimi woniami tego fachu. Stawiałam pierwsze kroki dokoła kadzi z ostrygami oraz beczek z lodem; nim dostałam do ręki tabliczkę i kredę, wręczono mi nóż do ostryg i nauczono, jak się nim posługiwać. Na długo przed poznaniem tajników alfabetu umiałam wyrecytować składniki potraw naszej kuchni, po omacku sortować ryby i

bezbłędnie wskazywać ich nazwy. Whitstable było dla mnie całym światem, gospoda Astleya ojczyzną, a sok ostryg środowiskiem naturalnym. I choć rychło przestałam wierzyć w opowieść matki, podług której znaleziono mnie w muszli ostrygi i o mało nie padłam ofiarą apetytu żarłocznego klienta, przez osiemnaście lat nie wątpiłam w swoje powołanie i nie wyglądałam poza ojcowską kuchnię w poszukiwaniu innego zajęcia lub miłości.

Wiodłam osobliwe życie, nawet jak na tutejsze obyczaje, lecz nie było ono szczególnie uciążliwe ani trudne. Nasz dzień pracy rozpoczynał się o siódmej i kończył dwanaście godzin później. Zawsze wyglądał tak samo. Matka gotowała, ojciec i Alice obsługiwali gości, a ja siadałam na wysokim stołku obok kadzi z ostrygami, by skrobać, płukać i zawzięcie wywijać nożem. Niektórzy lubią ostrygi na surowo: tutaj zadanie było łatwe, wystarczyło bowiem wybrać tuzin z beczki, opłukać z solanki i ułożyć na talerzu ozdobionym rzeżuchą lub natką pietruszki. Jednakże dogodzenie tym, którzy lubili ostrygi duszone lub zapiekane – tudzież smażone, przyrządzane w muszlach lub w cieście – wymagało większego nakładu starań. Musiałam wówczas otworzyć każdą z nich, oczyścić, a następnie nienaruszoną zanieść do matczynego rondla, tak by nie zmącić jej soku i nie uрониć ni kropli. Zważywszy, że talerz pomieści tuzin ostryg, a dania z nich są tanie, w naszej gospodzie zaś w salce przeznaczonej dla pięćdziesięciu osób często brakowało miejsc, nietrudno obliczyć, ile ostryg każdego dnia trafiało pod mój nóż. Możecie sobie również wyobrazić, jak czerwone, obolałe i przeżarte solą były pod wieczór moje ręce. Nawet teraz, ponad dwadzieścia lat po tym, jak odłożyłam nóż do ostryg i na zawsze opuściłam ojcowską kuchnię, na widok beczki handlarza ryb lub na dźwięk jego okrzyku czuję osobliwe rwanie w nadgarstku i palcach. Czasami też mam wrażenie, że pod paznokciem kciuka i w zgięciu dłoni na zawsze pozostała woń solanki.

Wspomniałam, że w moim ówczesnym życiu nie istniało nic prócz ostryg, ale to nie do końca prawda. Miałam przyjaciół i kuzynów, podobnie jak każda dziewczyna z małego miasteczka, pochodząca ze starej, licznej rodziny. Miałam siostrę Alice, moją najdroższą przyjaciółkę, z którą dzieliłam pokój, łóżko oraz wszystkie sekrety. Miałam nawet chłopaka o imieniu Freddy, który wraz z moim bratem Davym i wujem Joe wypływał kutrem na połowy w zatoce Whitstable.

No i miałam słabość – możecie to nazwać zamiłowaniem – do musicalu, a zwłaszcza jego piosenek oraz ich śpiewania. Jeśli odwiedziliście Whitstable, wiecie, że była to pasja raczej nie na miejscu, gdyż nie ma tutaj ani rewii, ani teatru, jedynie samotna latarnia obok hotelu Księżę Cumberland i tam okazjonalnie występują przyjezdne trupy, a w sierpniu można oglądać spektakle wędrownego teatru lalek. Lecz Whitstable leży zaledwie kwadrans drogi pociągiem od Canterbury, tam zaś znajdował się miejscowy teatr rewiowy – Palace of Variétés – w którym bilety kosztowały sześć pensów, a przedstawienia trwały trzy godziny i, jak głosiła wieść, nie miały sobie równych w całym hrabstwie Kent.

Teatr był nieduży i dość nędzny, ale w swoich wspomnieniach nadal postrzegam go oczami córki karczmarza: widzę lustrzane ściany, fotele obite czerwonym pluszem oraz pociągnięte złotą farbą gipsowe kupidyńki zawieszane nad kurtyną. Podobnie jak w naszej

gospodzie, tutaj również unosił się charakterystyczny zapach, zapach drewna, szminki i rozlanego piwa, osobliwa mieszanka woni lamp gazowych, tytoniu oraz pomady. Teraz już wiem, że tak pachną wszystkie rewie. Jako dziewczyna uwielbiałam tę woń bezkrytycznie; potem słyszałam, jak dyrektorzy teatrów i artyści określają ją wonią śmiechu, aromatem owacji. Jeszcze później zaś miałam uznać ją nie za esencję rozrywki, lecz żalu. Ale po kolei.

Znałam barwy i zapachy teatru w Canterbury lepiej niż jakakolwiek inna dziewczyna, przynajmniej w owym okresie, tego ostatniego lata w rodzinnym domu, gdy skończyłam osiemnaście lat, gdyż pracował tam ukochany Alice, Tony Reeves, który oferował nam miejsca po obniżonych cenach albo za darmo. Tony był bratankiem dyrektora Palace, znanego Tricky'ego Reevesa, dzięki czemu stanowił świetną partię dla Alice. Rodzice początkowo traktowali go nieufnie i uważali za „prędkiego”, ponieważ pracował w teatrze, nosił za uchem cygaro i gładko rozprawiał o kontraktach, Londynie oraz wykwintnych trunkach. Lecz Tony okazał się tak wielkoduszny, szczery i dobrotliwy, iż nie sposób było długo czuć doń antypatię, poza tym tak samo jak poprzedni adoratorzy Alicji uwielbiał moją siostrę i przez wzgląd na nią gotów był przychylić nam wszystkim nieba.

I tak Alice i ja spędzałyśmy sobotnie wieczory na najlepszych i najpopularniejszych przedstawieniach w teatrze. Siadałyśmy, podwijając suknie pod fotele i wyśpiewywałyśmy refreny najweselszych piosenek. Podobnie jak reszta widowni, miałyśmy swoich ulubieńców, artystów, których wywoływałyśmy okrzykami, piosenki, których słuchałyśmy wiele razy dopóty, dopóki gardło szansonistki – gdyż to właśnie występujące kobiety ukochałyśmy najbardziej – nie wyszło na wiór: wówczas solistka milkła i tylko kłaniała się z uśmiechem.

A po skończonym występie, kiedy już zajrzałyśmy na pożegnanie do dusznego pokoiku Tony'ego, za budką biletera, unosiłyśmy ze sobą zasłyszane melodie. Nuciliśmy je w pociągu do Whitstable; niekiedy dołączali się do nas inni podróżni, wracający z teatru w równie radosnych nastrojach, i śpiewaliśmy wspólnie. Leżąc w łóżku, powtarzałyśmy szeptem słowa piosenek, śniłyśmy w takt rewiowej muzyki, po czym budziłyśmy się rano z głowami wciąż pełnymi dźwięków. Następnie doprawiałyśmy potrawy szczyptą rewii: Alice pogwizdywała, roznosząc talerze, co niezmiennie wywoływało uśmiech na twarzach gości, a ja, przycupnięta na wysokim stołku obok miski z solanką, śpiewałam nad sprawianymi ostrygami. Matka twierdziła, że sama powinnam wystąpić na scenie.

Ale mówiąc to, wybuchała śmiechem, a ja jej wtórowałam. Dziewczęta, które oglądałam w świetle jupiterów i których piosenek tak chętnie uczyłam się na pamięć, były zupełnie inne niż ja. Bardziej przypominały moją siostrę: miały malinowe usta i roztańczone kędziory, sterczące piersi, łokcie z dołeczkami oraz kostki smukłe i kształtne jak butelki od piwa. Ja byłam wysoka i raczej chuda. Miałam płaską pierś, mysie włosy i oczy o nieokreślonej barwie zbliżonej do błękitu. Mogłam się wprawdzie pochwalić nieskazitelną cerą oraz białymi zębami, co jednak nie uchodziło za szczególne osiągnięcie, przynajmniej w naszej rodzinie, której członkowie jednako spędzali dni w wyziewach solanki, dzięki

czemu byli gładcy niczym mątwy.

Nie, to ślicznotki takie jak Alice płały po przystrojonej scenie w satynowych spódnicach, w otoczeniu kupidynków; dziewczęta mego pokroju, bezbarwne i anonimowe, musiały pozostać na widowni.

Tak mi się podówczas zdawało.

Opisany przeze mnie tryb życia, polegający na ciągłym sprawianiu, przyrządzaniu i podawaniu ostryg oraz sobotnich eskapadach do teatru, stanowi główną oś moich dziewczęcych wspomnień, choć naturalnie pracowaliśmy tak jedynie jesienią i zimą. Od maja do sierpnia, kiedy nastaje okres godowy, a kutry opuszczają żagle albo wypływają w morze w poszukiwaniu innej zdobyczy, gospody specjalizujące się w daniach z ostryg są zmuszone zmienić jadłospis ewentualnie zamknąć podwoje. Interes ojca, wprawdzie dochodowy od jesieni do wiosny, nie pozwalał na kilkumiesięczne zamknięcie gospody. Niemniej jednak, podobnie jak wiele okolicznych rodzin, których los zależał od morza i jego darów, podczas ciepłych miesięcy odczuwaliśmy znaczną ulgę w dotychczasowych obowiązkach i przechodziliśmy na weselszy, powolniejszy i bardziej swobodny rytm. W gospodzie panował mniejszy ruch. Zamiast ostryg serwowaliśmy kraby, płastugi, skarpy i śledzie, filetowanie zaś było zajęciem bez mała przyjemniejszym niż wieczne skrobanie i łuskanie ostryg w ciągu zimowych miesięcy. Otwieraliśmy na oścież okna i drzwi do kuchni. Nie musieliśmy gotować się żywcem w parze z rondli ani dygotać z zimna przy beczkach z lodem; z zewnątrz napływała chłodna bryza, słyszeliśmy też kojący łopot żagli i zgrzyt podnośników z zatoki Whitstable.

Tamto lato, kiedy skończyłam osiemnaście lat, było ciepłe i w miarę upływu tygodni stawało się jeszcze cieplejsze. Ojciec zostawiał gospodę pod opieką matki, a sam handlował na plaży małżami. Alice i ja mogłyśmy co wieczór jeździć do Canterbury, lecz podobnie jak nikt w lipcu nie miał ochoty na smażoną rybę czy zupę z homara w naszej dusznej gospodzie, tak i my pociłyśmy się i wzdrygały na samą myśl o dwu godzinach spędzonych w blasku rozżarzonych świeczników gazowych na pozbawionej powietrza widowni teatru Tricky'ego Reevesa.

Profesję handlarza ryb i dyrektora rewii łączy więcej podobieństw, niż moglibyście sobie wyobrazić. Kiedy ojciec zmienił asortyment, by dogodzić ospałym i przegrzanym klientom, Tricky uczynił rzecz identyczną. Odprawiwszy połowę zespołu, zatrudnił grupę nowych artystów z Chatham, Margate i Dover, a co najistotniejsze, zawarł jednotygodniowy kontrakt z prawdziwą londyńską gwiazdą: Gullym Sutherlandem, jednym z najlepszych komików w branży, gwarantującym pełną salę nawet w najgorętsze z gorących miesięcy Kent.

Alice i ja odwiedziłyśmy Palace pierwszego wieczoru występów Gully'ego Sutherlanda. Na mocy porozumienia z bileterką skinęłyśmy jej głowami na powitanie, po czym minawszy kasę, ruszyłyśmy na poszukiwanie dogodnych miejsc. Zazwyczaj kierowałyśmy się w stronę galerii. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego inni wolą miejsca na parterze; wydawało mi się nienaturalne siadać pod sceną i oglądać artystów z poziomu ich

kostek poprzez rozgrzane, falujące powietrze ponad rampą. Z drugiego piętra rozciągał się nieco ciekawszy widok, natomiast galeria, choć położona w pewnym oddaleniu od sceny, moim zdaniem nie miała sobie równych. Szczególnie upatrzyliśmy sobie dwa miejsca pośrodku pierwszego rzędu. Dawały one poczucie, że człowiek przyszedł nie tylko na przedstawienie, ale do teatru: w dole rysował się kształt sceny oraz łuk widowni; ze zdumieniem patrzyłeś na twarze sąsiadów, wiedząc, że twoja twarz wygląda tak jak ich, oblana poświatą lamp, z widmowym uśmiechem zastygłym na ustach, ponad którymi perliły się krople potu.

Wieczorem podczas pierwszego występu Gully'ego Sutherlanda w Palace of Canterbury panował zaiste piekielny upał. Do tego stopnia, że gdy wraz z Alice wychyliłyśmy się przez barierkę, aby zerknąć w dół na parter, uderzyła nas przenikliwa woń tytoniu i potu, od której zakręciło nam się w głowach. Zgodnie z przewidywaniami stryja Tony'ego, teatr był prawie pełny, choć panowała w nim niespotykana cisza. Ludzie rozmawiali półgłosem albo wcale, energicznie wachlując się kapeluszami bądź programami. Gdy orkiestra odegrała kilka pierwszych tonów uwertury i przygasły światła, wachlowanie nie ustało, lecz nieco zwolniło tempa i widzowie wyprostowali się na fotelach. Znużony szmer przeszedł w ciszę oczekiwania.

Palace był teatrem rewiowym w dość staroświeckim stylu i – podobnie jak wiele tego typu przybytków w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku – nadal funkcjonowała w nim instytucja konferansjera. Ową rolę odgrywał oczywiście sam Tricky. Siadał przy stole pomiędzy fotelami a orkiestrą, zapowiadał kolejne numery i nawoływał do spokoju, kiedy gawiedź poczyniała sobie zbyt ochoczo, oraz wznosił toasty za zdrowie królowej. Miał na głowie cylinder, w jednej ręce dzierżył młotek (nigdy nie widziałam konferansjera bez młotka), a w drugiej kufel porteru. Na stole stała świeca; zapalano ją na czas występów, po czym gaszono w czasie przerwy i gdy przedstawienie dobiegało końca.

Tricky był niezbyt atrakcyjnym mężczyzną o bardzo przyjemnym głosie, który brzmiał równie melodyjnie i dźwięcznie jak klarnet i był równie miły dla ucha. Owego wieczoru powitał wszystkich zebranych, obiecując im niezapomnianą rozrywkę. Czy mamy płuca? – zapytał. Przygotujmy się, by robić z nich użytek! Mamy nogi i ręce? Będziemy tupać i klaskać ile sił! Mamy boki? Będziemy je zrywać bez opamiętania! Łzy? Wylejemy ich całe wiadra! Oczy?

– Wytrzeszczcie je w zachwycie! Orkiestra! – Uderzył młotkiem w stół. Łup! Płomień świecy podskoczył. – Oferuję wam urzekające i cudowne widowisko. – Ponownie uderzył w stół. – Weseli Randallowie!

Kurtyna zadrżała, a następnie powędrowała w górę. Na scenie ustawiono tło z nadmorskim widoczkiem, na deskach zaś rozsypano prawdziwy piasek, po którym przechadzały się cztery żwawe postaci w odświętnych strojach: dwie damy – ciemno- i jasnowłosa, z parasolkami, oraz dwóch wysokich dżentelmenów. Jeden z nich miał na szyi zawieszoną na pasku ukulele. Zaśpiewali „Wszystkie dziewczęta nad morzem cieszą oko”, bardzo ładnie, potem artysta z ukulele odegrał partię solową, a damy uniosły suknie i

zatańczyły na piasku. Nieźle, jak na pierwszy numer. Okrzykami wyraziliśmy uznanie, a Tricky wytwornie podziękował nam za aplauz.

Dalej obejrzeliliśmy występy komika, a potem jasnowidza. Była to dama w wieczorowej sukni i rękawiczkach; stała na scenie z opaską na oczach, podczas gdy jej mąż krążył po widowni z tabliczką, namawiając ludzi do zapisywania liczb i nazwisk, które niewiasta miała następnie odgadnąć.

– Wyobraźcie sobie tę liczbę wyrytą w powietrzu ognistymi cyframi – mówił z emfazą mężczyzna – płynącą wprost do umysłu mojej żony. – W skupieniu patrzyliśmy na scenę, gdzie dama zachwiała się z lekka, unosząc ręce do skroni.

– Moc – powiedziała – jest dzisiaj bardzo silna. Ach, czuję, jak płonie!

Po nich wystąpiła trupa akrobatów, trzech mężczyzn w strojach suto zdobionych świecidełkami, którzy wykonywali salta przez obręcze i stawali sobie na ramionach. Gwoździem programu było utworzenie żywej pętli i przetoczenie się po estradzie przy wtórze melodii wygrywanej przez orkiestrę. Nagrodziliśmy ich brawami, ale że zrobiło się za gorąco na akrobacje, przez cały czas trwania numeru można było słyszeć ogólne szurania oraz szepty, kiedy wysyłano boyów z zamówieniami do baru, skąd wracali z butelkami, szklankami i kufkami, które następnie hałaśliwie przekazywano sobie wzdłuż rzędów, ponad głowami, kolanami i łapczywymi dłońmi widzów. Zerknęłam na Alice: wachlowała się kapeluszem i miała bardzo czerwone policzki. Zsunąwszy czepek na tył głowy, wychyliłam się przez barierkę i opierając brodę na rękach, przymknęłam oczy. Usłyszałam, jak Tricky wstaje i wali młotkiem w stół.

– Panie i panowie! – zawołał. – Teraz czeka was mała niespodzianka. Odrobina helegancji i pokaz wykwińskiego stylu. Jeśli macie w kieliszkach szampana... – tutaj rozległy się ironiczne wiwaty – ...wzniescie je do góry. Jeżeli pijecie piwo... cóż, i ono ma bąbelki, czyż nie? Do góry kufle! Nade wszystko zaś podnieście głosy, albowiem przed wami, prosto z teatru Phoenix w Dover, nasz lokalny dandys rodem z Kent, miniaturowy donżuan Faversham... panna Kitty... – Trzask! – ...Butler!

Dały się słyszeć niemrawe oklaski oraz kilka ospałych wiwatów. Orkiestra odegrała jakąś skoczną melodię, po czym usłyszałam zgrzyt i szmer podnoszonej kurtyny. Niechętnie uchyliłam powieki, a następnie otworzyłam szeroko oczy i uniosłam głowę, zapominając o upale i zmęczeniu. Ciemności sceny rozpraszał pojedynczy snop różowawego światła, pośrodku którego stała dziewczyna. Natychmiast uznałam, że to najbardziej zachwycająca istota, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać.

Naturalnie widywaliśmy tu wcześniej kobiety w męskim przebraniu, jednak w roku 1888, w prowincjonalnej rewii, nie było to równie powszechne zjawisko jak dzisiaj.

Kiedy pół roku wcześniej Nelly Power odśpiewała przed nami „Ostatniego z dandysów”, nosiła trykoty i miała równo przyciętą grzywkę jak baletnica; aby nadać jej chłopięcy wygląd, ograniczono się tylko do laski i melonika. Kitty Butler zrezygnowała z trykotów i błyskotek. Zgodnie z opisem Tricky’ego prezentowała się niczym elegancki dżentelmen z West Endu. Była ubrana w uszyty na miarę męski garnitur, z mankietami i

klapami z błyszczącego jedwabiu. Nosiła różę w butonierce, a z kieszeni wystawały rękawiczki w kolorze lawendy. Spod kamizelki wyglądał gors śnieżnobiałej koszuli z kołnierzem postawionym na dwa cale. Jej szyję zdobiła biała muszka, na głowie zaś miała cylinder. Kiedy go zdjęła, aby z animuszem ukłonić się publiczności i wykrzyknąć „Halo!”, oczom zebranych ukazały się krótko obcięte włosy.

Chyba właśnie jej włosy wywarły na mnie największe wrażenie. Wprawdzie wcześniej widywałam kobiety z równie krótką czupryną, zazwyczaj jednak były to rekonwalescentki, zwolnione więźniarki bądź pensjonariuszki zakładu dla obłąkanych. Lecz żadna z nich nie wyglądała jak Kitty Butler. Jej włosy zdawały się pasować do głowy niczym dzieło zręcznej modystki. Opisałabym je jako brązowe, choć to mało precyzyjne określenie. Miały bowiem odcień brązu, o jakim zwykle słyszy się w piosenkach – orzechowy albo rdzawy. Zbliżony do czekolady, lecz przecież czekolada nie ma połysku, tymczasem włosy Kitty lśniły w blasku lamp niczym tafta. Odrobinę kręciły się na skroniach i nad uszami, a gdy artystka odwróciła głowę, by ponownie włożyć cylinder, zobaczyłam pasek bladej skóry pomiędzy kołnierzem a dołem włosów i, pomimo upału panującego w sali, zadrżałam na całym ciele.

Jednym słowem wyglądała jak piękny chłopiec: twarz o idealnie owalnym kształcie, wielkie oczy ocienione ciemnymi rzęsami oraz pełne, zaróżowione wargi. Jej smukła postać również przypominała chłopięcą, choć charakterystyczne krągłości piersi, brzucha i bioder świadczyły niezbicie, że mieliśmy do czynienia z dziewczyną; po chwili zauważyłam też, że nosiła buty na dwucalowych obcasach. Mimo to chodziła i stała jak chłopak, z szeroko rozstawionymi nogami, dłońmi niedbale wciśniętymi w kieszenie spodni i arogancko przekrzywioną głową, a kiedy śpiewała, jej głos brzmiał czysto i melodyjnie jak głos dorastającego młodzieńca.

Wrażenie okazało się piorunujące. Moi sąsiedzi siedzieli wyprostowani jak struny, wpatrując się w nią roziskrzonym wzrokiem. Miała starannie dobrany repertuar: zaśpiewała „Pijcie, chłopcy!” oraz „Żony i narzeczone”, rozślawione przez artystów pokroju G. H. Macdermotta, które mogliśmy nucić razem z nią, choć szczególnie ekscytujące było słuchanie tych piosenek w wykonaniu nie mężczyzny, lecz dziewczyny w muszce i spodniach. W przerwach pomiędzy kolejnymi utworami zwracała się poufale do widowni i wymieniała żartobliwe uwagi z Trickym Reevesem. Jej normalny głos brzmiał równie silnie i zdrowo jak śpiew, i tak samo przyjemnie było go słuchać. Niekiedy mówiła z akcentem z nizin społecznych, czasem przybierała teatralnie wytworny ton lub przechodziła na lokalną gwarę.

Występ Kitty Butler nie trwał dłużej niż zwyczajowe piętnaście minut, ale pod koniec wywoływano ją na scenę dwukrotnie. Na zakończenie odśpiewała liryczną balladę o różach i utraconej miłości. W trakcie piosenki zdjęła kapelusz i przycisnęła go do piersi, następnie wyjęła z butonierki różę i uniosła ją do policzka, jak gdyby roniąc łzy. Sala, ogarnięta współczuciem, wydała z siebie potężne, zbiorowe westchnienie i wszyscy jak jeden mąż przygryźli wargi, ujęci tą nieoczekiwaną zmianą nastroju.

Naraz Kitty uniosła wzrok, zerkając na nas spod oka: wówczas zobaczyliśmy, że wcale nie płacze, tylko uśmiecha się skrycie, po czym mrugnęła zawadiacko. Następnie żwawo przeszła na skraj sceny i przystanąła, wypatrując najładniejszej dziewczyny. Wreszcie podniosła rękę: róża pofrunęła w powietrze ponad orkiestrą i przeciąwszy snop światła, wylądowała na kolanach wybranki.

Widzów ogarnął zbiorowy szal. Krzyczeliśmy i tupaliśmy, podczas gdy ona szarmancko uchyliła kapelusza i opuściła scenę. Wołaliśmy, ale bisów nie było. Kurtyna opadła, orkiestra nadal coś grała, a Tricky uderzył swoim młotkiem w stół i zdmuchnął świecę. Nadeszła pora na przerwę.

Wyteżyłam wzrok, próbując dojrzeć dziewczynę, która dostała kwiatek. Taki podarunek z rąk Kitty Butler urósł w moich oczach do rangi największego wyróżnienia.

Podobnie jak reszta publiczności przyjechałam do teatru, aby obejrzeć popisy Gully'ego Sutherlanda, kiedy jednak wreszcie stanął przed nami, ocierając czoło wielką chustką w grochy i utyskując na kanterberyjski skwar, a następnie doprowadził widownię do spazmów wesołości repertuarem min oraz komicznych przyśpiewek, nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Marzyłam, by panna Butler ponownie zjawiła się na scenie, i mierząc nas uroczym, aroganckim spojrzeniem, zaśpiewała o szampanie oraz wyścigach. Owa myśl nie dawała mi spokoju. Wreszcie Alice, która zaśmiewała się z wygłupów Gully'ego równie głośno jak pozostali, zwróciła wzrok w moją stronę.

– Co z tobą? – szepnęła mi do ucha.

– Strasznie tu gorąco – odpowiedziałam. – Idę na dół.

I gdy Alice pozostała na miejscu z zamiarem obejrzenia występów do końca, ja powoli zeszłam do pustego westybulu, gdzie studząc rozpalone czoło o szklane drzwi, ponownie zanuciłam pod nosem „Żony i narzeczone”.

Wkrótce dobiegły mnie okrzyki i odgłosy tupania oznaczające koniec numeru Gully'ego, po chwili też zjawiła się Alice. Nadal wachlowała się kapeluszem, zdmuchując z różowych policzków zwilgotniałe loki.

– Zajrzyjmy do Tony'ego – powiedziała, puszczać oko. Poszłam za nią, po czym ospale przycupnęłam na krześle za biurkiem, podczas gdy Tony obejmował moją siostrę. Nastąpiła wymiana zdań na temat pana Sutherlanda i jego chustki.

– A co myślicie o Kitty Butler, hę? – zapytał nagle Tony. – Czyż nie jest wyborna? Jeśli na dobre przypadnie widzom do gustu, założę się, że stryj przedłuży jej kontrakt aż do świąt.

Natychmiast przestałam się wiercić.

– To najlepszy numer, jaki kiedykolwiek widziałam! – zawołałam. – Tricky byłby głupcem, pozwalając jej odejść, przekaz mu to ode mnie.

Tony zapewnił ze śmiechem, że nie omieszka tego uczynić; z tymi słowy mrugnął do Alice, wpatrzony z cielęcym zachwytem w jej śliczną twarzyczkę.

Z westchnieniem odwróciłam wzrok, mówiąc szczerze: – Ach, jakżebym chciała jeszcze raz zobaczyć ją na scenie!

– I zobaczysz – odrzekła Alice. – W sobotę. – W sobotę planowaliśmy przyjechać tu całą rodziną, ojciec, matka, Davy, Fred i reszta.

– Wiem – odrzekłam, bawiąc się rękawiczką. – Ale do soboty jeszcze tak daleko...

Tony ponownie wybuchnął śmiechem.

– Ejże, Nance, kto powiedział, że musisz czekać aż tak długo? Jeżeli o mnie chodzi, możesz przyjść jutro, jeśli chcesz, a nawet pojutrze. A gdyby zabrakło dla ciebie miejsca na galerii, posadzimy cię w łoży z boku sceny, skąd będziesz mogła podziwiać pannę Butler ile dusza zapagnie!

Jestem pewna, że chciał po prostu zaimponować mojej siostrze, lecz mimo to serce podskoczyło mi w piersi.

– Och, Tony, mówisz poważnie? – zapytałam.

– A jakże!

– W łoży, naprawdę?

– Czemu nie? Tak między nami, zwykle rezerwujemy te miejsca dla rodziny Woodów oraz państwa Plushów. Jak już tam usiądziesz, dopilnuj, żeby wszyscy cię zauważyli; niech zazdroszczą, a co!

– Uważaj, bo jeszcze Nancy wpadnie w pychę – ostrzegła Alice. – Nie możemy do tego dopuścić. – A gdy Tony mocniej ścisnął jej kibić i spróbował skraść całusa, wybuchnęła śmiechem.

Samotna wyprawa na rewię zapewne mogłaby okazać się kłopotliwa dla dziewczyny z miasta, ale w Whitstable obowiązywały nieco inne obyczaje. Kiedy następnego dnia poruszyłam ten temat, matka tylko zmarszczyła brwi i cmoknęła pod nosem. Alice oświadczyła ze śmiechem, że chyba postradałam zmysły: ona bynajmniej nie miała zamiaru pocić się cały wieczór dla dziewczyny w spodniach, której piosenek wysłuchałyśmy nie dalej niż wczoraj.

Nie kryjąc oburzenia, odczułam jednak cichą ulgę, że tym razem dostąpię tej przyjemności bez świadków. I skrycie radowałam się na myśl o obietnicy Tony'ego. Dzień wcześniej miałam na sobie zwykłą sukienkę, dzisiaj jednak – interes nie szedł najlepiej i ojciec pozwolił nam zamknąć o szóstej – wyjęłam z szafy niedzielny ubiór, który przeważnie wkładałam na spacer z Freddym. Kiedy odświętnie wystrojona zesłam na dół, Davy gwizdnął, a w pociągu znalazło się kilku mężczyzn skorych podchwycić mój wzrok. Lecz ja nie uznałam ich za godnych mojej uwagi, przynajmniej nie wtedy. W teatrze jak zwykle skinęłam głową bileterce, po czym zasiadłam na złożonym fotelu obitym czerwonym pluszem, pozostawiając swe dawne miejsce jakiemuś zgrzanemu nieszczęśnikowi. I tkwiłam tam wystawiona na pastwę ospałych, zaciekawionych tudzież zawistnych spojrzeń tłumnie zebranej gawiedzi, podczas gdy Weseli Randallowie dwoili się i troili, komik sypał dowcipami jak z rękawa, jasnowidząca chwiała się na scenie, a akrobaci wyczyniali dzikie harce.

Wreszcie Tricky ponownie zapowiedział naszego lokalnego dandysa... i wstrzymałam oddech.

Kiedy tym razem zawołała „Halo!”, tłum odpowiedział jej rozgłośnym, potężnym rykiem: w okolicy musiała roznieść się wieść o jej talencie. Widziałam ją nieco z boku, lecz gdy podchodziła na skraj sceny, zdawała się stąpać lżejszym krokiem, jak gdyby podziw publiczności dodał jej skrzydeł. Siedziałam wychylona do przodu, zaciskając palce na aksamitnym obiciu. Łoże w Pałace znajdowały się w niewielkiej odległości od sceny, przez co dzieliło nas niespełna dwadzieścia stóp. Podziwiałam szczegóły kostiumu Kitty – łańcuszek od zegarka przy kieszonce kamizelki, srebrne spinki do mankietów – które umknęły mojej uwadze poprzedniego wieczora.

Miałam też okazję uważniej przyjrzeć się jej twarzy. Zobaczyłam uszy, małe i nieprzekłute. Usta – dla wzmocnionego efektu pociągnięte karminową szminką. Białe zęby i oczy, brązowe jak czekolada, tak jak włosy.

Ponieważ wiedziałam, czego się spodziewać – i ponieważ skupiłam się raczej na obserwacji artystki niż słuchaniu piosenek – występ Kitty Butler zdawał się trwać nie dłużej niż chwilę. Ponownie wywołano ją na scenę i ponownie zaśpiewała na pożegnanie sentymentalną balladę. Tym razem dostrzegłam, kto złapał różę: dziewczyna w trzecim rzędzie, szczęściara w słomkowym kapeluszu ozdobionym piórami, ubrana w żółtą, satynową sukienkę odsłaniającą ramiona. Urocza nieznajoma, którą znenawidziłam w mgnieniu oka, choć nigdy przedtem jej nie widziałam!

Z powrotem przeniosłam oczy na Kitty Butler. Stała z uniesionym cylindrem, gotowa zgiąć się w ostatnim ukłonie. Spójrz na mnie, pomyślałam. Spójrz! Zgodnie z zaleceniem męża jasnowidzącej, wyryłam te słowa szkarłatnymi literami i posłałam w kierunku artystki. Spójrz tutaj!

Odwróciła się, obrzucając mnie przelotnym spojrzeniem, jakby odnotowała czyjaś obecność w pustej poprzedniego dnia łoży. Następnie zanurkowała pod opadającą kurtyną i znikła.

Tricky zdmuchnął świecę.

– I co? – spytała mnie Alice po powrocie do domu. – Jak zaprezentowała się dzisiaj Kitty Butler?

– Pewnie tak samo jak wczoraj – wtrącił ojciec.

– A właśnie że nie – odparłam, ściągając rękawiczki. – Była jeszcze lepsza.

– Lepsza, a to ci dopiero! Jeśli tak dalej pójdzie, ciekawe, co będzie w sobotę!

Alice popatrzyła na mnie, z trudem powstrzymując uśmiech.

– Dasz radę wytrzymać do soboty, Nancy? – zapytała.

– Pewnie bym dała – odpowiedziałam z pozorną obojętnością. – Ale nie jestem pewna, czy chcę. – Zwróciłam się do matki, która szyła przy dogasającym kominku. – Nie będzie mama miała nic przeciwko temu – rzuciłam lekkim tonem – jeśli jutro znowu pojedę do Canterbury?

– Znowu? – powtórzyli wszyscy z rozbawieniem.

Uparcie spoglądałam na matkę. Uniosła głowę i utkwiała we mnie wzrok, nieznacznie marszcząc brwi.

– Nie widzę przeszkód – odrzekła z wolna. – Ale Nancy, tyle fatygi dla jednego numeru... Na dodatek sama. Czy nie mogłabyś jechać z Fredem?

Fred był ostatnią osobą, która mogła mi towarzyszyć podczas występu Kitty Butler.

– Och, on nie chciałby tego oglądać! – zapewniłam.

– Nie, pojedę sama. – Oznajmiłam to raczej stanowczo, tak jakby codzienna wyprawa do Palace stanowiła obowiązek, który postanowiłam spełnić, wielkodusznie wyrzekając się skarg.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

– Dziwna jesteś, Nancy – powiedział wreszcie ojciec.

– Jechać do Canterbury w taki upał... i nie czekać nawet na występ Gully'ego Sutherlanda!

Zakłopotanie minęło; wszyscy zgodnie wybuchnęli śmiechem i rozmowa zeszła na inne tematy.

Kiedy jednak ponownie wróciłam z Canterbury i obwieściłam zamiar udania się tam czwarty, a potem piąty raz, napotkałam kolejną falę niedowierzania i uśmiechów. Wujek Joe akurat wpadł z wizytą; właśnie nalewał sobie ostrożnie piwo do kufła, kiedy ogólna wesołość kazała mu unieść głowę.

– Co się stało? – zapytał.

– Nancy zadurzyła się w Kitty Butler z rewii! – zawołał Davy. – Proszę sobie wyobrazić, wujku Joe: zakochana w dandysie!

– Przymknij się! – fuknęłam. Matka spojrzała na mnie ostro.

– Sama się przymknij, jeśli łaska, młoda damo.

Wuj Joe pociągnął łyk piwa, po czym oblizał pianę z wąsów.

– Kitty Butler? – powtórzył. – To ta dziewczyna, która przebiera się za mężczyznę, prawda? – Zrobił śmieszny minę. – Ejże, Nancy, rzeczywistość ci nie wystarcza?

Ojciec nachylił się w jego stronę.

– Cóż, podobno chodzi o Kitty Butler – powiedział.

– Ale jeśli chcesz znać moje zdanie... – tutaj mrugnął i potarł nos – ...uważam, że wpadł jej w oko raczej jakiś chłopak z orkiestry...

– Aha – rzucił znacząco wujek Joe. – Miejmy nadzieję, że biedny Frederick nic nie podejrzewa...

Wszyscy spojrzeli na mnie i poczerwieniałam, jakby na potwierdzenie ojcowskich słów. Davy prychnął, a matka wyraźnie się rozchmurzyła. Mogli sobie myśleć, co chcieli: milczałam jak zakłeta. I podobnie jak poprzednim razem, towarzystwo wkrótce zaczęło rozmawiać o czym innym.

Rodzicom i bratu mogłam bez trudu zamydląć oczy, lecz Alice czytała we mnie jak w otwartej książce.

– Naprawdę upatrzyłaś sobie jakiegoś chłopaka w Palace? – zapytała, kiedy wszyscy poszli spać.

– Oczywiście, że nie – odrzekłam cicho.

– Czyli jedziesz po prostu zobaczyć pannę Butler?

– Tak.

Zapadła cisza przerywana odległym zgrzytem kół i stukaniem końskich kopyt na głównej ulicy oraz cichym szumem fal rozbijających się o kamieniste wybrzeże zatoki. Zgasiłyśmy świecę, nie zamykając okna. W świetle gwiazd zobaczyłam, że Alice leży z otwartymi oczami. Spoglądała na mnie na poły z niesmakiem, na poły z rozbawieniem.

– Ona ci się podoba, prawda? – zapytała.

Odwróciłam głowę, zrazu wzbraniając się przed odpowiedzią. Wreszcie przemówiłam, kierując słowa nie do siostry, lecz w przestrzeń.

– Gdy na nią patrzę – zaczęłam – to... sama nie wiem. To nie do opisania. Całkiem jakby coś we mnie wzbierało jak wino w kieliszku. Oglądałam numery poprzedzające jej występ i nic dla mnie nie znaczą. Potem ona wychodzi na scenę i... jest taka śliczna, ma taki ładny strój, jej głos brzmi tak słodko... Mam ochotę zarazem śmiać się i płakać. Aż boli tu, w środku. – Położyłam rękę na piersi. – Nigdy nie widziałam takiej dziewczyny. Nie miałam pojęcia, że ktoś taki w ogóle istnieje... – Głos mi zadrżał, a następnie uwiązł w gardle.

Ponownie zapadła cisza. Otworzyłam oczy, spojrzałam na Alice i natychmiast zrozumiałam, że nie powinnam była tego mówić, tylko postąpić z nią podobnie jak z resztą rodziny. Wyraz jej twarzy tym razem nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości: dostrzegłam na obliczu siostry mieszaninę szoku, wzburzenia oraz wstydu czy też zakłopotania. Powiedziałam zbyt wiele. Czułam się, jakby fascynacja osobą Kitty Butler rozpałała we mnie pochodnię, a otwarte nieopatrzenie usta uwolniły snop blasku, oświetlając pokój.

Jednakże miałam do wyboru: powiedzieć za dużo albo nie rzec nic.

Alice przez chwilę wytrzymała moje spojrzenie, a następnie uciekła oczami w bok. Bez słowa odwróciła się do ściany.

Upał doskwierał bezlitośnie przez cały tydzień. Słońce ściągnęło tłumy wycieczkowiczów do Whitstable i naszej gospody, lecz skwar odebrał im apetyt. Goście częściej zaglądali do nas w poszukiwaniu herbaty i lemoniady niż makreli czy płastugi, toteż na całe godziny opuszczałam lokal i pracowałam przy straganie ojca. Serwowanie posiłków na plaży stanowiło pewną nowość, choć wystawanie w pełnym słońcu z rękami ociekającymi octem, który wściekle piekł w oczy, potrafiło solidnie dać w kość. Ojciec płacił mi dodatkowe pół korony za każde przepracowane popołudnie. Kupiłam kapelusz oraz lawendowego koloru wstążkę do przewiązania róna, lecz resztę pieniędzy skrzętnie odłożyłam: miałam zamiar uzbierać na bilet okresowy do Canterbury.

Codziennie bowiem jeździłam do teatru, gdzie siadywałam, jak mawiał Tony, u Plushów i z niesłabnącym podziwem oglądałam Kitty Butler. Cudownie było wejść do szkarłatnej łoży i przesuwając wzrok po zaciekawionych twarzach, złotym łuku wieńczącym scenę, aksamitnych draperiach podwiązanych chwostami oraz po zakurzonych deskach z rzędem świateł, przywodzących na myśl rozwarte muszle, przed którymi wkrótce miała stanąć Kitty... Och! Kiedy wreszcie wychodziła na scenę, zalewała mnie fala błogości tak

wielkiej i przejmującej, że niemal traciłam dech i opadałam z sił.

Wszystko to działo się podczas moich samotnych wypraw, ale w sobotę zgodnie z planem wybraliśmy się do teatru całą rodziną. I rzecz miała się zupełnie inaczej.

W sumie przyjechało nas dwanaścioro, a kiedy dotarliśmy do Palace i zajęliśmy miejsca, nasza grupa stała się jeszcze liczniejsza, gdyż po drodze przyłączyli się do nas przyjaciele i sąsiedzi, oblepiając naszą wesołą gromadkę niczym pąkle. Nie było miejsca, abyśmy usiedli w jednym rzędzie: rozproszyliśmy się więc grupkami po trzy lub cztery osoby, dlatego gdy padało pytanie: „Czy mamy ochotę na czereśnie?” lub: „Czy mama zabrała wodę kolońską?” bądź też: „Dlaczego Millicent nie przyjechała z Jimem?”, wiadomość należało przekazać szeptem lub krzykiem przez całą galerię, od kuzyna do kuzyna, od ciotki do siostry, wuja i sąsiada, zakłócając przy tym spokój wszystkich po drodze.

Tak mi się przynajmniej zdawało. Znalazłam się pomiędzy Fredem i Alice, a po jej lewej stronie zasiadł Davy ze swoją dziewczyną Rhodą. Matka i ojciec ulokowali się za nami. W teatrze panował niesamowity ścisk i upał, ale nie było tak gorąco jak pierwszego, poniedziałkowego wieczoru. Lecz ja, która spędziłam tydzień w łoży, gdzie chłodził mnie rzeński powiew ze sceny, czułam się bardziej zmęczona zaduchem niż ktokolwiek inny. Dotyk Freda i jego usta na moim policzku były raczej udręką niż pieśczołą; nawet muśnięcie rękawa Alice lub ciepło twarzy ojca pytającego, jak nam się podoba przedstawienie, sprawiały, że podskakiwałam, pociłam się i wierciłam na krześle.

Zupełnie jakby kazano mi spędzić wieczór w gronie nieznanym. Przyjemność, jaką czerpali z poszczególnych numerów, które obejrzałam kilkakrotnie, niecierpliwie wyczekując końca, uderzyła mnie jako niepojęta, ba, idiotyczna. Kiedy moi bliscy śpiewali refren wraz z szalonymi Wesołymi Randallami, ryczeli ze śmiechu, słuchając dowcipów komika, wytrzeszczali oczy na chwiejące się medium i domagali się okrzykami kolejnego obrotu żywej pętli, ja gryzłam paznokcie. Im bliżej występu Kitty Butler, tym bardziej byłam zgnębiona i nieszczęśliwa. Tęskniłam za jej widokiem, ubolewając przy tym z całego serca, że nie będę wówczas sama, sama za zamkniętymi drzwiami łoży, tylko pośród ludzi, dla których nic nie znaczyła i którzy traktowali moją fascynację jako zgoła niecodzienne, zdumiewające zjawisko.

Tysiąc razy słyszeli, jak śpiewałam „Żony i narzeczone” i opisywałam szczegóły stroju, fryzury oraz głosu uwielbianej artystki; od tygodnia marzyłam, by wreszcie ją ujrzeli i uznali za jedyną w swoim rodzaju. Lecz teraz, kiedy zebrali się tu wesołą, spoconą hałastrą, pogardałam nimi ze wszystkich sił. Prawie nie mogłam na nich patrzeć, a co gorsza nie wyobrażałam sobie, by oni mogli patrzeć na mnie podczas występu Kitty Butler. Ponownie ogarnęło mnie uczucie, jakbym miała w sobie rozżarzoną pochodnię. Byłam pewna, że gdy tylko Kitty wkroczy na scenę, zapłonę złocistym i subtelnym, a zarazem boleśnie i wstydliwie jaskrawym blaskiem, i moja rodzina wraz z narzeczoną odsunie się ode mnie ze wstrętem.

Oczywiście nie zdarzyło się nic podobnego. Zobaczyłam, jak Davy zerka w moją stronę i

mruga, a ojciec szepcze: „To ta dziewczyna, wreszcie”, lecz tłący się we mnie żar pozostał niezauważony przez wszystkich, może z wyjątkiem Alice.

Zgodnie z moimi obawami, boleśnie odczułam jednak dystans dzielący mnie od panny Butler. Jej głos był równie silny, a twarz prześliczna jak przedtem, zdążyłam jednak przywyknąć do nasłuchiwania oddechów między frazami, wypatrywania lśniących refleksów na wargach oraz cienia rzęs na upudrowanym policzku. Teraz towarzyszyło mi nieodparte wrażenie, jakbym oglądała ją przez szybę albo słuchała z uszami zalepionymi woskiem. Po skończonym numerze moja rodzina wiwatowała, a Freddy tupał nogami i gwizdał.

– Zabijcie mnie, jeśli nie jest tak dobra, jak opowiadała Nancy! – zawołał Davy, po czym nachylił się nad kolanami Alice i dodał, mrugając: – Chociaż nie tak dobra, by wydawać szylinga tygodniowo na bilety kolejowe, żeby ją co wieczór oglądać!

Zbyłam tę uwagę milczeniem. Kitty Butler wróciła na scenę, by zaśpiewać ostatnią piosenkę, i wyjęła różę z butonierki. Podziw rodziny nie przyniósł mi spodziewanej ulgi, ale wręcz pogorszył mój nastrój. Raz jeszcze spojrzałam na postać stojącą w kręgu światła i pomyślałam z rozgoryczeniem: Jesteś wspaniała bez względu na moją obecność. Mój podziw nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. Równie dobrze mogłabym siedzieć w domu i pakować kraby do papierowej tutki!

Wówczas jednak stało się coś dziwnego. Odśpiewała balladę do końca, po czym wykonała zwyczajowy gest z różą i ruszyła ku wyjściu. Zobaczyłam, jak unosi głowę i patrzy – przysięgam! – patrzy na pusty fotel w zajmowanej przeze mnie co wieczór łoży, a następnie spuszcza głowę i idzie dalej. Gdybym siedziała tam dzisiaj, spojrzałaby prosto na mnie! Gdybym tylko siedziała w łoży, a nie tutaj...!

Zerknęłam na Davy’ego i ojca: obaj zerwali się na równe nogi, prosząc o bis. Wreszcie umilkli i zaczęli się przeciągać. Siedzący obok mnie Freddy nadal z uśmiechem wpatrywał się w scenę. Włosy kleiły mu się do czoła, nad górną wargą ciemniał zarys wąsa, a na czerwonym policzku widniał okazały pryszcz.

– Czyż nie jest słodka? – zapytał. Następnie przetarł oczy i krzyknął, żeby Davy podał mu piwo. Z tyłu matka zapytała, jakim cudem ta pani w wieczorowej sukni odgaduje zapisane cyfry?

Owacje przycichały. Zgasła świeca Tricky’ego, ale lampy gazowe płonęły jasno, rażąc nas w oczy. Kitty Butler szukała mnie wzrokiem, uniosła głowę i spojrzała na łożę, podczas gdy ja tkwiłam tu, wśród obcych.

Niedzielę spędziłam przy straganie, a gdy wieczorem Freddy chciał mnie zaprosić na spacer, wymówiłam się zmęczeniem. Tego dnia zrobiło się nieco chłodniej, w poniedziałek zaś nastąpiła radykalna zmiana pogody. Ojciec spędził cały dzień w gospodzie, a ja w kuchni, patrosząc i filetując. Harowaliśmy prawie do siódmej: ledwie miałam czas się przebrać, wciągnąć buty z elastycznymi cholewkami i zjeść szybką kolację z rodzicami, Alice, Davym oraz Rhodą, aby złapać pociąg do Canterbury. Wiedziałam, że kolejna wyprawa do teatru budzi ich niekłamane zdziwienie. Zwłaszcza Rhoda wydawała się

poruszona opowieścią o moim „zauroczeniu”.

– Nie boi się pani jej puszczać, pani Astley? – zapytała. – Moja mama w życiu nie puściłaby mnie samej tak daleko, chociaż jestem dwa lata starsza. No ale przecież na Nancy można polegać.

Można było na mnie polegać; to Alice, pyskata Alice zwykle stanowiła źródło troski rodziców. Ujrzałam jednak, że pod wpływem słów Rhody matka spogląda na mnie z namysłem. Miałam na sobie niedzielną suknię i nowy kapelusz obszyty lawendową wstążką – taka sama zdobiła również mój warkocz – oraz białe lniane rękawiczki. Starannie wypastowałam buty, skropiłam się za uchem kroplą perfum Alice – *eau de rose* – i przyciemniłam rzęsy rycynusem.

– Nancy, czy ty naprawdę...? – zaczęła matka, ale w tym samym momencie zadzwieczał zegar na kominku. Był kwadrans po siódmej, mój pociąg miał odjechać lada chwila.

– Do widzenia, na razie! – zawołałam i wybiegłam z domu, nim zdążyła mnie powstrzymać.

Spóźniłam się na pociąg i musiałam zaczekać na następny. Kiedy dotarłam do Palace, przedstawienie już trwało; zasiadłam w łoży podczas występu akrobatów z białymi kolanami zszarzałymi od kurzu. Wybuchły owacje, Tricky wstał, aby powtórzyć to, co mówił każdego wieczoru, a połowa widowni zawtórowała mu z uśmiechem. Następnie – tak jakby stanowiło to część uwertury, bez której panna Butler nie mogła rozpocząć występu – zacisnęłam palce na fotelu i wstrzymałam oddech, gdy wystukując rytm młotkiem, zapowiedział nazwisko Kitty.

Owego wieczoru śpiewała jak... nie mogę powiedzieć, jak anioł, gdyż jej piosenki traktowały o szampanie i włączeniu się po Burlington Arcade. Raczej jak anioł upadły albo upadający, za którym dopiero zatrzaśnięto wrota raju, piekło zaś wciąż wydawało się odległe i nierzeczywiste. Śpiewałam wraz z nią, lecz nie beztrosko i na całe gardło jak reszta tłumu, tylko cicho, niemal ukradkiem, jakby tylko tak mogła mnie usłyszeć.

I może usłyszała. Przyszło mi to do głowy, kiedy po wejściu na scenę rzuciła okiem w moją stronę, jakby pragnąc potwierdzenia, że łoża znów jest zajęta. Potem stanęła na wprost reflektorów i odniosłam wrażenie, że ponownie na mnie patrzy. Był to absurdalny pomysł, a jednak za każdym razem gdy jej spojrzenie omiatało widownię, zatrzymywało się na mnie nieco dłużej, niż powinno. Przestałam nucić, patrzyłam tylko na nią i przełykałam ślinę. Odprowadziłam ją wzrokiem za kurtynę – ponownie zerknęła na mnie – i zobaczyłam, jak wraca, aby zaśpiewać ostatnią balladę. Na koniec wyjęła różę z butonierki i swoim zwyczajem uniosła ją do policzka. Lecz tym razem nie wyjrzała na widownię w poszukiwaniu najładniejszej dziewczyny. Zamiast tego zrobiła krok w lewo, ku mojej łoży. Potem następny. Po chwili stała w rogu sceny, twarzą do mnie; była tak blisko, że dostrzegłam błysk spinki do kołnierzyka, pulsowanie żyłki na szyi, różowy kącik oka. Tkwiła tak przez małą wieczność, po czym jej ramię powędrowało w górę i kwiat przeciął snop światła padającego z lampy. Ujrzałam własną rękę uniesioną w kierunku róży. Gruchnął gardłowy okrzyk zadowolenia, a następnie tłum wybuchnął śmiechem. Kitty

odpowiedziała na mój spłoszony wzrok niewzruszonym spojrzeniem i skłoniła się lekko, po czym wykonała szybki krok w tył i pomachawszy widowni, opuściła scenę.

Siedziałam jak oniemiała, z oczami utkwionymi w róży, która jeszcze przed chwilą dotykała policzka Kitty Butler. Chciałam unieść ją do własnej twarzy i już miałam to uczynić, gdy wreszcie dotarła do mnie wrzawa panująca w sali i uświadomiłam sobie ciekawskie spojrzenia rzucane w moim kierunku oraz rozlegające się dokoła chichoty. Poczerwieniałam i wcisnęłam się głębiej w fotel. Odwrócona plecami od wścibskich oczu, wsunęłam różę za pasek sukienki i wciągnęłam rękawiczki. Serce, które zabiło gwałtownie na widok podchodzącej panny Butler, nadal zaciekle łomotało mi w piersi, kiedy jednak wyszłam z łoży i skierowałam się ku załoczonemu foyer i widocznej przez drzwi ulicy, poczułam niespodziewaną lekkość i zadowolenie. Uśmiech cisnął mi się na usta; musiałam zasłonić je ręką, aby nie wzbudzać podejrzeń co do swej poczytalności.

W chwili gdy miałam wyjść na ulicę, usłyszałam, że ktoś mnie woła. Odwróciwszy się, zobaczyłam Tony'ego, który szedł przez westybul, machając do mnie ręką. Nareszcie miałam się do kogo uśmiechnąć. Odsłoniłam usta i radośnie wyszczerzyłam zęby.

– Hej, hej! – rzucił bez tchu. – Ktoś nie posiada się z radości, a ja wiem dlaczego! Dlaczego dziewczęta nigdy nie uśmiechają się w ten sposób, kiedy ja wręczam im róże? – Zarumieniłam się i ponownie uniosłam rękę do ust.

Na twarzy Tony'ego pojawił się głupi uśmieszek.

– Mam dla ciebie wiadomość – oznajmił. – Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Uniosłam brwi, sądząc, że to pewnie Alice lub Freddy przyjechali po mnie do Canterbury. Tony uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Panna Butler – dodał – pragnie zamienić z tobą słówko.

Uśmiech zamarł mi na ustach.

– Słówko? – powtórzyłam. – Panna Butler? Ze mną?

– Tak jest. Zapytała Ike'a, naszego pomocnika, o dziewczynę, która co wieczór siedzi sama w łoży, a Ike odesłał ją do mnie. No i ja jej powiedziałem. A teraz ona chce z tobą porozmawiać.

– Po co? Tony, na miłość boską, po co? Coś ty jej naopowiadał? – Zacisnęłam palce na jego ramieniu.

– Nic prócz prawdy... – Wykręciłam mu rękę. Prawda była okropna. Nie chciałam, żeby Kitty wiedziała o moich dreszczach, westchnieniach, wewnętrznym ogniu i strumieniu światła. Uwolniwszy rękaw z mojego uścisku, Tony ujął mnie za rękę. – Powiedziałem tylko, że ją lubisz – odparł z prostotą. – Idziesz czy nie?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. W milczeniu pozwoliłam odciągnąć się od szklanych drzwi z widoczną za nimi panoramą pogrążonego w mroku Canterbury. Minęliśmy sklepione przejście prowadzące na widownię oraz schody na galerię i ruszyliśmy w stronę alkowy położonej w odległym końcu foyer, gdzie na sznurku wisiała tabliczka z napisem „Prywatne”.

Rozdział 2

Raz czy dwa razy byłam z Tonym za kulisami w Palace, ale tylko za dnia, kiedy panowały tam pustka i ciemności. Teraz korytarze, którymi podążaliśmy, były pełne wrzawy i światła. Minęliśmy drzwi prowadzące na scenę: dostrzegłam w przelocie sznury i drabiny oraz ciągi rur gazowych, chłopców w fartuchach i czapkach, którzy podnosili na górę kosze i manewrowali światłami. Owładnęło mną uczucie – w kolejnych latach miało mi towarzyszyć za każdym razem, gdy wchodziłam za kulisy – że wstąpiłam do mechanizmu olbrzymiego zegara, przykurzonej, naoliwionej i niezmordowanej maszyny umieszczonej za elegancką obudową z dala od ludzkich spojrzeń.

Tony poprowadził mnie przejściem, które kończyło się przy metalowych schodach, po czym przystanął, aby przepuścić trzech mężczyzn w kapeluszach i płaszczach, z torbami w rękach. Pomimo chorobliwej szczupłości i zabiedzzonego wyglądu wszyscy trzej nadrabiali miną; zrazu wzięłam ich za komiwojażerów roznoszących próbki towarów. Dopiero kiedy przeszli dalej, żartując po drodze z odźwiernym, zrozumiałam, iż mam przed sobą trio akrobatów opuszczających teatr po wieczornym występie; torby zawierały ich akcesoria. Poczułam nagły lęk, że Kitty Butler okaże się taka jak oni: brzydka, pospolita i nie do rozpoznania. Prawie zawołałam do Tony'ego, że chcę zawrócić, lecz on, nie oglądając się na mnie, zbiegł po schodach, a kiedy go dogoniłam, stał przy drzwiach w korytarzu na dole i naciskał klamkę.

Na drzwiach, które nie wyróżniały się spośród pozostałych niczym szczególnym, widniała mosiężna cyfra 7, bardzo stara i odrapana, przykręcona na wysokości oczu do środkowej listwy. Pod nią umieszczono kartkę z odręcznie napisanym nazwiskiem: „Panna Kitty Butler”.

Siedziała przy niewielkiej toaletce, na wprost zwrócona do drzwi. Na mój widok wstała i wyciągnęła rękę. Była nieco niższa ode mnie, nawet na obcasach, i młodsza, niż się spodziewałam. Może miała tyle lat, co moja siostra, czyli dwadzieścia jeden lub dwa.

– Aha – powiedziała, kiedy Tony zostawił nas same. W jej głosie nadal pobrzmiwała sceniczna maniera. – Moja tajemnicza wielbicielka! Byłam pewna, że przychodzi pani zobaczyć Gully'ego, a potem dowiedziałam się, że zawsze zostaje pani tylko do przerwy. Czy to naprawdę z mojego powodu? Nigdy dotąd nie miałam wielbiciela! – Mówiąc to, swobodnie oparła się o toaletkę wypełnioną szminkami, słoiczkami z kremem, kartami do

gry, niedopałkami oraz brudnymi filizankami po herbacie. Skrzyżowała nogi w kostkach i założyła ręce na piersi. Nadal miała mocno upudrowaną twarz i bardzo czerwone usta, a oczy i rzęsy pokryte warstwą czernidła. Nosiła spodnie i buty od kostiumu, ale zdjęła marynarkę, kamizelkę i, oczywiście, kapelusz. Wykrochmaloną koszulę dodatkowo usztywniała para klamerek; rozpięte guziki ukazywały skraj kremowej koronki.

Odwróciłam wzrok.

– Podoba mi się pani występ – powiedziałam.

– Domyślam się, skoro przychodzi pani tak często!

Odpowiedziałam jej uśmiechem.

– Widzi pani, Tony wpuszcza mnie za darmo...

Moje słowa wzbudziły jej rozbawienie; zobaczyłam różowy język oraz zęby, niezwykle białe na karminowym tle pomalowanych ust. Poczułam, że się rumienię.

– Chciałam tylko powiedzieć – dodałam – że Tony pozwala mi siedzieć w łoży. Ale gdybym musiała, płaciłabym za bilet na galerię. Bardzo lubię pani występ, panno Butler, naprawdę.

Spoważniała i nieznacznie przekrzywiła głowę.

– Tak? – spytała miękko.

– O tak.

– A cóż w nim takiego niezwykłego?

– Podoba mi się pani kostium – odrzekłam po chwili wahania. – I pani piosenki oraz sposób, w jaki pani je śpiewa. Podoba mi się to, jak rozmawia pani z Trickym. I pani... włosy. – Zająknęłam się; teraz ona poczerwieniała. Nastąpiła chwila prawie niezręcznej ciszy, po czym ni stąd, ni zowąd w pobliżu zabrzmiała muzyka, dały się słyszeć brzmienie rogu i pulsowanie bębna oraz ryki widowni niczym szum wiatru w wielkiej muszli. Podskoczyłam, przesuwając wzrokiem po garderobie. Kitty wybuchnęła śmiechem.

– Druga połowa – oznajmiła.

Po pewnym czasie głosy tłumu przycichły, lecz muzyka dalej dudniła i pulsowała jak tętno ogromnego serca.

Kitty odwróciła się od toaletki i zapytała, czy może zapalić. Odrzekłam, że tak, po czym pokręciłam głową, kiedy wygrzebawszy paczkę papierosów spośród brudnych filizanek i kart, wyciągnęła ją w moim kierunku. Na ścianie wisiał gazowy świecznik w drucianej osłonie; przysunęła do niego twarz, żeby przypalić papierosa. Ze skrętem w kąciku warg i zmrużonymi oczami znów wyglądała jak chłopiec, kiedy jednak wyjęła papierosa z ust, widniała na nim czerwona smuga szminki. Kitty cmoknęła.

– Proszę, ja tu stoję zamiast się umyć! Posiedzi pani ze mną? Wiem, że to niezbyt uprzejme, ale muszę szybko się uwinąć, niedługo garderobę zajmie inna dziewczyna...

Usiadłam i patrzyłam, jak smaruje twarz kremem, a następnie wyciera chustką. Robiła to szybko i starannie, acz z pewnym roztargnieniem; w pewnej chwili podchwyciła w lustrze moje spojrzenie.

– Jaki ładny kapelusz! – powiedziała. Potem spytała, skąd znam Tony'ego. Czy to mój

narzeczony?

– Ależ skąd! – zawołałam, wstrząśnięta owym przypuszczeniem. – Spotyka się z moją siostrą. – Na co Kitty wybuchnęła śmiechem. Następnie chciała się dowiedzieć, gdzie mieszkam i co robię.

– Pracuję w gospodzie rybnej – odpowiedziałam.

– Gospodzie rybnej! – Wyraźnie przypadło jej to do gustu. Nie przerywając toalety, zaczęła nucić, po czym zaśpiewała cicho:

*Spacerując Bishop Street,
Spotkałem dziewczynę, tę od ryb...*

Rozmazała szminkę, a potem czernidło.

*Do jej koszyka zajrzałem,
Cóż tam niesie, spytałem...*

Śpiewała dalej; otworzyła szeroko jedno oko, nachylając się do lustra, aby usunąć szczególnie uporczywą plamę czerni. Usta rozchyliły się solidarnie i oddech zmącił błyszczącą taflę. Sprawiała wrażenie, jakby zapomniała o mojej obecności. Spoglądałam na skórę jej twarzy i szyi, uwolnioną spod maski pudru i różu. Miała barwę koronkowej koszulki. Na nosie oraz policzkach, a nawet, jak się okazało, ponad linią warg, widniały liczne piegi. Nie spodziewałam się ich – były urocze i nie wiedzieć czemu, rozczulające.

Wytarła lustro, po czym mrugnęła łobuzersko i zasypała mnie kolejnymi pytaniami. Wymiana zdań z jej odbiciem okazała się łatwiejsza niż rozmowa wprost, dlatego niebawem rozgadałam się na dobre. Zrazu odpowiadała mi w nieco afektowany sposób, jak aktorka, swobodnie i odrobinę prowokująco, wybuchając śmiechem, gdy czerwieniałam albo mówiłam coś niemądrego. Stopniowo jednak, zupełnie jakby wraz z makijażem zdejmowała maskę również z głosu, jej ton nabrał łagodności, wyzbywając się natarczywego i zuchwałego brzmienia. Wreszcie ziewnęła szeroko i przetarła pięściami oczy, przemawiając jak młoda dziewczyna, czysto i melodyjnie, a przy tym swojsko jak ja.

Wbrew moim początkowym obawom zwykły głos, podobnie jak piegi, uczynił ją niepospolitą, ale cudownie, dotkliwie rzeczywistą. Słuchając go, wreszcie pojęłam naturę uczuć targających mną od tygodnia. Jakie to niezwykle, a zarazem zwyczajne, pomyślałam. Zakochałam się w niej.

Niebawem twarz Kitty była czysta, a papieros wypalony do cna. Wówczas wstała i przeczesła palcami włosy.

– Muszę się przebrać – powiedziała prawie nieśmiało.

Zrozumiawszy aluzję, skierowałam się ku wyjściu. Odprowadziła mnie do drzwi.

– Dziękuję za odwiedzinę, panno Astley – pożegnała się; znała moje nazwisko od Tony'ego.

Wyciągnęła rękę, a ja uniosłam swoją, po czym przypomniawszy sobie rękawiczkę

(również ozdobioną lawendową wstążką, żeby pasowała do kapelusza), zdarłam ją pospiesznie i podałam Kitty obnażone palce. Ponownie stała się wytwornym chłopcem ze sceny. Stała prosto jak struna, a następnie wykonała lekki ukłon i podniosła moją dłoń do ust.

Poczerwieniałam z zadowolenia. Naraz ujrzałam jej rozdęte nozdrza i zrozumiałam, co poczuła: gryzącą woń skorupiaków i ryb, którą skóra moja i całej rodziny przesiąkła tak doszczętnie, że przestaliśmy ją zauważać. A ja podtykam rękę pod nos Kitty Butler! Myślałam, że ze wstydu zapadnę się pod ziemię.

Chciałam wyrwać dłoń, ale Kitty przytrzymała ją mocno przy ustach, śmiejąc się bez troski. Spoglądała na mnie nieodgadzionym wzrokiem.

– Pachnie pani – zaczęła powoli i z namysłem – jak...

– Jak śledź! – uzupełniłam gorzko. Policzki płonęły mi żywym ogniem, pod powiekami czułam piekące łzy. Na widok mojego zakłopotania chyba zrobiło jej się przykro.

– Wcale nie jak śledź – zaproponowała łagodnie. – Raczej jak... jak syrena. – I ucałowała moją rękę. Tym razem nie protestowałam; przestałam się rumienić i spojrzałam na Kitty z uśmiechem.

Czując mrowienie w palcach, włożyłam rękawiczkę.

– Odwiedzi mnie pani ponownie, panno Syreno? – zapytała. Zabrzmiało to lekko, lecz o dziwo, zdawała się mówić poważnie. Ależ tak, odpowiedziałam, z chęcią, na co z zadowoleniem skinęła głową. Następnie ukłoniła się raz jeszcze i zamknęła drzwi.

Stałam jak zaczarowana, mając przed oczami mosiężną siódmkę oraz wizytówkę z napisanym odręcznie nazwiskiem: „Panna Kitty Butler”. Nie mogłam ruszyć się z miejsca, jakbym naprawdę była syreną i zamiast nóg miała ogon uniemożliwiający chodzenie. Pot w połączeniu z dymem papierosowym sprawił, że rycynus spłynął mi do oczu, drażniąc je dotkliwie. Uniosłam rękę – tę, którą pocałowała – po czym przez rękawiczkę powąchałam palce i znów oblałam się rumieńcem.

Z garderoby nie dochodziły żadne dźwięki. Naraz usłyszałam stłumiony głos Kitty. Ponownie śpiewała piosenkę o handlarce ryb i koszyku. Słowa brzmiały urywanie; rozumiałam, że śpiewając, rozsznurowuje buty, ściąga klamerki usztywniające koszulę, może zrzuci spodnie...

I dzieliła mnie od tego wszystkiego tylko cienka bariera drzwi!

Pod wpływem owej myśli odzyskałam nareszcie władzę w nogach i wyszłam.

Oglądanie panny Butler z widowni po tym, jak ze mną rozmawiała, uśmiechała się i całowała moją rękę okazało się doświadczeniem zgoła osobliwym, zarazem mniej i bardziej ekscytującym niż poprzednio. Jej cudowny głos, szyk, fanfaronada: czułam się, jakbym dostąpiła swoistego wtajemniczenia i czerwieniałam z radości, kiedy rozentuzjzmowany tłum witał ją okrzykami lub wywoływał na bis. Nie rzucała mi więcej róż, wędrowały na widownię jak przedtem. Mimo to wiem, że mnie dostrzegała, bo podczas występu niekiedy czułam na sobie jej wzrok, na pożegnanie zaś następował zamaszty ukłon dla publiczności oraz mrugnięcie, cień uśmiechu lub dyskretne skinienie

głową przeznaczone tylko dla mnie.

Lecz mimo radości doskwierało mi poczucie pewnego niezadowolenia. Zajrzałam pod maskę i poza sceniczną manierę Kitty, dlatego obserwowanie jej występu z pozycji zwykłego widza kosztowało mnie wiele wysiłku. Pragnęłam znów ją odwiedzić, a jednak lęk mi na to nie pozwalał. Zaprosiła mnie, nie precyzując daty kolejnej wizyty, a ja byłam wtedy chorobliwie bojaźliwa i nieśmiała. Dlatego choć przyjeżdżałam do teatru, gdy tylko czas mi na to pozwalał, oglądałam jej występ, a potem biłam brawo, przyjmując ukradkowe dowody zainteresowania, upłynął cały tydzień, nim ponownie odważyłam się pójść za kulisy i z drżeniem serca stanąć na progu jej garderoby.

Kitty powitała mnie jednak z taką życzliwością, tak szczerze złążała za opieszałość, a później rozmawiałyśmy tak swobodnie, że moje wątpliwości rozwiały się niczym dym. Utwierdzona w przekonaniu o jej sympatii, ponownie zajrzałam do garderoby, a potem następny i kolejny raz. Jeździłam tylko do Palace i nie spotykałam się z nikim – ani z Freddym, ani z kuzynostwem, ani nawet z Alice, z którą mijałam się w ciągu dnia – prócz Kitty Butler. Matka jeła czynić mi z tego powodu wyrzuty, lecz gdy usłyszała, że zostałam zaproszona za kulisy przez pannę Butler i przyjęta przez nią nad wyraz życzliwie, była pod wrażeniem. Sumiennie wypełniałam swoje kuchenne obowiązki, filetowałam ryby, myłam kartofle, siekałam pietruszkę i wrzucałam do wrzątku kraby oraz homary tak szybko, że nie wystarczało mi czasu na piosenkę, którą zagłuszyłabym ich piski. Alice zauważyła uszczypliwie, że fascynacja pewną osobą w teatrze przytępiła mi umysł, ale tak naprawdę w owym czasie niewiele ze sobą rozmawiałyśmy. Na zakończenie każdego dnia pracy przebierałam się w szalonym pośpiechu i przełknąwszy kolację, biegłam na pociąg do Canterbury, po czym każda wyprawa do Palace znajdowała finał w garderobie Kitty Butler. Spędzałam w towarzystwie Kitty więcej czasu niż na widowni, i częściej widywałam ją bez kostiumu oraz makijażu niż w nich.

W miarę rosnącej pomiędzy nami zażyłości stawała się coraz bardziej szczerą i swobodną.

– Musisz nazywać mnie Kitty – oświadczyła na samym początku. – A ja będę mówić na ciebie... jak? Nie „Nancy”, wszyscy tak cię nazywają. Jak wołają na ciebie w domu? „Nance”? Czy może „Nan”?

– Nance – odpowiedziałam.

– Wobec tego ja będę mówić „Nan”. Mogę?

Czy może?! Skinęłam głową z nedorzecznym uśmiechem: dla niej gotowa byłam wyrzec się starego imienia albo w ogóle stać się bezimienną.

I tak wkrótce słyszałam tylko: „Nan” to, albo „o Jezu, Nan” tamto oraz powtarzane co rusz: „bądź tak miła, Nan, i przynieś mi pończochy...”. Nadal wstydziła się rozbierać przede mną, lecz któregoś wieczoru zastałam w garderobie mały, rozkładany parawan, za którym stawała, nie przerywając rozmowy, i kolejno wręczała mi poszczególne fragmenty męskiej odzieży. Następnie podawałam jej damskie fatałaszkę, które wieszała na kołku przed występem. Uwielbiałam jej usługiwać. Drżącymi palcami wyglądałam i składałam

kostium, ukradkiem przyciskając do policzka jego części: wykrochmalone płótno koszuli, jedwab kamizelki i pończoch oraz wełnę spodni i surduta. Wszystkie trafiały do mnie rozgrzane ciepłem jej ciała i przesiąknięte szczególnym zapachem, naładowane osobliwą energią, która sprawiała, iż w moich rękach drżały bądź (jak mi się zdawało) emanowały swoistym blaskiem.

Halki i spódnice Kitty były chłodne i nieruchome; mimo to rumieniłam się na myśl o miękkich i tajemnych miejscach, które się pod nimi znajdują, rozgrzeją i zwilgotnieją. Za każdym razem gdy wychodziła z za parawanu w dziewczęcym stroju, drobna, smukła i kształtna, ze sztucznym warkoczem doczepionym do uroczych postrzępionych końców czupryny, doznawałam tego samego uczucia: ogarniała mnie fala żalu i rozczarowania, która natychmiast przechodziła w rozkosz i tkliwość, pragnienie dotyku, uścisku oraz pieśczoły, tak przemożne, że musiałam odwracać się lub zaciskać ręce w obawie, że pofruną ku niej i zamkną ją w objęciach.

Radziłam sobie z jej kostiumami tak sprawnie, iż zaproponowała, bym przychodziła do garderoby przed występem, ażeby pomóc jej w przygotowaniach jak garderobiana z prawdziwego zdarzenia. Powiedziała to z wystudiowaną nonszalancją, jakby w obawie, że odmówię. Cóż, przecież nie mogła wiedzieć, jak bardzo dłużyły mi się godziny spędzane z dala od niej... I tak przestałam bywać na widowni, tylko co wieczór, na pół godziny przed występem udawałam się za kulisy i pomagałam jej wkładać strój, który odbierałam od niej poprzedniego wieczora. Trzymałam puderniczkę, podczas gdy Kitty pudrowała sobie piegi, zwilżałam szczotki, którymi wygładzała zmierzwiłone włosy i wkładałam różę w butonierkę.

Za pierwszym razem podeszłam aż do samej sceny i stanąwszy z boku, ze zdumieniem śledziłam poczynania ludzi od świateł, którzy spacerowali po belkach u sufitu, zwinni jak akrobaci. Widownia znajdowała się poza zasięgiem mego wzroku, podobnie jak scena: widziałam tylko kawał zakurzonej podłogi oraz chłopca po przeciwległej stronie; stał z ręką na korbce od liny, która opuszczała kurtynę. Kitty denerwowała się, podobnie jak wszyscy artyści przed występem. Udzieliło mi się jej napięcie, kiedy jednak wkroczyła z powrotem za kulisy przy wtórze tupania, krzyków i owacji, triumfowała. Prawdę powiedziawszy, nie bardzo ją wtedy lubiłam. Chwytała mnie za rękę, patrząc, jakbym była ze szkła. Zachowywała się jak odurzona narkotykiem, oszołomiona pierwszym uściskiem, a ja stałam u jej boku, niewzruszona i trzeźwa, zazdrosna o tłum, który był dla niej niczym kochanek.

Od tamtej pory spędzałam samotnie ten czas w garderobie Kitty, nasłuchując dudnienia muzyki dobiegającej sponad sufitu i ścian, z dala od uciążliwych owacji. Przygotowywałam dla niej herbatę – lubiła taką zaparzaną w imbryku, z mlekiem skondensowanym, o barwie orzecha włoskiego i gęstą jak syrop. Zmiana tempa podpowiadała mi, kiedy nastawić czajnik, tak aby herbata była gotowa na koniec występu. Czekając na Kitty, wycierałam toaletkę, czyściłam popielniczki i odkurzałam lustro, robiłam też porządek w starym, spłowiałym pudełku od cygar, gdzie trzymała przybory do

makijażu. Owe drobne czynności były wyrazem mojej miłości i dostarczały mi tak przemożnej rozkoszy, że niemal wstydziłam się je wykonywać. Podczas gdy Kitty płała się w aplauzie tłumu, ja krążyłam po garderobie i oglądałam jej rzeczy albo pieściłam je, czy też prawie pieściłam, zatrzymując dłoń o cal nad nimi, jakby oprócz powierzchni posiadały namacalną aurę. Kochałam wszystko, co stanowiło jej własność: halki i perfumy, perły, które zapinała w uszach, ale również włosy na grzebieniach, rzęsy przyklejone do czernidła, a nawet ślady palców i ust na niedopałkach. Świat zdawał się odmieniony, odkąd wstąpiła weń Kitty Butler. Przedtem nie było w nim nic niezwykłego; obecnie mieścił w sobie elektryczne sfery rozbrzmiewające muzyką bądź pulsujące światłem.

Po jej powrocie w garderobie panował nienaganny porządek. Jak wspomniałam, herbata była gotowa; niekiedy czekał też zapalony papieros. Wreszcie wzrok Kitty przytomniał, zaczęła tryskać energią i humorem.

– Ależ tłumi! – mówiła. – Nie chcieli mnie wypuścić! – Albo: – Strasznie powolni, Nan. Zaśpiewałam do połowy „Pijcie zdrowie, chłopcy”, nim zrozumieli, że jestem dziewczyną!

Potem rozluźniała krawat i powiesiwszy surdut oraz kapelusz, piła herbatę i paliła papierosa. A że występ rozwiązywał jej język, usta jej się nie zamykały. Nasłuchiwałam pilnie i tym sposobem poznałam kawałek historii życia Kitty.

Urodziła się w Rochester, w rodzinie artystów estradowych. Matka (o ojcu nie wspominała) odumarła ją we wczesnym dzieciństwie, w wyniku czego dziewczynka przeszła pod opiekę babki; nie ma rodzeństwa ani, o ile jej wiadomo, żadnych kuzynów. Pierwsze kroki stawiała na scenie w wieku dwunastu lat jako „Kate Straw – mały śpiewający fenomen”. Odniosła pewne sukcesy, występując w podrzędnych kabarecikach, gospodach oraz mniejszych rewiach i teatrach. Ale, jak sama przyznała, był to nędzny żywot.

– Wkrótce przestałam być dzieckiem – dodała. – W każdym miejscu ustawiał się ogonek dziewcząt takich jak ja, czasami śmielszych i ładniejszych albo po prostu głodniejszych, gotowych rzucić się dyrektorowi na szyję w zamian za obietnicę zatrudnienia na cały sezon, tydzień lub choćby wieczór.

Po śmierci babki przyłączyła się do trupy tanecznej i jeździła po nadmorskich miasteczkach Kentu i południowego wybrzeża, gdzie na przystaniach dawała trzy występy dziennie. Na wspomnienie owego okresu marszczyła brwi, a jej głos nabierał gorzkich, znużonych tonów: wtedy podpierała brodę rękami i przymykała oczy.

– Oj, ciężko było – mówiła. – Bardzo ciężko... Człowiek nie mógł się z nikim zaprzyjaźnić, bo nigdzie nie zagrzewał miejsca. Gwiazdy albo zadzierały nosa, albo bały się, że ukradniesz im jakiś pomysł. A okrutna publiczność nieraz potrafiła doprowadzić do łez... – Myśl o płaczącej Kitty sprawiała, że i mnie łzy napływały do oczu; na widok mego poruszenia prostowała się z uśmiechem i puszczając oko, dorzucała ze swym najlepszym, arystokratycznym akcentem: – Te dni wszelako mam już za sobą i fortuna mi sprzyja. Odkąd zmieniłam nazwisko i przywdziałam męski strój, zyskałam miłość całego świata, a szczególnie Tricky’ego Reevesa, który hojnie mnie wynagradza! – Tutaj obie

uśmiechałyśmy się szeroko, wiedziałyśmy bowiem doskonale, że gdyby była prawdziwym dandysem, pensja Tricky'ego nie zapewniłaby jej nawet codziennej porcji szampana. Mój uśmiech był jednak podszyty melancholią, bo wiedziałam też, że termin kontraktu Kitty upływa wraz z końcem sierpnia. Potem miała szukać szczęścia w innym teatrze, może w Margate albo Broadstairs, jeśli dostanie angaż. Nie mogłam myśleć o tym, co zrobię, kiedy wyjedzie.

Nie jestem pewna, jak rodzina traktowała moje wycieczki za kulisy oraz świeżo nabyty status przyjaciółki i garderobianej panny Butler. Jak wspomniałam, wywarło to na nich pewne wrażenie, choć nie kryli niepokoju. Świadomość, że to nie młodzieńcze oczarowanie, tylko prawdziwa przyjaźń każe mi trwonić wszystkie pieniądze na bilety do Canterbury, sprawiła im niejaką ulgę. Czułam jednak, że zapytują sami siebie, jakaż to zażyłość może łączyć ładną i bystrą artystkę rewiową z dziewczyną z plebsu, darzącą ją tak niekłamany podziwem. Kiedy wyznałam, że Kitty nie ma narzeczonego (co wyszło na jaw na samym początku jej opowieści), Davy zaproponował, bym zaprosiła ją do domu i przedstawiła swemu przystojnemu bratu, ale chciał pewnie tylko dokuczyć Rhodzie, która przysłuchiwała się rozmowie. Gdy wspomniałam o sprzątaniu w garderobie i parzeniu herbaty, matka zmrużyła oczy.

– Wygląda na to, że ta pannica ładnie cię wykorzystuje – zauważyła. – W domu też miałabyś co robić...

Istotnie, zaniedbałam swoje obowiązki kosztem wypraw do Canterbury. W znacznej mierze spadły one na moją siostrę, która jednak rzadko się skarżyła. Rodzice pewnie składali to na karb jej wielkoduszności. Prawda wyglądała tak, że Alice jak ognia unikała jakiegokolwiek wzmianki o Kitty, i spośród wszystkich członków rodziny to ona czuła się najbardziej zażenowana sytuacją. Nie wspomniałam jej więcej o trawiącej mnie namiętności. Lecz obserwowała mnie przecież, kiedy leżałam w łóżku: to właśnie tam zakochani snują swe marzenia, w łóżku, w ciemności, która skrywa rumieniec na policzkach, gdy puszczasz wodze skrępowanej za dnia wyobraźni i pozwalasz uczuciu zapłonąć mocniejszym blaskiem.

Jakże rumieniłaby się Kitty, znając rolę, jaką odgrywała w mych najśmielszych snach, wiedząc, jak bezwstydnie wykorzystuję jej wspomnienie na własny użytek! Każdego wieczoru w teatrze całowała mnie na pożegnanie: w moich marzeniach jej wargi pozostawały na moim policzku, czułe i gorące, wędrowały na brew, ucho, szyję, usta... Zwykle stawałam blisko niej, by zapiąć kołnierzyk lub strzepnąć kłapy surduta; w marzeniach zaś dawałam upust skrywanemu pragnieniu, aby przycisnąć wargi do jej włosów i wsunąć ręce pod surdut, tam gdzie piersi, ukryte pod sztywnym gorsem koszuli, unosiły się na spotkanie moich dłoni...

I to wszystko u boku mojej siostry! Z oddechem Alice na policzku, jej rozgrzanyimi stopami przyciśniętymi do moich, pod baczny i podejrzliwym spojrzeniem, w którym odbijało się światło gwiazd.

Ona jednak milczała i nie zadawała żadnych pytań. Natomiast dla reszty rodziny moja

przyjaźń z Kitty stopniowo stała się źródłem nie zdziwienia, lecz prawdziwej dumy. Słyszałam, jak ojciec zapytuje gości:

– Byliście w Palace? Nasza najmłodsza przyjaźni się z Kitty Butler, gwiazdą spektaklu...

Pod koniec sierpnia, kiedy interes ponownie zaczął się rozkręcać, ojciec zaczął naciskać, abym zaprosiła Kitty do domu i przedstawiła rodzinie.

– Tyle opowiadasz o tej waszej przyjaźni – rzucił kiedyś przy śniadaniu. – Poza tym... chyba nie będzie nic złego, jeśli choć raz spróbuje prawdziwej zupy z ostryg. Lepiej ją zaproś, zanim wyjedzie.

Pomysł zaproszenia Kitty na rodzinny obiad wydał mi się okropny, a rzucona lekkim tonem uwaga o jej rychłym wyjeździe sprawiła, że w odpowiedzi burknęłam coś oschle. Niebawem matka odwołała mnie na stronę. Czyżby ojcowskie progi były dla panny Butler zbyt niskie, spytała, skoro tak bardzo wzbraniam się przed jej zaproszeniem? Czyżbym wstydziła się rodziców i ich zajęcia? Jej słowa wprawiły mnie w przygnębienie; owego wieczoru w garderobie nie przejawiałam ochoty do rozmowy, a gdy Kitty spytała o powód mego złego humoru, przygryzłam wargę.

– Rodzice chcą, żebym cię zaprosiła jutro na podwieczorek – powiedziałam. – Nie musisz przyjeżdżać, powiem, że jesteś zajęta albo że źle się czujesz. Ale obiecałam im, że cię zapytam, dlatego to robię – uzupełniłam markotnie.

Ujęła mnie za rękę.

– Ależ ja bardzo chętnie przyjadę, Nan! – odrzekła ze zdumieniem. – W Canterbury mam tylko panią Pugh i Sandy’ego! – Pani Pugh była gospodynią Kitty, a Sandy mieszkał na tym samym piętrze: grał w rewiowej orkiestrze, ale zaglądał do kieliszka, przez co czasem przynudzał i trzymały się go różne głupoty. – Jak miło będzie znów usiąść w normalnym salonie – ciągnęła Kitty – z normalną rodziną, zamiast w pokoju z jednym łóżkiem, brudnym chodnikiem i skrawkiem gazety zamiast obrusa! I miło będzie zobaczyć, gdzie mieszkasz i pracujesz, wsiąść w twój pociąg, poznać ludzi, którzy cię kochają i mają cię dla siebie przez cały czas...

Ów przejaw sympatii z jej strony sprawił, że nerwowo przełknęłam ślinę, dziś jednak nie miałam czasu nawet na rumieniec, gdyż nim Kitty skończyła mówić, rozległo się pukanie: gwałtowne, energiczne i zdecydowane. Moja przyjaciółka w zdumieniu uniosła głowę i zamrugała.

Ja również podskoczyłam na krześle. Zazwyczaj do garderoby nie zaglądał nikt prócz inspicjenta, który ponaglał Kitty do wyjścia na scenę, oraz Tony’ego, który czasami przychodził życzyć nam dobrej nocy. Jak już wspomniałam, Kitty nie miała narzeczonego ani żadnych „wielbicieli”; wyglądało na to, że nie zaprzyjaźniła się z nikim oprócz mnie, co było mi bardzo na rękę. Patrząc, jak podchodzi do drzwi, przygryzłam wargę. Chciałabym móc powiedzieć, że czułam, co się święci, ale to nieprawda. Czułam jedynie pewne rozgoryczenie, że ktoś kradnie nam cenne – i jakże nieliczne! – minuty, które miałyśmy tylko dla siebie.

Przybysz okazał się mężczyzną, najwyraźniej nieznanym Kitty, która powitała go

uprzejmie, acz dość nieufnie. Miał na głowie jedwabny kapelusz; na nasz widok zdjął go i przycisnął do piersi.

– Panna Butler, jak mniemam – powiedział, a gdy potwierdziła, skłonił się głęboko: – Walter Bliss. Do pani usług. – Mówił głębokim i miłym głosem jak Tricky.

Wyciągnął z kieszeni bilecik i podał Kitty, która wydała lekki okrzyk zdumienia i przyjrzała mu się uważniej. Był bardzo wysoki, nawet bez kapelusza, i ubrany zgodnie z najnowszą modą w kraciaste spodnie i fantazyjną kamizelkę. Na brzuchu dyndał mu złoty łańcuszek od zegarka, gruby jak szcurzy ogon, na palcach zaś połyskiwały złote pierścienie. Miał dużą głowę z włosami o rudawym odcieniu oraz tej samej barwy bokobrody biegnące w imponujący i dość komiczny sposób od górnej wargi aż do uszu, a także brwi i włosy wystające z nosa. Jego skóra była gładka i lśniąca jak u chłopca, oczy zaś niebieskie niczym bławatki.

Gdy Kitty zwróciła mu wizytówkę, zapytał, czy mogliby chwilę porozmawiać. Ustąpiła na bok, by wpuścić go do środka. Niewielkie pomieszczenie wydało się nagle duszne i zatłoczone. Niechętnie wstałam z krzesła i włożywszy kapelusz oraz rękawiczki oznajmiłam, że już pójdę. Kitty dokonała prezentacji.

– To moja przyjaciółka, panna Astley. – Tak właśnie powiedziała, co nieco poprawiło mi humor, a pan Bliss ujął moją rękę.

– Powiedz matce – rzuciła Kitty, odprowadzając mnie do drzwi – że przyjadę jutro, o której zechce.

– Przyjedź o czwartej – odpowiedziałam.

– Niech będzie czwarta! – Przelotnie uściśnęła mi palce i ucałowała mnie w policzek.

Przez jej ramię zobaczyłam, jak elegancki dżentelmen gładzi bokobrody i dyskretnie odwraca oczy.

Trudno wyrazić, jak sprzeczne uczucia targały mną owego popołudnia, kiedy Kitty przyjechała do Whitstable z wizytą. Znaczyła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny na świecie; świadomość, że miałam ją u siebie gościć i przedstawić rodzinie, stanowiła wielką radość, a zarazem nieznośny ciężar. Kochałam ją i pragnęłam, by przyjechała, lecz musiałam to zataić przed wszystkimi, nawet przed nią samą. Wyobrażałam sobie, jakąż męczarnią będzie siedzieć obok niej przy ojcowskim stole, z owym niemym uczuciem trawiącym mnie niczym gorączka. Będę musiała uśmiechać się, słysząc pytanie matki, dlaczego Kitty nie ma narzeczonego, a także wówczas gdy Davy weźmie Rhodę za rękę lub Tony uszczypnie pod stołem Alice w kolano, podczas gdy moja ukochana będzie siedzieć tuż obok, daleka i nieosiągalna.

Pozostawała również kwestia naszego domu, zagraconego, odrapanego i przesiąkniętego niezaprzeczalnie rybim zapachem. Czy Kitty nie uzna go za odrażający? Czy zwróci uwagę na sfatygowane narzuty, smugi na ścianach i zapadnięte fotele, czy zauważy zdeptane chodniki i zawieszony nad kominkiem szal, który łopotał w przeciągu, przez co wystrzępił się i wypłowił do cna? Dorastałam wśród tych przedmiotów i przez osiemnaście lat nie budziły moich zastrzeżeń, teraz jednak ujrzałam je takimi, jakie naprawdę były, zupełnie

jakbym spojrzała na wszystko oczami Kitty.

Rodzina także objawiła mi się w zgoła nowym świetle. Zobaczyłam ojca, łagodnego, lecz jakże mało światowego. Czy Kitty uzna go za nudziarza? Pomyślałam o Davym i jego niewyparzonym języku, o Rhodzie, paskudnej Rhodzie, która z całą pewnością będzie sobie za wiele pozwalać. Co Kitty o nich pomyśli? Co pomyśli o Alice, do niedawna mojej najdroższej przyjaciółce? Czy zauważy jej chłód i weźmie go do siebie? A może (ta myśl była okropna) Alice przypadnie jej do gustu bardziej niż ja? I zacznie żałować, że to nie jej rzuciła różę, nie ją zaprosiła do garderoby i nazwała syreną...?

Czekając na nią tamtego popołudnia, popadałam na przemian w euforię, przygnębienie i rozpacz. Narzekałam na sposób nakrywania do stołu, naskakiwałam na Davy'ego i sprzeczałam się z Rhodą, tudzież obrywałam od wszystkich za marudzenie: jednym słowem zamieniłam ów pozornie miły dzień w istną torturę dla wszystkich. Umyłam włosy, które po wyschnięciu ułożyły się całkiem nie po mojej myśli, i krzywo przyszyłam falbankę do najlepszej sukni. Wreszcie stanęłam na szczycie schodów, usiłując przypiąć oporny jedwab szpilką; byłam bliska łez, gdyż pociąg Kitty miał przyjechać lada chwila i musiałam biec na stację. Naraz z kuchni wyszedł Tony z butelkami piwa. Stał w korytarzu, obserwując moje starania. Powiedziałam mu, żeby sobie poszedł, lecz tylko zrobił zadowoloną minę.

– Zatem nie chcesz, żebym ci przekazał nowinę.

– Jaką nowinę? – Falbanka leżała w końcu jak trzeba. Sięgnęłam po kapelusz wiszący na kołku. Tony milczał z głupawym uśmiechem na ustach. Tupnęłam nogą. – O co chodzi, Tony? Muszę pędzić, a ty mnie zatrzymujesz.

– Cóż, to nic takiego. Pewnie panna Butler sama ci powie...

– Co mi powie? – Zamarłam z kapeluszem w jednej, a szpilką w drugiej dłoni. – Co mi powie, Tony?

Zerknął przez ramię i zniżył głos.

– Tylko nikomu ani słowa, to wiadomość nieoficjalna. Twoja przyjaciółka Kitty ma opuścić Palace za jakiś tydzień, prawda?

Skinęłam głową.

– Rzecz w tym, że ona nigdzie nie wyjedzie, przynajmniej przez jakiś czas. Stryj przedłużył jej kontrakt aż do Nowego Roku. Twierdzi, że jest za dobra, by stracić ją na rzecz Broadstairs.

Do Nowego Roku! Od tego momentu dzieliły nas długie tygodnie i miesiące; ujrzałam, jak rozsnuwa się przede mną obietnica wieczorów w garderobie Kitty, marzeń i pożegnalnych pocałunków.

Chyba krzyknęłam, a Tony z satysfakcją pociągnął łyk z butelki. Przyszła Alice, dopytując, o czym tak szepczemy na schodach. Nie czekając na odpowiedź Tony'ego, zbiegłam po schodach i jak burza wypadłam na ulicę, po czym popędziłam na stację z kapeluszem podskakującym na głowie, gdyż koniec końców zapomniałam go porządnie przypiąć.

Nie oczekiwałam, że Kitty zjawi się w Whitstable w cylindrze i lawendowych

rękawiczkach, kiedy jednak wyszła z pociągu i zobaczyłam, że ma na sobie suknię i drepcze dziewczęcym kroczkiem z warkoczem przypiętym z tyłu głowy i parasolką opartą na ramieniu, poczułam lekkie ukłucie zawodu. Wnet jednak zalała mnie fala tkliwości i dumy, ponieważ na tle zakurzonego peronu moja przyjaciółka wyglądała pięknie i nadzwyczaj szykownie. Na powitanie ucałowała mnie w policzek i ująwszy moje ramię, dała się poprowadzić w kierunku domu.

– No proszę! – zawołała. – A więc tu przyszłaś na świat i dorastałaś?

– O tak! Spójrz, ten budynek przy kościele to nasza stara szkoła. A tam... Widzisz dom z rowerem stojącym przy furtce? Tam mieszkają moi kuzyni. Popatrz na ten schodek, kiedyś się na nim przewróciłam i rozciąłam sobie brodę; siostra przez całą drogę do domu przykładała mi chusteczkę... – Gadałam jak najęta, wskazując to tu, to tam, a Kitty kiwała głową, przygryzając wargę.

– Szczęściara z ciebie! – oznajmiła wreszcie i wydało mi się, że wzdycha.

Wbrew moim obawom popołudnie okazało się bardzo przyjemne. Kitty uścisnęła wszystkim ręce, darząc każdego z osobna miłym słowem. „Ty pewnie jesteś Davy i pracujesz na kutrze” i „Ty jesteś Alice, o której Nancy tak często opowiada i z której jest taka dumna. Teraz rozumiem dlaczego”. Słyszając te słowa, moja siostra poczerwieniała i zmieszana utkwiała wzrok w podłódze.

Ojcu również okazała wiele życzliwości.

– No, no, panno Butler – powiedział, ujmując jej dłoń i wskazując na suknię. – Cóż za miła odmiana. – A gdy Kitty przytaknęła z uśmiechem, dodał, mrugając: – Proszę nie wiać mi tego za złe, ale tak jest lepiej. – Na co odrzekła ze śmiechem, że przywykła do takich opinii z ust dżentelmenów i bynajmniej nie poczytuje ich za afront.

Krótko mówiąc, była tak ujmująca, tak słodko i rozumnie odpowiadała na wszelkie zadawane jej pytania, że nikt – nawet Alice czy złośliwa Rhoda – nie mógł jej niczego zarzucić. Ja zaś, obserwując, jak przez okno zerka na zatokę, nachyla głowę i uważnie słucha opowieści mego ojca bądź chwali matkę za pomysłowe urządzenie pokoju (podziwiała nawet szal nad kominkiem!), zakochałam się w niej od nowa. Moje uczucia dodatkowo podsyciała poufna wiadomość o przedłużeniu kontraktu.

Wkrótce usiedliśmy do podwieczorku, a Kitty zachwyciła się nakryciem stołu. Zgodnie z tradycją przykryto go płóciennym obrusem i ustawiono na nim małą lampkę spirytusową z talerzykiem, na którym leżał kawałek masła, czekając na roztopienie. Po obu stronach lampki stały po dwie lub trzy tacki z chlebem, ćwiartkami cytryn oraz pojemniki z przyprawami i octem. Przy każdym talerzu leżały widelec, łyżka, serwetka oraz rzecz najistotniejsza: nóż do ostryg, pośrodku stołu zaś znalazła się baryłka z ostrygami przewiązana na górze białą serwetką, z pokrywą uchyloną na szerokość palca, tak aby – używając ojcowskiego określenia – ostrygi mogły „rozprostować kości”, nie zdołały jednak otworzyć muszli i stracić aromatu. Stłoczyliśmy się przy stole całą ósemką, zajmując krzesła doniesione zawczasu z gospody. Kiedy matka ponagliła mnie, bym zrobiła Kitty nieco więcej miejsca, przesunęłam się kawałeczek, nie odrywając stopy od jej buta i

czując na nodze ciepło bijące od jej ciała.

Ojciec rozdzielił ostrygi, a matka nalała piwo i lemoniadę. Kitty ujęła muszlę jedną ręką, drugą sięgnęła po nóż i niewprawnie zabrała się do otwierania. Na ten widok ojciec aż krzyknął.

– Ejże, chyba zapomnieliśmy o dobrym wychowaniu! Davy, bierz nóż i pokaż panience, jak to zrobić, bo jeszcze się, nie daj Bóg, skaleczy.

– Ja to zrobię – powiedziałam szybko i uprzedzając brata, odebrałam Kitty ostrygę i nóż.

– Popatrz uważnie – zaczęłam tłumaczyć. – Musisz przytrzymać muszlę płaską stroną do góry, o tak. – Zademonstrowałam, a Kitty obrzuciła ostrygę nieufnym spojrzeniem. – Potem bierzesz nóż i nie wkładasz ostrza pomiędzy połówki, tylko w zaworę, o tutaj. Mocno trzymasz i podważasz. – Lekko przekręciłam nóż i muszla się otworzyła. – Nie wolno nią potrząsać – ciągnęłam – gdyż jest pełna soku. Uważaj, żeby go nie wylać, bo to najlepsza część. – Ostryga tkwiła we wnętrzu muszli, śliska i obnażona. – To tutaj – wyjaśniłam, wskazując nożem – nosi nazwę brody. Trzeba to usunąć. – Nieznaczny ruch nożem i broda została rozerwana. – Teraz musisz uwolnić ostrygę... A potem ją zjeść. – Ostrożnie wsunęłam skorupę do ręki Kitty, czując ciepły dotyk jej palców.

Nasze dłonie się zetknęły. Kitty podniosła muszlę do ust, po czym utkwiała we mnie nieruchome spojrzenie.

Mimowolnie zniżyłam głos; teraz uświadomiłam sobie, że wszyscy dookoła umilkli, słuchając moich słów. Przy stole panowała niezmacona cisza. Oderwawszy spojrzenie od Kitty, ujrzałam krąg zwróconych ku mnie twarzy i poczerwieniałam.

Ojciec odezwał się pierwszy bardzo donośnym głosem.

– Tylko proszę nie przełykać w całości, panno Butler – powiedział. – Jak turyści. Nie pod tym dachem. Niech pani ją porządnie przeżuje.

Powiedział to bardzo przyjaźnie. Kitty z rozbawieniem zajrzała do muszli.

– Czy ona naprawdę żyje? – zapytała.

– A jakże – odparł Davy. – Jak panienka pilnie nadstawi uszu, to usłyszysz jej wrzaski.

Rhoda i Alice zaprotestowały zgodnym chórem.

– Jeszcze nam się dziewczyna pochoruje – skarciła go matka. – Proszę nie zwracać na niego uwagi, panno Butler. Niech pani je ze smakiem.

Kitty posłusznie zastosowała się do tej prośby. Nie oglądając się więcej na mnie, wlała zawartość muszli do ust, przeżuła szybko i dokładnie, po czym połknęła. Następnie otarła usta serwetką i uśmiechnęła się do ojca.

– A teraz proszę mi powiedzieć – zagadnął ją konspiracyjnym tonem – czy kiedykolwiek kosztowała pani taką ostrygę?

Kitty oświadczyła, że nie, Davy zaczął wiwatować, po czym przez chwilę słychać było jedynie ciche odgłosy towarzyszące zwykle spożywaniu smakowitych ostryg: zgrzyt muszli, kłaskanie rozrywanych bród oraz chlupot rozlewanych trunków.

Z resztą muszli Kitty poradziła sobie sama.

– Spójrz na tego! – zawołała po spałaszowaniu z pół tuzina ostryg. – Ależ z niego

wielkolud! – Uważniej przyjrzała się zawartości muszli. – Powiedziałam: on. Skoro mają brody, to chyba wszystkie są rodzaju męskiego?

Ojciec potrząsnął głową, nie przestając zawzięcie przeżuwać.

– Ależ skąd, panno Butler, w żadnym razie. Proszę nie dać się zwieść. Ostryga to zaiste osobliwe stworzenie, raz ona, raz on. Regularny morfodyta, ot co!

– Naprawdę?

Tony postukał w swój talerz.

– Po części sama jesteś taką ostrygą, Kitty – rzucił filuternie.

Zrobiła trochę niepewną minę, po czym na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Na to wygląda – odpowiedziała. – To ci dopiero! Jeszcze nikt nie porównał mnie do skorupiaka.

– Tylko proszę się nie gniewać, panno Butler – wtrąciła matka. – W naszym domu to prawdziwy komplement.

Tony się roześmiał, a ojciec dodał:

– Ma się rozumieć!

Kitty nie przestawała się uśmiechać. Następnie lekko uniosła się z krzesła i sięgnęła po pieprzniczkę, po czym usiadła, cofając nogi pod krzesło, i poczułam, jak moje udo owiewa nagły chłód.

Wreszcie w baryłce zaświeciło dno, butelki z piwem i lemoniadą zostały opróżnione, a Kitty oznajmiła, że w życiu nie jadła wykwintniejszego posiłku. Odsunęliśmy krzesła od stołu, mężczyźni zapalili papierosy, a Alice i Rhoda rozstawiły filiżanki do herbaty. Przyszła pora na dalszą wymianę zdań oraz kolejną porcję pytań. Czy Kitty kiedykolwiek spotkała Nelly Power? Czy знаła Bessie Bellwood, Jenny Hill albo Wesołego Johna Nasha? A potem z innej beczki: czy to prawda, że nie ma narzeczonego? Odparła, że brakuje jej na to czasu. Czy w Kent mieszka ktoś z jej rodziny i czy kiedykolwiek widuje swoich bliskich? Powiedziała, że od śmierci babki została na świecie sama jak palec. Matka cmoknęła współczująco, Davy zaś zadeklarował chęć podzielenia się z nią naszymi krewnymi, których mieliśmy w nadmiarze.

– Czyżby? – zapytała Kitty.

– O tak – odpowiedział. – Na pewno słyszałaś tę piosenkę:

Wujek, ciotka i braciszek

Siostra, no i stryj Franciszek...

I rzeczywiście, nim zdążył dośpiewać piosenkę do końca, usłyszeliśmy zgrzyt otwieranych drzwi i wesołe okrzyki na schodach, po czym w progu stanęło troje naszych kuzynów wraz z wujem Joe i ciotką Rosiną, wszyscy w odświętnych strojach. Wpadli na chwilę, aby – jak się wyrazili – „zerknąć” na pannę Butler, o ile oczywiście panna Butler nie ma nic przeciwko temu.

Przyniesiono dodatkowe krzesła i filiżanki, dokonano kolejnych prezentacji i w

niewielkim pokoju zrobiło się gęsto od dymu i śmiechu. Ktoś wyraził żal, że nie mamy fortepianu, żeby zaakompaniować pannie Butler; wtedy George, mój najstarszy kuzyn, wyjął z kieszeni harmonijkę.

– Może być? – zapytał.

Kitty poczerwieniała i zaczęła się wymawiać.

– Prosimy, panno Butler! – zawołali wszyscy. – Niech pani zaśpiewa!

– Co o tym myślisz, Nan? – zwróciła się do mnie. – Mam zrobić z siebie pośmiewisko?

– Wiesz, że nie zrobisz z siebie pośmiewiska – odpowiedziałam, zadowolona, że wreszcie zwróciła na mnie uwagę i nazwała przy wszystkich moim specjalnym imieniem.

– Niech będzie – ustąpiła wreszcie. Zrobiono jej miejsce, a Rhoda pobiegła do domu po siostry, żeby też przyszły posłuchać.

Kitty zaśpiewała „Chłopiec, którego kocham, siedzi na galerii”, „Małą karczmarcę”, a potem jeszcze raz „Chłopca”, dla sióstr Rhody, które właśnie przyszły. Następnie szepnęła słówko George’owi i mnie; kiedy przyniosłam ojcowski kapelusz i laskę, zaśpiewała kilka piosenek ze swego stałego repertuaru i zakończyła balladą o róży.

Biliśmy brawo i wszyscy chcieli uścisnąć rękę Kitty albo poklepać ją po plecach. Gdy wreszcie opadła na krzesło, miała rozpalone policzki i wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Może teraz ty zaśpiewasz, Nance? – zaproponował Davy.

Popatrzyłam na niego krzywo.

– Nie – burknęłam. Za nic w świecie nie będę śpiewać przy Kitty.

Kitty rzuciła mi zaciekawione spojrzenie.

– Umiesz śpiewać? – zapytała.

– Nancy ma prześliczny głos, panno Butler – odezwał się ktoś z kuzynostwa.

– Tak jest – dodał ktoś inny. – Dalej, Nance, nie psuj zabawy!

– Nie, nie, nie! – zaprotestowałam tak żarliwie, że matka zmarszczyła brwi, a pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Szkoda, naprawdę szkoda – powiedział wujek Joe. – Powinna pani ją usłyszeć, jak wyśpiewuje w kuchni, panno Butler. Istny skowronek. Aż się człowiekowi robi cieplej na sercu. – Zgromadzeni przyznali mu rację, a Kitty nadal spoglądała na mnie z pewnym zdziwieniem. Wtedy George rzucił donośnym szeptem, że oszczędzam głos na serenady dla Freddy’ego, i ponownie gruchnął śmiech. Nie wiedziałam, gdzie podziać oczy. Kitty wyglądała na zbitą z tropu.

– Kto to jest Freddy? – zapytała.

– Freddy to chłopak Nancy – wyjaśnił Davy. – Bardzo przystojny młodzieniec. Pewnie już zdążyła się nim pochwalić?

– Nie – odrzekła Kitty. – Bynajmniej. – Powiedziała to lekkim tonem, ale popatrzyła na mnie dziwnie, jakby ze smutkiem.

Rzeczywiście, nigdy jej o nim nie wspominałam. Szczerze mówiąc, ostatnimi czasy w ogóle niewiele o nim myślałam, gdyż moje wyjazdy do Canterbury położyły kres naszym wieczornym spotkaniom. Niedawno dostałam od niego list z pytaniem, czy jeszcze mi na

nim zależy. Odłożyłam kartkę do szuflady i zapomniałam odpisać.

Chwilę żartowano na temat Freddy'ego, po czym zrobiło się zamieszanie, kiedy jedna z sióstr Rhody wyrwała George'owi harmonijkę i wydobyła z niej dźwięk tak okropny, że chłopcy jęli pokrzykiwać i szarpać dziewczynę za włosy, byle tylko przestała.

Wśród ogólnego przekomarzania Kitty nachyliła się w moją stronę.

– Zaprowadzisz mnie do swojego pokoju – spytała cicho – albo w jakieś inne ustronne miejsce, gdzie będziemy tylko we dwie? – Pobladła i przestraszyłam się, że zemdleje.

Utorowałam jej drogę przez zatłoczone pomieszczenie i powiedziałam matce, że zabieram gościa na górę. Matka, która patrzyła na siostrę Rhody, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy ją złać, z roztargnieniem skinęła głową. Wymknęłyśmy się z pokoju.

W sypialni było ciemniej i chłodniej niż w salonie, i chociaż nadal słyszałyśmy krzyki, tupanie oraz jazgot harmonijki, panował tu wręcz błogi spokój. Kitty od razu podeszła do otwartego okna i oparła ręce na parapecie. Wystawiła twarz na podmuchy bryzy, przymknęła oczy i z ulgą zaczerpnęła tchu.

– Źle się czujesz? – spytałam. Odwróciła się do mnie i z uśmiechem potrząsnęła głową, lecz jej uśmiech ponownie wydał mi się melancholijny.

– Jestem tylko zmęczona.

Nalałam trochę wody z dzbanka do miski i zaniósłam Kitty, żeby sobie umyła ręce i ochlapała twarz. Woda kapnęła jej na sukienkę i lekko zmoczyła włosy.

Z torebki zawieszanej u pasa wyjęła papierosy i zapalki.

– Twoja mama pewnie miałaby mi za złe, ale strasznie chce mi się zapalić. – Przypaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

Spoglądałyśmy na siebie bez słowa. Wreszcie usiadłyśmy na łóżku, tuż obok siebie. Dziwnie było siedzieć z nią w tym samym pokoju, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie godzinami rozmyślałam o niej tak nieprzystojnie.

– Czy to nie dziwne... – zaczęłam; Kitty też chciała coś powiedzieć i wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Ty pierwsza – rzuciła, ponownie zaciągając się papierosem.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to niesamowite gościć cię tutaj, tak po prostu.

– A ja, że niesamowicie było tu przyjechać! – zawołała. – Czy to naprawdę twój pokój, twój i Alice? I twoje łóżko? – Rozejrzała się z niedowierzaniem, tak jakbym mogła zabrać ją do cudzej sypialni i skłamać, że to moja. Skinęłam głową.

Znów pograżyłyśmy się w milczeniu, choć wyczuwałam, że Kitty pragnie mi powiedzieć coś jeszcze. Podejrzewałam, iż wiem, o co chodzi, kiedy jednak ponownie się odezwała, nie mówiła o kontrakcie, tylko o mojej rodzinie, o życzliwości moich najbliższych, o tym, jak bardzo mnie kochają i jaką jestem szczęściarą, że ich mam. Chciałam zaprotestować, ale przypomniałam sobie, że ona jest sierotą, dlatego w porę ugryzłam się w język i pozwoliłam, aby mówiła, choć moje milczenie zdawało się tylko pogarszać jej nastrój.

Gdy papieros został wypalony do końca, a niedopałek ciśnięty do paleniska, usłyszałam to, na co czekałam.

– Muszę ci coś powiedzieć, Nan. To dobra wiadomość, obiecaj, że będziesz cieszyć się razem ze mną.

Nie mogłam się powstrzymać. Całe popołudnie tłumiałam uśmiech, dlatego teraz roześmiałam się z całego serca.

– Ach, Kitty, wiem, co chcesz mi powiedzieć! – zawołałam i widząc jej zmarszczone brwi, dorzuciłam: – Tylko nie gniewaj się na Tony’ego. Już mi powiedział.

– Co ci powiedział?

– Że Tricky chce cię zatrzymać w teatrze, że zostaniesz w Canterbury co najmniej do świąt!

Spojrzała na mnie dziwnie, po czym spuściła oczy i roześmiała się cicho.

– Nie to chciałam ci powiedzieć – odparła. – Nikt o tym nie wie prócz mnie. Tricky rzeczywiście chce mnie zatrzymać, ale... odrzuciłam jego propozycję.

– Odrzuciłaś? – Popatrzyłam na nią z osłupieniem. Wstała, unikając mojego wzroku i ciasno spłotła dłonie.

– Pamiętasz dżentelmena, który mnie wczoraj odwiedził? – zaczęła. – Pana Blissa?

Kiwnęłam głową. Dotąd ani razu o nim nie wspomniała, a w tym zamieszaniu zapomniałam spytać.

– Pan Bliss jest przedstawicielem artystów, agentem. Obejrzał mój występ i... ach, Nan! – Kitty nie kryła podniecenia. – Mój występ spodobał mu się tak bardzo, że zaproponował mi kontrakt w rewii w Londynie!

– W Londynie! – Mogłam jedynie z niedowierzaniem powtórzyć jej słowa. To było straszne. Gdyby pojechała do Margate lub Broadstairs, mogłabym ją czasami odwiedzać. Jeśli wyjedzie do Londynu, nigdy więcej się nie zobaczymy. Równie dobrze mogła udać się do Afryki albo na Księżyc.

Opowiadała, że pan Bliss ma przyjaciół w londyńskich teatrach i obiecał jej występy na wszystkich znanych mu scenach; podobno zapewniał, że jest za dobra na prowincję, że zyska sławę w stolicy, gdzie występują największe nazwiska i obraca się największymi pieniędzmi... Słuchałam, nie uważając, gdyż ogarniała mnie coraz większa rozpacz. Wreszcie zasłoniłam ręką oczy i pochyliłam głowę. Kitty umilkła.

– A jednak się nie cieszysz – stwierdziła cicho.

– Cieszę się – odrzekłam zachrypniętym głosem. – Ale i smucę.

Zapadła cisza, przerywana dobiegającymi z dołu wybuchami śmiechu, szuraniem krzesel i krzykami mew zza otwartego okna. W pokoju jakby pociemniało i ogarnął mnie nagły chłód.

Usłyszałam, że Kitty podchodzi bliżej. Po chwili ponownie usiadła obok mnie i oderwała mi rękę od czoła.

– Posłuchaj – zaczęła, ściskając moją dłoń. – Chcę cię o coś prosić.

Spojrzałam na nią; nie licząc gromadki piegów na policzkach, była bardzo blada. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Czy twoim zdaniem ładnie dzisiaj wyglądam? – spytała nieoczekiwanie. – Czy byłam

dostatecznie miła i uprzejma? Czy twoi rodzice mnie polubili? – Pomimo zdziwienia skinęłam potakująco głową. – Zależało mi na tym – dodała. – Włożyłam najładniejszą sukienkę, żeby wzięli mnie za bardziej wytworną, niż jestem. Pomyślałam sobie, że choćby byli najpaskudniejszą rodziną w całym Kencie, sprawię, że pokochają mnie jak rodzoną córkę. Ale Nan, oni wcale nie są paskudni, ja w ogóle nie musiałam udawać! To najmiłsza rodzina, jaką kiedykolwiek spotkałam, a ty jesteś dla nich całym światem. Nie mogę prosić, żebyś ich opuściła...

Serce zamarło mi w piersi, a potem zabiło jak szalone.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam. Odwróciła wzrok.

– Chciałam prosić, żebyś pojechała ze mną. Do Londynu.

Zamrugłam ze zdziwienia.

– Z tobą? Po co?

– Jako moja garderobiana – wyjaśniła. – Jeśli chcesz. Jako moja... wszystko jedno, sama nie wiem. Rozmawiałam z panem Blissem. Mówi, że na początek nie może ci zagwarantować dużego wynagrodzenia, ale wystarczy, o ile będziemy mieszkać razem.

– Dlaczego?

Kitty uniosła głowę i popatrzyła mi w oczy.

– Ponieważ... ponieważ cię lubię. Ponieważ jesteś dla mnie dobra i przynosisz mi szczęście. W Londynie nie będę miała nikogo, a pan Bliss może się okazać inny, niż się wydaje...

– I naprawdę myślałaś – zapytałam powoli – że odmówię?

– Dziś po południu tak. Wczoraj wieczorem i dzisiejszego ranka wierzyłam, że... och, w garderobie, kiedy byłyśmy tylko we dwie, wszystko wyglądało inaczej! Nie miałam pojęcia, jak wygląda twoje życie! Nie wiedziałam, że... że masz narzeczonego.

Jej słowa dodały mi odwagi. Wsunęłam palce z jej rąk i wstałam. Podeszłam do wieszakowia, gdzie stała nieduża szafka z szufladą. Otworzyłam ją, wyjęłam mój skarb ze środka i pokazałam Kitty.

– Poznajesz? – spytałam, gdy popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Róża, którą ci rzuciłam. – Odebrała mi kwiat; był suchy i wiotki, płatki zbrązowiały na brzegach i chwiały się lekko. Całość była nieco spłaszczona, gdyż przeleżała wiele nocy pod moją poduszką.

– Odmieniła moje życie – powiedziałam. – Aż do tamtej chwili byłam pogrążona we śnie, we śnie albo w stanie zbliżonym do śmierci. Odkąd cię poznałam, nie śpię, tylko żyję! Sądziś, że tak łatwo mogłabym się tego wyrzec?

Moje słowa wzbudziły jej zdumienie; nie było w tym nic dziwnego, gdyż nigdy nie przemawiałam w ten sposób ani do niej, ani kogokolwiek innego. Przesunęła wzrokiem po pokoju, zwilżając językiem wargi.

– A tamci wszyscy na dole? – zapytała, wskazując na drzwi. – Twoi rodzice, brat, Alice, Freddy? – Gdy to mówiła, usłyszałyśmy czyjś okrzyk i w salonie wywiązała się przyjacielska sprzeczka.

Nic dla mnie nie znaczą, miałam na końcu języka. W przeciwieństwie do ciebie... Ale tylko z uśmiechem wzruszyłam ramionami.

Kitty również się uśmiechnęła.

– Naprawdę pojedziesz ze mną? Wiesz, musimy wyjechać w niedzielę, dokładnie za tydzień. To niewiele czasu.

Odparłam, że wystarczy. Kitty odłożyła zwiędłą różę na łóżko, złapała mnie za ręce i ścisnęła je z całej siły.

– Och, Nan! Kochana Nan! Zobacysz, będziemy się świetnie bawić, obiecuję! – Puściła moje dłonie i chwyciwszy mnie w objęcia, roześmiała się serdecznie.

Następnie odsunęła się raptownie, pozostawiając mnie z wyciągniętymi rękoma.

Z dołu dobiegły kolejne odgłosy, otwarto drzwi i na schodach załomotały czyjeś kroki.

– Nancy! – usłyszałam głos Alice. Stała pod drzwiami, lecz nieśmiałość lub strach nie pozwoliły jej nacisnąć klamki. – Goście wychodzą – zawołała. – Mama prosi, żeby panna Butler przyszła się pożegnać.

Spojrzałam na Kitty.

– Idź – powiedziałam. – Ja zaraz przyjdę. Tylko nie mów nic o... o naszych planach – dodałam ściszym głosem. – Później sama im powiem.

Skinęła głową, ponownie ścisnęła moją rękę, a następnie otworzyła drzwi i wraz z Alice zeszła na dół.

Stałam w gęstniejącym mroku, zasłaniając twarz drżącymi palcami. Odkąd poznałam Kitty Butler, szorowałam je z wielką starannością, przez co obecnie widniały na nich co najwyżej plamy od tuszu lub pomady. Mimo to nadal pachniały ostrygami, a pod jednym z paznokci dostrzegłam cienkie włókno pochodzące z homara lub krewetki. Jak to będzie, pomyślałam, porzucić rodzinę, dom, życie córki handlarza ryb?

I jak będę mogła żyć obok Kitty, z sercem pełnym miłości tak żywej, a zarazem tak skrytej, że przyprawiała mnie o drżenie?

Rozdział 3

Dla większego efektu chciałabym móc powiedzieć, że usłyszawszy propozycję Kitty, rodzice wyrazili kategoriyczny sprzeciw i zabronili mi poruszać ten temat, a gdy naciskałam, krzyczeli i przeklinali, matka płakała wniebogłoso, a ojciec posunął się do rękoczynów i w końcu musiałam o świcie uciekać przez okno, z twarzą zalaną łzami i ubraniami upchniętymi w węzełku, pozostawivszy na poduszce kartkę ze słowami: „Nie próbujcie mnie szukać...”. Lecz byłoby to jedno wielkie kłamstwo. Moi rodzice kierowali się w życiu rozsądkiem, nie namiętnościami. Kochali mnie i drżeli o moje bezpieczeństwo, a myśl o puszczeniu najmłodszej latorośli w podróż do najnikczemniejszego miasta w Anglii w towarzystwie aktorki oraz impresaria rewiewego wydawała im się ze wszechmiar szalona i wręcz niewyobrażalna. Lecz to właśnie owa rodzicielska miłość sprawiła, że nie mogli patrzeć, jak cierpię. I tak jak ślepy dostrzegłby uczucie, jakim obdarzyłam Kitty Butler, tak też wszyscy rozumieli, że pozbawiona szansy życia u jej boku już nigdy nie zaznałabym szczęścia w ojcowskiej kuchni.

Dlatego gdy jakąś godzinę po wyjściu Kitty nerwowo wyniszczyłam rodzicom jej plan, błagając ich o zgodę, wysłuchali mnie z namysłem, ale uważnie, a kiedy następnego dnia ojciec wezwał mnie do pustego salonu, na jego twarzy malowały się smutek i powaga, ale i życzliwość. Zapytał, czy nie zmieniałam zdania. Potrząsnęłam głową, a on westchnął. Oświadczył, że skoro podjęłam decyzję, matka i on nie mogą mnie zatrzymywać, że jestem już prawie dorosła i mam prawo do własnego zdania. Dodał, że pragnęli wprawdzie, bym wyszła za mąż za chłopca z Whitstable i osiadła gdzieś w pobliżu, aby mogli dzielić ze mną małe szczęścia i smutki, lecz widać było mi pisane małżeństwo z londyńczykiem, nieobytym z tutejszymi zwyczajami.

Dzieci, podsumował, nie przychodzą na świat, aby folgować zachciankom rodziców i żaden ojciec nie może zatrzymać przy sobie córki na zawsze...

– Krótko mówiąc, Nance, choćbyś jechała do samego piekła, twoja matka i ja wolelibyśmy, żebyś odeszła od nas szczęśliwa, aniżeli została z nami rozżalona na swój los i zła, żeśmy stanęli ci na drodze.

W życiu nie widziałam go tak poważnego ani tak elokwentnego. Nigdy też nie widziałam go płaczącego, teraz zaś oczy zalśniły mu niebezpiecznie; zamrugął, chcąc powstrzymać łzy, i zadrżał mu głos. Oparłam głowę na jego ramieniu i sama się rozplakałam. Objął mnie

i poklepał po plecach.

– Twój wyjazd łamie nam serca, skarbie – podjął. – Wiesz, że tak jest. Obiecuj, że o nas nie zapomnisz. Że będziesz pisać i przyjeżdżać. A jeśli sprawy potoczą się nie całkiem po twojej myśli, nie będziesz zbyt dumna, by wrócić do tych, którzy cię kochają... – Tutaj głos zawiódł go całkowicie i ojciec zadrżał, a ja pokiwałam żarliwie głową. Tak, tak, obiecuję, na pewno.

Nieczuła! Zaraz po jego wyjściu moje łyzy obeschły i poczułam nawrót radości towarzyszącej mi od zeszłego wieczora. Odańczyłam w salonie dziki taniec, ale ostrożnie, na paluszkach, żeby nikt na dole mnie nie usłyszał. Następnie niepostrzeżenie wymknęłam się na pocztę i wysłałam Kitty pocztówkę z kutrem, na którego żaglu napisałam: „Kierunek: Londyn”, a na pokładzie narysowałam dwie uśmiechnięte dziewczyny z kuframi i walizami. „Mogę jechać!!!” – skreśliłam na odwrocie, dodając, że przez kilka dni będzie musiała obyć się bez garderobianej, gdyż muszę dopilnować przygotowań... Pod spodem dopisałam „całuję” i „Twoja Nan”.

Przez resztę dnia towarzyszyły mi dość zmienne odczucia, gdyż poranna scena z ojcem znalazła powtórzenie w rozmowie z matką, która przycisnęła mnie do siebie z okrzykiem, że chyba stracili rozum, pozwalając mi jechać, z Davym, który oznajmił niedorzecznie, że jestem za mała na podróż do Londynu i ani chybi wpadnę pod tramwaj, jak tylko stanę na Trafalgar Square, i z Alice, która na wieść o moim wyjeździe wypadła z kuchni cała we łzach i dopiero w południe dała się namówić na podjęcie zajęć w gospodzie. Jedyne kuzyni wydawali się szczerze uradowani; zazdrościli mi i nazywali szczęściarą, przepowiadając, że zrobię karierę w stolicy i zapomnę o rodzinie albo też poniosę całkowitą porażkę i wrócę do Whitstable w aurze niesławy.

Tydzień minął w okamgnieniu. Wieczory spędziłam na licznych odwiedzinach i pożegnaniach ze znajomymi i rodziną oraz na praniu, łataniu i pakowaniu swego dobytku, zastanawiając się, co zabrać, a co zostawić. Tylko raz pojechałam do Palace, wraz z rodzicami, którzy pragnęli zasięgnąć informacji o tajemniczym Walterze Blissie oraz upewnić się, czy panna Butler pozostaje przy zdrowych zmysłach.

Miałyśmy dla siebie zaledwie minutę, podczas gdy ojciec rozmawiał po przedstawieniu z Tonym i Trickym. Przez cały tydzień dręczyły mnie obawy, czy jej słowa wypowiedziane w niedzielny wieczór nie były aby wytworem mojej wyobraźni. Nocami budziłam się zlna potem wywołanym snami, w których zjawiałam się u Kitty z całym bagażem, a ona patrzyła na mnie ze zdumieniem albo wybuchała drwiącym śmiechem; czasem śniłam, że spóźniona wpadam na stację i gonię uciekający pociąg, a Kitty i pan Bliss obojętnie patrzą na mnie przez okno... Lecz owego wieczora w Palace odciągnęła mnie na stronę i ścisnęła za rękę z takim samym entuzjazmem jak przedtem.

– Dostałam list od pana Blissa – powiedziała. – Znalazł nam kwaterę w Brixton. Podobno mieszka tam tyłu artystów rewiowych i aktorów, że to miejsce nosi nazwę Alei Masek.

Aleja Masek! Oczami wyobraźni ujrzałam natychmiast bajecznie kolorową ulicę w

kształcie pudła z przyborami do charakteryzacji, z domami o różnobarwnych dachach: nasz był oznaczony numerem trzy i miał komin w kolorze uszmkowanych warg Kitty!

– Pojedziemy w niedzielę pociągiem o drugiej – ciągnęła. – Pan Bliss przyjedzie po nas powozem na stację. A ja zaczynam zaraz następnego dnia w Bermondsey, w music-hallu Star.

– Star – powtórzyłam. – Gwiazda. To szczęśliwa nazwa.

Kitty popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Miejmy nadzieję. Obyś miała rację, Nan!

Mój ostatni poranek w rodzinnym gronie był – jak pewnie wszystkie ostatnie poranki w podobnych okolicznościach – nad wyraz przygnębiający. W nie najgorszych nastrojach zjedliśmy razem śniadanie, jednakże w domu panowała smępna atmosfera oczekiwania, która pozwalała nam jedynie wzdychać i chwytać się różnych bezcelowych zajęć. O jedenastej, czując się niczym szczur w pułapce, zmusiłam Alice, by poszła ze mną na plażę. Siostra trzymała mi buty i pończochy, gdy po raz ostatni zamoczyłam nogi w morskiej wodzie. Lecz nawet ów mały rytuał przyniósł mi tylko rozczarowanie. Przysłaniając ręką oczy, spojrzałam na rozmigotaną zatokę, odległe pola i żywopłoty Sheppey, niskie domy miasteczka oraz maszty i żurawie portu i stoczni. Był to dla mnie równie znajomy widok jak rysy własnej twarzy i – podobnie jak własne odbicie w lustrze – fascynujący, a zarazem dość nudny. I choć wpatrywałam się weń usilnie, myśląc przy tym, iż ujrzę go dopiero po upływie miesięcy, wyglądał dokładnie tak jak zawsze. Wreszcie odwróciłam wzrok i ze smutkiem powlokłam się do domu.

Tam jednak było podobnie: nic, co widziałam i czego dotykałam, nie wydawało mi się szczególne ani na swój sposób odmienione. Nic, prócz twarzy moich bliskich, tak ponurych bądź tak fałszywie ożywionych lub stępałych, że prawie nie mogłam na nie patrzeć.

Dlatego gdy nadszedł wreszcie czas rozstania, poczułam niemal ulgę. Ojciec nie chciał słyszeć, bym jechała pociągiem do Canterbury, i postanowił odwieźć mnie dwukółką wynajętą od stajennego z hotelu Księżę Cumberland. Ucałowałam matkę i Alice, a następnie pozwoliłam bratu posadzić się u boku ojca z bagażem u stóp. Nie było tego wiele: stara skórzana walizka z ubraniami, pudło na kapelusze oraz nieduży, czarny blaszany kuferek na pozostałe drobiazgi. Kuferek był pożegnalnym prezentem od Davy'ego. Kazał wymalować na wieku moje żółte inicjały, a wewnątrz przyklepił mapę Kentu z Whitstable zaznaczonym strzałką, żeby – jak się wyraził – przypomnieć mi, gdzie jest dom, w razie gdybym miała zapomnieć.

Drogę do Canterbury przebyliśmy prawie bez słowa. Pociąg wjechał już na stację w obłokach pary, a na peronie Kitty kręciła się wśród swoich toreb i koszyków, nerwowo spoglądając na zegarek. I nie było tak, jak w moich snach, gdyż pomachała do nas z uśmiechem.

– Już myślałam, że w ostatniej chwili zmieniałś zdanie! – zawołała.

Potrząsnęłam głową, zdumiona, że po tym wszystkim, co ode mnie usłyszała, taka myśl mogła w ogóle powstać jej w głowie!

Ojciec był bardzo miły. Uprzejmie pozdrowił Kitty i ucałował nas obie na pożegnanie, życząc jej szczęścia i wielu sukcesów. Kiedy ostatni raz wychyliłam się przez okno, żeby go uściskać, wyjął z kieszeni mały, irchowy woreczek i wcisnął mi go do ręki. Było tam sześć suwerek, więcej niż ojciec mógł mi ofiarować bez uszczerbku dla budżetu rodziny, zanim jednak obejrzałam zawartość sakiewki, pociąg ruszył z miejsca i nie starczyło czasu, aby zwrócić prezent. Zamiast tego wykrzyknęłam tylko słowa podziękowania i przesłałam ręką pocałunek, patrząc, jak ojciec zdejmuje kapelusz i macha nam na pożegnanie. Następnie przycisnęłam czoło do szyby i spoglądałam nań, dopóki nie znikł mi z oczu, zachodząc w głowę, kiedy uda nam się znów zobaczyć.

Z przykrością wyznaję, iż nie trapiłam się tym długo, gdyż radość z obecności Kitty oraz perspektywa naszego wspólnego życia rychło wzięła górę nad żalem. Wiem, że bliscy wzięliby mi za złe dobry humor, podczas gdy sami siedzieli w domu zasmuceni, lecz owego popołudnia uśmiech przychodził mi równie łatwo i naturalnie jak oddech.

Po godzinie dotarliśmy na Charing Cross. Tu dopiero było na co patrzeć. Kitty wezwała bagażowego, który zajął się naszymi rzeczami; kiedy ładował je na wózek, my niespokojnie rozglądałyśmy się za panem Blissem.

– Tam jest! – wykrzyknęła wreszcie Kitty. Szedł ku nam z twarzą czerwoną jak burak i rozwianymi połami płaszcza.

– Panna Butler! – zawołał na powitanie. – To prawdziwa przyjemność! Bałem się, czy nie będę spóźniony, ale pani przybyła zgodnie z planem, i to jeszcze bardziej urocza niż przedtem. – Popatrzył na mnie, po czym zdjął kapelusz (jedwabny, jak poprzednio) i zgiął się w głębokim, teatralnym ukłonie. – Czapki z głów przed córką rybaka! – zagrzmiął donośnie. – Panna Astley z Whitstable, jak mniemam? – Uścisnąwszy moją rękę, pstryknął palcami na bagażowego i podał każdej z nas ramię.

Zostawił powóz na Strandzie; na nasz widok woźnica dotknął batem czapki i zeskoczył z kozła, aby umieścić bagaże na dachu. Rozejrzałam się dokoła. Była niedziela i wokoło panował względny spokój, jednakże dla mnie, nieprzyzwyczajonej do zgiełku i odgłosów wielkiego miasta, hałas wydawał się niemal równie ogłuszający jak na torze wyścigów konnych. W powozie poczułam się nieco bezpieczniej, pomimo skrępowania bliskością obcego mężczyzny, który wiozł mnie nie wiadomo dokąd przez ogromne i przerażające ulice.

Było na co patrzeć. Pan Bliss zaproponował, byśmy najpierw urządzili sobie krótką wycieczkę, dlatego wjechaliśmy na Trafalgar Square, kierując się w stronę kolumny Nelsona i podziwiając po drodze fontanny, przesłiczny, kremowy fronton National Gallery oraz widok przez Whitehall ku budynkom parlamentu.

– Mój brat uważał – powiedziała, przyciskając twarz do okna – że jak tylko się pojawię w Londynie, na pewno wpadnę pod tramwaj na Trafalgar Square.

Pan Bliss zrobił poważną minę.

– Słuszne ostrzeżenie, panno Astley, aczkolwiek nieco chybione. Na Trafalgar Square nie ma tramwajów, jedynie omnibusy, dorożki i kryte powozy, takie jak nasz. Tramwaje są dla

pospólstwa; obawiam się, że aby ulec podobnemu wypadkowi, musiałyby pani pojechać aż do Kilburn bądź Camden Town.

Uśmiechnęłam się niepewnie. Nadal nie wiedziałam, co sądzić o panu Blissie, któremu tak nagle i nieoczekiwanie zostały powierzone moja przyszłość i szczęście. Gdy zwracał się do Kitty lub kierował naszą uwagę na jakiś szczegół otoczenia, korzystałam z okazji, aby przyjrzeć mu się uważniej. Był młodszy, niż myślałam na początku. Pamiętnego wieczoru w garderobie Kitty wzięłam go za mężczyznę w średnim wieku, teraz jednak dawałam mu nie więcej niż trzydzieści jeden, dwa lata. Był raczej imponujący niż przystojny: podejrzewałam, iż ma żonkę wpatrzoną weń jak w obraz i małe dziecko, a jeśli nie (co okazało się zgodne z prawdą), jest mu to pisane. Oczywiście nie znałam wówczas historii jego życia, ale potem dowiedziałam się, że pochodził ze starej, szanowanej rodziny teatralnej (naturalnie nazwisko „Bliss” było równie prawdziwe jak „Butler” w wypadku Kitty). Jako młody człowiek zrezygnował z kariery aktorskiej na rzecz występów w rewiach; obecnie sprawował pieczę nad tuzinem artystów, chociaż bywało, że wiedziony miłością do profesji sam stawał na scenie jako „Walter Waters, baryton”. Owego dnia w powozie nie wiedziałam jeszcze o tym wszystkim, ale po trosze zaczynałam się domyślać. Dotarliśmy bowiem do Pall Mall i skręciliśmy w Haymarket, dzielnicę teatrów i music-halli; kiedy przejeżdżaliśmy obok nich, pan Bliss podniósł rękę i wygiął rondo kapelusza w swoistym akcie hołdu. Widywałam stare Irlandki, które robiły coś podobnego, przechodząc obok kościoła.

– Teatr Jej Królewskiej Mości – oznajmił, pokazując ładny budynek po lewej stronie. – Mój ojciec oglądał tu Jenny Lind, Szwedzkiego Słowika, podczas jej wielkiego debiutu. Haymarket, którym zarządza pan Beerbohm Tree. Criterion lub Cri: istne cudo, wybudowane całkowicie pod ziemią. – Mijaliśmy niezliczone budynki, a on znał dzieje ich wszystkich. – Przed nami London Pavilion. A tam... – popatrzyliśmy w Great Windmill Street. – ...Trocadero Palace. Po naszej prawej stronie Teatr Książęcy. – Wjechaliśmy w Leicester Square; pan Bliss zaczerpnął tchu. – I wreszcie – obwieścił, zdejmując kapelusz i kładąc go sobie na kolanach – wreszcie Empire i Alhambra, najpiękniejsze teatry rewiowe Anglii, gdzie każdy artysta jest gwiazdą, a publiczność jest tak znakomita, że nawet prostytutki z galerii – panie wybaczą – noszą futra, perły i diamenty.

Postukał w sufit powozu i woźnica stanął na rogu skweru znajdującego się pośrodku placu. Pan Bliss otworzył drzwiczki i wysiedliśmy. Mając za plecami Williama Szekspira na marmurowym cokole, podziwialiśmy piękne fasady Empire i Alhambry, pierwszą z kolumnami, roziskrzonymi kagankami i witrażami, drugą z jej kopułą, minaretami i fontanną. Nie przypuszczałam nawet, że na świecie mogą być takie teatry. Nie podejrzewałam też istnienia miejsca takiego jak to, zarazem nędznego i okazałego, brzydkiego i znakomitego, gdzie tak różni osobnicy wszelkiej maści funkcjonowali tuż obok siebie.

Widziałam damy i dżentelmenów wysiadających z powozów.

Oglądałam dziewczęta z tacami kwiatów i owoców, sprzedawców kawy, sorbetów oraz

zupy.

Żołnierzy w szkarłatnych kurtkach, subiektów w melonikach lub słomkowych kapeluszach i kraciastych portkach. Kobiety w szalach i kobiety w krawatach, kobiety w przykrótkich sukniach odsłaniających kostki.

Widziałam Murzynów i Chińczyków, Włochów i Greków. Dostrzegłam również przybyszów spoza stolicy, równie oszołomionych i zbitych z tropu jak ja, biedaków skulonych na ławkach i schodach, ludzi w zmiętych i poplamionych ubraniach, którzy wyglądali, jakby siedzieli tu cały boży dzień, a może i noc.

Popatrzyłam na tamtych dwoje; moja twarz musiała wyrażać najgłębsze zdumienie, gdyż Kitty parsknęła śmiechem i pogłaskała mnie po policzku, a następnie ujęła moją dłoń i mocno ścisnęła.

– Znajdujemy się w sercu Londynu – powiedział pan Bliss. – Dokładnie w samym sercu. Tam... – wskazał na Alhambrę – i wszędzie dokoła... – tutaj ogarnął ręką cały plac – widzicie to, co podtrzymuje bicie tego wielkiego serca. Variétés! Variétés, panno Astley, nietkniętą zębem czasu i odporną na rutynę. – Zwrócił się do Kitty: – Stoimy przed najwspanialszą Świątynią Rozrywki na całym świecie – oznajmił. – Jutro, panno Butler, jutro albo w przyszłym tygodniu lub może miesiącu, ale wkrótce, zapewniam panią, że wkrótce, wkroczy pani do jej wnętrza i stanie na scenie. Wówczas to pani sprawi, że serce miasta zabije przyspieszonym rytmem, a z jego gardła wyrwie się okrzyk: „*Brava*”!

Z tymi słowy wzniósł kapelusz i pomachał nim w powietrzu. Kilku przechodniów zerknęło w naszą stronę, po czym obojętnie odwróciło wzrok. Ta tyrada wywarła na mnie ogromne wrażenie, na Kitty również, gdyż ponownie ścisnęła moją rękę i zadrżała z przejęcia; obie miałyśmy zaróżowione policzki i jednakowo wytrzeszczałyśmy roziskrzone oczy.

Nie zabawiliśmy długo na Leicester Square. Pan Bliss zawołał jakiegoś chłopca i wręczywszy mu szyling, polecił przynieść trzy szklanki spienionego sorbetu. Usiedliśmy na chwilę w cieniu Szekspira i popijając napój owocowy, spoglądaliśmy na przechodniów oraz afisze przed Empire, gdzie (byliśmy o tym przekonani) wkrótce znajdzie się nazwisko Kitty, wymalowane literami wielkimi na trzy stopy. Kiedy opróżniliśmy szklanki, pan Bliss klasnął w dłonie i oznajmił, że pora jechać do Brixton, do pani Dendy, naszej nowej gospodyni. Zaprowadził nas z powrotem do powozu i pomógł usiąść. W półmroku pozwoliłam odpocząć znużonym oczom i poczułam, jak ogarnia mnie pewien niepokój. Byłam ciekawa nowej kwatery i zachodziłam w głowę, jaką osobą okaże się pani Dendy. Miałam szczerą nadzieję, że ani jedna, ani druga nie będzie zbyt wyrefinowana.

Niepotrzebnie zawracałam sobie tym głowę. Z chwilą gdy opuściliśmy West End i przejechaliśmy na drugi brzeg, ulice wydawały się coraz bardziej szare i nudne. Tutejsze domy wyglądały schludnie, acz dość jednostajnie, jakby ich twórca nie wykazał się szczególną inwencją i geniuszem, były niezbyt finezyjne i pozbawione barwnej różnorodności Leicester Square. Mijani ludzie sprawiali podobne wrażenie. Wkrótce okolica stała się jeszcze mniej atrakcyjna: każdy róg, pub, rząd sklepów i budynków

mieszkalnych zdawał się brzydszy od poprzedniego. Kitty i pan Bliss zatopili się w rozmowie o teatrach i kontraktach, kostiumach i repertuarze. Ja siedziałam z twarzą przyciśniętą do szyby, zastanawiając się, kiedy wreszcie miniemy owe odrażające dzielnice i dotrzemy do Alei Masek i naszego domu.

Kiedy skręciliśmy w ulicę z wysokimi budynkami o płaskich dachach i okiennicach pokrytych sadzą, odgrodzonymi od ulicy sfatygowanymi barierkami, pan Bliss przerwał rozmowę i wyjrzawszy na zewnątrz, oznajmił, że jesteśmy prawie na miejscu. Musiałam odwrócić wzrok od jego życzliwej, uśmiechniętej twarzy, by ukryć rozczarowanie. Wiedziałam, iż moja pierwsza, pełna entuzjazmu wizja Brixton (z rzędami złotych domów, nasz z karminowym dachem) była absurdalna, jednakże widok, który ukazał się moim oczom, nie napawał optymizmem. Ulica nie różniła się od szarych, zwyczajnych ulic Whitstable, była jedynie obca, co przydawało jej złowrogiej aury.

Gdy wysiadaliśmy z powozu, zerknęłam na Kitty, wypatrując na jej twarzy śladów zawodu. Lecz jej policzki były równie zaróżowione, a oczy równie wilgotne i błyszczące jak przedtem; popatrzyła na dom wskazany przez naszego opiekuna i kąciki jej ust powędrowały w górę w uśmiechu zadowolenia. Naraz zrozumiałam to, co dotąd pojmowałam tylko częściowo: Kitty spędziła całe życie w brzydkich, anonimowych domach takich jak ten, i po prostu nic lepszego nie знаła. Owa myśl natchnęła mnie pewną otuchą, budząc kolejny przyływ tkliwości oraz współczucia.

Wnętrze domu prezentowało się nieco bardziej zachęcająco. W drzwiach stanęła sama pani Dendy, siwowłosa, korpulentna dama; po poufałym powitaniu z panem Blissem, na którego mówiła „Wal”, wprowadziła nas do salonu. Poleciała nam usiąść i zdjąć kapelusze, prosząc, abyśmy czuli się jak w domu, a następnie kazała służącej przynieść filiżanki i zaparzyć herbatę.

Gdy pokojówka znikła za drzwiami, pani Dendy popatrzyła na nas z uśmiechem.

– Witajcie, moje drogie – powiedziała głosem miękkim i słodkim jak kawałek świątecznego ciasta. – Witajcie na Ginevra Road. Mam nadzieję, że zaznacie tu szczęścia i pomyślności. – Skinęła głową Kitty. – Pan Bliss wspomniał, że pod moim dachem zagości istna gwiazda, panno Butler.

Kitty odrzekła skromnie, że nic o tym nie wie. Pani Dendy prychnęła śmiechem, który przeszedł w gardłowy kaszel. Przez dłuższą chwilę trzęsła się konwulsyjnie, niezdolna wykrztusić słowa. Kitty i ja wymieniliśmy niespokojne spojrzenia, kiedy jednak atak minął, nasza gospodyni wydawała się równie opanowana i wesoła jak przedtem. Wyjawszy z rękawa chustkę otarła oczy i usta, po czym sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na stole, poczęstowała nas i sama zapaliła. Wówczas zobaczyłam, że jej palce pokrywają liczne żółte plamy od tytoniu.

Po chwili przyniesiono herbatę; podczas gdy Kitty i pani Dendy zajęły się tacą, ja ogarnęłam wzrokiem cały pokój. Było na co patrzeć, gdyż salon pani Dendy doprawdy zasługiwał na miano niezwykłego. Chodniki i meble wyglądały dość pospolicie, wzrok przykuwały jednak ściany, obwieszane zdjęciami tak dokładnie, iż nie sposób było

dostrzec koloru tapety.

– Widzę, że podziwia pani moją małą kolekcję – zauważyła pani Dendy, podając mi filiżankę. Oczy wszystkich powędrowały w moim kierunku. Poczzerwieniałam. Pani Dendy z uśmiechem trąciła zażółconym palcem kryształową łezkę kolczyka. – To moi dawni lokatorzy, kochanie – dodała tonem wyjaśnienia. – Jak pani widzi, niektórzy z nich zyskali sporą sławę.

Ponownie spojrzałam na zdjęcia. Teraz dostrzegłam, że wszystkie to portrety – w większości podpisane – artystów teatralnych i rewiowych. Istotnie rozpoznałam kilka twarzy – z kominka uśmiechał się Wielki Vance ustawiony tuż obok Wesołego Johna Nasha w kostiumie Wystrzałowego Jacka, nad sofą zaś zawieszono oprawioną kartkę ze słowami piosenki, obok której widniała rozwlekła dedykacja: „Drogiej Mateczce Dendy z serdecznymi pozdrowieniami. Bessie Bellwood”. Z większości zdjęć jednakże spoglądały anonimowe oblicza roześmianych kobiet i mężczyzn w wystudiowanych pozach, których nijakie, egzotyczne bądź uduchowione stroje (Jennie West, Kapitan Largo, Shinkaboo Lee) nie mówiły wiele o rolach, jakie grali. I pomyśleć, że wszyscy oni mieszkali przy Ginevra Road pod opiekuńczymi skrzydłami troskliwej pani Dendy.

Pogrążeni w rozmowie wypiliśmy herbatę, nasza gospodyni wypaliła kolejne dwa lub trzy papierosy, po czym klasnąwszy w dłonie, mozolnie dźwignęła się z miejsca.

– Zapewne chcecie obejrzeć pokoje i nieco się odświeżyć – powiedziała życzliwie i odwróciła się do pana Blissa, który uprzejmie wstał z fotela. – Bądź łaskaw zająć się bagażem młodych dam, Wal... – Następnie wyprowadziła nas z salonu i weszliśmy na schody. Minęliśmy trzy piętra, podążając w gęstniejącym mroku. Naraz pojaśniało: ponad nagimi, wąskimi schodami, które prowadziły na samą górę, widniał nieduży świetlik upstrzony sadzą i odchodami gołębi. Za nim rozciągał się skrawek nieoczekiwanie błękitnego i czystego wrześnieowego nieba. Poczułam się, jakbyśmy stanęły pod samym pułapem z chmur.

Na szczycie schodów znajdowały się drzwi wiodące do ciasnego pomieszczenia. Wbrew moim oczekiwaniom nie była to bawialnio-sypialnia, lecz maleńki salonik z dwoma wiekowymi, zapadniętymi fotelami ustawionymi przed kominkiem oraz staroświecką toaletką. Obok toaletki widniały kolejne drzwi prowadzące do drugiego pokoju, który za sprawą ukośnego sufitu wydawał się jeszcze mniejszy niż poprzedni. Kitty i ja stanęliśmy w progu, spoglądając na miednicę, krzesło z oparciem w kształcie liry, alkowę z zasłoną, łóżko z grubym, wysokim materacem i żelaznym wezglowiem oraz nocnik stojący pod spodem. Było węższe niż to, które dzieliłam z siostrą w rodzinnym domu.

– Naturalnie nie macie nic przeciwko wspólnej sypialni – odezwała się za naszymi plecami pani Dendy. – Obawiam się, że będzie wam trochę ciasno, choć i tak macie lepiej niż chłopcy na dole; oni mieszkają w jednym pokoju. Jednakże pan Bliss przekonywał, że musicie mieć więcej miejsca. – Popatrzyła na mnie z uśmiechem. Odwróciłam wzrok.

Lecz Kitty odrzekła pogodnie: – Idealne warunki, pani Dendy. Panna Astley i ja

urządźmy się tu jak w gniazdku. Prawda, Nan?

Zauważyłam, że znowu poróżowiła, choć pewnie stało się tak za sprawą wspinaczki po schodach.

– Pewnie – odrzekłam, spuszczać wzrok, po czym odebrałam torbę z rąk pana Blissa.

Nasz opiekun nie zabawił długo, widać krępował się przesiadywać w panińskim pokoju, bez względu na to, iż sam za niego płacił. Zamienił z Kitty parę słów o jutrzejszym spotkaniu w teatrze, gdzie miała porozmawiać z dyrektorem i poćwiczyć z orkiestrą przed wieczornym występem, a następnie uścisnął nam ręce i wyszedł. Jego odejście wprawiło mnie w nagły niepokój, podobnie jak niedawna perspektywa spotkania go na dworcu.

Wszakże gdy nas opuścił, a pani Dendy zamknęła wreszcie drzwi i kasząc ruszyła jego śladem po schodach, opadłam na fotel i zamknęłam oczy, przepełniona ulgą i radością z przebywania sam na sam z osobą, która tak wiele dla mnie znaczyła. Usłyszałam, jak Kitty przechodzi nad bagażem; otworzywszy oczy, ujrzałam, że stoi obok mnie i wyciąga rękę, aby poprawić kosmyk włosów, który wydostał się z warkocza i opadał mi na czoło. Ów dotyk sprawił, że ponownie zeszywniałam na całym ciele, nienawykła do czułych gestów, które jej przychodziły tak naturalnie, mnie zaś przyprawiły o dreszcze i rumieniec zażenowania.

Z uśmiechem zajęła się bagażem. Po chwili bezczynnej obserwacji Kitty wstałam i pospieszyłam jej z pomocą.

Rozpakowywanie zabrało nam godzinę. Moje nieliczne sukieneczki, trzewiki oraz bielizna nie zajęły wiele miejsca, ale Kitty oprócz codziennej odzieży miała do uporządkowania również kostiumy i kapelusze. Chętnie ją w tym wyręczyłam.

– To moje zadanie – oświadczyłam. – Spójrz na te kołnierzyki! Trzeba je wybielić. A pończochy! Podarte schowamy do osobnej szuflady. Spinki umieścimy w pudełku, inaczej się pogubią...

Odsunęła się, by umożliwić mi przejrzenie rękawiczek, gorsów i spinek do kołnierzyków; to zajęcie pochłonęło mnie bez reszty na minutę lub dwie. Wreszcie uniosłam głowę, podchwytyjąc wzrok Kitty. Wówczas zamrugała i oblała się rumieńcem.

– Nie masz pojęcia – rzuciła – jak się cieszę. Każda podrzędna artystka marzy o garderobianej, Nan. Każda znużona aktoreczka, która kiedykolwiek postawiła nogę na prowincjonalnej scenie, marzy o tym, aby zagrać w Londynie. Mieć dwa przytulne pokoiki zamiast jednego obscurnego i powóz, który zawiezie ją na przedstawienie, a potem odtransportuje do domu, podczas gdy biedniejszym artystom pozostaje tylko tramwaj. – Stała pod ukośnym sufitem z twarzą skrytą w cieniu, spoglądając na mnie wielkimi, pociemniałymi oczami. – I oto dostaję wszystko, o czym od tak dawna myślałam! Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy spełniają się twoje najskrytsze pragnienia?

Potrafiłam. Było to cudowne, a zarazem niepokojące uczucie, gdyż człowiek nie mógł oprzeć się myśli, że nie zasługuje na tyle szczęścia, że otrzymał je przez pomyłkę zamiast kogoś innego, i tylko patrzeć, jak zostanie mu odebrane. I nie istniało nic, czego by nie zrobił ani nie poświęcił, aby zachować obecny stan rzeczy. Wiedziałam, że Kitty i ja

czujemy dokładnie to samo, choć oczywiście z zupełnie innych powodów.

Ale nie wiedziałam, że nadejdzie chwila, kiedy o tym zapomnę.

Jak już mówiłam, rozpakowywałyśmy się przez godzinę. Zewsząd dobiegały odgłosy świadczące o obecności pozostałych lokatorów. Około szóstej zatrzeszczały schody i piętro niżej rozległ się donośny okrzyk: „Panno Butler, panno Astley!”. To pani Dendy przysłała nam zakomunikować, że na dole czeka kolacja oraz „spora gromadka osób, które chciałyby nas poznać”.

Byłam głodna, lecz perspektywa kolejnych uścisków rąk i wymiany uprzejmości nie budziła mojego entuzjazmu, Kitty jednak upierała się, aby zejść na dół, w przeciwnym razie bowiem lokatorzy pomyślą, że zadzieramy nosa. Dlatego odkrzyknęłyśmy pani Dendy, że zaraz zejdziemy, po czym Kitty zmieniła sukienkę, a ja przecesałam włosy, strzepnęłam nad kominkiem zakurzoną suknię i umyłam ręce. Tak wyszykowane, zbiegłyśmy po schodach.

Salon wyglądał zupełnie inaczej niż po naszym przyjeździe, kiedy piłyśmy tu herbatę. Rozłożony stół stał teraz na środku pokoju, nakryty do kolacji i – co istotniejsze – otoczony twarzami, które zwróciły się w naszą stronę z tym samym gładkim, wyćwiczonym uśmiechem obecnym na wszystkich zdjęciach. Zupełnie jakby pół tuzina portretów ni stąd, ni zowąd ożyło i opuściwszy zakurzone ramki, zgromadziło się przy stole pani Dendy.

Na stole znajdowało się osiem nakryć, w tym dwa puste, przeznaczone najwyraźniej dla mnie i Kitty. Pani Dendy siedziała na honorowym miejscu, zajęta rozdzielaniem plasterków wędliny; na nasz widok na wprost uniosła się z krzesła, prosząc, byśmy się rozgościły. Następnie jąla wskazywać widelcem pozostałych biesiadników. Najpierw przedstawiła nam starszego jegomościa w aksamitnej kamizelce, który siedział naprzeciw niej.

– Profesor Emery – oznajmiła bez cienia skrępowania. – Jasnowidz *extraordinaire*.

Profesor również podniósł się z krzesła i wykonał lekki ukłon.

– Stare dzieje – odpowiedział, rzucając na gospodynię przelotne spojrzenie. – Pani Dendy jest zbyt uprzejma. Minęło wiele lat, odkąd stałem przed pełną podziwu publicznością, odgadując zawartość czyjejś torebki. – Uśmiechnął się, po czym ciężko opadł z powrotem na krzesło. Kitty grzecznie go przywitała. Tymczasem pani Dendy wskazywała widelcem chudego, rudowłosego chłopaka, po prawej ręce profesora.

– Sims Willis – powiedziała. – Komik...

– Komik *extraordinaire*, ma się rozumieć – wtrącił pospiesznie chłopak i nachylił się, aby uścisnąć nam dłonie. – Tytuł jak najbardziej aktualny. A to... – dodał, wskazując na chłopca siedzącego na wprost – ...to jest Percy, mój brat. Gra na bębnach. Też *extraordinaire*.

Percy puścił oko i jakby na potwierdzenie słów brata pochwycił łyżki leżące obok talerza i rytmicznie załomotał nimi o stół.

Pani Dendy chrząknięciem poprosiła o ciszę, po czym wskazała na urodziwą dziewczynę o różowych wargach, siedzącą obok Simsa.

– No i oczywiście panna Flyte, nasza tancerka. Dziewczyna zachichotała.

– Mówcie do mnie Lydia – poprosiła, wyciągając rękę. – Pod tym pseudonimem występuję w... uspokoisz się wreszcie, Percy?... występuję w Pavilionie. Albo Monica, to moje prawdziwe imię.

– Albo Tootsie – wtrącił Sims – jak nazywają ją przyjaciele. Jeśli czytaliście „Ally Sloper’s”, domyślicie się dlaczego. Starczy powiedzieć, panno Butler, że na wieść o pani przyjeździe wpadła w istną panikę ze strachu, że okaże się pani rewiową ślicznotką o talii osy. Słyszając, że odgrywa pani mężczyznę, mało nie zemdląca z ulgi.

Tootsie szturchnęła go łokciem.

– Nie zwracajcie na niego uwagi – powiedziała. – Zawsze się droczy. Z radością powitam tu każdą dziewczynę, ślicznotkę czy nie. – Po tych słowach zerknęła na mnie z satysfakcją, jasno dając mi do zrozumienia, do której kategorii należą jej zdaniem. – Walter twierdzi, że ma pani przed sobą świetlaną przyszłość, panno Butler – podjęła, kiedy Kitty usiadła obok niej, pozostawiając mi miejsce koło Percy’ego. – Podobno jutro występuje pani w Star. To znakomite miejsce.

– Słyszałam. Mów do mnie Kitty...

– A pani, panno Astley? – zapytał Percy, kiedy dziewczęta podjęły wymianę zdań. – Od dawna jest pani garderobiana? Młodo pani wygląda.

– Tak naprawdę jeszcze nią nie jestem. Kitty wciąż mnie przyucza...

– Przyucza? – To znowu Tootsie. – Posłuchaj mojej rady i nie przyuczaj jej zbyt gorliwie, Kitty, bo ktoś ci ją zabierze. Widywałam to nieraz.

– Zabierze? – powtórzyła z uśmiechem Kitty. – Wykluczone. Nan przynosi mi szczęście...

Wbiłam wzrok w talerz, czując, że się rumienię. Pani Dendy, nadal zajęta półmiskiem, podała mi plaster galaretowatego mięsa.

– Może kawałeczek ozora, panno Astley?

Rozmowy przy stole dotyczyły wyłącznie spraw związanych z teatrem, przez co nie miałam wiele do powiedzenia. Wyglądało na to, że w domu nie było nikogo, kto nie miałby do czynienia ze sceną. Nawet nieładna Minnie, ósma osoba przy stole, dziewczyna, która po przyjeździe podała nam herbatę, a teraz pomagała pani Dendy przy serwowaniu potraw i uprzątnięciu talerzy, nawet ona należała do trupy baletowej i występowała w hali koncertowej w Lambeth. Zaiste, nawet pies Bransby, który niebawem ściągnął do salonu i oparł zachłanny pysk o kolano profesora Emery w nadziei na resztki z talerza, był rewiowym wygą i miał na koncie występy na południowym wybrzeżu pod pseudonimem „Archie, tańczący pies”.

W ten niedzielny wieczór nikt nie musiał po kolacji pędzić do teatru. Ba, odnosiło się nawet wrażenie, że zgromadzeni nie mają nic lepszego do roboty niż ćmić papierosy i wymieniać ploteczki. O siódmej ktoś zastukał do drzwi i do salonu wpadła dziewczyna w sukni z tiulu i satyny oraz złożonym diademem: okazała się znajomą z zespołu Tootsie i przyszła poprosić panią Dendy o opinię na temat kostiumu. Suknię rozłożono na dywanie i wyniesiono talerze; profesor usiadł przy pustym stole i rozłożył karty. Percy przyłączył się doń, pogwizdując, a Sims podchwycił melodię i uniósłszy wieko pianina, uderzył w

klawisze. Instrument nie nadawał się do użytku.

– Niech diabli wezmą ten stary rupieć! – zawołał Sims, nie przerywając gry. – Nawet Wagner brzmiałby na nim jak portowa przyśpiewka! – Lecz melodia wprawiła wszystkich w dobry humor i zobaczyłam, że Kitty uśmiecha się leciutko.

– Znam to – powiedziała i nie mogąc się dłużej powstrzymać, stanęła przy pianinie i wraz z Simsem odśpiewała refren.

Ulokowałam się na sofie z Bransbym i napisałam kartkę do rodziny. „Siedzę w najdziwniejszym salonie, jaki kiedykolwiek widziałam. Wszyscy są bardzo mili. Nawet pies ma tutaj artystyczny pseudonim! Gospodyni dziękuje za ostrygi...”.

Przyjemnie było odpoczywać na sofie w tak wesołym towarzystwie, ale około wpół do dziesiątej zobaczyłam, że Kitty ziewa. Wówczas zerwałam się z miejsca i życzyłam wszystkim dobrej nocy. Pospiesznie odwiedziłam wygódkę znajdującą się na tyłach domu, po czym w te pędy pobiegłam na górę i naciągnęłam koszulę nocną. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie spałam od tygodnia i padam na nos ze zmęczenia. Lecz ja wcale nie byłam śpiąca, chciałam jedynie wskoczyć do łóżka przed nadejściem Kitty i bez przeszkód poczekać na moment, kiedy znajdziemy się obie w ciemności, rozdzielone tylko dwiema cienkimi warstwami bawełnianych koszul.

Zjawiła się jakieś pół godziny później. Nie spojrzałam na nią ani nie zawołałam, ona zaś w milczeniu krążyła po pokoju, pewnie myśląc, że śpię, gdyż leżałam nieruchomo na boku i z całej siły zaciskałam powieki. Z dołu docierały rozmaite odgłosy: śmiech, trzaskanie drzwiami oraz szum wody w dalekich rurach. Wreszcie zapadła cisza i usłyszałam szmer zdejmowanej odzieży: cichą salwę puszczających zatrząsków, szelest spódnicy, a potem halki oraz westchnienia rozwiązywanych tasiemek. Potem rozległ się tupot bosych stóp i zrozumiałam, że Kitty musi być naga.

Wcześniej zgasłam lampę, pozostawiając zapaloną świecę. Wiedziałam, że gdybym teraz otworzyła oczy i nieco przechyliła głowę, zobaczyłabym ją ubraną tylko w cienie oraz bursztynową poświatę ogarka.

Nie otworzyłam jednakże oczu. Niebawem rozległ się kolejny szelest, który oznaczał, że włożyła koszulę nocną. Zaraz też zgasło światło, łóżko skrzypnęło i zachybotało: Kitty leżała obok mnie, ciepła i zatrzważająco rzeczywista.

Westchnęła. Jej oddech owiał mi kark; wiedziałam, że na mnie patrzy. Znowu poczułam na szyi jej oddech, a potem jeszcze raz.

– Śpisz? – wyszeptała wreszcie.

– Nie – odpowiedziałam, nie mogąc dłużej udawać. Położyłam się na plecach, przez co leżałyśmy jeszcze bliżej siebie – łóżko było naprawdę wąskie – dlatego przesunęłam się pospiesznie w lewo i zawisłam na samej krawędzi. Teraz jej oddech owiewał mi policzek i wydawał się jeszcze cieplejszy niż przedtem.

– Tęsknisz za domem, za Alice? – zapytała. Potrząsnęłam głową.

– Ani trochę?

– No...

Poczułam, że się uśmiecha. Delikatnym, acz zdecydowanym ruchem ujęła mój nadgarstek, po czym wsunawszy głowę pod uniesione ramię wtuliła mi się w obojczyk, nie wypuszczając z dłoni mojej ręki. Jej policzek dosłownie parzył mnie przez koszulę.

– Jak szybko bije ci serce! – powiedziała, a ono rzecz jasna забиło jeszcze mocniej. Ponownie westchnęła; jej oddech przedostał się przez rozcięcie koszuli i owiał moją nagą skórę. – Tyle razy leżałam w beznadziejnym pokoju u pani Pugh, rozmyślając o tobie i Alice w łóżku waszego domu na brzegu morza. Czy leżąc obok niej, czułaś to samo, co teraz?

Nie odpowiedziałam. Ja również wróciłam myślami do sypialni w rodzinnym domu. Jakąż męką było tkwić obok śpiącej Alice z głową przepełnioną myślami o Kitty. I o ileż trudniej było leżeć teraz obok Kitty, tak bliskiej i niczego nieświadomej! Była to istna tortura. Jutro się spakuję, postanowiłam w duchu. Wstanę wcześniej i wrócę do domu pierwszym pociągiem...

Kitty mówiła dalej, niezrażona moim milczeniem.

– Ty i Alice – powtórzyła. – Czy masz pojęcie, jak byłam zazdrosna...?

Przełknęłam ślinę.

– Zazdrosna? – W mroku to słowo zabrzmiało okropnie.

– Tak. Ja... – Urwała z wahaniem. – Widzisz – podjęła – w przeciwieństwie do koleżanek nigdy nie miałam siostry... – Puściwszy moją rękę, objęła mnie mocno w talii. – Ale teraz jesteśmy jak siostry, nie uważasz? Będiesz moją siostrą, prawda?

Szttywno poklepałam ją po ramieniu. Następnie odwróciłam twarz, przepełnioną mieszaniną ulgi i rozczarowania.

– Ależ tak, Kitty – zapewniłam, a wtedy ścisnęła mnie jeszcze mocniej.

Wkrótce potem zasnęła i jej głowa zaciążyła mi na piersi.

Lecz ja leżałam bezsennie, podobnie jak u boku Alice. Z tą różnicą, że nie snułam marzeń, tylko toczyłam ze sobą wewnętrzny dialog.

Wiedziałam, że rano wcale się nie spakuję i nie odjadę: zabrnęłam zbyt daleko, aby to uczynić. Jeśli jednak miałam z nią zostać, musi być tak, jak powiedziała, muszę stłumić niestosowne pragnienia i nazywać ją siostrą. Albowiem być siostrą Kitty oznaczało więcej niż być dla niej nikim. Jeżeli zaś rozgorączkowane serce i głowa zaczną protestować, muszę przywołać je do porządku. Muszę nauczyć się kochać Kitty tak, jak ona kochała mnie, lub też nie kochać jej wcale.

A to byłoby nie do pomyślenia.

Rozdział 4

Następnego dnia w południe udaliśmy się do teatru. Nie mógł się on nawet w części równać okazałym rewiom West Endu, przed którymi snuliśmy miłe marzenia o sukcesie Kitty, choć należało przyznać, że i tak robił wrażenie. Ówczesnym dyrektorem Star był niejaki pan Ling; powitał nas na progu i zaprowadził do gabinetu, gdzie odczytał na głos warunki kontraktu Kitty. Uzyskawszy jej podpis, wstał, po czym wezwał inspicjenta i bez zbędnych ceregieli kazał zaprowadzić nas na scenę. Stałam z boku, nieco zażenowana, czekając, aż Kitty porozmawia z dyrygentem i przećwiczy z orkiestrą swój numer. W pewnej chwili podszedł do mnie mężczyzna z miotłą opartą o ramię i zapytał szorstko, kim jestem i co tu robię.

– Czekam na pannę Butler – odrzekłam piskliwie.

– Aha – skwitował. – Wobec tego będziesz musiała poczekać gdzie indziej, skarbie, bo muszę tu zamieść, a ty mi przeszkadzasz. Zmykaj.

Odeszłam stamtąd i czerwona jak burak przystanąłam na korytarzu, mijana przez chłopców z koszami, drabinami i wiadrami piasku, którzy taksowali mnie spojrzeniami bądź przeklinali, gdy blokowałam im przejście.

Wieczorem było łatwiej, gdyż poszliśmy prosto do garderoby, gdzie przynajmniej wiedziałam, co należało robić. Zaraz jednak mina mi zrzedła, ponieważ garderoba nie przypominała przytulnego pokoiku w Palace, który Kitty miała do swej wyłącznej dyspozycji i o który dbałam tak sumiennie. Wnętrze było mroczne i zakurzone, z ławkami i wieszakami przeznaczonymi dla tuzina artystek, jednym zatłuszczonym zlewem dla wszystkich oraz drzwiami, które trzeba było podpierać od środka, w przeciwnym bowiem razie ciężko zwisały na zawiasach, narażając artystki na niepowołane spojrzenia. Przyszliśmy późno i większość wieszaków była zajęta, a na kilku ławkach siedziały kobiety i dziewczęta w rozmaitych stadiach neglizju. Na nasz widok uniosły głowy i większość z nich uśmiechnęła się przyjaźnie, kiedy zaś Kitty wyjęła paczkę weightów i zapałki, któraś zawołała:

– Chwała Najwyższemu, kobieta z papierosem! Poczęstujesz nas jednym, co? Do wypłaty jestem splukana.

Kitty miała wystąpić w pierwszej połowie. Gdy pomagałam jej przy wkładaniu kostiumu, czułam się całkowicie spokojna, kiedy jednak czekałyśmy za kulisami na jej

numer, spoglądając na nieznaną teatr i zgromadzone w nim rzesze widzów, ku swemu zdumieniu stwierdziłam, że drzę. Popatrzyłam na Kitty. Jej twarz pod warstwą makijażu była blada, chociaż nie wiem, czy ze strachu, czy z desperacji. Wiedziona chęcią dodania jej otuchy, a zarazem pomna swego niedawnego postanowienia, siostrzanym gestem ujęłam jej dłoń i mocno ścisnęłam.

Kiedy reżyser wreszcie kiwnął głową, musiałam odwrócić wzrok. W tym teatrze nie było konferansjera, przywołującego widownię do porządku, Kitty zaś występowała po popularnym komiku, którego wywoływano na scenę czterokrotnie i który wreszcie umknął za kulisy ku wielkiemu niezadowoleniu gawiedzi, nader rozczarowanej i rozkojarzonej. Zabrzmiały pierwsze takty piosenki Kitty. Gdy ona sama stanęła w świetle reflektorów i machając kapeluszem, wykrzyknęła „halo!”, odpowiedział jej tylko niemrawy aplauz widzów, wywołany zapewne jej niecodziennym strojem. Z niepokojem przesunęłam wzrokiem po sali, dostrzegając, że na widowni panuje chaos: ludzie wstawali z miejsc, kierując się w stronę baru lub toalety, jacyś chłopcy obsiedli barierkę galerii, zwróceniem plecami do sceny, dziewczęta zaś nawoływały przyjaciółki oddalone o trzy rzędy bądź plotkowały z sąsiadkami, patrząc wszędzie, tylko nie na scenę, gdzie Kitty, prześliczna, zdolna Kitty, dawała z siebie wszystko.

Stopniowo jednak nastrój w teatrze zaczął ulegać zmianie, z początku powoli, potem coraz szybciej. Po pierwszej piosence jakiś mężczyzna wychylił się z balkonu i wrzasnął: „A teraz dawać tu Nibsa!”. Miał na myśli Nibsa Fullera, komika występującego przed Kitty. Nawet nie mrugnęła okiem, uniosła tylko kapelusz i zawołała: „A co, jest ci winien forsz?”. Publiczność wybuchnęła śmiechem i uważniej wysłuchała kolejnej piosenki, po której nastąpiły nieco bardziej energiczne oklaski. Gdy po jakimś czasie ktoś inny zaczął domagać się Nibsa, natychmiast został uciszony przez sąsiadów, kiedy zaś Kitty doszła do ballady i numeru z różą, tłum siedział zasłuchany i pełen podziwu.

Patrzyłam na nią jak urzeczona. Kiedy znużona i zarumieniona wróciła za kulisy, ustępując miejsca kolejnemu komikowi, mocno ścisnęłam palcami jej ramię. Zaraz też zjawił się pan Bliss w towarzystwie pana Linga. Śledzili jej występ z widowni i obaj mieli bardzo zadowolone miny. Pan Bliss chwycił oburącz dłoń Kitty i uścisnął ją z okrzykiem: „Triumf, panno Butler! Całkowity sukces!”.

Pan Ling okazał nieco więcej rezerwy.

– Dobra robota, moja droga – oznajmił i skinął jej głową. – Trudna publiczność, a pani owinęła ją sobie wokół palca. Jak tylko do końca zgra się pani z orkiestrą, będzie pani znakomita.

Kitty jednak zmarszczyła brwi. Chwyciła przyniesiony przeze mnie ręcznik i przycisnęła sobie do twarzy. Następnie zdjęła surdut i rozluźniła krawat.

– Nie było tak dobrze – uznała wreszcie – jak bym chciała. Zabrakło iskry, werwy.

Pan Bliss prychnął i rozłożył ręce.

– Moja droga, to pani pierwszy wieczór w stolicy! Nigdy nie występowała pani w tak dużym teatrze! Ludzie panią poznają, wieść się rozniesie. Proszę uzbroić się w

cierpliwość. Niedługo będą kupować bilety tylko dla pani!

Zobaczyłam, że dyrektor łypnął nań z ukosa, ale Kitty wreszcie się uśmiechnęła.

– Od razu lepiej – ucieszył się pan Bliss. – A teraz, jeśli panie pozwolą, zapraszam je na małą kolację. Małą, leciutką kolację z dużym kieliszkiem musującego napoju, panno Butler.

Restauracja, do której nas zabrał, znajdowała się niedaleko i była ulubionym lokalem ludzi teatru. Okupowali ją mężczyźni w fantazyjnych kamizelkach, wypisz wymaluj jak pan Bliss, oraz młodzi ludzie obojga płci, którzy podobnie jak Kitty mieli smugi szminki na mankietach i okruchy czernidła w kącikach oczu. Przy każdym niemal stole siedział jakiś znajomy pana Blissa i zewsząd płynęły przyjazne okrzyki, lecz on tylko pomachał ręką w geście ogólnego pozdrowienia i zaprowadził nas do wolnego stolika, a następnie poprosił kelnera o kartę dań. Po złożeniu zamówienia szepnął coś kelnerowi na ucho. Mężczyzna oddalił się, po czym wrócił z butelką szampana i pan Bliss ceremonialnie przystąpił do jej otwierania. Przy sąsiednich stolikach rozległy się wiwaty i ku powszechnej wesołości jakaś kobieta zanuciła, że „szampana nie chce ani wina i piwem wzgardzi też, gdyż nawet mała trunku krztyna w głowie zawróci jej”.

Pomyślałam o kartce, którą napiszę po powrocie do domu pani Dendy. „Jadłam kolację w restauracji teatralnej. Kitty zadebiutowała na londyńskiej scenie i wszyscy mówią, że odniosła sukces...”.

Tymczasem Kitty i pan Bliss prowadzili energiczną wymianę zdań; wsłuchawszy się uważniej, zrozumiałam, że sprawa jest poważna.

– Mam prośbę – mówił pan Bliss – na jaką bym się nie odważył, nie będąc pani agentem. Chciałbym, aby chodziła pani po mieście... a pani musi jej towarzyszyć, panno Astley – dodał, podchwytyjąc moje spojrzenie. – Macie chodzić po mieście i patrzeć na mężczyzn!

Spojrzałam ze zdumieniem na Kitty, a ona odpowiedziała mi niepewnym uśmiechem.

– Patrzeć na mężczyzn? – powtórzyła.

– Obserwować ich! – oświadczył dobitnie pan Bliss, atakując nożem kawałek kotleta. – Analizować charaktery, drobne nawyki, gestykulację oraz postawę. Zastanawiać się, skąd pochodzą? Co ukrywają? Czy mają ambicje? Nadzieje i marzenia? Narzeczone, które wystawiły ich do wiatru? A może dokuczają im tylko obolałe nogi i puste brzuchy? – Pomachał widelcem. – Musi pani się tego dowiedzieć, a potem nauczyć się ich naśladować, aby swą wiedzę zademonstrować publiczności.

– Jednym słowem – odrzekłam, nie rozumiejąc – chce pan zmienić numer Kitty?

– Chcę poszerzyć jej repertuar, panno Astley. Jej dandys to równy gość, ale przecież nie może do końca życia paradować Burlington Arcade w lawendowych rękawiczkach. – Ponownie spojrzał na Kitty i otarłszy usta serwetką, dorzucił konspiracyjnym tonem: – Co pani sądzi o policyjnym mundurze? Albo marynarskiej koszuli? O bryczesach bądź surducie z guzikami z masy perłowej? – Zerknął na mnie. – Proszę sobie wyobrazić, panno Astley, te wszystkie eleganckie, męskie stroje, które w tejże właśnie chwili tkwią beczynnym na dnie kosza w pracowni kostiumów, czekając, aż Kitty Butler je włoży i

obudzi do życia! Proszę pomyśleć o precudnych materiałach, kremowych samodziałach, szeleszczących jedwabiach, purpurowych aksamitach i szkarłatnych dzianinach, proszę posłuchać szczęku krawieckich nożyczek oraz trzasku igły pomykającej wzdłuż zakładki. Niech pani sobie wyobrazi sukces panny Butler przebranej za żołnierza, straganiarza lub księcia...

Wreszcie umilkł, a Kitty spojrzała na niego z uśmiechem.

– Panie Bliss – powiedziała. – Byłabym skłonna uwierzyć, żeś pan zdolny namówić jednorękiego do żonglowania.

Ze śmiechem uderzył dłonią w stół, aż zabrzęczały sztuce, po czym wyszło na jaw, że istotnie wśród jego klientów znajdował się jednoręki żongler, znany jako „Drugi Cinquevalli: połowiczne możliwości, podwójny talent!”.

Stało się tak, jak obiecał i zarządził. Wysłał nas do krawców oraz szwaczek i kazał uszyć dla Kitty tuzin męskich kostiumów. Następnie oddał ją w ręce fotografów, którzy uwiecznili ją z policyjnym gwizdkiem w ustach, z bagnetem na ramieniu bądź z okrętową liną w rękach. Znalazł piosenki pasujące do przebrań, po czym wygrywał melodie na starym, okropnym pianinie pani Dendy, abyśmy mogły same je ocenić. Przede wszystkim zaś załatwił angaże w rewiach Hoxton, Poplar, Kilburn i Bow. W przeciągu dwóch tygodni londyńska kariera Kitty ruszyła pełną parą. Teraz po skończonym przedstawieniu nie przebierała się z powrotem w dziewczęce ciuszki; czekałam z jej płaszczem i koszykiem, i gdy tylko schodziła ze sceny, pędziłyśmy do wyjścia, gdzie stał nasz powóz, po czym jechałyśmy zatłoczonymi ulicami do kolejnego teatru. Podczas każdego występu przebierała się trzy-, a nawet czterokrotnie. Stałam się garderobianą z prawdziwego zdarzenia: w przerwach między piosenkami, gdy orkiestra wygrywała początkowe takty kolejnych utworów, a publiczność trwała w niecierpliwym oczekiwaniu, pomagałam Kitty szybko rozpinać guziki i wyciągać spinki z mankietów.

Nasz rytm dnia uległ dość radykalnej zmianie: występy w trzech lub czterech rewiach sprawiły, że wracałyśmy na Ginevra Road około pierwszej nad ranem, obolałe i skonane, a zarazem ubawione i rozgorączkowane obłąkańczą gonitwą po mieście oraz niecierpliwym wyczekiwaniem w garderobach i za kulisami. W domu zastawałyśmy Simsa i Percy’ego oraz Tootsie z czeredą przyjaciół, którzy równie rześcy i ożywieni jak my robili herbatę i kakao, a także przyrządzali królika po walijsku i smażyli naleśniki w kuchni naszej gospodyni. Zjawiała się też sama pani Dendy: tak długo gościła pod swym dachem artystów rewiowych, że w końcu sama dostosowała się do ich rytmu i często proponowała grę w karty albo piosenkę na dobranoc. Wkrótce przestało być tajemnicą, że lubię śpiewać i mam ładny głos, dlatego niekiedy śpiewałam razem z Kitty. Nigdy nie kładłam się przed trzecią i nie wstawałam przed dziewiątą lub dziesiątą rano; jednym słowem, bez trudu porzuciłam swe domowe nawyki.

Nie zapomniałam jednak o rodzinie. Jak wspomniałam, wysyłałam im pocztówki, na których pisałam o występach Kitty i przekazywałam teatralne ploteczki. W odpowiedzi otrzymywałam listy i paczki oraz naturalnie baryłki z ostrygami, które oddawałam

gospodyni, aby przygotowywała je dla wszystkich na kolację. Jednakże moje listy z czasem stały się coraz rzadsze, a odpowiedzi na kartki i upominki spóźnione i nader zwięzłe. „Kiedy nas odwiedzisz?”, padało niezmiennie na koniec każdego listu. „Kiedy przyjedziesz do domu do Whitstable?”. „Niedługo”, odpowiadałam, albo: „Jak nie będę potrzebna Kitty...”.

Ale zawsze byłam jej potrzebna. Mijały tygodnie, nastąpiła kolejna pora roku, a noce zrobiły się dłuższe, ciemniejsze i zimne. Wspomnienie Whitstable może nie przyblakło, ale jak gdyby zeszło na drugi plan. Nie żebym nie myślała o rodzicach, o Alice, Davym i kuzynach, po prostu Kitty oraz moje nowe życie pochłaniały mnie bez reszty...

Istotnie miałam o czym myśleć. Byłam garderobianą Kitty, jak również jej przyjaciółką, doradczynią i towarzyszką w każdej sytuacji. Kiedy uczyła się nowej piosenki, trzymałam kartkę z tekstem, na wypadek gdyby zapomniała słów. U krawca kiwałam głową albo kręciłam z dezaprobatą, jeśli krój pozostawiał nawet niewiele do życzenia. Gdy zgodnie ze sprytną radą pana Blissa (albo Waltera, jak obecnie kazał się nazywać) oddawała się wielogodzinnej „obserwacji mężczyzn” w sklepach, na targowiskach lub dworcach, ja wiernie dotrzymywałam jej towarzystwa i wspólnie uczyłyśmy się dostojnego kroku konstabla, znużonego chodu przekupnia i dziarskiego marszu żołnierza na przepustce.

Jednocześnie poznawałyśmy sekrety szalonej metropolii, dzięki czemu wreszcie stopniowo oswoiłam się z Londynem, tak jak oswoiłam się z Kitty, bezgranicznie urzeczona i oczarowana wdziękiem ich obojga. Chodziłyśmy na spacer do wielkich, prześlicznych parków i ogrodów, zielonych niczym oazy pośród wszechogarniającego kurzu ulic, a zarazem ruchliwych jak one. Spacerowałyśmy po West Endzie, podziwiając widoki, nie tylko pałace, zabytki i galerie, ale i małe dramaty dnia codziennego: wywrotkę powozu, ucieczkę węgorka z taczki sprzedawcy bądź uliczną kradzież.

Zagłębiałyśmy również nad rzekę – stawałyśmy na moście Londyńskim oraz moście Battersea i wszystkich pomiędzy nimi, spoglądając w dół na rozległą, cuchnącą strugę Tamizy. Wiedziałam, że płynie prosto do czystego, łagodnego morza pełnego ostryg, nad którym dorastałam. Obserwując łódki spacerowe pod Lambeth, czułam dziwny dreszcz na myśl, że odbyłam podróż pod prąd, w przeciwnym kierunku, z małej nadmorskiej miejscowości do tętniącego życiem miasta. I uśmiechałam się na widok rybackich barek z Kentu, które bynajmniej nie budziły we mnie tęsknoty za domem. Kiedy zaś zawracały, udając się w drogę powrotną, nie czułam nawet ukłucia zazdrości.

I gdy tak chodziłyśmy, obserwując, a zażyłość między nami pogłębiała się coraz bardziej, niepostrzeżenie nastał koniec roku. Nadal dopracowywałyśmy szczegóły każdego numeru i wreszcie można było powiedzieć, że Kitty odniosła swego rodzaju sukces. Każdy kolejny kontrakt załatwiony przez Waltera obejmował dłuższy okres i opiewał na wyższą sumę; wkrótce też z uwagi na nadmiar ofert Kitty zmuszona była niektóre z nich odrzucać. Zyskała wielu wielbicieli – dżentelmenów przysyłających jej kwiaty i zaproszenia na obiad (które ku mojej cichej uldze ze śmiechem odrzucała), chłopców proszących o zdjęcie oraz dziewczęta gromadzące się przy wyjściu, żeby jej powiedzieć, jaka jest ładna. Nie

wiedziałam, czy czuć wobec nich litość, wyższość czy też strach – tak bardzo przypominały mnie samą, a tylko ślepy traf sprawił, że nie znalazłam się na ich miejscu.

Lecz nie osiągnęła tego, czego pragnęła najusilniej i co obiecywał jej Walter: statusu gwiazdy. Nadal występowała na przedmieściach i w lepszych rewiach East Endu (bywało, że w gorszych także, na przykład Foresters i Sebright, gdzie w przyływie niezadowolenia publiczność rzucała w artystów butami). Jej nazwisko nie krzyczało wielką czcionką z afiszów, nikt też nie gwizdał i nie nucił na ulicy jej piosenek. Według Waltera problem nie tkwił w samej Kitty, ale w jej numerze. Miała zbyt wiele rywalek: występy w przebraniu mężczyzny, dawniej wymagające podobnych kwalifikacji jak zonglerka, w nagły i niewytłumaczalny sposób stały się dla widzów niemalże chlebem powszednim.

– Dlaczego każda dziewczyna, która chce spróbować swoich sił na scenie, musi robić to w spodniach? – zżymał się Walter, kiedy promowano występ kolejnej artystki. – Czemu wszystkie szansonistki rwą się, by wkładać pumpy i wycinać hołubce? Kitty, urodziłaś się, aby grać chłopca, każdy głupiec to widzi; gdybyś była prawdziwą aktorką, grałabyś Rosalindę, Violę lub Porcję. A te wszystkie artystki z Bożej łaski, Fannie Leslie, Fanny Robina, Bessie Bonehill, Millie Hilton wyglądają w surdutach równie naturalnie jak ja wyglądałbym w krynolinie lub tiurniurze. Złość mnie ogarnia... – Mówiąc to, klepnął w podłokietnik i z wiekowego obicia fotela uniosła się chmura kurzu i kłaczków. – Złość mnie ogarnia, kiedy widzę, jak te beztalencia sprzątają ci sprzed nosa angaże i – co gorsza! – sławę. – Wstał i położył dłonie na ramionach Kitty.

– Stoisz u progu gwiazdorstwa – oświadczył, popychając ją lekko, tak że musiała dla równowagi złapać go za rękę.

– Musi być coś, co pchnie cię do przodu i wyróżni spośród tego stada płasających pensjonarek!

Ba, tylko co? Zachodziliśmy w głowę, a tymczasem Kitty dalej występowała w podrzędnych teatrach marnych dzielnic – Islington, Marylebone, Battersea, Peckham, Hackney – okrążając Leicester Square i przejeżdżając nocą po West Endzie, gdzie Alhambra i Empire nadal pozostawały dla niej zamknięte.

Szczerze mówiąc, wcale mi to nie przeszkadzało. Lojalnie żałowałam, że londyńska kariera Kitty okazała się pewnym rozczarowaniem, lecz w skrytości ducha sprawiało mi to niemalą ulgę. Znałam jej wartość i podczas gdy jakaś część mnie chciała, podobnie jak Walter, podzielić się tą wiedzą ze światem, większa część pragnęła zachować ją dla siebie, skrytą i bezpieczną. Byłam bowiem przekonana, że gdyby Kitty zyskała prawdziwą sławę, ani chybi bym ją straciła. Nie podobało mi się, gdy wielbiciele przysyłali kwiaty bądź wystawiali przed wejściem, prosząc o zdjęcia i pocałunki; większa sława oznaczałaby więcej owych kwiatów i pocałunków. Poza tym nie mogłam uwierzyć, że Kitty bez końca będzie odrzucać zaproszenia mężczyzn albo że któregoś dnia w tłumie wielbicielek nie znajdzie się dziewczyna, którą polubi bardziej niż mnie...

Sława przyniosłaby jej również pieniądze. Mogłaby kupić dom: wówczas musiałybyśmy opuścić Ginevra Road oraz naszych nowych przyjaciół, zostawiłybyśmy naszą maleńką

sypialnię i łóżko, i zajęłybyśmy osobne pokoje. Owa myśl była nie do zniesienia. Przywykłam bowiem wreszcie do spania z nią w jednym łóżku i nauczyłam się nonszalancko przyjmować okazywane mi dowody sympatii i pocałunki, a nawet niekiedy je odwzajemniać. Przywykłam też do widoku Kitty śpiącej lub rozebranej. Przestałam w zdumieniu wstrzymywać oddech, gdy po otwarciu oczu dostrzegałam jej rozjaśnioną porannym brzaskiem nieruchomą twarz. Widziałam, jak rozbiera się do mycia i przebiera do obiadu. Znałam jej ciało równie dobrze jak własne, a nawet lepiej, w moich oczach bowiem jej głowa, szyja, nadgarstki, plecy, ramiona (tak gładkie, krągłe i piegowate jak policzki) i skóra (którą nosiła z wdziękiem niczym skrojony na miarę, wygodny kostium) były znacznie piękniejsze i bardziej urzekające niż te należące do mnie.

Nie, nie chciałam nic zmieniać, nawet wówczas, gdy dowiedziałam się o Walterze czegoś, co wprawilo mnie w nie lada osłupienie.

Siłą rzeczy spędzałyśmy z nim tak dużo czasu, pracując nad piosenkami przy pianinie pani Dendy bądź jedząc wspólnie kolacje, że w końcu stał się dla nas obu bardziej przyjacielem niż partnerem w interesach. Doszło do tego, że przebywałyśmy w jego towarzystwie nie tylko w dni robocze, ale i w niedziele, co wkrótce stało się regułą; nasłuchiwałyśmy turkotu jego powozu na Ginevra Road, łomotu jego butów na schodach prowadzących na strych, stukania do drzwi i nedorzecznych, przesadnych pozdrowień. Przynosił nam plotki i nowinki, jeździliśmy do miasta albo wyjeżdżaliśmy na wieś. Gdy spacerowaliśmy razem, Walter maszerował między nami niczym hałaśliwy wujaszek, dobroduszny i jowialny.

Traktowałam to jako coś normalnego aż do pewnego ranka, kiedy jadłyśmy śniadanie wraz z Simsem, Percym i Tootsie. Była niedziela i nikt się nigdzie nie spieszył; na wieść o tym, z kim zamierzamy się spotkać, Sims wyraził nieopisane zdziwienie.

– Jak pragnę zdrowia, Kitty! – wykrzyknął. – Ten Bliss musi z tobą wiązać nieliczne nadzieje! Nigdy nie widziałem, aby poświęcał komuś tyle uwagi. Pomyślałby kto, że to twój narzeczony! – Rzucił to raczej zdawkowo, ujrzałam jednak, że Tootsie zerka z uśmiechem na Percy'ego, Kitty zaś – o zgrozo! – rumieni się i odwraca głowę. Wówczas domyśliłam się prawdy, przeklinając w duchu własną głupotę. I kiedy pół godziny później Walter stanął w progu i nadstawiając lśniący policzek, zawołał: „Pocałuj mnie, Kate!”, zachmurzona z namysłem przygryzłam wargę.

Był w niej trochę zakochany, może nawet więcej niż trochę. Widziałam to w maślanych spojrzeniach, które czasem rzucał w stronę Kitty oraz w pośpiechu, z jakim wnet odwracał głowę. Widziałam, jak korzystał z okazji, by ucałować jej dłoń, przytrzymać łokieć lub oprzeć ociężałą i niezdarną z pożądania rękę na jej szczupłych barkach; słyszałam, jak zwracał się do niej niepewnym, zachrypniętym głosem. Wszystko to stało się dla mnie jasne z tego samego powodu, dla którego tak długo pozostawałam ślepa i głucha: działa się tak, ponieważ jego namiętność była moją własną, którą przywykłam uważać za niegodną uwagi i zawstydzającą.

Byłam bliska litości, a jednocześnie prawie go pokochałam. Nie czułam doń nienawiści,

jako że nie można nienawidzić własnego odbicia w lustrze, bezlitośnie i złowrogo obnażającego niedostatki naszej urody. Nie zaczęłam też wzdragać się przed jego towarzystwem i upierać przy tym, byśmy odtąd spędzały czas tylko we dwie. Stał się dla mnie kimś w rodzaju rywala, a zarazem było mi niemal łatwiej kochać ją z nim niż bez niego. Obecność Waltera pozwalała mi być równie śmiałą, wesołą i sentymentalną jak on, udawać, że darzę Kitty najwyższym uwielbieniem, co było równie dobre, jak móc czynić to naprawdę.

Jeśli zaś nadal pragnęłam, a jednocześnie bałam się jej dotykać... cóż, jak już wspomniałam, fakt, iż Walter odczuwał to samo, niejako sankcjonował moje uczucie i powściągliwość. Stała się gwiazdą, moją prywatną gwiazdą, i podobnie jak Walter byłabym rada na zawsze zachować ją na własnej, dalekiej orbicie.

Nie podejrzewałam, jak prędko przyjdzie nam się ze sobą zderzyć.

Nastał grudzień; podczas gdy w sierpniu panowały niespotykane upały, ten miesiąc przyniósł nam taki ziąb, że świetlik nad schodami u mateczki Dendy bywał zamarznięty przez kilka dni z rzędu, rankiem zaś wypuszczałyśmy z ust obłoczki pary i zmuszone byłyśmy spać w ubraniach.

W Whitstable nie znosiliśmy mrozu, ponieważ utrudniał pracę trawlerom. Pamiętam, jak w styczniowe wieczory Davy siadał przy kominku w salonie i płakał, dosłownie płakał z bólu, kiedy jego spękane dłonie i zeszywniałe stopy powoli zaczynały tajać. Pamiętam też własne palce, obolałe od sprawiania niezliczonych wiader zimowych ostryg i ciąglego przenoszenia ich z lodowatej solanki do parującego garnka z zupą.

U pani Dendy zaś wszyscy uwielbiali zimę, powtarzając, że im chłodniej, tym lepiej. Mróz i przejmujący wiatr zapewniały pełną salę. Dla wielu londyńczyków bilet do teatru był tańszy niż wiadro węgla, a jeśli nawet nie tańszy, to przynajmniej dostarczał większej rozrywki: po cóż bowiem przesiadywać w lodowatym pokoju, tupiąc i zabijając ręce, kiedy można iść do Star albo Paragona, by tupać i klaskać wraz z sąsiadami, mając przy tym za akompaniorkę Marie Lloyd? W najzimniejsze wieczory na widowniach rozbrzmiewał płacz niemowląt: matki wołały przynosić dzieci na przedstawienia niż skazywać je na sen – kto wie, czy nie wieczny – w wilgotnych, przewiewnych kołyskach.

Lecz owej zimy u pani Dendy nie troszczyliśmy się zbytnio o los zamarznętych dzieci, czerpiąc niespotykaną radość ze sprzedaży biletów, przypływu bręczącej gotówki w kieszeni oraz faktu, że nikt z nas nie mógł narzekać na brak zajęcia. Na początku grudnia Kitty dostała angaż do rewii w Marylebone, gdzie przez cały miesiąc co wieczór miała zapewnione dwa występy. Miło było siedzieć w zielonym pokoju i plotkować między przedstawieniami, wiedząc, że nie czeka nas szaleńcza gonitwa przez zaśnieżony Londyn. Pozostali artyści – trupa żonglerów, iluzjonista, dwie lub trzy szansonistki oraz małżeństwo karłów zwanych Drobinkami – byli równie zadowoleni jak my. Tworzyliśmy bardzo wesołą gromadkę.

Ostatnie przedstawienie przypadało w Boże Narodzenie. Być może powinnam była spędzić święta w Whitstable, gdyż wiedziałam, że tego właśnie oczekują rodzice.

Wiedziałam jednak, jak będzie wyglądał świąteczny obiad. Wokół stołu zgromadzi się dwadzieścioro kuzynów i wszyscy będą się przekrzykiwać i podkradać sobie indyka z talerza. Zapanuje taki zgiełk i chaos, że nikt nie odczuje mojej nieobecności, w przeciwieństwie do Kitty, która tęskniłaby za mną bardzo; owa świadomość wprowadziłaby mnie w tak paskudny nastrój, że z całą pewnością popsułabym humor wszystkim dookoła. Dlatego postanowiłam spędzić święta z nią (oraz, jak zwykle, z nieodłącznym Walterem), przy stole pani Dendy, zając pieczoną gęś i wychylając niezliczone kieliszki szampana oraz kufle jasnego piwa za pomyślność w nadchodzącym roku.

Prezentów było zatrzesienie: paczka z domu (matka dołączyła do niej urażony liścik, który nie wywarł na mnie większego wrażenia), podarunki od Waltera (broszka dla Kitty, szpilka do kapelusza dla mnie). Wysłałam paczki do Whitstable i obdarowałam mieszkańców domu pani Dendy. Dla Kitty kupiłam najładniejszą rzecz, jaką znalazłam: perłę, pojedynczą nieskazitelną perłę na srebrnym łańcuszku. Kosztowała dziesięć razy więcej, niż kiedykolwiek wydałam na prezent; dotykając jej, nie mogłam powstrzymać drżenia rąk. Na jej widok pani Dendy zmarszczyła brwi. „Perły to łzy”, oświadczyła, potrząsając głową – była bardzo przesądna. Lecz Kitty okazała szczerą zachwyty i kazała od razu zawiesić ją sobie na szyi, tuż pod uroczym zagłębieniem między obojczykami.

– Nigdy jej nie zdejmę – oznajmiła, przeglądając się w lustrze. I tak też się stało: nosiła perłę nawet na scenie, pod koszulą i krawatem.

Ona również kupiła mi prezent. Owinięte bibułą i ozdobione kokardą pudełko zawierało najpiękniejszą rzecz, jaką w życiu dostałam: długą, dopasowaną, granatową suknię z kremową szarfą w talii oraz koronkową lamówką przy staniku i u dołu, suknię daleko zbyt wyszukaną jak na moje potrzeby. Wyjęłam ją z pudełka i przycisnąwszy do siebie przed lustrem, pokręciłam głową wstrząśnięta.

– Jest piękna – powiedziałam do Kitty. – Ale nie mogę jej zatrzymać. Jest zbyt elegancka. Musisz ją oddać, Kitty. To zbyt drogi prezent.

Kitty, która spoglądała na mnie roziskrzonym wzrokiem, skwitowała śmiechem moje zażenowanie.

– Bzdura! – zawołała. – Najwyższa pora, żebyś zaczęła nosić przyzwoite sukienki zamiast tych dziewczęcych łąszków, które przywiozłaś z domu. Skoro ja mam porządną garderobę, ty też musisz. Stać nas na to. Zresztą nie mogę jej oddać: została uszyta na miarę, jak pantofelek Kopciuszka. Na nikogo innego nie będzie pasować. Na miarę? Tym gorzej!

– Kitty – powiedziałam błagalnie. – Ale ja naprawdę nie mogę. Nie będę się w niej czuć swobodnie...

– Nie masz wyjścia – ucięła stanowczo. – A poza tym... – Musnęła palcami perłę i odwróciła wzrok. – Mamy dobrą passę. Moja garderobiana nie może przecież wiecznie donaszać starych ubrań po siostrze. To chyba nie wypada, prawda? – Rzuciła to lekkim tonem, lecz prawda jej słów uderzyła mnie z całą mocą. Miałam teraz własne dochody (perła i łańcuszek pochłonęły wprawdzie całą dwutygodniową wypłatę), ale wciąż

odczuwałam prowincjonalną niechęć do trwonienia pieniędzy na swoje potrzeby. Poczzerwieniałam na myśl, że Kitty miała mnie za niechlujną.

I tak przez wzgląd na nią przyjął suknię. Okazja, by ją włożyć, nadarzyła się kilka dni później. W teatrze Marylebone, gdzie szczęśliwie spędziłyśmy ostatni miesiąc, miało się odbyć przyjęcie. Zapowiadało się bardzo wykwintnie. Kitty kazała sobie uszyć prześliczną nową suknię z krótkim rękawem; specjalnie kupiła w tym celu chińską satynę, różową niczym środek różanego pączka. Pomogłam jej się ubrać, a potem patrzyłam, jak nakłada rękawiczki. Wyglądała cudownie: kolor sukni podkreślał czerwień jej warg, kremowy odcień skóry oraz czekoladowy brąz włosów i oczu. Nie włożyła żadnej biżuterii prócz perły oraz broszki, którą dostała w prezencie od Waltera. Obie błyskotki niezbyt do siebie pasowały, ponieważ broszka była z bursztynem. Ale Kitty mogła nosić wszystko, choćby sznur koralów z korków od butelek, a i tak wyglądałaby jak królowa.

Ponieważ sama nie byłam jeszcze gotowa, poprosiłam, by Kitty zeszła na dół bez mnie. Po jej wyjściu włożyłam piękną nową suknię, a następnie podeszłam do lustra. Widok nie natchnął mnie optymizmem. Suknia tak mnie przeobraziła, że równie dobrze mogłam ją nazwać kostiumem. W przytłumionym świetle wydawała się prawie czarna; na jej tle moje oczy były bardziej niebieskie niż zwykle, skóra bledsza, natomiast długa spódnica i szarfa sprawiły, że wyglądałam na jeszcze wyższą i szczuplejszą niż w rzeczywistości. W przeciwieństwie do Kitty w jej różowej sukience ja wyglądałam teraz jak chłopak, który dla kawału przebrał się w kreację balową siostry. Rozplotłam warkocz i rozczesałam włosy, po czym nie mając czasu na misterne zabiegi, zwinęłam je w kok z tyłu głowy i spięłam ozdobnym grzebieniem. Uczesanie to podkreśliło ostry zarys szczęki i kości policzkowych oraz poszerzyło i tak szerokie ramiona. Zmarszczyłam brwi i odwróciłam głowę. Trudno, najwyżej u mego boku Kitty będzie wyglądać na jeszcze delikatniejszą niż zwykle.

Zeszłam na dół. Kiedy pchnęłam drzwi do salonu, wszyscy siedzieli jeszcze przy stole, pogrążeni w rozmowie. Pierwsza zobaczyła mnie Tootsie; musiała chyba szturchnąć Percy'ego, gdyż podniósł wzrok znad talerza i gwizdnął. Sims podążył za jego spojrzeniem i wytrzeszczył oczy, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu, i zastygł z widelcem uniesionym w pół drogi do rozdziawionych ust. Pani Dendy rozkaszała się hałaśliwie.

– Proszę, proszę, Nancy! – zawołała. – Ależ ty wyglądasz! Wyrosłaś na istną ślicznotkę, i to tuż pod naszym nosem!

Na te słowa Kitty odwróciła się w moją stronę i na jej twarzy odbiło się takie zdumienie, jakby i ona widziała mnie po raz pierwszy. Nie wiedziałam, która z nas była w tym momencie bardziej czerwona.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Bardzo ładnie – powiedziała, odwracając wzrok. Przyszło mi do głowy, że muszę wyglądać jeszcze gorzej, niż myślałam, i przygotowałam się na nieudany wieczór.

Jednakże wieczór okazał się bardzo udany, a przyjęcie było gwarne i wesołe. Żeby pomieścić nas wszystkich, dyrektor kazał ustawić na scenie specjalne podium i zatrudnił

orkiestrę, która przygrywała do tańca, a stoły za kulisami uginały się od pasztetów i galaretek, beczek z piwem, waz z ponczem oraz niezliczonych rzędów butelek wina.

Znajomi nie szczędzili nam komplementów z racji nowych sukienek, szczególnie hojnie darząc nimi właśnie mnie. Asystentka iluzjonisty wzięła mnie za rękę ze słowami: „Moja droga, ależ ty dzisiaj dorośle wyglądasz, w ogóle bym cię nie poznała!”. Godzinę wcześniej dokładnie to samo usłyszałam z ust pani Dendy. Byłam pod wrażeniem. Kitty i ja stałyśmy obok siebie cały wieczór, po północy jednak ona przyłączyła się do grupy zebranej wokół stołów z szampanem, podczas gdy ja pogrążyłam się w zadumie. Nie zwykłam uważać się za dorosłą kobietę, lecz teraz, odziana w elegancką suknię z satyny i koronki, poczułam, że nią jestem: miałam osiemnaście lat, może już na zawsze opuściłam rodzinny dom i zarabiałam na własne utrzymanie w stolicy. Jakby z oddali patrzyłam na siebie pijącą niesamowite ilości wina i żartującą z pracownikami teatru, na których widok dawniej drętwiałam ze strachu; widziałam, jak biorę papierosa od jednego z muzyków, przypalam, po czym zaciągam się głęboko z zadowolonym westchnieniem. Kiedy właściwie zaczęłam palić? Nie mogłam sobie przypomnieć. Tak często trzymałam papierosa Kitty, gdy zmieniała kostium, że w końcu sama wpadłam w nałóg. Obecnie paliłam tak często, że połowa moich palców, jeszcze cztery miesiące wcześniej gładkich i różowych, miała musztardowe plamy od tytoniu.

Wspomniany muzyk (chyba grał na trąbce) ostrożnie przesunął się bliżej mnie.

– Jesteś znajomą dyrektora? – zapytał. – Nigdy cię tu nie widziałem.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Owszem, widziałeś. Jestem Nancy, garderobiana Kitty Butler.

Uniósł brwi, po czym zlustrował mnie od góry do dołu.

– Rzeczywiście! To naprawdę ty. Dotąd brałam cię za smarkulę. A tu proszę, wyglądasz jak aktorka albo tancerka.

Z uśmiechem potrząsnęłam głową. Zapadło milczenie; muzyk pociągnął łyk z kieliszka i otarł wąsy.

– Założę się, że umiesz tańczyć, co? – powiedział. – Zatańczymy? – Wskazał na liczną grupę tańczących w tyle sceny.

– O nie – zaprotestowałam. – Nie mogę. Za dużo wypiałam.

– Tym lepiej! – odparł ze śmiechem. Odstawił kieliszek, włożył papierosa do ust, po czym chwycił mnie w pasie i podniósł do góry. Krzyknęłam; zaczął wywijać mną na przemian w górę i w dół, błazeńsko naśladując kroki walca. Im głośniej śmiałam się i piszczalam, tym szybciej wywijał. Zwracaliśmy powszechną uwagę; ludzie spoglądali w naszą stronę, śmiali się i klaskali.

Wreszcie mój partner potknął się i mało nie upadł, po czym gwałtownie postawił mnie na ziemi.

– A teraz przyznaj – rzucił zdyszonym tonem – czy nie jestem wybornym tancerzem.

– Nie jesteś – odpowiedziałam. – Obracałeś mną jak kukłką i... – dotknęłam przodu sukni
– ...zniszczyłeś mi szarfę!

– Zaraz to naprawię – oświadczył, ponownie obejmując mnie w pasie. Z piskiem wywinęłam się z jego uścisku.

– A sio! Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

Nie bacząc na moje protesty, zaczął mnie łaskotać. Zawsze reaguję na to śmiechem, choćbym nie przepadała za tym, kto mnie dotyka. Po kilku minutach jednak na szczęście dał sobie spokój i wrócił do kolegów z orkiestry.

Ponownie obejrzałam szarfę: bałam się, że naprawdę ją zniszczył, ale nie mogłam tego dokładnie stwierdzić. Jednym haustem dopiłam zawartość kieliszka (był to chyba mój szósty lub siódmy), po czym wymknęłam się ze sceny. Najpierw poszłam do toalety, a potem zbiegłam na dół, do przebieralni. Otwarto ją dziś specjalnie na użytek pań, żeby miały gdzie powiesić okrycia; pomieszczenie było puste, zimne i dość ciemne. Podeszłam do lustra i wyrażając wzrok, usiłowałam doprowadzić suknię do porządku.

Stałam tak może minutę, kiedy z korytarza dał się słyszeć odgłos kroków, a potem zapadła cisza. Odwróciłam głowę, żeby zobaczyć, kto przyszedł, i ujrzałam w progu Kitty. Stała z założonymi rękami, oparta o framugę. Nie tak, jak zazwyczaj stoi się w wieczorowej sukni. Stała tak, jak zwykła stawać w spodniach, na scenie – nonszalancko i zuchwale. Zwróciła ku mnie twarz, przez co nie widziałam ani warkocza, ani krągłego zarysu piersi. Miała bardzo blade policzki, a na jej sukni widniała plama szampana, który wylał się ze zbyt hojnie napełnionego kieliszka.

– Czółko, Kitty – powiedziałam.

Nie odwzajemniła uśmiechu i dalej świdrowała mnie nieruchomym spojrzeniem. Niepewnie przeniosłam wzrok z powrotem na lustro i dalej poprawiałam szarfę. Kiedy wreszcie Kitty przemówiła, zrozumiałam, że jest kompletnie pijana.

– Ktoś wpadł ci w oko? – zapytała. Spojrzałam na nią ze zdziwieniem, a wtedy postąpiła krok do przodu.

– Co takiego?

– Pytam, czy ktoś wpadł ci w oko, Nancy? To samo dotyczy zresztą wszystkich. Każdy dziś zobaczył coś, co szczególnie zwróciło jego uwagę.

Przełknęłam ślinę, niepewna, co odpowiedzieć. Kitty podeszła bliżej, po czym przystanąła w odległości kilku kroków, dalej mierząc mnie aroganckim spojrzeniem.

– Ładnie sobie poczyniałaś z tym trębaczem, nie? – odezwała się po chwili.

Zamrugłam.

– Tylko żartowaliśmy.

– Żartowaliście? Obmacywał cię, ile wlezie.

– To nieprawda, Kitty! – Niemal się zająknęłam. Okropnie było widzieć ją tak rozdrażnioną; nie przypominałam sobie, by kiedykolwiek wcześniej podniosła na mnie głos.

– A właśnie, że tak – odburknęła. – Dobrze widziałam. Ja i połowa gości. Wiesz, jak niedługo zaczną cię nazywać? Flirciara!

Flirciara! Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytałam.

– Bo to prawda. – W jej głosie zabrzmiała uraza. – Nie kupiłabym ci takiej ładnej sukni, gdybym wiedziała, że będziesz w niej strzelać oczami na wszystkie strony.

– Ach! – Chwiejnie tupnęłam nogą (byłam chyba równie pijana jak Kitty). – Ach! – Sięgnęłam ręką do zapięcia i zaczęłam szarpać się z guzikami. – Skoro tak uważasz – powiedziałam – zaraz ją zdejmę i będziesz sobie mogła zabrać swój cholerny prezent!

Podeszła bliżej i chwyciła mnie za rękę.

– Nie bądź głupia – powiedziała nieco przytomniejszym tonem.

Odepchnęłam jej rękę i dalej szarpałam guziki, ale bezskutecznie, ponieważ alkohol w połączeniu z gniewem i zdumieniem uczynił mnie wyjątkowo niezdarną. Kitty ponownie złapała mnie za ramię i zaczęłyśmy się szamotać.

– Nie będziesz mnie nazywać flirciarą! – zawołałam. – Jak mogłaś tak powiedzieć? Jak mogłaś? Ach! Gdybyś wiedziała... – Sięgnęłam do zapięcia sukni z tyłu, palce Kitty powędrowały w ślad za moimi, jej twarz znalazła się tuż na wprost mojej.

W głowie mi się zakręciło. Myślałam, że jestem jej siostrą, dokładnie tak, jak chciała. Że moje szalone pragnienia zostały zduszone w zarodku i zastąpione czystym, szlachetnym uczuciem. Teraz jednak czułam tylko jej bliskość, ciepło oddechu na twarzy. Zacisnęłam palce na jej ramieniu, ale nie żeby ją odepchnąć, tylko przyciągnąć bliżej. Stopniowo przestałyśmy się szarpać i znieruchomiałyśmy, oddychając pospiesznie, z sercami bijącymi gwałtownie. Miała okrągłe, pociemniałe oczy; poczułam, jak puszcza moją dłoń i przesuwając ręką po szyi.

Naraz z korytarza usłyszałyśmy nagły zgiełk i tupot. Kitty podskoczyła, jakby ktoś wypalił jej nad uchem z pistoletu, po czym odsunęła się o kilka kroków. W otwartych drzwiach stanęła Esther, asystentka iluzjonisty. Była blada i bardzo zasmucona.

– Kitty, Nan, nie uwierzcie, co się stało – powiedziała. Sięgnęła po chustkę i przycisnęła ją do ust. – Przyszli chłopcy ze szpitala Charing Cross. Podobno przywieziono tam Gully’ego Sutherlanda. – Był to komik, który występował w teatrze w Canterbury wraz z Kitty. – Mówią, że zastrzelił się po pijanemu!

Potwierdzenie tej okropnej prawdy nadeszło następnego dnia. W życiu bym się tego nie spodziewała, chociaż rzeczywiście Gully miał w branży opinię pijaka. Zawsze kończył wieczór w gospodzie; owej feralnej nocy biesiadował w Fulham. Tam też, ukryty za kolumną podsłuchał, jak ktoś przy barze mówi, że Gully Sutherland lata świetności ma już za sobą i powinien ustąpić miejsca zabawniejszym artystom, a jego ostatni numer jest do niczego. Barman twierdził, że Gully podszedł do tego mężczyzny i uścisnął mu dłoń, a następnie postawił wszystkim kolejkę. Potem wrócił do domu, wyjął pistolet i strzelił sobie prosto w serce...

Owego wieczoru w Marylebone nie mieliśmy o tym wszystkim pojęcia, wiedzieliśmy tylko, że Gully dostał jakiegoś ataku i odebrał sobie życie, co wystarczyło, by wprawić wszystkich w posępny nastrój. Kitty i ja wróciłyśmy na górę; ogarnięta smutkiem po drodze ścisnęła moją rękę. Dyrektor kazał pozapalać wszystkie światła, a członkowie orkiestry

odłożyli instrumenty. Niektórzy płakali, muzyk, który mnie łaskotał, obejmował jakąś rozdygotaną dziewczynę. „Czy to nie straszne, czy to nie okropne?” – zawodziła Esther; podejrzewam, że znaczna ilość wypitych trunków tym dotkliwiej uświadomiła wszystkim rozmiary tragedii.

Miałam mętlik w głowie. W ogóle nie rozmyślałam o Gullym: moje myśli nadal krążyły wokół Kitty oraz incydentu w przebieralni, kiedy to poczułam na sobie jej rękę i nawiązała się między nami nić porozumienia. Od tamtej pory nie obdarzyła mnie ani jednym spojrzeniem, zaraz też podeszła do jednego z chłopców, którzy przynieśli wieść o samobójstwie Gully’ego. Po chwili jednak zobaczyłam, jak potrząsa głową i odchodzi na bok, po czym rozgląda się wokół, jakby kogoś szukała. Kiedy jej wzrok padł na mnie stojącą w cieniu za kulisami, podeszła bliżej i westchnęła.

– Biedny Gully. Podobno przestrzelił sobie serce na wylot...

– I pomyśleć – dorzuciłam – że to dla niego pojechałam pierwszy raz do Canterbury i ujrzałam ciebie...

Popatrzyła na mnie i zadrżała, a następnie uniosła rękę do twarzy, jakby żal odebrał jej siły. Nie miałam odwagi dodać jej otuchy, stałam tylko, zasmucona i niepewna.

Kiedy powiedziałam, że na nas już czas (pozostali uczestnicy przyjęcia tłumnie opuszczali teatr), skinęła głową. Wróciłyśmy do przebieralni po płaszcze: wszystkie światła świeciły jasno, pobladłe kobiety przyciskały do oczu chusteczki. Następnie skierowałyśmy się do wyjścia, gdzie musiałyśmy zaczekać, aż odźwierny sprowadzi dla nas dorożkę, co zdawało się trwać całą wieczność. Kiedy wyruszyłyśmy w drogę powrotną, było już chyba dobrze po drugiej. W milczeniu zajęłyśmy oddzielne miejsca; Kitty powtarzała co chwila: „Biedny Gully! Kto by pomyślał!”, ja zaś siedziałam nadal oszołomiona i zamroczona winem, poruszona, lecz wciąż zbita z tropu.

Noc była mroźna i bardzo piękna; odkąd pozostawiłyśmy za sobą teatralny zgiełk, dokoła panowała niezmacona cisza. Mgła otulała oblodzone ulice: koła powozu ślizgały się z lekka, koń stapał niepewnie, a z kozła dobiegały niekiedy ciche przekleństwa woźnicy. Chodniki połyskiwały od szronu, latarnie jaśniały, otoczone żółtym blaskiem. Dorożka przemierzała opustoszałe ulice, co nasuwało nieodpartą myśl, że jesteśmy jedynymi istotami, które czuwają pośród uspiętego miasta z lodu i kamienia.

Wreszcie dotarliśmy do mostu Lambeth, gdzie kilka tygodni wcześniej spoglądałyśmy z góry na łódki spacerowe. Teraz, z twarzami przyciśniętymi do szyby, ujrzałyśmy przeobrażenie, jakie się tam dokonało – światła nabrzeża, bursztynowe paciorki ginące w mroku, monumentalny zarys Parlamentu majaczący nad rzeką oraz samą Tamizę, z łodziami zastygłymi bez ruchu i szarawą taflą zgęstniałej wody, która przedstawiała sobą zgoła obcy i niecodzienny widok.

To sprawiło, że Kitty opuściła okno i podekscytowanym głosem kazała woźnicy zatrzymać powóz. Następnie pchnęła drzwiczki i chwyciwszy mnie za rękę, pociągnęła do żelaznej balustrady mostu.

– Spójrz – powiedziała. Ponury nastrój opuścił ją w jednej chwili. Po rzece dryfowały

potężne kawały lodu o szerokości sześciu stóp. Lekko wirowały z prądem, podskakując na falach jak dokazujące foki.

Tamiza zamarzała.

Przeniosłam wzrok na Kitty, a następnie na most. W pobliżu nie było nikogo prócz woźnicy, który odgradzony od świata kołnierzem peleryny zdawał się bez reszty pochłonięty swoją fajką i kapciuchem. Ponownie spojrzałam na rzekę, na tę nieziemską, a zarazem pierwotną transformację, przejaw elementarnej uległości prawom natury, noszący jednocześnie znamiona boskiej interwencji.

Pomyślałam, że oto stał się cud, uczyniony specjalnie dla Kitty i dla mnie.

– Jaka musi być zimna! – zawołałam cicho. – Wyobraź sobie, co by było, gdyby cała zamarzła, stąd aż do Richmond. Przeszłabyś po lodzie na drugi brzeg?

Kitty zadrżała i potrząsnęła głową.

– Mógłby się załamać – odpowiedziała. – Wpadłybyśmy do wody i utonęły albo umarły z zimna!

Myślałam, że obróci to w żart, tymczasem potraktowała moje pytanie poważnie. Wyobraziłam sobie, że płyniemy Tamizą aż do morza (może minęłybyśmy po drodze Whitstable), na krze niewiele większej niż naleśnik.

Koń postąpił krok do przodu, brzęcząc wędzidłem, woźnica kaszlnął. Nie odrywałyśmy oczu od zastygłej rzeki, każda zatopiona we własnych myślach.

– Czy to nie dziwne – szepnęła wreszcie Kitty.

Bez słowa spoglądałam na wodę obmywającą filary mostu w dole. Gdy jednak Kitty zadrżała ponownie, stanęłam bliżej niej, czując, jak w odpowiedzi nachyliła się w moją stronę. Panował przejmujący ziąb; powinnyśmy były odejść od balustrady i schronić się w zacisznym wnętrzu powozu. Lecz za nic nie chciałyśmy pozbawiać się widoku zamarzającej rzeki ani dotyku swych ciał, skoro wreszcie się odnalazłyśmy.

Ujęłam jej dłoń. Palce wewnątrz rękawiczki były zeszywniałe z zimna. Uniosłam rękę do policzka, na próżno usiłując ją rozgrzać. Nie odrywając wzroku od wody, odpięłam rękawiczkę, po czym uwolniłam dłoń Kitty i spróbowałam rozgrzać ją własnym oddechem.

Dmuchałam na zziębnięte kostki, a następnie wewnątrz dłoni. Ciszę mąciły jedynie plusk oraz skrzypienie lodu.

– Nan – powiedziała cicho Kitty.

Spojrzałam na nią ponad palcami nadal przyciśniętymi do ust. Stała z uniesioną głową, spoglądając na mnie dziwnym wzrokiem, pociemniałym jak płynąca w dole rzeka.

Moja ręka opadła; palce Kitty wciąż dotykały moich ust. Powoli przesunęła je na policzek, ucho, szyję, a potem kark. Jej twarz przeciął nagły grymas.

– Nikomu nie powiesz, Nan? Obiecuję!

Chyba westchnęłam, westchnęłam na myśl o tym, że wreszcie nastąpiło coś, co należało przemilczeć. Przymknąwszy oczy, pochyliłam głowę ku jej twarzy.

Usta jej, zrazu lodowate, wkrótce wydały mi się najgorętszą rzeczą w całym zamarzniętym mieście; kiedy Kitty się odsunęła, by rzucić niespokojne spojrzenie na

skulonego woźnicę, moje wargi były nagie, obolałe i wystawione na pastwę ostrych grudniowych wiatrów, jakby ów pocałunek odarł je ze skóry.

Zaciągnęła mnie w cień rzucany przez powóz, poza zasięgiem wzroku woźnicy. Tutaj znów się pocałowałyśmy: objęłam Kitty, czując na plecach jej drżące dłonie. Dygotała od stóp do głów; pomimo grubej warstwy odzieży docierało do mnie gwałtowne bicie jej serca, a nasze złączone biodra pulsowały przejmującym żarem.

Stałyśmy tak może minutę, może dłużej. Naraz woźnica poruszył się na koźle, powóz skrzypnął i Kitty odsunęła się pospiesznie. Nie chciałam jej puścić, lecz chwyciła mnie za nadgarstki i ucałowałwszy moje palce, roześmiała się nerwowo i szepnęła: „Na śmierć mnie zacałujesz!”.

Weszła do powozu; podążyłam za nią, rozdygotana i na wpół ociemniała z oszołomienia i pożądania. Zatrzasnęłyśmy drzwiczki, woźnica krzyknął na konia i powóz szarpnął, ślizgając się po lodzie. Zamarznięta rzeka została za nami, jakże pospolita wobec cudu, który się właśnie dokonał!

Usiadłyśmy obok siebie. Kiedy ponownie ujęła w dłonie moją twarz, nie mogłam powstrzymać drżenia. Nie pocałowała mnie jednak: oparła mi tylko głowę na ramieniu, jej usta były poza zasięgiem moich, gorący oddech owiał mi szyję. Dłoń, wciąż bez rękawiczki i zsiniałą z zimna, wsunęła w rozpięcie mego płaszcza, przywierając mocno kolanem do mojej nogi. Kołysanie powozu przysuwało ją bliżej mnie; w pewnej chwili z trudem stłumiłam okrzyk. Ona jednak trwała w bezruchu, dlatego postąpiłam podobnie, onieśmielona jej milczeniem. I tak podróż od Tamizy do Brixton była najcudowniejszą, a zarazem najokropniejszą, jaką zdarzyło mi się odbyć.

Wreszcie poczułyśmy, jak powóz zakręca, a następnie powoli się zatrzymuje. Woźnica zastukał w dach trzonkiem bata na znak, że dotarliśmy na miejsce: siedziałyśmy tak cicho, iż pewnie uznał, że śpimy.

Pamiętam, jak weszłyśmy do domu pani Dendy: najpierw walka z opornym zamkiem, potem wspinaczka po mrocznych schodach, wśród uśpionych ścian. Pamiętam, jak w milczeniu przycisnęłam wargi do ucha Kitty, która schyliła się, aby otworzyć drzwi; pamiętam, jak – już w środku – oparła się o nie z westchnieniem i przyciągnęła mnie do siebie. Pamiętam, że nie pozwoliła mi zapalić lampy i potykając się, przeszłyśmy do sypialni.

Pamiętam też bardzo wyraźnie to, co wydarzyło się później.

W pokoju panował ziąb tak przenikliwy, iż wydawało się niemożliwością zdjąć suknie, a jednak nie sposób było tego nie zrobić. W przebieralni byłam niezdarna, teraz jednak pospiesznie rozebrałam się do bielizny, a następnie podeszłam do Kitty, która mocowała się z zapięciem sukni. I gdy tak stałyśmy – ja rozplątując tasiemki, ona wyszarpując szpilki z przypiętego warkocza – nasunęło mi się wspomnienie błyskawicznej zmiany kostiumu za kulisami, pomiędzy jednym numerem a drugim.

Wreszcie stanęła przede mną zziębnięta i naga, jeśli nie liczyć perły oraz łańcuszka na szyi; podeszła bliżej i poczułam ciepło jej piersi, muśnięcie włosów między nogami. Naraz

wysunęła się z moich objęć i usłyszałam skrzypnięcie sprężyn łóżka. Weszłam pod kołdrę, gdzie leżała już, skulona i drżąca. Znów się pocałowałyśmy, wolniej, a jednocześnie żarliwiej niż poprzednio. Wreszcie ział ustał, lecz obie nadal dygotałyśmy.

Kiedy jednak przyłgnęła do mnie nagim ciałem, ogarnęło mnie nagłe onieśmielenie.

– Czy naprawdę mogę... cię dotknąć? – szepnęłam, odsuwając się nieco.

Roześmiała się nerwowo, pochylając głowę na poduszkę.

– Ach, Nan – powiedziała. – Chyba umrę, jeśli tego nie zrobisz!

Z wahaniem uniosłam rękę i zanurzyłam palce we włosach Kitty. Dotknęłam jej twarzy, wygiętych brwi, piegowatego policzka, brody, szyi, obojczyka, barku... Tu ponownie onieśmielona dłoń błędziła nieco dłużej. Wreszcie Kitty ujęła mój nadgarstek i łagodnie poprowadziła palce w kierunku piersi. Gdy jej dotknęłam, westchnęła i zmieniła pozycję; po chwili ponownie chwyciła mnie za nadgarstek i przesunęła rękę niżej.

Była mokra i gładka jak aksamit. Oczywiście nigdy nikogo tak nie dotykałam, prócz – czasami – siebie: czułam, jakbym robiła to i teraz, ponieważ śliska dłoń pomiędzy jej udami zdawała się gładzić i mnie; zwilgotniałam, a moje biodra kołysały się rytmicznie, podobnie jak biodra Kitty. Wkrótce przestałam gładzić i zaczęłam pocierać, coraz mocniej. „Ach!” – powiedziała cicho, a potem znowu: „Ach!”, kiedy zwiększyłam nacisk.

Potem było już tylko: „Ach, ach, ach!”, stłumione i zdyszane. Drgnęła, łóżko odpowiedziało skrzypnięciem. Poczułam jej dłonie na ramionach. Zdawało się jakby ruch jednego, wilgotnego palca wyznaczał rytm całemu światu.

Wreszcie chwyciła oddech i zeszywniała, a następnie oderwała moją rękę i bezwładnie opadła na pościel. Przytuliłam ją do siebie i przez chwilę leżałyśmy nieruchomo. Czułam przyspieszone bicie jej serca; potem odzyskawszy normalne tętno, drgnęła i z westchnieniem uniosła dłoń do policzka.

– Przez ciebie się rozplakałam – szepnęła.

Usiadłam na łóżku.

– Mówisz poważnie, Kitty?

– Tak. – Wydała z siebie na wpół śmiech, na wpół szloch i znowu potarła oczy. Dotknęłam jej palców i poczułam na nich łzy.

Ścisnęłam jej rękę.

– Sprawiałam ci ból? Czy zrobiłam coś złego? Sprawiałam ci ból, Kitty?

Potrząsnęła głową i pociągnęła nosem.

– Ból? O nie. To było... takie słodkie. – Uśmiechnęła się. – A ty jesteś taka... taka cudowna. Ja... – Znowu pociągnęła nosem, a następnie ukryła twarz na mojej piersi. – Ja... ach, Nan, tak bardzo, bardzo cię kocham!

Leżałam obok niej, obejmując ją ramionami. Zapomniałam o własnym pożądanym, a ona nie zrobiła nic, by mi przypomnieć. Zapomniałam również o Gullym Sutherlandzie, który trzy godziny wcześniej strzelił sobie w serce, ponieważ kogoś nie rozbawił jego występ. Kitty wkrótce usnęła; leżałam nieruchomo, spoglądając na jej bielejącą w ciemności twarz i myślałam: Ona mnie kocha. Ona mnie kocha – niczym głupty ściskający łodyżkę

stokrotki, na której brązowieje ostatni uschnięty płatek.

Rankiem nie wiedziałyśmy, jak się zachować. Zwłaszcza Kitty.

– Za dużo wczoraj wypiłyśmy! – powiedziała, unikając mojego wzroku.

Przez jedną straszną chwilę pomyślałam, że to tylko szampan kazał jej się do mnie zbliżyć i zapewnić o wielkiej miłości... Naraz zobaczyłam na jej twarzy rumieniec. I nim zdążyłam ugryźć się w język, zawołałam: – Jeśli odwołasz to, co wczoraj powiedziałaś, Kitty, to chyba umrę!

Wtedy podniosła na mnie oczy i zrozumiałam, że po prostu się bała, iż to ja byłam pod wpływem alkoholu... Patrzyłyśmy na siebie, i choć spoglądałam na nią tyle razy, odnosiłam wrażenie, jakbym widziała ją po raz pierwszy w życiu. Od pół roku mieszkaliśmy, spałyśmy i pracowałyśmy tuż obok siebie, dzielił nas swoisty parawan, który zeszłej nocy wreszcie udało się pokonać. Wyglądała tak czysto i nieskazitelnie, iż niemal bałam się jej dotknąć w obawie, że mój dotyk pozostawi ślady na skórze, a pocałunek posiniaczy usta.

Mimo to pocałowałam ją, a potem leżałam, patrząc, jak ochlapuje wodą ręce i twarz, wkłada bieliznę i zapina trzewiki. Kiedy się czesała, sięgnęłam po papierosa: zapaliłam zapałkę i pozwoliłam jej spłonąć do cna, tak że mało nie sparzyła mi palców.

– Kiedy cię poznałam – zaczęłam, spoglądając na pełzający płomień – obawiałam się, że każda myśl o tobie rozpala mnie od wewnątrz jak lampę. Drżałam ze strachu, że ktoś zauważy... – Uśmiechnęła się, a ja potrząsnęłam ręką, gasząc zapałkę. – Nie domyślałaś się – podjęłam – nie domyślałaś się, że cię kocham?

– Sama nie wiem – odrzekła, a następnie dodała z westchnieniem: – Wolałam o tym nie myśleć.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Łatwiej było się z tobą przyjaźnić...

– Ale Kitty, ja myślałam dokładnie to samo! Ach, czy to nie straszne? Sądziłam jednak, że jeśli poznasz prawdę... nie miałam pojęcia, że coś takiego może się wydarzyć, a ty?

Kitty stanęła przy lustrze, upinając włosy.

– Nigdy nie zależało mi na żadnej dziewczynie tak, jak na tobie – odrzekła, nie odwracając głowy. Jej kark i uszy poróżnowiały. Poczułam przypływ szczęścia, lecz naraz dotarł do mnie sens jej słów.

– Zatem wiedziałaś już, jak to jest – powiedziałam bezbarwnym tonem.

Poczerwieniała jeszcze bardziej, ale zbyła moje słowa milczeniem. Ucichłam. Jednakże zbyt mocno ją kochałam, by długo się gniewać.

– Kiedy zaczęłaś o mnie myśleć jak o... – zaczęłam. – Kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że mogłabyś mnie pokochać?

Odwróciła się i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Było mnóstwo takich sytuacji – odpowiedziała. – Pamiętam, jak uporządkowałaś moją garderobę, jak rumieniłaś się, kiedy cię całowałam na pożegnanie. Jak otworzyłaś dla mnie

ostrzygę u was w domu. Chyba już wtedy cię kochałam. Doprawdy, aż wstyd się przyznać, ale od momentu gdy poczułam na twoich palcach woń ostryg tamtego wieczora w Palace, myślałam o tobie tak... jak nie powinnam.

– Och!

– Co gorsza – podjęła nieco zmienionym tonem – dopiero wczoraj wieczorem, kiedy zobaczyłam cię z tym muzykiem i ogarnęła mnie taka zazdrość, zrozumiałam, jak bardzo... jak bardzo...

– Och, Kitty! – Przełknęłam ślinę. – Cieszę się, że w końcu to zrozumiałaś.

Odwróciła wzrok, a następnie podeszła bliżej, wyjęła mi papierosa z ręki i przelotnie musnęła ustami mój policzek.

– Ja też.

Po chwili nachyliła się, aby przeczyścić szmatką trzewiki. Ziewnęłam: nadmiar alkoholu i wrażeń dawał mi się we znaki.

– Naprawdę musimy wstawać? – zapytałam, a Kitty skinęła głową.

– Musimy. Dochodzi jedenasta; niedługo przyjedzie Walter. Zapomniałaś?

Była niedziela i jak zwykle zabierał nas na przejażdżkę. Nie zapomniałam, ale nie miałam czasu ani ochoty, by zawracać sobie głowę takimi sprawami. Wzmianka o Walterze skłoniła mnie wszakże do namysłu. W świetle ostatnich wydarzeń jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia.

– Będiesz dla niego wyrozumiała, prawda? – zapytała Kitty, jakby czytając w moich myślach. Następnie powtórzyła słowa wypowiedziane nocą na moście: – I nikomu nie powiesz? Będiesz uważać, prawda?

Ucałowałam jej palce, chociaż w duchu przeklinałam ją za tak daleko posuniętą ostrożność.

– Jestem ostrożna od chwili, kiedy cię ujrzałam. Jestem Królową Ostrożności. Jeśli chcesz, mogę nią pozostać na zawsze, jeżeli tylko będę mogła czasem pozwolić sobie na lekkomyślność, kiedy znajdziemy się sam na sam.

Odpowiedziała mi nieobecny uśmiechem.

– Ostatecznie – odrzekła – nic specjalnie się nie zmieniło.

Wiedziałam, że jest w błędzie. Wszystko się zmieniło. Wszystko.

Wreszcie i ja wstałam, umyłam się i ubrałam, po czym skorzystałam z nocnika. Tymczasem Kitty zeszła na dół i po chwili wróciła z herbatą i grzankami.

– Prawie nie mogłam spojrzeć w oczy pani Dendy! – zawołała spłoszona. Śniadanie zjadłyśmy przed kominkiem w naszym saloniku.

Pod oknem stał przysłany przez krawca kosz z kostiumami, na które nie miałyśmy dotąd okazji zerknąć. Chcąc skrócić nieco czas oczekiwania na Waltera, Kitty zaczęła je przeglądać od niechcienia.

– Tylko popatrz! – zawołała, pokazując mi przepięknie skrojony czarny frak. Narzuciła go na sukienkę i zatańczyła w miejscu, po czym zaczęła nucić:

*Na placyku, w miasteczku niedużym,
Gdzie akacji rosną dwa rządki,
Skręcisz w lewo i przed sobą ujrzysz
Mały domek mej słodkiej gołąbki.*

Uśmiechnęłam się: była to stara piosenka George'a Leybourne'a, niezmiernie popularna w latach siedemdziesiątych. Kiedyś słyszałam ją w Canterbury w wykonaniu samego Leybourne'a. Pomimo niedorzecznej treści łatwo wpadała w ucho, w wykonaniu Kitty zaś brzmiała szczególnie urzekająco.

*Pójdę tam, swe serce otworzę,
Spojrzę w miłej liczko rumiane
I przysięgnę na wszystkie świętości:
Jeśli kiedyś ją kochać przestanę,
Niech nie zaznam w życiu radości,
Jeśli kiedyś ją kochać przestanę.*

Słuchałam przez moment, po czym zaśpiewałam wraz z nią.

*Jeśli kiedyś ją kochać przestanę,
Jeśli kiedyś ją kochać przestanę,
Niechaj smutek w moim sercu zagości,
Jeśli kiedyś ją kochać przestanę.*

Wybuchnęliśmy śmiechem i zaśpiewaliśmy głośniej. Wyrzebałam z kosza kapelusz i rzuciłam go Kitty; znalazłam też dla siebie surdut, melonik i laskę. Chwyciłam Kitty pod ramię, naśladowując jej kroki. Słowa piosenki stały się jeszcze głębsze.

*Za największe skarby świata,
Tytuł lorda czy barona,
Ja nie oddam mej dziewczyny,
Ona moja, niechaj skonam!
Kiedy wdzięcznie tańczy polkę,
Serce me czułością wzbiera,
A ma miłość nigdy nie zgaśnie,
Zawsze równie gorąca i szczerą!
Niech mnie piorun z nieba trzaśnie,
Jeśli kiedyś ją kochać przestanę!*

Zakończyliśmy z przytupem; spróbowałam zrobić piruet – i stanęłam jak wryta. Walter stał w otwartych drzwiach i spoglądał na nas wytrzeszczonymi oczami, jakby doznał głębokiego wstrząsu. Kitty podążyła za moim spojrzeniem, po czym chwyciła mnie za rękę,

by zaraz gwałtownie puścić. Zastanawiałam się gorączkowo, co takiego mógł zobaczyć. Piosenka była wprawdzie niedorzeczna, lecz nie ulegało wątpliwości, że śpiewaliśmy ją do siebie. Czyżbyśmy się pocałowali? A może dotknęłam Kitty tam, gdzie nie powinnam?

I kiedy tak zachodziłam w głowę, Walter nieoczekiwanie się odezwał:

– Mój Boże! – szepnął.

Przygryzłam wargę, lecz wbrew moim oczekiwaniom nie zmarszczył brwi. Uśmiechając się od ucha do ucha, klasnął w ręce i wskoczył na środek pokoju, a potem uściskał nas serdecznie.

– Mój Boże – powtórzył. – To jest to! To jest to! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? Tego nam było trzeba. To, Kitty – dodał, wskazując na nasze przebrania i kapelusze – to przyniesie ci sławę!

I tak dzień, w którym wyznałyśmy sobie miłość, stał się jednocześnie dniem, kiedy rozpoczęłam karierę: krótką, błyskotliwą, acz zgoła nieoczekiwaną karierę na scenie.

Rozdział 5

Perspektywa wystąpienia w roli, do której nie miałam ani przygotowania, ani ambicji, ani – w swoim mniemaniu – talentu, początkowo wzbudziła we mnie żywą niechęć.

– Nie – powiedziałam do Waltera, gdy wreszcie zrozumiałam, o co mu chodzi. – Wykluczone. Nie mogę. Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć, jak bardzo ośmieszyłabym siebie... i Kitty!

Ale on nie chciał słuchać.

– Nie rozumiesz? – zapytał. – Jak długo szukaliśmy czegoś, co wyniesie nasz numer ponad inne i uczyni go godnym zapamiętania? To strzał w dziesiątkę! Stwórzycie duet! Żołnierz i jego towarzysz! Elegant i jego kompan! A przede wszystkim: dwie urocze dziewczyny w spodniach zamiast jednej! Widziałaś kiedyś coś podobnego? To będzie istna sensacja!

– To mogłaby być sensacja – odparłam – gdybyś miał dwie Kitty Butler. Ale Kitty Butler i Nan Astley, jej garderobiana, która nigdy w życiu niczego nie zaśpiewała...

– Wszyscy nieraz słyszeliśmy, jak śpiewasz – przerwał mi Walter. – Nie masz się czego wstydzić.

– Która nie umie tańczyć... – ciągnęłam.

– Też mi coś, taniec! Poszurasz nogami po scenie, i tyle. Każdy głupi to potrafi.

– I nigdy nie występowała publicznie...

– Kitty będzie rozmawiać z widownią, nie ty – rzucił niedbale.

Roześmiałam się bezsilnie i popatrzyłam na Kitty. Do tej pory stała obok mnie bez słowa, obgryzając paznokcie i marszcząc brwi.

– Kitty – zawołałam – na miłość boską, powiedz mu, że to szaleństwo!

Zrazu nie odpowiedziała, machinalnie gryząc paznokcie. Przeniosła wzrok na Waltera, po czym znów spojrzała na mnie i zmrużyła oczy.

– Mogłoby się udać – stwierdziła.

Tupnęłam nogą.

– Chyba oboje postradaliście rozum! Zastanówcie się! Oboje pochodzicie z rodzin, w których każdy parął się aktorstwem. Całe życie spędziliście w domach takich jak ten, gdzie nawet cholerny pies umie tańczyć. A ja? Jeszcze cztery miesiące temu sprzedawałam ostrygi w Whitstable!

– Cztery miesiące przed swoim debiutem – odrzekł Walter – Bessie Bellwood skórowała króliki w New Cut! – Położył mi rękę na ramieniu. – Nan – dodał łagodnie – nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać, ale chociaż spróbujmy. Weź jeden z kostiumów Kitty i włóż go jak należy, dobrze? Ty też się przebierz, Kitty. Zobaczymy, jak razem wyglądacie.

Popatrzyłam na Kitty. Wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? – odparła.

Może się wydawać dziwne, że ciągle mając do czynienia z tak ładnymi kostiumami, nigdy nie poczułam ochoty, by przymierzyć choć jeden z nich, ale to prawda. Spontaniczny taniec w surducie stanowił pewną nowość i wynikał z wybornego nastroju towarzyszącego mi owego ranka, wszelako do tej pory ubrania sceniczne Kitty wydawały mi się zbyt ładne, zbyt szczególne, a nade wszystko zbyt przypisane jej samej i współtworzące jej magiczną aurę, by skłonić mnie do jakichkolwiek wygłupów. Dbałam o nie z należytą pieczołowitością, lecz nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, by choćby przyłożyć do siebie któryś z nich i stanąć przed lustrem. Teraz jednak zamieniłyśmy się rolami: ja stałam na wpół rozebrana w naszej zimnej sypialni, a Kitty podeszła do mnie z kostiumem w ręce.

Zdjęłam suknię i halki, po czym włożyłam koszulę na gorset. Kitty znalazła dla mnie czarnoszary garnitur oraz drugi podobny, dla siebie. Obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem.

– Zdejmij majtki – poleciła ściszym tonem; drzwi były zamknięte, ale z saloniku dobiegały hałaśliwe kroki Waltera. – Inaczej będą się odznaczać pod spodniami.

Zarumieniona ściągnęłam je szybko i stanęłam w samej tylko koszuli i pończochach, z podwiązkami powyżej kolan. Kiedyś przebrałam się w garnitur brata na maskaradę. Lecz od tamtej pory minęło wiele lat; teraz dziwnie było wsuwać spodnie Kitty na nagie biodra i zapinać je w miejscu, którego dotykała tak niedawno. Zrobiłam na próbę krok i poczerwieniałam jeszcze mocniej. Czułam się tak, jakbym dopiero odkryła istnienie własnych nóg, czy raczej uświadomiła sobie, że posiadam dwie kończyny złączone u góry.

Złapałam Kitty i przyciągnęłam ją bliżej.

– Żałuję, że Walter na nas czeka – szepnęłam, choć na myśl, że stoi za drzwiami nieświadomy niczego, przeszedł mnie miły dreszczyk.

Owa myśl – oraz bezszelestny pocałunek, który po niej nastąpił – sprawiły, że poczułam się w spodniach jeszcze dziwniej. Gdy Kitty zajęła się swoim kostiumem, popatrzyłam na nią z namysłem.

– Nie czujesz się jakoś dziwnie, stając co wieczór w takim przebraniu przed salą pełną obcych ludzi? – zapytałam.

Zapięła klamerkę i wzruszyła ramionami.

– Nosiłam głupsze kostiumy.

– Nie chodzi o to, że jest głupi. Mam na myśli, że... jeśli stanę obok ciebie w tych spodniach... – przeszłam kolejnych kilka kroków – ...och, Kitty, chyba nie będę mogła się powstrzymać, żeby cię nie pocałować!

Uniosła palec do ust i odgarnęła włosy.

– Będziesz musiała, jeśli plan Waltera ma się powieść. W przeciwnym razie... to dopiero byłoby widowisko!

Wybuchnęłam śmiechem, lecz na dźwięk słów „plan Waltera” żołądek ścisnął mi się ze strachu i śmiech zabrzmiał jakoś niezbyt przekonująco. Spojrzałam na swoje nogi. Spodnie były na mnie za krótkie i spod nogawek wystawały kostki w pończochach.

– Nie uda się, prawda? Na pewno mu się nie spodoba.

Byłam w błędzie.

– O tak! – wykrzyknął na nasz widok. – Ależ z was niezła para! – Z przejęcia mało nie wyskoczył ze skóry.

Kazał nam stanąć obok siebie, trzymając się pod rękę, a potem jeszcze raz odtańczyć taniec, na którym nas przyłapał. Cały czas krążył przy tym dokoła, mrużył oczy i gładził się po brodzie, co chwila kiwając głową.

– Oczywiście musimy ci uszyć nowy kostium – powiedział do mnie. – Kilka kostiumów, do kompletu z przebraniem Kitty. To żaden problem. – Zdjął mi kapelusz; warkocz opadł mi na ramię. – Trzeba coś zrobić z włosami, ale przynajmniej kolor jest bez zarzutu: dokładne przeciwieństwo Kitty, widzowie z galerii odróżnią was bez trudu. – Zmrużył oko, stanął w miejscu i przyjrzał mi się uważniej, założywszy ręce za głowę. Był bez surduta, w samej tylko zielonej koszuli z białym kołnierzykiem (zawsze niezmiernie dbał o swój wygląd). Pod pachami widniały ciemne plamy od potu.

– Mówisz poważnie, Walterze? – spytałam. Pokiwał głową.

– Jak najbardziej, Nan.

Przez całe popołudnie nie dał nam spokoju. Planowana wycieczka i spacer poszły w niepamięć; Walter zapłacił czekającemu woźnicy i odprawił go. Wykorzystując spokój w domu, ćwiczyłyśmy przy pianinie pani Dendy jak każdego zwykłego dnia, z tą różnicą, że nie włączałam się okazjonalnie, by oszczędzić głos Kitty, ale śpiewałam z nią przez cały czas. Jeszcze raz odśpiewałyśmy „Jeśli kiedyś przestanę ją kochać”, tyle tylko że teraz brzmiało to jakoś sztucznie i bez wyrazu. Potem powtórzyłyśmy kilka dawnych piosenek Kitty, które pamiętałam z Palace; z nimi poszło nam nieco lepiej. Wreszcie zaśpiewałyśmy nową, jedną z tych popularnych wówczas na West Endzie, o spacerze po Piccadilly z kieszenią tak pełną suwerenów, że wszystkie damy zerkają z uśmiechem i mrugają zalotnie. Słysząc ją w rewiach aż po dziś dzień, ale to właśnie Kitty i ja wykonałyśmy ją po raz pierwszy. I gdy owego popołudnia zamieniłyśmy autorskie „Ja” na „My”, splatając ręce i paradując po salonie, brzmiała tak słodko i komicznie, jak tylko można sobie wyobrazić. Zaśpiewałyśmy ją raz, potem drugi, trzeci i czwarty; za każdym razem byłam swobodniejsza i weselsza, a także coraz mniej przekonana o niedorzeczności planu Waltera...

Wreszcie, kiedy zupełnie zaschło nam w gardle, w głowie zaś roilo się od suwerenów i perskich oczek, Walter zamknął fortepian i pozwolił nam odetchnąć. Zaparzyliśmy herbatę i rozmowa zeszła na inne tory. Spojrzałam na Kitty i przypomniałam sobie, że mam jeszcze inny, istotniejszy powód do radości, w związku z czym niecierpliwie oczekiwałam na

wyjście Waltera. Moje znużenie i zniecierpliwienie nie uszło jego uwagi: chyba uznał, że zbyt mię zmęczył. Dlatego niebawem się pożegnał; gdy tylko trzasnęły drzwi, podeszłam do Kitty i otoczyłam ją ramionami. Nie pozwoliła się pocałować w salonie, wkrótce jednak poprowadziła mnie przez ciemniejszy dom z powrotem do sypialni. Tutaj mój strój, do którego zdążyłam przywyknąć na dole, ponownie obudził we mnie osobliwe uczucie. Przyciągnęłam do siebie rozebraną Kitty; jej nagie biodro, wciśnięte pomiędzy moje nogi wciąż okryte spodniami, miało w sobie coś lubieżnego. Musnęła ręką rozporek, bardzo delikatnie; zadrżałam. Następnie zdjęła ze mnie ubranie i leżałyśmy nagie pod kołdrą. Wtedy znów mnie dotknęła.

Leżałyśmy tak dopóty, dopóki z dołu nie rozległo się trzaśnięcie drzwi; usłyszałyśmy kaszel pani Dendy i śmiech Tootsie na schodach. Kitty stwierdziła, że powinnyśmy wstać i ubrać się, żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń; po raz drugi tego dnia leżałam i patrzyłam leniwie, jak myje się i wkłada suknię.

Położyłam sobie rękę na piersi. Zdało mi się, że tworzy gorącą, miękką taflę wosku topniejącą pod rozpalonym knotem. Westchnęłam. Słyszając to, Kitty spojrzała na moją zmienioną twarz, a następnie podeszła bliżej i odsunawszy moją dłoń, dotknęła wargami miejsca, gdzie biło serce.

Miałam osiemnaście lat i nic nie wiedziałam o życiu. W owej chwili myślałam, że umrę z miłości.

Przez następne dwa dni, gdy nie było Waltera, nie poruszałyśmy tematu moich ewentualnych występów na scenie. Wreszcie zjawił się u pani Dendy z paczką podpisaną „Nan Astley”. Była ostatnia noc w roku: przyszedł na kolację, aby następnie wysłuchać z nami dzwonów obwieszczających północ. Słyszając ich bicie, wzniosł kieliszek.

– Za Kitty i Nan! – zawołał. Popatrzył na mnie, a potem utkwiał wzrok w Kitty. – Za ich udany wspólny występ, który przyniesie nam sławę i fortunę w nowym roku i na wieki!

Siedzieliśmy przy stole w salonie pani Dendy wraz z gospodynią i profesorem; wszyscy przyłączyli się do toastu, lecz Kitty i ja wymieniliśmy ukradkowe spojrzenia. Biedak, pomyślałam z mimowolną radością i triumfem. Skąd może wiedzieć, co naprawdę świętujemy?

Wówczas Walter podał mi przyniesioną paczkę i z uśmiechem patrzył, jak ją otwieram. Wiedziałam, co kryje się w środku: był to garnitur, uszyty na miarę sceniczny kostium z serży i aksamitu skrojony na podobieństwo stroju Kitty, lecz jej był brązowy, a mój niebieski, pod kolor oczu. Przyłożyłam go do siebie i Walter skinął głową.

– Teraz zobaczymy różnicę – powiedział. – Biegnij na górę i przebierz się. Zobaczymy, co powie pani Dendy.

Posłusznie spełniłam jego prośbę. Zanim wróciłam na dół, stanęłam przed lustrem. Włożyłam swoje proste, czarne trzewiki i upchnęłam włosy pod kapeluszem. Wsunęłam papieros za ucho, a nawet zdjęłam gorset, aby dodatkowo spłaszczyć i tak płaską pierś. Trochę przypominałam mojego brata Davy’ego, tylko byłam przystojniejsza. Potrząsnęłam głową. Jeszcze cztery dni wcześniej w tym samym miejscu po raz pierwszy dostrzegłam w

sobie dorosłą kobietę. Wystarczyła jedna wizyta u krawca i oto przeobraziłam się w chłopca, chłopca z paskiem i rozporkiem. Była to zuchwała myśl, dlatego czym prędzej ją odrzuciłam. Zesłam do salonu i stanęłam przed wszystkimi z rękami w kieszeniach, gotowa na przyjęcie pochwał.

Lecz gdy tak stałam, obracając się na wszystkie strony, zapach Waltera wyraźnie ostygł, a pani Dendy zrobiła zamyśloną minę. Kiedy na ich prośbę ujęłam Kitty pod ramię i odśpiewaliśmy szybki refren, Walter zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Coś tu nie gra – oświadczył. – Muszę z przykrością powiedzieć, że to do niczego.

Popatrzyłam z urazą na Kitty. Bawiła się łańcuszkiem, postukując zębami o perłę. Ona również wyglądała na niezadowoloną.

– Coś jest nie tak – przytaknęła – ale zupełnie nie wiem, co...

Spojrzałam na siebie. Wyjęłam ręce z kieszeni i skrzyżowałam je na piersi. Walter znów pokręcił głową.

– Leży jak ulał – stwierdził. – Kolor też odpowiedni. A jednak tu nie pasuje. Tylko co?

Pani Dendy kaszlnęła.

– Przejdź się kawałek – poleciła. Kiedy spełniłam jej prośbę, dodała: – Teraz obrót, o tak. A teraz bądź tak miła i przypal mi papierosa. – Wykonawszy polecenie, odczekałam, aż zaciągnie się dymem i przestanie kaszleć.

– Jest zbyt prawdziwa – oznajmiła w końcu.

– Zbyt prawdziwa?

– Zbyt prawdziwa. Wygląda jak chłopiec. Wiem, że tak ma być, ale... jeśli rozumiesz, co mam na myśli, ona wygląda jak prawdziwy chłopiec. Twarz, sylwetka, chód. Chyba nie o to chodzi, prawda?

Ogarnęło mnie zażenowanie. Zerknęłam na Kitty, która zaśmiała się nerwowo. Walter jednakże rozpogodził się w jednej chwili i popatrzył na mnie olśniony.

– A niech to, mateczko! – zawołał. – Masz rację!

Podniósł rękę do czoła i ruszył do drzwi; usłyszeliśmy, jak pospiesznie wbiega na schody, a potem z góry, z pokoju Percy'ego i Simsa dobiegł tupot jego stóp, po czym trzasnęły drzwi piętro wyżej. Po chwili wrócił, dźwigając osobliwy zestaw: parę męskich butów, koszyk z nićmi, kilka wstążek oraz skrzynkę z przyborami do charakteryzacji Kitty. Zwalił to wszystko na dywan obok mnie. Następnie rzucił zdawkowo: „wybacz, Nan”, i bezceremonialnie zdjął ze mnie surdut oraz trzewiki. Koszyk z nićmi wręczył Kitty i podał jej surdut z poleceniem dopasowania go w talii. Trzewiki rzucił na bok, zastępując je parą butów Simsa: małych, zgrabnych butów na płaskim obcasie. W miejsce sznurowadeł wsunął wstążki i zawiązał je na kokardkę. Chcąc je nieco wyeksponować (zresztą bez obcasów byłam też trochę niższa), wywinął nogawki, tworząc z nich mankiety.

Następnie odchylił mi głowę w tył i z wręcz dziewczęcą delikatnością pomalował mi usta i rzęsy. Papierosa wyrzucił do kominka. Wreszcie wyczekująco popatrzył na Kitty, której udzielił się jego zapach. Gorliwie pochylała się nad szyciem, zaraz jednak przegryzła ostatnią nitkę i podała surdut Walterowi, który pomógł mi go włożyć i zapiął guziki.

Cofnął się o krok i przekrzywił głowę.

Ponownie spojrzałam na siebie. Oryginalne buty przykuwały uwagę, przywodząc na myśl obuwie bohatera pantomimy. Spodnie były teraz krótsze, mankiety zakłóciły ich nieskazitelną linię. Surdut zaokrąglął się nad i pod talią, zupełnie jakbym miała biodra i biust, stał się jednak ciaśniejszy i przez to o wiele mniej wygodny. Twarzą oczywiście nie widziałam: zerknęłam na jedno ze zdjęć wiszących nad kominkiem i dostrzegłam swoje odbicie (przede wszystkim oczy i usta) ponad czerwonym nosem i wąsiskami Wystrzałowego Jacka.

Popatrzyłam na pozostałych. Pani Dendy i profesor spoglądali na mnie z uśmiechem. Kitty wyraźnie się odprężyła. Walter, cały w pąsach, zdawał się porażony własnym dziełem. Skrzyżował ręce na piersi.

– Doskonała – powiedział.

Po tym incydencie moja kariera w przebraniu chłopca (chłopca, którym – paradoksalnie – mogłabym się stać, gdybym miała w sobie więcej z dziewczyny) potoczyła się lotem błyskawicy. Następnego dnia Walter wysłał mój kostium do szwaczki i kazał go poprawić, w przeciągu tygodnia zaś wypożyczył salę i orkiestrę od dyrektora, który był mu winien przysługę, dzięki czemu Kitty i ja mogliśmy poćwiczyć na scenie. Nie przypominało to prób w salonie pani Dendy. Obcy ludzie oraz ciemna i pusta widownia zbiły mnie z tropu; sztywna i niezadarna, nie umiałam przyswoić sobie kilku prostych kroków, których tamci dwoje cierpliwie próbowali mnie nauczyć. Wreszcie Walter wręczył mi laskę i kazał po prostu się na niej opierać, pozostawiając Kitty część taneczną. Tak było lepiej: stałam się swobodniejsza i piosenka znów brzmiała jak należy. Kiedy skończyłyśmy i ćwiczyłyśmy ukłony, od strony orkiestry dały się słyszeć pojedyncze brawa.

Kitty usiadła, sięgając po filiżankę z herbatą, a wtedy Walter odciągnął mnie na bok i zrobił poważną minę.

– Nan – zaczął – od początku mówiłem, że nie będę cię naciskał i nadal mogę to potwierdzić: wolałbym porzucić branżę niż zmuszać dziewczynę do występów wbrew jej woli. Jak wiesz, nie brakuje cwaniaków, którzy stosują różne sztuczki, mając na uwadze jedynie własny zysk. Lecz ja do nich nie należę, poza tym jesteś moją przyjaciółką. Ale... – Chwycił głęboki oddech. – Zabrnęliśmy dość daleko i jesteś naprawdę dobra, ja ci to mówię.

– Może z biegiem czasu – odrzekłam z powątpiewaniem.

Potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi. Czy przez ostatnie pół roku nie dawałaś z siebie wszystkiego, pracując chyba nawet ciężiej niż Kitty? Znasz jej numer jak ona sama, znasz reguły rządzące branżą i wszystkie piosenki; ba, czy sama nie nauczyłaś jej większości z nich?

– Bo ja wiem – odpowiedziałam. – Wszystko jest takie nowe i dziwne. Zawsze uwielbiałam rewię, ale w życiu nie myślałam o tym, by sama stanąć na scenie...

– Czyżby? – zapytał. – Naprawdę nie? Czy patrząc, jak jakaś mała szansonistka przejmuję w Canterbury władzę nad tłumem, nie marzyłaś, aby znaleźć się na jej miejscu?

Czy oczami wyobraźni nie widziałaś swego nazwiska na afiszach? Nie śpiewałaś nad swoją beczką ostryg, jakby była zatłoczoną widownią, którą doprowadzasz do płaczu albo rozśmieszasz do łez?

Przygryzłam paznokcie, marszcząc brwi.

– Marzenia – skwitowałam.

Walter pstryknął palcami.

– One wytyczają drogę do sławy.

– Gdzie miałybyśmy zacząć? – zapytałam. – Kto dałby nam szansę?

– Dyrektor tego teatru. Dziś wieczorem. Już z nim rozmawiałem...

– Dziś wieczorem!

– Tylko jedna piosenka. Wciśnię wasz numer do przedstawienia, a jeśli się spodobacie, dostaniecie angaż.

– Dziś wieczorem... – Z urazą spojrzałam na Waltera. Spoglądał na mnie łagodnie oczami, które wydawały się jeszcze bardziej niebieskie i żarliwe niż zwykle. Lecz jego słowa wzbudziły we mnie panikę. Pomyślałam o dusznej, oświetlonej widowni wypełnionej szyderczymi twarzami. O scenie, tak ogromnej i pustej. Nie dam rady, pomyślałam. Nie zrobię tego nawet dla Waltera. Nawet dla Kitty.

Już chciałam pokręcić głową. Widząc to, pospiesznie dodał coś, co zabrzmiało niemal przebiegle.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że tak czy inaczej nie zrezygnujemy z pomysłu stworzenia duetu. Jeśli nie chcesz wystąpić z Kitty, znajdziemy inną dziewczynę. Rozpuścimy wici, rozwiesimy ogłoszenia, zorganizujemy przesłuchanie. W żadnym razie nie powinnaś czuć się winna...

Spojrzałam na Kitty siedzącą z filiżanką na skraju plamy światła z reflektora: machała nogami, z uśmiechem słuchając słów dyrygenta. Nie wzięłam pod uwagę możliwości, że mogłaby mieć inną partnerkę i paradować z nią po scenie pod rękę, śpiewając jednym głosem. To było gorsze niż wizja szydzącej widowni, która gwiazdami i tupaniem próbuje wypłoszyć mnie za kulisy...

Tym sposobem, kiedy Kitty stanęła wieczorem za kulisami, czekając na wezwanie konferansjera, znalazłam się obok niej, pocąc się niemiłosiernie pod grubą warstwą szminki i przygryzając wargi niemal do krwi. Dawniej czułam tremę przez wzgląd na Kitty, nigdy jednak moje serce nie biło tak mocno jak teraz: myślałam, że dosłownie wyskoczy mi z piersi i umrę ze strachu. Gdy Walter przyszedł udzielić ostatnich instrukcji i napełnić nam kieszenie monetami, język stanął mi kołkiem i nie mogłam wykrztusić słowa. Miałyśmy wystąpić po żonglerze. Słyszałam skrzypienie desek, kiedy podbiegał do swoich pałeczek, oraz aplauz tłumu po skończonym numerze; następnie rozległ się stukot młotka i żongler przebiegł obok nas, ściskając swoje akcesoria. Kitty szepnęła: „kocham cię!”, poczułam, jak ktoś wpycha mnie pod unoszącą się kurtynę, i zrozumiałam, że pora wydobyć głos z gardła.

Zrazu byłam tak oślepiąta reflektorami, że w ogóle nie widziałam tłumu, słyszałam tylko

donośny szum, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron. Dopiero gdy na chwilę stanęłam poza snopem światła i dostrzegłam rzeszę twarzy zwróconych w moim kierunku, mało nie straciłam ducha: na szczęście Kitty ścisnęła moją rękę i wykorzystując uwerturę, mruknęła: „Mamy ich! Posłuchaj!”. Nadstawiłam ucha i ku swemu zdumieniu zrozumiałam, że ma rację: ludzie bili brawo i pohukiwali przyjaźnie. Kiedy zbliżyliśmy się do refrenu, dokoła narastał szmer powszechnego aplauzu, by wreszcie wybuchnąć kaskadą owacji od parteru aż po galerię.

Dźwięk ów poruszył mnie bardziej, niż mogłam to sobie wyobrazić. Natychmiast przypomniałam sobie kroki nedorzecznego tańca, którego bezskutecznie próbowałam się nauczyć, i przyłączyłam się do Kitty. Dotarły też do mnie ostatnie wskazówki Waltera i gdy piosenka zbliżała się ku końcowi, stanęłyśmy na skraju sceny, wyciągnęłyśmy monety, którymi wypchał nam kieszenie (oczywiście były to tylko czekoladowe suwenery opakowane w złote papierki) i rzuciłyśmy je w roześmiany tłum. Tuzin rąk natychmiast powędrował w górę.

Rozległy się okrzyki i prośby o bis, lecz naturalnie nie miałyśmy przygotowanej żadnej innej piosenki.

Wśród wiwatów tłumu wycofałyśmy się za kulisy, ustępując miejsca parze akrobatów-cyklistów. Nawet jednak po ich występie kilka osób próbowało ponownie wywołać nas na scenę.

Byłyśmy niekwestionowanymi gwiazdami wieczoru.

Za kulisami, czując na policzku usta Kitty, a rękę Waltera na ramieniu i słysząc zewsząd grad pochwał i zachwyconych okrzyków, stanęłam jak oniemiała: nie wiedziałam, czy z uśmiechem przyjmować komplementy, czy też skromnie zaprzeczać. Spędziłam może siedem minut na wprost rozkrzyczanego tłumu, lecz ów krótki czas uświadomił mi prawdę o samej sobie i dokonał we mnie radykalnej przemiany.

Zrozumiałam, że cokolwiek zdołam osiągnąć jako dziewczyna, nie może się równać z triumfem, jaki będę święcić przebrana za (jakkolwiek zniewieściałego) chłopca.

Jednym słowem, odkryłam swoje powołanie.

Następnego dnia, idąc za ciosem, ścięłam włosy i zmieniłam nazwisko.

Nowa fryzura była dziełem tego samego teatralnego fryzjera z Battersea, który strzygł Kitty. Stał nade mną przez godzinę, po czym sięgnął po lusterko i przycisnął je do fartucha.

– Proszę się przygotować – rzucił ostrzegawczo. – Wszystkie dziewczęta, którym obcinałem włosy, zawsze najpierw reagowały płaczem.

Po jego słowach poczułam nagły przypływ paniki.

Kiedy jednak podał mi lustro, moje nowe odbicie sprawiło, że uśmiechnęłam się tylko. Nie ostrzygł mnie tak krótko jak Kitty; włosy artystycznie opadały mi na kołnierz i pozbawione ciężaru warkocza skręcały się w lekkie, malownicze kędziory. W przydługą grzywkę wtarł nieco pomady, co nadało jej jedwabistą gładkość i przydało złocistych refleksów. Dotykając nowej fryzury poczułam, że moje policzki oblewają się purpurą.

– Widzi pani? Dziwnie, prawda? – powiedział fryzjer i pokazał mi, jak przypinać

obcięty warkocz.

Nie odpowiedziałam, lecz mój rumieniec bynajmniej nie wynikał z żalu. Poczerwieniałam, gdyż przystrzyżone włosy i odsłonięty kark budziły we mnie dziwne podniecenie. Poczerwieniałam, ponieważ (tak jak wówczas, gdy po raz pierwszy włożyłam spodnie) poczułam wewnątrz osobliwy żar i wzmożoną tęsknotę za bliskością Kitty. Zaiste, pragnęłam jej tym mocniej, im bardziej upodabniałam się do chłopca.

Ale Kitty, która również uśmiechnęła się na widok krótkich włosów, z wyraźną ulgą przyjęła fakt, że warkocz wrócił na swoje miejsce.

– Tak jest lepiej – uznała, kiedy wstałam i strzepnęłam spódnice. – Ta fryzura jakoś nie pasuje do sukni.

Po powrocie na Ginevra Road zastałyśmy w domu Waltera. Pani Dendy szykowałam lunch; wtedy to otrzymałam nazwisko, które miało iść w parze z moją nową, śmiałą fryzurą.

Uznałyśmy, że nasze zwykłe nazwiska będą na debiut w Camberwell jak znalazł, dlatego konferansjer zapowiedział nas jako „Kitty Butler i Nancy Astley”. Odniosłyśmy jednak spektakularny sukces: znajomy dyrektor Waltera zaoferował nam miesięczny angaż i chciał wiedzieć, co ma wydrukować na afiszu. Pomni sukcesów z ostatniego półrocza wiedzieliśmy, że musimy zachować nazwisko Kitty, ale Walter uznał, że „Astley” brzmi dość pospolicie i powinniśmy wymyślić coś lepszego. Nie wyraziłam sprzeciwu, zaznaczyłam jednak, że przez sentyment chciałabym pozostać przy „Nan”. Przy lunchu głowiliśmy się nad ewentualnym pseudonimem i wszyscy rzucali propozycje. Tootsie wymyśliła „Nan Love”, Sims „Nan Sergeant”. Percy powiedział: „Nan Scarlet... nie, Nan Silver... albo nie, Nan Gold...”. Każdy proponował jakąś świeżą i niezwykłą wersję mnie samej: czułam się, jakbym stała w garderobie i przymierzała coraz to nowe kostiumy.

Lecz żaden nie pasował. Wreszcie profesor popukał w stół, odchrząknął i oznajmił: „Nan King”. I choć na wzór innych artystów chciałabym móc powiedzieć, że za moim pseudonimem kryje się jakaś pouczająca lub romantyczna historia – na przykład, że otworzyliśmy na chybił trafił książkę albo że doznałam olśnienia we śnie – pozostaje mi jedynie wyznać prawdę: szukaliśmy nazwiska i profesor rzucił: „Nan King”, które od razu przypadło mi do gustu.

I tym sposobem powróciłyśmy wieczorem do Camberwell jako „Kitty Butler i Nan King”, aby potwierdzić i umocnić sukces z ubiegłej nocy. „Kitty Butler i Nan King” – widniało na afiszach i „Kitty Butler i Nan King” zaczęły powoli, acz nieubłaganie piąć się po szczeblach hierarchii rewiowej, od artystek średniej klasy, do gwiazd pierwszej wielkości. Oznaczało to występy nie tylko w Camberwell, ale i – w ciągu kilku następnych miesięcy – w mniejszych rewiach Londynu oraz – powoli, powoli – w teatrach West Endu...

Trudno powiedzieć, co sprawiało, że widownia bardziej polubiła nas w duecie niż samą Kitty. Być może sprawdziły się prognozy Waltera: tego jeszcze nie było. I choć w późniejszych latach nie brakowało naśladowczyń, nie ulegało wątpliwości, że w 1889 roku wniosłyśmy na londyńską scenę rewiową powiew nowości. Mogło być również tak (znów

zgodnie z przewidywaniami Waltera), że widok pary dziewcząt w męskim przebraniu był bardziej uroczy, ekscytujący oraz nieporównanie bardziej szelmowski niż widok jednej dziewczyny w spodniach, kamaszach i cylindrze. Wiem, że ładnie wyglądałyśmy razem: Kitty z orzechową czupryną, ja jasnowłosa, gładka i lśniąca; ona nieco podwyższona dzięki niewielkim obcasom, ja w płaskich pantoflach z niewieścimi kokardkami i w sprytnie przesytych surdutach mających zamaskować kanciastą budowę dziewczęcymi „krągłościami”.

Cokolwiek spowodowało ów przełom, okazało się strzałem w dziesiątkę. Nie byłyśmy zaledwie popularne, jak dotychczas Kitty, lecz zyskałyśmy prawdziwą sławę. Nasze honoraria wzrosły. Występowałyśmy w trzech, czasami czterech przedstawieniach dziennie; kiedy nasz powóz utknął w sznurze pojazdów, woźnica krzychał: „Mam tutaj Kitty Butler i Nan King, za kwadrans muszą być w Royalu w Holborn! Przepuście nas!”. A wtedy pozostali dorożkarze rozjeżdżali się na boki, robiąc miejsce, i na nasz widok z uśmiechem uchylali kapeluszy! Teraz i ja dostawałam kwiaty, zaproszenia na kolację, prośby o autografy oraz listy...

Minęło kilka tygodni, aż w pełni dotarło do mnie to, co się dzieje; upłynęło też trochę czasu, zanim postanowiłam zaufać zachwyconym tłumom. Kiedy jednak nauczyłam się kochać moje nowe życie, pokochałam je z całego serca. Nietrudno zrozumieć radość płynącą z sukcesu, lecz to moja zdolność do odczuwania rozkoszy – rozkoszy z występów na scenie, odgrywania coraz to nowych ról i śpiewania nieprzystojnych piosenek – wprawiała mnie w największe zdumienie. Dotąd zadawałam się miejscem za kulisami i obserwacją Kitty brylującej na wprost hałaśliwego tłumu. Lecz oto ni stąd, ni zowąd to ja stałam się obiektem uwielbienia, zachwytu i zazdrości. Nie mogłam nic na to poradzić: najpierw zakochałam się w Kitty, odkąd zaś przyjąłm jej rolę, po trosze zakochałam się i w sobie. Podziwiałam swoje gładkie i błyszczące włosy. Uwielbiałam nogi, przez lata lekceważone i zasłaniane spódnicą, a przecież tak długie, smukłe i kształtne.

Weźmiecie mnie za próżną. Nie byłam próżna i nie mogłam być dopóty, dopóki istniała Kitty. To ona była gwiazdą numeru. Tak naprawdę to ona śpiewała, podczas gdy ja stanowiłam dźwięczne tło. Kiedy tańczyłyśmy, ona wiodła prym na scenie, a ja tylko podrygiwałam u jej boku. Byłam odbiciem, echem; byłam cieniem, który w swej świetności rzucała na scenę. Jednakże, jak to zwykle z cieniem bywa, przydawałam jej głębi, ostrości i zarysu, których dotąd jej brakowało.

Moje zadowolenie nie miało nic wspólnego z próżnością. Wynikało z miłości: była tym doskonalsza, im lepszy stawał się nasz występ. Ostatecznie bowiem te dwie rzeczy – występ i nasza miłość – nie różniły się tak bardzo od siebie. Narodziły się jednocześnie czy też (jak lubiałam myśleć) jedno zrodziło się z drugiego i stanowiło jego wymiar publiczny. Kiedy Kitty i ja zostałyśmy kochankami, obiecałam, że zachowam ostrożność. Złożyłam przyrzeczenie od niechcienia, przekonana, że nie będzie to trudne zadanie. Dotrzymałam słowa i nigdy nie okazywałam jej czułości, kiedy ktoś mógł nas podpatrzeć lub podsłuchać. Wszakże nie było to łatwe ani nie stało się łatwiejsze wraz z upływem

czasu; stopniowo przerodziło się jedynie w uciążliwy nawyk. Jakże bowiem miałam zdobyć się na chłód i obojętność w ciągu dnia, skoro noc spędzałyśmy tak blisko siebie? Jak miałam powstrzymać się od spojrzeń i gryźć się w język, skoro na osobności mogłam spoglądać na nią do woli i wymyślać pieszczotliwe przezwiska? Siedząc obok niej przy kolacji u pani Dendy, stojąc w teatralnej poczekalni lub spacerując ulicami Londynu, czułam się, jakby u rąk i nóg zawieszono mi łańcuchy, zakneblowano usta, oczy zaś przysłonięto klapkami. Kitty pozwoliła mi się kochać, lecz jej zdaniem świat nigdy nie pozwoliłby na nic więcej niż przyjaźń.

Przyjaźń oraz wspólne występy. Nie uwierzycie, ale miłość z Kitty – namiętna, lecz skazana na mrok, ciszę i wieczne nasłuchiwanie, czy nikt nie idzie – miłość z Kitty oraz wspólny taniec w świetle reflektorów, na wprost niezliczonych par oczu, do scenariusza, który znałam na pamięć i przećwiczyłam wiele razy, były w zasadzie jednym i tym samym. Przebieranki zawsze kryją w sobie podwójne dno: za naszymi piosenkami, tańcem oraz rzucaniem monet i kwiatów stał tajemny język, którym porozumiewałyśmy się bez wiedzy publiczności. Była to mowa ciała, sprowadzona do ukradkowego dotyku, szturchnięcia lub spojrzenia mówiącego: „za wolno, za szybko, nie tam, tylko tu, dobrze, jeszcze lepiej!”. Zupełnie jakbyśmy wychodziły przed purpurową kurtynę, kładły się na deskach i oddawały publicznym pieszczotom, po czym dostawały za to oklaski i honorarium! Tak jak powiedziała Kitty, kiedy wspomniałam, że występ w spodniach wzmagą moje pożądanie: „To dopiero byłoby widowisko!”. I było, choć widownia nie miała o tym pojęcia. I mimo że wytrzeszczała oczy, widziała coś zupełnie innego.

Cóż, może niektórzy okazali się bystrzejsi od innych...

Wspomniałam o swoich wielbicielach. Były to w większości dziewczęta, wesołe, beztrudne dzierlatki, które oblegały wyjście, błagając o zdjęcia i autografy, i obsypując nas kwiatami. Lecz na każde dziesięć lub dwadzieścia dziewcząt przypadały dwie szczególnie zdesperowane i natrętne tudzież bardziej nieśmiałe i tchórzliwe od pozostałych. Dostrzegałam w nich coś... niezwykłego. Nie umiałam tego nazwać, wiedziałam tylko, że istnieje i stawia ich zainteresowanie moją osobą w szczególnym świetle. Słały listy, listy równie przesadne lub enigmatyczne jak ich zachowanie; listy, które zarazem fascynowały mnie i napawały odrazą. „Ośmielam się powiedzieć, że jest Pani bardzo ładna”, napisała jedna dziewczyna, inna zaś wyznała prosto z mostu: „Panno King, jestem w Pani zakochana!”. Jakaś Ada King dopytywała się, czy nie jesteśmy spokrewnione. Napisała: „Podziwiam Was obie, lecz zwłaszcza Panią. Czy mogłaby Pani ofiarować mi swoje zdjęcie? Chętnie powiesiłabym je nad łóżkiem...”. Wysłałam jej moją ulubioną fotografię przedstawiającą mnie i Kitty w oksfordzkich portkach i kapeluszach; Kitty stała z rękami w kieszeniach, a ja trzymałam ją pod ramię, z papierosem między palcami. Skreśliłam na niej dedykację: „Dla Ady, od jednej panny King dla drugiej”. Dziwnie było myśleć, że zawiśnie na ścianie albo stanie w ramkach, a obca dziewczyna będzie na nią patrzeć, zapinając sukienkę lub oddając się beztrudnym marzeniom.

Padały również inne prośby, niekiedy dość osobliwe. Czy nie mogłabym wysłać spinki

od kołnierzyka, guzika od surduta, kosmyka włosów? Czy zechcę w czwartkowy lub piątkowy wieczór włożyć czerwony krawat (albo zielony, ewentualnie może być żółta róża w butonierce) albo przesłać umówiony sygnał na znak, że otrzymałam wiadomość?

– Wyrzuć to – mówiła Kitty, kiedy pokazywałam jej listy. – Te dziewczyny to wariatki, lepiej ich nie zachęcać.

Wiedziałam jednak, że nie ma racji: autorki listów były dokładnie takie, jak ja przed rokiem, tyle że odważniejsze lub bardziej lekkomyślne. Już to wystarczyło, aby zasłużyły na mój podziw; lecz najbardziej zdumiewała i elektryzowała mnie myśl, że to ja budzę ich zainteresowanie, że na widowni jedno lub dwa niewieście serca biją właśnie dla mnie, a kilka par oczu wpatruje się nieprzystojnie w moją postać. Czy wiedziały, dlaczego tak patrzę? Wiedziały, czego szukają? A przede wszystkim, co widziały, oglądając, jak paraduję po scenie w spodniach, wyśpiewując o dziewczęcych spojrzeniach i złamanym sercach? Czy dostrzegały to... coś, co ja dostrzegałam w nich?

– Oby nie! – mówiła Kitty, kiedy przedstawiałam jej swoje wątpliwości. I choć mówiła to ze śmiechem, brzmiał on jakoś bez przekonania. Nie lubiła o tym rozmawiać.

Nie spodobało jej się też, gdy pewnego razu w garderobie natknęłyśmy się na dwie kobiety, szansonistkę i jej garderobianą, które wedle moich podejrzeń miały z nami wiele wspólnego. Ta pierwsza była niezwykle ładna; nosiła bardzo obcisły strój obszyty świecidełkami. Garderobiana była starszą kobietą w nieładnej, brązowej sukience; zobaczyłam, że zapina kostium artystki, ale nie dostrzegłam w tym nic dziwnego. Kiedy jednak wszystkie haftki były zapięte, kobieta pochyliła się, aby zdmuchnąć puder z szyi swojej podopiecznej, następnie szepnęła jej coś do ucha i obie wybuchnęły śmiechem, z głowami blisko nachylonymi ku sobie... i zrozumiałam, że są kochankami, tak jakby miały to wypisane na czole.

Poczerwieniałam jak burak. Zerknąwszy na Kitty, zobaczyłam, że zachowanie tamtych nie uszło jej uwagi: siedziała z zaciśniętymi ustami i opuszczonym wzrokiem. Mijając mnie w drodze na scenę, szansonistka puściła oko. „Pora zadowolić publikę”, powiedziała, na co garderobiana znów wybuchnęła śmiechem. Po skończonym występie wróciła do garderoby, zmyła makijaż i podeszła do mnie z papierosem, prosząc o ogień. Następnie zaciągnęła się dymem i obrzuciła mnie powłóczystym spojrzeniem.

– Idziesz na przyjęcie do Barbary? – zapytała. Odparłam, że nie znam żadnej Barbary. Kobieta machnęła ręką.

– Och, nic nie szkodzi. Możesz iść z Ellą i ze mną. I zabierz swoją przyjaciółkę – dodała, wskazując na Kitty.

Lecz choć w jej geście nie było nic obraźliwego, Kitty, która przez cały czas siedziała z opuszczoną głową, poprawiając swój kostium, spojrzała na nią i uśmiechnęła się z przymusem.

– To bardzo miło z pani strony – odrzekła – ale już jesteśmy umówione. Nasz agent, pan Bliss, zabiera nas na kolację.

Wytrzeszczyłam oczy: o ile wiedziałam, nie miałyśmy na ten wieczór żadnych planów.

Ale szansonistka tylko wzruszyła ramionami.

– Szkoda – skwitowała. Następnie przeniosła wzrok na mnie. – Nie chcesz zostawić przyjaciółki z agentem i przyłączyć się do nas?

– Panna King wybiera się na spotkanie z panem Blissem – oznajmiła Kitty, nim zdążyłam odpowiedzieć.

Jej słowa zabrzmiały tak kategorycznie, że tamta tylko pociągnęła nosem i wróciła do garderobianej, która czekała na nią z koszykami. Odprowadziłam je wzrokiem, ale nie obejrzały się ani razu. Kiedy następnego dnia przyszliśmy do garderoby, Kitty wybrała wieszak jak najdalej od nich; nie minęło też wiele czasu, jak przeniosły się do innego teatru...

Po powrocie do domu, już w łóżku, stwierdziłam, że wyszło niezręcznie.

– Dlaczego powiedziałaś, że wychodzimy z Walterem? – zapytałam.

– Nie podobały mi się – odrzekła Kitty.

– Ale dlaczego? Przecież były miłe. I zabawne. Były... takie jak my.

Obejmowałam ją ramieniem; poczułam, że zeszywniała. Odsunęła się i uniosła głowę. W blasku świecy zobaczyłam, że na jej pobludłej twarzy maluje się oburzenie.

– Nan! – zawołała. – One nie są takie jak my! Wcale nie są takie jak my. To lesbijki.

– Lesbijki? – Dokładnie pamiętam ową chwilę, gdyż słyszałam to słowo po raz pierwszy. Potem miałam zatęsknić za czasem, kiedy go nie znałam.

Kitty wzdrygnęła się gwałtownie.

– Lesbijki. Całowanie dziewcząt to ich sposób na życie. My takie nie jesteśmy.

– Nie? – zapytałam. – Cóż, chętnie uczyniłabym całowanie ciebie swoim sposobem na życie. Myślisz, że ktoś chciałby mi za to płacić? Od razu rzuciłabym scenę. – Próbowałam ją przyciągnąć, ale mnie odepchnęła.

– Nie miałybyś innego wyjścia – stwierdziła z powagą. – A ja razem z tobą, gdyby ludzie nabrali podejrzeń, że jesteśmy... właśnie takie.

Ale jakie tak naprawdę byłyśmy? Nie umiałam znaleźć na to odpowiedzi. Kiedy nie dawałam za wygraną, Kitty rozżłościła się nie na żarty.

– Nijakie! Jesteśmy... jesteśmy sobą.

– Ale skoro jesteśmy sobą, dlaczego musimy to ukrywać?

– Ponieważ nikt nie dostrzegłby różnicy pomiędzy nami a... tamtymi kobietami!

– A jest jakaś różnica? – spytałam ze śmiechem. Kitty na dobre straciła humor.

– Już ci mówiłam – odparła. – Ty nic nie rozumiesz. Nie wiesz, gdzie leży granica pomiędzy tym, co dobre i złe...

– Wiem, że to, co robimy, nie jest złe. Tylko świat jest innego zdania.

Potrząsnęła głową.

– Na jedno wychodzi – skwitowała. Następnie opadła z powrotem na poduszkę, przyknęła oczy i odwróciła twarz.

Zrobiło mi się przykro, że jej dokuczałam, choć przyznaję ze wstydem, że była w tej złości bardzo pociągająca. Dotknęłam jej policzka i przysunęłam się nieco bliżej, po czym

przeniosłam rękę niżej. Kitty odsunęła się; moje palce podążyły przed siebie nieco wolniej. Wreszcie poczułam, że jej ciało mimowolnie poddaje się memu dotykowi. Chwyciłam skraj jej koszuli nocnej i zadarłam ją wysoko, po czym to samo zrobiłam ze swoją. Nasze biodra pasowały do siebie jak dwie połówki ostrygi: nie wszedłby między nas nawet nóż.

– Ach, Kitty, jak to może być złe? – szepnęłam. Lecz ona nie odpowiedziała, tylko uniosła usta do moich warg. Opadłam na nią całym ciężarem i westchnęłam.

Byłam jak Narcyz, pochylony nad stawem, w którym miał zatonać.

Pewnie miała rację, mówiąc, że nic nie rozumiem. Wszystko zawsze sprowadzało się do jednego: bez względu na to, jak bardzo musiałyśmy się ukrywać, nie potrafiłam długo martwić się tym, co – jak sama przyznawała – było tak piękne i nieskazitelne. I w swej naiwności gotowa byłam uwierzyć, że każdy, komu zależało na moim szczęściu, byłby skłonny przyklasnąć temu, co robię.

Jak wspomniałam, byłam bardzo młoda. Następnego dnia, gdy Kitty jeszcze spała, wstałam i bezszelestnie przeszłam do saloniku. Tam zrobiłam coś, do czego przymierzałam się od miesięcy, lecz nigdy nie wystarczało mi odwagi. Wzięłam kartkę i pióro, po czym napisałam list do mojej siostry Alice.

Nie pisałam do domu od tygodni. Kiedyś wspomniałam, że stworzyłyśmy duet, lecz zbagatelizowałam całą sprawę w obawie, że rodzice potępiają tę decyzję. W odpowiedzi dostałam krótki, pełen zdziwienia liścik: planowali wyprawę do Londynu, aby się upewnić, że wszystko w porządku. Natychmiast odpisałam, że to wykluczone, jestem zajęta, a na naszej stacji nie ma gdzie szpilki wetknąć... Krótko mówiąc (taka byłam „ostrożna”!), robiłam, co mogłam, żeby ich zniechęcić do przyjazdu. Nasze listy stały się jeszcze rzadsze, a temat mojej kariery scenicznej odpłynął w dal – ja go nie podejmowałam, oni nie pytali.

Teraz też nie on stanowił treść mojego listu do Alice. Napisałam siostrze o tym, co zaszło pomiędzy mną a Kitty: że nasza miłość nie ma nic wspólnego z przyjaźnią, że postanowiłyśmy wieść razem życie i że powinna cieszyć się wraz ze mną, ponieważ jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Trwało to długo, ale napisałam list do końca i przyniósł mi niewiarygodną ulgę. Bez ponownego czytania od razu włożyłam go do koperty i pobiegłam do skrzynki. Wróciłam, zanim Kitty zdążyła choćby przewrócić się na drugi bok, a kiedy się obudziła, nie wspomniałam o nim ani słowem.

Nie mówiłam jej też o odpowiedzi Alice. Nadeszła kilka dni później, kiedy siedziałyśmy przy śniadaniu, i musiała zaczekać w mojej kieszeni do momentu, gdy mogłam ją przeczytać bez świadków. Od razu zwróciłam uwagę na porządne linijki; znając zamiłowanie Alice do pióra, zrozumiałam, że była to ostatnia z kilku wersji.

W przeciwieństwie do mego listu odpowiedź była bardzo krótka, tak krótka, że niechętnie muszę przyznać, iż pamiętam każde słowo.

Droga Nancy,

Twój list był dla mnie szokiem, choć wcale nie powinien dziwić, gdyż spodziewałam się go od dnia, kiedy wyjechałaś z domu. Po przeczytaniu go nie wiedziałam, czy mam płakać, czy ze złości rzucić go na ziemię i podeptać. Koniec końców wrzuciłam go do ognia i pozostaje mi mieć nadzieję, że tak samo postąpisz z wiadomością ode mnie.

Prosisz, bym cieszyła się razem z Tobą. Nance, musisz wiedzieć, że Twoje szczęście zawsze znaczyło dla mnie więcej nawet niż moje własne. Wiedz jednak, że nie potrafię się cieszyć, widząc, że Twoja przyjaźń z tą kobietą jest tak karygodna i zła. Nigdy nie przyjmę do wiadomości tego, co mi wyjawiałaś. Sądzisz, że odnalazłaś szczęście, ale jesteś w błędzie, i ta kobieta, Twoja „przyjaciółka”, ponosi za wszystko całą winę.

Żałuję, że ją poznałaś i opuściłaś dom, zamiast zostać w Whitstable, gdzie Twoje miejsce, wraz z tymi, którzy kochają Cię jak należy.

Pozwól, że napiszę coś, co, mam nadzieję, rozumiesz sama. Rodzice i Davy nic o tym nie wiedzą, a ja im nie powiem, gdyż prędkiej wolałabym umrzeć ze wstydu. Ty też nic im nie mów, chyba że chcesz dokończyć dzieła, które rozpoczęłaś, wyjeżdżając, i do reszty złamać im serca.

Proszę, abyś nie wyjawiała mi więcej swych wstydliwych sekretów. Spójrz na siebie i na drogę, którą podążasz, i sama sobie odpowiedz, czy postępujesz właściwie.

Alice

Musiła dotrzymać słowa, ponieważ listy od rodziców napływały jak dotąd, ostrożne, czasami pełne pretensji, lecz niezmiennie życzliwe. Czerpałam z nich jednakże coraz mniejszą radość, a w głowie kołatała wiecznie ta sama myśl: Co by napisali, gdyby wiedzieli? Czy wówczas okazaliby mi życzliwość? I moje odpowiedzi stały się jeszcze krótsze i rzadsze niż zwykle.

Co do Alice, jej zimny list oznaczał koniec naszej korespondencji.

Rozdział 6

Płynęły miesiące, a my nie mogliśmy narzekać na brak zajęcia. Przez całą wiosnę i lato wykonywałyśmy nasz przebojowy numer – piosenkę o oczkach i suwerenach – doszły jednak do niej następne, które należało przećwiczyć i dopracować, były też nowe orkiestry, z którymi trzeba było się zgrać, nowe teatry i nowe kostiumy. Co do tych ostatnich, miałyśmy ich tak dużo, że musiałyśmy wziąć dziewczynę do pomocy: reperowała stroje i pomagała nam się przebierać.

Byłyśmy bogate, przynajmniej według moich standardów. W teatrze Star w Bermondsey Kitty zaczynała od kilku funtów tygodniowo, a ja dostawałam z tego niewielką pensyjkę, która wystarczała na moje potrzeby. Obecnie sama zarabiałam dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści razy tyle, a bywało, że więcej. Owe sumy nie mieściły mi się w głowie: wolałam – być może nierozsądnie – zdać się w tej kwestii na Waltera. On zaś, zadowolony z naszego powodzenia, znalazł dla swych pozostałych podopiecznych innych agentów i zajmował się tylko nami. Negocjował nasze kontrakty, dbał o promocję i zarządzał naszymi pieniędzmi; płacił Kitty, ona zaś – podobnie jak kiedyś – wydzielała mi sumy, o które poprosiłam.

Moja zażyłość z Kitty nadała znajomości z Walterem nieco osobliwy wymiar. Widywaliśmy się jak dawniej, jeździliśmy z nim na przejażdżki i spędzałyśmy długie godziny przy pianinie pani Dendy (stary instrument zastąpiono nowym, znacznie droższym). Walter był miły i naiwny jak zawsze, choć przygasł nieco, widząc, że uwaga Kitty skupiała się wówczas głównie na mnie. Może tylko mi się zdawało, ale czułam do niego litość i snułam domysły, co też chodzi mu po głowie. Byłam przekonana, że nie odgadł prawdy o łączących nas stosunkach, gdyż oczywiście nadal zachowywałyśmy się nader powściągliwie.

Pomimo przyływu gotówki nigdy nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus przebierania w ofertach. Przez cały wrzesień występowałyśmy w Trocadero, bardzo wytwornym teatrze, jednym z tych, które pokazywał nam Walter podczas pierwszej wycieczki po West Endzie, ponad rok wstecz. Potem jednak przeniosłyśmy się do Deacon's Music Hall w Islington. Był to stary, niezbyt duży teatrzyk, którego widownię tworzyła zbieranina mieszkańców Clerkenwell, niezasługująca na miano szycownej publiczności.

Z reguły nie miałyśmy nic przeciwko gawiedzi; ba, gorzej bywało w wytwornych

teatrach West Endu, gdzie damy były zbyt dobrze wychowane lub eleganckie, by klaskać czy tupać, i tylko pijani bogacze darli się i gwizdali jak na rewiową publiczność przystało. Nigdy dotąd nie występowałyśmy w Deacon's, kiedyś tylko pracowałyśmy w położonym opodal teatrze Sama Collinsa. Tamtejsza publiczność była biedna i wesoła, w większości złożona z robotników oraz kobiet z dziećmi na ręku, czyli taka, jaką lubiłam najbardziej, gdyż jeszcze niedawno sama do niej należałam.

Publiczność w Deacon's była daleko mniej wytworna niż w Islington Green, chociaż równie przyjazna, a nade wszystko otwarta na rozrywkę, której miałyśmy dostarczyć. W pierwszym tygodniu szło nam jak z płatka – co wieczór śpiewałyśmy przy pełnej sali. Kłopoty zaczęły się w sobotę drugiego tygodnia: we wrześnieową mglistą sobotę jeden z owych szaroburych wieczorów, kiedy ulice oraz budynki miasta wydają się rozmyte i jakby mniej wyraźne.

W taki wieczór ulice zwykle są zatłoczone, owego dnia zaś ruch pomiędzy Windmill Street i Islington odbywał się z morderczą powolnością, gdyż doszło tam do wypadku. Jakiś furgon przewrócił się na jezdnię; natychmiast pojawił się tuzin wyrostków, którzy otoczyli konia, aby uniemożliwić mu wstanie z miejsca, przez co nasz powóz utknął tam na ponad pół godziny. Dotarliśmy do Deacon's ze strasznym opóźnieniem i zastałyśmy w teatrze bałagan nie mniejszy niż na ulicy. Tłum, rozeźlony oczekiwaniem, na dobre stracił cierpliwość. Wysłano na scenę jakiegoś nieszczęśnika, który miał zaśpiewać piosenkę i rozbawić gawieź, ta jednak naigrawała się zeń na całego. Kiedy Bogu ducha winny zaczął tańczyć, na scenę wpadło dwóch osiłków, którzy ściągnęli mu buty i jęli podrzucać go aż do galerii. Gdy zdyszane wpadłyśmy do teatru, gotowe natychmiast zacząć śpiewać, powietrze huczało od wrzasków i wybuchów śmiechu. Osilki trzymały nieszczęsnego artystę za nogi i powiesiły go nad rampą, usiłując przypalić mu włosy. Dyrygent wraz z kilkoma pomocnikami pospieszyli biedakowi na odsiecz i próbowali zepchnąć niesfornych widzów za kulisy. Jakiś człowiek stał w pobliżu, wyraźnie oszołomiony; po jego twarzy płynęła krew z rozbitego nosa.

Walter przyjechał z nami, gdyż po przedstawieniu mieliśmy pójść razem na kolację. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację i na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

– Mój Boże – wyjąkał. – Nie możecie tam teraz wyjść.

W tej chwili nadbiegł dyrektor.

– Jak to? – wykrzyknął zdruzgotany. – Muszą wyjść, inaczej wybuchnie awantura. To ich spóźnienie tak rozwścieczyło publiczność. – Wytarł spocone czoło. Odgłosy szamotaniny ucichły i sytuacja na scenie zdawała się wracać do normy.

Kitty spojrzała na mnie i skinęła głową.

– On ma rację – powiedziała do Waltera i dodała, zwracając się do dyrektora: – Niech pan każe zapowiedzieć nasz występ.

Dyrektor wepchnął chustkę do kieszeni i przezornie ulotnił się na wypadek, gdyby zmieniła zdanie.

Lecz Walter nie wyglądał na przekonanego.

– Jesteście pewne? – zapytał. Zerknął na scenę.

Udało się wyprowadzić osiłków, artysta zaś został posadzony na krześle za kulisami po przeciwnej stronie i napojony wodą. Odzyskane buty stały tuż obok jego bosych i poobijanych nóg. Lecz na widowni wciąż panował harmider.

– Nie musicie tego robić – podjął Walter. – Mogą czymś w was rzucić i zrobić wam krzywdę.

Kitty poprawiła kołnierzyk. W tej samej chwili usłyszeliśmy potężny ryk oraz zbiorowy tupot nóg: zapowiedziano nasz występ. W ogólnym hałasie rozległy się pierwsze takty piosenki.

– Jeśli coś rzucą – powiedziała – zrobimy unik. – I zrobiła krok naprzód, gestem kazując mi iść za sobą.

I rzeczywiście, mimo początkowego zamieszania publiczność powitała nas bardzo serdecznie.

– Czółko, Kitty! – zawołał ktoś, kiedy tanecznym krokiem wpadliśmy na scenę. – Zgubiliście się we mgle czy co?

– Koszmarny tłok – odrzyknęła; zaraz miałyśmy zacząć śpiewać i z każdym kolejnym krokiem wchodziła w rolę – ale to nic w porównaniu z przechadzką, którą odbyliśmy pewnego popołudnia. Droga z Pall Mall do Piccadilly zajęła nam kiedyś pół dnia... – Po czym gładko i niepostrzeżenie, ze mną, bliższą i wierniejszą niż cień, zaintonowała piosenkę.

Po pierwszym numerze wróciliśmy za kulisy, gdzie Flora, nasza garderobiana, czekała z kostiumami. Walter trzymał się na uboczu, ale na nasz widok potrzęsnał splecionymi dłońmi w geście triumfu. Na jego zaróżowionej twarzy malował się wyraz bezbrzeżnej ulgi.

Druga piosenka – pod tytułem „Szarłatna gorączka”, do której wkładałyśmy mundury wartowników (czerwone kurtki i czapki, białe pasy, czarne spodnie, bardzo eleganckie) – poszła nam jak z płatka; trudności pojawiły się dopiero przy trzecim wejściu. Na parterze siedział pewien mężczyzna: od początku zwróciłam na niego uwagę, gdyż był zwalisty i najwyraźniej kompletnie pijany. Głośno chrapał na swoim fotelu; miał szeroko rozstawione nogi, otwartą gębę i podbródek lśniący lekko w blasku padającym ze sceny. Najprawdopodobniej przespał niedawną awanturę, lecz traf chciał, że teraz coś wyrwało go ze snu i postanowił wyjść. Scena była mała, dlatego widziałam go jak na dłoni. Potrącając sąsiadów, dotarł do końca rzędu; strasznie przy tym przeklinał, a ludzie, którym deptał po palcach, bynajmniej nie pozostawali mu dłużni. W przejściu znieruchomiał, zupełnie zbity z tropu. I zamiast skierować się do baru, wychodka bądź tam, dokąd prowadził go przesiąknięty whisky umysł, przyczłapał na skraj sceny. Następnie stanął w miejscu i obrzucił nas przeciągłym spojrzeniem, przysłaniając dłonią oczy.

– Co, u licha...? – W przerwie między zwrotką a refrenem jego słowa zabrzmiały niczym wystrzał armatni. Kilka osób zgromiło go wzrokiem i cmoknęło z niezadowoleniem.

Wymieniłyśmy spojrzenia, lecz śpiewałyśmy dalej jak gdyby nigdy nic, z uśmiechami

wciąż przylepionymi do twarzy. Po chwili mężczyzna zaklął jeszcze głośniej. Publiczność, która zdążyła się już uspokoić i uważnie śledziła nasz występ, zaczęła pokrzykiwać, żeby go uciszyć.

– Wyrzucić pijaka! – wrzasnął ktoś.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Nan, skarbie! – Słowa te padły z ust kobiety siedzącej na parterze.

Podchwyciwszy jej wzrok, uchyliłam słomkowego kapelusza (miałyśmy na sobie oksfordzkie spodnie i kapelusze) i zobaczyłam, że się zarumieniła.

Lecz krzyki tylko dodatkowo rozsierdziły i oszołomiły pijaka. Odepchnął chłopca, który podszedł go uciszyć; zauważyłam, że muzycy zerkają na to z niepokojem znad swoich instrumentów. Wezwano dwóch odźwiernych, którzy stali na tyłach widowni i wytrzeszczali oczy, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność. Pół tuzina rąk wystrzeżowało w górę, wskazując na mężczyznę z nastroszonymi bokobrodami, który stał przy scenie.

W tej samej chwili zaczął łomotać otwartą dłonią w deski. Stłumiłam chęć, aby podejść bliżej i nadepnąć opojowi na palce (powstrzymała mnie obawa, że byłby zdolny chwycić mnie za kostkę i ściągnąć w dół). Zamiast tego postanowiłam wziąć przykład z Kitty, która wprawdzie z niepokojem ścisnęła moją rękę, sprawiała jednak wrażenie doskonale obojętnej na powstałe zamieszanie. Podejrzewałam, że lada chwila przerwie piosenkę i zwróci się do awanturnika albo zawoła porządkowych i każe go wyprowadzić.

Tamci jednak wreszcie go zauważyli i ruszyli ku scenie. Mężczyzna nie przestawał przeszkadzać.

– To ma być piosenka? – huknął. – To ma być piosenka? Oddawać mojego szylinga! Słyszycie? Oddawać mojego cholernego szylinga!

– Możesz dostać kopniaka w tyłek, durniu! – zawołał ktoś w odpowiedzi, a jakaś kobieta krzyknęła: – Cicho tam, jeśli łaska! Przez te wasze wrzaski w ogóle nie słyhać dziewcząt.

Pijak uśmiechnął się szydlerczo, a następnie odchrząknął i splunął.

– Dziewcząt? – powtórzył donośnie. – Dziewcząt? Nazywacie je dziewczętami? Przecie to dwie lesby!

Było to słowo, które Kitty wypowiedziała niegdyś mimowolnie i z taką niechęcią. Ów mężczyzna włożył w nie całą swą złość: zabrzmiało głośniej niż dźwięk trąbki i odskoczyło od jednej ściany do drugiej niczym odbita rykoszetem kula z pistoletu.

Lesby!

Widownię przebiegł zbiorowy dreszcz. Sala ucichła: krzyki przeszły w mamrotanie, umilkły piski i nawoływania. Poprzez filtr światła ujrzałam przed sobą twarze zgromadzonych, wzburzone i zde gustowane.

Ale nie wszystko było stracone, jeszcze mogli o tym zapomnieć i odzyskać humor – gdyby nie to, co stało się na scenie.

Kitty bowiem zeszywniała, a następnie zgubiła rytm. Tańczyłyśmy ze splecionymi rękami. Otworzyła usta, po czym zacisnęła je z całej siły, nie mogąc opanować drżenia warg. Jej głos, prześliczny i wibrujący, zadrżał i ucichł. Po raz pierwszy oglądałam ją w

takim stanie. Wcześniej widywałam, jak beztrosko pokonuje morze obojętności i fale szyderstwa. Tymczasem wystarczył jeden pijacki okrzyk, aby rzucić ją na mieliznę.

Oczywiście powinnam była zaśpiewać głośniejsze i wyrwać ją z odrętwienia, lecz przecież byłam tylko cieniem. Jej nagłe milczenie sprawiło, że osłupiałam, a głos uwiązał mi w gardle. Spojrzałam na orkiestrę. Dyrygent dostrzegł nasze zmieszanie; muzyka przycichła, po czym rozbrzmiała jeszcze głośniejsze niż przedtem.

Lecz ani widzowie, ani Kitty nie zwrócili na to uwagi. Odźwierni wreszcie dopadli pijaka i chwycili go za kołnierz. Ale tłum nie patrzył na niego, tylko na nas. Patrzył na nas i widział... co? Dwie krótkowłose dziewczyny w spodniach, złączone w ciasnym uścisku. Lesbijki! Pomimo wysiłków orkiestry okrzyk mężczyzny zdawał się rozbrzmiewać echem w całej sali.

Ktoś zawołał coś z galerii, ludzie odpowiedzieli mu śmiechem.

Czar prysł; Kitty drgnęła i na widok naszych splecionych rąk wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, cofając się ze zgrozą. Następnie uniosła rękę do oczu i ze spuszczoną głową uciekła za kulisy.

Chwilę stałam oszołomiona, wreszcie pobiegłam za nią. Orkiestra grała dalej. Z widowni znów dobiegały okrzyki, ktoś zawołał: „Wstyd!”. O ile pamiętam, pośpiesznie opuszczono kurtynę.

Za kulisami panował zamęt nie do opisanego. Kitty podbiegła do Waltera, który z grobową miną otoczył ją ramieniem. Flora trzymała w ręku rozwiązany but; była zaszokowana, niepewna i niesłychanie zaintrygowana. Grupa pomocników teatralnych stała nieopodal, zerkając na nas ukradkiem i wymieniając szeptem jakieś uwagi. Podeszłam do Kitty i chciałam wziąć ją za rękę, zaraz jednak odstąpiłam od tego zamiaru, gdyż wzdrygnęła się, jakbym chciała ją uderzyć. W tej samej chwili zjawił się dyrektor, jeszcze bardziej rozemocjonowany niż zwykle.

– Panno Butler, panno King, chciałbym wiedzieć, co u licha znaczy...

– A ja chciałbym wiedzieć – przerwał mu szorstko Walter – co u licha znaczy wysyłanie moich artystek na pastwę motłochu, który nazywa pan swoją publicznością. Chciałbym też wiedzieć, dlaczego pijany dureń przez dziesięć minut zakłóca występ panny Butler, podczas gdy pańscy głupkowaci odźwierni nie mogą się zdecydować, czy usunąć go z sali.

Dyrektor tupnął nogą.

– Jak pan śmie!

– Jak pan śmie...!

Kłótnia rozgorzała na całego. Nie słuchając, popatrzyłam na Kitty. Jej oczy pozostały suche, twarz jednak stężała i zbladła jak płótno. Opierała głowę na ramieniu Waltera i uparcie unikała mojego wzroku.

Wreszcie Walter prychnął i machnął ręką na poirytowanego dyrektora. Następnie spojrzął na mnie.

– Nan, zabieram Kitty do domu. Nie ma mowy, żebyście dokończyły występ, obawiam się też, że musimy odwołać naszą kolację. Zawołam dorożkę; zgodzisz się wrócić

powozem z Florą i wszystkimi rzeczami? Wolałbym niezwłocznie odwieźć Kitty na Ginevra Road.

Z wahaniem popatrzyłam na Kitty. Zerknęła na mnie przelotnie i skinęła głową.

– Dobrze – odpowiedziałam. Patrzyłam, jak wychodzą. Walter sięgnął po swój płaszcz i (choć był za duży i włókł się po zakurzonej podłodze) narzucił go na szczupłe ramiona Kitty. Podniosła kołnierz, aby osłonić szyję i pozwoliła się wyprowadzić, mijając po drodze rozżłoszczonego dyrektora i grupkę szepczących chłopców.

Kiedy dotarłam na Ginevra Road – po spakowaniu wszystkich rzeczy i odstawieniu Flory do domu w Lambeth – Waltera już nie było, w naszych pokojach panował mrok, a Kitty leżała w łóżku, najwyraźniej pogrążona we śnie. Pochyliłam się i pogłaskałam ją po głowie. Ani drgnęła; postanowiłam jej nie budzić, w obawie że tylko bardziej ją zdenerwuję. Zrzuciłam z siebie ubranie i wsunęłam się pod kołdrę. Gdy położyłam rękę na piersi Kitty, poczułam przyspieszone bicie jej serca.

Feralny wieczór w Deacon's wniósł w nasze życie szereg niekiedy nader osobliwych zmian. Nie wróciliśmy więcej do tamtego miejsca i zerwaaliśmy kontrakt, co kosztowało nas utratę sporej sumy. Kitty zaczęła grymasić przy wybieraniu teatrów, czasem też wypytywała Waltera o artystów, z którymi miałyśmy występować. Kiedyś był to Amerykanin o pseudonimie „Paul czy Pauline?”; tańczył raz w kostiumie mężczyzny, a raz w stroju kobiety, i śpiewał na przemian sopranem i barytonem. Moim zdaniem był nie najgorszy, lecz po obejrzeniu jego numeru Kitty kazała Walterowi odwołać nasz występ.

Uznała mężczyznę za dziwoląga: nie daj Bóg, żeby ludzie zaczęli nas z nim kojarzyć...

Owa decyzja przyniosła również wymierne straty materialne. Doprawdy, podziwiałam cierpliwość Waltera.

Kolejna zmiana dotyczyła bowiem jego zachowania. Wspomniałam już o markotnych minach i świeżo nabytej rezerwie, które spowodowała zażyłość pomiędzy mną i Kitty. Po incydencie w Deacon's objawy te znacznie się nasiliły. Życzliwość, którą niezmiennie nam okazywał, stawała się czasem nieco wymuszona. Peszył się i oblewał pąsem, zwłaszcza w obecności Kitty, po czym popadał w sztuczne ożywienie, jakby sam się ganił za nadmierny dystans. Rzadziej zaglądał na Ginevra Road. Wreszcie widywaaliśmy go tylko wówczas, gdy trzeba było przećwiczyć nowe piosenki, albo w towarzystwie innych artystów, z którymi czasem jadłyśmy kolację.

Tęskniłam za nim, a zmiana w jego zachowaniu nie dawała mi spokoju, choć przyznam, że domyślałam się jej przyczyny. Pamiętnego wieczoru w Islington wreszcie poznał prawdę – usłyszał okrzyk pijaka, zobaczył przerażenie na twarzy Kitty i zrozumiał wszystko. Odwiózł ją do domu (nie wiem, co wówczas między nimi zaszło, ponieważ żadne z nich nie kwapiło się wracać do wydarzeń owej okropnej nocy), lecz czułość, z jaką otulił ją płaszczem, więcej się nie powtórzyła. Obecnie nie umiał zachowywać się przy Kitty swobodnie – być może dlatego, że zrozumiał, iż ją stracił, albo też (co było bardziej prawdopodobne) myśl o łączącym nas uczuciu była mu wstrętna. I postanowił trzymać się na uboczu.

Gdybyśmy pozostały dłużej w domu pani Dendy, znajomi zwróciliby zapewne uwagę na jego nieobecność i zaczęli nas wypytywać, ale koniec września przyniósł zmianę – największą ze wszystkich. Pożegnałyśmy się z naszą gospodynią i zmieniłyśmy lokum.

Temat przeprowadzki pojawiał się sporadycznie od samego początku naszej pospiesznie rozwijającej się kariery, lecz zawsze odkładałyśmy to na później: wydawało się nierozsądne opuszczać miejsce, gdzie zaznałyśmy tyle szczęścia. Dom pani Dendy stał się naszym domem. Tutaj pierwszy raz się pocałowałyśmy, wyznałyśmy sobie miłość i doświadczyłyśmy sielanki miodowego miesiąca; pomimo niezbyt atrakcyjnego wyglądu i ciasnoty (nasze kostiumy zajmowały teraz więcej miejsca niż łóżko) za żadne skarby nie chciałam opuszczać tego mieszkania.

Lecz Kitty doszła do wniosku, że skoro zarobiłyśmy dość pieniędzy, by wynająć coś dziesięć razy większego, dziwnie byłoby dalej dzielić jeden pokój i łóżko. I wynajęła agenta nieruchomości, który miał znaleźć dla nas coś wygodniejszego.

Przeniosłyśmy się na drugi brzeg Tamizy, do Stamford Hill, dzielnicy, której prawie nie znałam (i którą osobiście uważałam za raczej nudną). Zjadłyśmy pożegnalną kolację na Ginevra Road; wszyscy powtarzali, jak bardzo im przykro z powodu naszej przeprowadzki – pani Dendy nawet uroniła kilka łez, zapewniając, że w jej domu już nigdy nie będzie tak jak przedtem. Tootsie wyjeżdżała do Francji na występy w paryskiej rewii; w jej pokoju miał zamieszkać artysta kabaretowy, który potrafił pięknie gwizdać. Profesor miał pierwsze objawy paraliżu i wszystko wskazywało na to, że wyląduje w przytułku dla emerytowanych artystów. Sims i Percy nie narzekali na brak szczęścia. Planowali zająć nasze pokoje, Percy jednak znalazł sobie dziewczynę. Jego wybranka poróżniła braci – później doszły mnie słuchy, że zrezygnowali ze wspólnych występów i wstąpili do dwu rywalizujących ze sobą trup. Podobny los spotykał pewnie wszystkie teatralne kwatery, lecz ostatniego wieczoru na Ginevra Road byłam niemal tak smutna jak przed wyjazdem z Whitstable. Usiadłam w salonie (moje zdjęcie wisiało teraz na ścianie obok innych) i rozmyślałam o zmianach, które zaszły w ciągu ostatnich trzynastu spędzonych tu miesięcy. Zastanawiałam się, czy aby na pewno wszystkie wyszły mi na dobre. Żałowałam, że znów nie mogę być zwykłą Nancy Astley, obiektem zwyczajnej miłości, której Kitty nie bała się pokazać całemu światu.

Ulica, przy której zamieszkałyśmy, była nowa i bardzo spokojna. Z moich obserwacji wynikało, że nasi sąsiedzi pracują w centrum miasta; ich żony całymi dniami siedziały w domu, a dzieci miały nianie, które woziły maleństwa po ogrodzie w głębokich, solidnych wózkach. Zajęłyśmy dwa górne piętra domu położonego w pobliżu stacji; nasi gospodarze mieszkali pod nami, ale że nie byli związani z branżą, widywałyśmy ich raczej rzadko. Nasze pokoje okazały się bardzo gustownie urządzone, byłyśmy pierwszymi lokatorkami: meble, z lakierowanego drewna, wyściełane aksamitem zdobionym brokatem, znacznie odbiegały od tego, do czego byłyśmy przyzwyczajone, toteż starałyśmy się siadać na sofach i krzesłach w możliwie najdelikatniejszy sposób. Miałyśmy do swej dyspozycji trzy sypialnie, jedna z nich należała do mnie. Znaczyło to mniej więcej tyle, że trzymałam tam

swoje ubrania, na stoliku leżały moje przybory toaletowe, a koszula nocna pod poduszką, na użytek dziewczyny, która trzy razy w tygodniu przychodziła do nas sprzątać. Tak naprawdę noce spędzałam w pokoju Kitty, w wielkiej sypialni z podwójnym łóżem. Jego widok niezmiennie budził mój uśmiech.

– Jesteśmy małżeństwem – mówiłam do Kitty. – Właściwie to wcale nie musimy tutaj leżeć, jeśli nie chcemy! Mogłabym zanieść cię do salonu i całować na dywanie!

Lecz nigdy tego nie robiłam. Choć bowiem wreszcie mogliśmy pozwolić sobie na swobodę, porzucenie starych nawyków okazało się ponad nasze siły: nadal szeptem wyznawałyśmy sobie miłość i całowałyśmy się pod kołdrą bezszelestnie jak myszki.

Rzecz jasna, jeżeli w ogóle miałyśmy czas na pieszczoty. Obecnie pracowałyśmy przez sześć wieczorów w tygodniu i nie było Percy'ego, Simsa ani Tootsie, którzy po przedstawieniu dotrzymaliby nam towarzystwa. Często wracałyśmy do Stamford Hill tak wykończone, że od razu padałyśmy na łóżko i zasypiałyśmy. Gdy nadszedł listopad, znajdowałyśmy się u kresu sił, i Walter uznał, że należą nam się wakacje. Była mowa o wyprawie na kontynent, a nawet do Ameryki, gdzie można by spróbować szczęścia w niewielkich rewiach, korzystając z uprzejmości przyjaciół Waltera. Ale nim zdążyliśmy cokolwiek ustalić, otrzymałyśmy propozycję wzięcia udziału w przedstawieniu z teatru Britannia w Hoxton. Chodziło o inscenizację „Kopciuszka”, Kitty i ja miałyśmy zagrać pierwszą i drugą rolę męską. Nie mogłyśmy zmarnować takiej szansy.

Moja kariera rewiowa, choć dość krótka, była nad wyraz udana, lecz nie pamiętam, bym kiedykolwiek czuła się szczęśliwsza niż owej zimy, gdy grałam Dandiniego u boku Kitty odgrywającej rolę Księcia w Britannii. Marzeniem każdego artysty jest wystąpić w scenicznej adaptacji bajki¹; można to zrozumieć dopiero wówczas, kiedy człowiek sam dostanie taką propozycję, zwłaszcza z tak cenionego i słynnego teatru jak Brit. Jest się ustawionym na trzy najzimniejsze miesiące. Nie trzeba ganiać pomiędzy teatrami ani martwić się o angaż. Poznajesz aktorów i tancerzy, zawierasz nowe przyjaźnie. Masz przestronną, ciepłą i przytulną garderobę, w której możesz spokojnie się przebrać, zamiast wpadać na scenę z wywieszonym językiem i w ubraniu zapiętym byle jak w powozie. Dostajesz scenariusz i gotowe kostiumy, najwspanialsze, jakie kiedykolwiek widziałeś, z futra, satyny i aksamitu, które po przedstawieniu oddajesz garderobianej i nie musisz się troszczyć o ich stan. Publiczność, przed którą występujesz, to najmiłszy, najweselszy tłum, który na byle głupstwo odpowiada salwą śmiechu: sama świadomość, że idą święta, wprawia widzów w szampański humor. Zupełnie jakbyś wziął urlop od prawdziwego życia, z tą różnicą, że – o ile poszczęściło ci się tak jak nam – zarabiasz dwadzieścia funtów tygodniowo.

„Kopciuszek”, w którym przyszło nam grać, został wystawiony ze szczególnie wielką pompą. Tytułową rolę grała Dolly Arnold, prześliczna dziewczyna o głosie jak słowik i tak cieniutkiej talii, że słynęła z noszenia łańcuszka zamiast paska. Dziwnie było patrzeć, jak Kitty czuli się do niej na scenie i całuje ją, kiedy zegar wskazywał minutę przed północą, chociaż jeszcze dziwniejsze wydawało się to, że nikt nie krzychał: „Lesbijki!”, ani nawet

nie śmiał tak myśleć. Publiczność wiwatowała, gdy Księżę i Kopciuszek mogli się wreszcie pobrać i jechali powozem weselnym ciągniętym przez pół tuzina kucyków.

Oprócz Dolly Arnold w spektaklu występowały inne gwiazdy, artyści, których niegdyś oklaskiwałam w kanterberyjskim teatrze. Tutaj rozmawiałam z nimi jak równy z równym, co sprawiało, że czułam się bardzo nieswojo. Dotąd tańczyłam i śpiewałam tylko u boku Kitty, teraz oczywiście musiałam grać: wchodziłam na scenę na czele dworskiej świty i pytałam: „Gdzie jest księżę, nasz pan?”, klepałam się w kolano i popełniałam prześmieszne gafy, po czym klękałam przed Kopciuszkiem z pantofelkiem na aksamitnej poduszce i wkładałam go na jej maleńką stópkę, a widownia trzykrotnie powtarzała za mną: „hip, hip, hura”, gdy okazało się, że pasuje jak ulał. Jeśli zdarzyło wam się oglądać gwiazdkowe przedstawienia w Brit, znacie ich przepych. W scenie przeobrażenia Kopciuszka brało udział sto dziewcząt w sukniach z gazy ze złocistą lamówką. Wirowały one ponad widownią zawieszane na ruchomych linach. Na scenie zainstalowano fontanny, z których każda mieniła się innym kolorem. Ślubna suknia Kopciuszka była cała złota, z brokatowym stanikiem. Kitty dostała złote pantalonek, lśniąca kamizelę i trójgraniasty kapelusz, a ja nosiłam aksamitne bryczesy i kamizelkę oraz pantofle o kwadratowych noskach, ze srebrnymi klamrami. Kiedy tak stałam u boku Kitty, a fontanny pluskały, wróżki zataczały kręgi w powietrzu, kucyki zaś postukiwały kopytami, nigdy nie byłam pewna, czy aby nie umarłam po drodze do teatru i nie obudziłam się w raju. Rozgrzana sierść koni wydziela szczególną woń. Czułam ją co wieczór w Brit, przemieszaną z charakterystycznym zapachem kurzu i szminki, tytoniu oraz piwa. Nawet teraz, gdybyście spytali, jak według mnie wygląda niebo, odpowiedziałabym, że pachnie nagrzanym końskim włosiem i są w nim kolorowe fontanny oraz anioły w sukienkach z gazy...

Lecz raczej na pewno nie ma w nim Kitty...

Naturalnie wówczas tak nie myślałam. Czułam się jedynie nieziemsko szczęśliwa, mając obok siebie ukochaną i wykonując tę niezwykłą pracę, a zachowanie Kitty świadczyło, że odczuwa dokładnie to samo. Owej zimy spędziłyśmy prawdopodobnie więcej czasu w Brit niż naszym nowym mieszkaniu w Stamford Hill i częściej miałyśmy na sobie aksamitne stroje oraz upudrowane peruki niż zwykłą odzież. Zaprzyjaźniłyśmy się ze wszystkimi pracownikami teatru – z tancerkami i garderobianymi, fachowcami od oświetlenia, rekwizytorami, stolarzami oraz gońcami. Flora, nasza garderobiana, znalazła sobie nawet wśród nich chłopaka. Był to Murzyn, który uciekł ze statku w Wapping i przyłączył się do trupy grajków; stwierdziwszy jednak, że nie ma ku temu odpowiednich predyspozycji, zatrudnił się w teatrze jako pomocnik.

O ile pamiętam, miał na imię Albert, ale podobnie jak wszyscy w branży wołał korzystać z przydomku, toteż wszyscy wołali nań „Billy-Boy”. Kochał teatr i spędzał w nim cały swój czas, rzucając karty z odzwiercietelnymi i stolarzami, kręcąc się po nadsceniu i imając najrozmaitszych zajęć. Był przystojny, a Flora za nim przepadała, w związku z czym wystawał pod drzwiami naszej garderoby w oczekiwaniu na chwilę, gdy będzie mógł odprowadzić ją do domu. Dzięki temu miałyśmy okazję bliżej go poznać. Lubiłam go,

ponieważ pochodził znad rzeki i podobnie jak ja opuścił rodzinę dla teatru. Czasami, po południu albo późnym wieczorem, zostawialiśmy Floreę i Kitty zajęte kostiumami i włączyliśmy się po mrocznym, uśpionym teatrze, co sprawiało nam niesamowitą frajdę. Jakimś cudem zdobył kopie kluczy do wszystkich ukrytych zakurzonych pomieszczeń Britannii – piwnic, strychów i dawnych rekwizytorni – i pokazywał mi kosze wypełnione kostiumami z lat pięćdziesiątych, korony i berła z papier-mâché oraz zbroje z folii aluminiowej. Raz czy dwa razy weszliśmy po drabinach znajdujących się z boku na nadsceniu, gdzie stanęliśmy, opierając brody o barierki i paląc jednego papierosa, spoglądaliśmy w dół na deski widoczne spoza pajęczyny lin, oddalone od nas o sześćdziesiąt stóp.

Czułam się trochę jak u pani Dendy, mając wokół siebie tylu przyjaciół, z tą różnicą, że nie było wśród nich Waltera. Rzadko przychodził do Brit, a na Stamford Hill nie zaglądał prawie w ogóle. Kiedy się pojawiał, jego skrępowanie było dla mnie nie do zniesienia, dlatego zwykle znajdowałam sobie inne zajęcie, pozwalając, by Kitty sama stawiała mu czoło. Zauważyłam, że podczas owych wizyt była równie zażenowana i nienaturalna jak on, ponad jego obecność przedkładając listy, którymi zwykł podówczas komunikować swoje posunięcia i plany. Mimo to robiła dobrą minę do złej gry i zrozumiałam, że woli o tym nie rozmawiać. Świadomość, że nasz sekret napełnił Waltera taką odrazą, musiała nie dawać jej spokoju.

Rozdział 7

Rozpoczęłyśmy pracę w Brit w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, a poprzednie tygodnie upłynęły nam na próbach. Tym sposobem święta przeleciały niepostrzeżenie, a kiedy matka przysłała list z prośbą, abym przyjechała, z uwagi na natłok zajęć po raz drugi musiałam odpowiedzieć odmownie. Minęło blisko półtora roku, odkąd opuściłam dom, półtora roku, odkąd widziałam morze i jadłam należycie przyrządzone ostrygi. To bardzo długo i mimo goryczki, jaką wzbudził niemiły list Alice, tęskniłam za wszystkimi ogromnie i zastanawiałam się, jak sobie radzą. Pewnego styczniowego dnia natknęłam się na stary, blaszany kufer z żółtą inskrypcją. Uniósłszy wieko, zobaczyłam przyklejoną wewnątrz mapę Kentu, z Whitstable zaznaczonym wyblakłą strzałką, na wypadek gdybym zapomniała, gdzie jest dom. Davy narysował ją dla żartu, w życiu nie przyszłoby im wówczas do głowy, że mogłabym o nich zapomnieć. A teraz na pewno tak myślą.

Z hukiem zatrasnęłam wieko i łzy zapiekły mnie pod powiekami. Gdy przybiegła Kitty, zwabiona hałasem, szlochałam na całego.

– Ejże – powiedziała, otaczając mnie ramieniem. – Co się stało? Chyba nie płaczesz?

– Pomyślałam o domu – odrzekłam, łkając. – I nagle zapragnęłam tam pojechać.

Dotknęła mojego policzka, a następnie uniosła palce do ust i polizała.

– Czysta solanka – stwierdziła. – Dlatego tęsknisz za morzem. Dziwię się, że wytrzymałaś tak długo i nie uschłaś jak stary wodorost. Nie powinnam była porywać cię z zatoki Whitstable, panno Syreno...

Sądziłam, że zapomniała o tym przezwisku; słysząc je, uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Chciałabym tam wrócić – powiedziałam z westchnieniem. – Chociaż na dzień lub dwa...

– Dzień lub dwa! Ja tu umrę bez ciebie! – Ze śmiechem odwróciła wzrok. Wiedziłam, że tylko częściowo żartuje: przez wszystkie spędzone razem miesiące nie rozstawałyśmy się praktycznie ani na chwilę.

Czując dawny, znajomy ucisk w piersi, ucałowałam ją pospiesznie. Ujęła w dłonie moją twarz, lecz nadal unikała mojego spojrzenia.

– Musisz jechać – powiedziała – skoro to dla ciebie takie ważne. Dam sobie radę.

– Mnie też będzie ciężko – odrzekłam. Moje łzy obeschły: teraz ja przejęłam rolę pocieszycielki. – Zresztą pojedę dopiero po zakończeniu sezonu w Hoxton, a to jeszcze

wiele tygodni. – Kitty w zamyśleniu kiwnęła głową.

Do końca sezonu istotnie pozostało wiele tygodni, gdyż „Kopciuszek” miał być wystawiany aż do Wielkanocy. Okazja trafiła się niespodziewanie w połowie lutego. W Britannii wybuchł pożar. Nie było w tym nic szczególnego – w owym czasie teatry regularnie płonęły do cna, po czym odbudowywano je od podstaw, jeszcze okazalsze niż przedtem. Pożar w Brit nie był poważny i nikt nie odniósł obrażeń. Jednakże wszystkich musiano ewakuować i tu pojawiły się problemy; późniejsza inspekcja wykazała, że należy zbudować nowe wyjście awaryjne. Teatr został zamknięty do czasu, kiedy to nastąpi: zwrócono pieniądze za bilety i wywieszono afisze z przeprosinami. I tak cały zespół otrzymał kilka dni wolnego.

Namawiana przez Kitty, która okazała się w tej kwestii nad wyraz wspaniałomyślna, postanowiłam wybrać się w odwiedziny do Whitstable. Napisałam do matki, że jeśli zaproszenie jest nadal aktualne, mogę zjawić się w domu następnego dnia (czyli w niedzielę) i zostać do środy wieczorem. Następnie udałam się do miasta, aby kupić prezenty dla rodziny: myśl o powrocie do Whitstable po tak długiej nieobecności i z drobiazgami dla wszystkich, miała w sobie coś ekscytującego...

Tylko że ciężko mi było rozstać się z Kitty.

– Dasz sobie radę? – zapytałam. – Nie będziesz się czuć samotna?

– Będę się czuć potwornie samotna. Po powrocie zastaniesz mnie uschniętą z żalu!

– Dlaczego nie pojedziesz ze mną? Mogłybyśmy złapać późniejszy pociąg...

– Nie, Nan. Powinnaś jechać do rodziny beze mnie.

– Bez przerwy będę o tobie myśleć.

– A ja o tobie...

– Ach, Kitty...

Postukiwała zębami o perłę zawieszoną na łańcuszku; kiedy dotknęłam wargami jej ust, krągły, twardy kształt przejął mnie chłodem. Kitty pozwoliła się pocałować, po czym przesunęła głowę, tak że zetknęłyśmy się policzkami. Potem objęła mnie w pasie i przytuliła z całej siły, tak jakby kochała mnie najmocniej na świecie.

Gdy później tego ranka wjechałam do Whitstable, wydało mi się bardzo odmienione – małe i szare, z morzem bardziej rozległym i niebem mniej niebieskim, niż zapamiętałam. Wychyliłam się z okna pociągu, aby ogarnąć wzrokiem całą okolicę, dzięki czemu dostrzegłam ojca i Davy’ego, nim zobaczyli mnie. Nawet oni wydawali się jacyś inni. Owa myśl napełniła mnie nieoczekiwaną tkliwością i żalem: ojciec postarzał się i jakby skurczył, Davy zaś wyraźnie zmęźniał, a jego twarz była bardziej rumiana niż zwykle.

Widząc, jak wychodzę na peron, podbiegli czym prędzej.

– Nance! Kochana dziewczynka...! – To ojciec. Objęliśmy się, trochę niezgrabnie, gdyż miałam w rękach wszystkie paczki, a na głowie kapelusz z woalką. Jeden z pakunków upadł na ziemię i ojciec schylił się, by go podnieść, po czym wziął ode mnie część bagażu. Davy ujął moją rękę i pocałował mnie przez woalkę.

– Jak ty wyglądasz – powiedział. – Wystrojona jak ta lala. Prawdziwa dama, nie, tato? –

I poczerwieniał jeszcze bardziej.

Ojciec wyprostował się, zlustrował mnie od stóp do głów i jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

– Elegancko – zawyrokował. – Matka prawie cię nie pozna.

Rzeczywiście byłam trochę wystrojona, lecz uświadomiłam to sobie dopiero w owej chwili. Miałam wówczas przyzwoitą garderobę; już dawno pozbyłam się starej, znoszonej odzieży, z którą wyjechałam z domu. Tamtego ranka po prostu chciałam ładnie wyglądać. Ale teraz poczułam się niezręcznie.

Kiedy wędrowaliśmy w stronę naszej gospody, owo wrażenie nie minęło. Dom był w opłakanym stanie. Deski na dobre przezierały spod niebieskiej farby, a spękany szyld („Ostrygi Astleya, najlepsze w Kent”) wisiał na jednym haku. Schody wydawały się wąskie i ciemne, pokój zaś mały i zagracony do granic wytrzymałości. Co gorsza, ulica, schody, dom oraz wszyscy przebywający tam ludzie cuchnęli rybami! Znałam ów odór tak dobrze jak woń własnego potu, teraz jednak uderzyła mnie myśl, że kiedyś traktowałam ten zapach jak coś oczywistego.

Mam nadzieję, że w ogólnym zamieszaniu moje zdumienie przeszło niezauważone. Spodziewałam się zastać w salonie matkę i Alice; owszem, były tam, ale towarzyszyło im z pół tuzina innych osób, z których każda na mój widok krzyknęła i (prócz Alice) ruszyła ku mnie z otwartymi ramionami. Musiałam z uśmiechem poddać się owej fali czułości, aż wreszcie zabrakło mi tchu. Wśród zebranych była Rhoda (nadal spotykała się z moim bratem i wyglądała na jeszcze bardziej pewną siebie niż zwykle), przyszła też ciocia Ro ze swoim synem, kuzynem George'em, oraz córką Lizą i jej maleństwem, które zdążyło wyrosnąć na małego rozrabiakę. Zauważyłam, że Liza spodziewa się kolejnego dziecka. Pewnie pisali mi o tym w liście, ale zapomniałam.

Po ceremonialnym powitaniu zdjęłam kapelusz i płaszcz. Matka obejrzała mnie od góry do dołu.

– Jejku, Nance, ależ ty wyrosłaś i wypiękniałaś! – zawołała. – Chyba jesteś wyższa od ojca.

W ciasnym, zatłoczonym pokoju rzeczywiście czułam się wysoka, chociaż nie wydawało mi się, żebym urosła. Może po prostu przestałam się garbić. Pomimo niesłabnącego zażenowania nieco wyniośle rozejrzałam się dokoła w poszukiwaniu miejsca do siedzenia. Przyniesiono herbatę. Alice nadal nie zamieniła ze mną ani słowa.

Ojciec zapytał o Kitty, odpowiedziałam więc, że ma się dobrze. Pytali, gdzie teraz występuje. Gdzie mieszkamy? Rosina chciała wiedzieć, czy to prawda, że sama próbuje szczęścia na scenie. Odrzekłam, że czasami występuję razem z Kitty.

– A to ci dopiero!

Nie umiem wytłumaczyć, co powstrzymywało mnie przed wyjawieniem prawdy o moim sukcesie. Zapewne był to fakt, że – jak już wspomniałam – występ nierozzerwalnie łączył się z moją miłością do Kitty: nie mogłam ścierpieć, że będą się wtrącać, komentować, ganić bądź niefrasobliwie klepać o tym na prawo i lewo...

Wynikało to poniekąd również z zarozumiałstwa, nie minęło bowiem pół godziny, jak kuzyn George wykrzyknął:

– Co się stało z twoim akcentem, Nance? Gadasz jak jaka hrabianka.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem, po czym pilniej wsłuchałam się we własne słowa. Miał rację, mój głos istotnie brzmiał inaczej. Nie siliłam się wszelako na wyszukaną wymowę, lecz nieświadomie przejęłam dziwną, nieprzewidywalną mieszankę wszystkich akcentów rewii, od straganiarza do *lion comique*, cechującą artystów. Mówiłam trochę jak Kitty, a niekiedy nawet jak Walter. Dopiero teraz to sobie uświadomiłam.

Wypiliśmy herbatę. Krnąbrny synek Liz skupiał na sobie powszechną uwagę. Ktoś posadził mi go na kolanach, gdzie natychmiast zaczął płakać.

– Ojej! – powiedziała Liz, łaskocząc go pod paszkami. – Ciocia Nance pomyśli sobie, że jesteś beksa. – Podniosła chłopca i przytrzymała w okolicach mojej twarzy: – Daj rączkę! – Chwyciła jego dłoń i potrząsnęła nią. – Podaj rączkę cioci Nance, jak na dżentelmena przystało! – Dziecko podrygiwało na jej biodrze niczym wielki rewolwer, który lada chwila może wystrzelić, mimo to posłusznie ujęłam ruchliwe paluszki i uściśnęłam. Mały naturalnie od razu wyszarpnął rękę i ku ogólnej wesołości rozdarł się jeszcze głośniej. George chwycił synka i podrzucił go wysoko; włosy chłopca musnęły spękany, pożółkły gips sufitu.

– Kto jest małym huncwotem tatusia? – zawołał George.

Popatrzyłam na Alice, która odwróciła wzrok.

Wreszcie dziecko ucichło, a w pokoju zrobiło się cieplej. Zobaczyłam, że Rhoda nachyliła się do mojego brata i szepcze mu coś do ucha. Kiedy skinął głową, odkaszlnęła.

– Nancy, pewnie jeszcze nie słyszałaś naszej nowiny – powiedziała.

Spojrzałam na nią uważniej. Zdjęła żakiet, a na nogach miała tylko wełniane pończochy. Była wyraźnie zadomowiona.

Wyciągnęła rękę w moim kierunku. Na serdecznym palcu lśniła cienka, złota obrączka z kamieniem tak małym, że nie wiedziałam, czy to szafir, czy brylant. Pierścionek zaręczynowy.

Nie wiedzieć czemu, poczerwieniałam i uśmiechnęłam się z przymusem.

– Ach, Rhodo! – zawołałam. – Tak się cieszę. Davy! Moje gratulacje. – Wcale się nie cieszyłam: myśl o Rhodzie w roli bratowej (ba, myśl o jakiegokolwiek bratowej!) obudziła we mnie gwałtowną niechęć. Lecz moje słowa musiały brzmieć przekonująco, gdyż oboje poróżnili z zadowolenia.

Ciocia Rosina wskazała podbródkiem na moją rękę.

– A gdzie twój pierścionek, Nance?

Dostrzegłam kątem oka, że Alice wierci się na krześle. Potrząsnęłam głową.

– Nie, jeszcze nie.

Ojciec otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Nie mogłam dopuścić, aby rozmowa potoczyła się dalej tym torem. Wstałam, by sięgnąć po swoje pakunki.

– Przywiozłam wam prezenty – oznajmiłam. – Z Londynu.

Wśród zebranych rozległ się szmer zainteresowania. Matka powiedziała, że niepotrzebnie robiłam sobie kłopot, ale włożyła binokle i zrobiła wyczekującą minę. Najpierw podeszłam do ciotki i wręczyłam jej torbę z prezentami.

– To dla wujka Joe’ego, Mike’a i dziewcząt. A to dla cioci.

Potem przyszła kolej na George’a: kupiłam mu srebrną piersiówkę. Dalej Liza, dziecko... Obeszłam cały pokój, po czym stanęłam przed Alice.

– To dla ciebie. – Ten prezent (kapelusz w okrągłym pudle) był największy ze wszystkich. Przyjęła go ze sztucznym, wymuszonym uśmiechem i zmieszana szarpnęła za wstążki.

Teraz wszyscy oprócz mnie mieli prezenty. Patrzyłam, jak zdierają papier, i uśmiechałam się leciutko. Upominki jeden po drugim opuszczały pudełka i wychodziły na światło dzienne. W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Naprawdę, Nancy – powiedział wreszcie ojciec – aleś nam dogodziła. – Kupiłam mu łańcuszek do zegarka, równie błyszczący i gruby jak ten, który widziałam u Waltera. W czerwonej dłoni ojca i na spłowiałym tle jego wełnianej marynarki lśnił mocniej niż kiedykolwiek. Ojciec dodał ze śmiechem: – Ależ ze mnie teraz pan na schwał. – Jego śmiech zabrzmiał jednak niezbyt przekonująco.

Popatrzyłam na matkę. Dostała srebrną szczotkę do włosów i małe lusterko do kompletu: położyła je zawinięte na kolanach, jakby bała się ich dotknąć. Od razu pomyślałam (co nigdy nie przyszło mi do głowy na Oxford Street), że dziwnie będą wyglądać obok kolorowych flakoników tanich perfum i słoja z kremem na starej komodzie z podniszczonymi gałkami ze szkła. Matka podchwyciła mój wzrok i zrozumiałam, że myśli o tym samym.

– Naprawdę, Nance... – powiedziała; jej słowa zabrzmiały niemal jak wyrzut.

Zewsząd dobiegały pomruki, zebrani porównywali upominki. Ciotka Rosina niepewnie uniosła do góry parę kolczyków z granatami. George łypnął na swoją piersiówkę i spytał nerwowo, czy wygrałam na loterii. Tylko Rhoda i mój brat zdawali się szczerze uradowani z prezentów. Davy’emu sprawiłam parę ręcznie szytych butów, miękkich jak rękawiczka: postukał kostkami w podeszwy i depcząc po rozrzuconym papierze, podszedł do mojego krzesła, by cmoknąć mnie w policzek.

– Jesteś wspaniała – powiedział. – Zachowam je na ślub. Będę najlepiej obutym gościem w całym Kent.

Jego słowa przypomniały zebranych o dobrych manierach i wszyscy hurmem rzucili się, aby mi dziękować. Nastąpiło krępujące zamieszanie. Zerknęłam na Alice. Otworzyła pudło, ale nie wyjęła kapelusza i tylko patrzyła na niego obojętnie. Davy podążył za moim spojrzeniem.

– Co masz, siostrzyczko? – zawołał. A gdy z ociąganiem pokazała mu zawartość pudełka, gwizdnął: – Ale cudnie! Ze strusim piórem i diamentem na rondzie. Nie przymierzysz?

– Później – odparła. Wszyscy zwrócili na nią wzrok.
– Jaki śliczny kapelusz! – wykrzyknęła Rhoda. – Jaki ładny odcień czerwieni. Jak go nazywają, Nancy?

– Cynober – odrzekłam z rozpaczą. Czułam się bardziej podle, niż gdybym podarowała im stertę śmieci: szpulki od nici, ogarki świec, kamienie i wykałaczkę, opakowane w bibułkę i przewiązane jedwabną wstążką.

Rhoda nic nie zauważyła.

– Cynober! – powtórzyła z zachwytem. – Och, Alice, nie bądź taka i pokaż się w tym kapeluszu.

– Właśnie, prosimy, Alice – przyłączyła się Rosina. – Jeszcze Nancy pomyśli, żeś niezadowolona z prezentu.

– Nic nie szkodzi – wtrąciłam pospiesznie. – Przecież może później przymierzyć.

Ale George doskoczył do Alice i usiłował wcisnąć jej kapelusz na głowę.

– Pokaż się – powiedział. – Chcę zobaczyć, czy ten cynober pasuje do twoich rumieńców.

– Zostaw! – burknęła Alice. Wywiązała się szamotanina. Przymknęłam oczy, ale nagle usłyszałam lekki trzask; kiedy znów spojrzałam na siostrę, trzymała kapelusz na kolanach, a George niepewnie obracał w dłoniach oderwane pióro. Diamencik odpadł i potoczył się na podłogę.

Biedny George zaczął kaszleć i przetykać ślinę. Rosina uszczypliwie wyraziła nadzieję, że jest zadowolony.

Liza wzięła kapelusz i pióro i niezdarnie próbowała je połączyć.

– Taki śliczny kapelusz – powiedziała.

Alice siąknęła nosem, po czym zasłoniwszy rękami oczy, wybiegła z pokoju.

– To dopiero – powiedział ojciec; nadal trzymał w dłoni błyszczący łańcuszek.

Matka spojrzała na mnie i potrząsnęła głową.

– Jaka szkoda – westchnęła. – O Nancy, jaka szkoda!

Wreszcie Rosina i kuzynostwo wrócili do swoich domów, Alice zaś, nadal z zapuchniętymi oczami, poszła w odwiedziny do przyjaciółki. Zaniósłam bagaż do swego dawnego pokoju i umyłam twarz, a gdy trochę później zesłam na dół, pokój był uprzątnięty i Rhoda pomagała matce przy obieraniu ziemniaków. Zaoferowałam swoją pomoc, ale zaraz wypędziły mnie z kuchni, wołając, że jestem gościem, dlatego posiedziałam trochę z ojcem i Davym, którzy skryli się za gazetami. Postanowili zachowywać się jak zwykle, w nadziei że to pomoże mi odzyskać swobodę.

Zjedliśmy obiad, a potem poszliśmy na spacer do Tankerton, gdzie rzucaliśmy kamienie do wody. Morze było szare jak ołów; w oddali dostrzegłam kilka jolek i barek płynących do Londynu, gdzie zostawiłam Kitty. Ciekawe, co teraz robi, myślałam, prócz tego, że nie może się doczekać mego powrotu?

Później zjedliśmy podwieczorek, po którym zjawily się kolejne kuzynki, aby podziękować za prezenty i obejrzeć moje nowe sukienki. Usiadłyśmy na górze i pokazałam

im swoje ubrania, kapelusz z woalką i kolorowe pończochy. Rozmowa znowu zesłała na sprawy damsko-męskie. Dowiedziałam się, że Alice (kuzynki dziwiły się, że sama mi o tym nie powiedziała) zerwała z Tonym Reevesem z Palace i spotyka się z chłopakiem ze stoczni. Podobno był znacznie wyższy niż Tony, choć nie tak zabawny. Freddy, mój dawny adorator, również znalazł sobie nową dziewczynę i chyba przymierzał się do ożenku... Kiedy ponownie padło pytanie o narzeczonego, odpowiedziałam przecząco, lecz z wahaniem, a kuzynki uśmiechnęły się domyślnie. Na pewno jest ktoś bliski memu sercu, nie dawały za wygraną. Chcąc uciąć dalsze pytania, skinęłam głową.

– Był pewien chłopiec. Grał na kornecie w orkiestrze...

Odwrociłam wzrok, jakby jego wspomnienie budziło mój smutek. Kuzynki wymieniły znaczące spojrzenia.

– A panna Butler? Czy ona się z kimś spotyka?

– Owszem, ma na imię Walter... – Zganiłam się w duchu, myśląc jednocześnie, że Kitty pęknie ze śmiechu, gdy powtórzę jej tę rozmowę!

Już zapomniałam, jak krótki jest dzień w Whitstable. Kuzynki wyszły o dziesiątej, a o wpół do jedenastej wszyscy zaczęli ziewać. Davy odprowadził Rhodę do domu, Alice zaś życzyła nam dobrej nocy. Ojciec wstał i przeciągnął się, a następnie podszedł do mnie i objął mnie za szyję.

– Cieszymy się, że mogłaś przyjechać, Nance – powiedział. – Wyrosłaś na prawdziwą ślicznotkę!

Matka popatrzyła na mnie z uśmiechem: był to pierwszy szczery uśmiech, jaki widziałam u niej owego dnia. Wówczas zrozumiałam, że i ja cieszę się z tej wizyty.

Lecz moja radość nie trwała długo. Po paru minutach poszłam na górę i znalazłam się sam na sam z Alice w naszym – jej – pokoju. Leżała w łóżku z otwartymi oczami, przy zapalanej lampie. Nie rozebrałam się, tylko stałam plecami do drzwi, dopóki na mnie nie spojrziała.

– Przykro mi z powodu kapelusza – powiedziała.

– Nieważne. – Usiadłam na krześle przy kominku i zaczęłam rozpinąć buty.

– Nie powinnaś była wydawać tyle pieniędzy – podjęła.

– Pewnie, że nie – odparłam z grymasem. Bezceremonialnie odsunęłam buty nogą i przystąpiłam do rozpinania sukienki. Alice przymknęła oczy, wyraźnie zniechęcona do dalszej wymiany zdań. Przerwałam rozpinanie haftek i zerknęłam w jej stronę. – Twój list był okropny – oświadczyłam.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odrzekła pospiesznie, przewracając się na drugi bok. – Napisałam ci, co myślę. Nie zmieniałam zdania.

– Ja też nie. – Szarpnąwszy ostatnie haftki, zdjęłam suknię i przerzuciłam ją przez oparcie krzesła. Czułam się rozdrażniona i wcale nie chciało mi się spać. Podeszłam do jednej ze swych toreb i wyjęłam papierosa.

Na trzask zapalanej zapalki Alice uniosła głowę. Wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze jeden paskudny zwyczaj przejęty od Kitty. – Takie słowa mogły paść z ust

zadziornej girlsy z baletu.

Zdjęłam resztę ubrania i włożyłam koszulę nocną, po czym przypomniałam sobie o włosach. Nie mogłam spać z doczepionym warkoczem. Spojrzałam na Alice: pobladła na moją ostatnią uwagę, lecz wciąż nie spuszczała ze mnie wzroku. Powyciągałam szpilki mocujące koczek, widząc kątem oka, że Alice otwiera usta ze zdumienia. Zmierzwiłam palcami płaskie, przystrzyżone kosmyki; owa czynność w połączeniu z papierosem podziałała na mnie kojąco.

– Wcale nie widać, że przypięty, prawda? – spytałam. Alice usiadła na łóżku, przyciskając do siebie kołdrę.

– I po co ta przestraszona mina? – dodałam. – Przecież ci o wszystkim pisałam: występuję na scenie, nie jestem już garderobianą Kitty. Robię dokładnie to, co ona. Śpiewam, tańczę...

– Nie pisałaś o tym tak, jakby to była prawda – przerwała mi Alice. – Gdyby to była prawda, na pewno coś byśmy słyszeli! Nie wierzę ci.

– Mało mnie to obchodzi.

Potrząsnęła głową.

– Śpiewasz – powtórzyła. – Tańczysz. Tak żyją ulicznice. Nie mogłabyś. Nigdy byś tego nie zrobiła...

– A jednak. – I na potwierdzenie swych słów podkasałam koszulę i zrobiłam kilka tanecznych kroków na dywaniku.

Taniec przeraził ją tak samo, jak obcięte włosy. Jej następne słowa zabrzmiały gorzko, a zarazem płacziwie.

– I może na dokładkę zadzierasz sukienkę? I pokazujesz nogi, żeby wszyscy mogli zajrzeć ci pod halkę?

– Sukienkę? – powtórzyłam ze śmiechem. – Na miłość boską, Alice, ja nie noszę na scenie sukienek! Nie po to ścinałam sobie włosy. Wkładam spodnie: występuję w przebraniu mężczyzny...!

– Och! – Alice wybuchnęła płaczem. – Taki wstyd! Taki wstyd i to przed ludźmi!

– U Kitty jakoś ci to nie przeszkadzało – zauważyłam.

– Wszystko mi u niej przeszkadzało! Omotała cię i odmieniła. Nie poznaję cię. Żałuję, żeś z nią wyjechała! Lepiej było wcale nie wracać!

Padła na łóżko i naciągając wysoko kołdrę, zaniosła się płaczem. Nie znam dziewczyny, której nie wzruszyłyby łzy własnej siostry, dlatego usiadłam obok niej, czując, że zaraz sama się rozszlocham.

Widząc to, odsunęła się gwałtownie.

– Nie zbliżaj się! – krzyknęła. Powiedziała to z taką furią, z taką zgrozą i oburzeniem, że nie pozostawało mi nic innego, jak pozwolić jej leżeć na zimnej krawędzi łóżka. Wreszcie przestała dygotać i ucichła. Moje łzy obeschły i ponownie ogarnęła mnie obojętność. Zgasiałam lampę, położyłam się na plecach i milczałam.

Łóżko, zrazu zimne, stopniowo zaczęło się rozgrzewać. Żałowałam, że Alice nie

odwróciła się, by ze mną porozmawiać. Potem zaczęłam żałować, że nie ma przy mnie Kitty. Mimowolnie naszły mnie myśli, co bym z nią wówczas zrobiła. Ów nagły przyptyw pożądania wyprowadził mnie z równowagi. Przypomniałam sobie, jak kiedyś leżałam tu i snułam podobne fantazje, choć nie byłyśmy nawet przyjaciółkami! I jak po raz pierwszy spałyśmy razem na Ginevra Road, choć dotąd dzieliłam łóżko tylko z siostrą. Teraz ogarnęło mnie dziwne uczucie: jakże to, leżeć tak blisko kogoś i nawet nie móc go dotykać...?

A jeśli zasnę, zapomnę, że to nie Kitty, i obejmę Alice...?

Wstałam, narzuciłam płaszcz na ramiona i zapaliłam kolejnego papierosa. Alice nawet nie drgnęła.

Spojrzałam na zegarek: wpół do dwunastej. Ciekawiło mnie, co porabia Kitty; przesłałam jej swoje myśli, aby przerwała wykonywaną właśnie czynność i pomyślała o mnie, samotnej w Whitstable.

Potem było niewiele lepiej. Mój przyjazd przypadł na niedzielę, po której oczywiście nadeszły dni pracy. Pierwszego wieczoru zasnąłam bardzo późno, lecz następnego ranka obudziłam się razem z Alice, o wpół do siódmej. Zmusiłam się, żeby wstać i zjeść ze wszystkimi śniadanie. Nie wiedziałam, czy powinnam zaoferować pomoc przy ostrygach: nie miałam pojęcia, czy tego ode mnie oczekują ani czy sama byłabym w stanie to znieść. Koniec końców zesłam wraz z innymi do kuchni, by się przekonać, że nie jestem potrzebna: rodzice zatrudnili dziewczynę, która wydawała się równie zręczna i szybka jak niegdyś ja. Stanęłam obok niej (była całkiem ładna) i bez większego przekonania sprawiłam około tuzina ostryg... Ale lodowata woda kłuła w palce, dlatego wolałam usiąść i patrzeć. Wreszcie przymknęłam oczy i oparłam głowę na rękach, nasłuchując bulgotania garnków i szmeru dobiegającego z gospody...

Krótko mówiąc, zapadłam w sen. Obudziłam się, dopiero gdy ojciec potknął się o moją suknię i przewrócił rondel, wylewając jego zawartość. Wówczas zasugerowano, abym poszła na górę, gdzie nie będę zawadzać. Tym sposobem spędziłam popołudnie samotnie, na przemian kiwając się nad „Ilustrowaną Kroniką Policyjną” bądź krążąc po salonie, aby odpędzić senność. Szczerze mówiąc, zachodziłam w głowę, po co w ogóle przyjeżdżałam do domu.

Kolejny dzień był jeszcze gorszy. Matka oświadczyła prosto z mostu, że pod żadnym pozorem nie wolno mi pracować, aby nie zaplamić sukni i nie niszczyć sobie rąk w kuchni, przyjechałam przecież na wakacje. Przeczytałam „Kronikę” od deski do deski, została tylko ojcowska „Gazeta Rybaka”, lecz nie miałam ochoty do niej zaglądać. Włożyłam suknię podróżną i poszłam na spacer; przed wybiciem dziesiątej zdążyłam dotrzeć do Seasalter i z powrotem. Wreszcie, spragniona jakiegokolwiek rozrywki, złapałam pociąg do Canterbury i podczas gdy rodzice i siostra pracowali w gospodzie, spędziłam ten dzień jak turystka, zwiedzając katedrę, którą pomimo tak wielu spędzonych w pobliżu lat oglądałam po raz pierwszy w życiu.

W drodze powrotnej na stację minęłam teatr. Teraz, gdy zdążyłam zasmakować

rewiowego życia stolicy, wydał mi się bardzo odmieniony; podeszłam do afiszów, aby obejrzeć program, i uznałam, że jest raczej nieciekawym.

Oczywiście drzwi były zamknięte, a w foyer panował mrok, lecz niezdolna oprzeć się pokusie, weszłam do teatru drzwiami dla aktorów i zapytałam o Tony'ego Reevesa.

Zrazu mnie nie rozpoznał, gdyż miałam na głowie kapelusz z woalką. W końcu jednak uśmiechnął się szeroko i pocałował mnie w rękę.

– Nancy! Co za niespodzianka! – Przynajmniej on się nie zmienił. Zaprowadził mnie do gabinetu i posadził na krześle. Wyjaśniłam, że przyjechałam w odwiedziny i rodzina poleciła mi znaleźć sobie rozrywkę. Dodałam, że bardzo mi przykro z powodu jego i Alice.

Wzruszył ramionami.

– I tak wiedziałem, że za mnie nie wyjdzie. Ale tęsknię za nią. Była prześliczna, choć daleko jej do ślicznotki, na jaką, za pozwoleniem, wyrosła jej siostra...

Uśmiechnęłam się pobłaźliwie: wiedziałam, że tylko ze mną flirtuje. Przyznam, że poniekąd nawet mi to schlebiało. Spytałam o interesy, zatrudnionych artystów i ich repertuar. Udzieliwszy mi wyczerpujących informacji, sięgnął po pióro leżące na biurku i jął bawić się nim od niechcienia.

– A kiedyż to będziemy znów gościć pannę Butler? – spytał. – Podobno tworzycie zgraną parę.

Wytrzeszczyłam na niego oczy, czując, że oblewam się rumieńcem, lecz oczywiście miał tylko na myśli nasz duet.

– Słyszałem, że razem występujecie. Wieść niesie, że dobrałyście się jak w korcu maku.

Uśmiechnęłam się z ulgą.

– Skąd wiesz? Raczej tego nie rozgłaszam.

– Czyta się „Erę”, nie? „Kitty Butler i Nan King”. Umiem rozpoznać pseudonim artystyczny...

Wybuchnęłam śmiechem.

– Tony, czy to nie zabawne? Możesz to sobie wyobrazić? Obecnie występujemy w „Kopciuszku”, w Brit. Kitty gra Księżniczkę, a ja Dandinię. Śpiewam, tańczę i gram w aksamitnych bryczesach. Publiczność szaleje!

Uśmiechnął się, rozbawiony tym entuzjastycznym wybuchem (jak wspaniale było móc sobie wreszcie na to pozwolić!), a następnie potrząsnął głową.

– O ile mi wiadomo, twoja rodzina nic o tym nie wie. Dlaczego nie zaprosisz ich na przedstawienie, żeby mogli cię zobaczyć? Po co te tajemnice?

Wzruszyłam ramionami, po czym odrzekłam z wahaniem:

– Alice nie lubi Kitty...

– A ty i Kitty? Nadal tak za nią szalejesz? Oczarowanie nie minęło?

Skinęłam głową. Tony pociągnął nosem.

– Ma dziewczyna szczęście...

Chyba znowu ze mną flirtował, odniosłam wszelako wrażenie, iż wie więcej, niż daje po

sobie poznać. Niewiele mnie to obchodziło.

– To ja mam szczęście – odrzekłam, wytrzymując jego wzrok.

Ponownie zastukał piórem w bibułę.

– Może – skwitował. I mrugnął do mnie.

Spędziłam z nim trochę czasu, lecz obowiązki wzywały i wreszcie musiał mnie opuścić. Po wyjściu na zewnątrz raz jeszcze stanęłam przed drzwiami prowadzącymi do foyer, nieskora zostawić znajomy odór piwa i pomady na rzecz zgoła odmiennych woni Whitstable i naszej bawialni. Miło było porozmawiać o Kitty, tak miło, że gdy przy kolacji siedziałam pomiędzy milczącą Alice a złośliwą Rhodą z jej tycim szafirkiem, zatęskniłam za nią jeszcze dotkliwiej. Miałam spędzić z rodziną kolejny dzień, czułam jednak, że nie zdołam temu sprostać. Toteż gdy zabieraliśmy się do puddingu, oznajmiłam, że zmieniam zdanie i wrócę nie wieczornym, a porannym pociągiem; przypomniałam sobie, że muszę coś załatwić w teatrze i nie mogę z tym czekać do czwartku.

Nikt nie okazał zdziwienia, tylko ojciec wyraził żal, że muszę ich tak prędko opuścić. Kiedy całował mnie na dobranoc, odchrząknął i powiedział:

– Jutro wracasz do Londynu, a ja nie miałem nawet czasu, żeby ci się porządnie przyjrzeć. – Uśmiechnęłam się. – Dobrze się bawiłaś, Nance?

– O tak.

– I będziesz o siebie dbać? – wtrąciła matka. – Ten Londyn jest tak daleko.

– Wcale nie tak bardzo – odrzekłam ze śmiechem.

– Wystarczająco daleko – odparła – byś przez półtora roku zwlekała z odwiedzinami.

– Byłam zajęta. Obie miałyśmy dużo pracy.

Obojętnie skinęła głową: znała tę wymówkę z listów.

– Tylko nie czekaj tak długo z kolejnym przyjazdem. Miło jest dostawać paczki, a twoje prezenty sprawiły nam wiele radości, ale wolimy zobaczyć ciebie niż szczotkę do włosów czy parę trzewików.

Zmieszana odwróciłam wzrok; na myśl o prezentach wciąż czułam się nieswojo. Ale nie musiała mi tego wypominać.

Decyzja o wcześniejszym wyjeździe wzmogła moje zniecierpliwienie. Tego wieczora spakowałam walizki, rankiem zaś zerwałam się jeszcze wcześniej niż Alice. O siódmej, kiedy sprzątnięto po śniadaniu, byłam gotowa do drogi. Uścisnęłam wszystkich, lecz rozstanie nie było ani tak smutne, ani tak ciepłe jak za pierwszym razem: nie miałam żadnych przeczuc, które mogły uczynić je bardziej melancholijnym. Davy kazał mi obiecać, że przyjadę na ślub; dodał, że jeśli chcę, mogę przywieźć Kitty, co sprawiło, że pokochałam go jeszcze mocniej. Matka uśmiechnęła się i zacisnęła usta, Alice zaś pożegnała się tak oschle, że dałam spokój jakimkolwiek serdecznościom. Tylko ojciec przytulił mnie mocno, jakby naprawdę smucił się moim wyjazdem, a kiedy zapewnił, że będzie za mną tęsknił, wiedziałam, że mówi szczerze.

Tym razem nikt nie mógł odprowadzić mnie na stację, dlatego poszłam sama. Gdy pociąg ruszał, ani razu nie spojrzałam na Whitstable i morze, a już na pewno nie pomyślałam, że

nie ujrzę rodziny przez wiele lat. Zresztą nawet gdybym tak pomyślała, byłoby mi to obojętne. Myślałam tylko o Kitty. Było dopiero wpół do ósmej; wiedziałam, że nie wstaje przed dziesiątą i planowałam zrobić jej niespodziankę: po cichutku wejść do domu na Stamford Hill i wślizgnąć się do łóżka. Pociąg minął Faversham i Rochester. Zniecierpliwienie minęło. Nie miałam już powodów, aby się denerwować. Siedziałam spokojnie, rozmyślając o ciepłej, pogrążonej we śnie Kitty, którą niedługo obejmę; wyobrażałam sobie jej zdziwienie i radość z powodu mojego tak rychłego powrotu.

Zgodnie z moimi przewidywaniami zza zamkniętych okiennic naszego domu nie dochodziły żadne odgłosy. Na palcach weszłam po schodach i wsunęłam klucz do zamka. W korytarzu panowała cisza: wyglądało na to, że gospodarze też jeszcze śpią. Postawiłam bagaż i zdjęłam płaszcz. Na wieszaku wisiało już jedno okrycie. Popatrzyłam na nie ze zdumieniem: był to płaszcz Waltera. Dziwne, pomyślałam, musiał wczoraj wpaść z wizytą i go zapomnieć! Lecz wkrótce, idąc po schodach, zupełnie o nim zapomniałam.

Dotarwszy do drzwi pokoju Kitty, przyłożyłam do nich ucho. Wbrew temu, co oczekiwałam, ze środka dochodziły jakieś odgłosy, pluskanie, jakby kot chłeptał mleko. A niech to, pomyślałam. Pewnie już wstała i pije herbatę. Skrzypnięcie łóżka potwierdziło moje przypuszczenia. Na poły z rozczarowaniem, na poły z radością nacisnęłam kławkę i weszłam do pokoju.

Rzeczywiście, nie spała. Siedziała na łóżku, oparta o poduszkę; znad wysoko podciągniętej kołdry wystawały nagie ramiona. Lampa świeciła jasno, oblewając pokój rześmistym blaskiem. Przy miednicy stojącej na podwyższeniu u wezgowia dostrzegłam drugą postać. Walter. Był bez surduta i kołnierzyka, koszulę miał niedbale wepchniętą w spodnie, a szelki zwisały mu prawie do kolan. Pochylony nad miednicą mył twarz, stąd pluskanie, które usłyszałam na korytarzu. Mokre wąsy połyskiwały od wody.

Dostrzegł mnie pierwszy. Zdumiony zastygł z uniesionymi rękami, woda pociekła mu do rękawów, a jego twarz przeciął okropny grymas. W tej samej chwili zobaczyłam kątem oka, że Kitty zadrżała pod kołdrą.

Chyba nawet wtedy jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Co to ma znaczyć? – zapytałam z nerwowym śmiechem. Spojrzałam na Kitty, czekając, aż też się roześmieje i powie: „Ach, Nan! Jak to zabawnie musi wyglądać! To nie to, co myślisz, naprawdę”.

Ale ona nawet się nie uśmiechnęła. Spoglądała na mnie z przestraczeniem i podciągnęła wyżej kołdrę, jakby chciała zasłonić swoją nagość. Przede mną!

Walter odezwał się pierwszy.

– Nan – zaczął z wahaniem. W życiu nie słyszałam, by mówił tak ochrypłym głosem. – Zaskoczyłaś nas. Spodziewaliśmy się ciebie dopiero wieczorem. – Sięgnął po ręcznik i wytarł twarz. Następnie szybko podszedł do krzesła, złapał surdut i włożył go. Zobaczyłam, że drżą mu ręce.

Nigdy dotąd nie widziałam, jak drży.

– Przyjechałam wcześniejszym pociągiem... – odrzekłam. Moje usta były równie

wyschnięte jak jego, przez co głos zabrzmiał tak samo chrapliwie. – Tak, rzeczywiście jest bardzo wcześnie. Jak długo tu jesteś, Walterze?

Potrząsnął głową, jakby pytanie sprawiło mu ból, i zrobił krok w moją stronę.

– Wybacz, Nan – powiedział nagłym tonem. – Nie miałaś tego zobaczyć. Zejdiesz ze mną na dół? Chciałbym z tobą porozmawiać...

Jego głos potwierdził moje najgorsze obawy.

– Nie! – Splotłam ręce na brzuchu: w żołądku paliło mnie, jakbym połknęła truciznę. Na mój okrzyk Kitty drgnęła i pobladła. Spojrzałam na nią. – To nieprawda! – zawołałam. – Och, powiedz mi, że to nieprawda! – Nie wiedziała, gdzie podziąć oczy; uniosła ręce do twarzy i chlipnęła.

Walter podszedł bliżej i położył mi dłoń na ramieniu.

– Odejdź! – krzyknęłam. Stałam przy łóżku. – Kitty? Kitty? – Uklękłam obok niej i oderwawszy jedną jej rękę od twarzy, uniosłam ją do ust. Całowałam jej palce, paznokcie, wnętrze dłoni i nadgarstek. Ręka, wilgotna od jej własnych łez, niebawem doszczętnie pokryła się moimi. Walter spoglądał na to ze zgrozą, nie przestając dygotać.

Wreszcie Kitty popatrzyła mi w oczy.

– To prawda – szepnęła.

Drgnęłam, a następnie jęknęłam; usłyszałam, jak krzyczy, poczułam na ramieniu uścisk palców Waltera i zrozumiałam, że ją ugryzłam, jak pies. Cofnęła rękę, wlepiając we mnie przerażone spojrzenie. Ponownie odepchnęłam Waltera.

– Odejdź ode mnie! Wynos się! Wynos się i zostaw nas! – krzyczałam.

Zawahał się; kiedy jednak kopnęłam go w kostkę, cofnął się wreszcie o kilka kroków.

– Nie jesteś sobą, Nan...

– Wynos się!

– Boję się was zostawić...

– Wynos się!

Drgnął.

– Wyjdę na korytarz... ale ani kroku dalej. – Następnie zerknął na Kitty, a gdy skinęła głową, posłusznie opuścił pokój, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Zapadła cisza, przerywana tylko moim urywanym oddechem i cichym łkaniem Kitty: przypominałam sobie sytuację sprzed trzech dni, kiedy patrzyłam na płaczącą siostrę. „Wszystko mi u niej przeszkadzało!” – powiedziała. Położyłam głowę na kołdrze, obok uda Kitty, i przymknęłam oczy.

– Pozwoliłaś mi wierzyć, że jest twoim przyjacielem – powiedziałam. – Uwierzyłam, że mu na tobie nie zależy, bo domyślił się prawdy o nas.

– Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić. Był moim przyjacielem, a potem... potem...

– Pomyśleć, że wy dwoje... przez cały czas...

– Wcale tak nie było aż do wczoraj.

– Nie wierzę ci.

– Mówię prawdę, Nan, przysięgam! Aż do wczoraj... do niczego między nami nie

doszło. Aż do wczoraj były tylko rozmowy i... pocałunki. Aż do wczoraj... Do wczoraj czułam się szczęśliwa, kochana, bezpieczna, do wczoraj wypełniały mnie taka miłość i pożądanie, że mało nie umarłam!

Słowa Kitty pozwoliły mi zrozumieć, że owe męczarnie nie stanowiły nawet jednej dziesiątej, jednej setnej, ba, jednej tysięcznej cierpienia, którego właśnie doświadczyłam z jej ręki.

Otworzyłam oczy. Kitty wyglądała na znękaną i przerażoną.

– Pocałunki – powtórzyłam. – Kiedy to się zaczęło?

Nie musiała nic mówić, sama odgadłam odpowiedź:

– Tamtego wieczora w Deacon's...

Z wahaniem skinęła głową. Wszystko stało się jasne: zmieszanie, milczenie, listy. I pomyśleć, że ja mu współczułam! Współczułam, choć przez cały ten czas sama zasługiwałam na politowanie: spotykali się za moimi plecami, wymieniali uściski i pieszczoty...

Owa myśl była nie do zniesienia. Walter był naszym przyjacielem, również moim. Wiedziałam, że ją kocha, wydawał się jednak taki stary, taki... swojski. Czy naprawdę mogła chcieć pozwolić mu się dotknąć? Czułam się tak, jakbym przyłapała ją w łóżku z własnym ojcem!

Znowu zaczęłam płakać.

– Jak mogłaś? – zapytałam przez łzy; zachowywałam się jak zdradzony małżonek w podrzędnym kabareczku. – Jak mogłaś? – Poprzez kołdrę poczułam, że Kitty się wzdrygnęła.

– Nie chciałam tego! – odparła żałośnie. – Czasami nie mogłam tego znieść...

– Myślałam, że mnie kochasz! Cały czas to mówiłaś!

– Kocham cię! Kocham, kocham!

– Powtarzałaś, że pragniesz tylko mnie! I że na zawsze będziemy razem!

– Nigdy nie twierdziłam...

– Pozwoliłaś mi w to wierzyć! Kazałaś mi w to wierzyć! Tyle razy mówiłaś, jaka jesteś szczęśliwa. Dlaczego nie mogliśmy dalej tak żyć...?

– Wiesz dlaczego! Takie rzeczy uchodzą, kiedy jest się młodym. Ale z biegiem czasu... Nie jesteśmy pomywaczkami, które robią, co chcą, i nikt nie zwraca na to uwagi. Jesteśmy sławne, ludzie na nas patrzą...

– Wobec tego nie chcę być sławna, jeśli mam cię stracić! Niech nie patrzą, jeśli nie będę mogła widzieć ciebie, Kitty...

Ścisnęła moją rękę.

– Ale ja chcę – odpowiedziała. – Ja chcę. I dopóki na mnie patrzą, dopóty nie zdzierzę, żeby ze mnie szydzili, nienawidzili mnie i nazywali...

– Lesbijką!

– Tak!

– Przecież mogliśmy być ostrożne...

– Nigdy nie byłybyśmy dostatecznie ostrożne! Za bardzo... za bardzo przypominasz chłopca, Nan...

– Za bardzo przypominam chłopca? Pierwsze słyszę! Za bardzo przypominam chłopca, więc przygruchałaś sobie Waltera! Czy ty go... kochasz?

Odwróciła głowę.

– Jest bardzo... miły – odrzekła.

– Bardzo miły. – Mój głos nabrał ostrych i rozgoryczonych tonów. Usiadłam na łóżku, odsuwając się od Kitty. – Dlatego zaprosiłaś go pod moją nieobecność – aby był dla ciebie miły w naszym łóżku... – Wstałam, uświadomiwszy sobie bliskość zaplamionej pościeli, materaca, oraz jej nagiego ciała, którego dotykał palcami, ustami... – Boże drogi! Jak długo zamierzałaś to ciągnąć? Pozwoliłabyś, żebym cię całowała... po nim?

Próbowała chwycić mnie za rękę.

– Przysięgam, że chcieliśmy ci dzisiaj o tym powiedzieć. Dziś miałaś się wszystkiego dowiedzieć...

Znieruchomiałam, tknięta nagłym podejrzeniem.

– Co przez to rozumiesz? – zapytałam. – Co znaczy: wszystkiego?

Cofnęła rękę.

– My... ach, Nan, nie chcę, żebyś mnie znienawidziła! Planujemy się pobrać.

– Pobrać? – Gdybym miała dość czasu, zapewne rozważyłabym tę możliwość, czasu wszelako nie miałam w ogóle. Poczułam jeszcze większy zamęt w głowie. – Pobrać? Ale co... co ze mną? Gdzie będę mieszkać? Co zrobię? Co... co... – Uderzyła mnie pewna myśl. – Co z naszym duetem? Jak będziemy pracować...?

Uciekła spojrzeniem w bok.

– Walter ma plan. Wymyślił nowy numer. Chce wrócić na scenę...

– Na scenę? Po tym wszystkim? Z tobą i ze mną...?

– Nie. Ze mną. Tylko ze mną. Tylko z nią.

Poczułam, że się trzęsę.

– Zabiłaś mnie, Kitty – powiedziałam.

Głos mój zabrzmiał dziwnie nawet dla mnie; musiałam ją przerazić, gdyż obrzuciła strwożonym spojrzeniem drzwi i piskliwym szeptem jęła pospiesznie wyrzucać z siebie słowa.

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy. Wiem, teraz to dla ciebie szok. Ale zobaczysz, że z czasem znowu będziemy przyjaciółmi, wszyscy troje! – Wyciągnęła do mnie rękę, jej głos nabrał jeszcze wyższych tonów. – Czy nie rozumiesz, że tak będzie najlepiej? Gdy zostanę żoną Waltera, nikomu nie przyjdzie do głowy...

Szarpnęłam się, a wtedy ścisnęła mnie mocniej, po czym wykrzyknęła w nagłej rozpacz:

– Chyba nie myślisz, że pozwolę, aby nas rozdzielił?

Pchnęłam ją; opadła z powrotem na poduszkę. Kołdra zsunęła się nieco, odsłaniając krągły zarys piersi i różową brodawkę. Pod zagłębieniem między obojczykami kołysała się

perła, prezent ode mnie; podskakiwała z każdym oddechem, wstrząsana przyspieszonym biciem serca. Pamiętam, jak ją całowałam, nie dalej niż trzy dni temu; może wczoraj wieczorem lub dziś rano Walter także musiał poczuć ją pod językiem, chłodną i twardą.

Podeszłam bliżej i chwyciwszy łańcuszek (znów jakbym była postacią z książki lub ze sztuki), szarpnęłam z całej siły. Ogniwa puściły bez oporu, zerwana ozdoba pozostała w mojej zaciśniętej dłoni. Rzuciłam perłę na podłogę; zastukała, tocząc się po deskach.

Kitty krzyknęła, wydawało mi się, że zawołała Waltera. Drzwi otworzyły się z hukiem i wpadł do pokoju z upiornie bladą twarzą nad rudymi wąsami, szelkami nadal wystającymi spod surduta i w rozchełstanej koszuli. Podbiegł do łóżka z drugiej strony i objął Kitty.

– Jeśli zrobiłaś jej krzywdę... – powiedział.

Roześmiałam się szyderczo.

– Krzywdę? Ja? Najchętniej bym ją zabiła! Gdybym miała przy sobie broń, strzeliłabym jej prosto w serce. I sobie też! Mógłbyś wtedy poślubić trupa!

– Ty oszalałaś – odparł. – Doszczętnie straciłaś rozum.

– Dziwisz się? Czy wiesz... mówiła ci, kim jesteśmy... byliśmy... dla siebie?

– Nan! – wtrąciła pospiesznie Kitty.

Nie spuszczałam oczu z Waltera.

– Wiem – odrzekł z wolna – że byliście kimś w rodzaju kochanek.

– Kimś w rodzaju! Jakim rodzaju? Co, trzymałyśmy się za rączki? Uważasz, że pierwszy miałeś ją w tym łóżku? Mówiła ci, że ją pieprzę?

Drgnął; ja również, gdyż ostatnie słowo zabrzmiało okropnie: użyłam go po raz pierwszy, nie mając pojęcia, że to uczynię. Walter nadal świdrował mnie nieruchomym spojrzeniem; w przyпіływie rozpaczy zrozumiałam, że wie o wszystkim i nic go to nie obchodzi, ba, może nawet (kto wie?) mu się podoba. Był zbyt dobrze wychowany, by odpowiedzieć równie wulgarnie, lecz wyraz jego twarzy, osobliwa mieszanina pogardy, satysfakcji i współczucia, mówił sam za siebie. „Ty to nazywasz pieprzeniem? Pieprzyłaś ją tak dobrze, że cię zostawiła! Może ty pieprzyłaś ją pierwsza, ale ja będę ją pieprzył teraz i zawsze!”.

Był moim rywalem i pobił mnie z kretesem.

Odeszłam od łóżka, zrobiłam jeden krok, a potem następny. Kitty przełknęła ślinę, nie odrywając głowy od szerokiego torsu Waltera. W jej wielkich oczach lśniły łzy, warga czerwieniała w miejscu, gdzie ją przygryzła, piegi ciemniały na poblądłych policzkach, a także na piersi i ramionach widocznych ponad kołdrą. Była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Żegnaj, pomyślałam, po czym odwróciłam się i wypadłam z pokoju.

Zbiegłam po schodach, suknia plątała mi się wokół kostek i mało nie upadłam. Minęłam otwarte drzwi saloniku oraz wieszak z moim płaszczem wiszącym obok płaszcza Waltera i nierozpakowane torby podróżne. Nie wzięłam nic, nawet kapelusza i rękawiczek. Nie chciałam niczego dotykać, dom był dla mnie jak zadżumiony. Dotarłam do wyjścia i wyskoczyłam na zewnątrz, pozostawiając za sobą otwarte drzwi. Panował przenikliwy ziąb, lecz powietrze było suche i nieruchome. Nie obejrzałam się ani razu.

Biegłam, aż zakłuło mnie w boku, wówczas zwolniłam, a gdy ból ustąpił, znowu puściłam się pędem. Minęłam Stoke Newington i ruszyłam na południe, długą prostą drogą prowadzącą do Dalston, Shoreditch oraz City. W głowie kołatała mi jedna, jedyna myśl: byle jak najdalej od Stamford Hill, od niej i od niego. Łzy przyćmiewały mi wzrok, oczy spuchły i piekły niemożliwie, twarz pokrywał zamarzający śluz. Musiałam zwracać powszechną uwagę, raz czy dwa ktoś próbował chwycić mnie za rękę, ja jednak niepowstrzymanie parłam przed siebie, potykając się o własną suknię dopóty, dopóki zmęczenie nie kazało mi zwolnić i rozejrzeć się dokoła.

Dotarłam do małego mostku nad kanałem. Dostrzegłam na rzece barki; jeszcze znajdowały się w pewnym oddaleniu ode mnie, w związku z czym powierzchnia wody była niezmaczona i gładka. Przypomniałam sobie noc, kiedy stałyśmy nad Tamizą wraz z Kitty i pozwoliła mi się pocałować... Owo wspomnienie niemal wyrwało mi okrzyk z piersi. Oparłam ręce o żelazną barierkę; sądzę, że przez chwilę rozważałam możliwość tej drogi ucieczki.

Lecz na swój sposób byłam równie tchórzliwa jak Kitty. Nie mogłam znieść myśli, że brunatna woda wciągnie moją suknię, zamknie się nad głową, wypełni usta. Odwróciłam się i zasłoniłam ręką oczy, próbując uciszyć koszmarny zamęt w myślach. Wiedziałam, że nie mogę tak uciekać cały dzień. Muszę znaleźć jakąś kryjówkę. Miałam na sobie tylko suknię. Jęknęłam głośno i znów potoczyłam wzrokiem dokoła, tym razem w desperacji.

Naraz wstrzymałam oddech. Rozpoznałam ten mostek: od świąt przejeżdżałyśmy po nim codziennie w drodze na przedstawienie. Nieopodal znajdował się teatr Britannia; wiedziałam, że w naszej garderobie są pieniądze.

Ruszyłam naprzód, ocierając twarz rękawem, poprawiając suknię i włosy. Odźwierny popatrzył z zaciekawieniem, ale wpuścił mnie bez zbędnych ceregieli. Dobrze go znałam, często stawałam w drzwiach, by zamienić z nim słówko; dziś jednak tylko skinęłam mu głową, biorąc klucz, i poszłam dalej. Nie interesowało mnie, co pomyślał; wiedziałam, że więcej go nie zobaczę.

Oczywiście teatr był jeszcze zamknięty. Z holu dobiegało stukanie – to stolarze kończyli pracę – lecz w pozostałej części budynku panowała cisza. Ucieszyło mnie to, wolałam nie zwracać niczyjej uwagi. Pospiesznie przekradłam się do garderoby i stanęłam pod drzwiami z tabliczką „Panna Butler i panna King”. Następnie ostrożnie (dręczyły mnie absurdałne obawy, że Kitty czeka na mnie w środku) przekręciłam klucz w zamku i nacisnęłam kłamkę.

W pomieszczeniu było ciemno: weszłam w światło padającym z korytarza, znalazłam zapałki i zapaliłam lampę, po czym cicho zamknęłam drzwi. Wiedziałam, czego szukam. W szafce pod toaletką Kitty znajdowała się metalowa kasetka z monetami i banknotami: co tydzień wkładałyśmy tam część naszych zarobków, by w razie potrzeby mieć pod ręką pieniądze. Klucz tkwił w starym pudełku od cygar, gdzie Kitty przechowywała przybory do charakterystyki. Wysypałam jego zawartość: ze środka wypadły szminki wraz z kluczem i czymś jeszcze. Na spodzie zawsze leżał kawałek kolorowego papieru; nigdy nie przyszło

mi do głowy, by go wyjąć. Teraz oderwał się od dna, odsłaniając jakąś pocztówkę. Podniosłam ją drżącymi palcami i obejrzałam uważnie. Była zgięta i poplamiona, lecz od razu ją rozpoznałam. Przedstawiała kuter rybacki; spod warstwy pudru i pomady uśmiechały się twarze dwu dziewcząt, na żaglu zaś widniał napis „Kierunek: Londyn”. Z tyłu napisany był adres Kitty w Canterbury oraz wiadomość: „Mogę jechać!!! Przez kilka dni będziesz musiała obyć się bez garderobianej, gdyż muszę dopilnować przygotowań...”. I pod spodem: „Całuję, Twoja Nan”.

Była to pocztówka, którą wysłałam jej dawno temu, zanim jeszcze zamieszkałyśmy w Brixton; zachowała ją w ukryciu jak najcenniejszy skarb.

Chwilę trzymałam kartkę w ręku, a następnie schowałam do pudełka i przykryłam kolorowym papierem, jak poprzednio. Potem oparłam głowę o stół i płakałam, dopóki nie zabrakło mi łez.

Wreszcie otworzyłam kasetkę i wyjęłam wszystkie odłożone pieniądze. Później się okazało, że było tam około dwudziestu funtów, czyli ułamek sumy, którą zarobiłam w ciągu ostatniego roku. Czułam się jednak tak chora i oszołomiona, iż w ogóle nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek mogę potrzebować więcej pieniędzy. Schowałam całą sumę do koperty, kopertę wepchnęłam za pasek i odwróciłam się do wyjścia.

Do tej pory wcale nie rozglądałam się wokół, lecz teraz przystanęłam, by po raz ostatni spojrzeć na garderobę. Tylko jedna rzecz zwróciła moją uwagę: kostiumy. Wisiały tam wszystkie: aksamitne bryczesy, koszule, surduty z serży, fantazyjne kamizelki. Podeszłam bliżej i przejechałam palcami po rękawach. Już nigdy ich nie włożę...

Nie, nie mogłam ich zostawić. Obok ubrań dostrzegłam kilka wielkich marynarskich worków: używałyśmy ich raz czy dwa podczas prób, kiedy na scenie Britannii panowały cisza i spokój. Były wypełnione szmatkami: prędko rozwiązałam jeden z nich i doszczętnie go opróżniłam. Następnie podeszłam do wieszaków i zaczęłam ściągać kostiumy – nie wszystkie, tylko te, z którymi nie chciałam się rozstać: niebieski garnitur z serży, oksfordzkie spodnie, szkarłatny mundur. Wepchnęłam je do worka. Zabrałam też buty, koszule i krawaty, a nawet kilka kapeluszy. Działałam jak nakręcona lalka, i spociłam się z wysiłku, ale wreszcie worek wypełnił się po brzegi i niemal sięgał mi głowy. Był ciężki i zachwiałam się, podniósłszy go, sprawiło mi to jednak osobliwą satysfakcję, jakby stanowił przeciwwagę do potwornego brzemienia spoczywającego na moim sercu.

Tak obciążona, ruszyłam korytarzami Britannii w kierunku wyjścia. Po drodze nie minęłam nikogo, nikogo też nie szukałam. Dopiero gdy dotarłam do drzwi dla aktorów ujrzałam jedną, życzliwą twarz: Billy-Boy siedział sam w pokoiku odźwiernego, z papierosem między palcami. Słyszając kroki, podniósł głowę i spojrzał ze zdumieniem na worek, moje spuchnięte oczy i zaczerwienione policzki.

– Chryste, Nan! – zawołał, zrywając się na równe nogi. – Co ci się stało? Jesteś chora?

Potrząsnęłam głową.

– Daj mi papierosa, Bill, dobrze?

Podał mi papierosa; zaciągnęłam się i zakaszlałam. Bill obserwował mnie z niepokojem.

– Nie wyglądasz najlepiej – zauważył. – Gdzie Kitty?

Zaciągnęłam się ponownie i oddałam mu papierosa.

– Odeszła – powiedziałam. Następnie pchnęłam drzwi i wyszłam na ulicę. Słyszałam przestraszony głos Billy’ego, ale drzwi stłumiły jego słowa. Poprawiłam worek na ramieniu i ruszyłam przed siebie. Skręciłam raz, potem drugi. Minęłam obskurną kamienicę, po czym wyszłam na ruchliwą ulicę i dołączyłam do tłumu przechodniów. Wchłonął mnie Londyn. Przestałam myśleć.

Część druga

Rozdział 8

Wędrowałam przez jakąś godzinę, po czym zrobiłam przerwę; wybierałam kierunek na chybił trafił i niekiedy krążyłam w kółko: pragnęłam nie tyle uciec przed Kitty, ile się przed nią ukryć, zatracić w szarej, anonimowej przestrzeni miasta. Potrzebowałam pokoju – małego, podłego pokoju, gdzie zaszyję się przed ewentualnym pościgiem. Oczami wyobraźni widziałam, jak wchodzę do środka i przykrywam się z głową, niczym jakaś ryjąca bądź zahibernowana istota, kornik albo szczur. Dlatego trzymałam się ulic, gdzie mogłam znaleźć takie miejsce, posępnych, mało zachęcających ulic z domami czynszowymi i noclegowymi oraz budynkami, gdzie w oknach wystawiano napis „Łóżka do wynajęcia”. Pewnie każdy z nich nadawał się do moich celów, wypatrywałam jednak znaku, który wskaże mi ten właściwy.

Mój wysiłek nie poszedł na marne. Minęłam Moorgate, poszłam w kierunku katedry Świętego Pawła, a następnie skręciłam i dotarłam prawie do Clerkenwell. W dalszym ciągu nie zwracałam uwagi na otaczających mnie ludzi, którzy wytrzeszczali oczy bądź kwitowali śmiechem mój osobliwy bagaż. Szłam z pochyloną głową i na wpół przymkniętymi oczami; w pewnej chwili uświadomiłam sobie, że jestem na jakimś placu. Dotarły do mnie zgiełk głosów i krzątania oraz zapach: słodkomdłaca woń, którą po części rozpoznawałam, lecz nie umiałam jej nazwać. Zwolniłam kroku, czując, że podeszwy kleją mi się do bruku. Otworzyłam szeroko oczy: kamienie, na których stałam, spływały wodą i krwią. Uniosłam głowę i zobaczyłam wielki budynek pełen wozów i taczek po brzezi wypełnionych ubitymi zwierzętami.

Byłam w Smithfield, na targu mięsnym.

Westchnęłam na sam widok. W pobliżu znajdowała się trafika: kupiłam pudełko papierosów i zapalki. Kiedy sprzedawca wręczył mi resztę, zapytałam, czy gdzieś w okolicy można wynająć pokój. Podał dwa lub trzy adresy, dodając ostrzegawczo, iż nie są to zbyt wyszukane miejsca. W odpowiedzi skinęłam głową, a następnie udałam się pod pierwszy wskazany adres.

Był to wysoki, podniszczony dom na brudnej ulicy, bardzo blisko stacji przy Farrington Street. Na frontowym dziedzińcu ujrzałam ramę od łóżka oraz tuzin zardzewiałych puszek i połamanych skrzyń, na sąsiednim podwórku zaś stała grupka bosych dzieci, które lały wodę do wiader z ziemią. Prawie nie zwróciłam na nie uwagi. Podeszłam do drzwi, postawiłam

worek i zapukałam. Opodal rozległ się świst przejeżdżającego pociągu; wprawił w drżenie schodek, na którym stałam.

Drzwi otworzyła młoda, blada dziewczyna. Gdy zapytałam o wolny pokój, popatrzyła na mnie uważnie, po czym odwróciła się i coś zawołała. Po chwili zjawiała się kobieta: ona również obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Przyszło mi do głowy, że muszę dziwnie wyglądać: w kosztownej sukni, ale bez kapelusza i rękawiczek, z czerwonymi oczami i zasmarkanym nosem. Przyjęłam tę myśl obojętnie, kobieta zaś widać uznała mnie za nieszkodliwą wariatkę. Powiedziała, że nazywa się pani Best i ma tylko jeden pokój do wynajęcia. Opłata wynosi pięć szylingów tygodniowo lub siedem – z obsługą, oczywiście płatne z góry. Czy te warunki mi odpowiadają? Udałam, że się zastanawiam – czułam się całkowicie niezdolna do głębszych przemyśleń – po czym odpowiedziałam twierdząco.

Pokój, do którego mnie zaprowadziła, był zagracony, nędzny i bezbarwny; tapeta, chodnik, nawet kafle przy kominku – wszystko to w wyniku częstego szorowania, prania tudzież zużycia zyskało odcień szarości. Nie było gazu, tylko dwie lampki oliwne o spękanych i okopconych kloszach. Nad paleniskiem wisało małe lustro, zmętniałe i upstrzone plamami jak ręka starca. Okno wychodziło na targ. Pomieszczenie stanowiło dokładne przeciwieństwo mieszkania przy Stamford Hill, co przyjęłam z ulgą i rodzajem posępnej satysfakcji. Moją uwagę przykuło łóżko: obrzydliwy materac o poźółkłych krawędziach i szerniałym środku, na którym widniała stara plama od krwi, wielkości spodka, oraz drzwi. Łóżko, pomimo swego odrażającego wyglądu, wydało mi się cudownie zachęcające. Drzwi zaś wyglądały solidnie i można je było zamknąć od środka.

Oświadczyłam pani Best, że biorę pokój od zaraz, po czym wyjęłam kopertę z pieniędzmi. Na jej widok pociągnęła nosem: pewnie wzięła mnie za prostytutkę.

– Pragnę zaznaczyć – powiedziała – że prowadzę przyzwoity dom i przyzwoitości wymagam również od swoich lokatorów. W przeszłości miewałam kłopoty z samotnymi panienkami. Nieważne, co pani robi ani kogo widuje poza domem, lecz nie życzę tu sobie żadnych mężczyzn...

Zapewniłam ją, że w tej kwestii może być spokojna.

W ciągu pierwszych tygodni po ucieczce ze Stamford Hill musiałam uchodzić za osobliwą lokatorkę. Sumiennie opłacałam czynsz, lecz nie wyściubiałam nosa z pokoju. Nie przyjmowałam żadnych wizyt, nie dostawałam listów ani bilecików: uparcie przesiadywałam wśród czterech ścian, za zamkniętymi okiennicami, krążąc po pokoju, płacząc lub mamrocząc pod nosem...

Inni lokatorzy musieli uznać mnie za obłąkaną, zresztą może i byłam obłąkana. Lecz wówczas nie widziałam w swoim zachowaniu niczego dziwnego. Dokąd jeszcze mogłam uciec? Wszyscy moi londyńscy przyjaciele – pani Dendy, Sims i Percy, Billy-Boy oraz Flora – należeli również do grona znajomych Kitty. Cóż by rzekli, gdybym się do nich zwróciła? Pewnie byliby w siódmym niebie, że Kitty i Walter nareszcie się zeszli! A gdybym wróciła do domu, do Whitstable? Wyjechałam stamtąd tak niedawno i zachowywałam się tak wyniośle, iż pewnie moi bliscy doszliby do wniosku, że ani chybi

dostałam spodziewaną nauczkę od losu. Nie sposób było tam wytrzymać, kiedy tęsknota za Kitty nie dawała mi spokoju, jakże więc teraz mogłabym wrócić do starego życia, wiedząc, że na zawsze ją utraciłam?

Przeto choć wyobrażałam sobie, jak ich listy docierają na Stamford Hill i pozostają bez odpowiedzi, co w połączeniu z moim niedawnym zachowaniem każe im sądzić, iż postanowiłam zerwać wszelkie kontakty z rodziną, nic nie mogłam na to poradzić. Jeśli w ogóle wspominałam rzeczy, których nie zabrałam – stroje, oszczędności, listy i kartki od wielbicieli, stary blaszany kufer z inicjałami – czyniłam to jak przez mgłę, jakby stanowiły element cudzego życia. Myśl o „Kopciuszku” i zerwanym kontrakcie również nie robiła na mnie wielkiego wrażenia. W obecnym nowym domu znano mnie pod nazwiskiem „panna Astley”. Jeżeli moi sąsiedzi kiedykolwiek widzieli na scenie Nan King, z całą pewnością nie rozpoznawali jej we mnie – ba, właściwie sama jej nie rozpoznawałam. Widok kostiumów, które wyniosłam z teatru, okazał się ponad moje siły. Wepchnęłam worek pod łóżko, na pastwę pleśni.

Nikt mnie tutaj nie szukał, gdyż nie wiadomo, gdzie jestem. Znikłam jak kamfora, przepadłam niczym kamień w wodę. Wyrzekłam się przyjaciół i przyjemności na rzecz nieustającej rozpacz. Przez tydzień – a potem jeszcze jeden i kolejny – tylko spałam, płakałam i krążyłam po pokoju albo stawałam z czołem przyciśniętym do brudnej szyby i wyglądałam na targ, gdzie przywożono mięso, zwalano je na sterty, a następnie sprzedawano. Widywałam tylko panią Best i Mary – małą służącą, która pierwszego dnia otworzyła mi drzwi, a teraz opróżniała mój nocnik, przynosiła wodę oraz węgiel i czasem biegała po jedzenie i papierosy. Wyraz twarzy, z jakim wręczała mi sprawunki, jasno potwierdzał, do jakiego stanu się doprowadziłam, lecz ku zgrozie i bezbrzeżnemu zdumieniu dziewczyny przyjmowałam to z doskonałą obojętnością. Byłam nieczuła na wszystko prócz własnej zgryzoty, której folgowałam z godną podziwu żarliwością.

O ile pamiętam, prawie wcale się nie myłam i na pewno nie zmieniałam sukni, gdyż po prostu innej nie miałam. Po krótkim czasie przestałam dopinać warkocz, w związku z czym włosy wisiały mi nad uszami w tłustych strąkach. Paliłam bez przerwy – całe palce mi zbrązowiały – i niemal w ogóle nie tykałam jedzenia. Pomimo zainteresowania, z jakim śledziłam codzienne dostawy mięsa, myśl, że miałabym wziąć je do ust, budziła niepohamowany atak nudności. Mój żołądek tolerował jedynie mdłe potrawy. Podobnie jak kobieta przy nadziei, miewałam osobliwe zachcianki: jedną z nich był apetyt na słodkie, białe pieczywo. Dawałam Mary jednego szylinga za drugim i wysyłałam ją do Camden Town, Whitechapel, Limehouse i Soho po bajgle, brioszki, płaskie bochenki greckiego chleba oraz babeczki z chińskich piekarni. Maczałam je w kubkach mocnej herbaty, którą parzyłam w rondelku nad kominkiem i sładziłam skondensowanym mlekiem. Taki sam napój zwykłam przyrządzać dla Kitty w czasach jej pobytu w Canterbury. Owo skojarzenie z jej osobą sprawiało mi ulgę, a zarazem dostarczało potwornych męczarni.

Tygodnie mijały niepostrzeżenie. Trudno powiedzieć o nich cokolwiek prócz tego, że były okropne. Wyprowadził się lokator z pokoju piętro wyżej; na jego miejsce przyszło

ubogie małżeństwo z niemowlęciem: dziecko cierpiało na kolkę i darło się całymi nocami. Syn pani Best poznał dziewczynę i przyprowadzał ją do domu: jadła podwieczorki w bawialni poniżej i śpiewała, a ktoś przygrywał jej na fortepianie. Mary stłukła miotłą szybę; krzyknęła raz, a potem drugi, kiedy pani Best podwinęła rękaw i dała jej w twarz. Takie oto odgłosy łowiłam w swej mrocznej pustelni. W jakiegokolwiek innej sytuacji być może przyniosłyby mi otuchę, a teraz przynajmniej nie pozwalały zapomnieć o zwyczajnych rzeczach: cmoknięciu ust złożonych do pocałunku, brzmieniu głosu podniesionego wskutek radości lub gniewu – czyli o tym wszystkim, co pozostawiłam za sobą. Kiedy wyglądałam na świat przez zakurzoną szybę, równie dobrze mogłam obserwować kolonię mrówek lub brzęczący ul: nie rozpoznawałam tam nic, co kiedykolwiek stanowiło moją własność. I tylko coraz dłuższe i cieplejsze dni oraz nasilający się odór krwi ze Smithfield uświadomiły mi, że powoli nadchodzi wiosna.

Mogłam zapewne obrócić się w nicość za przykładem chodnika i tapety. Mogłam umrzeć, i nikt nie wiedziałby, gdzie zostałam pochowana. Mogłam trwać w otępieniu aż do dnia Sądu: i pewnie tak by się stało, gdyby coś nie wyrwało mnie z letargu.

Spędziłam u pani Best siedem lub osiem tygodni, ani razu nie wychodząc z domu. Nadal jadłam tylko to, co przynosiła mi Mary, lecz choć – jak wspomniałam – wysyłałam ją tylko po chleb, mleko i herbatę, czasami przynosiła mi bardziej treściwe pożywienie, próbując nakłonić mnie do jedzenia.

– Uschnie panienka – mówiła – jeśli nie zaczniesz jeść jak trza. – I wręczała mi pieczone ziemniaki, placki oraz węgorza w galarecie, które kupowała na straganach Farrington Road i przynosiła owinięte w zatłuszczoną gazetę. Przełykałam to wszystko posłusznie (pewnie połknęłabym arszenik, gdyby przyszło jej do głowy mi go podać); podczas posiłku zaś rozkładałam gazetę i machinalnie przesuwałam wzrokiem po nagłówkach sprzed kilku dni, wczytując się w historie kradzieży, rozbojów oraz walk bokserskich. Robiłam to z takim samym otępieniem, z jakim śledziłam ruch uliczny wschodniego Londynu; jednakże pewnego wieczoru, kiedy wygładziłam gazetę na kolanie i zdmuchnęłam okruchy z zagięć, moją uwagę przykuło znajome nazwisko.

Strona pochodziła z taniej gazety teatralnej i zwracała uwagę nagłówkiem „Romanse rewiewe”. Napis umieszczono na wstędze podtrzymywanej przez cherubinki, pod spodem widniały trzy lub cztery podtytuły. „Ben i Millie ogłaszają zaręczyny”, „Akrobaci nowożeńcami”, „Magiczny miesiąc miodowy Hala Harveya i Helen!”. Nie znałam wymienionych artystów, toteż ich historie nie wzbudziły mojego zainteresowania, lecz pośrodku kolumny widniała pewna fotografia: z chwilą gdy utkwiałam w niej wzrok, po prostu nie mogłam go oderwać.

„Butler i Bliss” – głosił podpis – „najszcześniejsza młoda para teatralnego światka!”. Zdjęcie przedstawiało Kitty i Waltera w ślubnych strojach.

Przez chwilę spoglądałam na nie bezmyślnie, po czym zasłoniwszy kartkę ręką, krzyknęłam – był to przeraźliwy, pełen rozpaczyny okrzyk, jakby dotknięcie papieru sprawiło mi niewysłowiony ból. Okrzyk przeszedł w głuche zawrodożenie, które zdawało się nie mieć

końca. Niebawem usłyszałam na schodach szybkie kroki i pani Best stanęła pod drzwiami, nawołując mnie przejętym i zaniepokojonym głosem.

To pozwoliło mi nieco oprzytomnieć: nie chciałam, by ciekawość kazała jej wejść do środka, nie chciałam wysłuchiwać pustych słów pocieszenia. Odkrzyknęłam, że nic mi nie jest – po prostu coś mi się przyśniło. Po chwili usłyszałam, że odchodzi. Ponownie spojrzałam na rozłożoną gazetę i przeczytałam artykuł widniejący pod zdjęciem. Walter i Kitty pobrali się pod koniec marca i wyjechali w podróż poślubną na kontynent; Kitty chwilowo odpoczywa od występów, lecz niebawem wróci na scenę w zupełnie nowym programie, mając za partnera własnego męża. Jej dawna partnerka, panna Nan King, która rozchorowała się podczas występów w teatrze Britannia w Hoxton, planuje rozpocząć solową karierę...

Kiedy to czytałam, naszła mnie niespodziewana, chorobliwa wręcz ochota nie do płaczu lub krzyku, ale do śmiechu. Ścisnęłam palcami wargi, jakby chcąc powstrzymać falę torsji. Miałam wrażenie, że nie śmiałam się od stu lat; bałam się, że dźwięk własnego śmiechu przerazi mnie nie na żarty.

Gdy atak minął, raz jeszcze przeniosłam wzrok na gazetę. Zrazu chciałam ją zniszczyć, podrzeć, zmiąć i rzucić do ognia. Teraz jednak poczułam, że nie mogę jej utracić. Obrysowałam paznokciem artykuł, po czym wydarłam go ostrożnie wzdłuż powstałej rysy. Pozostałą część gazety spaliłam, lecz wycinek z tekstem oraz fotografią Kitty i Waltera położyłam na otwartej dłoni tak delikatnie, jakby zbędny dotyk mógł mu zaszkodzić niczym skrzydłom ćmy. Po chwili namysłu podeszłam do lustra. Między lustrem a ramą widniała szczelina, w którą wsunęłam górę wycinka. Fotografia przecięła moje odbicie, doskonale widoczna z każdego miejsca małego pokoju.

Zapewne byłam nieco rozgorączkowana, lecz po raz pierwszy od półtora miesiąca odzyskałam jasność myślenia. Popatrzyłam na zdjęcie, po czym przeniosłam wzrok na swoją twarz. Zobaczyłam, że jest szara i wymizierowana, a pod spuchniętymi oczami widnieją fioletowe cienie. Niegdyś wypielęgnowane włosy były długie i odrażająco brudne, wargi przygryzione niemal do krwi, suknia zaś poplamiona i cuchnąca pod pachami. To oni, pomyślałam, patrząc na uśmiechniętą parę ze zdjęcia, oni mi to zrobili!

Lecz po raz pierwszy od wielu rozpaczliwych tygodni w mojej głowie zaświtała pewna myśl: jak byłam głupia, że im na to pozwoliłam.

Podeszłam do drzwi i zawołałam Mary. Kiedy przybiegła, zdyszana i nieco zalekciona, poprosiłam ją o wannę, mydło i ręczniki. Spojrzała na mnie dziwnie (była to z mojej strony dość niecodzienna prośba), po czym zeszła do piwnicy. Niebawem rozległ się brzęk balii taszczonej po schodach oraz łoskot garnków i czajników w kuchni. Hałas wywabił z salonu panią Best. Moja nieoczekiwana zachcianka wyraźnie zbiła ją z tropu.

– Czy to aby rozsądne, panno Astley? – zapytała, blednąc ze strachu. Pewnie myślała, że chcę się utopić albo podciąć w wodzie żyły.

Naturalnie nie miałam takiego zamiaru. Spędziłam godzinę w parującej balii i spoglądając na przemian w ogień i na podobiznę Kitty, za pomocą kawałka mydła i flaneli

przywracałam życie obolałym członkom i stawom. Wyszorowałam głowę i przemyłam oczy, a skórę za uszami, pod pachami, w zagłębieniu kolan i między nogami tarłam tak mocno, aż poczerwieniała i zapiekła żywym ogniem.

Wreszcie chyba przysnęłam i miałam dziwną, niepokojącą wizję.

Ujrzałam kobietę z Whitstable, naszą dawną sąsiadkę, o której nie myślałam od wielu lat. Zmarła, kiedy byłam dzieckiem, nagle i z osobliwego powodu. Lekarze stwierdzili, że stwardniało jej serce. Jego zewnętrzna warstwa przemieniła się w skórzastą skorupę, poczęło działać w zwolnionym tempie, aż wreszcie zupełnie odmówiło posłuszeństwa. Wyjąwszy lekkie znużenie i zadyszkę, zabrakło jakichkolwiek sygnałów ostrzegawczych: serce pracowało wedle sekretnego, zgubnego zamysłu, po czym ni stąd, ni zowąd przestało bić.

Opowieść ta niezmiernie wstrząsnęła światem moim i siostry. Byłyśmy młode i otoczone należyłą opieką; myśl, że jeden z naszych narządów – na dodatek ten najważniejszy – na przekór przypisanej mu roli zamiast utrzymać przy życiu postanowi przynieść nam zgubę, budziła w nas nieopisaną trwogę. Przez tydzień po śmierci kobiety nie rozmawiałyśmy o niczym innym. Nocą dygotałyśmy w naszym łóżku i pocierałyśmy spoconymi dłońmi dziewczęce piersi; wyczuwając pod palcami miarowe tętno, drżałyśmy z przerażenia, że nasze kapryśne serca zgubią rytm i ukradkiem zaskorupią się w czeluściach żeber.

I tak, kiedy ocknęłam się w stygnącej balii, w otoczeniu szarych ścian, stwierdziłam, że ponownie dotykam palcami mostka i nasłuchuję uderzeń obumierającego serca. Tym razem jednak wydało mi się, że trafiłam w sedno. Czułam w sobie mrok, ciężar i ciszę, które zagnieździły się niepostrzeżenie, przynosząc mi swoistą ulgę. Moja pierś była twarda i obolała, lecz ów ból nie stanowił dla mnie źródła męki – nie, skrzyżowałam ręce na gorsie, obejmując moje mroczne, tężejące serce czule niczym kochanek.

Być może w tej samej chwili Walter i Kitty przechadzali się ulicą we Francji lub Włoszech; może nachylił się, aby jej dotknąć, tak jak ja dotykałam siebie, może się całowali, może leżeli w łóżku... Owa myśl nachodziła mnie tysiące razy, sprawiając, że lałam łzy i przygryzałam wargi, teraz jednak spojrzałam na fotografię, czując, że moja rozpacz tężeje, podobnie jak serce, i przechodzi w gniew oraz frustrację. Szli obok siebie, a świat uśmiechał się na ich widok! Obejmowali się na ulicy, a nieznanymi ludziami patrzyli na nich łaskawym okiem. A ja żyłam tu blada jak dżdżownica, pozbawiona radości, swobody i bezpieczeństwa.

Zerwałam się z balii i nie zważając, że rozlewam wodę, ponownie chwyciłam zdjęcie, po czym zmięłam je w dłoni. Krzyknęłam, pospiesznie przemierzając pokój, lecz tym razem nie powodowała mną rozpacz, ale chęć rozprostowania zdrętwiałych członków. Czułam, że cała moja istota budzi się ze snu i zaczyna pulsować życiem.

Otworzywszy okno wychyliłam się w ciemność i chłonełam londyńską noc z jej odgłosami i zapachami, od których tak długo byłam odcięta. Wróć do świata, postanowiłam, wróć do miasta: zbyt długo trzymali mnie z dala od niego!

Lecz ach!, powrót na ulicę okazał się trudniejszy, niż sądziłam: zgiełk, ruch i tłok niemal

pozbawił mnie tchu! Od półtora roku mieszkałam w Londynie i nazywałam go swoim miastem. Kiedy jednak przechadzałam się ulicami, zawsze towarzyszyła mi Kitty lub prowadził nas Walter, często też rezygnowaliśmy ze spaceru na rzecz przejażdżki powozem. Teraz zaś, pomimo płaszcza i kapelusza pożyczonych od Mary, czułam się tak, jakbym przemierzała Clerkenwell bez ubrania. Po części wynikało to z lęku, że zza rogu wyjrzy na mnie znajoma twarz, która przypomni mi o dawnym życiu, albo co gorsza ujrzę Kitty, wspartą z uśmiechem na ramieniu Waltera. Toteż niepewnie kroczyłam przed siebie, wzdrygając się i co rusz trącając innych przechodniów, którzy nie szczędzili mi przekleństw. Ostre słowa kłuły jak igły i przyprawiały mnie o dreszcze.

Byłam przy tym obiektem wzmożonego zainteresowania ze strony mężczyzn – dwa lub trzy razy któryś chwycił mnie za ramię, pogłaskał i uszczypnął. Tego również doświadczyłam po raz pierwszy; gdybym niosła dziecko lub jakieś zawiniątko, podążała przed siebie zdecydowanym krokiem lub wlepiła oczy w ziemię, pewnie daliby mi spokój. Lecz, jak już wspomniałam, mój krok był niepewny, a wzrok błędny, co stanowiło wyraźną zachętę do zaczepek...

Natrętne spojrzenia i dotknięcia działały na mnie tak jak przekleństwa: trzęsłam się od stóp do głów. Wróciłam do pani Best i przekręciłam klucz w zamku, po czym ległam na cuchnącym materacu i wybuchnęłam płaczem. Sądziłam, że sprostam wymogom nowego życia, ulice jednak, zamiast mnie powitać, tylko wzmożyły moje cierpienie. Co gorsza, przeraziły mnie śmiertelnie. Jak ja to zniósę, pomyślałam. Jak będę żyć? Kitty miała Waltera, wyszła za mąż! Ja byłam zdana wyłącznie na siebie. Samotna dziewczyna w mieście, gdzie należało spacerować parami; nic dziwnego, że narażałam się na zaczepki.

Stało się to dla mnie zupełnie nowym odkryciem. Powinna być przewidzieć ową sytuację wcześniej, choćby z piosenek, które śpiewałam u boku Kitty.

Co za ironia, pomyślałam, że ja, która tylokrotnie brylowałam na scenie w męskim przebraniu, bałam się chodzić ulicami z powodu własnej płci! Gdybym była chłopcem, pomyślałam desperacko. Gdybym tylko była chłopcem...

Naraz drgnęłam, tknięta niespodziewaną myślą. Przypomniałam sobie słowa Kitty, wypowiedziane na Stamford Hill. „Za bardzo przypominasz chłopca”. I reakcję pani Dendy, gdy zobaczyła mnie w spodniach: „Jest zbyt prawdziwa”. Strój, który miałam wówczas na sobie – niebieski garnitur z serży, przyniesiony przez Waltera w sylwestra – wciąż tkwił pod łóżkiem wraz z innymi kostiumami zabranymi z Brit. Wyjęłam worek i wysypałam wszystkie rzeczy na podłogę. Leżały dokoła mnie, niemożliwie piękne i jaskrawe na tle burych ścian: odcienie i faktury mojego dawnego życia, z zapachami i piosenkami rewii oraz moją namiętnością, zastygłymi w szwach i zagięciach.

Przez chwilę siedziałam rozdygotana: lękałam się, że przyływ wspomnień ponownie doprowadzi mnie do łez. W pierwszym odruchu chciałam schować kostiumy z powrotem do worka, potem jednak zaczerpnęłam tchu i uciszyłam roztrzepotane serce. Położyłam rękę na piersi, w miejscu gdzie tkwiło mroczne brzemie, które pomogło mi odzyskać siłę.

Podniosłam garnitur z serży. Był strasznie wygnieciony, lecz nie ucierpiał w wyniku

przymusowego ukrywania się pod łóżkiem. Przymierzyłam go wraz z koszulą i krawatem. Byłam tak chuda, że spodnie wisały na mnie jak worek; moje biodra stały się jeszcze węższe, a pierś bardziej płaska niż przedtem. Jedynym elementem nieprzystającym do chłopięcego wizerunku był idiotycznie dopasowany surdut; na szczęście boki jedynie przyfastrygowano. Na kominku leżał nóż, którym kroiłam chleb: błyskawicznie przecięłam szwy. Niebawem surdut odzyskał swą pierwotną, męską linię. Z obciętymi włosami, pomyślałam, i w męskich butach nikt – nawet sama Kitty! – nie rozpozna we mnie dziewczyny.

Naturalnie musiałam pokonać jedną czy dwie przeszkody, zanim mój śmiały plan mógł wejść w życie. Przede wszystkim należało na powrót oswoić się z miastem: minął kolejny tydzień, zanim przywykłam do zgiełku, krzątaniny oraz natrętnych spojrzeń. Następnie pojawił się problem tego, gdzie – jeśli rzeczywiście miałam paradować w kostiumie – będę się przebierać. Nie chciałam udawać chłopca przez cały czas i na razie nie zamierzałam też rezygnować z kwatery u pani Best. Wyobrażałam sobie jej minę, gdyby zobaczyła mnie w spodniach. Uznałaby, że kompletnie straciłam rozum; mogłaby nawet wezwać doktora lub policjanta. Tak czy inaczej, wylądowałabym na bruku, bez dachu nad głową. Bynajmniej mi na tym nie zależało.

Musiałam znaleźć jakieś lokum poza Smithfield: potrzebowałam czegoś w rodzaju garderoby. O ile jednak wiedziałam, nie wynajmowano takich miejsc. prostytutki z Haymarket przebierały się w publicznych wychodkach na Piccadilly; przybory do makijażu kładły na umywalkach, po czym za zamkniętymi drzwiami kabin nakładały pstrokate łauszki. Pomysł wydawał się niegłupi, lecz nie mogłam z niego skorzystać: jak by to wyglądało, gdybym wychodziła z damskiej toalety w surducie i słomkowym kapeluszu?

Rozwiązanie nasunęło mi się jednak właśnie podczas obserwacji kobiet z półświatka West Endu. Każdego dnia docierałam aż do Soho, gdzie na wielu domach widniały napisy: „Łóżka na godzinę”. W swej naiwności zrazu zachodziłam w głowę, kto tak starannie wyliczałby sobie okres spoczynku. Potem oczywiście zrozumiałam, że nikt: pokoje wynajmowano na użytek prostytutek, które przyprowadzały tu swoich klientów wcale nie po to, by spać. Pewnego dnia stanęłam obok budki z kawą przy alei nieopodal Berwick Street i obserwowałam wejście do jednego z takich domów. Przez drzwi przepływał nieustanny korowód postaci obojga płci, na których nie zważał nikt prócz starej wiedźmy siedzącej na progu i pobierającej opłaty – jej zainteresowanie kończyło się z chwilą, gdy poczuła monety w dłoni i wręczała „gościom” klucz. Nikogo nie zdziwiłby pewnie nawet widok konia przestępującego próg, byle tylko zwierzę miało czym zapłacić...

I tak kilka dni później zapakowałam kostium do worka, udałam się do wspomnianego domu i poprosiłam o klucz. Stara zlustrowała mnie badawczo i ponuro wyszczerzyła zęby; kiedy wręczyłam jej szylinga, rzuciła mi klucz, po czym wskazała głową ciemny korytarz za swoimi plecami. Klucz był lepki, podobnie jak kłamka; co tu dużo mówić, miejsce nie należało do przyjemnych. Było wilgotne i cuchnące, o ścianach tak cienkich, że gdy rozpakowywałam worek, zewsząd docierały do mnie jęki, plaśnięcia i chichoty oraz

rytmiczne skrzypienie materaców.

Przebrałam się pospiesznie, czując, jak z każdym obscenicznym odgłosem moja odwaga i pewność siebie ulatniają się bezpowrotnie. Kiedy jednak spojrzałam do lustra (pękniętego, z krwią zakrzepłą w rysie), na moje wargi wypłynął mimowolny uśmiech i utwierdziłam się w słuszności swego planu. W domu wyprasowałam garnitur pożyczonym żelazkiem i podciąłam włosy nożyczkami do nici, teraz wygładziłam je tylko, używając śliny. Pozostawiwszy suknię i torebkę na krześle, wyszłam na korytarz i zamknęłam drzwi na klucz. Moje nowe, mroczne serce waliło mi w piersi jak młotem. Jak przewidywałam, stara rajfurka nie zwróciła na mnie uwagi. Minęłam ją i z pewnym wahaniem ruszyłam Berwick Street. Każde zerknięcie w moim kierunku przyprawiało mnie o dreszcz; spodziewałam się, że lada chwila przechodnie podniosą rwetes: „Dziewczyna! Dziewczyna w męskim przebraniu!”. Jednakże spojrzenia prześlizgiwały się po mnie i wędrowały ku dziewczętom. Nikt nie zaczął krzyżeć, dlatego wyprostowałam się i ruszyłam przed siebie nieco śmielszym krokiem. Na rogu, przy kościele Świętego Łukasza minął mnie mężczyzna z taczka, pokrzykując: „Z drogi, kolego!”. Jakaś kobieta z ufryzowaną grzywką położyła mi dłoń na ramieniu i przechylając głowę, rzekła: „Wyglądasz na młodego kogucika, czarusi. Pójdziemy w jakieś miłe, ustronne miejsce...?”.

Powodzenie pierwszej wyprawy dodało mi odwagi. Podjęłam kolejną próbę, potem następną i jeszcze jedną... Zostałam stałą bywalczynią domu schadzek: stara wynajmowała mi pokój trzy razy w tygodniu. Naturalnie wkrótce odkryła powód moich wizyt, choć sądząc po jej badawczym spojrzeniu, nigdy nie była pewna, czy byłam dziewczyną, która przychodzi do niej wkładać spodnie, czy też chłopcem, który pozbywa się damskiego przebrania. Czasem zresztą sama nie miałam co do tego pewności.

Z każdym wyjściem znajdowałam nowy sposób na udoskonalenie swej metamorfozy. Poszłam do fryzjera i pozbyłam się zbyt kobiecych loków. Kupiłam buty, skarpetki oraz męską bieliznę. Eksperymentowałam z bandażami, aby ostatecznie wyeliminować i tak subtelne krągłości ciała, w spodniach zaś nosiłam złożoną chustkę bądź rękawiczkę, by zamarkować charakterystyczne wybrzuszenie w kroczu.

Nie mogę powiedzieć, że byłam szczęśliwa – nie myślcie, że kiedykolwiek wówczas osiągnęłam ten stan. Spędziłam u pani Best zbyt wiele nieszczęśliwych tygodni, by móc liczyć na szybką poprawę samopoczucia: stałam się tam równie bezbarwna jak moje otoczenie. Lecz bez względu na ciężące mi troski Londyn nigdy nie tracił barw, a możliwość swobodnego spacerowania po mieście (w przebraniu przystojnego chłopca, który budził tylko zazdrość, nigdy szyderstwo) miała pewien ulotny czar, który dostarczał mi coś na kształt satysfakcji.

Szkoda, że Kitty nie może mnie teraz zobaczyć, myślałam. Nie chciała mnie jako dziewczyny, ciekawe, co teraz by powiedziała! Przypomniałam sobie książkę, którą matka wypożyczyła kiedyś z biblioteki. Była to historia o wygnanej kobiecie, która wraca do domu, by zajmować się swymi dziećmi w przebraniu piastunki. Gdybym tak mogła znów

ujrzeć Kitty i uwieść ją jako mężczyzna, a potem się ujawnić i złamać jej serce, tak jak ona złamała moje!

Nie zrobiłam jednak nic, by do tego doprowadzić, a myśl o przypadkowym spotkaniu jej i Waltera nadal przyprawiała mnie o dreszcze. Lecz przyszedł czerwiec, a potem lipiec, i choć zapewne powróciła już z podróży poślubnej, nigdy nie widziałam jej nazwiska na żadnym afiszu, nigdy też nie kupiłam magazynu z plotkami teatralnymi, dlatego nie miałam pojęcia, jak jej się wiedzie w roli żony Waltera. Widywałam ją tylko w snach. Wciąż była słodka i śliczna, wołała mnie i chciała, by ją całować, w końcu jednak na jej piegopatym ramieniu zawsze lądowała ręka Waltera i Kitty zwracała ku niemu skruszone spojrzenie.

Owe sny przestały wszelako doprowadzać mnie do łez. Dzięki nim łatwiej odnajdywałam się w rzeczywistości Berwick Street. Czyniły moje przebranie jeszcze doskonalszym.

Przekonałam się o tym pewnego sierpniowego wieczoru, kiedy włóczyłam się po Burlington Arcade.

Było około dziewiątej. Stałam przed sklepem z tytoniem i spoglądałam na witrynę, podziwiając papierośnice i obcinarki do cygar, a także srebrne wykałaczki oraz szylkretowe grzebienie. Sierpień był nadzwyczaj ciepły. Miałam na sobie nie serżowy garnitur, lecz kostium, który zwykłam wkładać do „Szkarłatnej gorączki” – mundur wartownika ze zgrabną czapeczką. Rozpięłam guzik przy szyi, aby się nieco ochłodzić.

Naraz uświadomiłam sobie czyjąś obecność. Jakiś mężczyzna przystanął przed witryną, a potem powolutku przesuwiał się coraz bliżej mnie, by wreszcie znaleźć się tak blisko, że poczułam ciepło ramienia i bijącą od niego woń mydła. Nie spojrzałam na jego twarz, miał jednak wypolerowane i bardzo eleganckie buty.

– Miły wieczór – powiedział po chwili.

Przytaknęłam, jak gdyby nigdy nic, po czym znowu zapadła cisza.

– Zapewne podziwia pan wystawę? – zagadnął.

Skinęłam głową, tym razem kierując na niego wzrok, co przyjął z widocznym zadowoleniem.

– Wobec tego jesteśmy bratnimi duszami! – Miał głos dżentelmena i mówił ściszym tonem. – Widzi pan, ja nie palę, lecz dobry sklep tytoniowy to jest to. Cygara, niezbędni do fajek, obcinarki... – Machnął zamasyście ręką. – Jest w nich coś zdecydowanie męskiego, nieprawdaż? – Ściszył głos niemalże do szeptu i dodał pospiesznie: – Szukasz okazji, szeregowy?

Zamrugłam.

– Proszę?

Przesunął dokoła spojrzeniem śliskim jak dobrze naoliwiony zawias, po czym ponownie utkwiał we mnie wzrok.

– Chcesz się zabawić? Masz pokój, do którego moglibyśmy pójść?

– Nie wiem, o co panu chodzi – odparłam, choć po prawdzie coś zaczynało mi świtać.

Mężczyzna uznał, że się z nim drocę. Z uśmiechem oblizał wargi.

– Dajże spokój. Sądziłem, że wszystkie żołnierzyki znają się na rzeczy...

– Ja nie – odrzekłam stanowczo. – Zaciągnąłem się w ubiegłym tygodniu.

Tamten znów się uśmiechnął.

– Świeżo upieczony rekrut! I pewnie nigdy nie robiłeś tego z innym mężczyzną, co? Taki przystojny młodzieniec?

Potrząsnęłam głową.

– Cóż. – Przełknął ślinę. – Więc może spróbowałbyś ze mną?

– Co? – zapytałam.

Kolejne oślizgłe spojrzenie.

– Oddałbyś do dyspozycji swój zgrabny tyłeczek lub urocze usteczka. Albo wsunął mi rękę w rozporek. Cokolwiek wybierzesz, żołnierzyku, tylko błagam, przestań się droczyć. Stwardniałem jak kij od szczotki.

W trakcie owej zdumiewającej wymiany zdań oboje ani na chwilę nie oderwaliśmy wzroku od witryny. Mężczyzna składał swe lubieżne propozycje monotonnym, ściszym tonem, prawie nie otwierając ust. Nikt by nie odgadł, że cokolwiek nas łączy.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Ile by mi pan za to zapłacił? – spytałam równie rozbawionym tonem jak przedtem.

Twarz nieznanego przybrała cyniczny wyraz, jakby niczego lepszego się po mnie nie spodziewał; jednocześnie dostrzegłam na niej objawy podniecenia, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że inaczej wcale bym go nie pociągała.

– Suwerena za obciążanie albo kakao. Pół gwinei za numerek.

Już chciałam potrząsnąć głową, uchylić czapki i pójść w swoją stronę. Mężczyzna jednak wykonał niecierpliwy półobrót i na wysokości jego pasa coś błysnęło. Był to gruby, złoty łańcuszek od zegarka. Wystawał z pasiastej, dość pstrokatej kamizelki. Kiedy ponownie przyjrzałam się jego twarzy (padało na nią światło z witryny), zobaczyłam, że jego włosy i bokobrody są w rudawym odcieniu. Miał brązowe oczy i zapadnięte policzki, lecz poza tym wyglądał kropka w kropkę jak Walter. Walter, którego Kitty całowała i pieściła.

Owa myśl wywarła na mnie szczególny wpływ. Kiedy się odezwałam, słowa zdawały się pochodzić nie ode mnie, lecz kogoś innego.

– Zgoda – powiedziałam. – Zrobię to. Będę pana dotykać, za suwerena.

Kiedy ruszyłam z miejsca, mężczyzna dla niepoznaki odczekał chwilę przy sklepie, a następnie podążył za mną. Nie poszłam do domu schadzek: miałam wprawdzie blade pojęcie o tym, co nastąpi, wolałam jednak nie ryzykować, że w zaciszu pokoju zażąda ode mnie pełnego zakresu usług. Skierowałam się w stronę pobliskiego podwórka, którego kąt prostytutki zamieniły w latrynę. Kiedy podeszłam bliżej, jakaś kobieta podcierała się właśnie rąbkiem sukni: mrugnęła do mnie łobuzersko. Przystanęłam; po chwili zjawił się mężczyzna. Zasłaniał krocze gazetą; gdy ją odsunął, ujrzałam wybrzuszenie wielkości butelki. Poczułam przypływ paniki, on jednak podszedł bliżej i popatrzył na mnie wyczekująco. Potem przymknął oczy, gdy zaczęłam rozpinąć mu spodnie.

Wyjąwszy jego interes, przyjrzałam mu się uważnie: po raz pierwszy oglądałam penis z tak bliska i (nie obrażając owego dżentelmena) zdał mi się gigantyczny. W teatrze nieraz słyszałam żarty na ten temat, co dało mi pewne wyobrażenie o tym, co należało zrobić. Ująwszy członek, jęłam rytmicznie poruszać ręką, zapewne niezbyt wprawnie, lecz tamtemu najwyraźniej to nie przeszkadzało.

– Jest taki wielki – powiedziałam; podobno każdy mężczyzna jest łasy na podobne słowa. Mężczyzna westchnął i otworzył oczy.

– Chciałbym, żebyś mnie tam pocałował – szepnął. – Masz takie piękne usta, zupełnie jak dziewczyna.

Zwolniłam tempo i raz jeszcze spojrzałam na naprężony członek. Uklękałam, choć tak naprawdę ukląkł ktoś inny, nie ja. Zatem tak smakuje Walter, pomyślałam.

Potem wyplułam spermę na kamienie, a mężczyzna łaskawie mi podziękował.

– Może spotkamy się znowu – zaproponował, zapinając spodnie – w tym samym miejscu?

Nie odpowiedziałam: szczerze powiedziawszy, byłam bliska łez. Wręczył mi suwerena, a potem, po chwili wahania podszedł bliżej i pocałował mnie w policzek. Wzdrygnęłam się, co zostało opacznie zrozumiane.

– No cóż – odezwał się ze smutkiem – wy, żołnierzyki, nie lubicie tego, prawda? – Powiedział to dziwnym tonem; przyjrzawszy się uważniej, zobaczyłam, że i jemu zaszkliły się oczy.

Jego wcześniejsze podniecenie wywarło na mnie wrażenie nie do opisanego, obecny smutek zaś skłonił do zadumy. Kiedy odwrócił się i opuścił dziedziniec, stałam tam, drżąc mimowolnie, nie z żalu, lecz z satysfakcji. Ten mężczyzna wyglądał jak Walter: w pewnym sensie zaspokoiliam go przez wzgląd na Kitty, co przyprawiło mnie o mdłości. Ale tamten nie był jak Walter, który miał przyjemność na wyciągnięcie ręki. Jego rozkosz stała się udręką, miłość zaś była tak skryta i żarliwa, że mogła znaleźć spełnienie tylko z nieznanym, w cuchnącym zaułku takim jak ten. Znałam ten rodzaj miłości. Wiedziałam, jak to jest odsłaniać pulsujące serce, które ze strachu bije tak mocno, że zostajesz zdemaskowany.

Tłumiłam jego uderzenia, lecz i tak zostałam zdradzona.

Teraz zaś zdradziłam kogoś, kto był taki jak ja.

Schowałam suwerena i poszłam na Leicester Square.

Było to jedyne miejsce, które starałam się omijać podczas swych beztroskich wędrówek po West Endzie, pomna naszej pierwszej przechadzki, do której nie lubiłam wracać myślami. Dziś jednak nogi same zaniósły mnie w tamtą stronę. Podeszłam do pomnika Szekspira, gdzie wówczas staliśmy, po czym objęłam wzrokiem znajomy widok. Przypomniałam sobie, jak Walter powiedział, że znajdujemy się w samym sercu Londynu. Co podtrzymuje jego bicie? Variétés! Oszołomiona, chłonełam wówczas barwną zbieraninę ludzi wszelkiego pokroju: bogatych i biednych, wytwornych i obdartych, białych i czarnych, którzy żyli tuż obok siebie. Widziałam, że tworzą harmonijną całość i

ekscytowałam się na myśl, że i ja znajdę wśród nich swoje miejsce, jako przyjaciółka Kitty.

Jakże zmienił się od tamtej pory mój światopogląd! Dowiedziałam się, że Londyn jest jeszcze dziwniejszy i bardziej zróżnicowany, niż zrazu myślałam; zrozumiałam też, że znaczna część jego różnorodności na pierwszy rzut oka pozostaje niewidzialna. Nie wszystkie elementy składowe miasta funkcjonują zgodnie obok siebie, lecz raczej potracają się, ocierają jeden o drugi i nakładają na siebie, niektóre zaś, powodowane lękiem, ujawniają się tylko oczom tych, których przychyłności mogą być pewne. I oto zostałam wyłoniona przez jeden z owych tajemnych elementów i niepostrzeżenie włączona do ich grona.

Popatrzyłam na ludzi, którzy mijali mnie po obu stronach. Było tam jakichś trzystu, czterystu, może pięciuset mężczyzn. Ilu z nich miało skłonności dżentelmena, którego przed chwilą dotykałam? Pograżona w myślach dostrzegłam, jak pewien jegomość obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem. W ślad za nim poszedł następny.

Być może odkąd powróciłam do życia jako chłopiec, owe spojrzenia zdarzały się bardzo często, tylko po prostu nie zwracałam na nie uwagi bądź nie umiałam ich właściwie odczytać. Teraz dotarły do mnie z całą mocą, aż zadrżałam z radości i pogardy. Włożyłam spodnie, aby uniknąć męskich spojrzeń, wszelako spojrzenia tych mężczyzn, mężczyzn, którzy brali mnie za swego, nie budziły niepokoju. Budziły chęć odwetu.

Przez kolejny tydzień lub dwa błądziłam ulicami, poznając reguły rządzące światem, w którym się przez przypadek znalazłam. Spacer i obserwacja to zaiste motywy przewodnie owego świata: chodzisz i pozwalasz się oglądać, patrzysz, dopóki ktoś nie wpadnie ci w oko. Potem następuje ruch głową, znaczący gest tudzież nagły skręt w aleję lub do hotelu... Jak wspomniałam, początkowo nie brałam udziału w tych manewrach, poprzestając na obserwacji i odnotowując setki spojrzeń wysyłanych pod moim adresem; niektóre z nich podchwytowałam, przeważnie jednak z pozorną nonszalancją odwracałam wzrok. Lecz któregoś popołudnia podszedł do mnie następny mężczyzna nieco podobny do Waltera. Nie miał wygórowanych pragnień: chciał tylko, żebym zaspokoila go ręką, sącząc mu jednocześnie do ucha sprośne słowa. Wahałam się przez ułamek sekundy, ale nic nie zauważył. Przedstawiłam swoje warunki (suweren), po czym zaprowadziłam go na podwórze, gdzie obsłużyłam jego poprzednika. Jego penis okazał się dość mały, lecz podobnie jak za pierwszym razem nie szczędziłam mu pochwał.

– Śliczny chłopiec z ciebie – wyszeptał na koniec mężczyzna i bez protestów wręczył mi monetę.

Tym sposobem, równie gładko i bezproblemowo jak w wypadku kariery rewijowej, doprowadziłam swą przemianę do perfekcji i zesłałam na drogę nierządu.

Rozdział 9

Od rewiowego dandysa do męskiej dziwki: przyznacie, że to dość kuriozalny przeskok. W gruncie rzeczy jednak świat teatru niewiele się różni od półświatka, w którym przyszło mi egzystować. Ojczyzną obu jest Londyn, a stolicą West End. Zarówno pierwszy jak i drugi stanowią niebanalną mieszaninę magii i szarej konieczności, potu oraz splendoru. W obu też można napotkać określone typy osobników: *ingénues* i *grandes dames*, gwiazdy wschodzące i spadające, wodzirejów i najemników...

Zdobywałam tę wiedzę powoli, acz systematycznie, w ciągu kilku pierwszych tygodni mego terminowania, podobnie jak niegdyś uczyłam się fachu u boku Kitty. Na swoje szczęście znalazłam przyjaciela i doradcę, chłopca, z którym zaczęłam rozmawiać, gdy deszcz sprawił, że schroniliśmy się w tym samym budynku na skraju Soho Square. Reprezentował bardzo zniewieściały typ urody (należał do tak zwanych stokrotek) i podobnie jak wielu mężczyzn owego pokroju przybrał dziewczęce imię: Alice.

– To imię mojej siostry! – zawołałam, a on się uśmiechnął: tak samo miała na imię jego siostra, która umarła. Odpowiedziałam, że nie wiem, czy moja żyje czy nie, i wcale mnie to nie obchodzi. Nie okazał zdziwienia.

Liczyliśmy sobie mniej więcej tyle samo lat. Alice był śliczny jak dziewczyna, a ściśle mówiąc, przewyższał urodą większość dziewcząt (łącznie ze mną), gdyż miał lśniące, czarne włosy, twarz w kształcie serca i rzęsy jak firanki. Sprzedawał się, odkąd skończył dwanaście lat i nie znał innego życia, lecz obecne w zupełności mu odpowiadało.

– Lepsze to – mówił – niż harówka w sklepie lub kantorze. Chybabym zwariował, gdybym miał przez cały dzień siedzieć na stołku i wlepić oczy w te same nudne gęby!

Kiedy zapytał o moje losy, odrzekłam, że przyjechałam z Kentu, po czym zostałam niecznie wykorzystana i zmuszona do życia na ulicy, co w pewnym sensie nie odbiegało od prawdy. Chyba mi współczuł albo też zbieżność imion naszych sióstr zrobiła na nim wrażenie; dość że otoczył mnie swoistą opieką i udzielał rad oraz ostrzeżeń. Czasami spotykaliśmy się przy straganach z kawą na Leicester Square, by pochwalić się sukcesami bądź utyskiwać na swój los. Podczas rozmowy strzelał ustawicznie oczami na boki, wypatrując nowych i dawnych klientów, znajomych oraz przyjaciół.

– Polly Shaw – mówił, wskazując na uśmiechniętego młodzieńca, który przechodził obok. – Palce lizać, ale nigdy nie daj się namówić na pożyczanie funciaka. – Albo

komentował, mniej życzliwie: – A niech mnie! Ta kocica zawsze spada na cztery łapy! – kiedy inny chłopak wysiadł z powozu i zniknął w Alhambrze, trzymany pod ramię przez dżentelmena w pelerynie z czerwoną lamówką.

Wreszcie jego błędzące spojrzenie nieruchomiało; wówczas kiwał głową i puszczał do mnie oko, odstawiając kubek.

– Aha! Widzę konduktora, który chce skasować bilet Słodkiej Alice – oznajmiał. – *Adieu, chérie*. Buziaczki! – Unosił palec do ust, po czym delikatnie kładł go na moim rękawie. Następnie czujnie podążał przez zatłoczony plac w kierunku jegomościa, który dał mu znak.

Na początku naszej znajomości zapytał, jak mam na imię. „Kitty”, odpowiedziałam.

To właśnie Słodka Alice zaznajomił mnie z poszczególnymi typami męskich prostytutek, objaśniając mi ich stroje, zwyczaje oraz specjalności. Wśród nich prym wiodły oczywiście stokrotki, czyli chłopcy tacy jak on, którzy bez względu na porę przechadzali się po Haymarket z pomalowanymi ustami i upudrowanymi twarzami, w spodniach niemal tak obcisłych jak trykoty tancerzy.

Zabierali klientów do pensjonatów i hoteli; ich zasadniczym celem było wpaść w oko młodemu dżentelmenowi lub hrabiemu i zdobyć wygodne miejsce utrzymanki. Co ciekawe, wielu z nich realizowało swoje ambicje.

Kolejną grupę stanowili osobnicy o bardziej przeciętnym wyglądzie, urzędnicy i subiekci: ci pogardzali stokrotkami i puszczaali się (jak sami twierdzili) raczej dla zysku niż przygody. Niektórzy z nich mieli nawet żony lub narzeczone. Arystokracją tudzież gwiazdami profesji byli żołnierze i przywdziewając szkarłatny mundur, nieświadomie stałam się jednym z nich. Rzecz jasna, nie miałam wówczas pojęcia, o co chodzi. Byli specjalistami od obciążania. W przyływie dobrego humoru służyli klientowi kilkoma pchnięciami, sami jednak nigdy nie pozwalali się dotykać. Według słów Słodkiej Alice na tym punkcie ich duma graniczyła z obsesją.

Siłą rzeczy reprezentowałam dość osobliwą mieszanię wspomnianych typów. Jako chłopiec o raczej dziewczęcym wdzięku nie stanowiłam atrakcji dla zwolenników brutalnej ręki, ze zrozumiałych względów nie należałam też do grupy zniewieściałych młodzieńców, którzy pozwalali ze sobą poczynać prawie bez ograniczeń. Jednym słowem, byłam wybredna. W okolicach Leicester Square nie brakowało potencjalnych klientów, ale nie wszyscy dorastali do moich oczekiwań. Szczerze mówiąc, większość mężczyzn korzysta z usług męskiej prostytutki, tak jakby wstępowali do szynku po drodze z targu: zaspokoi się, beknie i więcej się nad tym nie zastanawia. Są wszakże wśród nich jednostki (przeważnie wytworni panowie, nauczyłam się rozpoznawać ich z daleka) wrażliwe, romantyczne lub melancholijne, które, podobnie jak ów mężczyzna z Burlington Arcade, pragną cię pocałować, a potem dziękują, a nawet płaczą.

I kiedy tak robili, kiedy dysząc i prężąc się wyjawiali mi na ucho swoje zachcianki w ciemnej alei, podwórzu lub latrynie, musiałam odwracać twarz, by ukryć uśmiech. Jeśli przypominali Waltera, tym lepiej. Jeśli nie... cóż, ostatecznie wszyscy byli mężczyznami i

(bez względu na ich opinię w tej kwestii) w rozpiętych spodniach wyglądali jednakowo.

Budząc pożądanie, sama pozostawałam obojętna. Nie potrzebowałam nawet pieniędzy. Byłam człowiekiem, który – okradziony z tego, co posiadał i kochał – sam wkracza na drogę rozbójcu, nie po to, aby korzystać z cudzych dóbr, ale żeby je niszczyć. Żałowałam tylko, że moje spektakularne sukcesy przechodzą bez echa. Nachylona nad rozporkiem klienta, przesuwałam wzrokiem po smętnym zaułku i ubolewałam, że trotuar nie jest sceną, cegły kurtyną, a harujące szczury rzędem rozjarzonych świateł. Gdyby tak jedno – tylko jedno! – oko śledziło tę grę, zdolne w swej przenikliwości docenić sztukę, z jakim odgrywałam swoją rolę, i dostrzec klęskę głupiego, łatwowiernego partnera!

Lecz zważywszy na okoliczności, musiałam poprzestać na marzeniach.

Wszystko przebiegało pomyślnie przez około pół roku: dalej wiodłam bezbarwne życie pod dachem pani Best i kontynuowałam wyprawę na West End. Moje oszczędności malały, aż wreszcie skurczyły się do cna, w związku z czym zaczęłam żyć z tego, co zarobiłam na ulicy.

Nadal nie miałam żadnej wiadomości o Kitty, ani słowa! W końcu doszłam do wniosku, że musiała wyjechać za granicę, aby spróbować szczęścia z Walterem może w Ameryce, jak kiedyś planowaliśmy. Moja kariera rewiowa zdawała mi się bardzo odległa i zgoła nierzeczywista. Kilka razy podczas swych wypadów dostrzegłam znajomą twarz: jegomościa, z którym występowałyśmy w Paragon oraz szwaczkę od kostiumów z Bedford w Camden Town. Pewnego wieczoru oparta o kolumnę na Great Windmill Street patrzyłam, jak Dolly Arnold (pamiętny Kopciuszek z Britannii) opuszcza Pavilion i wsiada do powozu. Spojrzała na mnie, po czym zamrugła i odwróciła wzrok. Może uznała, że skądś mnie zna, może wzięła mnie za chłopca, z którym dawniej pracowała, a może byłam w jej oczach żalonym ulicznikiem, który w cieniu murów szuka okazji. Tak czy inaczej, jestem pewna, że nie dostrzegła we mnie Nan King. Wiedziona nagłym impulsem chciałam podejść bliżej i zapytać o Kitty, ale zrezygnowałam; zresztą woźnica zdążył już trzasnąć z bata i powóz odjechał.

Lecz mój kontakt z teatrem nierozzerwalnie wiązał się z obecną profesją. Odkryłam, że rewie Leicester Square (te same, na które dwa lata wcześniej spoglądałyśmy wraz z Kitty z takim podziwem) słyną w półświatku jako punkty obserwacyjne i miejsca spotkań. Zwłaszcza w Empire roiło się od pederastów: spacerowali z prostytutkami z promenady tudzież stali w małych grupkach, wymieniając ploteczki i doświadczenia. Wyróżniali się przesadną gestykulacją i wysokimi głosami. Nigdy nie patrzyli na scenę, nie wiwatowali ani nie bili braw: przeglądali się w lustrach albo bładzili wzrokiem po upudrowanych twarzach pobratymców bądź rzucali ukradkowe spojrzenia na mężczyzn, którzy mijali ich pospiesznie lub z ociąganiem.

Lubiłam im towarzyszyć, podziwiać ich i być podziwianą. Uwielbiałam przechadzać się po Empire – wedle słów Waltera najpiękniejszej rewii w Anglii, rewii, w której Kitty (tak żarliwie i na próżno!) pragnęła wystąpić – przechadzać się tyłem do sławetnej, złotej sceny, oblana rześystym blaskiem elektrycznych żyrandoli, ze lśniącymi włosami,

wybrzuszonym krocem i różanymi wargami, przesiąknięta niebudzącą wątpliwości, acz zwodniczą, wonią lawendy. Pieśniarzy i komedianów ignorowałam. Z tym światem skończyłam definitywnie.

Jak wspomniałam, wszystko szło gładko. Aż wreszcie któregoś dnia, podczas jednego z pierwszych ciepłych tygodni roku 1891, czyli ponad rok od mojej ucieczki, pewien nieoczekiwany incydent zakłócił ów starannie wypracowany porządek.

Kiedy po wyczerpującym wieczorze wróciłam do domu schadzek, starej właścicielki nie było. Jej krzesło leżało przewrócone, a rozwalone drzwi od mojego pokoju stały otworem. Nigdy nie dowiedziałam się, co tak naprawdę zaszło: wszystko wyglądało tak, jakby stara została uprowadzona lub przepłoszona, choć nikt nie umiał powiedzieć, czy dokonała tego policja, czy też konkurencyjny burdel. Tak czy siak, wykorzystując jej nieobecność złodzieje weszli do środka, sterroryzowali dziewczyny oraz ich klientów, po czym wynieśli, co się dało: lepiące się z brudu materace i chodniki, pęknięte lustro oraz zdezelowane meble – a także moje suknie, buty, kapelusz i torebkę. Strata nie była szczególnie poważna, narzucała jednak konieczność powrotu do domu w męskim przebraniu (miałam na sobie stare oksfordzkie spodnie i słomkowy kapelusz), z dala od ciekawskich spojrzeń pani Best.

Było późno; z wolna podążałam przed siebie do Smithfield w nadziei, że rodzina Bestów leży już w swoich łóżkach i smacznie chrapie. Rzeczywiście, kiedy dotarłam na miejsce, okna były ciemne i dom zdawał się pogrążony we śnie. Weszłam do środka i ruszyłam po schodach, dotkliwie pomna ostatniej potajemnej wspinaczki, która doprowadziła mnie do pewnego niemiłego odkrycia. Być może zawiniły wspomnienia; dość, że w połowie drogi machinalnie uniosłam rękę do głowy, w wyniku czego mój kapelusz przefrunął nad balustradą i z hałasem wylądował na podeście. Zamarłam, klnąc pod nosem. Wiedziałam, że muszę go podnieść, kiedy jednak miałam się odwrócić i zbiec po schodach, usłyszałam skrzypnięcie drzwi i w mroku zamajaczył płomień świecy.

– Panno Astley – rozległ się głos gospodyni, cienki i zrzędlawy w ciemności. – Czy to pani, panno Astley?

Nie odpowiedziałam. Pędem przebyłam odległość dzielącą mnie od pokoju i wpadłam do środka. Pospiesznie zdarłam z siebie surdut i spodnie, po czym wraz z koszulą i bielizną wepchnęłam je do małej osłoniętej alkowy, w której wieszałam ubrania. Włożyłam koszulę nocną, lecz gdy kończyłam zapinać guziki, potwierdziły się moje najgorsze obawy. Na schodach zabrzmiały ciężkie kroki i pani Best załomotała do drzwi, wołając piskliwie:

– Panno Astley! Panno Astley! Zechce pani otworzyć drzwi? Znalazłam na korytarzu coś niezwykłego. Mniemam, że należy do kogoś, kto nie powinien się tu znajdować!

– O co chodzi, pani Best? – odkrzyknęłam.

– Doskonale pani wie, o co chodzi, panno Astley. Ostrzegam panią. Jest ze mną mój syn! – Szarpnęła za klamkę. Na górze rozległy się czyjeś kroki: dziecko, obudzone hałasem, rozdarło się wniebogłosy.

Przekręciłam klucz i uchyliłam drzwi. Pani Best, odziana w koszulę nocną i kraciasty

szlafrok, wpadła do pokoju jak huragan. Z tyłu dostrzegłam jej syna, w koszuli i szlafmicy. Miał fatalną cerę.

Spojrzałam na gospodynię. Dziko toczyła wzrokiem po pokoju.

– Wiem, że gdzieś tutaj jest mężczyzna! – zawołała. Odsunęła kołdrę, po czym zajrzała pod łóżko.

Wreszcie skierowała się do alkowy. Kiedy zrobiłam ruch, aby ją powstrzymać, z satysfakcją wykrzywiła usta.

– Tuś mi, bratku! – oznajmiła. Przemknęła obok mnie i szarpnęła zasłonę, po czym oniemiała cofnęła się o krok.

W alkowie wisiały cztery surduty plus ten, który przed chwilą zdjęłam.

– Ty nędzna ulicznico! – krzyknęła po chwili, gdy odzyskała mowę. – Dam głowę, że planowałeś regularną horgię!

– Horgię? Jaką horgię? – zapytałam, biorąc się pod boki. – To ubrania do reperacji, pani Best. Cerowanie surdutów chyba nie jest przestępstwem?

Podniosła kalesony i powąchała.

– Jeszcze ciepłe! – oświadczyła. – Powie mi pani, że rozgrzały się od igły? Może od jego igły!

Otworzyłam usta, lecz zabrakło mi słów. Podczas gdy rozpaczliwie szukałam wymówki, pani Best podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– Aha, pewnie tędy uciekli. Łotry! Cóż, daleko nie uciekną, goli jak ich Pan Bóg stworzył!

Ponownie spojrzałam na jej syna. Łypał na moje kostki, widoczne spod koszuli nocnej.

– Przepraszam, pani Best – powiedziałam. – Przyrzekam, że nigdy więcej tego nie zrobię!

– A jakże, na pewno nie pod tym dachem! Rano ma się pani wyprowadzić, panno Astley. Przyznaję, że zawsze uważałam panią za osobliwą lokatorkę, ale coś takiego! To niedopuszczalne, o nie! Uprzedzałam!

Schyliłam głowę; pani Best obróciła się na pięcie. Jej syn szyderczo wyszczerzył zęby.

– Dziwka – mruknął.

Następnie splunął i podążył za matką.

Nie miałam zbyt wielu rzeczy do pakowania, toteż wczesnym rankiem byłam gotowa do wyprowadzki. Gdy przechodziłam, pani Best zacisnęła usta. Mary patrzyła na mnie z podziwem: widowiskowy sposób, w jaki potwierdziłam wreszcie swą normalność, wywarł na niej piorunujące wrażenie. Dałam jej szylinga i poklepałam ją po ręce. Następnie po raz ostatni obeszłam targ w Smithfield. Poranek był ciepły; co spowodowało, że wzmógł się potworny smród mięsa, otoczonego rojem monotonnie brzęczących much, lecz i tak darzyłam melancholijnym sentymentem miejsce, na które tak często spoglądałam z okna, pogrążona w rozpacz.

Wreszcie ruszyłam przed siebie, pozostawiając w tyle ucztujące muchy. Nie miałam bladego pojęcia, dokąd iść, słyszałam jednak, że w okolicach King's Cross nie brakowało

pokoju do wynajęcia. Postanowiłam spróbować szczęścia. Lecz nie musiałam iść tak daleko. W witrynie sklepu przy Gray's Inn Road zobaczyłam ogłoszenie: „Szanowana dama poszukuje lokatora(-ki)” oraz adres. Spoglądałam na nie przez blisko minutę. Wyraz „szanowana” nie nastrojał optymistycznie: nie zniosłabym konfrontacji z drugą panią Best. Jednakże „lokator(-ka)” miało swój urok. W owym myślniku dostrzegłam bowiem siebie.

Zapamiętałam adres. Dom stał przy Green Street, była to położona niedaleko, biegnąca od Gray's Inn Road wąska uliczka z rzędem ładnie utrzymanych domów po jednej i posępną kamienicą po drugiej stronie. Numer, którego szukałam, znajdował się w szeregowcu. Domek robił miłe wrażenie, na schodach stała doniczka z geranium, obok niej zaś siedział trzynogi kot. Na mój widok przerwał mycie, po czym przykuśtykał bliżej i podniósł głowę, żebym go podrapała za uchem.

Zadzwoiłam do drzwi. Powitała mnie zyczliwa, siwowłosa niewiasta w fartuchu i bamboszach; kiedy przedstawiłam cel swej wizyty, od razu wpuściła mnie do środka, przedstawiła się jako pani Milne i na dłuższą chwilę zajęła się kotem. W tym czasie rozejrzałam się dokoła, mrugając z niedowierzaniem. Korytarz okazał się równie obwieszony obrazkami jak bawialnia pani Dendy. Nie były to jednak fotografie przedstawiające aktorów; zaiste, z obrazkami mej dawnej gospodyni łączyła je tylko jaskrawość kolorów. Wydawały się raczej marnej jakości (niektóre wycięto z książek i magazynów i przyczepiono na ścianie, nie troszcząc się o ramki), choć dostrzegłam wśród nich kilka słynnych reprodukcji. Na przykład nad stojakiem na parasole wisiała kopia kolorowego obrazu „Chrystus jako światłość świata”², pod którą zawieszono hinduski obrazek przedstawiający smukłego niebieskiego boga z podczernionymi oczami i fletem w dłoni. Przyszło mi do głowy, że pani Milne reprezentuje typ maniaczki religijnej, teozofki albo wyznawczynie hinduizmu.

Widząc jednak, że spoglądam na ściany, pani Milne uśmiechnęła się nader po chrześcijańsku.

– Obrazki mojej córki – powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko. – Lubi żywe kolory. Kiwnęłam głową i weszłam za nią po schodach.

Pokazała mi wolny pokój. Była to miła, zwyczajna izdebka; wszystko wokół lśniło czystością. Główną atrakcją stanowiło okno; podłużne i przecięte środkową listwą na podobieństwo szklanych drzwi, wychodziło na żeliwny balkonik z widokiem na Green Street i starą kamienicę.

– Czynsz wynosi osiem szylingów – powiedziała pani Milne, kiedy rozglądałam się dokoła. Skinęłam głową. – Nie jest pani pierwszą dziewczyną, z którą rozmawiałam – podjęła. – Szczerze mówiąc, liczyłam na starszą lokatorkę, na przykład wdowę. Do niedawna mieszkała z nami siostrzenica, ale wyszła za mąż. Czy pani też szykuje się do zamążpójścia?

– O nie – odrzekłam.

– Nie ma pani narzeczonego?

– Nie.

Odpowiedź wyraźnie ją ucieszyła.

– To dobrze – odrzekła. – Widzi pani, mieszkamy same z córką. Grace jest niezmiernie wrażliwym, ufnym stworzeniem. Wolałabym uniknąć wizyt młodzieńców...

– Nie ma żadnego młodzieńca – oznajmiłam kategorycznie.

Kobieta ponownie się uśmiechnęła, po czym dodała z wahaniem:

– Czy mogę... czy mogę spytać, dlaczego opuściła pani dotychczasowe miejsce zamieszkania?

Musiałam mieć nietęgą minę, gdyż jej uśmiech nieco zbladł.

– Prawdę mówiąc – odpowiedziałam – wydarzył się pewien przykry incydent...

– Ach tak. – Pani Milne zeszywniała. Zrozumiałam, że wyznanie prawdy nie było najmądrzejszym pomysłem.

– Chodzi o to... – podjęłam. Widziałam, że wyobraźnia gospodyni pracuje na pełnych obrotach. Co sobie pomyślała? Pewnie, że pani Best przyłapała mnie w niedwuznacnej sytuacji ze swoim mężem.

– Widzi pani – powtórzyła z żalem – moja córka...

Ta córka musi być skończoną pięknoscią, pomyślałam, albo nimfomanką, skoro matka tak skrętnie trzyma ją z dala od męskich spojrzeń. Lecz, podobnie jak kartka w sklepowej witrynie, tak i dom oraz jego właścicielka podziały na mnie swym nieodpartym urokiem.

Zaryzykowałam.

– Pani Milne – zaczęłam – chodzi o to, że pracuję w pewnym szczególnym zawodzie, nazwijmy go teatralnym, który niekiedy wymaga ode mnie noszenia męskich ubrań. Poprzednia gospodyni zobaczyła mnie w spodniach i wyciągnęła błędne wnioski. Mogę oświadczyć z całą pewnością, że jeśli zamieszkać pod tym dachem, nigdy nie sprowadzę do siebie mężczyzny. Zaręczam, iż tak właśnie będzie. Nie będę zalegać z czynszem i zajmę się swoimi sprawami, dzięki czemu zapomni pani, że tu jestem. Jeżeli pani i pannie Milne nie przeszkadza widok dziewczyny w spodniach i krawacie, cóż, myślę, że jestem lokatorką, jakiej pani szuka.

Mówiłam szczerze (z grubsza rzecz biorąc). Gospodyni spojrzała na mnie z namysłem.

– Męskich ubrań, powiada pani – rzekła. Ku mojemu zdziwieniu, zamiast odrazy i niedowierzania w jej głosie zabrzmiało zaniepokojenie.

Skinęłam głową, rozwiązałam sznurek worka i wyjęłam pierwszy z brzegu kostium. Była to bluza od munduru. Strzepnęłam go i przyłożyłam do siebie.

– Niesamowite – powiedziała, krzyżując ręce na piersi. – Jaka piękna! Moja dziewczynka z pewnością przyzna mi rację. – Wskazała dłonią na drzwi. – Pozwoli pani...?

– Wyszła na podest i krzyknęła: – Gracie! – Piętro niżej rozległy się kroki. Pani Milne przekrzywiła głowę. – Jest trochę nieśmiała – rzuciła ścisłym tonem – ale proszę nie zwracać uwagi, jeśli zacznie się dziwnie zachowywać. Taka już jest.

Uśmiechnęłam się niepewnie. Gracie zaczęła wchodzić na górę. Chwilę później stanęła w drzwiach.

Spodziewałam się ujrzeć ślicznotkę. Grace Milne nie była piękna. Mimo to od razu

zauważyłam, że miała w sobie coś niezwykłego. Nie sposób było określić jej wieku. Mogła liczyć sobie zarówno siedemnaście, jak i trzydzieści lat, choć lniane włosy spływały jej na ramiona jak małej dziewczynce. Ubrana była dość dziwnie, w przykrótką, niebieską sukienkę, żółty fartuszek oraz pstrokate pończochy i czerwone, aksamitne pantofle. Oczy miała szare, policzki zaś bardzo blade. Rysy dziewczyny wydawały się osobliwie rozmyte; jej twarz wyglądała jak rysunek od niechcenia przetarty gumką. Mówiła ochryplym, nieco drżącym głosem. Słuchając go, zrozumiałam to, czego nie domyśliłam się wcześniej: Grace była niedorozwinięta.

Błyskawicznie zorientowałam się w sytuacji. Grace ujęła matkę pod rękę i zerknęła na mnie nieśmiało. Oczy zabłyśły jej, dopiero gdy spojrzała na mundur; widziałam, że ma ochotę chwycić jaskrawy rękaw i go pogłaskać.

Cóż, mundur był rzeczywiście piękny.

– Czy chce pani przymierzyć? – zapytałam. Skinęła głową, rzucając pytające spojrzenie na matkę.

– Jeśli mogę – odrzekła.

Pani Milne wyraziła zgodę. Pomogłam dziewczynie włożyć bluzę, a potem zapięłam guziki. Szkarłatna tkanina i złota lamówka wyglądały dziwnie na tle włosów, oczu i reszty pstrokatego ubrania Grace.

– Wygląda pani jak cyrkówka – oświadczyłam, kiedy wraz z gospodynią cofnęliśmy się o krok, aby podziwiać efekt. – Córka aranżera programu.

Grace spojrzała na mnie z uśmiechem, po czym wykonała niezdarny ukłon. Pani Milne roześmiała się i klasnęła w dłonie.

– Czy mogę go zatrzymać? – spytała Gracie. Potrząsnęłam głową.

– Obawiam się, że to niemożliwe, panno Milne. Mam tylko jeden...

– Daj spokój, Gracie – wtrąciła jej matka – naturalnie, że nie możesz. Panna Astley potrzebuje munduru do swoich występów.

Grace skrzywiła się, lecz nie wyglądała na specjalnie dotkniętą. Pani Milne podchwyciła moje spojrzenie.

– Czy mogłaby go pożyczyć – szepnęła – ...od czasu do czasu?

– Może pożyczyć, co tylko zechce – odpowiedziałam i gdy Grace podniosła głowę, mrugnęłam do niej. Jej blade policzki poróżwiały i czym prędzej spuściła wzrok.

Pani Milne cmoknęła, po czym z zadowoleniem zaplotła ręce na piersi.

– Myślę, że jednak się pani nadaje, panno Astley.

Wprowadziłam się od razu. Pierwsze popołudnie upłynęło mi na rozpakowywaniu skromnego dobytku. Gracie asystowała mi przez cały czas, co rusz wydając okrzyk zachwyty, a pani Milne przyniosła jedną herbatę, potem drugą i ciasto. Nim nastąpiła pora kolacji, obie mówiły na mnie „Nancy”, sama kolacja zaś (pasztet z sosem i groszkiem, a następnie galaretką migdałową w foremce) była pierwszą od czasu, gdy zasiadłam przy rodzinnym stole w Whitstable ponad rok wcześniej.

Następnego dnia Gracie przymierzyła moje kostiumy we wszystkich możliwych

konfiguracjach, a jej matka biła brawo. Na kolację były kielbaski, a później ciasto. Po posiłku przebrałam się do Soho; widząc mnie w serży i aksamicie, pani Milne ponownie klasnęła w ręce. Dorobiła dla mnie klucz, żebym ich nie budziła, kiedy wrócę w nocy...

Czułam się jak w niebie. Mogłam robić i nosić, co mi się żywnie podobało, a pani Milne nie reagowała. Mogłam wrócić do domu ze śladami spermy na kołnierzu, a ona wrywała mi surdut i wkładała go pod kran („Taka duża dziewczyna, a plami się zupą!”). Mogłam obudzić się w podłym nastroju, nękana wspomnieniami, a ona bez słowa nakładała mi na talerz solidną porcję owsianki. Na swój sposób była równie naiwna jak jej niedorozwinięta córka; okazywała mi dobroć przez wzgląd na Gracie, którą polubiłam i traktowałam bardzo życzliwie.

Na przykład, miałam świętą cierpliwość do kolorystycznych upodobań dziewczyny. W całym domu widniały ślady owego niecodziennego zamiłowania, lecz po trzech dniach odkryłam pewną metodę w szaleństwie, które – gdybym zwyczajem większości kobiet przykładała wagę do własnej wygody – mogłoby mi działać na nerwy. Kiedy w pierwszą środę swojego pobytu u pani Milne zesłam na śniadanie w żółtej kamizelce, gospodyni drgnęła.

– Gracie nie lubi oglądać wokół siebie żółtego – wyjaśniła – w środy.

Jednakże trzy dni później na podwieczorek podano krem jajeczny: wyglądało na to, że w soboty wszystko musi być żółte...

Pani Milne tak przywykła do zachcianek córki, że przestała je zauważać. Z biegiem czasu to samo stało się i ze mną; podczas porannej toalety wołałam: „Jaki dziś kolor, Grace? Mam włożyć niebieski surdut czy brązowy?”. „Agrest czy tarta na kolację?”. Traktowałam to jak swoistą zabawę, a filozofia Grace nie była gorsza od innych. Doskonale rozumiałam jej miłość do kolorów. W mieście istotnie ich nie brakowało; w pewnym sensie Grace nauczyła mnie odkrywać je na nowo. Spacerując ulicami, wypatrywałam obrazków, które mogłyby jej się spodobać, a następnie przynosiłam je do domu. Miała kilka albumów, wklejała do nich fotografie i wycinki. Kupowałam jej książeczki i czasopisma, nad którymi biedziła się z nożyczkami, oraz kwiaty: fiołki, goździki, lawendę i błękitne niezapominajki. Kiedy wyciągałam je zza pleców jak magik, dziewczyna rumieniła się z zachwytu i dygała nieśmiało. Pani Milne patrzyła wniebowzięta, po czym kręciła głową i udawała zagniewaną.

– Też! – mówiła do mnie. – Wnet przewrócisz dziewczynie w głowie, ot co! – A ja myślałam sobie, jakie to dziwne, że ona, która tak pilnie strzeże córki przed zakusami młodzieńców, tak lekkomyślnie toleruje moje wybryki.

Lecz nie sposób było długo zastanawiać się nad czymś w domu, gdzie życie płynęło tak leniwie i beztrasko.

Skoro zaś od rozstania z Kitty myślenie nie należało do moich ulubionych czynności, było mi to zdecydowanie na rękę.

Mijały miesiące. Nadeszły moje urodziny; w ubiegłym roku przebiegły niezauważone, a teraz dostałam prezenty oraz tort z zielonymi świeczkami. Potem nastąpiły święta, co

oznaczało jeszcze więcej prezentów i uroczysty obiad. Jakaś mała, uporczywa część pamięci nasuwała mi wspomnienie dwóch wesołych świąt Bożego Narodzenia, które spędziłam z Kitty. Pomyślałam o swojej rodzinie. Davy pewnie się ożenił i został ojcem, czyli byłam ciotką. Alice skończyła dwadzieścia pięć lat. Świętują Nowy Rok beze mnie i przypuszczalnie zachodzą w głowę, gdzie jestem i jak mi się powodzi. Kitty i Walter być może robią to samo. Niech się zastanawiają, pomyślałam. Kiedy pani Milne uniosła kieliszek i życzyła nam wszystkim pomyślności, uśmiechnęłam się i pocałowałam ją w policzek.

– Co za święta! – zawołała. – Spędzam je z moimi najukochańszymi dziewczętami. To był dla nas szczęśliwy dzień, Nance, kiedy zapukałaś do naszych drzwi!

Jej oczy zaszkliły się z lekka; mówiła to już wcześniej, ale nigdy z takim wzruszeniem. Wiem, co sobie myślała. Zaczęła traktować mnie jak córkę, a przynajmniej siostrę jej prawdziwej córki: życzliwą, starszą siostrę, która być może zaopiekuje się Gracie, kiedy jej zabraknie...

Owa myśl przyprawiła mnie o dreszcze. Z drugiej strony jednak nie miałam innych planów, rodziny, siostry i z całą pewnością nie szykowałam się do ślubu.

– To był mój szczęśliwy dzień – odrzekłam. – Żeby wszystko mogło na zawsze zostać tak, jak jest!

Pani Milne przełknęła łzy i wzięła moją białą, miękką dłoń w swe stare, stwardniałe palce. Gracie patrzyła na nas z zadowoleniem, oszołomiona nadmiarem atrakcji. W blasku świec jej włosy lśniły jak czyste złoto.

Tamtego wieczoru jak zwykle poszłam na Leicester Square. Klienci trafiają się nawet w święta.

Prostytucja zimą to ciężki kawałek chleba. Mgła i szybko zapadający zmierzch sprzyjają wprawdzie potajemnym schadzkom, lecz nikt nie lubi rozpinać spodni, kiedy na dachu wiszą sople. Ja też niechętnie klękałam na oblodzonym chodniku i wkładałam kusy paltocik, po to tylko, by pokazać światu zgrabne pośladki oraz zrolowaną chustkę w rozporoku. Z radością wracałam do ciepłego domu: w styczniu moi towarzysze niedoli masowo zapadają na gripę; Słodka Alice przekaszał całą zimę – bał się, że niechący odgryzie klientowi interes.

Jednak wraz z nadejściem wiosny i ciepłych wieczorów moja uliczna kariera znów nabrała tempa, lecz ogarnęło mnie pewne rozleniwienie. Zamiast włóczyć się po ulicach, częściej zostawałam w domu: leżałam na wpół ubrana, z otwartymi oczami albo ćmiłam papierosy, noc gęstniała i cichła dokoła mnie, płomyk świecy bladł, po czym migotał i gasł. Otwierałam szeroko okna, by wpuścić do środka uliczne odgłosy: turkot dorożek i powozów z Gray's Inn Road, łoskot oraz gwizd pociągu z King's Cross, wołania przechodniów: „Daj spokój, Jenny!”, „Do wtorku, do wtorku...”. Kiedy przyszły lipcowe upały, stawiałam krzesło na moim balkoniku wysoko ponad Green Street i przesiadywałam długo w oczekiwaniu na ochłodzenie.

Owego lata spędziłam w ten sposób około pięćdziesięciu nocy, przy czym każda

zdawała się podobna do poprzedniej. Lecz jeden wieczór szczególnie zapadł mi w pamięć.

Jak zwykle wyniosłam krzesło na balkon, lecz postawiłam je tyłem do ulicy, po czym usiadłam na nim okrakiem, opierając brodę na rękach. Pamiętam, że miałam na sobie lniane spodnie, koszulę rozpiętą pod szyją oraz słomkowy, marynarski kapelusik, który włożyłam dla ochrony przed popołudniowym słońcem, i potem zapomniałam zdjąć. W pokoju panował mrok; sądzę, że wyjąwszy okazjonalny błysk rozżarzonego papierosa, musiałam być niewidoczna. Miałam przymknięte oczy i rozmyślałam o niczym, gdy naraz usłyszałam muzykę. Ktoś uderzył w struny jakiegoś instrumentu (nie było to banjo ani gitara) i wietrzyk przyniósł do mnie rytmiczną, cygańską melodię. Wkrótce dołączył do niej wysoki kobiecy głos.

Otworzyłam oczy, wypatrując źródła dźwięków; wbrew moim oczekiwaniom nie dochodziły z ulicy, lecz z budynku naprzeciw – starej kamienicy, niegdyś ponurej i opustoszałej, która do niedawna stanowiła tak rażący kontrast ze schludnym domkiem mojej gospodyni. Od miesiąca pracowali tam robotnicy: niekiedy docierały do mnie stuk młotka i pogwizdywania, i teraz budynek prezentował się całkiem przyzwoicie. Od początku mojego pobytu na Green Street okna naprzeciwko moich były ciemne. Dziś jednak otwarto je na oścież i rozsunięto zasłony. Stamtąd właśnie płynęła owa miła melodyjka: miałam też dobry widok na osobliwą scenę, która rozgrywała się w środku.

Na instrumencie – teraz zobaczyłam, że była to mandolina – grała młoda, ładna kobieta w dobrze skrojonym żakiecie, białej bluzce, krawatce i okularach; od razu wzięłam ją za urzędniczkę albo studentkę. Śpiewała z wyraźną przyjemnością, a gdy nie trafiała głosem w wyższe rejestry, wybuchała śmiechem. Z gryfu mandoliny zwisał pęk wstążek, które falowały z każdym ruchem instrumentu.

Towarzyszące jej osoby nie były równie rozradowane jak ona. Obok dziewczyny siedział mężczyzna w sfatygowanym surducie; na jego ustach majaczył blady uśmiech. Trzymał na kolanach dziewczynkę w połatanej sukience i fartuszkach, i w odpowiedniej chwili klaskał jej rączkami. Tuż przy nim stał krótko ostrzyżony chłopak o wielkich, czerwonych uszach, a za nim kobieta, prawdopodobnie żona mężczyzny, która apatycznie przyciskała do piersi niemowlę. Ostatnia osoba, krępa dziewczyna w szykownym żakiecie, siedziała na skraju zasłony. Jej twarz pozostawała niewidoczna, widziałam tylko ręce, szczupłe, o dość bladej skórze, w których trzymała jakąś broszurę lub kartkę i zawzięcie rozgarniała ją rozgrzane, nieruchome powietrze jak wachlarzem.

Wszystkie postacie zgromadziły się wokół stołu, na którym dostrzegłam przywiedłe stokrotki w słoiku oraz pozostałości skromnej kolacji: herbatę, kakao, wędlinę, ogórki konserwowe i ciasto. Pomimo niewesołych min i wymuszonych uśmiechów scena miała wyraźnie odświeżony charakter. Prawdopodobnie chodziło o oblewanie nowego mieszkania, choć nie potrafiłam odgadnąć relacji łączących elegancką mandolinistkę z ubogą rodziną, dla której grała. Nie byłam również pewna co do statusu dziewczyny z bladymi rękoma; uznałam, że może należeć do każdej ze stron.

Melodia uległa zmianie i rodzina okazała pewne poruszenie. Zapaliłam papierosa i z

braku lepszych zajęć śledziłam przebieg wydarzeń. Wreszcie dziewczyna za zasłoną przestała się wachlować i wstała. Ominęła zebranych i skierowała się do okna, które również wychodziło na niewielki balkonik. Stała przy balustradzie i ziewając wyjrzała na pogrążoną w ciszy ulicę.

Dzieliło nas nie więcej niż piętnaście kroków i znajdowałyśmy się mniej więcej na tej samej wysokości, byłam jednak częścią ciemnego tła i dziewczyna nie zwróciła na mnie uwagi. Nadal nie widziałam jej twarzy. Okno i zasłony tworzyły idealną oprawę jej sylwetki, ale światło padało z tyłu. Przeświecało przez chmurę kędzierzawych włosów, nadając im kształt aureoli jak u świętej z kościelnego witraża, twarz jednakże nadal spowijał mrok. Nie odrywałam od niej wzroku. Kiedy muzyka ucichła, rozległy się oszczędne brawa i z pokoju dał się słyszeć chaotyczny szmer głosów, dziewczyna wszakże wciąż stała na balkonie, nieruchoma jak przedtem.

Wypalony papieros niemal oparzył mi palce; rzuciłam go na ulicę. Podchwyciwszy ów gest, dziewczyna drgnęła, a następnie wyteżyła wzrok i zeszywniała. Jej zakłopotanie (pomimo mroku i odległości widziałam, że poczerwieniała jak burak) zrazu zbiło mnie z tropu, po czym przypomniałam sobie swój ubiór. Wzięła mnie za bezczelnego voyeura! Poczułam osobliwą mieszaninę wstydu i zadowolenia. Grzecznie uchyliłam kapelusza.

– Sie masz, złotko! – rzuciłam gardłowym, rozleniwionym tonem. W taki właśnie sposób robotnicy pozdrawiali przechodzące kobiety. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, by ich naśladować.

Dziewczyna ponownie drgnęła, po czym otworzyła usta, jakby chciała mi powiedzieć coś do słuchu, ale w tej samej chwili do okna podeszła jej przyjaciółka. Miała na głowie kapelusz i wciągała rękawiczki.

– Pora iść, Florence – powiedziała. W półświecie to imię zabrzmiało bardzo romantycznie. – Dzieci są śpiące. Pan Mason odprowadzi nas do King's Cross.

Nie obdarzywszy mnie więcej spojrzeniem, Florence wróciła do pokoju. Tam ucałowała dzieci, uściśnęła dłoń ich matce i wyszła. Z mojego balkonu zobaczyłam, jak wraz z przyjaciółką i panem Masonem opuszcza kamienicę i idzie w kierunku Gray's Inn Road. Myślałam, że się odwróci, aby sprawdzić, czy nadal patrzę, ale tego nie zrobiła; zresztą czy mnie to obchodziło? W świetle latarni zobaczyłam, że wcale nie była ładna.

Byłabym o niej zapomniała, gdyby nie to, że jakieś dwa tygodnie później ujrzałam ją ponownie, tym razem w dziennym świetle.

Dzień był ciepły, obudziłam się dość wcześnie. Pani Milne i Grace poszły z wizytą, przez co mogłam się zająć tylko sobą. Zanim skończyły się moje oszczędności, kupiłam sobie kilka ładnych sukien i owego dnia włożyłam jedną z nich. Przypięłam również warkocz: wyglądał niezwykle naturalnie w cieniu sztywnego ronda czarnego, słomkowego kapelusza. Postanowiłam pójść do parku, na przykład do Hyde Parku, a potem może do ogrodów Kensington. Wiedziałam, że po drodze narażę się na zaczepki, w parkach jednak roiło się od kobiet – piastunek z wózkami, guwernantek oraz ekspedientek jedzących śniadanie na trawie. Każda z nich da się skusić rozmowie z miłą, elegancką dziewczyną, a

owego dnia czułam się wyjątkowo spragniona damskiego towarzystwa.

Wtedy właśnie ujrzałam Florence.

Chociaż poprzednio widziałyśmy się zaledwie przez chwilę, rozpoznałam ją natychmiast. Akurat wyszłam z domu i stałam na najniższym stopniu, ziewając i przecierając oczy. Wyłoniła się z uliczki leżącej naprzeciw Green Street, na lewo ode mnie, ubrana w musztardowy żakiet i spódnicę. To właśnie ów kolor, jaskrawy w blasku słońca, przykuł mój wzrok. Ona również przystanęła, sprawdzając coś na kartce, którą trzymała w dłoni. Uliczka prowadziła do mieszkań w kamienicy, w związku z czym odgadłam, że Florence składała wizytę rodzinie, która urządziła wówczas przyjęcie. Zastanawiałam się od niechcienia, dokąd pójdzie. Jeśli ponownie skieruje się w stronę King's Cross, zniknie mi z oczu.

Wreszcie schowała kartkę do torby przewieszanej na ukos przez ramię i skręciwszy w lewo, zwróciła się w moim kierunku. Obserwowałam ją, nie ruszając się z miejsca; powoli zrównała się ze mną i znów dzieliła nas zaledwie szerokość ulicy. Zobaczyłam, że ku mnie zerka; następnie odwróciła wzrok, po czym – jakby wyczuwając uporczywość mego spojrzenia – ponownie popatrzyła w moją stronę. Uśmiechnęłam się; zwolniła kroku i niepewnie odwzajemniła uśmiech, widziałam jednak, że nie ma zielonego pojęcia, kim jestem. Nie mogłam przepuścić okazji. Nie odrywając oczu od jej życzliwego, pytającego spojrzenia, uniosłam rękę do głowy i uchylając kapelusza rzuciłam tym samym niskim głosem, co poprzednio: „Sie masz”. Drgnęła, zupełnie jak wówczas. Spojrzała na balkon ponad moją głowę i poczerwieniała.

– Ach! A więc to pani?

Uśmiechnęłam się i pochyliłam głowę w lekkim ukłonie. Zaskrzypiał gorset; owa dżentelmeńska galanteria jakoś nie pasowała do spódnicy: ogarnęły mnie obawy, że Florence weźmie mnie nie za zuchwałą, lecz głupią. Kiedy jednak ponownie popatrzyłam jej w oczy, rumieniec zbladł i twarz dziewczyny wyrażała nie pogardę czy zakłopotanie, ale rozbawienie. Przechyliłam lekko głowę.

Pomiędzy nami przejechał powóz, a następnie dorożka. Uchylając kapelusza, chciałam jedynie wyjaśnić wcześniejsze nieporozumienie, a po trosze rozśmieszyć dziewczynę. Lecz gdy ulica ponownie opustoszała, Florence stała jak przedtem, jakby w oczekiwaniu.

– Przepraszam, że panią wtedy przestraszyłam.

Tamto wspomnienie wprawiło ją w zakłopotanie, ale wybuchnęła śmiechem.

– Nie przestraszyłam się – odparła, jakby strach był dla niej zgoła obcym uczuciem. – Byłam tylko trochę... zaskoczona. Gdybym wiedziała, że jest pani kobietą... no! – Znów się zaczerwieniła, a może były to tylko pozostałości pierwszego rumieńca, nie wiem. Odwróciła wzrok i zapadło milczenie.

– Gdzie pani muzykalna przyjaciółka? – zapytałam wreszcie.

Udając, że trzymam mandolinę, uderzyłam w niewidzialne struny.

– Panna Derby – powiedziała Florence z uśmiechem. – W naszym biurze. Pracuję w dobroczynności, szukam domów dla rodzin wyrzuconych na bruk. – Mówiła z pospolitym

akcentem z East Endu, jej głos był jednak głęboki i lekko zdyszany. – Od dawna mieliśmy chrapkę na tutejsze mieszkania, tamtego wieczoru wprowadziliśmy pierwszą rodzinę. Zawsze to pewne osiągnięcie, chociaż i tak kropla w morzu potrzeb. Panna Derby wyszła z pomysłem małego przyjęcia.

– Tak? Bardzo ładnie grała. Powinna pani jej powiedzieć, żeby wpadała nieco częściej.

– Mieszka pani tutaj, prawda? – zapytała, wskazując na domek pani Milne.

– Tak. Lubię przesiadywać na balkonie...

Podniosła rękę i odgarnęła niesforny lok, który wymknął się spod kapelusza.

– I zawsze w spodniach? – spytała tak nieoczekiwanie, że zamrugałam powiekami.

– Czasem w spodniach.

– Ale zawsze podgląda pani kobiety i zagaduje je z nienacka?

Zamrugałam kilkakrotnie.

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy – odparłam – dopóki nie ujrzałam pani.

Była to szczerza prawda, Florence jednak prychnęła i zachichotała, jakby chciała powiedzieć: „czyżby?”. Ów śmiech oraz poprzedzająca go wymiana zdań zbiły mnie z tropu. Spojrzałam bacznie na Florence. Potwierdziły się moje wcześniejsze przypuszczenia: nie była piękną. Miała szeroką talię i dość przysadzistą sylwetkę, okrągłą twarz i mocno zarysowany podbródek. Zęby równe, lecz nie idealnie białe, oczy piwne, rzęsy jednak raczej krótkie. Tylko kształt dłoni wydawał się bez zarzutu. Włosy Florence... cóż, jej włosy stanowią zmoreń wielu dorastających dziewcząt: pomimo ciasnego upięcia kędziory wymykały się z koka i tańczyły dokoła twarzy. Światło padające z tyłu nadawało im odcień kasztanowy, choć w blasku dnia raczej zasługiwały na miano brązowych.

Chyba odczułam pewną ulgę, że nie jest ładniejsza. I chociaż spokój, z jakim przyjęła moje niecodzienne zachowanie (tak jakby noszenie spodni i zaczepianie kobiet stanowiło tylko dziecinny wybryk), wydał mi się szalenie intrygujący, nie dostrzegając w niej owej iskry, tego ulotnego czegoś, co bezbłędnie wyczuwałam w innych dziewczętach. Nikomu, kto na nią patrzył, nie przyszłoby do głowy szyderczo krzyknąć: „Lesbijka!”. To również mnie ucieszyło. Już dość sercowych perypetii, zresztą moja obecna profesja nie miała z nimi zgoła nic wspólnego!

Czyż jednak nie mogłam znaleźć sobie po prostu... przyjaciółki?

– Może pójdzie pani ze mną do parku? – zaproponowałam. – Właśnie się tam wybieram.

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Nie mogę, jestem w pracy.

– Za gorąco na pracę.

– Ktoś musi to zrobić. Idę na Old Street: znajoma panny Derby może udostępni nam kilka pokoi. Właściwie już powinnam tam być. – Marszcząc brwi, zerknęła na zegareczek zawieszony na wstążce na piersi jak medal.

– Nie może pani wysłać panny Derby? Założę się, że niecnie panią wykorzystuje. Pewnie siedzi z nogami na biurku i brzdąka na mandolinie, a pani musi nachodzić się w tym

upale. Proszę chociaż dać się zaprosić na lody: w ogrodach Kensington jest Włoszka, która sprzedaje najlepsze lody w Londynie. Mam u niej zniżkę...

Ponownie się uśmiechnęła.

– Nie mogę. Co by się stało z naszymi biednymi rodzinami?

Guzik mnie obchodziły biedne rodziny. Poczułam nieoczekiwany lęk, że więcej jej nie spotkam.

– Wobec tego zobaczymy się podczas pani kolejnej wizyty na Green Street – skwitowałam. – Kiedy to nastąpi?

– Obawiam się, że to niemożliwe – odrzekła. – Za kilka dni wyjeżdżam; mam pomóc przy prowadzeniu hotelu w Stratford. To dogodniejsza posada: mieszkam w pobliżu i znam okolicznych mieszkańców. Oznacza to jednak, że większość czasu będę teraz spędzać na wschodzie...

– Ach tak – rzuciłam lekko. – I nie będzie pani przyjeżdżać do stolicy?

– Cóż, czasem przyjeżdżam, wieczorami – odparła z wahaniem. – Przyjeżdżam do teatru albo na odczyty w Athenaeum Hall. Mogłaby się pani wybrać ze mną...

Obecnie bywałam w teatrze wyłącznie w celach pozamerytorycznych; nie miałam zamiaru ponownie zasiąść na aksamitnym fotelu, nawet dla Florence.

– Athenaeum Hall? – powtórzyłam. – Znam to miejsce. Ale odczyty... co to znaczy? Czy chodzi o zagadnienia kościelne?

– Raczej polityczne. Wie pani, problem podziałów klasowych, sprawa irlandzka...

Serce zamarło mi w piersi.

– Sprawa kobiet.

– Właśnie. Najpierw następuje wykład lub odczyt, a potem debata. Proszę spojrzeć. – Sięgnęła do torby i wyjęła ciekawą, niebieską broszurę – „Seria Wykładów Towarzystwa Athenaeum Hall”. Na pierwszej stronie widniał tytuł: „Kobiety i praca: wykład pana...” – tu następowało jakieś nazwisko oraz krótkie streszczenie i data, od której dzieliło nas cztery lub pięć dni.

– O rany! – powiedziałam niepewnie. Florence uniosła głowę i odebrała mi broszurę.

– Być może jednak woli pani lody... – odparła. W jej głosie zabrzmiała kąśliwa nuta, której nie mogłam ścierpieć.

– Ależ skąd! – zawołałam. – To bardzo ciekawe!

Dodałam jednak, że skoro w Athenaeum Hall nie ma lodów, powinniśmy się zawczasu posilić. Podobno na rogu King’s Cross i Judd Street jest niewielka gospoda; mają tam salę dla pań, gdzie można zjeść dobrą, niedrogą kolację. Wykład zaczynał się o siódmej, więc może szósta? Sądząc, iż sprawię jej tym przyjemność, powiedziałam, że przyda mi się pewne wprowadzenie w zawilóści sprawy kobiet.

Florence prychnęła i rzuciła mi kolejne długie spojrzenie, choć nie byłam pewna, co miało oznaczać. Mimo to zgodziła się ze mną spotkać, zaznaczając, że nie mogę jej zawieść. Odparłam, że to wykluczone, po czym wyciągnęłam rękę. Odpowiedziała mi mocnym uściskiem ciepłych palców w szarej, płóciennej rękawiczce.

Dopiero później sobie uświadomiłam, że nie wymieniliśmy nazwisk, lecz Florence znikła już za rogiem Green Street. Cóż, przynajmniej znałam jej romantyczne imię. Zresztą od następnego spotkania dzieliło nas zaledwie kilka dni.

Rozdział 10

Podczas kolejnych dni upał przybrał na sile. Nawet ja miałam dość skwaru. Cały Londyn z utęsknieniem wyczekiwał zmiany pogody; kiedy więc w czwartkowy wieczór spadł wreszcie deszcz, rozradowani mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice.

Byłam wśród spacerowiczów. Blisko dwa dni przesiedziałam w domu pogrążona w kompletnym odrętwieniu, wypijając niezliczone szklanki lemoniady z panią Milne i Gracie w zaciemnionej bawialni lub drzemiąc nago na łóżku, przy oknach otwartych na oścież i zasuniętych zasłonach. Wizja chłodnego wieczoru na gwarnych, pstrokatych ulicach West Endu przyciągała mnie jak magnes. Poza tym moja sakiewka świeciła pustym dnem, a musiałam przecież zdobyć środki na kolację z Florence, która przypadała następnego dnia. Pomyślałam więc, że pora złapać trochę grosza. Umyłam się i przygładziłam włosy pomadą, po czym włożyłam mój ulubiony kostium: mundur z mosiężnymi guzikami i oblamowaniem, szkarłatną bluzą i zgrabną czapeczką.

Rzadko go nosiłam. Bynajmniej nie chodziło o szacunek dla gwiazdek na naramiennikach, tylko po prostu dręczyła mnie obawa, że zwrócę kiedyś uwagę prawdziwego oficera, który każe mi się przyłączyć do swego regimentu. Istniało również prawdopodobieństwo, że zdarzy się wypadek wymagający natychmiastowej interwencji wojskowej, na przykład inwektywy przeciwko królowej, i będę musiała stanąć na wysokości zadania. Zarazem był to jednak szczęśliwy kostium. Ściągnął na mnie uwagę owego śmiałego dżentelmena z Burlington Arcade, którego pocałunek okazał się mieć iście proroczy wymiar, ten ubiór przechylił też szalę na moją korzyść podczas pierwszej rozmowy z panią Milne. Uznałam, że wystarczy, jeśli dziś zapewni mi suwerena.

Panująca w mieście atmosfera pasowała do mojego przebrania jak ulał. Powietrze było rześkie i nienaturalnie czyste, dzięki czemu kolory – czerwień uszminekowanych warg, niebieski zarys budki z kanapkami, fiolety, żółcie i zielenie koszyczka kwiaciarce – zdawały się wprost wyskakiwać z mroku. Zupełnie jakby miasto było wielkim dywanem, który jakaś olbrzymia dłoń solidnie potraktowała trzepaczką, przywracając mu dawną świeżość. Wszystkim udzielił się odświeżony nastrój, toteż każdy, podobnie jak ja, postanowił zaprezentować się jak najlepiej. Dziewczęta w barwnych sukienkach spacerowały grupkami lub tuliły się do narzeczonych na schodach lub ławkach. Młodzi mężczyźni stali w drzwiach szynku i pociągali piwo z kufła, a ich ulizane włosy lśniły w

gazowym świetle niczym jedwab. Księżyc wisiał nisko ponad dachami Soho, różowy, jasny i okrągły jak chiński lampion. Obok niego migotało złośliwie kilka gwiazd.

Spacerowałam pośród tego wszystkiego w swoim szkarłatnym mundurze, lecz wybiła jedenasta, ulice zaczęły pustoszeć, a mnie nadal nie dopisało szczęście. Kilku panów spojrzało na mnie z niejakim uznaniem, a pewien podejrzany jegomość uparcie deptał mi po piętach od Piccadilly do Seven Dials i z powrotem. Lecz dżentelmeni ulegli w końcu czarowi stokrotek, a na towarzystwo podejrzanego jegomościa nie miałam najmniejszej ochoty. W końcu zgubiłam go w szalecie z dwoma wyjściami.

Nieco później, gdy stałam opodal latarni na St James's Square, nastąpił dziwny incydent. Nadjechał powóz, zwolnił, a następnie przystanął. Nikt nie wysiadł ani też nie wsiadł do niego. Stangret ukrywał twarz za wysoko postawionym kołnierzem i nie odrywał wzroku od konia, lecz w ciemnym oknie powozu zadrżała lekko koronkowa zasłona: byłam uważnie obserwowana.

Od niechcienia przeszłam kilka kroków i zapaliłam papierosa. Numerek w powozie z oczywistych względów nie wchodził w rachubę. Wiedziałam od przyjaciół z Leicester Square, że panowie z powozów stawiali wysokie wymagania. Hojnie sypali groszem, lecz żądali w zamian pełnego zakresu usług. Czasem w grę wchodziła cała noc, niejednokrotnie w hotelu. Stwierdziłam jednak, że odrobina kokieterii nie zaszkodzi: kto wie, może kiedyś rzeczony dżentelmen uzna, że przyda mu się trochę rekreacji i ruszy w miasto na piechotę? Lepiej, żeby mnie zapamiętał. Przez dobre dziesięć minut spacerowałam więc po obrzeżach placu i co pewien czas sięgałam ręką do krocza – będąc owego wieczoru w nieco frywolnym nastroju, zamiast zwykłej chustki lub rękawiczki wepchnęłam do spodni jedwabny krawat, który uparcie ześlizgiwał mi się po udzie. Doszłam jednak do wniosku, że ów niezamierzony gest może dodać sytuacji miłej pikanterii...

Jednakże w pewnej chwili powóz wraz z milczącym stangretem i nieśmiałym pasażerem ruszył z miejsca i odjechał.

Począwszy od tamtej pory wszyscy moi niedoszli klienci wykazywali taką samą ostrożność jak ich poprzednik. Złowiłam wprawdzie kilka baczących spojrzeń, żadne jednak nie spoczęło na mnie dłużej niż chwilę. Zapadł gęsty zmrok i zrobiło się niemal zimno. Uznałam, że pora wracać do domu. Czułam się boleśnie rozczarowana. Nie własnymi osiągnięciami, czy raczej ich brakiem, ale samym wieczorem, który rozpoczął się tak obiecująco, a zakończył totalnym fiaskiem. Nie zarobiłam nawet marnych trzech pensów: stanie na tym, że będę musiała pożyczyć trochę gotówki od pani Milne i odrobić straty w przyszłym tygodniu, mając nadzieję na większe szczęście. Była to niezbyt optymistyczna myśl: nierząd, który zrazu wydawał się fraszką, ostatnio stał się nieco męczący.

W takim oto nastroju ruszyłam w kierunku Green Street, tym razem unikając ruchliwszych tras i wybierając boczne uliczki: Old Compton Street, Arthur Street, Great Russell Street, która doprowadziła mnie do zwalistego budynku British Museum, a wreszcie Guilford Street. Stamtąd miałam dojść do szpitala dla podrzutków, skąd droga prowadziła prosto do Gray's Inn Road. Lecz nawet na tych mniej uczęszczanych ulicach

panował niecodzienny ruch – niecodzienny i zdumiewający, gdyż choć mijało mnie niewiele powozów, mym niespiesznym krokom bezustannie towarzyszył stłumiony turkot kół oraz stukot kopyt. W końcu, obok uspionej kamienicy, kiedy schyliłam się, żeby zawiązać sznurowadło, zerknęłam za siebie i odkryłam źródło hałasu. W moim kierunku z wolna podążał powóz, którego odgłos towarzyszył mi aż od Soho. Rozpoznałam nieruchomego woźnicę. Był to ten sam tajemniczy powóz, co przystanął opodal mnie na St James's Square. Jego cichy pasażer widać zapragnął raz jeszcze rzucić na mnie okiem.

Zawiąawszy sznurowadło, wyprostowałam zgarbione plecy, lecz przezornie nie ruszałam się z miejsca. Powóz zwolnił, po czym przejechał obok mnie i zatrzymał się w pewnej odległości. Jego mroczne wnętrze nadal przysłaniała ciężka koronka zasłony. Niepewnie podążyłam w stronę pojazdu.

Stangret był równie cichy i nieruchomy jak przedtem: widziałam tylko zarys ramion oraz wypukłość kapelusza, kiedy zaś podeszłam do powozu, mężczyzna znikł mi z oczu. W mroku pojazd wydawał się smolście czarny, lecz w mętym świetle latarni zobaczyłam, że w istocie ma barwę głębokiej purpury, tu i ówdzie przetykanej złotem. Zrozumiałam, że jego właściciel musi być bardzo bogaty.

Cóż, czeka go rozczarowanie, śledził mnie na darmo. Przyspieszyłam kroku i spróbowałam przemknąć obok z opuszczoną głową.

Kiedy jednak znalazłam się na wysokości tylnego koła, drzwi szczęknęły cicho i otwały się na oścież, blokując mi drogę. Ze środka wypłynęła smuga błękitnego dymu tytoniowego, usłyszałam szmer oddechu i szelest. Pozostawało mi jedynie cofnąć się i okrążyć powóz albo spróbować precyzyjnie się pomiędzy rozkołysanymi drzwiami i murem, co pozwoliłoby mi może dojrzeć tajemniczego pasażera. Przyznaję, byłam zaintrygowana. Mężczyzna zdolny tchnąć podobny dramatyzm w scenę, którą w zwykłym trybie wydarzeń można by rozegrać bez większego polotu (słowem, skinieniem dłoni tudzież trzepotem uczernionej rzęsy), musiał być bez wątpienia kimś szczególnym. Moja próżność została mile połączona, co z kolei uczyniło mnie wspaniałomyślną. Skoro tak długo podziwiał mnie z daleka, postanowiłam umożliwić mu bliższe oględziny, choć oczywiście była to jedyna rzecz, na jaką mógł liczyć.

Ruszyłam w stronę otwartych drzwi. Wnętrze powozu spowijał mrok, na tle okna dostrzegłam tylko mglisty zarys barku, ramienia i kolana. Papieros rozżarzył się w ciemności, rzucając czerwoną poświatę na twarz i dłoń w rękawiczce. Palce były smukłe, ozdobione pierścieniami, a policzki upudrowane. Miałam przed sobą oblicze kobiety.

Zdumienie odebrało mi nawet ochotę do śmiechu: stanęłam jak wryta na skraju plamy mroku, który zdawał się wylewać z powozu, i wlepiłam wzrok w pasażerkę.

– Może podwieźć? – spytała.

Mówiła głębokim, wyniosłym i na swój sposób zniewalającym głosem, który z miejsca odebrał mi pewność siebie.

– To... to miło z pani strony... – odezwałam się jak afektowany subiekt odmawiający napiwku – ...ale mieszkam niecałe pięć minut drogi stąd. Jeśli mnie pani przepuści, dotrę

tam w mgnieniu oka. – Uchyliwszy czapki w kierunku, skąd dobiegał głos, zrobiłam krok, żeby odejść.

Ale dama odezwała się ponownie.

– Dość późna pora na spacer – zauważyła – zwłaszcza w takiej okolicy. – Zaciągnęła się dymem z papierosa i czerwony ognek ponownie rozjaśnił mrok. – Może cię jednak podrzucę? Mam bardzo zręcznego stangreta.

A jakże, pomyślałam. Woźnica nadal siedział tyłem do mnie, pogrążony we własnych myślach. Nabrałam czujności. W Soho krążyły opowieści o kobietach przemierzających ciemne ulice w towarzystwie dobrze opłaconych służących w poszukiwaniu samotnych mężczyzn i chłopców, którzy za cenę kolacji dostarczą im dreszczyku emocji. O bogatych damach, czasem niezamężnych, czasem zaś wykorzystujących nieobecność małżonka lub wręcz dzielących z nim (jak utrzymywał Słodka Alice) w łóżku oszołomioną zdobycz. Nigdy nie wiedziałam, czy wierzyć w te historie, lecz oto miałam przed sobą żywy dowód na istnienie owych dam. Trafiła kosa na kamień!

Sięgnęłam do drzwi, chcąc je przymknąć. Kobieta jednak odezwała się ponownie:

– Skoro nie chcesz, żebym cię podwoziła, może chociaż podjedziesz ze mną kawałek? Jak widzisz, jestem sama i bardzo mi brakuje towarzystwa. – Głos zadrżał jej lekko, nie wiem jednak, z melancholii, zniecierpliwienia, czy może ze śmiechu.

– Proszę posłuchać – rzuciłam w mrok. – Trafiła pani pod niewłaściwy adres. Proszę mnie przepuścić i zlecić stangretowi kolejną rundkę wokół Piccadilly. – I dodałam ze śmiechem: – Nie wiem, czego pani szuka, ale u mnie pani tego nie znajdzie, naprawdę.

Powóz skrzypnął; czerwony ognek papierosa podskoczył i raz jeszcze oświetlił policzek, brew oraz wzdorliwie wyдутą wargę.

– Wręcz przeciwnie, skarbie. Masz dokładnie to, czego szukam.

Do diaska, ale uparta, pomyślałam, nadal niczego nie podejrzewając. Rozejrzałam się ukradkiem. Po Gray's Inn Road podążało kilka powozów, za nimi przemykali pojedynczy przechodnie. Opodal nas stanęła dwukółka; pasażerowie wysiedli i znikli w drzwiach kamienicy. Pojazd odjechał i dokoła znów zapanowała cisza. Zacerpnęłam tchu i nachyliłam się do wnętrza powozu.

– Proszę pani – syknęłam. – Ja wcale nie jestem chłopcem. Jestem... – Urwałam. Ognik zniknął: cisnęła papieros za okno. Usłyszałam zniecierpliwione westchnienie i nagle doznałam olśnienia.

– Głuptasie – powiedziała. – Wsiadaj.

Cóż miałam robić? Czujność i rozczarowanie opuściły mnie w jednej chwili; nieoczekiwana propozycja przywróciła nocy utracony czar. Prawda, było późno i znajdowałam się sama w towarzystwie zdeterminowanej nieznanym o dziwnych i tajemniczych upodobaniach... Lecz, jak już wspomniałam, jej głos i zachowanie miały w sobie coś pociągającego. Poza tym była bogata, a moja kiesa świeciła pustym dnem. Wahałam się przez chwilę; wówczas mój wzrok padł na wyciągniętą rękę i pierścienie, a blask pobliskiej latarni pozwolił ocenić wartość klejnotów. To przesądziło sprawę.

Ujęłam podaną dłoń i wskoczyłam do powozu.

Usiadłyśmy w ciemności. Powóz ruszył naprzód z przytłumionym skrzypnięciem i gładko potoczył się po bruku. Przez ciężką koronkę zasłon ulice zdawały się odmienione i zgoła nierzeczywiste. Oto jak bogacze widzą na co dzień miasto, pomyślałam.

Zerknęłam na siedzącą obok mnie kobietę. Miała na sobie strój z ciemnego, grubego materiału, niewidoczny na tle obicia; jej twarz i okryte rękawiczkami dłonie, oświetlone blaskiem mijanych latarni i zadrukowane wzorkiem z zasłony, jaśniały w mroku blade niczym lilie wodne. Jak mogłam się zorientować, była ładna i dość młoda: dzieliło nas nie więcej niż dziesięć lat.

Przez pół minuty siedziałyśmy w milczeniu, następnie przechyliła głowę i obrzuciła mnie baczny spojrzeniem.

– Wracasz z balu przebierańców? – spytała. W jej głosie zabrzmiała nowa, arogancka nuta.

– Z balu? – powtórzyłam. Ku memu zdumieniu mój własny głos okazał się nieco drżący.

– Ten strój... – Wskazała na mundur, który również najwyraźniej utracił swoją buńczuczność i do niedawna soczysta czerwień zdawała się wsiąkać w mroczne tło powozu.

Poczułam, że jest zawiedziona.

– Ach, mundur to moje przebranie na ulicę, nie na bal – odparłam, siląc się na rewiową swadę. – Odkryłam, że samotne dziewczęta w spódnicach narażają się na nie zawsze miłe spojrzenia.

Skinęła głową.

– Rozumiem. A ty tego nie lubisz? To znaczy, nie lubisz natrętnych spojrzeń? Nigdy bym się nie domyśliła.

– Cóż... Oczywiście wszystko zależy od tego, kto patrzy.

Stopniowo odzyskiwałam rezon. Dostrzegłam, że moja towarzyszka też się rozkręca. Ogarnęło mnie zapomniane uczucie, dreszczyk emocji towarzyszący wspólnym popisom z kimś, kto opanował rolę równie dobrze, jak ja... To wspomnienie spowodowało przyływ tępego bólu, który jednak ustąpił miejsca fali radosnego oczekiwania. Oto zmierzałyśmy nie wiadomo dokąd, odgrywając role dziwki i klienta tak gładko, jakbyśmy recytowały dialog z podręcznika ulicznego savoir-vivre'u!

Kobieta dotknęła kołnierza mojej bluzy.

– Mała oszustka! – powiedziała pieszczotliwie. – Ale jak mniemam, twój brat pełni służbę? Brat albo... narzeczony? – Palce jej zadrżały i poczułam na szyi lodowate muśnięcie szafiru i złota.

– Jestem praczką – wyjaśniłam. – Jakiś żołnierz przyniósł mundur. Pomyślałam, że nie zauważy, jeśli pożyczę go sobie na trochę. – Wygładziłam fałdy w okolicach krocza, gdzie śliski krawat nadal wybrzuszał się nieprzystojnie. – Spodobał mi się krój spodni – dorzuciłam.

Po chwili dłoń kobiety opadła na (jakżeby inaczej) moje kolano, a następnie spoczęła na

udzie. Była nadspodziewanie gorąca. Od wieków nikt mnie tam nie dotykał; ba, strzegłam swej czystości tak pilnie, że w pierwszym odruchu chciałam odepchnąć rękę.

Chyba wyczuła moje zażenowanie, gdyż sama cofnęła dłoń.

– Umiesz się droczyć, co? – powiedziała.

Oprzytomniałam.

– O tak – odparłam. – Jeśli tego pani sobie życzy...

– Ach tak.

– Poza tym – dodałam zaczepnie – to pani się droczy: widziałam panią na St James's Square. Dlaczego wtedy mnie pani nie zawołała, skoro tak bardzo doskwierał jej brak... towarzystwa?

– Miałam popsuć sobie przyjemność nadmiernym pośpiechem? Doprawdy, oczekiwanie to połowa rozkoszy! – Mówiąc to, uniosła palce drugiej ręki, lewej, do mojego policzka. Koniuszki rękawiczki były wilgotne i przepojone wonią, która sprawiła, że cofnęłam się gwałtownie, zdumiona i zakłopotana.

Dama wybuchnęła śmiechem.

– Proszę, jaka nieśmiała! Jestem pewna, że przy dżentelmenach z Soho wykazywałaś więcej odwagi.

Słowa zabrzmiały znacząco.

– Obserwowała mnie pani! – zawołałam.

– Cóż, to doprawdy niezwykle – odrzekła – jakie rzeczy można dostrzec z okna powozu przy odrobinie wytrwałości. Można śledzić upatrzoną ofiarę jak ogar lisa, przy czym lis nie ma zielonego pojęcia, że pies zwęszył trop, i dalej robi swoje: zamiata kitą, strzela okiem, stroszy wąsiki... Mogłam cię zdybać tuzin razy, skarbie, ale myślałam sobie: po cóż psuć polowanie! Co skłoniło mnie do działania? Może mundur, może księżyc... – Zwróciła twarz do okna, za którym połyskiwała okrągła tarcza księżyca, jakby mniejsza i bardziej odległa, lecz niezmiennie zaróżowiona, jakby miesiąc pokraśniał ze wstydu na widok tego, na co musi rzucać blask.

Słyszając słowa kobiety, ja też oblałam się pąsem. Były szokujące, lecz najprawdopodobniej zgodne z prawdą. Wśród hałaśliwej krzątanimy na ulicach, na których uprawiałam swe pokątne rzemiosło, powóz nie zwróciłby mojej uwagi, tym bardziej że zwykle szłam chodnikiem. Ogarnęło mnie skrępowanie na myśl, że istotnie śledziła moje poczynania... A jednak, czyż wreszcie nie doczekałam się upragnionego audytorium? Czyż nie ubolewałam wiele razy, że moje nocne popisy muszą się odbywać bez świadków? Pomyślałam o rolach, które odegrałam, o mężczyznach, przed którymi klękałam, członkach, które brałam do ust. Czyniłam to jak gdyby nigdy nic; a teraz myśl, że byłam obserwowana, sprawiła, że zrobiło mi się mokro między nogami.

– Czy naprawdę jestem taka... szczególna? – spytałam, nie bardzo wiedząc, cóż innego mogłam rzec.

– Zobaczymy – odparła.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.

Zawiozła mnie do siebie, do St John's Wood. Zgodnie z moimi przewidywaniami dom okazał się imponujący: była to wysoka, jasna willa na dużym terenie, z szerokimi frontowymi drzwiami oraz wysokimi oknami. W jednym z nich świeciła się pojedyncza lampa, okna sąsiednich domów były ciemne. Turkot powozu w ciszy zabrzmiał okropnie głośno: nie byłam przyzwyczajona do martwoty, jaka zalega nocą ulice zamożnych dzielnic.

Kobieta bez słowa zaprowadziła mnie do drzwi. Otworzyła nam posępna służąca, która wzięła okrycie pani i zerknąwszy na mnie przelotnie spod rzęs, opuściła wzrok. Dama stanęła przy stole, by przejrzeć bileciki. Rozejrzałam się niepewnie. Znajdowaliśmy się w przestronnym holu, u stóp szerokich schodów prowadzących na wyższe piętra. Po obu stronach widniały zamknięte drzwi. Podłogę tworzyła szachownica kwadratów, czarnych i różowych, ściany pomalowano odpowiednią ciemnoróżową farbą. Ich odcień stawał się głębszy w miejscu, gdzie spiralne schody wiodły na górę, niczym skręty muszli.

– To wszystko, pani Hooper – powiedziała dama, a służąca ukloniła się i odeszła.

Moja towarzyszka podniosła lampę ze stołu i w milczeniu ruszyła w górę po schodach. Podążyłam za nią. Weszliśmy na pierwsze piętro, potem na drugie. Z każdym kolejnym stopniem ciemność wokół nas gęstniała, aż wreszcie tylko wąska strużka światła z lampy wskazywała drogę moim niepewnym krokom. Kobieta poprowadziła mnie krótkim korytarzem do zamkniętych drzwi, po czym odwróciła się, wspierając dłoń na framudze. Lampę trzymała w drugiej ręce, na wysokości uda. Jej ciemne oczy lśniły zachęcająco, a może wyzywająco. Wyglądała jak przeciwieństwo „Chrystusa” z przedpokoju pani Milne. Bez trudu odczytałam jej gest. Była to trzecia, najtrudniejsza próba, jakiej poddała mnie dzisiejszej nocy. Poczułam ukłucie, nie pożądania, lecz strachu, jako że jej twarz, podświetlona od spodu lampą, miała groteskowy, a zarazem makabryczny wyraz. Myśl o możliwych upodobaniach tej damy napełniła mnie obawą; zastanawiałam się, co kryją zamknięte drzwi oraz dom pełen niezwyklej, obojętnej służby. Oczami wyobraźni ujrzałam sznury, sterczące ostrza oraz dziewczęta w męskich przebraniach, ułożone w równym rzędku z poderżniętymi gardłami.

Dama z uśmiechem nacisnęła kłamkę. Drzwi się otworzyły i weszliśmy do środka.

Zobaczyłam zwyczajną bawialnię. W kominku tlił się ogień, miska zbrazowiałych płatków kwiatów na półce przesyciała zgęstniałe powietrze intensywną wonią. W oknach wisiały aksamitne draperie, pod przeciwległą ścianą stały dwa krzesła bez poręczy, z drewnianymi oparciami. Drzwi obok kominka prowadziły do drugiego pokoju; były otwarte, lecz pomieszczenie spowijał mrok.

Pomiędzy krzesłami znajdował się sekretarzyk; dama podeszła do niego i nalała sobie kieliszek wina. Następnie sięgnęła po papierosa z różową końcówką i zapaliła.

Zdażyłam się zorientować, że jest starsza i mniej urodziwa, a zarazem bardziej niezwykła, niż zrazu sądziłam. Miała szerokie i jasne czoło, którego bladość podkreślała jeszcze kuczka czerń włosów oraz gęstych brwi. Jej nos był idealnie prosty, a pełne usta musiały niegdyś mieć jeszcze doskonalszy kształt. W przyćmionym świetle skręconych lamp brązowe oczy kobiety zdawały się bez reszty wypełnione źrenicami. Kiedy je mrużyła

(co właśnie zrobiła, aby zlustrować mnie bacznie przez błękitny obłok dymu), powieki oplatała gęsta siateczka zmarszczek.

W pokoju panował nieznośny upał. Rozpięłam guzik pod szyją, po czym zdjęłam czapkę i przeczesawszy włosy palcami, wytarłam je w bluzę, chcąc pozbyć się nadmiaru pomady. Kobieta nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Pewnie uważasz mnie za niegrzeczną – powiedziała wreszcie.

– Niegrzeczną?

– Wywiozłam cię tak daleko, nie pytając nawet, jak masz na imię.

– Nancy King – odparłam bez wahania. – Proszę chociaż poczęstować mnie fajką.

Z uśmiechem podeszła bliżej i wsunęła mi do ust wilgotny ustnik własnego papierosa. Poczułam na policzku jej oddech, pachnący nikotyną i winem, które przed chwilą wypiała.

– „Gdybyś był królem rozkoszy – zanuciła – a ja królową bólu...” – po czym dodała innym tonem: – jest pani bardzo ładna, panno King.

Głęboko zaciągnęłam się papierosem: zakręciło mi się w głowie jak po wypiciu szampana.

– Wiem – odparłam.

Uniosła ręce (wciąż miała na nich rękawiczki i biżuterię) i z westchnieniem powiodła palcami po mundurze. Delikatne opuszki musnęły wełnianą tkaniną; poczułam, jak pod jej dotykiem piersi, skrępowane bielizną i gorsetem, twarzoneją i ozywają. Byłam jak mężczyzna za sprawą czarów przemieniony w kobietę. Zapomniany papieros tlił się w kąciku warg.

Dłonie kobiety powędrowały niżej. Poczułam znajomą falę gorąca i pulsowanie. Kiedy dotknęła zrolowanego w kroczu krawata, poczerwieniałam.

– Znowu nieśmiała! – zauważyła, rozpinając guziki. Po chwili wsunęła rękę w rozporek i chwyciwszy krawat, powoli zaczęła go wyciągać. Rozwijany jedwab wypełzał z moich spodni jak węgorz.

Przyszła mi do głowy nedorzeczna myśl, że ta kobieta przypomina magika wydobywającego chustkę lub pęk wstążek ze zwiniętej pięści, ucha bądź damskiej torebki. Musiała pomyśleć o tym samym, gdyż uniosła brew i wydąwszy ironicznie usta, szepnęła: „Presto!”. Wyraz jej twarzy uległ raptownej zmianie. Uniosła krawat do ust i spojrzała na mnie kpiąco.

– A jednak z twojej obietnicy wyszły nici – stwierdziła. Następnie odsunęła się ze śmiechem i wskazała na rozpięty rozporek. – Zdejmij spodnie.

Spełniłam prośbę, w pośpiechu szamocząc się z butami i pończochami. Papieros oprószył mnie popiołem, rzuciłam go do kominka.

– Bieliznę też – poleciała. – Bluzę zostaw. O tak.

U moich stóp piętrzył się stosik ubrań. Bluza kończyła się na wysokości bioder, niżej widać było białe nogi.

Rozpięłam haftki i rozsznurowałam gorset; zgięcia tkaniny upstrzyły jej plecy szkarłatnymi cętkami. Pochyliła się, żeby zdjąć halki, wciąż jednak miała na sobie bieliznę,

pończochy, buty oraz rękawiczki. Z nieoczekiwaną śmiałością (dotąd ani razu jej nie dotknęłam) wsunęłam dłoń w desusy, drugą zaś ujęłam jeden z jej sutków i zacisnęłam palce.

Przywarła ustami do moich warg. Nasze pocałunki były niewprawne, jak to zwykle za pierwszym razem, i smakowały tytoniem, lecz to właśnie nowość czyniła je tak ekscytującymi. Im śmieiej jej dotykałam, tym gwałtowniej mnie całowała i tym goręcej robiło mi się między nogami, pod skórzaną uprzężą. Wreszcie odsunęła się i chwyciła mnie za nadgarstki.

– Jeszcze nie – powiedziała. – Jeszcze nie, jeszcze nie!

Nie puszczając moich rąk, zaprowadziła mnie do jednego z krzeseł i posadziła. Dildo sterczało niefrasobliwie, wielkie i sztywne jak kręgiel. Domyśliłam się, do czego zmierza. Dosiadła mnie okrakiem i powoli opuściła biodra, a potem wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała, coraz szybciej i szybciej. Zrazu przytrzymałam jej biodra, nadając rytm, a następnie sięgnęłam dłońmi do pośladków. Przywierałam ustami raz do jednej piersi, raz do drugiej, czasem trafiając na słonawą skórę, a czasem na wilgotniejącą tkaninę koszuli.

Niebawem jej urywany oddech przeszedł w jęki, a potem w krzyki; zawtórowałam jej, gdyż dildo dostarczało rozkoszy również mnie, a coraz szybsze ruchy potęgowały nacisk na czułe miejsce. Raz tylko na chwilę oprzytomniałam, wyobrażając sobie, jak muszę wyglądać: z nieznaną kobietą na kolanach, w obcym domu, spętana potworną uprzężą, spocona i dysząca z pożądania. Po chwili jednak nie byłam zdolna myśleć o niczym: nasza rozkosz sięgnęła zenitu, a następnie z wolna opadła.

Niebawem dama znowu uniosła biodra i usiadła okrakiem na moim udzie. Kołysała się lekko, wstrząsana sporadycznymi dreszczami, po czym znieruchomiała. Rozpuszczone włosy parzyły mnie w twarz.

Wreszcie wybuchnęła śmiechem i podciągnęła się wyżej.

– Ty rozkoszna mała zdiro! – powiedziała.

Kiedy tak siedziałyśmy, syte i zaspokojone, nieelegancko oplatając nogami wytworne krzesło, z obawą pomyślałam o tym, co będzie dalej. Pewnie teraz odeśle mnie do domu, uznałam. Przy odrobinie szczęścia dostanę funta za fatygę. Ostatecznie to właśnie perspektywa zarobku zwabiła mnie do tego domu. Mimo to myśl o wyjściu, oddaniu zabawki oraz ponownym uśpieniu nieoczekiwanie zbudzonych skłonności napełniała mnie bezbrzeżną niechęcią.

Dama uniosła głowę i chyba dostrzegła moją niewyraźną minę.

– Biedactwo – powiedziała. – Zawsze na koniec tracisz humor? – Ujawszy mój podbródek, przechyliła mi twarz do światła. Chwyciłam ją za nadgarstek i wyrwałam głowę. Czapka, którą przez cały czas miałam na głowie, spadła na podłogę. Kobieta natychmiast ponownie uniosła ręce i przejechała palcami po moich usztywnionych pomadą włosach, następnie ze śmiechem wstała i przeszła do sypialni.

– Należ sobie wina – zawołała. – I zapal mi papierosa, dobrze? – Usłyszałam plusk

wody i domyśliłam się, że stanęła nad umywalką.

Podeszłam do lustra i obrzuciłam się krytycznym spojrzeniem. Moja twarz była niemal równie czerwona jak bluza, włosy potargane, usta zsiniałe i opuchnięte. Przypomniałam sobie dildo i schyliłam się, aby je odpiąć. Jego powierzchnia zmatowiała, a dolne paski przesiąkły na wskroś wilgocią, prężyło się jednak równie hardo jak przedtem, co nigdy nie zdarzało się dżentelmenom z Soho. Na stoliku przy kominku leżała chustka, wytarłam nią najpierw przyrząd, a potem siebie. Zapaliłam dwa papierosy i jednego odłożyłam na popielniczkę. Następnie nalałam sobie kieliszek wina i sącząc je, z wolna przystąpiłam do porządkowania rozrzuconej odzieży.

Dama wyszła z sypialni i sięgnęła po papierosa. Przebrała się w szlafrok z ciężkiego, zielonego jedwabiu. Stała boso; zauważyłam, że jej drugi palec u nogi jest długi jak u greckiego posągu. Starannie rozczesała włosy i zaplotła je w luźny warkocz. Nareszcie zdjęła też białe rękawiczki: dłonie miała niemal tak blade jak koźleca skóra.

– Zostaw – powiedziała, wskazując na spodnie, które przerzuciłam przez ramię. – Rano pokojówka zrobi z tym porządek. – Jej wzrok padł na dildo. Chwyliła jeden z pasków. – To jednak powinnam schować.

Sądziłam, że się przesłyszałam.

– Rano? – powtórzyłam. – Chcesz powiedzieć, że mam tu zostać?

– Jak najbardziej. – Wyglądała na autentycznie zdziwioną. – A nie możesz? Ktoś będzie się o ciebie martwił?

Pełna niewypowiedzianej ulgi odpowiedziałam, że mieszkam z panią, którą moja nieobecność wprawdzie zdziwi, ale nie zmartwi. Dama spytała o mojego pracodawcę: czy mam się rano stawić w pralni, o której wspomniałam? Ze śmiechem potrząsnęłam głową.

– Nikt nie będzie na mnie czekał – odparłam. – Jestem panią samej siebie.

Dildo zakołysało się z powątpiewaniem.

– Byłaś, aż do ubiegłego wieczoru – oświadczyła dama. – Ale teraz masz mnie...

Na darmo użyłam chustki: poczułam, jak między moimi udami ponownie wzbiera wilgoć. Rzuciłam spodnie na halki i dołączyłam do sterty bluzę. W sypialni odsunięta kołdra ukazywała białe i chłodne prześcieradła. Tajemnicza skrzynia dalej stała przy łóżku. Zegar na kominku wskazywał wpół do trzeciej.

Zanim zasnęłyśmy, minęła czwarta. Obudziłam się około jedenastej. Pamiętam, że o świcie poszłam za parawan, potem nastąpił krótki renesans namiętności, po którym znowu zapadłam w kamienny sen bez snów. Kiedy się ocknęłam, miejsce obok mnie było puste: dama stała w szlafroku przy uchylonym oknie i paląc papierosa, w zamyśleniu wyglądała na ulicę. Poruszyłam kołdrę; wówczas odwróciła się i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Śpisz jak dziecko – powiedziała. – Hałasuję tu od pół godziny, a ty nic.

– Byłam taka zmęczona. – Ziewnęłam i wspomnienie przyczyn owego zmęczenia wróciło do mnie z całą siłą.

Zapadło krępujące milczenie. Ubiegłej nocy pokój wydawał się równie odrealniony jak scena: pojedyncza lampa i cienie, zdumiewająco nasycone barwy i wonie, wśród których

mogłyśmy nie być sobą, a raczej być więcej niż sobą, jak aktorzy. Teraz, w świetle późnego poranka, sączącym się między na wpół zaciągniętymi zasłonami, zobaczyłam, że pokój wygląda całkiem normalnie: był po prostu ładnie i dość prosto urządzone. Poczułam się okropnie nieswojo. W jaki sposób ulicznica opuszcza klienta? Nie miałam pojęcia; nigdy dotąd nie zadawałam sobie podobnych pytań.

Dama nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Czekałam ze śniadaniem, aż się obudzisz – wyjaśniła. Obok kominka wisiał sznurek od dzwonka, on również umknął wczoraj mojej uwagi. – Mam nadzieję, że jesteś głodna?

Rzeczywiście, zgłodniałam jak wilk, lecz jednocześnie trochę mnie mdliło. Miałam okropny smak w ustach, wolałam, żeby teraz mnie nie całowała. Dama jednak zachowywała niespotykaną rezerwę. Dotknięta jej wyniosłością pomyślałam, że mogłaby przynajmniej pocałować mnie w rękę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi sąsiedniego pokoju. Drzwi się otworzyły; usłyszałam kroki i szcęk porcelany. Ku mojemu zdumieniu odgłosy przybrały na sile: zamiast zostawić tacę w bawialni i wycofać się dyskretnie, służąca stanęła na progu sypialni. Podciągnęłam kołdrę do brody i znieruchomiałam, lecz ani pokojówka, ani jej pani nie wydawały się w najmniejszym stopniu skrępowane sytuacją. Ta pierwsza (nie była to bladolica kobieta, która nocą otworzyła nam drzwi, lecz dziewczyna młodsza ode mnie) dygnęła i ze spuszczonego wzrokiem zrobiła na toalecie miejsce na tacę. Następnie stanęła z pochyloną głową i dłońmi splecionymi na fartuchu.

– Bardzo dobrze, Blake, to wszystko – odezwała się dama. – Przygotuj dla panny King kąpiel na wpół do pierwszej. I przekaz pani Hooper, że później wydam dyspozycje w sprawie lunchu. – Mówiła uprzejmie, lecz obojętnie; wielokrotnie słyszałam potem ów ton, gdy zwracała się do dorożkarzy i subiektów.

Dziewczyna ponownie skłoniła głowę.

– Dobrze, psze pani – mruknęła i wyszła. Jej wzrok ani razu nie zbłądził w kierunku łóżka.

Zajęłyśmy się tacą i kolejnych kilka minut upłynęło gładko. Usiadłam na łóżku, co rusz sykając i podskakując: czułam się sponiewierana jak po walce bokserskiej albo rozciąganiu na kole. Dama napiła mnie kawą i nakarmiła ciepłymi bułeczkami z masłem i miodem. Sama zadowolona się kawą i papierosem. Mój widok sprawiał jej wyraźną przyjemność, podobnie jak w nocy, gdy zrzucałam ubranie i zapalałam papierosa, nadal była jednak tak niepokojąco zamyślona, że zatęskniłam za jej niedawną gwałtownością.

Kiedy opróżniłyśmy imbryk, a po bułkach zostały tylko okruchy, zwróciła się do mnie z powagą, jaką dostrzegłam u niej po raz pierwszy.

– Zawahałaś się, gdy zaprosiłam cię do powozu – powiedziała. – Dlaczego?

– Bałam się – wyjaśniłam zgodnie z prawdą.

Skinęła głową.

– Teraz już się nie boisz?

– Nie.

– Cieszysz się, że cię tu przywiozłam.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak stwierdzenie; jednocześnie uniosła rękę do mojej szyi i musnęła palcami skórę. Poczerwieniałam i przełknęłam ślinę; nie pozostawało mi nic innego, tylko odpowiedzieć: „tak”.

Cofnęła rękę i ponownie zatopiła się w myślach.

– Istnieje perska opowieść o księżniczce, żebraku i dżinie, którą czytałam jako dziewczyna – odezwała się z uśmiechem po chwili. – Żebak uwalnia dżina z butelki i w zamian otrzymuje nagrodę, lecz niestety, pod pewnym warunkiem. Może wieść spokojny żywot przez siedemdziesiąt lat bądź spędzić w zbytku pięćset dni, mając przepyszne stroje, księżniczkę za żonę oraz zastępy służby do dyspozycji. – Zamilkła, po czym spytała: – Co wybrałabyś na jego miejscu?

– To niemądre – odrzekłam po chwili wahania. – Przecież nikt...

– Co byś wybrała? Spokój czy przyjemność? – Uniosła dłoń do mojego policzka.

– Chyba przyjemność.

Kiwnęła głową.

– Naturalnie żebrak postąpił tak samo. Byłabym rozczarowana, gdybyś wybrała to pierwsze.

– Dlaczego?

– Nie wiesz? – Ponownie się uśmiechnęła. – Twierdzisz, że jesteś panią siebie. Czy wobec tego nigdy nikogo nie... kochałaś?

Potrząsnęłam głową; na mojej twarzy musiał się malować wyraz goryczy, gdyż kobieta domyślnie westchnęła.

– Czy zatem zgodzisz się zostać tutaj, dla mojej przyjemności... i swojej własnej?

Popatrzyłam na nią, nie rozumiejąc.

– Zostać tutaj? – powtórzyłam. – Jako kto? Gość, służąca...?

– Dziwka.

– Dziwka! – Zamrugalam. – A niby jaką otrzymam za to zapłatę? – zapytałam z nieoczekiwaną ostrością w głosie. – Spodziewam się, że nie małą...

– Skarbie, już powiedziałam: dostaniesz przyjemność! Będziesz ze mną mieszkać i dostaniesz przywilejów, które są moim udziałem. Będziesz jeść z mojego stołu, jeździć moim powozem i nosić stroje, jakie dla ciebie wybiorę, a także zdejmować je na moje polecenie. Będziesz tym, co sensacyjne powieści określają mianem „utrzymanki”.

Spojrzałam na nią, po czym obrzuciłam wzrokiem łóżko, lakierowaną szafę, sznur od dzwonka i skrzynię... Następnie wróciłam myślami do pokoju u pani Milne, gdzie ostatnio osiągnęłam stan bliski prawdziwemu szczęściu. Przypomniałam sobie również swe rosnące zobowiązania, które nieraz mi doskwierały. Czy uległość wobec damy i jej zachcianek rzeczywiście przyniesie mi wolność?

Łatwość, z jaką składała obietnice, wzbudziła moją nieufność.

– A ty, czy nie obawiasz się sensacji? – spytałam wciąż ostrym tonem. – Wydajesz się taka pewna mojej odpowiedzi, a przecież nic o mnie nie wiesz! Nie boisz się, że narobię

zamieszania i zdradzę twój sekret gazetom albo policji?

– A wraz z nim swój własny? Ależ nie, droga panno King. Nie boję się sensacji. Przeciwnie: łaknę jej jak powietrza! Jestem żadna sensacji! Ty również. – Podeszła bliżej i nawinęła na palec kosmyk moich włosów. – Twierdzisz, że nic o tobie nie wiem. Obserwowałam cię, pamiętasz? Jak swobodnie poruszałaś się po ulicach! Do końca życia zamierzałaś się bawić w „Ganimedę”? Uważasz, że jedwabny fiut przekreśla istnienie twojej szparki? – Zbliżyła twarz do mojej, świdrując mnie wzrokiem. – Jesteś taka jak ja: udowodniłaś to i nadal udowadniasz! Pociągają cię kobiety! Być może pragnęłaś stłumić te skłonności, lecz tylko dodatkowo je roznieciłaś! Dlatego nie narobisz zamieszania, dlatego zostaniesz i będziesz mi służyć zgodnie z moją wolą. – Szarpnęła mnie za włosy. – Przyznaj, że jest tak, jak mówię!

– Tak!

Bo tak było, naprawdę! Rzeczywiście odkryła wszystkie moje sekrety i pokazała mi je jak na dłoni, nie tylko za sprawą ostrych słów, lecz wszystkiego, co je poprzedzało: pocałunków, pieszczot oraz incydentu na krześle. Nie posiadałam się z radości. Kochałam Kitty, i zawsze miałam ją kochać. Jednakże wiodłam przy niej dziwaczne półzycie, z dala od własnego ja. Potem postanowiłam nie kochać i stałam się (tak przynajmniej myślałam) istotą wyzbytą namiętności: zmuszałam innych do poniżających wyznań, sama nie dając nic w zamian. Teraz zmuszono mnie do tego samego: zostałam bezlitośnie obnażona, jakby obdarto mnie ze skóry. Kobieta nie wypuszczała mnie z uścisku; gorący oddech owiewał mi twarz i ponownie poczułam przyływ żądy. Nie było dla mnie ratunku.

W naszym życiu są chwile, które nas odmieniają, uświadamiają bezsens dotychczasowej egzystencji i roztaczają bardziej obiecującą perspektywę. Jedną z owych chwil była noc w Palace, gdy Kitty rzuciła mi różę, zamieniając mój podziw w miłość. Być może oto doświadczałam kolejnego przełomu... albo też była nim chwila, kiedy wskoczyłam do mrocznego wnętrza powozu, kreśląc granicę pomiędzy nowym a dawnym życiem. Tak czy inaczej wiedziałam, że nie mogę zawrócić. Dżin wyskoczył z butelki, a ja wybrałam przyjemność.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby spytać, co się stało z żebrakiem, gdy rzeczony pięćset dni dobiegło końca.

Rozdział 11

Dama nazywała się Diana, Diana Lethaby. Była bezdzietną wdową, bogatą i energiczną, a co za tym idzie, równie skoncentrowaną na własnej przyjemności i nieczułą jak ja, choć na większą skalę. Latem 1892 roku liczyła sobie lat trzydzieści osiem, czyli była młodsza niż ja teraz, lecz w oczach dwudziestodwuletniej dziewczyny wydawała się strasznie stara. Musiała wyjść za mąż bez miłości, gdyż nie nosiła ani obrączki, ani żałobnego pierścionka, a w całym wielkim domu nie uświadczyłbyś ani jednego zdjęcia świętej pamięci pana Lethaby'ego. Nigdy o niego nie pytałam, a ona też nie była ciekawa mojej przeszłości. Stworzyła mnie od początku i nie dbała o to, co działo się wcześniej.

Siłą rzeczy ja również musiałam puścić w niepamięć stare dzieje. Owego pierwszego szalonego ranka w jej domu ucałowała mnie kolejny raz, po czym kazała mi się wykapać i ponownie włożyć mundur; kiedy się ubierałam, stała z boku i przyglądała mi się uważnie.

– Będziemy musiały kupić ci nowe ubrania – uznała. – To jest wprawdzie bardzo ładne, ale nie starczy na długo. Każę pani Hooper posłać po dostawców konfekcji.

Zapięłam spodnie i nałożyłam szelki.

– Mam inne kostiumy – odrzekłam. – W domu.

– Ale pewnie wolałabyś nowe.

Zmarszczyłam brwi.

– Naturalnie, ale... muszę przywieźć swoje rzeczy. Nie mogę ich tam zostawić.

– Wyślę po nie służącego.

Włożyłam bluzę.

– Jestem winna gospodyni miesięczny czynsz.

– Wyślę jej pieniądze. Ile? Funta? Dwa?

Nie odpowiedziałam. Słowa Diany uświadomiły mi ogrom zmian, które zaszły w moim życiu i po raz pierwszy pomyślałam o wizycie, jaką będę musiała złożyć pani Milne i Gracie. Przecież nie mogłam się wykpić wysłaniem służącego z listem i monetą, prawda? Wiedziałam, że nie.

– Muszę iść sama – oświadczyłam w końcu. – Rozumiesz, chciałabym pożegnać się z przyjaciółmi.

Diana uniosła brew.

– Jak sobie życzysz. Shilling cię odwiezie.

– Przecież mogę jechać tramwajem...

– Pojedziesz z Shillingiem. – Podeszła bliżej i nałożywszy mi czapkę, strzepnęła pyłek z rękawa munduru. – To bardzo brzydko z twojej strony, że w ogóle chcesz mnie opuścić. Muszę przynajmniej dopilnować, żebyś szybko wróciła!

Wizyta na Green Street potwierdziła moje najgorsze obawy. Nie chciałam podjeżdżać powozem pod same drzwi pani Milne, dlatego poprosiłam pana Shillinga (milczącego stangreta Diany), żeby wysadził mnie na Percy Circus i tam zaczekał. Dlatego gdy weszłam do domu, otworzywszy drzwi własnym kluczem, wszystko wyglądało tak, jakbym wracała z zakupów lub codziennej przechadzki: niepokój mogła budzić jedynie moja przydługa nieobecność. Cicho zamknęłam drzwi, co wszelako nie uszło uwagi Gracie, gdyż z salonu dobiegł okrzyk: „Nance!”. Dziewczyna w te pędy zbiegła po schodach i zamknęła mnie w miążdżącym uścisku. Pani Milne stanęła na podeście.

– Kochana! – zawołała. – Chwała Bogu, nareszcie jesteś! Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewasz, prawda, skarbie? Gracie zamartwiała się na śmierć, ale powiedziałam jej: „Nie martw się o Nancy, kochanie, na pewno zasiedziała się z koleżanką albo przegapiła ostatni omnibus i postanowiła przenocować poza domem. Wróci z samego rana, zobaczysz”.

Z tymi słowami pani Milne powoli zeszła ze schodów, aż wreszcie znalazłyśmy się na tej samej wysokości. Spoglądała na mnie z czułością, lecz w jej głosie pobrzmiewał cień pretensji. Na myśl o podjętej decyzji ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Jednocześnie poczułam się trochę dotknięta. Nie byłam ani jej córką, ani narzeczoną Gracie. Nie byłam im winna nic prócz czynszu.

Ostrożnie wyplątałam się z objęć Gracie i skinęłam głową jej matce.

– Ma pani rację, rzeczywiście spotkałam koleżankę – powiedziałam. – Starą znajomą, której dawno nie widziałam. Co za niespodzianka! Wynajmuje mieszkanie w Kilburn. Za daleko, żeby wracać po nocy. – Bajeczka zabrzmiała niezbyt wiarygodnie, lecz pani Milne wydawała się usatysfakcjonowana.

– Widzisz, Gracie? – zawołała. – Co ci mówiłam? Biegnij na dół i nastaw wodę. Jestem pewna, że Nancy marzy o herbacie.

Ponownie spojrzała na mnie z uśmiechem, a Gracie pospieszyła spełnić polecenie. Kiedy gospodyni skierowała się z powrotem na górę, podążyłam za nią.

– Rzecz w tym, pani Milne – zaczęłam – że ta koleżanka popadła w niemałe tarapaty. Widzi pani, jej współlokatorka wyprowadziła się w zeszłym tygodniu...

Pani Milne zawahała się lekko, po czym ruszyła dalej po schodach.

– Nie może znaleźć nikogo na jej miejsce – ciągnęłam – a nie stać jej na opłacenie całego czynszu, bo pracuje za pół pensji u modniarki, biedaczka...

Weszliśmy do salonu. Pani Milne odwróciła się i rzuciła mi zatroskane spojrzenie.

– To przykre – oświadczyła ze współczuciem. – W dzisiejszych czasach ze świecą szukać porządnego lokatora, coś o tym wiem. Właśnie dlatego... na pewno mówiłam ci nieraz... tak się cieszymy, że z nami mieszkasz. Gdybyś miała nas opuścić, Nance...

Trudno wyobrazić sobie gorszy moment na przekazanie niemiłej nowiny, lecz postanowiłam iść za ciosem.

– Och, proszę tak nie mówić, pani Milne! – rzuciłam beztrzesko. – Rzecz w tym, że nic innego mi nie pozostaje. Koleżanka tak bardzo mnie prosiła i... no cóż, zgodziłam się z nią zamieszkać, żeby pomóc jej związać koniec z końcem... – Ostatnie słowa zabrzmiały jakoś bez przekonania.

Pani Milne poszarzała na twarzy. Opadła na krzesło i uniosła rękę do szyi.

– Ależ, Nance...

– Ejże – zawołałam, siląc się na żartobliwy ton – tylko nie to! Żaden ze mnie cud świata; na pewno wkrótce znajdzie pani inną sympatyczną lokatorkę.

– Nie myślę o sobie – odrzekła – ale o Gracie. Okazałaś jej tyle dobroci, Nance. Niewiele osób zadałoby sobie tyle trudu, aby ją zrozumieć.

– Przecież będę was odwiedzać – argumentowałam rozsądnie. – A Gracie... – Przełknęłam ślinę: wiedziałam, że w cichej, wytwornej willi Diany nie ma miejsca dla niedorozwiniętej dziewczyny. – ...Gracie też może wpaść z wizytą. Jakoś to będzie.

– Czyżby chodziło o pieniądze, Nance? – spytała pani Milne. – Wiem, że ci się nie przelewa...

– Ależ skąd, nie chodzi o pieniądze – odrzekłam. – Doprawdy... – Przypomniałam sobie monetę, którą Diana własnoręcznie wsunęła mi do kieszeni. Pokrywała z nawiązką zaległy czynsz oraz dwutygodniowe wypowiedzenie. Podałam funta gospodyni, ta jednak spojrzała na niego obojętnie. Podeszłam do kominka i z zażenowaniem położyłam pieniędzy na półce.

Zapadła cisza, przerywana jedynie westchnieniami pani Milne. Odkaszlęłam.

– Cóż – odezwałam się. – Pora, żebym się spakowała...

– Co takiego! Przecież nie odjeżdżasz dzisiaj?! Tak prędko?

– Obiecałam. – Powiedziałam to takim tonem, jakby całą winę ponosiła koleżanka.

– Ale chyba zostaniesz na herbatę?

Myśl o posępnym podwieczorku w towarzystwie rozgoryczonej pani Milne i najpewniej zapłakanej Gracie wzbudziła we mnie gwałtowną niechęć. Przygryzłam wargę.

– Lepiej nie – odparłam.

Pani Milne wyprostowała się i zacisnęła usta.

– Moja dziewczynka będzie niepokieszona – rzekła, z wolna potrząsając głową.

Jej lodowaty ton był jeszcze bardziej przykry niż smutek i ponownie poczułam się w nieokreślony sposób dotknięta. Otworzyłam usta, żeby wydusić jakieś puste słowa pocieszenia, gdy naraz rozległo się szuranie i w drzwiach stanęła Gracie.

– Herbata gotowa! – zaśpiewała, nie wiedząc, co się święci.

Nie mogłam tego znieść; uśmiechnęłam się zdawkowo, skinęłam głową jej matce i uciekłam z salonu. Na schodach dogonił mnie głos Gracie („Mamo, co się stało?”) oraz szept pani Milne. Chwilę później znalazłam się w swoim pokoju i starannie zamknęłam za sobą drzwi.

W mgnieniu oka spakowałam swój wątyły dobytek do marynarskiego worka oraz

dywanikowej torby, którą kiedyś podarowała mi pani Milne. Starannie złożyłam pościel i wytrzeptałam chodnik przez okno; obrazki, które przyczepiłam szpilką do ściany, zdjęłam i spaliłam w kominku. Przybory toaletowe – kawałek żółtego, spękanego mydła, na wpół zużyty słoik z proszkiem do zębów oraz tubkę fiołkowego kremu do twarzy – zgarnęłam do śmietnika. Zachowałam tylko szczoteczkę do zębów oraz pomadę, które schowałam do torby wraz z nierozpieczętowaną puszką papierosów i kawałkiem czekolady. Po namyśle wyjęłam czekoladę i zostawiłam ją na półce dla Grace. Po upływie pół godziny pokój wyglądał dokładnie tak jak wówczas, kiedy się wprowadziłam. Nie pozostawiłam żadnych śladów swojej bytności oprócz dziurek w tapecie oraz przypalonego narożnika szafki nocnej, na którą upadła świeca, gdy raz zasnąłam nad czasopismem. Owa myśl wydawała się przygnębiająca, nie dopuszczałam jednakże do siebie melancholii. Nie podeszłam do okna, by po raz ostatni wyjrzeć na zewnątrz. Nie sprawdziłam szuflad, nie zajrzałam pod łóżko ani pod poduszki na krzesłach. Jeśli zostawiłam jakiś drobiazg, wiedziałam, że Diana zastąpi go czymś lepszym.

Na dole panowała ponura cisza. Drzwi salonu były zamknięte. Zapukałam, po czym z bijącym sercem nacisnęłam kłamkę. Pani Milne nadal siedziała przy stole. Twarz miała jakby mniej szarą, lecz równie posępną jak przedtem. Imbryk stygł na tacy, puste filiżanki trwały w oczekiwaniu na swoich spodkach. Gracie siedziała na sofie jakby kij połknęła, wbijając w okno niewidzące spojrzenie. Spodziewałam się, że zacznie płakać, ale moja nowina chyba raczej ją rozjuszyła. Miała blade, zaciśnięte usta.

Pani Milne sprawiała wrażenie pogodzonej z moją decyzją.

– Obawiam się, że Gracie trochę straciła humor – powiedziała z czymś na kształt uśmiechu. – Twoja decyzja wyprowadziła ją z równowagi. Próbowałam ją przekonać, że będziesz nas odwiedzać, ale jest... jak by to rzec?... uparta.

– Uparta? – powtórzyłam, udając zdumienie. – Kto, nasza Gracie? – Podeszłam bliżej i wyciągnęłam rękę. Dziewczyna odepchnęła ją z piskiem, po czym przesunęła się na drugi koniec sofy, wciąż trzymając głowę odwróconą pod nienaturalnym kątem.

– Hej, Gracie, nie bądź taka – powiedziałam z ożywieniem. – Nie dasz mi buziaka na pożegnanie? Nie podasz mi nawet ręki? Będę za tobą tęsknić; nie chcę, żebyśmy się rozstały w niezgodzie. Przecież tak wybornie się razem bawiłyśmy. – I dalej perswadowałam w tym duchu, na poły błagalnie, na poły z wyrzutem.

Wreszcie pani Milne wstała i dotknęła mojego ramienia.

– Lepiej ją zostaw i idź, Nance – powiedziała cicho. – Przyjdiesz kiedy indziej, na pewno w tym czasie dojdzie do siebie.

I tak musiałam wyjść, nie pożegnawszy się z Grace. Jej matka odprowadziła mnie do drzwi, gdzie stanęliśmy zakłopotane pod reprodukcją „Chrystusa...” i niebieskim hinduskim bożkiem – pani Milne z rękami założonymi na piersi, ja w mundurze, obładowana torbami.

– Przepraszam, że wszystko stało się tak nagle... – zaczęłam, lecz ona machnęła ręką.

– Nieważne, skarbie. Musisz podążać własną drogą. – Wrodzona dobroć nie pozwalała

jej długo się gniewać.

Powiedziałam, że w pokoju jest czysto i że nie omieszkałam przysłać im nowego adresu (nie dotrzymałam obietnicy). Na koniec zapewniłam, że jestem najlepszą gospodynią w mieście, a jeśli ktoś będzie miał czelność twierdzić inaczej, osobiście się z nim porachuję.

Rozpromieniła się na te słowa i objęłyśmy się serdecznie, czułam jednak, że coś ją trapi.

– Nance – powiedziała, kiedy stanęłam na schodach – wybaczone, że o to pytam, ale naprawdę chodzi o koleżankę, a nie... kolegę, prawda?

Prychnęłam.

– Pani Milne! Czy pani naprawdę sądziła...? Myśli pani, że mogłabym...? – Dzielić mieszkanie z mężczyzną, to właśnie miała na myśli. Ja, w spodniach i z ostrzyżonymi włosami!

Gospodyni spurpurowiała.

– Przyszło mi do głowy... – odrzekła. – Cóż, dzisiejsze dziewczęta łatwo zawierają znajomości. Widząc twój pośpiech, byłam skłonna uwierzyć, że dałaś się zmamić obietnicami. Powinnam wiedzieć, że to do ciebie niepodobne.

Mój śmiech zabrzmiał trochę nieszczerze, kiedy pomyślałam, jak bliskie prawdy były jej podejrzenia, a zarazem jak dalekie.

Mocno ujęłam torby. Powiedziałam pani Milne, że na King's Cross Road złapię dorożkę; tam właśnie czekał na mnie woźnica Diany. Oczy gospodyni nieoczekiwanie zaszklily się łzami. Gdy objuczona bagażem z wolna ruszyłam Green Street, kobieta nadal stała na progu.

– Nie zapomnij o nas, skarbie! – zawołała.

Odwróciłam się, żeby jej pomachać. W oknie saloniku zamajaczyła jakaś postać. Grace! A jednak postanowiła chociaż odprowadzić mnie wzrokiem. Pomachałam energiczniej, a następnie zdarłam czapkę z głowy i jęłam wymachiwać nią w powietrzu. Dwaj chłopcy robiący fikołki na połamanej balustradzie przerwali zabawę i unieśli ręce w wojskowym pozdrowieniu: pewnie wzięli mnie za żołnierza wracającego z przepustki, panią Milne za moją starą, zasmuconą matkę, a Gracie za siostrę lub żonę. Lecz choć machałam i przesyłałam pocałunki, dziewczyna nie reagowała; stała nieruchomo, z bladym czołem i dłońmi przyciśniętymi do szyby. Powoli opuściłam rękę.

– Nie kocha – zawyrokował jeden z chłopców, a gdy z powrotem przeniosłam wzrok na drzwi, pani Milne znikła.

Gracie jednak nadal stała i patrzyła. Jej spojrzenie – zimne i twarde jak alabaster, kłujące jak szpilka – ścigało mnie do rogu King's Cross Road. Nawet na stromej drodze na Percy Circus, skąd nie widać okien Green Street, czułam na plecach świdrujący wzrok dziewczyny. Przykre wrażenie minęło, dopiero gdy zasiadłam w zacienionym wnętrzu powozu Diany i znów poczułam się bezpieczna na ścieżce do nowego życia.

Lecz dawne zobowiązania raz jeszcze dały o sobie znać. Jadąc Euston Road, zbliżyliśmy się do rogu Judd Street i ni stąd, ni zowąd przypomniałam sobie planowane spotkanie z moją nową przyjaciółką Florence. Umówiliśmy się na piątek, który przypadał właśnie

dzisiaj. Miałyśmy spotkać się o szóstej przy wejściu do gospody. Uświadomiłam sobie, że właśnie minęła szósta... Naraz powóz zwolnił i nieopodal zobaczyłam Florence. Sznur dorożek włókł się niemiłosiernie; przez koronkową zasłonę dostrzegłam wyraźnie, że dziewczyna ze zmarszczonymi brwiami rozgląda się dokoła, a następnie zerka na zegarek zawieszony na piersi i poprawia włosy. Pod wpływem impulsu chciałam otworzyć drzwi i pobiec w jej kierunku albo przynajmniej poprosić stangreta, by zatrzymał konia, żebym mogła wykrzyknąć jakieś przeprosiny...

Kiedy tak siedziałam, nie wiedząc, co robić, ruch uliczny nieoczekiwanie nabrał tempa, powóz szarpnął i w jednej chwili Judd Street oraz miła, nieładna twarz Florence pozostały daleko za nami. Nie miałam wówczas odwagi poprosić ponurego pana Shillinga, żeby zawrócił, choć oddano go do mojej wyłącznej dyspozycji. Zresztą co miałam powiedzieć Florence? Podejrzewałam, że i tak więcej jej nie zobaczę, trudno też, aby ona odwiedzała mnie u Diany. Moja nieobecność na pewno zdziwi ją i rozgniewa: będzie trzecią kobietą, której owego dnia sprawiłam zawód. Zrobiło mi się przykro, ale nie byłam specjalnie skruszona, o nie.

Po powrocie na Felicity Place (taką bowiem nazwę nosił plac, przy którym stał dom mojej protektorki), czekała mnie miła niespodzianka. Zastałam Dianę w bawialni na górze, nareszcie wykapaną i ubraną, z kunsztownie upiętymi włosami. W szaro-czerwonej sukni, z wąską talią i wyprostowanymi plecami wyglądała olśniewająco. Przypomniałam sobie tasiemki i wiązania, z którymi zmagalam się ubiegłej nocy: były niewidoczne pod gładkim materiałem stanika. Myśl o ukrytej bieliźnie oraz gorsecie, który zasznurowały obojętne palce służącej, a rozsznurują moje drżące dłonie, była nader ekscytująca. Podeszłam do Diany, objęłam ją i mocno pocałowałam w usta, aż się roześmiała. Rano obudziłam się znużona i obolała, miałam za sobą nieprzyjemną wizytę na Green Street, lecz zły humor minął jak ręką odjął. Czułam się w pełni sił. Gdybym miała penis, z całą pewnością byłby gotów do działania. Obejmowałyśmy się przez minutę lub dwie. Następnie Diana odsunęła się i wzięła mnie za rękę.

– Chodź – powiedziała. – Przygotowałam dla ciebie pokój.

Zrazu nadąsałam się, że nie będziemy dzielić sypialni, ale nie mogłam długo się boczyć. Pokój, do którego mnie zaprowadziła, położony w niewielkiej odległości od jej bawialni, okazał się równie wytworny jak apartament gospodyni. Miał kremowe ściany pozbawione jakichkolwiek ozdób, podłogę zaścieniały złociste dywany, a parawan i wezglowie łóżka wykonano z bambusa. Na toaletce dostrzegłam mnóstwo uroczych drobiazgów: papierośnicę z żółtwej skorupy, komplet grzebieni, haczyk do zapinania guzików, sporządzony z kości słoniowej oraz najrozmaitsze słoje i flakoniki z olejkami i perfumami. Drzwi znajdujące się obok łóżka prowadziły do długiej garderoby z niskim sufitem: ujrzałam szlafrok ze szkarłatnego jedwabiu, podobny do zielonego Diany, no i obiecany ubiór: przepiękny garnitur z szarego samodziału, bardzo drogi i niewiarygodnie elegancki. Prócz tego zobaczyłam też mnóstwo szuflad z napisem: „spinki do mankietów” oraz „krawaty”, „kołnierzyki” i „szpilki”. Wszystkie były wypełnione po brzegi, a na półkach z

napisem „bielizna” widniały stopy śnieżnobiałych koszul.

Spojrzałam dokoła i mocno pocałowałam Dianę, prawdę mówiąc częściowo po to, by zamknęła oczy i nie zauważyła, jak bardzo się jej lękam. Gdy wyszła, z radości zatańczyłam na złocistej podłodze. Chwyciwszy surdut, koszulę, kołnierzyk i krawat, rozłożyłam je w odpowiedniej kolejności na łóżku, po czym znów odtańczyłam dziki taniec. Rzeczy przywiezione od pani Milne wcisnęłam w najdalszy kąt garderoby, nie trudząc się ich rozpakowaniem.

Włożyłam do kolacji nowe ubranie. Leżało jak ulał, lecz Diana miała pewne zastrzeżenia co do kroju; postanowiła, że nazajutrz pani Hooper zdejmie miarę i udzieli instrukcji krawcowi. Moim zdaniem jej wiara w dyskrecję służącej doprawdy nie miała granic; kiedy kobieta wyszła (po tym jak napełniła nam talerze i stanęła bez ruchu, gotowa do dalszych zadań), nie omieszkałam jej o tym powiedzieć. Wybuchnęła śmiechem.

– Jest w tym pewna tajemnica – odparła. – Nie domyślasz się?

– Musisz hojnie ją wynagradzać.

– Cóż, być może. Nie zauważyłaś jednak, jak zerkała na ciebie spod rzęs podczas nalewania zupy? Mało nie zaśliniła ci talerza!

– To znaczy... nie myślisz chyba... że ona jest... taka jak my?

Diana skinęła głową.

– Naturalnie. Co do małej Blake... wyciągnęłam biedaczkę z zakładu poprawczego. Wysłano ją tam za zdeprawowanie pokojówki...

Nie posiadałam się ze zdumienia. Diana ponownie się roześmiała, po czym nachyliła się i wytarła mi serwetką sos z policzka.

Na kolację podano kotlety i nerkówkę, wszystko smakowało wyśmienicie. Apetyt mi dopisywał, podobnie jak przy śniadaniu. Diana jednak więcej piła, niż jadła, więcej paliła, niż piła, a przede wszystkim pożerała mnie wzrokiem. Po krótkiej wymianie zdań na temat służby zapadła cisza: zauważyłam, że wiele z tego, co mówiłam (moim zdaniem bardzo rozsądnie), niezmiernie bawiło Dianę, w związku z czym postanowiłam się nie odzywać. Ona również milczała. Towarzyszył nam jedynie cichy syk lamp gazowych, miarowe tykanie zegara na kominku oraz brzęk moich sztućców. Mimowolnie wróciłam myślami do wesołych posiłków w saloniku przy Green Street, z panią Milne i Grace. Pomyślałam o kolacji, którą miałam zjeść z Florence w gospodzie na Judd Street. Kiedy jednak skończyłam jeść, Diana rzuciła mi jeden ze swych różowych papierosów, a gdy zakręciło mi się w głowie, podeszła bliżej i mnie pocałowała. Wówczas przypomniałam sobie, że nie zamieszkałam tu po to, by toczyć salonowe pogawędki przy stole.

Owej nocy kochałyśmy się bardziej spokojnie niż za pierwszym razem; ba, niemal czule. Lecz gdy zasypiałam przytulona do Diany, w poczuciu ogarniającej błogości, moja gospodyni uczyniła coś zaskakującego, a mianowicie chwyciła mnie za ramię i potrząsnęła. Miałam za sobą nader pouczający dzień: przyszła pora na ostatnią lekcję.

– Możesz odejść, Nancy – powiedziała tym samym tonem, jakim zwracała się do pokojówki i pani Hooper. – Chcę dziś spać sama.

Pierwszy raz potraktowała mnie jak służącą. Senność opuściła mnie w jednej chwili; posłusznie wróciłam do swojego kremowego pokoju, gdzie czekało na mnie zimne łóżko. Lubiłam jej pocałunki, a jeszcze bardziej lubiłam prezenty, którymi mnie obsypywała: jeśli warunkiem ich zachowania miało być posłuszeństwo... trudno. Obsługiwałam mężczyzn z Soho w zamian za funta; posłuszeństwo takiej damie i w podobnych okolicznościach wydawało się błahostką.

Rozdział 12

Pomimo niezwykłości pierwszych dni i nocy spędzonych na Felicity Place błyskawicznie weszłam w swoją rolę i odnalazłam się w nowej rutynie. Wiodłam równie beztroski żywot jak u pani Milne, z tą różnicą, że zyskałam mozną protektorkę, która dbała, abym była syta, ubrana i wypoczęta. Głównym zaś moim celem miała być ona sama.

Na Green Street wstawałam dość wcześnie. Często Grace przynosiła mi herbatę o wpół do ósmej, czasem też wpełzała do ciepłego łóżka i leżałyśmy tak, rozprawiając o niczym, dopóki pani Milne nie zawołała nas na śniadanie. Potem myłam się przy wielkim zlewie w kuchni, a Grace czasami szczotkowała mi włosy. Na Felicity Place nie miałam po co wstawać. Śniadanie przynoszono mi do łóżka: jadłam je albo z Dianą, albo u siebie, o ile poprzedniego wieczora raczyła mnie odesłać. Podczas gdy pokojówka ubierała Dianę, ja piłam kawę i paliłam, ziewałam i przecierałam oczy, niekiedy ponownie zapadałam w drzemkę i budziłam się dopiero wówczas, gdy przychodziła do mnie już w płaszczu i kapeluszu. Wsuwała wtedy pod kołdrę okrytą rękawiczką dłoń i budziła mnie uszczyptnięciem bądź lubieżną pieszczotą.

– Obudź się i pocałuj panią na do widzenia – mówiła. – Wrócę dopiero na kolację. Zajmij się czymś do mojego powrotu.

Marszczyłam brwi.

– Dokąd idziesz? – marudziłam.

– W odwiedzinach do przyjaciółki.

– Zabierz mnie ze sobą!

– Nie dzisiaj.

– Przecież mogę zaczekać w powozie...

– Wolę, żebyś czekała na mnie tutaj.

– Okrutna!

Całowała mnie z uśmiechem i wychodziła, a ja znowu popadałam w otępienie.

Wstawszy, kazałam sobie szykować kąpiel. Uwielbiałam łazienkę Diany: mogłam tam spędzać ponad godzinę, mocząc się w pachnącej wodzie, układając włosy i przeglądając się w lustrze w poszukiwaniu krostek i znamion. W dawnym życiu musiałam się zadowolić mydłem, kremem do twarzy, lawendowym pachnidłem oraz odrobiną czernidla do rzęs. Obecnie miałam do dyspozycji arsenał środków do pielęgnacji każdego skrawka ciała, od

czubka głowy do paznokci u stóp: olejek do brwi i krem do rzęs, słoik proszku do zębów, pudełko *blanc-de-perle*, emalię do paznokci i czerwoną pomadkę do ust, pęsetę do wrywania włosków dokoła sutków oraz specjalny kamień do zmiękczenia skóry pięt.

Przypominało to przygotowania do występu, z tym że wówczas musiałam przebierać się za kulisami, w przerwie pomiędzy utworami, teraz zaś miałam na to cały dzień. Moją jedyną publiczność stanowiła Diana, spędzane bez niej godziny wiały bezbrzeżną nudą i pustką. Nie mogłam rozmawiać ze służbą: ani z dziwną panią Hooper, ukradkiem łypiącą na mnie spod oka, ani z Blake, która wprawiała mnie w zakłopotanie swoim dyganiem oraz wiecznym „tak, panienko”, ani z kucharką, która przyrządzała mi posiłki, lecz nigdy nie wystawiała nosa z kuchni. Stając przy zielonych drzwiach wiodących do sutereny, słyszałam ich głosy, przejęte lub rozbawione, wiedziałam jednak, że nie należę do ich grona i muszę pozostać w obrębie własnego terytorium: sypialni, bawialni Diany, salonu oraz biblioteki. Diana wyraźnie nie życzyła sobie, abym samowolnie opuszczała dom, kazała nawet pani Hooper zamykać wielkie frontowe drzwi. Za każdym razem kiedy wychodziła, słyszałam chrobot klucza w zamku.

Nie narzekałam na ów brak swobody. Jak już wspomniałam, ciepło, zbytek, zbliżenia oraz sen wpędziły mnie w rodzaj transu, budząc rozleniwienie, jakiego dotąd nie zaznałam. Snułam się po domu, bezmyślnie i bezszelestnie; podziwiałam portrety na ścianach, widok za oknem tudzież własne odbicie. Byłam jak widmo, duch przystojnego młodzieńca, który umarł w tym domu i nadal przemierzał korytarze w poszukiwaniu okruchów utraconego życia.

– Ale mnie panienka przestraszyła! – wołała pokojówka, przyciskając rękę do serca, kiedy wpadała na mnie na zakręcie schodów lub w cieniu alkowy. Kiedy jednak z uśmiechem pytałam, co ma do zrobienia lub jaka dziś pogoda, rumieniła się i robiła niepewną minę. „Nie wiem, panienka, trudno powiedzieć”.

Punktem kulminacyjnym każdego dnia, wydarzeniem, wokół którego koncentrowały się moje myśli i które nadawało kierunek i znaczenie poprzedzającym je godzinom, był oczywiście powrót Diany. Wybór pomieszczenia oraz pozy, w jakiej miałam ją powitać, nosił w sobie coś teatralnego. Czasem zastawała mnie z papierosem w bibliotece lub śpiącą w bawialni; odgrywałam zdziwienie na jej widok albo pozwalałam się „budzić”, gdy udawałam, że śpię. Lecz moja radość z jej powrotu zawsze była szczera. Natychmiast traciłam poczucie nierealności i oczekiwania za kulisami: blask jej uwagi przywracał mi ciepło i materialny kształt. Zapalałam dla niej papierosa, nalewałam wino. Jeżeli była zmęczona, prowadziłam ją do krzesła i masowałam jej skronie, jeżeli miała obolałe nogi (nosiła wysokie trzewiki, bardzo ciasno zasznurowane), zdejmowałam jej buty i przywracałam krążenie znękanym palcom. Jeśli miała ochotę na amory, jak często bywało, obsypywałam ją pocałunkami. Pozwalała się pieścić w bibliotece albo w salonie, obojętna na służące, które mijały zamknięte drzwi bądź pukały i wobec braku odpowiedzi odchodziły z kwitkiem. Innym razem wydawała polecenie, aby jej nie przeszkadzać, po czym prowadziła mnie do bawialni, do sekretnej szuflady, gdzie trzymała klucz od skrzyni.

Jej otwieranie zawsze podniecało mnie i przyprawiało o dreszcze, choć wkrótce przywykłam do jej zawartości. Nie była szczególnie bulwersująca. Naturalnie leżało tam opisane już przeze mnie dildo (które wzorem Diany nauczyłam się nazywać „przyrządem” bądź „instrumentem”: ów zbyteczny eufemizm, budzący skojarzenie ze szpitalem lub zakładem poprawczym, wyjątkowo przypadł jej do gustu; jedynie w miłosnym podnieceniu używała jego prawdziwej nazwy. Czasem nawet prosiła o „Monsieur Dildo” albo po prostu „Monsieur”. Prócz tego w skrzyni znajdowały się albumy z fotografiami przedstawiającymi dziewczęta z tłustymi siedzeniami i bezwłosymi wzniesieniami łonowymi, przystrojone tylko w piórka, kolekcja erotycznych felietonów i powieści, opiewających zalety homoseksualizmu określanego tu nazwą „namiętności safickiej”. Podejrzewam, że były obrzydliwe, lecz jako kompletna ignorantka w owej dziedzinie chłonełam je z otwartymi ustami, ku niezmiernemu rozbawieniu Diany. Skrzynia kryła również sznury, pasy i witki, jakie zapewne widuje się w biurku surowej guwernantki, czyli nic szczególnie „bolesnego”. No i oczywiście spory zapas różowych papierosów Diany. Dość szybko odgadłam, że zawierały wonny francuski tytoń pomieszany z haszyszem. Moim zdaniem były najprzyjemniejsze ze wszystkiego, a w połączeniu z pozostałymi akcesoriami dostarczały wcale miłych doznań.

Mogłam być zmęczona, ogłupiała lub zgięta wół od comiesięcznych dolegliwości, mogło mnie mdlić od nadmiaru alkoholu, lecz otwarcie skrzyni wprawiało mnie w stan natychmiastowej gotowości: byłam jak pies, który niestrudzenie zrywa się z miejsca na okrzyk „aport!”.

Diana przyjmowała to z niezmiernym zadowoleniem.

– Ależ jestem dumna z mojego małego skarbu! – cieszyła się, kiedy leżałyśmy w zaplamionej pościeli, paląc papierosy. Często miała na sobie tylko gorset i parę fioletowych rękawiczek, a ja dildo, okręcone na przykład sznurem pereł. Sięgała ręką do skrzyni i muskała otwarte wieko. – Ze wszystkich prezentów, jakie ci dałam – powiedziała kiedyś – ten jest najwspanialszy, prawda? Gdzie w Londynie znalazłabyś drugie takie cudo?

– Nigdzie! – odparłam. – Jesteś najodważniejszą suką w stolicy!

– A jak!

– Najodważniejszą suką z najmądrzejszą szparką. Gdyby pieprzenie było królestwem, jak nic zasiadłabyś na tronie...!

Takich oto słów nauczyła mnie moja pani, słów obscenicznych, które nigdy nie przestały mnie szokować. W obecności Kitty takie określenia nie przeszłyby mi przez usta. Nie „pieprzyłam” jej, nie „ocierałyśmy się”, tylko całowałyśmy i drżały. Między nogami nie miała „cipki” ani „szparki”; w ciągu wszystkich spędzonych razem nocy chyba ani razu nijak jej nie nazwałam...

Szkoda, że mnie teraz nie widzi, myślałam, leżąc obok Diany i ciasniej mocując perły. Diana gładziła skrzynię, a następnie pochylała się do mnie.

– Tylko spójrz, co tu mam! – mówiła z westchnieniem.

– Patrz i podziwiaj!

Zaciągałam się papierosem, aż łóżko wirowało mi przed oczami, potem kładłam się ze śmiechem, a ona dosiadała mnie okrakiem. Kiedyś papieros spadł mi na jedwabną kołdrę; obojętnie patrzyłam, jak wypala w niej coraz większą dziurę. Innym razem wypaliłam tyle haszyszu, że zwymiotowałam. Diana zadzwoniła po Blake.

– Popatrz na moją dziwkę! – zawołała do pokojówki.

– Olśniewająca nawet w upodleniu! Widziałaś kiedyś równie uroczą świnię? Widziałaś?
– Blake odpowiedziała, że nie, a potem zamoczyła ścierkę i wytarła mi usta.

Nic innego tylko właśnie próżność Diany położyła wreszcie kres memu odosobnieniu. Po miesiącu, podczas którego wychodziłam jedynie do ogrodu, oznajmiła przy kolacji, że pora mi przystrzyć włosy. Oderwałam wzrok od talerza w nadziei, że w tym celu zabierze mnie do Soho, ale ona tylko zadzwoniła po służbę. Musiałam usiąść na krześle z ręcznikami na ramionach, Blake trzymała grzebień, a gospodyni mnie strzygła.

– Ostrożnie, ostrożnie! – wołała Diana, obserwując ich poczynania. Pani Hooper pochyliła się, aby skrócić włosy nad czołem i jej gorący oddech owiał mi twarz.

Postrzyżyny okazały się jedynie preludium do czegoś znacznie lepszego. Kiedy następnego ranka obudziłam się w łóżku Diany, zobaczyłam ją już ubraną, jak wpatrywała się we mnie ze znajomym, enigmatycznym uśmiechem.

– Wstawaj – poleciła. – Mam dla ciebie prezent. A właściwie dwa prezenty. Pierwszy czeka w twoim pokoju.

– Prezent? – Ziewnęłam; to słowo jakoś utraciło swój pierwotny czar. – Cóż takiego, Diano?

– Strój.

– Jaki strój?

– Wyjściowy.

– Wyjściowy...?

Pobiegłam od razu.

Od chwili gdy pierwszy raz włożyłam spodnie w domu pani Dendy, paradowałam w męskich ubraniach wszelkiego rodzaju. Od prostych do przesadnie strojnych, od wojskowych do zniewieściałych, od popelinowych do aksamitnych: byłam żołnierzem, marynarzem, lokajem, męską prostytutką, gońcem, dandysem oraz księciem. Nosiłam je wszystkie z gracją i wdziękiem. Jednakże kostium, który owego dnia czekał na mnie w pokoju na Felicity Place, nie miał sobie równych: nadal pamiętam go z najdrobniejszymi szczegółami.

Składał się z surduta i spodni uszytych z kremowego płótna oraz z nieco ciemniejszej kamizelki z jedwabnymi plecami. Znajdował się w pudełku wyłożonym aksamitem; w oddzielnym opakowaniu znalazłam trzy pikowe koszule, każdą o ton jaśniejszą od poprzedniej, o tak delikatnym splocie, że lśniły perłowym blaskiem jak atlas.

Dostałam również śnieżnobiałe kołnierzyki ze spinkami z opali oraz złote spinki do mankietów. Krawat i fular były z jedwabiu w kolorze bursztynu; kiedy wyjęłam je z bibuły,

prześliznęły mi się między palcami i spłynęły na podłogę jak węże. Płaskie, drewniane pudełko zawierało rękawiczki, jedną parę z koźlęcej skórki, z krytymi guzikami, drugą z sarniej, pachnącą piżmem. W aksamitnym woreczku znalazłam skarpetki oraz bieliznę, nie z flaneli, jak dotychczas, lecz przedniego jedwabiu. Na głowę miałam włożyć kremowy kapelusz z filcu ze wstążką pod kolor krawata, na nogi zaś trzewiki z brązowej skóry tak wybornej jakości, że mimowolnie uniosłam je do policzka, potem do ust, a następnie dotknęłam językiem.

Niewiele brakowało, a przeoczyłabym ostatnią, niepozorną paczuszkę: był w niej komplet chustek równie delikatnych jak koszule i ozdobionych maleńkim inicjałem „N. K.”. Strój, pełen zharmonizowanych faktur i odcieni, wprawił mnie w najwyższy podziw, lecz ów ostatni dodatek, który niejako sankcjonował stałość relacji z moją szaloną i wspaniałomyślną panią... cóż, ucieszył mnie najbardziej ze wszystkiego.

Wykąpałam się, a następnie ubrałam przed lustrem. Otworzyłam okiennice, zapaliłam papierosa i raz jeszcze przejrzałam się w lustrze. Wyglądałam (mogę to powiedzieć bez fałszywej skromności) oszałamiająco. Ubiór, jak to zwykle bywa w wypadku drogiej konfekcji, emanował własnym blaskiem i przydałby urody każdemu. Lecz Diana starannie przemyślała swój wybór. Jasne płótno podkreślało złocistą barwę moich włosów oraz resztki opalenizny, którą zdobyłam, szlifując londyńskie bruki. Bursztynowy krawat wydobywał błękit oczu oraz uczernionych rzęs. Kanty na spodniach dodatkowo wydłużały i wyszczuplały nogi, krocze wybrzuszało się w miejscu gdzie wepchnęłam jedną z wonnych rękawiczek z sarniej skórki. Byłam wręcz nieprzyzwoicie atrakcyjna. Okolona drewnianą ramą lustra, stojąc z lekko ugiętą lewą nogą i jedną ręką luźno zwieszoną wzdłuż biodra, a drugą z papierosem w pół drogi do dyskretnie uszmkowanych ust, nie wyglądałam jak Nancy Astley, lecz jak żywy obraz, jasnowłosy anioł lub hrabia uwięziony za szkłem przez zazdrosnego artystę. Z wrażenia zaparło mi dech w piersi.

Dostrzegłam poruszenie przy drzwiach. Obejrzałam się i zobaczyłam Dianę: patrzyła na mnie, gdy tak bez reszty zajmowałam się podziwianiem własnej osoby. Trzymała w ręku bukiet fiołków. Podeszła bliżej, żeby mi je wpiąć w butonierkę.

– Mogłam kupić narcyzy, nie pomyślałam – powiedziała.

Pochyliłam głowę, chwytając w nozdrza zapach kwiatów; jeden z fiołków złamał się i sfrunął na dywan, gdzie poległ pod bezlitosnym obcasem Diany.

Kiedy skończyła, odebrała mi papierosa i cofnęła się o krok, aby raz jeszcze obejrzeć swoje dzieło, zupełnie jak kiedyś Walter u pani Dendy. Wyglądało na to, że jestem skazana na podobne zabiegi, co jednak zupełnie mi nie przeszkadzało. Cofnęłam się myślami do niebieskiego kostiumu z serży i wybuchnęłam śmiechem.

Śmiech przydał mojemu spojrzeniu ostrości i blasku. Diana z zadowoleniem skinęła głową.

– Wzbudzimy sensację – oznajmiła. – Zrobisz furorę, ja ci to mówię.

– Gdzie? – spytałam. – Dla kogo mnie tak wystroiłaś?

– Chcę, żebyś poznała moje przyjaciółki. Zabieram cię – musnęła mi dłonią policzek –

do mojego klubu.

Chodziło o Żeński Klub Tytoniowy położony przy Sackville Street, opodal Piccadilly. Dobrze znałam tę ulicę, podobnie jak wszystkie okoliczne, lecz nigdy nie zwróciłam uwagi na budynek z szarą fasadą, przy którym Diana kazała zatrzymać powóz. Jego schody istotnie tkwiły w cieniu, tabliczka nie rzucała się w oczy, a drzwi były raczej wąskie, lecz po pierwszej wizycie zawsze trafiałam tu bezbłędnie.

Jeśli macie ochotę, idźcie dziś na Sackville Road i spróbujcie go odnaleźć: dam głowę, że miniecie całą długość chodnika trzy- albo i czterokrotnie. Lecz gdy odszukacie wreszcie budynek z szarą fasadą, zatrzymajcie się i przyjrzyjcie mu się dokładnie, jeśli zaś zobaczycie na jego progu kobietę, zwróćcie na nią baczną uwagę.

Wejście do foyer (podobnie jak owego dnia ja i Diana); w gustownie urządzonym holu siedzi za biurkiem schludna, nieładna kobieta w nieokreślonym wieku. Za moich czasów była to panna Hawkins. Kiedy weszliśmy, właśnie odhaczała rubryki w swoim zeszycie, lecz na widok Diany uniosła głowę i uśmiechnęła się uprzejmie. W momencie gdy przeniosła wzrok na mnie, jej uśmiech jakby nieco osłabł.

– Pani Lethaby, jak miło! Pani Jex czeka na panią w pokoju dziennym.

Diana kiwnęła głową i wyjęła pióro, aby podpisać się pod listą nazwisk. Panna Hawkins ponownie zerknęła na mnie.

– Czy pan zaczeka tutaj? – zapytała.

Diana nawet nie podniosła wzroku, zajęta pisaniem.

– Nie nudź, Hawkins. To panna King, moja towarzyszka.

Panna Hawkins przyjrzała mi się uważniej i poczerwieniała.

– Cóż, z pewnością nie mogę mówić w imieniu pań, droga pani Lethaby, lecz niektóre z nich mogą to uznać za odrobinę... nieregulaminowe.

– I o to chodzi – skwitowała Diana, zakręcając pióro. Następnie odwróciła się i zlustrowała mnie od góry do dołu, po czym poprawiła mi krawat, wygładziła moje brwi poślinionym palcem, a wreszcie ściągnęła mi kapelusz i doprowadziła do porządku zmierzwiłone kosmyki.

Podawszy kapelusz pannie Hawkins, ujęła mnie pod ramię i ruszyliśmy schodami na górę.

Pokój dzienny okazał się równie imponujący jak foyer. Nie wiem, w jakim kolorze jest teraz, wówczas jednak miał ściany obite złotym adamaszkiem, kremowe dywany oraz niebieskie sofy... Jednym słowem, pasował jak ulał do mojego nowego, nadzwyczaj atrakcyjnego wcielenia, a ściśle mówiąc, wcielenie pasowało do niego. Muszę przyznać, że owa myśl nieco zbiła mnie z tropu i trochę zwątpiłam w bezinteresowną wspaniałomyślność Diany, która tak ujęła mnie rano, gdy podziwiałam swe odbicie przed lustrem.

Przypomniałam sobie jednak, że przecież wszyscy artyści dostosowują ubiór na potrzeby sceny. A cóż to była za scena – i jaka publiczność!

Przy stolikach siedziało ich ze trzydzieści, same kobiety, ze szklankami, książkami i

gazetami. Na ulicy żadna z nich nie zwróciłaby szczególnej uwagi, razem tworzyły jednak dość osobliwe zgromadzenie. Ubrane były może nie dziwnie, ale... powiedzmy, wyraziście. Wszystkie miały na sobie spódnice, uszyte jednak w taki sposób, jakby krawiec dla żartu chciał uszyć ten strój mężczyźnie. Ubrania niektórych miały wygląd kostiumów spacerowych bądź do konnej jazdy. Wiele kobiet nosiło binokle lub monokle zawieszane na wstążkach. Jedna lub dwie przykuwały uwagę zdumiewającymi fryzurami, natomiast liczba krawatów przypadających na wyłącznie żeńskie *ensemble* biła na głowę to, co widziałam do tej pory.

Naturalnie nie odnotowałam wszystkich tych szczegółów od razu, jednakże pomieszczenie było duże, Diana zaś przeprowadziła mnie przez środek rozmyślnie powolnym krokiem, toteż miałam czas, aby się rozejrzeć dokoła. Szliśmy w ciszy gęstej jak puszysty aksamit, albowiem wszystkie damy zwróciły wzrok w naszą stronę, a następnie wytrzeszczyły oczy. Nie wiem, czy – podobnie jak panna Hawkins – wzięły mnie za mężczyznę, czy też w mig przejrzały mistyfikację, w każdym razie rozległ się zdumiony okrzyk („Boże miłosierny!”), po czym któraś westchnęła: „A niech mnie...”. Diana zaś puszyła się u mego boku z miną zadowolonego kota.

Jakaś dama zerwała się nagle od stolika w najdalszym kącie sali.

– Diano, ty stara rozpustnico! Nareszcie to zrobiłaś! – zawołała i klasnęła w dłonie.

Siedzące obok niej dwie kobiety, całe w pąsach, wlepiły w nas wzrok. Jedna z nich miała monokl, który niezwłocznie wepchnęła do oka.

Diana dokonała prezentacji; uczyniła to nieco grzeczniej niż przy pannie Hawkins, lecz ponownie przedstawiła mnie jako swoją „towarzyszkę”, na co obecne zareagowały śmiechem. Ta, która wstała, by nas powitać, chwyciła mnie za rękę. Trzymała w palcach grube cygaro.

– Nancy, skarbie – rzekła moja przewodniczka – to jest pani Jex, moja najstarsza londyńska przyjaciółka, i chyba najbardziej zepsuta istota. Wszystko, co ci powie, będzie miało na celu deprawację.

– Mam nadzieję – odparłam z ukłonem. Pani Jex nie posiadała się z zachwyty.

– To mówi! – wrzasnęła. – Tak wygląda... – wskazała na moją twarz i strój – ...a na dodatek mówi!

Diana z uśmiechem uniosła brwi.

– Jak papuga – oznajmiła.

Zamrugłam, lecz pani Jex, która dotąd nie kwapiła się puścić mojej ręki, ścisnęła mi palce.

– Diana jest wobec ciebie okrutna, panno Nancy, ale nie zwracaj na to uwagi. Wszystkie w klubie dyszałyśmy żądzą poznania tak sławnej osoby. Nazywaj mnie Maria. – Wymówiła to w staroświecki sposób. – A to Evelyn i Dickie. Widzisz, Dickie zwykła uważać się za naszego rodzyńka.

Skloniłam się obu wymienionym damom. Pierwsza rzuciła mi łaskawy uśmiech, druga zaś (ta z monoklem: jestem pewna, że było to zwykłe szkiełko) z arogancką miną uniosła

dumnie głowę.

– Zatem to ma być ta nowa Kalisto? – zapytała.

Miała na sobie koszulę frakową i krawatę; długie upięte włosy lśniły od tłuszczu. Liczyła sobie mniej więcej trzydzieści dwa lata i była szeroka w talii, a na jej górnej wardze ciemniał wąsik jak u chłopca. Pewnie około 1880 roku mogłaby uchodzić za piękność.

Maria ponownie ścisnęła moje palce i przewróciła oczami. Kiedy pochyliłam się w jej stronę (była dość niska), powiedziała:

– Musisz zaspokoić naszą ciekawość, skarbie. Domagamy się wyczerpującej relacji z twojego spotkania z Dianą. Ona sama nie puszcza pary z ust: mówi tylko, że noc była ciepła, na ulicach roiło się od pstrokatych kolorów, a księżyc łąpał zza chmur jak pijaczka w poszukiwaniu kochanka. Opowiedz nam, Nancy! Czy rzeczywiście księżyc łąpał zza chmur jak pijaczka w poszukiwaniu kochanka? – Pyknęła z cygara, nie odrywając ode mnie oczu. Evelyn i Dickie też patrzyły wyczekująco. Spojrzałam na nie, następnie znów na Marię i przełknęłam ślinę.

– Owszem – powiedziałam wreszcie. – Skoro Diana tak twierdzi.

Maria ryknęła dudniącym śmiechem, a Diana zaprowadziła mnie do sofy i kazała kelnerce podać napoje.

Panie przy pozostałych stolikach nadal wybałuszały na nas oczy; nie mogłam nie zauważyć, że niektóre miały dość kwaśne miny. Zewsząd dobiegały pomruki i szepty, ktoś zachichotał, ktoś inny głośno zaczerpnął tchu. Nikt z naszej grupki nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Maria bez przerwy świdrowała mnie spojrzeniem, a gdy przyniesiono napoje, wyszczerzyła zęby znad swojej szklanki.

– Za obydwie końce brykli! – rzekła, puszczając oko.

Diana była zajęta słuchaniem opowieści kobiety o imieniu Evelyn.

– Taki skandal, Diano, nawet sobie nie wyobrażasz! Spotyka się z siedmioma kobietami, z każdą innego dnia; jedną z nich jest jej własna szwagierka! Zrobiła sobie album... mało nie padłam, jak go zobaczyłam!... pełen rozmaitych pamiątek, które każdej z nich odcięła lub wyrwała: rzes, ścinek paznokci, zużytej waty. Ma też włosy...

– Włosy, Diano – wtrąciła znacząco Dickie.

– ...włosy, z których porobiła pierścienie i egrety. Lord Myers zachwycił się jedną z broszek i spytał, gdzie ją kupiła. Susan wmówiła mu, że to broszka z lisiego ogona i że zrobi drugą dla jego żony! Masz pojęcie? Teraz lady Myers pokazuje się na eleganckich przyjęciach z pęczkiem włosów łonowych szwagierki Susan Dacre na piersi!

Diana uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– A mąż Susan o tym wie i nie protestuje?

– Protestuje? Sam płaci rachunki u jubilera! Na dodatek przechwala się (sama słyszałam), że zamierza przemianować posiadłość na Nowe Lesbos.

– Nowe Lesbos – powtórzyła łagodnie Diana i ziewnęła. – Ze starą Susan Dacre mogłoby uchodzić za pierwowzór... – Zwróciła się do mnie, zniżając głos o jeden ton. –

Bądź tak dobra i przypał mi papierosa, mała.

Wyjęłam dwa papierosy z szylkretowej papierošnicy, którą miałam w kieszeni na piersi, włożyłam obydwu do ust, przypaliłam, po czym jeden podałam Dianie. Damskie nieustrudzenie śledziły każdy mój ruch. Gdy nachylałam się, aby strząsnąć popiół, mrugały powiekami. Gdy muskałam dłonią przystrzyżone włosy, oblewały się rumieńcem, kiedy zaś rozsunęłam kolana, Maria i Evelyn podskoczyły jak oparzone, a Dicky sięgnęła po swoją brandy i jednym potężnym haustem wychyliła zawartość szklanki.

Po chwili Maria znów przysiadła się bliżej.

– Nadal czekamy na twoją opowieść, panno Nancy. Chcemy wiedzieć o tobie wszystko, a ty droczysz się z nami niemiłosiernie.

– Nie ma nic do opowiadania – odparłam. – Zapytajcie Dianę.

– Diana zanadto owija rzeczy w bawełnę. Powiedz mi – rzuciła konspiracyjnie – gdzie się urodziłaś? Czy to było jakieś szczególnie podłe miejsce? Rudera, w której dzieliłaś łóżko z dziewięcioma siostrami?

– Rudera? – Po raz pierwszy od wielu miesięcy ujrzałam przed oczami obraz rodzinnego salonu i szala trzepoczącego nad kominkiem. – Urodziłam się w Kent, w miejscowości Whitstable – odpowiedziałam. Maria spojrzała na mnie ze zdumieniem. – W Whitstable – powtórzyłam.

– Tam, skąd pochodzą ostrygi.

Maria odrzuciła głowę w tył.

– A więc, moja droga, jesteś syreną! Wiedziałaś o tym, Dianko? Syrena z Whitstable! Ale na szczęście... – tu poklepała mnie po kolanie – ... na szczęście bez ogona. Ogon na nic by ci się nie przydał, prawda?

Nie odpowiedziałam. Wizja salonu ustąpiła miejsca wspomnieniu Kitty stojącej w drzwiach garderoby. „Panno Syreno”, powiedziała, a potem powtórzyła to w Stamford Hill, kiedy rozplakałam się z tęsknoty za domem...

Głośno przełknęłam ślinę i uniosłam papierosa do ust. Był nieomal doszczętnie wypalony i mało mnie nie poparzył, po czym wypadł mi z ręki. Odbił się od sofy i wturlał pomiędzy moje nogi. Próbowałam go złapać (damskie ponownie wytrzeszczyły oczy, podskakując nerwowo), lecz dostał się pod mój pośladek. Zerwałam się z miejsca i chwyciwszy papierosa, strzepnęłam spodnie, wołając:

– Do diabła, jeśli nie wypaliłam dziury w tych cholernych portkach!

Zabrzmiało to głošniej, niż chciałam, i zza moich pleców dał się słyszeć oburzony okrzyk.

– Doprawdy, pani Lethaby, to niedopuszczalne! – Mówiąca te słowa wstała i energicznie podeszła do naszego stolika. – Muszę zaprotestować, pani Lethaby – podjęła. – W imieniu swoim oraz obecnych i nieobecnych pań. Przynosi pani wstyd naszemu klubowi!

Diana obrzuciła ją sennym spojrzeniem.

– Wstyd, panno Bruce? Czy to aluzja do mojej towarzyszk, panny King?

– W rzeczy samej, łaskawa pani.

– Nie podoba się pani?

– Nie podoba mi się jej słownictwo i ubiór, łaskawa pani! – Dama miała na sobie spódnicę z szarfą w pasie, jedwabną koszulę oraz krawat, w którym umieściła broszkę w kształcie końskiej głowy. Wyczekująco popatrzyła na Dianę.

Diana westchnęła.

– Cóż – powiedziała – musimy dbać o dobre samopoczucie pań. – Wstała, po czym stanęła obok mnie i ostentacyjnie wsparła się na moim ramieniu. – Nancy, skarbie, twój strój okazał się zbyt śmiały jak na tutejsze warunki. Pora wracać do domu i go zdjąć. Są chętne, żeby jechać z nami na Felicity Place...?

W pomieszczeniu nastąpiło poruszenie. Maria natychmiast zerwała się z miejsca i sięgnęła po laseczkę.

– Jazda! – zawołała, po czym dodała: – Dalej, Satynku!

Usłyszałam szczerzenie i spod krzesła wyskoczył nieduży chart, który dotąd spał za zasłoną jej spódnicy.

Dickie i Evelyn również wstały. Diana skinęła głową pannie Bruce, a ja skłoniłam się nieco niżej. I podobnie jak na początku, tak i teraz wszystkie oczy odprowadziły nas do wyjścia. Usłyszałam, jak panna Bruce wraca na swoje miejsce. Ktoś zawołał: „Bardzo dobrze, Vanesso!”, lecz jedna z dam podchwyciła mój wzrok i figlarnie mrugnęła, inna zaś zerwała się od stolika i wyraziła nadzieję, że spodnie panny King nie ucierpiały zbyt dotkliwie...

Spodnie były do niczego. Po powrocie na Felicity Place Diana kazała mi przedefilować przed gośćmi, aby ocenili rozmiary szkody. Uznała, że zamówi mi identyczną parę.

– Cóż za znalezisko, Diano! – powiedziała Maria, podczas gdy Evelyn badała dziurę palcami.

Zupełnie jakby mówiła o figurce lub zegarze, wygrzebanym za grosze na podrzędnym targowisku. Nie dbała o to, czy słyszę jej słowa. Zresztą cóż to miało za znaczenie? Mówiła szczerze, w jej oczach błyszczał podziw. A podziw ze strony wytwornych dam to wprawdzie nie miłość, ale i nie byle co. Naprawdę na niego zasługiwałam.

Kto by pomyślał?

– Zdejmij koszulę, Nancy – poleciła Diana – i pokaż paniom swoją bieliznę.

Posłusznie spełniłam rozkaz.

– Cóż za znalezisko! – ponownie wykrzyknęła Maria.

Rozdział 13

Szerszy krąg znajomych Diany nie mógł się nadziwić naszej zażyłości. Czasem łapałam badawcze spojrzenia i podsłuchiwałam szepty; panie nazywały mnie „kaprysem Diany”, jakbym stanowiła kulinarną zachciankę, która prędzej czy później znudzi wybredne podniebienie łaskawej patronki. Jednakże zaborczość Diany zdawała się rosnąć z każdym dniem. Po krótkiej wizycie w Klubie Tytoniowym awansowałam na stałą towarzyszkę jej wypraw. Składałyśmy niezliczone wizyty; co rusz dostawałam nowe stroje, w których mogła pokazać mnie światu. Obrastałam w piórka. Pierwszego dnia siedziałam na krześle w bawialni, przekonana, że odeśle mnie do domu z suwerenem. Teraz zaś, kiedy damy szeptały o „dziwactwie Diany Lethaby”, nonszalancko strzepywałam pyłek z rękawa i z uśmiechem wydobywałam z kieszeni ozdobioną monogramem chustkę. Gdy jesień 1892 roku przeszła w zimę, następnie w wiosnę roku 1893, a ja nadal zajmowałam uprzywilejowane miejsce u boku mojej protektorki, szepty jakby przycichły. Nie byłam już kaprysem Diany, lecz po prostu jej „chłopcem”.

- Przyjdź na kolację, Diano.
- Przyjdź na śniadanie, Diano.
- Przyjdź na dziewiątą, Diano, i przyprowadź chłopca.

Towarzyszyłam jej bowiem zawsze jako chłopiec, nawet gdy wkraczałyśmy w zwykły świat, świat sklepów, restauracji i parkowych alejek, z dala od kręgu znajomych safistek Diany. W odpowiedzi na pytania niewtajemniczonych śmiało przedstawiała mnie jako „Neville’a Kinga”, swego „protegowanego”. Podobno nawet kilka dam z córkami na wydaniu wyraziło chęć bliższego poznania tak interesującego kawalera. Diana jednak natychmiast pozbawiała je złudzeń.

- To katolik – szeptała. – Przeznaczony Kościołowi. Niebawem przyjmie święcenia...

Ponownie wprowadziła mnie w świat teatru. Wzdrygnęłam się, gdy usiadłyśmy w łoży opodal reflektorów, a potem drugi raz, kiedy przygasły światła. Lecz teatry, do których chodziła, nie przypominały znanych mi scen rewiowych. Oświetlano je na ogół elektrycznością, nie gazem, a publiczność w ciszy oglądała przedstawienie. Nie znajdowałam w tym żadnej przyjemności. Spektakle nie budziły moich zastrzeżeń, lecz zamiast kierować wzrok na scenę częściej spoglądałam na widownię, skąd niezmiennie obserwowało mnie wiele par oczu. Rozpoznałam kilka znajomych twarzy. Któregoś dnia,

myjąc ręce w toalecie, poczułam na sobie spojrzenie jakiegoś mężczyzny; nie pamiętał, że obsłużyłam go kiedyś w zaułku Jermyn Street. Później zobaczyłam go na widowni, był z żoną. Raz ujrzałam też Słodką Alice, który służył mi radą na Leicester Square. On również siedział w loży, przesłał mi pocałunek. Towarzyszyło mu dwóch dżentelmenów. Uniosłam brwi, na co on przewrócił oczami. Potem zobaczył, z kim siedzę (Diana i Maria) i wytrzeszczył oczy. Wzruszyłam ramionami; spojrzał z namysłem, a następnie znów przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „Ładne rzeczy!”.

Jak wspomniałam, wszędzie chodziłam w męskim ubraniu; w rzeczy samej, jedynym miejscem, do którego musiałam wkładać spódnicę, był Klub Tytoniowy. Wydawałoby się, że właśnie tam moje spodnie nie powinny budzić zastrzeżeń, lecz po interwencji panny Bruce wprowadzono nowy przepis i Diana kazała uszyć coś dla mnie naprędce. Zapomniałam nawet, jaką miał barwę i krój ów damski ubiór. W klubie siedziałam na sofie i dawałam się uwodzić Marii, pijąc herbatę i paląc papierosa pod obstrzałem licznych spojrzeń, podczas gdy Diana rozmawiała z przyjaciółkami bądź odpisywała na listy. Robiła to nadzwyczaj często, uchodziła bowiem za filantropkę i różne damy próbowały ją pozyskać do rozmaitych przedsięwzięć. Nie żałowała pieniędzy na cele dobroczynne. Wysyłała książki młodym więźniarkom, współfinansowała magazyn dla sufrażystek o nazwie „Trzon”. We wszystkim musiałam jej towarzyszyć. Gdy od niechcenia sięgałam po gazetę, chcąc przeczytać jakiś artykuł, odbierała mi ją, jakby nadmiar słów mógł niepotrzebnie zmęczyć mi wzrok. Wreszcie przeglądałam tylko rysunki w „Punchu”.

Tak wyglądał mój ówczesny udział w życiu publicznym. Był dość skromny: opisuję tu okres trwający około dwunastu miesięcy. Diana trzymała mnie blisko siebie i wolała pokazywać w obrębie ścian własnego domu. Ograniczała przy tym liczbę osób, które mogły dostąpić owego zaszczytu, w obawie, że spowszednieję jak zbyt często oglądana fotografia.

Celowo użyłam określenia „pokazywała”: z lubością bowiem nadawała dosłowne znaczenie słowom, których inni ludzie używali jako metafory lub żartem, na tym polegała część jej tajemnicy. Paradowałam przed jej przyjaciółkami w spodniach z wypaloną dziurą i jedwabnej bieliźnie. Przy innej okazji, gdy odwiedziły nas w towarzystwie jeszcze jednej damy, kazała mi włożyć inny strój. Uczyniła z tego wyborną rozrywkę: od tamtej pory musiałam bawić gości, przypalać im papierosy i pełnić funkcję podczaszego. Kiedyś przebrała mnie za lokaja, wystąpiłam w obcisłych spodniach do kolan i upudrowanej peruce. Podobny kostium wkładałam do roli w „Kopciuszku”, z tą różnicą, że spodnie w Brit nie były tak wygodne ani tak obszerne w kroku.

Cudak w stroju lokaja posłużył jej za kolejne źródło inspiracji. Znużona surdutami wymyślała coraz to dziwniejsze przebrania: organizowała maskarady, podczas których musiałam się przebierać za aksamitną kurtyną w salonie. Odbywało się to mniej więcej raz w tygodniu. Przy stole towarzyszyłam im w spodniach, lecz gdy zajmowały się kawą i papierosami, dyskretnie wymykałam się z jadalni. Nim zdążyły przejść do salonu, ja stałam już za kurtyną, przybierając odpowiednią pozę, po czym Diana pociągała za ozdobny

sznurek i ukazywała mnie oczom zachwyconych gości.

Mogłam być Perseuszem z zakrzywionym ostrzem i ściętą głową Meduzy, w sandałach zawiązywanych na rzemyki aż do kolan albo Kupidynem ze skrzydełkami i łukiem. Kiedyś byłam świętym Sebastianem, przywiązany do pala – pamiętam, ile wysiłku kosztowało nas przymocowanie strzał, tak aby nie spadały.

Któregoś wieczoru byłam Amazonką. Trzymałam łuk Kupidyna, lecz tym razem miałam odsłoniętą pierś, a Diana pomalowała mi sutek czerwoną szminką. W następnym tygodniu (stwierdziła, że skoro pokazałam jedną pierś, równie dobrze mogę pokazać obie) stałam się francuską Marianną, we frygijskiej czapce i z flagą. Potem przyszła kolej na Salome: ponownie trzymałam ściętą głowę, tyle że nie w ręku, ale na talerzu, i z doczepioną brodą. Panie klaskały, ja zaś w tańcu zrzuciłam z siebie wszystko prócz majtek.

Tydzień później... cóż, tydzień później byłam Hermafrodytą. Miałam na sobie wieniec laurowy oraz warstwę srebrnej farby, na biodrach zaś Monsieur Dildo. Na ten widok damy zgodnie wstrzymały oddech.

To sprawiło, że zadrżał.

A jako że jego drżenie działało na mnie w określony sposób, pomyślałam o Kitty. Zastanawiałam się, czy nadal występuje w cylindrze i surducie, wyśpiewując piosenki w stylu „Żony i narzeczone”.

Diana podeszła bliżej i włożywszy mi do ust różowego papierosa, wprowadziła mnie między przyjaciółki, aby mogły dotknąć skórzanej powierzchni „instrumentu”. Nie wiem, czy pomyślałam wówczas o Kitty, czy może o samej Dianie. Chyba ogarnęło mnie przeświadczenie, że znów jestem dziwką na Piccadilly. Nie, nie dziwką, ale jej klientem. Kiedy bowiem drżałam, nie mogąc powstrzymać się od krzyku, z ciemności wychynęły drwiące uśmiechy, a gdy wybuchnęłam płaczem, odpowiedział mi chóralny śmiech.

Byłam bezradna. Spełniałam jedynie zachcianki Diany. Była niewyobrażalnie zuchwała, żarliwa i szatańsko przebiegła. Stała na czele swojego cudacznego orszaku niczym królowa i zawsze skupiała na sobie wszystkie spojrzenia. Przyjaciółki przynosiły jej prezenty, „do kolekcji”, która była przedmiotem rozmów i obiektem powszechnej zazdrości! Ich uwagi nie uszedł żaden jej gest, chciwie spijały z jej ust każde słowo, zahipnotyzowane niskim, melodyjnym głosem, który niegdyś przerwał moją nocną wędrówkę i zwabił mnie w głąb mrocznego świata swej właścicielki. Najłżejszy szept lub okrzyk Diany kruszył argumenty i uciszał rozmowy: panie jedna po drugiej ulegały nieodpartemu czarowi opowieści pani Lethaby.

Zuchwałość Diany udzielała się innym. W jej obecności kobiety traciły głowę. Była niczym śpiewak, którego głos wprawia w drżenie wszystkie szklanki. Była jak pleśń, jak rak. Przypominała bohaterki swych obrzydliwych powieści: można by ją zamknąć w pokoju z zakonnicą i guwernantką, a po godzinie okręciłaby je sobie wokół palca.

Pomyślcie, że miałam jej dosyć. Nie, jeszcze nie. Bo niby jak? Tworzyłyśmy zgrany duet. Była lubieżna, śmiała – cóż świadczyło o tym lepiej niż ja? Kto mógł potwierdzić jej nieokiełznaną pasję, niepodzielną władzę, niezwykłą, magiczną atmosferę domu przy

Felicity Place, gdzie pospolite normy i zasady szły w zapomnienie, ustępując miejsca kosmicznemu chaosowi? Kto, jeśli nie ja?

Stanowiłam dowód jej rozpusty, świadectwo rozwiązłości. Musiała mnie zatrzymać albo stracić wszystko.

Ja zaś mogłam trzymać się jej albo zostać z niczym. Zresztą to życie bardzo mi odpowiadało: Diana rozbudziła we mnie szczególne apetyty, a gdzie zdołałabym je zaspokoić, jeśli nie z nią i w towarzystwie safistek?

Wspominałam już o beczasowości swego życia, które płynęło z dala od reguł i zasad wyznaczanych przez zegar i kalendarz. Często kochałyśmy się aż do świtu i jadłyśmy śniadanie o zmierzchu, bywało też, że budziłyśmy się o normalnej porze, lecz zostawałyśmy w łóżku, przy zasuniętych zasłonach, i jadłyśmy lunch przy świecach. Kiedyś zadzwoniłyśmy na Blake i zjawiła się w koszuli nocnej: było dopiero wpół do czwartej i zerwałyśmy ją z łóżka. Innym razem obudził mnie śpiew ptaków; mrużąc oczy, spojrzałam na światło przeświecające przez zasłony i uświadomiłam sobie, że od tygodnia nie widziałam słońca. W dobrze ogrzewanym domu, wyręczane we wszystkim przez służbę, z powozem, który zawoził nas tam, gdzie chcieliśmy, nawet pory roku traciły swe zwykłe znaczenie i zyskiwały nowe. Zrozumiałam, że nadeszła zima, dopiero gdy Diana zmieniła suknie z jedwabnych na wełniane, płaszcze zaś z grenadynowych na sobolowe, a w mojej szafie zaroilo się od ubrań z tweedu, wielbłądziej wełny i okryć z karakułami.

Nadeszła jednakże rocznica, o której nawet magiczna atmosfera Felicity Place z jej narkotycznym przepychem nie dała mi zapomnieć. Pewnego dnia, niespełna rok od poznania Diany, obudził mnie szelest gazety. Moja pani leżała obok z porannym dziennikiem. Zerknęłam na nagłówek. „Demonstracja zwolenników autonomii irlandzkiej – głosił – trzeci czerwca”. Bynajmniej nie chodziło o treść: ta nic dla mnie nie znaczyła. Ale data brzmiała znajomo. Trzeciego czerwca były moje urodziny. Za tydzień miałam skończyć dwadzieścia trzy lata.

– Dwadzieścia trzy lata! – powtórzyła z zachwytem Diana, kiedy jej o tym powiedziałam. – Cóż za cudowny wiek! Człowiek jest w pełni młodości, niebaczny na zawistne spojrzenia czasu.

Mogła w podobnym duchu rozprawiać od samego rana. Ziewnęłam. Ożywiłam się dopiero, gdy powiedziała, że musimy to uczcić.

– Czego jeszcze nie robiłyśmy? – zastanawiała się głośno. – Gdzie by tu cię zabrać...?

Wybór padł na operę.

Pomysł nie przypadł mi do gustu, lecz nie dałam nic po sobie poznać: jeszcze nie zaczęłam pokazywać jej humorów. Poza tym miałam w sobie dużo z dziecka i perspektywa rychłych urodzin oraz prezentów wprowadziła mnie w stan radosnego podniecenia.

Przy śniadaniu dostałam dwie paczki owinięte w złoty papier. Pierwsza była duża i zawierała płaszcz, w sam raz na wyjście do opery. Spodziewałam się takiego prezentu, dlatego nie zrobił na mnie większego wrażenia. Drugie pudełko okazało się znacznie ciekawsze. Było małe i lekkie: domyśliłam się, że kryje jakąś błyskotkę, na przykład spinki

do mankietów albo szpilkę do krawata czy może sygnet. Dickie nosiła sygnet na małym palcu lewej ręki, podziwiałam go nieraz. Tak, to na pewno sygnet, taki jak ma Dickie.

Ale to nie był sygnet, tylko srebrny zegarek na cienkim, skórzanym pasku. Z dwiema ciemnymi wskazówkami określającymi godziny i minuty oraz jedną szybszą, odliczającą sekundy. Szkiełko przykrywało cyferblat, a mechanizm nakręcało się małym pokrętelem. Oglądałam go ze wszystkich stron. Diana patrzyła na mnie z uśmiechem.

– To zegarek na rękę – wyjaśniła wreszcie.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem (nie nosiło się wówczas zegarków na rękę, dlatego stanowiły one intrygującą nowość), a następnie spróbowałam go założyć. Oczywiście nie zdołałam zapiąć sprzączki: podobnie jak większość czynności przy Felicity Place ta również wymagała pomocy pokojówki. Wreszcie Diana sama zapięła zegarek, po czym obie spoglądałyśmy na małą tarczę i sunącą wskazówkę, nasłuchując cichego tykania.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam, Diano! – zawołałam. Poróżowiała i zrobiła zadowoloną minę: była suką, ale nie zatraciła do reszty ludzkich cech.

Później pokazałam zegarek Marii, która przyszła z wizytą; pokiwała głową i z uśmiechem pogładziła mój nadgarstek pod skórzanym paskiem. Następnie wybuchnęła śmiechem.

– Ależ skarbie, przecież on źle chodzi! Wskazuje siódmą, a jest dopiero piętnaście po czwartej!

Ponownie spojrzałam na tarczę i zmarszczyłam brwi: traktowałam zegarek jako ozdobę, nie przyszło mi do głowy, aby z jego pomocą odmierzać czas. Przez wzgląd na Marię przesunęłam wskazówki odpowiednio na czwórkę i trójkę, choć w zasadzie nie miałam po co go ustawiać.

Zegarek był najwspanialszym prezentem, ale dostałam upominek również od Marii: była to hebanowa laska z chwościkiem i srebrnym okuciem. Bardzo pasowała do mojego wieczorowego stroju. Tworzyłyśmy z Dianą idealnie dobraną parę, gdyż jej strój był czarny, z akcentami bieli i srebra, pod kolor mojego. Zamówiła suknię u Wortha i razem wyglądałyśmy jak wycięte z żurnala. Idąc, trzymałam uniesioną lewą rękę, tak aby zegarek był cały czas dobrze widoczny.

Zjadłyśmy kolację w Solferino, w towarzystwie Dickie i Marii, która przyszła z Satynkiem i rzucała mu smaczne kąski z talerza. Na wieść o moich urodzinach kelnerzy uwijali się jak w ukropie, co chwila dolewając nam wina.

– Ile lat kończy młody dżentelmen? – pytali Dianę. Ich ton wskazywał, że brali mnie za młodszą, niż byłam. Zapewne uznali, że Diana jest moją matką i z różnych względów nie była to przyjemna myśl. Kiedy jednak później przystanęłam obok pucybuta, ten widząc Dickie i (jak często bywało) biorąc nasz męski wygląd za oznakę rodzinnego podobieństwa zapytał, czy ona (Dickie) jest moją ciotką, która na ten dzień zwolniła mnie ze szkoły. Warto było dać się wziąć za uczniaka, choćby po to, żeby zobaczyć jej minę. Raz czy dwa próbowała ze mną rywalizować w kwestii ubioru. Na przykład w moje urodziny włożyła koszulę ze spinkami, na którą zarzuciła krótką męską pelerynkę. Pod szyją jednak miała

żabot: ja w życiu nie nosiłabym czegoś równie zniewieściałego. Nieświadomie upodobniła się do starego transwestyty, jakich czasem widuje się na Piccadilly w towarzystwie młodych chłopców: słyną w środowisku jako „królowe”.

Zjadłyśmy wykwinną kolację, po czym Diana wysłała kelnera po powóz. Jak już wspomniałam, jej plan spędzenia owego wieczoru nie wzbudził we mnie entuzjazmu, choć nie kryłam podniecenia, kiedy nasz powóz dołączył do sznura rozkołysanych pojazdów u drzwi Opery i weszłyśmy (Diana, Maria, Dickie i ja) w tłum eleganckich dam i dżentelmenów wypełniających foyer. Nigdy wcześniej tu nie byłam, nigdy też nie obracałam się w równie zamożnym i wytwornym towarzystwie: panowie w jedwabnych kapeluszach, trzymający kieliszki, damy obwieszane brylantami, w rękawiczkach tak długich i obcisłych, że wyglądały, jakby przed chwilą unurzały ręce w mleku aż po pachy.

Przez chwilę stałyśmy w miejscu, Diana wymieniła pozdrowienia z kilkoma paniami, a Maria przyciskała Satynka do piersi, z dala od groźby obcasów i trenów zamiatających podłogę. Dickie zaproponowała, że przyniesie drinki, po czym oddaliła się pospiesznie.

– Neville, bądź łaskaw odnieść nasze płaszcze – poleciła Diana, wskazując na kontuar, za którym dwaj mężczyźni w liberiach wieszali okrycia. Odwróciła się, żebym zdjęła jej płaszcz, Maria uczyniła to samo. Ruszyłam przez westybul, po czym przystanąłam, by rozpiąć swoją pelerynę, rozmyślając przez cały czas, cóż to za niezwykle otoczenie i jak pięknie wyglądam na jego tle. Pilnowałam też, by płaszcze nie zasłaniały mojego zegarka. Przy szatni zebrała się spora grupka osób; stanęłam w kolejce, spoglądając od niechcienia na mężczyzn, którzy przyjmowali płaszcze i wręczali gościom numerki. Jeden był chudy i miał ziemistą twarz: uznałam, że to Włoch. Drugi był Murzynem. Kiedy wreszcie dotarłam do kontuaru i mężczyzna zwrócił twarz w moją stronę, zobaczyłam, że to Billy-Boy, mój kumpel od papierosa z Brit.

Stanęłam jak oniemiała, gotowa rzucić się do ucieczki, zanim mnie zauważy. Machinalnie zacisnęłam palce na płaszcach; mężczyzna szarpnął, po czym zdziwiony uniósł na mnie wzrok. Wówczas zrozumiałam, że wcale mnie nie rozpoznał, zastanawiał się tylko, dlaczego się waham. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

– Bill – powiedziała cichutko. Spojrzał uważniej.

– Tak, proszę pana?

Przełknęłam ślinę.

– Nie pamiętasz mnie, Bill? – Pochyliłam się, zniżając głos. – To ja, Nan – szepnęłam. – Nan King.

Billy-Boy zmienił się na twarzy.

– O mój Boże! – wykrztusił.

Kolejka za moimi plecami stawała się coraz dłuższa; ktoś krzyknął: „Co się tam dzieje?”. Bill wziął ode mnie płaszcze i zawiesiwszy je na kołku, wręczył mi numerek.

Następnie odszedł na bok, pozostawiając kolegę na pastwę zniecierpliwionych gości. Stanęłam naprzeciw niego i spojrzeliśmy na siebie ponad kontuarem, kręcąc głowami. Pot perlił mu się na czole. Miał na sobie biały surdut i czerwony krawat z lichego materiału.

– Boże, aleś mnie wystraszyła, Nan! – powiedział. – Pomyślałem, że ci winien okrągłą sumkę. – Zlustrował moje ubranie i włosy. – Co ma znaczyć ten wygląd? – Wytarł czoło i rozejrzał się na boki. – Przyszłaś z agentem? Bo chyba tu nie występujesz, prawda?

Potrząsnęłam głową.

– Nie nazywaj mnie „Nan”, Bill – odrzekłam ściszym tonem. – Chodzi o to... – Chodziło o to, że zupełnie nie wiedziałam, jak mu to wyjaśnić. Zawahałam się, ale nie mogłam kłamać. – Bill, jestem teraz znana jako chłopiec.

– Jako chłopiec? – Powiedział to na cały głos, po czym zasłonił usta ręką. Kilku dżentelmenów z kolejki zerknęło w naszą stronę. Odsunęłam się nieco dalej.

– Jako chłopiec – powtórzyłam. – Mieszkam z pewną damą, która się mną opiekuje...

Spojrzał domyślnie i kiwnął głową. Za jego plecami Włoch upuścił kapelusz, ktoś cmoknął niecierpliwie.

– Zaczekasz chwilę? – spytał Bill, po czym pomógł koledze zawiesić kolejne okrycia. Następnie wrócił do mnie. Włoch zrobił niezadowoloną minę.

Popatrzyłam na Dianę i Marię, które na mnie czekały. Foyer nieco opustoszało. Maria postawiła Satynka na podłodze i pies zaczął drapać jej spódnicę. Diana usiłowała podchwycić mój wzrok. Spojrzałam na Billa.

– Co u ciebie? – zapytałam.

Zrobił smutną minę i podniósł rękę; błysnęła obrączka.

– Starczy powiedzieć, że się ożeniłem! – oznajmił.

– Ożeniłeś się! Bardzo się cieszę, Bill! Kim jest ta szczęściara? Chyba nie Flora? Flora, nasza dawna garderobiana?

Bill skinął głową i potwierdził.

– Wziąłem tę robotę przez wzgląd na Florę – dodał.

– Pracuje nieopodal, w Old Mo. Jest nadal, no wiesz... – spojrzał z zakłopotaniem – ...jest nadal garderobianą Kitty...

Utkwiłam w nim wzrok. Z kolejki znowu dobiegły pomruki, Włoch popatrzył z wyrzutem, więc Bill pospieszył mu pomóc. Uniosłam rękę do głowy i przeczesałam palcami włosy, usiłując pojąć to, co mi powiedział. Ożenił się z Florą, a Flora nadal pomaga Kitty, która występuje w Middlesex Music Hall. Dzieliły nas zaledwie trzy ulice.

Kitty oczywiście jest żoną Waltera.

Czy są szczęśliwi, chciałam zawołać do Billa. Czy kiedykolwiek o mnie wspomina? Czy o mnie myśli? Tęskni za mną? Lecz gdy Billy-Boy wrócił, jeszcze bardziej zdyszany i spocony niż przedtem, zapytałam tylko:

– Jak tam jej występy?

– Jej występy? – Pociągnął nosem. – Moim zdaniem nie za dobrze. Nie tak, jak za dawnych czasów...

Wymieniliśmy spojrzenia. Popatrzyłam na niego uważniej i dostrzegłam, że nabrał nieco ciała, a pod oczami miał ciemne podkówki.

– Bill, przyjdiesz wreszcie? – zawołał Włoch. Bill powiedział, że musi iść.

Skinęłam głową i wyciągnęłam rękę. Ujął ją, po czym znów się zawahał.

– Wiesz, wszyscy strasznie żalowaliśmy, kiedy odeszłaś – rzucił pośpiesznie.

Wzruszyłam ramionami.

– Zwłaszcza Kitty bardzo to przeżyła – podjął. – Co tydzień zamieszczali z Walterem ogłoszenia w „Erze” i „Ref”. Nigdy nie widziałaś tych ogłoszeń, Nan?

– Nie, Bill, nigdy.

Potrząsnął głową.

– A tu proszę, przychodzisz do opery, ubrana jak hrabia! – Rzucił mi zaintrygowane spojrzenie i dodał: – Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam. Ponownie zerknęłam na Dianę. Stała z przechyloną głową, nie spuszczać ze mnie wzroku. Obok niej tkwiła Maria z Satynkiem oraz Dickie z tacą pełną kieliszków i monoklem w oku.

– Wino się zagrzeje, Diano – powiedziała z pretensją: jej głos zabrzmiał wyraźnie w opustoszałym foyer.

Diana ponownie przechyliła głowę na bok.

– Co ten chłopiec wyprawia? – spytała.

– Rozmawia z czarnuchem w szatni! – odpowiedziała Maria.

Policzki spłonęły mi rumieńcem, zerknęłam na Billa. Jego wzrok podążył wcześniej za moim spojrzeniem, zaraz jednak spoczął na mężczyźnie, który czekał, aby oddać płaszcz. Billy-Boy chwycił okrycie i podążył w stronę rzędu wieszaków.

– Do widzenia, Bill! – zawołałam. Skinął mi przez ramię i rzucił na pożegnanie smętny uśmiech. Chciałam odejść, po czym, tknięta nagłą myślą, wróciłam do kontuaru. – O której Kitty zaczyna swój numer w Mo?

– Swój numer? – zastanowił się, składając kolejny płaszcz. – Nie jestem pewien. Na początku drugiej połowy, około wpół do dziesiątej...

– Chodzi o napiwek, Neville? – usłyszałam z tyłu głos Marii.

Wiedziałam, że jeszcze chwila, a dojdzie do jakiejś niemiłej sceny. Nie oglądając się, wróciłam do Diany i przeprosiłam ją za tak długą zwłokę. Kiedy jednak uniosła rękę, aby poprawić mi luźny kosmyk włosów, drgnęłam, czując na sobie spojrzenie Billa, gdy zaś ujęła mnie pod ramię, a Maria podeszła z drugiej strony, plecy zapiekły mnie żywym ogniem, jakby ktoś celował w nie z pistoletu.

Prawie nie zwróciłam uwagi na wytworny hol. Nie siedziałyśmy w łoży (nie starczyło czasu, żeby ją zarezerwować), miałyśmy jednak bardzo dobre miejsca pośrodku jednego z pierwszych rzędów. W wyniku mojej opieszałości przyszłyśmy późno i prawie wszystkie fotele były już zajęte; tak więc żeby dojść do naszych, musiałyśmy się potykać o ponad dwadzieścia par nóg. Dickie rozlała wino, Satynek skoczył na damę z lisem na szyi. Diana usiadła naburmuszona: nie takie wejście sobie zaplanowała.

Zająłam miejsce obok niej, obojętna na to, co się działo wokół. Mogłam myśleć tylko o Kitty. O tym, że występuje codziennie, razem z Walterem. Że Bill codziennie ją widuje; dziś też ją zobaczy, kiedy pójdzie po Floreę. Że pewnie teraz maluje się w garderobie,

podczas gdy my jesteśmy tutaj, jedynie trzy ulice dalej.

Moje rozmyślania przerwała burza oklasków: publiczność witała dyrygenta. Przygasły światła i ludzie na widowni ucichli. Gdy zagrała orkiestra i kurtyna powędrowała w górę, spojrzałam półprzytomnie na scenę. Wzdrygnęłam się, słysząc pierwszą arię. Wystawiano „Wesele Figara”.

Prawie nic nie zapamiętałam. Myślałam tylko o Kitty. Mój fotel wydawał się niemożliwie wąski i twardy; kręciłam się bez przerwy, dopóki Diana szeptem nie przywołała mnie do porządku. Rozmyślałam o dniach, kiedy spacerowałam po mieście pełna obaw, że lada chwila spotkam Kitty; o przebraniu, jakie sobie wymyśliłam, aby jej unikać. Zaiste, w czasach mojej ulicznej kariery unikanie Kitty stało się dla mnie nawykiem: machinalnie omijałam pewne dzielnice i wybierałam inne trasy. Przypominałam człowieka z odciskiem lub złamaną kończyną, który uczy się przeciskać przez tłum w taki sposób, aby nikt nie uraził bolącego miejsca. Teraz, kiedy wiedziałam, że Kitty jest tak blisko, czułam się, jakbym sama musiała przysporzyć sobie cierpień. Muzyka zabrzmiała głośniej, doprowadzając mnie do bólu głowy, fotel wydawał się jeszcze bardziej niewygodny. Spojrzałam na zegarek, lecz w mroku nie widziałam wskazówek: musiałam przechylić tarczę do światła padającego ze sceny i niechcący trąciłam łokciem Dianę, która westchnęła z irytacją i rzuciła mi rozżłoszczone spojrzenie. Zegarek wskazywał za pięć dziesiątą – jak dobrze, że jednak go nakręciłam! Na scenie hrabina i jej pokojówka nie wiedzieć czemu przebrały głównego bohatera w suknię i wepchnęły go do szafy. Hałas i zamieszanie przechodziły wszelkie wyobrażenia. Odwróciłam się do Diany.

– Dłużej nie wytrzymam – powiedziałam. – Zaczekam na was w foyer.

Próbowała mnie zatrzymać, ale wyszarpnęłam rękę i zerwałam się z miejsca. Przepraszając po drodze wszystkie osoby, o które się potykałam i którym deptałam po nogach, mozolnie precisiłam się do wyjścia.

W foyer panowała błoga cisza. W szatni Włoch czytał gazetę. Kiedy podeszłam bliżej, pociągnął nosem.

– Nie ma go – odrzekł, gdy zapytałam o Billa. – Wychodzi zaraz po rozpoczęciu przedstawienia. Podać płaszcz?

Nie chciałam płaszcza. Wyszłam z opery i skierowałam się w stronę Drury Lane, dotkliwie świadoma swego eleganckiego ubrania, wypucowanych butów i kwiatka w kłapie. Dotarłam do Middlesex, gdzie grupka chłopców studiowała program i komentowała poszczególne numery. Zajrzałam im przez ramię, wypatrując znajomych nazwisk.

„Walter Waters i Kitty”, przeczytałam wreszcie. Uderzyło mnie, że Kitty zrezygnowała ze swego „Butler” i przyjęła dawny pseudonim Waltera. Zgodnie ze słowami Billa ich numer przypadał na początku drugiej połowy: byli czternaści na liście, po szansonistce i chińskim kuglarzu.

Bilety sprzedawała dziewczyna w fioletowej sukience. Podeszłam do okienka.

– Kto jest na scenie? – zapytałam, wskazując głową w głąb holu. – Przy którym są

numerze?

Uniosła wzrok i zachichotała na widok mojego stroju.

– Zgubiłeś drogę, złotko – odpowiedziała. – Chyba wybierałeś się do opery, to dwa kroki stąd.

Bez słowa przygryzłam wargę i dziewczyna spoważniała.

– W porządku, lordzie Alfredzie – rzuciła pojednawczo. – Dwunastka, Belle Baxter, uliczna pieśniarka.

Kupiłam bilet za sześć pensów. Dziewczyna zrobiła głupią minę.

– Myślałam, że będzie przynajmniej pierwszy rząd.

Prawdę mówiąc, wolałam nie podchodzić zbyt blisko sceny. Podejrzewałam, że Billy-Boy przyszedł do teatru i opowiedział Kitty o naszym spotkaniu i o tym, jak byłam ubrana. Pamiętałam, że w małym teatrze publiczność jest tak blisko sceny, poza tym mój strój siłą rzeczy przykuwał uwagę. Myśl, że Kitty podczas występu z Walterem mogłaby mnie zobaczyć, była nie do zniesienia.

Dlatego wybrałam galerię. Na górę prowadziły wąskie schody, po drodze musiałam minąć jakąś przytuloną parę. Podobnie jak bileterka, młodzi ludzie zerknęli na mój ubiór i parsknęli śmiechem. Zza ściany dobiegały rytmiczne dźwięki muzyki. Kiedy dotarłam na szczyt schodów, serce łomotało mi w piersi, wtórując orkiestrze. Wreszcie weszłam na salę; mętnawy półmrok, zaduch i smród rozwrzeszczanej gawiedzi mało nie zbiły mnie z nóg.

Na scenie popisywała się dziewczyna w jaskrawopomarańczowej sukni, którą wywijiała tak zawzięcie, że wszyscy mogli obejrzeć jej pończochy. Kiedy stanęłam przy kolumnie, usiłując odzyskać równowagę, artystka skończyła jedną piosenkę i zaczęła kolejną. Tłum najwyraźniej dobrze ją znał. Rozległy się oklaski i gwizdy, a ja ruszyłam w kierunku wolnego miejsca. Znajdowało się w rzędzie okupowanym przez samych chłopców – nie był to najszcześniejszy wybór, gdyż oczywiście mój wygląd ponownie wzbudził falę wesołości oraz szereg znaczących spojrzeń. Jeden z wyrostków kaszlnął w rękę, mrużąc coś, co zabrzmiało jak „Ale szycha!”. Odwróciłam głowę i utkwiałam wzrok w scenie. Po chwili wyjęłam papierosa i zapaliłam. Ręce zdrząły mi niebezpiecznie.

Występ ulicznej pieśniarki dobiegł końca. Rozległy się owacje, po czym nastąpiła krótka przerwa wypełniona okrzykami i ogólnym szuraniem. Wreszcie orkiestra zagrała uwerturę do kolejnego numeru, chińską, jękliwą melodię, na której dźwięk jeden z mych sąsiadów zerwał się z miejsca, krzycząc: „Czajnik!”. Kurtyna poszła w górę, ukazując oczom zebranych magika, dziewczynę oraz czarną, lakierowaną szafę, uderzającą podobną do tej, która stała w sypialni Diany. Magik pstryknął palcami: nastąpił huk, błysk i znad sceny wzbił się obłok fioletowego dymu, na co jeden z chłopców włożył palce do ust i zagwizdał.

Widziałam (a przynajmniej tak mi się zdawało) z tysiąc podobnych numerów; teraz patrzyłam na scenę z papierosem w zaciśniętych wargach, czując narastającą niepewność i mdłości. Przypomniałam sobie, jak siedziałam w łoży w Canterbury Palace, z

roztrzepotanym sercem, zaciskając dłonie w rękawiczkach z kokardkami na poręczy fotela; odnosiłam wrażenie, jakby od owej chwili minęło sto lat. Lecz, podobnie jak wtedy, ścisnęłam palcami lepki aksamit fotela i wpatrzona w skraj sceny, gdzie nad zakurzonymi deskami majaczył zarys lin, pomyślałam o Kitty. Ona gdzieś tam była: stała za kulisami, poprawiając kostium lub przekomarzając się z Florą i Walterem. Albo z niedowierzaniem słuchała opowieści Billy-Boya i może się uśmiechała albo płakała, a może powiedziała tylko: „coś podobnego!”, żeby zaraz znów o mnie zapomnieć...

Takie oto myśli kołatały mi w głowie, gdy magik wykonywał ostatnią sztuczkę. Ponownie coś błysnęło i scenę spowiła kolejna chmura dymu, który sięgnął aż do galerii. Tłum szalał, kaszłac i wiwatując. Kurtyna opadła i znowu nastąpiła przerwa, podczas której szykowano scenę do kolejnego numeru, a oświetleniowiec manewrował przy lampach, wymieniając przesłony, i scenę zalało najpierw niebieskie, a potem białe i bursztynowe światło. Zgasiałam papierosa i sięgnęłam po następnego. Tym razem mój ruch nie uszedł uwagi chłopców; wyciągnęłam papierośnicę i każdy wziął sobie po jednym.

– Hojny z ciebie gość.

Pomyślałam o Dianie. A jeśli przedstawienie się skończyło i czeka na mnie, klnąc pod nosem i postukując programem w udo?

A jeśli wróciła na Felicity Place beze mnie?

Naraz jednak zabrzmiała muzyka i rozległo się skrzywienie kurtyny. Spojrzałam na scenę... i ujrzałam Waltera.

Wydawał się tęgi, znacznie grubszy, niż zapamiętałam. Może przytył, a może tylko miał wywatowany kostium. Nastroszył sobie grzebieniem wąsy, przez co sterczały mu komicznie. Był ubrany w kraciaste obcisłe spodnie i zielony aksamitny surdut, na głowie miał szlafmycę, a z kieszeni wyglądała fajka. Za jego plecami zawieszono tkaninę z namalowanym wnętrzem pokoju. Śpiewając, opierał się o fotel. Był sam. Pierwszy raz widziałam go w kostiumie i z makijażem. Tak bardzo różnił się od zapamiętanego przeze mnie mężczyzny w rozchełstanej koszuli i z wilgotną brodą, obejmującego Kitty, że zmarszczyłam brwi i serce niemal zamarło mi w piersi.

Śpiewał łagodnym barytonem, wcale przyjemnym dla ucha; po początkowej owacji, którą powitano jego występ, rozległa się kolejna fala zadowolonych oklasków oraz kilka entuzjastycznych okrzyków. Jego piosenka wydała mi się jednak dość dziwaczna: śpiewał o zagubionym synku imieniem Jacky. Nastąpiło kilka zwrotek, z których każda kończyła się identycznym refrenem: „Gdzie, ach gdzie jest mały Jacky?”. Pomyślałam, jakie to dziwne, że sam śpiewa taką piosenkę. A co z Kitty? Zaciągnęłam się dymem z papierosa. Nie bardzo mogłam sobie wyobrazić, jaką rolę miała tu odegrać w swym jedwabnym cylindrze i krawacie, z kwiatem w butonierce...

Ta myśl zasiała we mnie okropne podejrzenie. Walter wyjął z kieszeni chustkę i wycierał nią oczy. Podczas refrenu dołączył doń chór głosów z widowni: „Ale gdzie, ach gdzie jest mały Jacky?”. Wierciłam się na fotelu. Tylko nie to, myślałam. Proszę, tylko nie to!

Niestety. Zanim płacziwe pytanie zdołało wybrzmieć do końca, zza kulis dał się słyszeć

pisikliwy głosik: „Tu jest twój mały Jacky, tatusiu! Tutaj!”. Jakaś postać wbiegła na scenę i chwyciwszy dłoń Waltera, złożyła na niej soczysty pocałunek. Kitty. Była ubrana w chłopięcy strój marynarski, białą workowatą bluzę z niebieskim kołnierzem, białe spodenki zapinane pod kolanami, pończochy oraz brązowe trzewiki na płaskiej podeszwie, na plecach podskakiwał jej słomkowy kapelusz zawieszony na wstążce. Włosy, nieco dłuższe niż kiedyś, miała starannie ufryzowane. Orkiestra zagrała inną melodię i artyści zaśpiewali w duecie.

Rozradowany tłum bił brawo. Gdy Kitty podskoczyła, a Walter pogroził jej palcem, publiczność wybuchnęła śmiechem. Była wniebowzięta. Widzowie patrzyli z przyjemnością, jak Kitty (moja śliczna, szelmowska, zuchwała Kitty) odgrywała dziecko własnego męża, ubrana w spodenki do kolan i pończochy. Nikt nie widział moich rumieńców i zażenowania, a jeśli nawet, były one niezrozumiałe. Płonęłam ze wstydu, chociaż sama nie wiedziałam dlaczego. Nie czułabym się gorzej, gdyby ją wygwizdali albo obrzucili jajkami. Ale oni ją uwielbiali!

Przyjrzałam jej się uważnie. Nagle przypomniałam sobie operową lornetkę; wydobylam ją z kieszeni i uniosłam do oczu. Ujrzałam Kitty tuż na wprost siebie, tak blisko, jak we śnie. Jej włosy, dłuższe niż dawniej, nadal miały orzechową barwę. Rzęsy były wciąż tak samo długie, sama Kitty zaś nadal wydawała się smukłą jak brzoźka. Zamalowała swoje prześliczne piegi, zastępując je paroma komicznymi kropkami, lecz ja, która tak często obwodziłam palcem ich misterny wzór, dostrzegłam je nawet pod grubą warstwą pudru. Kiedy śpiewała, jej pełne wargi połyskiwały zupełnie tak jak kiedyś. Uniosła głowę i w przerwie pomiędzy zwrotkami ucałowała wąsy Waltera...

Gwałtownie opuściłam lornetkę. Widząc zawistne spojrzenia chłopców przekazałam ją dalej; wreszcie trafiła chyba na balkon drugiego piętra, w ręce jakiejś dziewczyny. Kiedy ponownie przeniosłam wzrok na scenę, Kitty i Walter byli bardzo mali. Walter opadł na fotel, Kitty przycupnęła na jego kolanie: przyciskała do piersi splecione dłonie, energicznie machając nogami obutymi w płaskie, chłopięce trzewiki. Nie mogłam dłużej tego wytrzymać. Wstałam. Chłopcy zawołali coś za mną, ale nie dosłyszałam. Wypadłam na zaciemniony korytarz i dobrnęłam jakoś do wyjścia.

Po powrocie do Opery stwierdziłam, że śpiewacy nadal wydzierają się na scenie przy wtórze hałaśliwej muzyki. Słyszałam to przez drzwi: zabrakło mi odwagi, by wrócić na fotel i stawić czoło niezadowoleniu Diany. Oddawszy numerek włoskiemu szatniarzowi, usiadłam w foyer, obserwując, jak ulica wypełnia się oczekującymi powozami, kwiaciarkami oraz dziwkami obojga płci.

Wreszcie z widowni dobiegły okrzyki: „Brawo!”. Ludzie wywoływali na scenę solistów. Wreszcie drzwi się otworzyły i do foyer zaczęli napływać rozgadani goście. Po pewnym czasie zobaczyłam Dianę, Marię i Dickie z psem; na mój widok podeszły bliżej i ziewając, jęły mi wyrzucać tak długą nieobecność i dopytywać o jej przyczyny. Skłamałam, że wymiotowałam w męskiej toalecie. Diana przyłożyła dłoń do mojego policzka.

– Za dużo wrażeń jak na jeden dzień – uznała.

Powiedziała to jednak dość chłodno i drogę do domu odbyliśmy w milczeniu. Kiedy pani Hooper wpuściła nas do środka i zaryglowała wielkie frontowe drzwi, ruszyłam wraz z Dianą w stronę sypialni. Następnie minęłam ją i skierowałam się do swego pokoju.

– A ty dokąd? – zapytała, chwytając mnie za rękę. Wyrwałam się gwałtownie.

– Czuję się podle, Diano – powiedziałam. – Daj mi spokój.

Ponownie złapała mnie za rękę.

– Czujesz się podle – powtórzyła z pogardą. – Uważasz, że obchodzi mnie, jak się czujesz? Idź do mojego pokoju i natychmiast się rozbierz, ty mała dziwko.

Zawahałam się chwilę.

– Nie, Diano – odpowiedziałam.

Podeszła bliżej.

– Słucham?

Bogacze wypowiadają to słowo w szczególny sposób: jest zakończone ostrym szpikulcem i wychodzi z ich ust niczym nóż z pochwy. Dokładnie tak zabrzmiało teraz. Czułam, jak przenika mnie na wskroś i powala na ziemię. Przełknęłam ślinę.

– Powiedziałam: „nie, Diano”. – Mój głos nie był mocniejszy od szeptu. Słyszając te słowa, złapała mnie za koszulę, aż się zatoczyłam. – Boli – zawołałam. – Puść mnie. Puszczaj! Zniszczysz mi koszulę!

– Co, koszulę? – powtórzyła.

Włożyła palce pod zapięcie i szarpnęła guziki, odsłaniając moje nagie piersi. Następnie zerwała ze mnie surdut, ciężko dysząc i napierając na mnie całym ciałem. Zachwiałam się, łapiąc równowagę, po czym zasłoniłam się ramieniem w obawie, że mnie uderzy. Kiedy jednak spojrzałam jej w twarz, dostrzegłam nie wściekłość, lecz pożądanie. Chwyła moją rękę i poprowadziła ją do wycięcia sukni; kiedy zrozumiałam, do czego zmierza, pomimo narastającej rozpaczyci poczułam mrowienie w podbrzuszu. Szarpnęłam za koronkę. Trzask pękających szwów podziałał na mnie jak smagnięcie bata. Zerwałam z Diany suknię, jej czarną suknię z akcentami bieli i srebra, zamówioną u Wortha pod kolor mojego stroju: kiedy podarta i zmięta opadła na dywan, Diana kazała mi na niej przykłęknąć i zrobić swoje, dopóki nie doszła, raz, a potem kolejny.

A na koniec i tak odesłała mnie do mojego pokoju.

Leżałam w ciemności dygocząc i przyciskając ręce do ust, żeby nie wybuchnąć płaczem. Na szafce przy łóżku, otoczony blaskiem księżycy padającym z okna, spoczywał mój urodzinowy zegarek. Wzięłam go do ręki, czując chłód metalu w dłoni, lecz gdy podniosłam zegarek do ucha, mimowolnie zadrżałam na całym ciele, gdyż powtarzał tylko: „Kitty, Kitty, Kitty.

Odrzuciłam go od siebie i zakryłam uszy poduszką, żeby nie słyszeć. Nie będę płakać. Nie będę płakać! Nie będę nawet myśleć. Na zawsze poddam się bezdusznemu, beczasowemu porządkowi Felicity Place.

Tak wówczas myślałam, lecz moje dni u boku Diany były policzone. A wskazówki nowego pięknego zegarka odmierzały czas powoli i nieubłaganie.

Rozdział 14

Rankiem po urodzinach obudziłam się późno, po czym zadzwoniłam na Blake, żeby przyniosła mi kawę. Wówczas dowiedziałam się, że Diana wyszła, kiedy jeszcze spałam.

– Wyszła? – powtórzyłam. – Dokąd? Z kim?

Blake dygnęła i powiedziała, że nie wie. Usiadłam, opierając się na poduszkach, i wzięłam od niej filiżankę.

– W co była ubrana? – zapytałam.

– W zielony kostium, panienko. Zabrała ze sobą torbę.

– Torbę, powiadasz. Pewnie poszła do klubu. Nie wspominała, że idzie do klubu? Czy mówiła, o której wróci?

– Nie, panienko, nie mówiła. Pani nigdy nie mówi mi takich rzeczy. Proszę zapytać panią Hooper...

Mogłabym to zrobić, lecz pani Hooper zwykła spoglądać na mnie w sposób, który zupełnie mi nie odpowiadał.

– Nieważne – mruknęłam.

Kiedy Blake pochyliła się nad kominkiem, żeby wygarnąć popiół i rozpaścić ogień, westchnęłam. Pomyślałam o szorstkich pocałunkach Diany, o żądzy i niesmaku, jaki poczułam, kiedy wciąż przepełniała mnie tęsknota za Kitty. Jęknęłam. Blake spojrzała na mnie pytająco.

– Czy służba u pani Lethaby czasami nie daje ci się we znaki, Blake? – spytałam bez przekonania.

Poczerwieniała jak burak, a następnie ponownie utkwiała wzrok w kominku.

– Jak każda, panienko.

Po namyśle przyznałam jej rację. Rozmowa z Blake stanowiła pewne urozmaicenie, Diana wyszła beze mnie, poza tym byłam znudzona i rozdrażniona, dlatego po chwili podjęłam:

– Czyli uważasz, że pani Lethaby nie ma szczególnie twardej ręki?

Ponownie się zarumieniła.

– One wszystkie mają twardą rękę. Jak inaczej mogłyby nami rządzić?

– No tak, ale... czy ci się tutaj podoba? Odpowiada ci praca pokojówki?

– Mam swój pokój, jak na pokojówkę to i tak bardzo dużo. Poza tym... – wstała,

wycierając ręce w fartuch – ...pani Lethaby dobrze płaci.

Pomyślałam o tym, jak co rano przynosi kawę, wieczorem zaś gorącą wodę do mycia.

– Wybacz, że pytam, ale na co wydajesz pieniądze?

– Odkładam, panienko! – odpowiedziała. – Chcę wyemigrować. Koleżanka mówiła, że mając w kieszeni dwadzieścia funtów, można założyć w kolonii pensjonat i zatrudnić własne pokojówki.

– Naprawdę?

Pokiwała głową.

– I ty chciałabyś prowadzić taki pensjonat?

– O tak! Do kolonii przyjeżdża mnóstwo ludzi i każdy szuka pokoju do wynajęcia.

– Co prawda, to prawda. Ile odłożyłaś?

Policzki dziewczyny znowu spłonęły rumieńcem.

– Siedem funtów, panienko.

Skinęłam głową.

– Ale kolonie, Blake! – dodałam po chwili zastanowienia. – Myślisz, że zniosłabyś podróż? Musiałabyś płynąć statkiem... a jak przyjdzie sztorm?

Podniosła wiaderko z węglem.

– To nic takiego, panienko!

Roześmiałam się, a ona mi zawtórowała. Nigdy dotąd nie rozmawiałyśmy tak swobodnie. Przywykłam nazywać ją „Blake” jak Diana; nie przeszkadzało mi też, że ogląda mnie nagą, z kołdrą podciągniętą pod pachy, zapuchniętymi oczami i wargami oraz śladami pocałunków Diany na szyi. Przywykłam na nią nie patrzeć, wcale jej nie widzieć. Teraz, kiedy zaczęła się śmiać, po raz pierwszy ujrzałam jej zaróżowione policzki i ciemne rzęsy i pomyślałam: „ach!”, gdyż była naprawdę bardzo ładna.

W chwili kiedy to pomyślałam, powróciła dawna rezerwa. Blake poprawiła w ręku uchwyt wiaderka z węglem i podeszła bliżej, aby zabrać tacę.

– Coś jeszcze, panienko? – zapytała. Kiedy poprosiłam o przygotowanie kąpieli, dygnęła.

Wylegając się w łazience, usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi. Diana. Przyszła prosto do mnie. Poszła do klubu po list, który musi zostać podpisany przez inną damę.

– Nie chciałam cię budzić – powiedziała, zanurzając rękę w wodzie.

Zapomniałam o Blake i o tym, jaka jest ładna.

Zapomniałam o Blake na ponad miesiąc. Diana urządzała wystawne kolacje, podczas których pokazywałam się w przeróżnych kostiumach, chodziłyśmy do klubu i odwiedzały Marię w Hampstead. Wszystko przebiegało jak dotychczas. Niekiedy urządzałam sceny, lecz (podobnie jak po naszej wyprawie do Opery) Diana wynajdowała sposoby, aby obrócić je na własną lubieżną korzyść: w końcu zapomniałam, czy naprawdę się gniewam, czy też tylko udaję, by dostarczyć jej podniet. Kilkakrotnie miałam wręcz nadzieję, że mnie zirytuje, przekonałam się bowiem, że seks w złości bywa bardziej ekscytujący niż seks w normalnych warunkach.

Tak wyglądało nasze życie. Któregoś wieczoru pokłóciliśmy się o strój. Szykowałyśmy się na kolację u Marii i nie chciałam włożyć kostiumu, który dla mnie wybrała.

– Świetnie – oznajmiła. – Wkładaj sobie, co chcesz! – Po czym wsiadła do powozu i pojechała do Hampstead beze mnie. Rzuciłam filizanką o ścianę, a następnie wezwałam Blake, żeby posprzątała. Gdy przyszła, przypomniałam sobie, jak miło nam się kiedyś rozmawiało. Poprosiłam więc, żeby usiadła i wtajemniczyła mnie w szczegóły swego planu.

Po tym incydencie zawsze spędzała ze mną chwilę podczas nieobecności Diany; stała się swobodniejsza, a i ja odnosiłam się do niej z mniejszą rezerwą.

– Na miłość boską, Blake – powiedziałam wreszcie – od półtora roku opróżniasz mój nocnik, a ja nawet nie wiem, jak ci na imię!

Uśmiech sprawił, że znów wyglądała bardzo ładnie. Miała na imię Zena.

Miała na imię Zena i jej los był nie do pozazdroszczenia. Opowiedziała mi swą historię pewnego jesiennego ranka, kiedy jak zwykle przyniosła mi śniadanie. Diany od dawna nie było w domu. Obudziwszy się, zobaczyłam, że klęczy przy kominku i rozgarnia węgle, bardzo delikatnie, żeby mnie nie obudzić. Rozleniwiona przeciągnęłam się pod kołdrą. Po upojnej nocy wciąż czułam wilgoć między udami.

Obserwowałam ją od niechcienia. Uniosła rękę, żeby się podrapać, i pozostawiła na policzku czarny ślad. Twarz pod smugą sadzy wydawała się bardzo blada i wymizerowana.

– Zena – powiedziałam. Podskoczyła.

– Słucham, panienko?

Zawahałam się chwilę.

– Zena – powtórzyłam – wybaczone, że pytam, ale nie mogę przestać o tym myśleć. Diana opowiadała mi kiedyś... mówiła, że zabrała cię z więzienia. Czy to prawda?

Odwróciła się z powrotem do kominka i dalej układała węgiel, ale jej uszy zrobiły się purpurowe.

– Nazywają to zakładem poprawczym. To nie było więzienie.

– Niech będzie zakład poprawczy. Ale to prawda, że tam trafiłaś?

Nie odpowiedziała.

– Jest mi to obojętne – dodałam pospiesznie. Dumnie uniosła podbródek.

– Mnie też. Było, minęło...

Gdyby podobnym tonem udzieliła odpowiedzi Dianie, najprawdopodobniej dostałaby w twarz. Pojawszy to, spojrzała na mnie z przestrawieniem. Zrobiłam głupią minę.

– Przepraszam – powiedziałam. – Za dużo sobie pozwalam? Po prostu... chodzi mi o to, za co tam trafiłaś. Czy Diana mówiła prawdę? Czy może to jedna z jej historyjek? Rzeczywiście trafiłaś tam za to, że... że całowałaś dziewczynę?

Opuściła ręce na kolana, przysiadła na piętach i utkwiała wzrok w wygasłym kominku. Potem znów spojrzała na mnie i westchnęła.

– Kiedy miałam siedemnaście lat – wyjaśniła – spędziłam rok w zakładzie poprawczym. To okropne miejsce, choć podobno nie tak straszne jak więzienia, o których słyszałam.

Naczelniczka należy do tego samego klubu co pani Lethaby. Trafiłam tam z powodu dziewczyny, z którą zaprzyjaźniłam się w pewnym domu w Kentish Town. Obie byłyśmy tam pokojówkami.

– Zanim tu przysłaś, też służyłaś jako pokojówka?

– W wieku dziesięciu lat zostałam pomywaczką, mój ojciec był bardzo ubogim człowiekiem. Pracowałam wtedy w Paddington. Po skończeniu czternastu lat rozpoczęłam służbę w Kentish Town, gdzie było o niebo lepiej. Zostałam pokojówką i zaprzyjaźniłam się z dziewczyną o imieniu Agnes. Agnes miała chłopaka, którego zostawiła przez wzgląd na mnie. Sama panienka widzi, ile dla niej znaczyłam...

Ze smutkiem popatrzyła na swoje splecione ręce i umilkła. Ogarnęło mnie współczucie.

– I to Agnes naopowiadała różnych rzeczy, przez które trafiłaś do zakładu?

Zena potrząsnęła głową.

– Ależ nie! Agnes straciła posadę, ponieważ pani jej nie lubiła. Przeniosła się do Dulwich, to było daleko od Kentish Town, choć nie tak daleko, żebyśmy nie mogły widywać się w niedziele i przysyłać sobie paczek i liścików. Wówczas jednak... cóż, wówczas nastąpiła kolejna pokojówka. Nie była tak miła jak Agnes, ale strasznie mnie polubiła. Miała chyba trochę nie po kolei w głowie, panienko. Szperała w moich rzeczach i oczywiście znalazła listy oraz różne drobiazgi od Agnes. Próbowiła mnie zmusić, żebym ją pocałowała! Kiedy odmówiłam, przez wzgląd na Agnes, poszła do pani i nakłamała, że to ja zmuszałam ją do różnych rzeczy. A tak naprawdę to ona, tylko ona...! Pani nie wiedziała, czy ma jej wierzyć, czy nie; wówczas tamta pokazała jej moją szkatułkę z listami.

– Ach! – zawołałam. – A to suka!

Zena skinęła głową.

– Tak jest, tyle że wtedy nie miałam odwagi jej o tym powiedzieć.

– I pani odesłała cię do zakładu?

– Tak, pod zarzutem deprawacji. I doprowadziła do tego, że Agnes też straciła posadę. Też zamknęliby ją w zakładzie, ale tymczasem poznała innego chłopaka i całkiem straciła głowę. Wkrótce potem za niego wyszła, podobno bardzo źle ją traktuje.

Potrząsnęła głową, a ja zrobiłam to samo.

– Wygląda na to, że kobiety nieźle ci w życiu dopiekły!

– I to jak!

Mrugnęłam porozumiewawczo.

– Chodź tutaj, zapalimy sobie.

Podeszła do łóżka. Podałam jej papierosa i przez chwilę paliłyśmy w milczeniu, co chwila wzdychając i kręcąc głowami.

W pewnej chwili spostrzegłam, że dziewczyna spogląda na mnie z namysłem. Kiedy podchwyciłam jej wzrok, poczerwieniała i nie wiedziała, gdzie podziać oczy.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Nic takiego, panienko.

– Przecież widzę – odparłam z uśmiechem. – O czym myślisz?

Ponownie zaciągnęła się papierosem, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, jak ulicznik, przez co mało nie poparzyła sobie wnętrza dłoni.

– Pomyśli panienska, że za dużo sobie pozwalam.

– Czyżby?

– Tak. Ale chodzi mi to po głowie, odkąd pierwszy raz dobrze się paniencie przyjrzałam.

– Zaczepnęła tchu. – Występowała panienska w rewii, prawda? Razem z Kitty Butler, pod pseudonimem Nan King. Mało nie zemdlałam, kiedy panienkę tu zobaczyłam! Nigdy nie służyłam u nikogo sławnego.

Bez słowa popatrzyłam na swojego papierosa. Słowa Zeny sprawiły mi nie lada niespodziankę, nie tego się spodziewałam. Udałam, że się śmieję.

– Jak widzisz, już nie jestem sławna. Stare dzieje.

– Nie takie stare – zaproponowała. – Oglądałam panienkę w Camden Town, a potem w Peckham Palace. Poszłyśmy tam z Agnes. Ale miałyśmy zabawę! – Zadrżał jej głos. – Krótko po tym zaczęły się moje kłopoty...

Doskonale pamiętałam Peckham Palace, gdyż wystąpiłyśmy tam tylko raz, w grudniu, przed kontraktem w Brit, czyli zanim się zaczęły moje problemy.

– Pomyśleć, że siedziałaś na widowni wraz z Agnes, a ja stałam na scenie z Kitty Butler...

Musiła usłyszeć coś w moim głosie, gdyż podniosła wzrok.

– Przestała panienska widywać się z panną Butler...? – zapytała, a gdy pokiwałam głową, spojrzała na mnie domyślnie. – Cóż – dodała – przynajmniej ma panienska co wspominać!

Westchnęłam.

– Pewnie masz rację. Ale... – Przyszło mi do głowy coś jeszcze. – Nie wspominaj o tym pani Lethaby. Ona nie lubi rewii.

Skinęła głową.

– Oj, nie lubi.

Zegar na kominku wybił pełną godzinę i Zena zerwała się z miejsca. Zgasiwszy papierosa pomachała ręką, aby rozwiać dym.

– Boże miłosierny! – zawołała. – Pani Hooper da mi po głowie. – Sięgnęła po pustą filiżankę, po czym chwyciła tacę i podeszła do wiadra z węglem.

Następnie znów spojrzała na mnie i poczerwieniła.

– Coś jeszcze, panienko?

Patrzyłyśmy na siebie przez kilka uderzeń serca. Na jej twarzy nadal widniała smuga sadzy. Poruszyłam się pod kołdrą, wciąż czując między nogami wilgoć, która wyraźnie narastała. Od półtora roku pieprzyłam Dianę niemalże co noc. Owa czynność stała się dla mnie równie powszednia jak uścisk ręki: można to robić z każdym, w ramach wymiany uprzejmości. Czy ta dziewczyna podeszłaby do łóżka i dała się pocałować, gdybym ją do siebie zawołała?

Nie wiem. Nie zawołałam.

– Dziękuję, Zeno – powiedziałam tylko. – To wszystko.

Chwyciła wiaderko i wyszła.

Byłam jeszcze wówczas przeczulona na tym punkcie. Poza tym wiedziałam, że Diana by się wściekła.

Jak wspomniałam, działo się to jesienią. Doskonale pamiętam ów incydent oraz kolejne dwa lub trzy miesiące, obfitowały bowiem w liczne atrakcje: życie z Dianą nabrało gorączkowej intensywności, podobne objawy można zaobserwować u chorego, który przeczuwa bliski koniec. Maria wyprawiła przyjęcie. Dickie urządziła zabawę na statku, którym przepłynęliśmy z Charing Cross do Richmond, tańcząc do upadłego do czwartej nad ranem przy muzyce kapeli złożonej z samych dziewcząt. Święta spędziłyśmy u Kettnera, racząc się gęsią w prywatnej sali, a sylwestra w Klubie Tytoniowym, gdzie świętowałyśmy tak hucznie, że panna Bruce po raz kolejny czuła się zmuszona złożyć skargę.

W styczniu przypadały czterdzieste urodziny Diany, która postanowiła z tej okazji urządzić na Felicity Place bal kostiumowy.

Powiedziałam „bal”, chociaż w gruncie rzeczy nie było to szczególnie uroczyste przyjęcie. Przy fortepianie zasiadła kobieta, ale nikt nie kwapił się tańczyć w jadalni, przy zwiniętym dywanie. To nie walc jednak miał być atrakcją wieczoru, lecz nasza reputacja, moja i pani domu. Damy pojawiły się zwabione obietnicą wina, wykwintnych potraw oraz różowych papierosów. Przybyły żądne skandalu.

I nie czekało ich rozczarowanie.

Zacznijmy od tego, że dom wyglądał olśniewająco. Ściany były obwieszane aksamitem, sufit zaś ozdobiono świecidełkami. Pokoje rozjaśniał wyłącznie blask świec. Z salonu wyniesiono meble, pozostał jedynie turecki dywan, na którym rozłożyliśmy poduszki. Marmurowa podłoga w holu była wysypana różami, które wisiały również nad kominkiem: pod koniec zabawy ich woń stała się nie do zniesienia. Był szampan, brandy oraz wino z przyprawami, Diana kazała je podgrzewać w miedzianym naczyniu nad lampą spirytusową. Jedzenie zamówiła w Solferino. Wśród licznych potraw znalazła się zimna pieczeń na sposób rzymski oraz gęś faszerowana indykiem faszerowanym kurczakiem faszerowanym przepiórkami – jeśli się nie mylę, przepiórki zawierały trufle. Były tam również ostrygi, które stały na stole w baryłce z napisem „Whitstable”; jedna z pań niebacznie próbowała otworzyć muszlę nożem do cygar, który ześlizgnął się i skaleczył ją w palec niemal do kości. Krew nakapała do lodu i zebrane straciły apetyt na ostrygi. Diana kazała je wynieść z pokoju.

Na przyjęciu zjawiała się połowa członkiń klubu oraz liczna rzesza pań z Francji, Niemiec, a nawet z Capri. Zupełnie jakby Diana wystosowała ogólne zaproszenie do zamożnych kręgów całego świata, naturalnie z adnotacją: „Tylko dla safistek”. Było to jej główne wymaganie, drugim warunkiem był odpowiedni strój.

Większość pań stanęła na wysokości zadania, chociaż spora grupa potraktowała bal po prostu jako okazję do włożenia spodni. Należała do nich również Dickie, która zjawiała się

w garniturze z gałązką bzu w klapie i kazała nazywać Dorianem Grayem. Pozostałe kostiumy były znacznie okazalsze. Maria Jex przyciemniła twarz, doprawiła wąsy i przyszła w przebraniu tureckiego paszy. Evelyn, przyjaciółka Diany, przebrała się za Marię Antoninę, lecz po niej zjawiała się kolejna Maria Antonina, a potem jeszcze jedna. Podobne zbieżności okazały się nieuniknione: naliczyłam pięć Safon, wszystkie z lirami, sześć Dam z Llangollen³ (zanim poznałam Dianę, nigdy nawet o nich nie słyszałam). Z drugiej strony osoby, które wykazały się nieco większą inwencją, ryzykowały, że nikt nie rozszyfruje ich przebrania.

– Jestem królową Anną! – zawołała pewna oburzona dama na pytanie Marii. Kiedy jednak Maria zwróciła się w ten sposób do innej koronowanej głowy, dostała jeszcze ostrzejszą reprimendę, wyszło bowiem na jaw, że ma przed sobą Krystynę, królową Szwecji.

Sama Diana wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Przebrała się za swą grecką imienniczkę, wystąpiła w powłóczyściej szacie i sandałach odsłaniających jej długi drugi palec, z włosami upiętymi wysoko i ozdobionymi półksiężycem. Na ramieniu nosiła kołczan pełen strzał oraz łuk. Oświadczyła, że strzały służą do uśmiercania mężczyzn, potem jednak usłyszałam, jak mówi, że ma zamiar przeszywać nimi dziewczęce serca.

Swój własny kostium zachowałam w tajemnicy i nie chciałam nikomu go pokazać: planowałam zaprezentować się po przybyciu wszystkich zaproszonych i złożyć hołd mojej pani. Nie był szczególnie udziwniony, lecz moim zdaniem nadzwyczaj sprytny, miał bowiem związek z prezentem, który podarowałam Dianie na urodziny. Rok wcześniej wyprosiłam od niej pieniądze na broszkę, która chyba przypadła jej do gustu. W tym roku jednakże czułam, że przeszłam samą siebie. W wielkiej tajemnicy zamówiłam dla niej marmurowe popiersie pięknego pazia Antinousa. Przeczytałam jego historię w klubie i bardzo mi się spodobała, gdyż (pomijając oczywiście fakt, że udręczony chłopiec utopił się w Nilu) zdawała się przypominać moją własną. Wręczyłam prezent przy śniadaniu; Diana była zachwycona i natychmiast kazała ustawić popiersie na widocznym miejscu w salonie.

– Kto by pomyślał, że nasz chłopiec okaże się taki mądry! – zauważyła nieco później. – Pomogłaś mu wybrać, Mario, przyznaj się!

Teraz, kiedy damy zbierały się na dole, stałam przed lustrem w swojej sypialni, przebierając się za Antinousa. Włożyłam kusą tunikę do kolan, przewiązaną rzymskim pasem. Upudrowałam twarz i mocno uczerniłam rzęsy. Włosy przykryłam ciemną peruką sięgającą ramion. Na szyi zawiesiłam girlandę z kwiatów lotosu – możecie mi wierzyć, że lotos w styczniu to w Londynie rzecz bardzo rzadka.

Dla Diany przygotowałam drugą girlandę, którą również powiesiłam sobie na szyi. Następnie podeszłam do drzwi i poczekawszy na właściwy moment, przekradłam się do garderoby Diany, gdzie wygrzebałam pelerynę i otuliwszy się nią ciasno, narzuciłam kaptur. Tak wystrojona zesłam na dół.

W holu wpadłam na Marię.

– Nancy, drogi chłopcze! – wykrzyknęła. Widoczne spod przyklejonego gęstego zarostu

usta wydawały się mokre i bardzo czerwone. – Diana wysłała mnie na poszukiwania. W salonie dosłownie roi się od gości; nie możemy się doczekać twojej *pose plastique*!

Uśmiechnęłam się: liczne audytorium było dokładnie tym, czego potrzebowałam. Pozwoliłam zaprowadzić się do pokoju, po czym stanęłam za aksamitną zasłoną. Kiedy zrzuciłam pelerynę i przybrałam odpowiednią pozę, na mój znak Maria pociągnęła za sznurek, ukazując mnie oczom zebranych. Chwilę wcześniej, kiedy szłam przez pokój, zebrane spoglądały na mnie wyczekująco, Diana zaś (która stała obok popiersia Antinousa, czyli akurat tam, gdzie powinna) uniosła brew. Na widok mojej tuniki damy westchnęły i wydały chóralny pomruk zachwytu.

Odczekawszy chwilę, podeszłam do Diany i włożyłam jej girlandę na szyję. Następnie przyklękłam i pocałowałam ją w rękę. Uśmiechnęła się łaskawie, a damy ponownie zaczęły szeptać i bić brawo. Maria podeszła bliżej i chwyciła rąbek mojej tuniki.

– Wyglądasz uroczo, Nancy. Prawda, Dianko? Mój mąż byłby pełen uznania! Mogłabyś widnieć na okładce podręcznika pederastów!

Diana ze śmiechem przyznała jej rację. Następnie dotknęła palcami mego policzka i pocałowała mnie tak mocno, że poczułam na wargach jej zęby.

W pomieszczeniu naprzeciwko rozległy się dźwięki fortepianu. Maria przyniosła mi kieliszek grzanego wina oraz papierosa ze specjalnej szkatułki Diany. Jedna z Marii Antonin przycisnęła się w moim kierunku, a następnie pocałowała mnie w rękę.

– *Enchantée* – powiedziała. Naprawdę była Francuzką. – Cóż za powabne widowisko. W paryskich salonach nie widuje się takich rzeczy...

Zapowiadał się cudowny wieczór, który mógł się stać ukoronowaniem mojej pozycji u boku Diany. Lecz pomimo starannych przygotowań i spektakularnego wejścia nie sprawiał mi żadnej przyjemności. Sama Diana (ostatecznie były to jej urodziny) wydawała się daleka i pochłonięta innymi sprawami. Krótco po tym, jak zawiesiłam jej girlandę na szyi, zdjęła ją niecierpliwie, mówiąc, że psuje harmonię kostiumu. Powiesiła ją na rogu cokołu, skąd wkrótce spadła; później zobaczyłam, że któraś z pań oderwała jeden z kwiatów i przypięła go sobie do kłapy. Nie wiem dlaczego (Bóg jeden wie, że pokornie znosiłam ze strony Diany gorsze zniewagi!), ale zlekceważenie girlandy rozzłościło mnie strasznie. Głowa swędziała mnie pod peruką i pociałam się niemiłosiernie, nie chciałam jednak psuć swojego kostiumu. Wiedzione przykładem Marii Antoniny, pozostałe damy korzystały z okazji, by wyrazić podziw pod moim adresem, każda jednak była bardziej pijana i natrętna od poprzedniej, w wyniku czego wreszcie zaczęły działać mi na nerwy. Wychylałam kolejne kieliszki grzanego wina i szampana w nadziei na poprawę samopoczucia, alkohol jednak (czy raczej haszysz) bardziej potęgował mój cynizm aniżeli dobry humor. Kiedy jedna z dam mimochodem próbowała pogłaskać mnie po udzie, szorstko ją odepchnęłam.

– Mała dzikuska! – zapięła z zachwytem.

Wreszcie skryłam się w cieniu, machinalnie rozcierając skronie. Pani Hooper stała przy stole, nalewając grzane wino; zobaczyłam, że zerka w moim kierunku i przesyła mi ukradkowy uśmiech. Zena krążyła wśród gości z tacą wypełnioną smakołykami, kiedy

jednak usiłowała podchwycić mój wzrok, udałam, że tego nie widzę. Owego wieczora również nas dzieliła przepaść.

Dlatego odczułam niemalże ulgę, gdy około jedenastej nastrój uległ raptownej zmianie: Dickie zawołała, aby przynieść lampy, i poleciała, by dama przy fortepianie przestała grać, a panie podeszły bliżej i nadstawiły uszu.

– Co tam? – wrzasnęła któraś. – Kto zaświecił światło?

– Wysłuchamy opowieści Dickie Reynolds, z książki napisanej przez lekarza – wyjaśniła Evelyn.

– Lekarza? Czy Dickie jest chora?

– Chodzi o jej *vie sexuelle*!

– *Vie sexuelle*!

– Już ją słyszałam, to niezmiernie ponura opowieść... – Ostatnie słowa padły z ust kobiety przebranej za mnicha, która stała opodal mnie; kiedy na nią spojrzałam, ziewnęła, po czym wymknęła się z pokoju w poszukiwaniu innej rozrywki. Jednakże pozostałe damy objawiły pożądany entuzjazm. Dickie stała obok Diany, a ta trzymała książkę, o której wspomniała Evelyn – była nieduża, zadrukowana gęstą czcionką i pozbawiona ilustracji, jednym słowem bardzo różna od innych tomów z kolekcji pani domu. Mimo to Diana z zachwytem przewracała kartki. Jedna z dam pochyliła głowę, aby odczytać tytuł na grzbiecie.

– Przecież to po łacinie! – wykrzyknęła. – Dickie, po co czytać świńskie historie, skoro zapisano je po łacinie?

Dickie zrobiła urażoną minę.

– Tylko tytuł jest po łacinie – odpowiedziała. – A w ogóle to nie są żadne świńskie historie, lecz bardzo odważne dzieło. Wyszło spod pióra mężczyzny, który podjął próbę opisanego naszego przypadku, w nadziei iż rzuci światło na nas i nasze skłonności.

Dama przebrana za Safonę wyjęła z ust cygareto i spojrzała na Dickie z niedowierzaniem.

– Ta książka trafi do obiegu, a ty zamieściłaś w niej swoją historię? Historię swej fascynacji kobietami? Ty chyba oszalałaś, Dick! Ten człowiek wygląda mi na najpodlejszą odmianę pornografa!

– Naturalnie przybrała *nom-de-guerre* – wtrąciła Evelyn.

– Wszystko jedno. To szaleństwo, Dickie!

– Ty nic nie rozumiesz – odparła Dickie. – To zupełna nowość. Ta książka nam pomoże.

Wypromuje nas.

Przez pokój przeszedł zbiorowy dreszcz. Safona z cygaretem potrząsnęła głową.

– W życiu nie słyszałam o czymś podobnym – oznajmiła.

– No cóż – skwitowała wyniośle Dickie. – Ale usłyszysz, zapewniam cię.

– Posłuchajmy teraz! – wrzasnęła Maria, a ktoś inny dorzucił: – Tak, Diano, przeczytaj nam!

Przyniesiono dodatkowe świece, damy przybrały wygodniejsze pozy i zamieniły się w słuch.

W tej chwili nie pamiętam szczegółów. Pewne jest to, że zgodnie z zapowiedzią Dickie opowieści zawarte w książce nie były nieprzyzwoite; przeciwnie, zostały przedstawione z wręcz naukowym chłodem. Mimo to jednostajny styl przydał tekstowi swoistej sprośności, prowokując zebrane do ordynarnych komentarzy. Najpierw wysłuchałyśmy historii Dickie, a potem kolejnej, jeszcze bardziej obsceniczej. Następnie przyszła kolej na śmiałą historię z części o mężczyznach. Atmosfera w salonie zgęstniała; nawet ja, pomimo złego humoru, byłam pod mimowolnym wrażeniem afektowanych opisów doktora. Książka przechodziła z rąk do rąk, Diana zapaliła kolejnego papierosa.

– Zapytaj Bo – zabrzmiał w pewnej chwili głos jednej z pań. – Spędziła siedem lat wśród Hindusów.

– O co chodzi? – zawołała Diana. – O co ma zapytać?

– Czytamy historię kobiety z łechtaczką wielkości penisa małego chłopca! – odkrzyknęła w odpowiedzi dama. – Tłumaczy, że zaraziła się tą przypadłością od hinduskiej służącej. Mówiłam, że gdyby była z nami Bo Holliday, mogłaby to potwierdzić, gdyż miała do czynienia z Hindusami podczas pobytu w Hindustanie.

– To nie dotyczy Hindusek, ale Turczynek – zaproponowała inna z pań. – Przychodzą takie na świat, żeby mogły sobie dogadzać w haremie.

– Naprawdę? – spytała Maria, gładząc się po brodzie.

– Tak, z całą pewnością.

– Ale to samo można powiedzieć o naszych dziewczętach z biedoty! – wtrąciła inna. – Sypiają po dwadzieścia w jednym łóżku. Pod wpływem ciągłego ocierania ich łechtaczki osiągają niewyobrażalne rozmiary. To niezbity fakt.

– Bzdura! – prychnęła Safona z cygarem.

– Ależ nie – odparła gorąco jej rozmówczyni. – Gdyby była wśród nas dziewczyna ze slumsów, sama zdjęłabym jej majtki, żeby ci udowodnić!

Jej słowa przyjęto wybuchami śmiechu, po czym w salonie zapadła cisza. Popatrzyłam na Dianę; powoli odwróciła głowę i utkwiała we mnie wzrok.

– Zastanawiam się... – powiedziała z namysłem. Jedna lub dwie panie podążyły za jej spojrzeniem. Poczułam lekki ucisk w żołądku. Nie ośmieli się, pomyślałam.

– Przecież masz u siebie taką dziewczynę, Dianó! – zawołała nagle któraś z zaproszonych. – Twoja pokojówka pochodzi z gminu, prawda? Czyż nie wzięłaś jej z jakiegoś zakładu albo przytułku? Sama wiesz, co te kobiety wyprawiają w więzieniach. Podejrzewam, że ich łechtaczki rosną jak na drożdżach!

Diana oderwała ode mnie wzrok i zaciągnęła się różowym papierosem. Na jej usta wypłynął drapieżny uśmiech.

– Pani Hooper! – zawołała. – Gdzie jest Blake?

– W kuchni, proszę pani – odpowiedziała gospodyni. – Napełnia tacę.

– Proszę ją przyprowadzić.

– Dobrze, proszę pani.

Pani Hooper posłusznie udała się do kuchni. Damy spojrzwały po sobie, a następnie

popatrzyły na Dianę. Stała nieruchomo obok popiersia Antinousa, kiedy jednak uniosła kieliszek do ust, zobaczyłam, że lekko zadrżała jej dłoń. Przystąpiłam z nogi na nogę, czując jak fala mimowolnego podniecenia ustępuje bezpowrotnie. Po chwili nadeszła pani Hooper z Zeną. Na rozkaz Diany pokojówka stanęła niepewnie na środku pokoju. Damy rozstały się, aby przepuścić dziewczynę, po czym otoczyły ją zwartym kręgiem.

– Rozmawialiśmy o tobie, Blake – oznajmiła Diana.

Zena zamrugła powiekami.

– Tak, proszę pani?

– Zastanawialiśmy się nad twoim pobytem w zakładzie poprawczym. – Służąca poczerwieniała. – Zastanawialiśmy się, czym wypełniałaś sobie czas. Przecież musiałaś zająć czymś beczynne palce podczas długich, samotnych godzin w celi.

Zena popatrzyła na nią z wahaniem.

– Myśli pani o szyciu?

Zebrane ryknęły śmiechem, co sprawiło, że Zena drgnęła i rumieniąc się jeszcze bardziej, uniosła rękę do szyi.

– Nie, dziecko – odrzekła bardzo powoli Diana. – Bynajmniej nie myślę o szyciu. Myślę o pocieraniu. Myślę, że się pocierałaś, dopóki nie puchło ci między nogami. Pocierałaś się tak często i intensywnie, że wyhodowałaś sobie fiuta. Jesteśmy zdania, że chowasz go w majtkach. Chcemy, żebyś podniosła spódnicę i pokazała!

Damy ponownie wybuchnęły śmiechem. Zena rozejrzała się dokoła, po czym jej wzrok ponownie spoczął na Dianie.

– Proszę pozwolić mi odejść – zwróciła się do niej błagalnie. Zaczęła dygotać na całym ciele. – Nie wiem, o czym pani mówi!

Diana podeszła bliżej.

– Sądzę, że wiesz – odparła. Podniosła książkę, którą dostała od Dickie, i otworzywszy ją, oskarżycielsko podsunęła Zenie pod nos. – Mamy tu książkę o dziewczynach takich jak ty – dodała. – A ty co? Śmiesz utrzymywać, że jej autor jest głupcem? Autor książki, którą panna Reynolds podarowała mi na urodziny?

– Nie, proszę pani!

– No to jazda. On twierdzi, że masz fiuta. Dalej, podciągaj spódnicę! Na miłość boską, dziewczyno, chcemy tylko na ciebie popatrzeć...!

Chwyciła dziewczynę za spódnicę; zobaczyłam, że pozostałe damy, ośmielone jej zachowaniem, ruszają w kierunku pokojówki. Widok ten przyprawił mnie o mdłości. Wyszłam z cienia.

– Zostaw ją, Dianio! Na miłość boską, zostaw ją w spokoju!

W salonie zapadła cisza jak makiem zasiał. Zena spojrzała na mnie ze zgrozą, a Diana odwróciła się i zamrugła powiekami.

– Wolisz sama podkasać kieckę? – zapytała.

– Masz zostawić Blake w spokoju! Blake – zawołałam, zwracając się do Zeny – wracaj do kuchni!

– Zostań tam, gdzie jesteś! – wrzasnęła Diana. – A co do ciebie... – dodała, świdrując mnie bezlitosnym spojrzeniem smolistych oczu. – Co ty sobie wyobrażasz, żeby się tak panoszyć i rozkazywać mojej służbie? Sama jesteś służącą! Co cię to obchodzi, że każę dziewczę pokazać goły tyłek? Swój pokazywałaś tu nieraz! Wracaj za zasłonę! Jak skończymy z małą Blake, może zajmiemy się Antinousem.

Jej słowa zdawały się uderzać w moją bolącą głowę i roztrzaskiwać ją na kawałki, jakby była ze szkła. Uniosłam rękę i zerwałam z szyi zwiędniętą girlandę. Podobny los spotkał perukę, którą rzuciłam na podłogę. Miałam oklapnięte włosy, twarz poczerwieniała mi od gniewu i wina. Musiałam wyglądać okropnie. Ale nie czułam się okropnie: czułam się silna i pełna dumy.

– Nie waż się mówić do mnie w ten sposób – powiedziałam. – Jak śmiesz tak do mnie mówić!

Dickie przewróciła oczami.

– Cóż to znów za nudziarstwo, Dianio! – rzuciła z przekąsem.

– Nudziarstwo! – Rzuciłam jej pogardliwe spojrzenie. – Spójrz na siebie, stara krowo: wystroiła się w atłasy jak siedemnastolatek. Dorian Gray? Wyglądasz raczej jak jego upiorny portret po paru wycieczkach do doków!

Dickie drgnęła, po czym zbladła jak płótno. Kilka pań zachichotało, była wśród nich Maria.

– Drogi chłopcze...! – zaczęła.

– Nie mów do mnie „drogi chłopcze”, ty wstrętna suko! – warknęłam. – W tych tureckich szarawarach nie jesteś lepsza od niej. Cóż to, szukasz swego haremu? Nic dziwnego, że niewolnice wolą pieprzyć się między sobą, skoro mają takiego pana i władcę. Obmacujesz mnie od półtora roku, gdybyś jednak zobaczyła prawdziwe cycki, musiałybyś wezwać pokojówkę, żeby ci pokazała, jak się z nimi obchodzić!

– Dosyć tego! – warknęła Diana. Pobladła na twarzy i patrzyła na mnie wściekła, nadal jednak zachowywała pozory niewzruszoności. Spojrzała na przyjaciółki, które stały w milczeniu, wytrzeszczając oczy. – Nancy czasem lubi sobie potupać, co rzeczywiście bywa bardzo zabawne. Ale nie dzisiaj. Obawiam się, że dziś jest raczej męczące. – Ponownie przeniosła wzrok na mnie, lecz nadal zwracała się do gości. – Nancy pójdzie teraz na górę – podjęła beznamietnym tonem – i zostanie tam, dopóki nie zrozumie, że popełniła błąd. Wtedy przeprosi panie, które ośmieliła się obrazić. I wymyślimy dla niej jakąś małą karę. – Obrzuciła spojrzeniem pozostałości mego przebrania. – Coś odpowiednio rzymskiego, dajmy na to.

– Rzymskiego? – Nie wytrzymałam. – Cóż, ty jesteś świetnie zorientowana w temacie. Ile kończysz lat? Dam głowę, że nieraz gościłaś u Hadriana.

Po tym, co powiedziałam wcześniej, nie była to szczególnie dotkliwa obelga, lecz na moje nieszczęście któraś z dam zachichotała. Nie był to głośny śmiech, ale jeśli kiedykolwiek istniała osoba, która wolała umrzeć niż narazić się na śmieszność, była nią właśnie Diana. Słyszając stłumione parsknięcia, pobladła jeszcze bardziej. Następnie ruszyła

ku mnie i uniosła rękę; zrobiła to tak błyskawicznie, że zdążyłam dostrzec tylko ciemny zarys przedmiotu, który miała w ręku, i poczułam piekący ból.

Przez cały czas trzymała książkę i teraz zdzieliła mnie nią w twarz.

Krzyknęłam, mało nie tracąc równowagi. Gdy przesunęłam dłonią po policzku, zobaczyłam krew: płynęła z nosa oraz z ranki pod okiem, gdzie skórzany kant okładki boleśnie przeciął skórę. Wyciągnęłam na oślep rękę, szukając osoby, na której mogłabym się oprzeć, lecz damy cofnęły się jednomyślnie i niewiele brakowało, bym upadła. Zerknęłam przelotnie na Dianę. Ona również zachwiała się na nogach, lecz Evelyn stanęła obok, mocno obejmując ją w talii. Nie odezwała się ani słowem, a i mnie głos uwiązł w gardle. Chyba kaszlnęłam albo się zakrztusiłam. Krew zachlapała turecki dywan i damy cofnęły się jeszcze dalej, wydając ciche okrzyki zdumienia i niesmaku. Wówczas odwróciłam się i wybiegłam z pokoju.

Przy drzwiach stał Satynek, chart Marii, który na mój widok zaszczekał. Maria postawiła go tam z dwiema psimi głowami z papier-mâché przytwierdzonymi po obu stronach obroży: miał przedstawiać Cerbera, psa, który stał na straży Hadesu.

Jak już wspomniałam, na marmurowej podłodze holu rozsypano róże; ciężko było mi biec po nich na bosaka, mając zamęt w głowie, z ręką przyciśniętą do twarzy. Nim dotarłam do schodów, usłyszałam za sobą kroki oraz huk zamykanych drzwi. Odwróciwszy się, ujrzałam Zenę: Diana odprawiła ją z salonu w ślad za mną i zatrzasnęła drzwi. Dziewczyna spojrzała na mnie, po czym położyła dłoń na moim ramieniu.

– Ach, panienko...

A ja, chociaż przed chwilą ocaliłam ją przed gwałtownością Diany, przez co sama wpędziłam się w tarapaty, odepchnęłam ją gwałtownie.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęłam. Następnie pobiegłam do swojego pokoju i zamknęłam drzwi.

Zrozpaczona siedziałam w ciemności, gładząc palcami zraniony policzek. Niebawem z dołu ponownie dobiegły dźwięki fortepianu, a następnie wrzaski oraz śmiech. Używały sobie beze mnie! Nie mogłam w to uwierzyć. Wyglądało na to, że incydent z Zeną, obelgi, policzek i krwawiący nos jedynie spotęgowały nastrój wyśmienitej zabawy.

Gdyby tylko Diana odesłała gości do domów! Gdybym tylko przykryła głowę poduszką i poszła spać. I gdyby odgłosy wesołej zabawy nie wzbudziły we mnie chęci odwetu.

Gdyby tylko Zena nie wybaczyła mi mojej szorstkości i nie przyszła do mnie z pytaniem, czy może jakoś poprawić mi humor...

Drgnęłam, słysząc pukanie do drzwi: byłam pewna, że to Diana przyszła zgnębić mnie jeszcze bardziej albo (kto wie?) przeprosić za swoje zachowanie. Na widok Zeny wytrzeszczyłam oczy.

– Panienko – powiedziała. Trzymała w ręku świecę; płomień podskakiwał i migotał, śląc dokoła roztańczone cienie. – Nie mogłam wrócić do siebie, wiedząc, że panienka siedzi tu poturbowana... i to z mojego powodu!

Westchnęłam.

– Wejdz – powiedziałam. – I zamknij drzwi.

Kiedy podeszła bliżej, ukryłam twarz w dłoniach i jęknęłam.

– Ach, Zeno! Co za noc! Co za noc!

Postawiła świecę.

– Przyniosłam trochę lodu – powiedziała. – Jeśli panienka pozwoli... – Uniosłam głowę, po czym wzdrygnęłam się, czując zimno. – Ale będzie limo! – oznajmiła. Następnie dodała innym tonem: – Ta kobieta to diabeł wcielony! – Przystąpiła do wycierania krwi zaschniętej wokół nosa; stopniowo nachylała się coraz niżej, wspierając wolną rękę o moje ramię.

W pewnej chwili zauważyłam, że drży.

– To z zimna, panienko – odrzekła. – Poza tym na dole najadłam się strachu... – Lecz w tej samej chwili zadrżała jeszcze gwałtowniej i wybuchnęła płaczem. – Tak naprawdę – mówiła przez łzy – nie chciałam zostać sama w pokoju. Bałam się, że nie dadzą za wygraną i przyjdą...

– Już dobrze – rzuciłam uspokajająco. Wyjęłam z jej rąk szmatkę z lodem i odłożyłam na podłogę. Następnie otuliłam ją kołdrą. – Zostaniesz ze mną, tutaj cię nie znajdą... – Objęłam ją; oparła mi głowę o ramię. Nie zdążyła zdjąć czepka; wyjęłam podtrzymujące go szpilki i włosy opadły jej na plecy. Pachniały suszonymi płatkami róż oraz przyprawami do wina. Ów zapach, w połączeniu z ciepłem jej ciała sprawił, że naraz poczułam się bardzo pijana. A może tylko nadal kręciło mi się w głowie od ciosu Diany.

Przełknęłam ślinę. Zena wydmuchała nos i ucichła. Z dołu dobiegł tupot nóg; ktoś dziko zabębnił w fortepian, odpowiedział mu jazgotliwy rechot.

– Tylko posłuchaj! – powiedziałam w nowym przypiływie goryczy. – Bawią się na całego! Zapomniały o nas, samych jak palec...

– Oby tak było!

– Oczywiście, że zapomniały. Możemy robić, co nam się żywnie podoba, a one mają to w nosie! Możemy urządzić własne przyjęcie!

Zena ponownie wydmuchała nos i zachichotała. W głowie mi zawirowało.

– Zena! Dlaczego i my nie miałybyśmy się zabawić? Czy w kuchni zostały jakieś butelki szampana?

– Całe mnóstwo.

– Doskonale. Biegnij na dół i przynieś jedną.

Przygryzła wargę.

– Bo ja wiem...

– Idź, nikt cię nie zauważy. Wszystkie siedzą w salonie, możesz zejść tylnymi schodami. A jeśli ktoś cię jednak zobaczy, powiesz, że niesiesz butelkę dla mnie. Co będzie najświętszą prawdą.

– No...

– Szybciej! Bierz świecę! – Wstałam i chwyciwszy Zenę za rękę, przemocą postawiłam ją na nogi. Zarazona moją beztroską ponownie parsknęła śmiechem, po czym na palcach

wyszła z pokoju. Zapaliłam lampę, ale przykręciłam płomień. Zena zostawiła na łóżku swój czepek, włożyłam go więc na głowę. Kiedy po pięciu minutach wróciła na górę, na mój widok wybuchnęła głośnym śmiechem.

Trzymała kieliszek i spotniałą butelkę.

– Widziałaś którąś z dam? – zapytałam.

– Dwie, ale one mnie nie widziały. Stały w drzwiach do pomywalni i całowały się ile wlezie!

Wyobraziłam sobie, jak stoi w ukryciu i patrzy. Odebrałam jej butelkę i zdarłam srebrny papier z szyjki.

– Wstrząsnęłaś – powiedziałam. – Narobi porządnego hałasu!

Zena zatkała palcami uszy i przymknęła oczy. Korek zadrżał, po czym raptownie wyskoczył z butelki.

– Szybko! Szybko! – wrzasnęłam. – Dawaj kieliszek! – Z butelki wystrzeliła fontanna kremowej piany, mocząc mi dłonie i nogi. Oczywiście nadal miałam na sobie białą tunikę. Zena porwała kieliszek z tacy i ze śmiechem podstawiła go pod butelkę.

Usiadłyśmy na łóżku, Zena z kieliszkiem, ja pijąca prosto z butelki. Zachłysnęła się, lecz ponownie napełniłam jej kieliszek.

– Pij! – powiedziałam. – Tak jak tamte na dole. – A ona wychylała kolejne kieliszki, aż policzki spłonęły jej czerwienią. Czułam, że z każdym łykiem coraz bardziej kręci mi się w głowie. Skaleczone miejsce pulsowało dotkliwie. – Boli! – jęknęłam, na co Zena odstawiła kieliszek i delikatnie dotknęła chłodnymi palcami mego policzka. Trzymała je tak przez chwilę; wreszcie nachyliłam się i ją pocałowałam.

Nie protestowała, dopóki nie pociągnęłam jej na łóżko.

– Nie możemy! – powiedziała. – A jeśli pani Lethaby zobaczy?

– Nie zobaczy. Będzie mnie ignorować, za karę. – Dotknęłam jej kolana, a potem uda, przez spódnicę.

– Nie możemy... – powtórzyła Zena, lecz tym razem jakoś bez przekonania. A kiedy pociągnęłam ją za spódnicę, wołając: – Daj spokój, mam oderwać guziki? – parsknęła pijackim śmiechem. – Nie ma mowy! Proszę mi pomóc.

Bez ubrania wydawała się przeraźliwie chuda. Jej ciało mieniło się osobliwymi barwami: począwszy od szkarłatnych policzków poprzez purpurową skórę spracowanych rąk do białego, niemal sinawego odcienia tułowia, górnej części ramion i ud. Włosy między nogami (tego nigdy nie można do końca przewidzieć) okazały się rude.

Kiedy zanurzyłam w nich usta, krzyknęła. Po chwili jednak ujęła moją głowę i mocniej przycisnęła ją do siebie. Jakoś nie było jej żal mojego spuchniętego nosa.

– Proszę się odwrócić! – zawołała. – Szybko, żebym mogła zrobić to samo!

Potem okryłam nas kołdrą i wypiliśmy jeszcze trochę szampana prosto z butelki. Położyłam na niej rękę.

– I co, dotykałaś się w tym zakładzie czy nie?

Trzepnęła mnie po palcach.

– Ach, jest panienka taka sama, jak tamte na dole! Mało nie umarłam! – Odrzuciła kołdrę i popatrzyła na swój wzgórek łonowy. – Pomyśleć, że mogłabym mieć fiuta! Też mi pomysł!

– Też mi pomysł? Ach Zeno, chętnie bym cię zobaczyła z fiutem! Chętnie bym... – Usiadłam na łóżku. – Zeno, chcę, żebyś założyła dildo Diany!

– To okropieństwo? Co ona z panienki zrobiła! Prędzej umarłabym ze wstydu! – Zatrzepotała rzesami.

– Rumienisz się! – zawołałam. – Myślałaś o tym, prawda? Chętnie zobaczyłabyś, jak to jest, nie mów, że nie!

– Kto, ja? – Ale poczerwieniała jeszcze bardziej i unikała mojego wzroku. Chwyciłam ją za rękę i zmusiłam, żeby usiadła.

– Daj spokój – powiedziałam. – Musimy spróbować. Diana nic nie zauważy.

– Ach!

Pociągnęłam ją do drzwi, po czym wyjrzałam na korytarz. Muzyka i śmiech nieco przycichły, lecz kobiety nadal dokazywały na całego. Zena oparła się o mnie całym ciężarem i objęła mnie w pasie; gołe wytoczyliśmy się z pokoju i dusząc się ze śmiechu, pobiegliśmy do bawialni Diany.

Wysunięcie szufladki w sekretarzyku, zabranie klucza i otworzenie różanej skrzyni zabrało nam niespełna minutę. Zena śledziła moje ruchy, co rusz rzucając zalęknione spojrzenia na drzwi. Na widok dildo ponownie oblała się pąsem, lecz nie mogła oderwać od niego oczu. Poczułam przyływ pijackiej dumy.

– Wstań – poleciłam. Mówiłam niemal tak samo jak Diana. – Wstań i zapnij sprzączki.

Kiedy wykonała polecenie, zaprowadziłam ją do lustra. Odbicie mojej czerwonej i napuchniętej twarzy pokrytej zaschniętą krwią przypawiło mnie o dreszcz, lecz widok Zeny, która z przejęciem spoglądała na sterczące dildo, skutecznie odwrócił uwagę od własnego wyglądu. Wreszcie obróciłam ją i położywszy ręce na jej barkach, wsunęłam główkę dildo pomiędzy swoje uda.

Zena krzyknęła. Dopadliśmy do łóżka i rzuciliśmy się w poprzek na satynową pościel. Głowa zwisała mi poza krawędź; krew napłynęła do twarzy, wzmagając ból. Kiedy jednak Zena wsunęła we mnie przyrząd i jęła energicznie poruszać się w przód i w tył, nie mogłam się oprzeć, by się nie unieść i nie poszukać ustami jej ust.

W tej samej chwili przez skrzywienie łóżka oraz pulsowanie w moich własnych uszach przebił się kolejny dźwięk. Opuściłam głowę i otworzyłam oczy. Framugę otwartych drzwi wypełniały twarze kobiet. A pośrodku owej rzeszy majaczyło poblądłe z furii oblicze Diany.

Zamarłam. Dotarło do mnie, jaki widok musiał ukazać się jej oczom: otwarta skrzynia, płatanina nagich kończyn na łóżku i opasany rzemieniami, podskakujący goły tyłek (bowiem Zena niestety nadal miała zamknięte oczy i robiła swoje, nieświadoma obecności wstrząśniętej chlebodawczyni). Ścisnęłam ją palcami za ramiona. Otworzyła oczy, zobaczyła, co miała zobaczyć, i wydała okrzyk trwogi. Instynktownie próbowała zerwać

się z łóżka, zapominając o uprząży łączącej nasze spocone biodra. Przez chwilę szamotałyśmy się na łóżku; Zena prychnęła nerwowym śmiechem, który zabrzmiał bardziej przerażająco niż początkowy okrzyk przestachu.

Wreszcie szarpnęła się ostatkiem sił: w złowrogiej ciszy rozległo się charakterystyczne mlaśnięcie i była wolna. Stała przy łóżku, z dildem rozkołysanym na wysokości ud.

– Ona jednak ma fiuta – zauważyła przytomnie jedna z dam.

– Jest mój – odburknęła Diana. – Te małe dziwki go ukradły!

Mówiła ochryplym głosem: zapewne sprawił to nadmiar wypitego alkoholu oraz szok wywołany naszym widokiem. Ponownie spojrzałam na otwartą skrzynię, którą tak bardzo się chlubiła i której strzegła tak zazdrośnie, i w głębi serca poczułam cień satysfakcji.

Jednocześnie przypominałam sobie inny pokój, dotąd skrzętnie odsuwany w niepamięć; wówczas to ja stałam jak wryta w drzwiach, podczas gdy moja ukochana drżała i rumieniła się w objęciach kochanka. Teraz zamiast siebie ujrzałam Dianę i uśmiechnęłam się mimowolnie.

I ten mój uśmiech chyba przepełnił miarę.

– Mario – powiedziała. Maria stała obok niej wraz z Dickie i Evelyn; zapewne przyszły do sypialni po jakąś świńską książkę. – Zawołaj panią Hooper. Nancy nas opuszcza; niech przyniesie tu jej rzeczy. I sukienkę dla Blake. Obie wracają do rynsztoka, skąd je wyciągnęłam. – Następnie ruszyła ku mnie i jej lodowaty ton stracił pozory obojętności. – Ty mała zdiro! – zawołała. – Ty dziwko! Ty suko! Ty ladacznico! – Wielokrotnie używała tych słów w przyływach żądy lub namiętności; teraz, nabrzmiałe nienawiścią, nie wywarły na mnie najmniejszego wrażenia.

Zena zaczęła dygotać na całym ciele. Dildo podskoczyło, co dodatkowo rozjuszyło Dianę.

– Zdejmij to natychmiast! – wrzasnęła.

Przerażona dziewczyna rzuciła się rozpinać sprzączki, lecz palce odmówiły jej posłuszeństwa. Podeszłam bliżej, żeby jej pomóc. Diana nie przestawała obrzucać jej wyzwiskami: nazywała ją skretyniałą, wszetecznicą, pospolitą onanistką. Panie w drzwiach skręcały się ze śmiechu. Jedna z nich (mogła to być Evelyn) wskazała na skrzynię.

– Użyj bata, Dianko!

Diana zacisnęła usta.

– Kiedy wróci do zakładu – oznajmiła – już oni dadzą jej tam nauczkę. Dostanie za swoje.

Słyszając te słowa, Zena przypadła jej do kolan i wybuchnęła płaczem. Diana z szyderczym uśmiechem cofnęła stopę, aby łyzy nie nakapały na sandał.

– Czy nie mogłybyśmy znów zobaczyć, jak się pieprzą? – zapytała Dickie. Miała rozwiązany krawat, a gałązka bzu w klapie zwiędła i zaczynała brązowieć. – Każ im to zrobić, moja droga. Chcemy popatrzeć!

Ale Diana potrząsnęła głową; spojrzenie, którym mnie obrzuciła, było równie lodowate i

martwe jak wewnątrz zgaszonej latarni.

– Pod tym dachem robiły to ostatni raz. Niech się parzą na ulicy, jak psy.

Inna dama, pijana w sztok, oświadczyła, że w takim razie życzy sobie obserwować nas przez okno. Lecz ja patrzyłam tylko na Dianę i po raz pierwszy tego wieczoru ogarnął mnie strach.

Wróciła Maria z panią Hooper. Gospodyni spojrzała na nas roziskrzonym wzrokiem. Trzymała mój stary marynarski worek, który przywiozłam od pani Milne i wcisnęłam w najdalszy kąt szafy, oraz czarną, spłowiałą sukienkę i parę trzewików z grubymi podeszwami. Rzuciwszy obie rzeczy Zenie, Diana zanurkowała ręką do worka i wyjęła wygniecioną suknię oraz buty, które cisnęła w moim kierunku. Sukienkę uważałam kiedyś za przyzwoitą, teraz jednak była zimna i wilgotna, a jej szwy powlekała cienka warstewka kurzu.

Zena niezwłocznie nałożyła nieładną suknię i trzewiki, lecz ja stałam bez ruchu. Wreszcie spojrzałam na Dianę i przełknęłam ślinę.

– Nie włożę tego – oznajmiłam.

– Włożysz – odparła kategorycznie – albo wylecisz stąd nago.

– Ach, wyrzuc ją nago, Diano! – zawołała któraś z kobiet stojących za jej plecami. Była to Dama z Llangollen, teraz bez cylindra.

– Nie włożę – powtórzyłam. Diana skinęła głową.

– Świetnie – powiedziała. – Wobec tego sama cię ubiorę. – Byłam zbyt zdumiona, żeby zaprotestować: skoczyła ku mnie i chwyciwszy suknię, pospiesznie narzuciła mi ją przez głowę. Szarpnęłam się i zaczęłam kopać; pchnęła mnie na łóżko i jedną ręką ściskając mi dłonie, drugą zaczęła obciągać suknię. Zawzięcie stawiałam opór. W ciszy zabrzmiał trzask pękających szwów.

– Pomóżcie mi! – krzyknęła Diana. – Mario! Pani Hooper! Ty...! – Miała na myśli Zenę. – Chcesz wrócić do cholernego zakładu?

W jednej chwili rzesza rąk przygwoździła mnie do łóżka: zaczęły ciągnąć suknię, szczypać mnie i przytrzymywać moje wierzgające nogi. Trwało to całe wieki. Poczułam, że tracę oddech. W bezlitośnie obijanej głowie ponownie odezwał się pulsujący ból. Któraś wsadziła kciuk (pamiętam to bardzo dokładnie) w śliską szczelinę między moimi udami. Mogła to być Maria. Albo gospodyni, pani Hooper.

Wreszcie leżałam na łóżku kompletnie ubrana. Na nogach miałam zasznurowane buty.

– Wstań! – rozkazała Diana.

Kiedy dźwignęłam się z łóżka, złapała mnie za ramię i wypchnęła z pokoju prosto na ciemny korytarz. Za nami podążały zaproszone damy oraz Maria i pani Hooper, które prowadziły między sobą Zenę. Zwolniłam kroku; wówczas Diana pchnęła mnie tak, że mało się nie wywróciłam.

Zacząłam płakać.

– Diano, ty chyba nie masz zamiaru...!

Odpowiedziała lodowatym spojrzeniem i uszczypnęła mnie, zmuszając do szybszego

marszu. Schodziłyśmy na dół po spiralnych schodach, zdyszane, rozgorączkowane i dziwnie poubierane, niczym gromada dusz potępionych zdążająca ku wrotom piekła. Minęłyśmy salon: kilka dam rozwalonych na poduszkach zapytało, co robimy. Jedna z naszych towarzyszek odpowiedziała, że Diana przyłapała swego chłopca w łóżku ze służącą i wyrzuca oboje na ulicę. I zachęciła pozostałe, by przyszły popatrzeć.

Tym sposobem im niżej schodziłyśmy, tym liczniejsza grupa kłębiła się za moimi plecami i tym głośniejsze towarzyszyły nam śmiechy oraz sprośne okrzyki. Kiedy dotarłyśmy do suterenu, powiało chłodem, a gdy Diana otworzyła drzwi prowadzące z kuchni do ogrodu, podmuch wiatru uderzył mnie prosto w załzawione oczy, sprawiając, że zapiekły jeszcze bardziej.

– Nie możesz, nie odważysz się!

Pod wpływem zimna wino zupełnie wywietrzało mi z głowy. Oczami wyobraźni ujrzałam swój pokój, garderobę, toaletkę i bieliznę, luksusową papierośnicę, spinki do mankietów, laskę ze srebrnym okuciem, kremowy surdut oraz buty z wyśmienitej skóry, tak miękkiej, że kiedyś dotknęłam ich językiem. I zegarek z paskiem zapinanym na nadgarstku.

Odwróciwszy się, chwyciłam Dianę za rękę.

– Nie wyrzucaj mnie, Diano! – błagałam. – Pozwól mi zostać! Będę grzeczna! Pozwól mi zostać, a nie pożałujesz!

Lecz ona nieubłaganie pchała mnie naprzód, aż wreszcie dotarłyśmy do wysokiej, drewnianej bramy, opodal powozowni, w najdalszym końcu ogrodu. W bramie były mniejsze drzwi; kiedy je otworzyła, moim oczom ukazała cię nieprzenikniona ciemność. Diana chwyciła Zenę za kark.

– Pokaż się jeszcze raz na Felicity Place – powiedziała – albo w jakikolwiek inny sposób przypomnij mi o swym żalnym istnieniu, a dotrzymam obietnicy i dopilnuję, byś wróciła do zakładu i gniła tam do śmierci. Zrozumiałaś?

Zena pokiwała głową. Wzrok Diany spoczął na mnie.

– To samo dotyczy ciebie, ulicznico.

Pchnęła mnie w kierunku wyjścia, lecz zacisnęłam palce na bramie i nie chciałam puścić.

– Litości, Diano! – błagałam. – Pozwól mi chociaż zabrać rzeczy! – Przeniosłam spojrzenie na Dickie i Marię: świdrowały mnie wzrokiem zmętniałym od wina i pospiesznego marszu. W ich oczach nie pojawił się choćby cień współczucia. Popatrzyłam na damy w rozwianych kostiumach. – Pomóżcie mi! – krzyknęłam. – Pomóżcie mi, na miłość boską! Ile razy patrzyłyście na mnie pożądlivym wzrokiem! Ile razy zazdrościłyście Dianie! Teraz każda z was może mnie mieć! Każda! Tylko nie pozwólcie jej wyrzucić mnie na ulicę, bez środków do życia! Ach! Niech was diabli, jeśli pozwolicie jej to zrobić!

Krzyczałam tak, szlochając i zalewając się łzami. Machinalnie wytarłam zasmarkany nos w rękaw taniej sukni. Policzek spuchł jak bania, włosy miałam jak strach na wróble. Wreszcie znudzone damy oderwały ode mnie oczy i zrozumiałam, że nie ma ratunku. Puściłam bramę; Diana popchnęła mnie i z impetem wypadłam na ulicę. W ślad za mną

powędrował marynarski worek, który klapnął na kamienie u moich stóp.

Uniosłam głowę, aby raz jeszcze spojrzeć na dom. Okna salonu jaśniały w ciemności; damy ruszyły z powrotem w ich kierunku. Dostrzegłam w przelocie panią Hooper, Dickie, która pakowała monokl w oko, Marię oraz Dianę. Parę kosmyków jej ciemnych włosów wyswobodziło się ze szpilek i smagało policzki. Gospodyni szepnęła jej coś do ucha; Diana wybuchnęła śmiechem. Następnie zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Był to koniec mojej kariery na Felicity Place.

Część trzecia

Rozdział 15

Pomyślicie, że upadłszy tak nisko, nie zawahałabym się walić pięściami w zamknięte drzwi albo nawet wdrapać się na płot i stamtąd błagać o wybaczenie. Kto wie, czy stojąc na ciemnej, opustoszałej ulicy nie rozważyłam przelotnie takiej możliwości. Widziałam jednak spojrzenie, jakim obrzuciła mnie Diana – puste, pozbawione jakichkolwiek emocji. Co gorsza, identyczny wyraz malował się na twarzach jej przyjaciółek. Jak mogłam zwrócić się do nich o pomoc lub choćby marzyć o odzyskaniu dawnego statusu?

Ostatnia myśl sprawiła, że zaszlochałam jeszcze głośniejsze; pewnie mogłabym tak siedzieć i płakać aż do świtu. Naraz posłyszałam szelest i przypomniałam sobie o Zenie: stała obok mnie, bardzo blada, z rękami zaplecionymi na piersi.

– Ach, Zeno! – zawołałam. – A to ci dopiero! I co my teraz zrobimy?

– My? – powtórzyła: nigdy dotąd nie mówiła do mnie takim tonem. – Co my zrobimy? Wiem, co ja powinnam zrobić. Powinnam panienkę tu zostawić i mieć nadzieję, że to wstrętne babsko wróci i da panience to, na co zasłużyła.

– Ach, ale ona nie wróci, prawda?

– Pewnie, że nie. Proszę, do czego doprowadziły gładkie słówka! Wylądowałyśmy na ulicy, w najzimniejszą styczniową noc, bez kapeluszy, ciepłych majtek, a nawet chusteczki! Wolałabym się znaleźć w więzieniu. Przez panienkę straciłam pracę i reputację. I siedem funtów, które zaoszczędziłam na wyjazd do kolonii. Ach! Ależ byłam głupia, pozwalając się całować. Panienska tak samo: żeby myśleć, że pani... Ach! Mogłabym panienkę uderzyć!

– Uderz! – krzyknęłam, nie przestając szlochać. – Podbij mi drugie oko, zasługuję na to!
– Ale Zena tylko ciaśniej zaplotła ręce na piersi i odwróciła głowę.

Wytarłam oczy rękawem i próbowałam się uspokoić. Była dopiero północ, kiedy wypadłam z salonu w przebraniu Antinousa, zatem nie mogło być później niż wpół do pierwszej, co oznaczało, że przed nami najdłuższa, najzimniejsza część nocy.

– Co mam robić, Zeno? – spytałam, najpokorniej jak umiałam. – Co mam robić?

Zerknęła na mnie przez ramię.

– Nie pozostaje panience nic innego, tylko wrócić do rodziny. Ma panienska jakąś rodzinę, prawda? Albo przyjaciół?

– Nie mam nikogo...

Ponownie uniosłam rękę do twarzy. Zena odwróciła się i przygryzła wargę.

– Jeśli naprawdę panienka nikogo nie ma – odrzekła wreszcie – to jedziemy na tym samym wózku: moja rodzina wykleła mnie po awanturze z Agnes i policją, i teraz nie chce mieć ze mną do czynienia. – Popatrzyła na mój worek i trąciła go butem. – Nie ma tam panienka trochę grosza? Co w nim jest?

– Ubrania – odpowiedziałam. – Męskie ubrania, z którymi przyjechałam do Diany.

– Ładne chociaż?

– Tak mi się kiedyś wydawało. – Uniosłam głowę. – Chcesz, żebyśmy je włożyły i udawały mężczyzn...?

Nachyliła się nad workiem i zajrzała do środka.

– Chcę je sprzedać.

– Sprzedać? – Sprzedać mundur, oksfordzkie spodnie? – Sama nie wiem...

Podniosła ręce do ust i chuchnęła w zziębnięte dłonie.

– Może je panienka sprzedać albo iść na Edgware Road i stanąć pod latarnią...

Sprzedaliśmy kostiumy. Sprzedaliśmy je ulicznemu handlarzowi na targu przy Kilburn Road. Właśnie pakował manatki; handel odbywał się do północy i gdy dotarliśmy na miejsce, większość straganów świeciła pustkami i na ulicy wałały się stosy śmieci. Sprzedawcy gasili lampy naftowe i wylewali wodę do rynsztoka.

– Przyszłyście za późno – oznajmił na nasz widok. – Fajrant. – Kiedy jednak Zena otworzyła worek i wyciągnęła ubrania, mężczyzna przekrzywił głowę i pociągnął nosem. – Mundur nie jest wart funta kłaków – stwierdził, rozkładając bluzę – ale wezmę go dla materiału, można z niego uszyć ładną kamizelkę. Surdut i spodnie są w porządku, buty też. Dam wam za nie gwineę.

– Gwineę! – powtórzyłam.

– Dzisiaj więcej nie dostaniecie. – Ponownie pociągnął nosem. – Z reguły nie handluję trefnym towarem.

– To nie jest trefny towar – odparła Zena. – Ale gwinea wystarczy, a jeśli dorzucisz pan dwie pary bielizny i kapelusze, oddamy za funta.

Majtki i pończochy okazały się poźółkłe, a na kapelusze żal było patrzeć, poza tym nie miałyśmy nawet gorsetów. Ale Zena wydawała się zadowolona z ubitego interesu. Schowawszy pieniądze, zaprowadziła mnie do straganu z pieczonymi ziemniakami. Zjadłyśmy po jednym i wypiliśmy kubek herbaty. Ziemniaki smakowały błotem, a herbata była po prostu zabarwioną wodą, ale przynajmniej ogrzałyśmy się przy kociołku.

Jak już wspomniałam, Zena wydawała się kompletnie odmieniona. Przestała się trząść (robiłam to w dwójnasób) i wyraźnie czuła się jak ryba w wodzie. Kiedyś zachowywałam się na ulicy równie swobodnie, dzisiaj zaś najchętniej chwyciłabym tę dziewczynę za rękę, aby poprowadziła mnie jak dziecko.

– Co my zrobimy, Zeno? – zawodziłam rozpaczliwie, depcząc jej po piętach. – Tak strasznie zimno! – A nawet: – Jak myślisz, co teraz robi Diana, Zeno? Dasz wiarę, że naprawdę mnie wyrzuciła?

– Panienko – odrzekła wreszcie. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale jeśli się panienka

nie zamknie, będę jednak zmuszona panienkę trzepnąć.

– Przepraszam, Zeno – odpowiedziałam.

Wreszcie wdała się w pogawędkę z prostytutką, która również przyszła ogrzać się przy kociołku; dziewczyna opowiedziała jej o pobliskiej noclegowni przyjmującej ludzi bez względu na porę. Miejsce okazało się paskudne, było w nim osobne pomieszczenie dla kobiet i dla mężczyzn, a wszystkim obecnym dokuczał uporczywy kaszel. Zena i ja zajęłyśmy jedno łóżko: ona spała w sukience, żeby nie zmarznąć, a ja rozłożyłam swoją pod materacem w nadziei, że przez noc sama się rozprostuje.

Leżałyśmy sztywno obok siebie, z głowami na tym samym zagłówku, lecz Zena odwróciła twarz i zamknęła oczy. Wszechobecny kaszel, obolały policzek i strach nie pozwalały mi zasnąć. Zena zadrzała; położyłam na jej ramieniu rękę, a gdy mnie nie odepchnęła, przysunęłam się nieco bliżej.

– Ach, Zeno – szepnęłam. – Przez to wszystko nie mogę zasnąć!

– Domyślam się.

Zadygotałam.

– Nienawidzisz mnie, Zeno?

Nie odpowiedziała.

– Wcale nie mam ci tego za złe. Ale czy masz pojęcie, jak strasznie mi przykro?

Kobieta z sąsiedniego łóżka (chyba pijaczka) wrzasnęła coś przez sen i obie podskoczyłyśmy, przysuwając się jeszcze bliżej siebie. Zena nadal miała zamknięte oczy, ale widziałam, że słucha. Przeszło mi przez myśl, że gdy ostatnio leżałyśmy tak obok siebie, towarzyszył nam zgoła odmienny nastrój. Teraz namiętność zupełnie wywietrzała mi z głowy, czułam jednak, że trzeba jakoś nawiązać do niedawnych wydarzeń.

– Gdyby tylko Diana nie weszła do pokoju! – powiedziałam. – Było miło, prawda?

Zena otworzyła oczy.

– Ale się skończyło – odparła ze smutkiem. – Zawsze jest miło, dopóki cię nie przyłapią.

– Spojrzała na mnie i przełknęła ślinę.

– Nie będzie tak źle, Zeno – zapewniłam. – Jesteś taka jak ja, mamy w Londynie tylko siebie. Mogłybyśmy spróbować, prawda? Znajdziemy pokój, ty zatrudnisz się jako szwaczka albo służąca. Ja kupię nowy surdut i poczekam, aż zagoi mi się twarz. Znam kilka sztuczek na zarobienie pieniędzy. Nie minie miesiąc, a odzyskamy twoje siedem funtów. Ani się obejrzyysz, jak uzbieramy dwadzieścia i będziesz mogła pojechać do kolonii, a ja...
– głośno przełknęłam ślinę – ...mogłabym pojechać z tobą. Mówiłaś, że potrzebują tam właściciele pensjonatów, to i dla męskiej dziwki chyba znajdzie się miejsce, co?... nawet w Australii?

Spoglądała na mnie bez słowa. Następnie uniosła głowę i lekko pocałowała mnie w usta. Potem znowu się odwróciła, a ja wreszcie zasnąłam.

Kiedy się obudziłam, było już jasno. Kaszłące kobiety rozprawiały płaczliwie o minionych nocach oraz dniach, którym przyjdzie im stawić czoło. Leżałam z zamkniętymi oczami i twarzą w dłoniach: nie chciałam widzieć ani swych współtowarzyszek, ani

świata, który od teraz zmuszona byłam z nimi dzielić. Pomyślałam o Zenie oraz planie przedstawionym jej w nocy. Będzie ciężko, pomyślałam; będzie ciężko, ale Zena pomoże mi przetrwać najgorsze chwile. Bez niej to by dopiero było...

Oderwawszy ręce od twarzy, zobaczyłam, że miejsce obok mnie jest puste. Zniknęła. Zniknęły też pieniądze. Zwyczajem pokojówki zerwała się o świcie i odeszła, pozostawiając mnie z niczym.

Owa myśl wprowadziła mnie w dziwne odrętwienie: byłam chyba zbyt oszołomiona i zdruzgotana, by jeszcze bardziej pogрузić się w rozpacz. Wstałam, wyjęłam suknię spod materaca (była jeszcze bardziej pognieciona) i ubrałam się szybko. Pijaczka z sąsiedniego łóżka kupiła za pół pensa miskę letniej wody; stanąwszy w niej opłukała się i po skończonej „toaletcie” pozwoliła mi zmyć z policzka pozostałości zaschniętej krwi i przyglądzić włosy. Przejrzałam się w kawałku lustra przylepionym do ściany: moja twarz przypominała woskowy odlew, który nieopatrznie pozostawiono zbyt blisko lampy. Każdy krok stanowił dla mnie istną torturę: wprowadziłam nosiłam te buty jako ulicznica, lecz albo urosły mi stopy, albo przywykłam do delikatniejszego obuwia, tak czy inaczej wędrówka na Kilburn Road zaowocowała pękającymi pęcherzami. Pończochy miałam podarte na strzępy.

Noclegownię zamykano przed południem: o jedenastej przyszła jakaś kobiecina i miotłą wygoniła nas z sali. Poszłam kawałek z pijaczką. Kiedy rozstawałyśmy się na szczycie Maida Vale, kobieta wyjęła odrobinę tytoniu i skręciwszy dwa cieniutkie papierosy obdarowała mnie jednym z nich. Tytoń, oznajmiła, to najlepsze lekarstwo na siniaki. Usiadłam na ławce i wypaliwszy papierosa rozważyłam swe żalosne położenie.

Doświadczylam niedorzecznego déjà vu: tak samo zziębnięta, chora i zrozpaczona byłam cztery lata wcześniej po ucieczce ze Stamford Hill. Lecz wówczas miałam przynajmniej trochę grosza i worek przyzwoitych ubrań, strawę oraz papierosy, które może nie zapewniały szczęścia, ale chociaż trzymały przy życiu. Teraz nie miałam nic. Doskwierał mi głód oraz skutki nadmiernej ilości alkoholu. Chcąc kupić coś do jedzenia, musiałam albo żebrać, albo w myśl rady Zeny spróbować szczęścia jako ulicznica. Perspektywa żebraniny budziła we mnie gwałtowną niechęć: nie chciałam liczyć na współczucie dżentelmenów, którzy jeszcze niedawno podziwiali krój mego surduta lub blask spinek do mankietów, kiedy mijałam ich u boku Diany. Myśl, że któryś z nich miałby mnie przelecieć, była jeszcze gorsza.

Wstałam: przeraźliwy ziąb nie pozwalał zbyt długo siedzieć na ławce. Przypomniłam sobie słowa Zeny. Radziła, żebym skorzystała z pomocy bliskich. Odpowiedziałam jej, że nie mam nikogo, teraz jednak przyszedł mi do głowy pewien adres, pod który mogłabym się udać. Oczywiście nie pomyślałam o swej prawdziwej rodzinie z Whitstable: sądziłam wówczas, że skończyłam z nimi na zawsze. Pomyślałam o kobiecie, która swego czasu była dla mnie niczym rodzona matka, i o jej córce, która stała się dla mnie niemal siostrą. Pomyślałam o pani Milne i Gracie. Nie kontaktowałam się z nimi od półtora roku. Obiecałam, że do nich zajrzę, lecz nie mogłam dotrzymać obietnicy. Przyrzekłam, że wyślę

im swój adres: nie wysłałam nawet pozdrowień ani kartki na urodziny Gracie. Prawdę mówiąc, po pierwszych kilku dniach spędzonych na Felicity Place przestało mi ich brakować. Teraz jednak na wspomnienie ich dobroci zachciało mi się płakać. Diana i Zena pozostawiły mnie na pastwę losu, lecz byłam pewna, że pani Milne nie pozwoli mi zginąć.

Ruszyłam więc w kierunku Green Street, powoli i z mozołem, jakbym kroczyła po rozpalonych węglach. Kiedy wreszcie dotarłam na miejsce, dom wydał mi się obskurny, co po pobycie w wytwornej willi Diany bynajmniej mnie nie zdziwiło. Już kiedyś doświadczyłam tego uczucia, wracając do rodzinnej gospody. Przy drzwiach nie zobaczyłam doniczki ani trzynogiego kota, lecz bądź co bądź mieliśmy zimę i po ulicy hulał wiatr. Myślałam tylko o swym rozpaczliwym położeniu i gdy nikt nie odpowiedział na dzwonek, postanowiłam usiąść na schodach i poczekać. Pani Milne nie zwykła bawić długo poza domem. A jeśli zdrętwieję z zimna, trudno: w pełni na to zasłużyłam...

Kiedy jednak przycisnęłam twarz do szybki obok drzwi, zobaczyłam, że ściany, obwieszane dawniej kolorowymi obrazkami, są puste. Zostały na nich tylko ślady po szpilkach. Przeszedł mnie nagły dreszcz. Chwyciłam kołatkę i w przypływie paniki załomotałam do drzwi.

– Pani Milne! Pani Milne! – krzyknęłam przez szparę na listy. – Gracie! Gracie Milne! – Jednakże mój głos zabrzmiał głucho, a korytarz odpowiedział milczeniem.

– Szuka panienka starszej pani i jej córki? – zawołał ktoś z kamienicy znajdującej się za moimi plecami.

– One wyjechały, złotko. Wyjechały miesiąc temu!

Odwróciłam się i spojrzałam w górę. Jakiś mężczyzna stał na balkonie, wskazując na dom pani Milne. Podeszłam bliżej i patrząc na niego z rozpaczą, zapytałam, dokąd wyjechały.

Wzruszył ramionami.

– Podobno do siostry. Jesienią starsza pani zaniemogła, a że dziewczyna jest niedorozwinięta (wiedziała panienka o tym, prawda?), rodzina uznała, że lepiej nie pozostawiać ich samym sobie. Zabrały wszystkie meble, dom pewnie pójdzie na sprzedaż... – Mężczyzna zerknął na mój policzek. – Jaka piękna śliwka – powiedział, tak jakbym nie zdawała sobie sprawy ze swego wyglądu. – Zupełnie jak w tej piosence, co nie? Tyle że ma panienka tylko jedną!

Stałam, dygocząc, i patrzyłam, jak się śmieje. Obok mężczyzny stanęła mała, jasnowłosa dziewczynka; chwyciła się balustrady i włożyła nóżki między sztachetki.

– Gdzie mieszka ta pani... siostra, do której pojechały?

Mężczyzna z namysłem pociągnął się za ucho.

– Wiedziałem, ale wyleciało mi z głowy... Chyba w Bristolu, a może w Bath...

– Zatem nie w Londynie?

– O nie, na pewno nie w Londynie. Zaraz, zaraz, a może w Brighton...?

Odwróciłam się i ponownie spojrzałam na dom pani Milne, na okno mojego dawnego pokoju i balkon, na którym lubiłam siadać w ciepłe dni. Gdy znów przeniosłam wzrok na

mężczyznę, trzymał dziewczynkę na rękach, a jej rozwiane wiatrem złociste włosy zasłaniały mu twarz. Wówczas przypomniałam sobie, że kiedy widziałam ich ostatnio, oboje klaskali w rytm melodii wygrywanej na mandolinie. Było to w upalny, czerwcowy wieczór, na krótko przed poznaniem Diany. Właśnie wprowadzili się do nowego domu i gościli u siebie dziewczynę z opieki społecznej, brzydულę o romantycznie brzmiącym imieniu.

Florence! Nie sądziłam, że będę o niej pamiętać. Nie myślałam o niej od ponad roku.

Gdybym tak mogła ją teraz zobaczyć! Wynajdywała domy biedakom, mogłaby wyszukać też coś dla mnie. Kiedyś okazała mi życzliwość: czy nie zrobiłaby tego ponownie, jeśli zwróciłabym się do niej o pomoc? Pomyślałam o jej miłej twarzy i kędzierzawych włosach. Najpierw straciłam Dianę, potem Zenę, a teraz panią Milne i Grace. W całym Londynie Florence była jedyną osobą, którą mogłam nazwać przyjaciółką. Przyjaźni zaś pragnęłam dziś nade wszystko w świecie.

Mężczyzna na balkonie odwrócił się i chciał wejść do domu.

– Proszę pana! – zawołałam. Podeszłam bliżej do kamienicy i podniosłam wzrok: oboje ponownie wychylili się przez balustradę. Dziewczynka wyglądała jak aniołek z kościelnego fresku. – Nie pamięta mnie pan, ale mieszkałam kiedyś u pani Milne. Szukam dziewczyny, tej, co była u państwa z wizytą zaraz po przeprowadzce. Pracowała z ludźmi, którzy znaleźli wam dom.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Dziewczyny, mówi panienska?

– Kędzierzawej, o imieniu Florence. Czy pan wie, o kim mówię? Pamięta pan nazwę organizacji, w której pracowała? Przyszła z kobietą, która grała na mandolinie.

Mężczyzna nadal marszczył brwi i drapał się po głowie, lecz na wzmiankę o mandolinie wyraźnie się rozpogodził.

– Aha – powiedział. – Tak, pamiętam. Kolegowałyście się?

Potwierdziłam.

– A organizacja? Pamięta pan, gdzie się mieści?

– Zaraz, zaraz... byłem tam raz, ale nie wiem, czym spamiętał numer. Wiem, że to gdzieś obok Angel, w Islington.

– Obok Sama Collinsa? – spytałam.

– Za Samem Collinsem, na Upper Street. Kawalek przed pocztą. Małe drzwi po lewej stronie, gdzieś pomiędzy gospodą a krawcem...

Więcej szczegółów nie pamiętał, lecz uznałam, że to wystarczy. Na moje podziękowanie odpowiedział uśmiechem.

– Piękna śliwka – powtórzył, tym razem pod adresem córki. – Zupełnie jak w tej piosence, prawda, Betty?

Czułam się tak, jakbym była na nogach od miesiąca. Podejrzewałam, że moje buty zdarły się do cna i przykrywały teraz jedynie wierzchnią część gołych stóp. Lecz nie traciłam czasu, by usiąść na ławce i to sprawdzić. Wiatr wzmógł się nieco i choć była dopiero

druga po południu, niebo wisiało nad miastem szare jak ołów. Nie byłam pewna, kiedy zamykają biuro, ani jak długo przyjdzie mi go szukać, nie wiedziałam nawet, czy zastanę tam Florence. Dlatego maszerowałam Pentonville Hill ile sił w obolałych nogach, zachodząc w głowę, co mam jej powiedzieć. Sprawilo mi to nieoczekiwaną trudność. Ostatecznie prawie jej nie znałam, co gorsza, nie przyszłam kiedyś na umówione spotkanie. Czy w ogóle będzie mnie pamiętać? Stojąc na posepnej Green Street, byłam o tym święcie przekonana. Lecz z każdym piekącym krokiem moje wątpliwości przybierały na sile.

Okazało się, że znalezienie biura nie nastreczylo mi trudności. Mężczyzna miał doskonałą pamięć, a cudownym zrzędzeniem losu na Upper Street nie zaszlo wiele zmian: gospoda i krawiec znajdowały się dokładnie tam, gdzie mówił, po lewej stronie ulicy, tuż za teatrem rewiiowym. Pomiędzy nimi widniało troje lub czworo drzwi, które wiodły do mieszkań i biur umiejscowionych powyżej. Na jednych przybito małą, lakierowaną tabliczkę z napisem: „Nieruchomości Ponsonsby’ego: panna J. A. D. Derby”. Przypomniałam sobie, że tak nazywała się kobieta z mandoliną. Pod tabliczką tkwiła rozmyta przez deszcz kartka z odręcznie narysowaną strzałką wskazującą na sznurek od dzwonka i napisem „Proszę dzwonić, a potem wejść”. Nie bez lęku zastosowałam się do instrukcji i przestąpiłam próg budynku.

Korytarz okazał się bardzo długi i ciemny. Prowadził do okna, które wychodziło na ceglana ścianę oraz cieknące rury, skąd schodami można było wejść na górę. Chwyciłam się lepkiej poręczy i rozpoczęłam wspinaczkę. Nim zdążyłam wejść na trzeci lub czwarty stopień, drzwi na górze stanęły otworem i rozległ się miły damski głos.

– Witam! Stromo, ale warto wejść. Nie za ciemno?

Odrzekłam, że nie, i przyspieszyłam kroku. Na górze wprowadzono mnie, nieco zdyszana, do maleńkiego pokoiku z biurkiem, szafką oraz zbieraniną krzeseł. Na znak kobiety usiadłam, a ona przycupnęła na skraju biurka i zaplotła ręce na piersi. Z sąsiedniego pokoju dobiegał urywany stukot maszyny do pisania.

– A więc – powiedziała – czym mogę pani służyć? Ale oko! – Zdjęłam kapelusz, jak mężczyzna; kobieta popatrzyła na mój spuchnięty policzek, a potem obrzuciła nieufnym spojrzeniem przyszczyżone włosy. Machinalnie bawiłam się wstążką od kapelusza. – Była pani umówiona? – drążyła.

Odpowiedziałam, że nie przyszłam w sprawie domu. Przyszłam w sprawie dziewczyny.

– Dziewczyny?

– Właściwie kobiety. Ma na imię Florence i pracuje w tej organizacji.

Moja rozmówczyni zmarszczyła brwi.

– Florence? – powtórzyła. – Jest pani pewna? Pracuje tu tylko panna Derby, ja i jeszcze jedna pani.

– Panna Derby z pewnością będzie wiedziała, o kim mówię – odrzekłam pospiesznie. – Florence na pewno tu pracowała, gdyż kiedy ją ostatnio widziałam, powiedziała...

– Powiedziała? – zachęciła z rosnącą nieufnością kobieta, ponieważ bezgłośnie otworzyłam usta i uniosłam rękę do twarzy, a następnie zakłęłam w przyplýwie bezsilnej

złości.

– Powiedziała, że rezygnuje z pracy – dokończyłam – i przyjmuje posadę gdzie indziej. Ależ jestem niemądra! Dopiero sobie przypomniałam. To oznacza, że Florence nie ma tu od półtora roku!

Kobieta skinęła głową.

– Wobec tego odeszła, zanim rozpoczęłam tu pracę. Ale ma pani rację, panna Derby na pewno będzie ją pamiętała.

Istniał zatem cień szansy. Uniosłam głowę.

– Czy będę mogła z nią porozmawiać?

– Owszem, tylko nie dzisiaj. Obawiam się, że jutro też nie. Przyjdzie dopiero w piątek...

– W piątek! – To straszne. – Ale ja muszę się dzisiaj zobaczyć z Florence, naprawdę muszę! Przecież ma pani list albo notatkę z jej adresem. Na pewno zostawiła jakąś informację.

Kobieta okazała zdziwienie.

– Cóż – odparła z wolna – może i tak... Ale nie mogę przekazywać prywatnych danych nieznanym. – Zastanawiała się przez chwilę. – Czy nie mogłaby pani napisać listu, żebyśmy przekazali go adresatce...? – Potrząsnęłam głową, czując łzy pod powiekami. Kobieta chyba źle mnie zrozumiała, gdyż dodała łagodnie: – Ach... pewnie nie najlepiej włada pani piórem...?

Za odrobinę życzliwości przyznałabym się do wszystkiego. Ponownie potrząsnęłam głową.

– Nie, właściwie nie.

Milczała przez chwilę. Być może doszła do wniosku, że skoro nie umiem czytać ani pisać, nie mogę mieć szczególnie wrogich zamiarów.

– Proszę zaczekać – powiedziała wreszcie, wstając z miejsca. Przeszła do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Stukot maszyny do pisania na moment przybrał na sile, po czym ustał; usłyszałam szmer głosów, szelest papierów, a wreszcie trzask zamykanej szuflady.

Kobieta ponownie stanęła w progu, trzymając w ręku kartkę, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak list.

– Udało się! Dzięki skrzętnej archiwizacji panny Derby znalazłam tę pani Florence, a przynajmniej jakąś Florence. Odeszła w roku 1892, na krótko przed tym, jak panna Bennet i ja rozpoczęłyśmy pracę. Wszakże... – tu spoważniała – ...nie możemy dać pani jej prywatnego adresu, a jedynie adres przytułku dla opuszczonych dziewcząt, gdzie pracuje. To Freemantle House, na Stratford Road.

Przytułek dla opuszczonych dziewcząt! Nogi ugięły się przede mną na samą myśl.

– To na pewno ona – powiedziałam. – Ale... Stratford? Tak daleko? – Zaszurałam nogami pod krzesłem, czując jak skóra obciera moje krwawiące pięty. Trzewiki pokrywała gruba warstwa błota, a rąbek sukni zyskał pokaźną falbanę brudu. Deszcz załomotał o szyby. – Stratford – powtórzyłam tak żałośnie, że kobieta podeszła bliżej i położyła mi dłoń

na ramieniu.

– Nie ma pani na bilet? – spytała łagodnie. Pokręciłam głową.

– Straciłam wszystkie pieniądze. Straciłam wszystko! – Zasłoniłam oczy rękami i oparłam się o biurko. Mój wzrok spoczął na białej kartce papieru – liście, który kobieta niebacznie położyła na biurku w przekonaniu, że nie zdołam go przeczytać. Był bardzo zwięzły, napisany przez samą Florence – Florence Banner – i zaadresowany do panny Derby. „Proszę przyjąć moją rezygnację...”. Nie traciłam czasu na lekturę, gdyż w prawym górnym rogu kartki umieszczono datę oraz adres domowy, którego nie miałam poznać. Quilter Street, Bethnal Green, Wschodni Londyn. Zapamiętałam to w mgnieniu oka.

Tymczasem kobieta życzliwie rozprawiła dalej. Dotąd puszczałam jej słowa mimo uszu, teraz jednak uniosłam głowę i zobaczyłam, do czego zmierza. Wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła jedną z szuflad w biurku.

– ...zwykle tego nie robimy – mówiła – ale widzę, że jest pani bardzo zmęczona. Jeśli pojedzie pani omnibusem do Aldgate i tam wsiądzie w następny, to przez Mile End Road dotrze pani prosto do Stratford. – Wyciągnęła rękę. Spoczywały na niej trzy pensy. – I może wypije pani po drodze kubek herbaty?

Wzięłam monety i wymamrotałam słowa podziękowania. W tym momencie zadzwonił dzwonek i obie podskoczyłyśmy. Kobieta spojrzała na zegar.

– Ostatni interesanci na dziś – powiedziała. Podchwyciwszy aluzję, wstałam i włożyłam kapelusz.

Piętro niżej rozległy się kroki, po czym ktoś hałaśliwie potknął się na schodach. Kobieta odprowadziła mnie do drzwi.

– Zapraszam na górę – zawołała do gości. – Wiem, że stromo, ale warto wejść...

Z mroku wyłonił się młody mężczyzna, za nim podążała kobieta. Byli smagli (wyglądali na Włochów lub Greków) i robili wrażenie bardzo ubogich i wymizierowanych. W przejściu nastąpiło małe zamieszanie, kiedy z uśmiechem zaczęliśmy się nawzajem przepuszczać, wreszcie urzędniczka wraz z gośćmi znalazła się w biurze, a ja stanęłam na ciemnym korytarzu.

Kobieta uniosła głowę i podchwyciła mój wzrok.

– Powodzenia! – rzuciła z roztargnieniem. – Mam nadzieję, że znajdzie pani przyjaciółkę.

Wbrew wskazówkom miłej pracownicy organizacji charytatywnej nie miałam zamiaru jechać do Stratford. Kupiłam sobie jednak herbatę na straganie z markizą przy głównej ulicy.

– Którędy do Bethnal Green? – zagadnęłam straganiarkę, oddając kubek.

Nigdy dotąd nie zapuszczałam się na wschód dalej niż do Clerkenwell, a już na pewno nie sama i pieszo. Teraz, kuśtykając City Road w kierunku Old Street, poczułam nowy przypływ zdenerwowania. Gdy rozmawiałam z kobietą w biurze, na zewnątrz pociemniało, a ulice okryła mgła. Zapalono wszystkie latarnie, na każdym powozie kołysał się lampion, lecz City Road nie przypominała Soho, gdzie chodniki rozjaśniał blask niezliczonych

witryn i świateł. Na każde dziesięć kroków mej mozolnej wędrówki w żółtym kręgu gazowej latarni przypadało dwadzieścia ciemnych choć oko wykol.

Na Old Street zrobiło się nieco lepiej; znajdowały się tam liczne biura oraz zatłoczone przystanki i sklepy. Lecz w miarę jak zbliżałam się do Hackney Road, mrok gęstniał, a okolica stawała się coraz uboższa i bardziej ponura. Drogi w Angel były w miarę przyzwoite, w przeciwieństwie do tutejszych, tak upstrzonych łajnem, że każdy przejeżdżający powóz opryskiwał mnie falą nieczystości. Przechodnie, którzy wyglądali na uczciwych robotników, w ubraniach równie spłowiałych jak moje własne, też sprawiali wrażenie coraz biedniejszych. Ich odzież była nie tylko wyświechtana, ale i podarta. Nosili trzewiki, jednak bez pończoch. Mężczyźni mieli szaliki zamiast kołnierzy i czapki zamiast kapeluszy, a kobiety chusty. Dziewczęta chodziły w brudnych fartuchach albo w ogóle ich nie miały. Każdy dźwigał jakiś ciężar: kosz, zawiniątko albo dziecko na biodrze. Deszcz padał coraz mocniej.

Straganiarka radziła mi kierować się w stronę Columbia Market; idąc Hackney Road, nagle zobaczyłam, że znalazłam się na skraju ogromnego dziedzińca. Zadrżałam. Wielki, granitowy gmach z wieżyczkami i ornamentami, podobnymi do zdobień katedry gotyckiej, wydawał się ciemny i nieruchomy. Grupa podejrzanych typów z papierosami i butelkami przycupnęła pod arkadami i chuchała w zmarznięte dłonie.

Niespodziewany chrobot zegara przestraszył mnie nie na żarty. Skomplikowana melodia, równie wyszukana i niepotrzebna jak sam gmach, wydzwoniła godzinę: kwadrans po czwartej. Jeśli Florence pracowała do wieczora, było za wcześnie na wizytę, dlatego spędziłam kolejną godzinę pod arkadą, gdzie wiatr i deszcz nie dokuczały tak mocno. Dopiero gdy kuranty wydzwoniły wpół do szóstej, ponownie wyszłam na dziedziniec i rozejrzałam się dokoła: byłam niemal doszczętnie odrętwiała z zimna. W pobliżu zobaczyłam dziewczynkę z olbrzymią tacą na szyi, wypełnioną pękami rukwi wodnej. Zapytałam ją, jak daleko do Quilter Street, a ponieważ była tak smutna, zziębnięta i przemoczona (no i nie wypadało zjawić się u Florence z pustymi rękami), kupiłam największy bukiet. Kosztował pół pensa.

Umieściwszy rukiew niezgrabnie w zgięciu zeszywniałego ramienia, ruszyłam pod wskazany adres i wkrótce stanęłam przed rzędem niskich domów. Dzielnica nie była może obskurna, choć nie należała do eleganckich: w latarniach tu i ówdzie brakowało szybek, na chodniku leżały sterty połamanych mebli oraz kupki tego, co w książkach litościwie nosi miano „popiołów”. Spojrzałam na numer najbliższych drzwi: jedynka. Powoli ruszyłam przed siebie. Numer pięć... dziewięć... jedenaście... Byłam coraz słabsza... piętnaście... siedemnaście... dziewiętnaście...

Tutaj przystanęłam, ponieważ wyraźnie ujrzałam dom, którego szukałam. Przez zaciągnięte zasłony przeświecał blask lampy; ten widok sprawił, że prawie zemdliło mnie ze strachu. Oparłam rękę o ścianę, próbując odzyskać równowagę; jakiś chłopiec minął mnie, pogwizdując i puścił oko – pewnie pomyślał, że jestem pijana. Kiedy odszedł, popatrzyłam w panice dokoła: pamiętałam cel wizyty na Green Street, kiedy jednak

przedstawię go Florence, roześmieje mi się w twarz.

Ale zaszłam zbyt daleko i nie miałam dokąd wrócić. Dlatego podeszłam do oświetlonego okna, a potem do drzwi, i zapukałam. Czułam się, jakbym owego dnia stawała na niezliczonych progach, a na każdym czekało mnie srogie rozczarowanie lub odprawa. Pomyślałam, że chyba umrę, jeśli i tu nie przyjmą mnie życzliwie.

Wreszcie zza drzwi usłyszałam ściszony głos oraz kroki i na progu stanęła sama Florence. Wyglądała dokładnie jak wówczas, gdy ujrzałam ją pierwszy raz: ciemna sylwetka na tle światła, aureola kręconych włosów. Westchnęłam albo może zadrzałam, po czym mój wzrok padł na coś, co trzymała w okolicach biodra. Było to niemowlę. Przeniosłam wzrok z dziecka na pokój znajdujący się za jej plecami i dostrzegłam kolejną postać: przy kominku siedział mężczyzna i uniósłszy oczy znad gazety, spoglądał na mnie z łagodnym zaciekawieniem. Popatrzyłam na Florence.

– Tak? – powiedziała.

Nie poznała mnie. Nie poznała mnie, a co gorsza miała męża i dziecko.

To okazało się ponad moje siły. Poczułam zawrót głowy, przymknęłam oczy i zemdlona osunęłam się na próg.

Rozdział 16

Kiedy się ocknęłam, leżałam na dywaniku z nogami wspartymi o małą poduszkę i czułam ciepło ognia w kominku obok. Nade mną rozlegał się szmer ściszonych głosów. Otworzyłam oczy: pokój przechylił się raptownie, dlatego czym prędzej zacisnęłam powieki, postanawiając ich nie otwierać dopóty, dopóki podłoga, rozkołysana niczym wirująca moneta, nie opadnie na swoje miejsce.

Rozkosznie łatwo było grzać się przy ogniu, czując jak w zdrętwiałe i obolałe członki wraca życie, uznałam jednak, że rozsądnie będzie rozważyć sytuację i rozejrzeć się dokoła. Domyśliłam się, że jestem w saloniku Florence: ona i jej mąż musieli przenieść mnie przez próg i ułożyć przy kominku. Najwyraźniej słyszałam ich głosy: stali nieco za mną, dlatego ruch powiek umknął ich uwagi. Wyglądało na to, że moja wizyta zbiła ich z tropu.

– Kto to może być? – zapytał mężczyzna.

– Nie mam pojęcia – zabrzmiała odpowiedź. Skrzypnęła podłoga i poczułam na sobie uważne spojrzenie Florence. – Mimo to jej twarz wydaje mi się znajoma...

– Spójrz na jej policzek – ciągnął ściszym tonem mężczyzna. – I jaką ma zniszczoną sukienkę. A te włosy! Sądziś, że wyszła z więzienia? Może to jedna z twoich dziewcząt z zakładu? – Ponownie zapadła cisza, być może Florence wzruszyła ramionami. – Jestem pewien, że była w więzieniu – podjął mężczyzna. – Te okropne włosy... – Tu poczułam się nieco urażona i drgnęłam mimowolnie. – Uważaj! – szepnął mężczyzna. – Budzi się.

Otworzyłam oczy i ujrzałam nad sobą jego twarz: miał łagodne rysy, krótkie włosy o złocistorudym odcieniu oraz wąsy, upodabniające go do marynarza z paczki playersów. Na tę myśl zachciało mi się papierosa i zaczęłam kaszleć. Mężczyzna przykucnął i poklepał mnie po ramieniu.

– Jak się czujesz, skarbie? Już dobrze? Jesteś wśród przyjaciół. – Emanował taką życzliwością, że łzy napłynęły mi do oczu i (nadal słaba i oszołomiona po upadku) uniosłam rękę do czoła, aby to ukryć. Kiedy cofnęłam dłoń, zobaczyłam na niej czerwoną plamę i jęknęłam, sądząc, iż ponownie rozkwasiłam sobie nos.

Ale to nie była krew. Po prostu barwnik z przemoczonego kapelusza spłynął mi na twarz, znacząc ją strugami purpury.

Proszę, do czego doprowadziła mnie Diana, pomyślałam i wybuchnęłam płaczem, łkając i zawodząc jak dziecko. Mężczyzna wyjął chustkę i jeszcze raz poklepał mnie po ramieniu.

– Domyślam się, że napiłabyś się czegoś ciepłego? – powiedział.

Kiwnęłam głową. Podniósł się i odszedł, a jego miejsce zajęła Florence. Musiała odłożyć dziecko, gdyż stała z rękami ciasno splecionymi na piersi.

– Lepiej się pani czuje? – zapytała. Jej głos zabrzmiał mniej życzliwie niż głos mężczyzny, w dodatku mierzyła mnie surowym spojrzeniem.

Kiwnęłam głową, a następnie z pomocą Florence przeniosłam się z chodnika na fotel stojący przy kominku. Zobaczyłam, że dziecko leży na plecach na drugim fotelu, zaciskając i rozwierając małe piąstki. Z sąsiedniego pomieszczenia, pewnie kuchni, dolatywały szczęk naczyń oraz pogwizdywanie. Wydmuchałam nos i otarłam twarz, po czym popłakałam jeszcze trochę i ucichłam.

Ponownie spojrzałam na Florence.

– Przepraszam, że przychodzę tu w takim stanie – powiedziałam.

Milczała.

– Pewnie zastanawiają się państwo, kim jestem...

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Owszem, właściwie tak.

– Jestem... – zaczęłam, po czym zaniosłam się kaszlem, aby ukryć wahanie. Cóż mogłam jej powiedzieć? Że jestem dziewczyną, która flirtowała z nią półtora roku temu? Dziewczyną, która zaprosiła ją na kolację, a potem wystawiła do wiatru?

– Jestem znajomą panny Derby – wyjaśniłam w końcu. Florence zamrugała.

– Panny Derby? – powtórzyła. – Panny Derby z organizacji Ponsonby’ego?

Kiwnęłam głową.

– Tak. Poznałyśmy się kiedyś... dawno temu... Właśnie przechodziłam Bethnal Green i pomyślałam, żeby do pani zajrzeć. Przyniosłam rukiew... – Popatrzyłyśmy na kwiaty. Stały na stole przy drzwiach, ale wyglądały żałośnie, gdyż pogniotłam je, upadając. Czerniałe liście były w strzępach, łodygi połamały się w kilku miejscach, papier zaś przemókł i pozieleniał.

– To miło z pani strony – odrzekła Florence.

Uśmiechnęłam się nerwowo. Zapadło milczenie. Naraz niemowlę wierzgnęło nóżkami i zapłakało. Florence podniosła je z fotela i przytuliła do piersi.

– Chcesz do mamusi? – zapytała. – No już dobrze.

Mężczyzna wrócił do pokoju z herbatą oraz kromką chleba z masłem na talerzu, który z uśmiechem postawił na poręczu mojego krzesła. Florence oparła podbródek na główce dziecka.

– Ralph – powiedziała. – Ta pani jest znajomą panną Derby. Pamiętasz pannę Derby, u której kiedyś pracowałam?

– Coś podobnego! – zawołał mężczyzna, Ralph.

Dotąd paradował w samej koszuli, teraz sięgnął po marynarkę przewieszoną przez oparcie krzesła i ją włożył. Zajęłam się filiżanką i talerzem. Herbata była bardzo gorąca i słodka, w życiu nie piłam lepszej. Dziecko znów zapłakało i Florence zaczęła je kołysać,

machinalnie trąc policzkiem jego główkę. Wkrótce krzyk przeszedł w sapanie, a potem westchnienie. Słyszając to, ja również westchnęłam i pospiesznie zaczęłam dmuchać na herbatę, żeby nie pomyśleli, że znów się rozklejam.

Nastała kolejna chwila ciszy.

– Obawiam się, że nie pamiętam pani nazwiska – rzekła Florence. I dodała, zwracając się do Ralph: – Podobno kiedyś się poznałyśmy.

Chrząknęłam.

– Panna Astley – przedstawiłam się. – Panna Nancy Astley.

Florence skinęła głową, a Ralph serdecznie uścisnął mi rękę.

– Miło mi panią poznać, panno Astley – powiedział. Następnie wskazał na mój policzek. – Ależ ma pani śliczne oko.

– Prawda? – odparłam. Popatrzył na mnie zyczliwie.

– Pewnie zemdląła pani z powodu tego uderzenia. Nieźle nas pani wystraszyła.

– Bardzo mi przykro. Chyba ma pan rację, wszystko przez to uderzenie. Ja... wpadłam na mężczyznę z drabiną.

– Z drabiną!

– Tak... nie zauważył mnie. Skręcił gwałtownie i...

– No proszę! – zawołał Ralph. – A pomyślałby kto, że takie rzeczy dzieją się tylko w teatrze!

Posławszy mu blady uśmiech, zabrałam się do chleba z masłem. Florence nie spuszczała ze mnie uważnego spojrzenia.

Naraz niemowle kichnęło i Florence podsunęła mu chustkę pod nos.

– Jakie śliczne maleństwo! – powiedziałam bez przekonania. Rodzice natychmiast wlepili w nie wzrok, rozpluwając się w uśmiechach. Florence uniosła dziecko i kiedy padło na nie światło lampy, zobaczyłam ze zdumieniem, że chłopczyk naprawdę jest bardzo ładny. W ogóle nie przypominał matki: miał delikatne rysy, bardzo ciemne włosy i mały różowy dzióbek.

Ralph nachylił się, aby pogłaskać ruchliwą główkę syna.

– Śliczności – powiedział. – Ale jakoś strasznie dzisiaj senny. Zostawiamy go w dzień pod opieką dziewczyny z sąsiedztwa. Jesteśmy przekonani, że dolewa mu laudanum do mleka, żeby nie płakał. Nie mam jej tego za złe – dodał szybko. – Bierze pod opiekę dużo maluchów, musi jakoś zarobić na życie, a gdy wszystkie zaczną zawodzić, hałas jest nie do wytrzymania. Wolałbym jednak, aby tego nie robiła. To chyba bardzo niezdrowe...

Rozmawialiśmy o tym przez chwilę, pozachwycaliśmy się dzieckiem i ponownie zapadła cisza.

– A więc jest pani znajomą panny Derby – podjął wytrwale Ralph.

Zerknęłam na Florence. Znowu zaczęła kołysać dziecko, nadal była jednak zamyślona.

– Tak jest – potwierdziłam.

– Jak ona się miewa? – zapytał Ralph.

– Och, zna pan pannę Derby!

– Jednym słowem bez zmian?
– W rzeczy samej – potwierdziłam.
– Nadal u Ponsonby’ego?
– Nadal u Ponsonby’ego. Robi dobrą robotę. I wciąż gra na mandolinie. – Uniosłam rękę i uderzyłam w niewidzialne struny. W tym momencie Florence zastygła bez ruchu i popatrzyła na mnie nieco ostrzej niż przedtem. Pospiesznie przeniosłam wzrok na Ralpa, który z uśmiechem przyjął moje ostatnie słowa.
– Mandolina panny Derby – powiedział, jakby owo wspomnienie niezmiernie go rozbawiło. – Ileż bezdomnych rodzin podniosła na duchu! – Łobuzersko mrugnął okiem. – Prawie o niej zapomniałem...
– Ja też – wtrąciła Florence, bynajmniej nie ironicznym tonem.
Starannie przeżułam skórkę od chleba. Ralph znów się uśmiechnął i dodał łagodnie:
– A gdzie poznała pani Flo?
Przełknęłam ślinę.
– No cóż... – zaczęłam.
– Chyba na Green Street – rzuciła nieoczekiwanie Florence. – Prawda, panno Astley? Na Green Street, w pobliżu Gray’s Inn Road?
Odłożyłam talerz i popatrzyłam jej w oczy. Ogarnęło mnie przelotne zadowolenie na myśl, że nie zapomniała zuchwałej dziewczyny z balkonu, lecz na widok jej surowej miny przeszedł mnie nagły dreszcz.
– O Jezu – powiedziałam, unosząc rękę do czoła. – Znowu mi niedobrze. – Poczułam, że Ralph robi krok w moją stronę, a następnie nieruchomieje; widocznie znaczące spojrzenie Florence przygwoździło go do podłogi.
– Zabierz Cyrila na górę, Ralph – powiedziała cicho.
Podała mu dziecko, następnie rozległ się szcęk otwieranych i zamykanych drzwi, potem kroki na schodach, a wreszcie skrzypienie podłogi piętro wyżej. Zapadła cisza. Florence usiadła na drugim fotelu i westchnęła.
– Czy jest ponad pani siły, panno Astley – powiedziała znużonym tonem – zdradzić mi prawdziwy powód swej wizyty?
Spojrzałam na nią, niezdolna wydusić słowa.
– Nie wydaje mi się, aby rzeczywiście przysłała pani z polecenia panny Derby.
– Nie – przyznałam. – Widziałam pannę Derby tylko raz, tamtego wieczora na Green Street.
– Wobec tego kto powiedział pani, gdzie mieszkam?
– Inna pracownica z biura Ponsonby’ego – wyjaśniłam. – A właściwie nie powiedziała mi, tylko miała pani adres na stole, a ja go... podejrzałam.
– Podejrzała pani?
– Tak.
– I pomyślała, że wpadnie z wizytą?
Przygryzłam wargę.

– Jestem w tarapatach – wyznałam. – Przypomniałam sobie o pani... – Miałam na końcu języka, że w moich wspomnieniach była nieco życzliwsza niż w rzeczywistości. – Tamta kobieta mówiła mi, że pracuje pani w domu dla opuszczonych dziewcząt...

– Istotnie! Ale to jest mój dom.

– A ja jestem naprawdę opuszczona. – Zadrżał mi głos. – Bardziej opuszczona, niż może sobie pani wyobrazić.

– Bardzo się pani zmieniła – odrzekła po chwili – odkąd widziałam panią po raz ostatni.

Popatrzyłam na wygniecioną suknię i okropne buty. Następnie przeniosłam wzrok na Florence. Ona też się zmieniła, wydawała się starsza, a na dodatek szczuplejsza, z czym nie było jej do twarzy. Dawniej rozwiane włosy czesała teraz w ciasny koczek. Nosiała nieładną, bardzo ciemną suknię. Krótko mówiąc, robiła równie posępne wrażenie jak pani Hooper z Felicity Place.

Chwyciłam haust powietrza, żeby uspokoić głos.

– Co mam robić? – spytałam po prostu. – Nie mam dokąd pójść. Nie mam pieniędzy, domu...

– Bardzo mi przykro, panno Astley – przerwała mi Florence z zakłopotaniem. – Ale na Bethnal Green roi się od skrzywdzonych dziewcząt. Gdybym zapewniała schronienie każdej z nich, musiałabym mieszkać w zamku! Poza tym... ja nic o pani nie wiem.

– Błagam – powiedziałam. – Tylko na jedną noc. Gdyby pani wiedziała, od ilu drzwi odesłano mnie z kwitkiem. Jeśli każe mi pani wyjść, pójde prosto przed siebie, znajde rzekę lub kanał i skoczę z mostu.

Zmarszczyła brwi, po czym włożyła palec do ust. Zobaczyłam, że ma bardzo krótkie i obgryzione paznokcie.

– W czym dokładnie tkwi pani problem? – zapytała wreszcie. – Pan Banner myślał, że wypuszczono panią z więzienia.

Potrząsnęłam głową.

– Prawdę mówiąc – odrzekłam ze znużeniem – mieszkałam z kimś i ten ktoś mnie wyrzucił. Nie pozwolono mi nic zabrać... ach, miałam takie śliczne rzeczy! Porzucono mnie na pastwę losu! – Ponownie zawiódł mnie głos. Florence spoglądała na mnie w milczeniu.

– A ta osoba to...? – zaryzykowała wreszcie.

Jej wahanie dało mi do myślenia. Co sobie pomyśli, jeśli wyznam jej prawdę? Dawniej sądziłam, że może jest taka jak ja, ale może po prostu była zwyczajną dziewczyną, która z czystej sympatii zaprosiła mnie na wykład. Albo kiedyś lubiła dziewczęta, a potem wyparła się swych skłonności jak Kitty. Wzmogłam czujność. Dobrze wiedziałam, jaki los czekałby posiniaczoną lesbijkę, która stanęłaby u drzwi mojej dawnej przyjaciółki. Schowałam twarz w dłoniach.

– Pewien dżentelmen – wyznałam cicho. – Przez półtora roku mieszkałam w domu pewnego dżentelmena w St John's Wood. Pozwolił mi... – przypomniałam sobie zwrot pani Milne – ...zmamić się obietnicami. Kupował mi różne rzeczy. A teraz... – Popatrzyłam jej w oczy. – Musi pani mną gardzić. Obiecywał, że się ze mną ożeni!

Florence wyglądała na zdumioną, lecz na jej twarzy odmalowało się współczucie.

– Domyślam się, że to on podbił pani oko – powiedziała. – Nie było żadnej drabiny, правда?

Kiwnęłam głową i podniosłam rękę do spuchniętego policzka, po czym, tknięta nagłą myślą, dotknęłam ostrzyżonych włosów.

– Diabeł wcielony! – zawołałam. – Miał pieniędzy jak lodu i robił, co chciał. Zobaczył mnie na balkonie, w spodniach, tak jak pani. On... – Zarumieniłam się. – Kazał mi się przebierać za chłopca i wkładać marynarski strój...

– Ach! – wykrzyknęła Florence, jakby w życiu nie słyszała czegoś równie odrażającego. – Bogacze są najgorsi, mówię pani! Nie ma pani żadnych krewnych?

– Wyklęli mnie.

Potrząsnęła głową. Po chwili namysłu zerknęła na mój brzuch.

– Ale chyba... chyba nie jest pani...?

– Ja... – Nie było rady: zupełnie jakbym czytała swoją kwestię z podsunętej przez nią kartki. – Byłam – odrzekłam, wlepiając wzrok w kolana. – Ale bił mnie do nieprzytomności. Pewnie dlatego jestem taka osłabiona...

Florence spojrzała na mnie z nieoczekiwaną troską w oczach, a gdy pokiwała głową, wiedziałam, że połknęła haczyk.

– Skoro naprawdę nie ma pani dokąd iść, chyba może pani tu zostać... na tę jedną noc. Jutro dam pani listę adresów, gdzie można zamieszkać...

– Och! – Mało znów nie zemdlalam, tym razem z ulgi. – Czy pan Banner nie będzie miał nic przeciwko temu?

Okazało się, że pan Banner nie tylko nie miał nic przeciwko temu, ale był znacznie miłszy niż żona i gotów bez przerwy służyć pomocą. Gdy zasiedliśmy do stołu (przeszkodziłam im w kolacji), to właśnie on postawił przede mną talerz parującego gulaszu. Przyniósł mi pled, kiedy zadrzałam, a widząc, jak kuśtykam do pokoju po wizycie w wygodce, kazał mi ściągnąć buty i przyniósł miskę wody z solą, żebym wymoczyła obolałe nogi. Wreszcie, ku mej niewysłowionej wdzięczności, sięgnął po puszkę tytoniu stojącą na półce z książkami, skręcił dwa zgrabne papierosy i poczęstował mnie jednym.

Tymczasem Florence siedziała w pewnym oddaleniu od nas, przy stole, i wertowała stertę dokumentów. Podejrzewałam, że muszą to być listy nazwisk opuszczonych dziewcząt bądź rachunki z Freemantle House. Kiedy zapaliliśmy papierosy, podniosła głowę, znacząco pociągając nosem, lecz powstrzymała się od komentarza. Niekiedy wzdychała lub ziewała, a czasem pocierała kark, jakby jej zdrętwiał; wówczas mąż posyłał jej jakieś ciepłe słowo. W pewnej chwili dziecko zaczęło płakać; Florence przekrzywiła głowę, lecz nie ruszyła się z miejsca, pozwalając, by Ralph poszedł na górę. Uczynił to bez protestów. Ona pracowała dalej: pisała, czytała, porównywała dane, adresowała koperty... Pracowała nawet wtedy, gdy Ralph wstał, przeciągnął się, ziewając, po czym musnął ustami jej policzek i życzył nam dobrej nocy. Wreszcie i ja ziewnęłam, a głowa opadła mi na piersi. Florence dalej pracowała. Około jedenastej złożyła papiery i przeciągnęła ręką po twarzy.

Na mój widok wzdrygnęła się mimowolnie: jestem przekonana, że pochłonięta swoim zajęciem, zupełnie o mnie zapomniała.

Zarumieniła się, a potem zmarszczyła brwi.

– Idę na górę, panno Astley – oznajmiła. – Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, aby spać tutaj? Obawiam się, że nie mogę pani zaproponować nic innego.

Uśmiechnęłam się: nie, nie miałam nic przeciwko temu, chociaż wiedziałam, że na górze musi być dodatkowy pokój. Zastanawiałam się, dlaczego nie pozwoliła mi w nim spać. Pomogła mi zestawić dwa fotele, a następnie przyniosła poduszkę, koc i prześcieradło.

– Potrzebuje pani czegoś jeszcze? – zapytała. – Wygódka jest z tyłu, to już pani wie. Jeśli zachce się pani pić, w spiżarni stoi dzbanek czystej wody. Ralph wstaje około szóstej, a ja o siódmej. Lub wcześniej, jeśli Cyril mnie obudzi. Będzie pani musiała wyjść o ósmej, wraz ze mną.

Pospiesznie skinęłam głową. Wolałam na razie nie myśleć o tym, co będzie rano.

Nastała chwila niezręcznej ciszy. Florence była tak zmęczona i wyglądała tak zwyczajnie, że miałam ochotę pocałować ją na dobranoc, tak jak Ralph. Oczywiście nie zrobiłam tego, kiedy jednak skinąwszy mi głową, ruszyła w stronę schodów, postąpiłam krok w jej stronę.

– Jestem pani bardziej wdzięczna, niż mogę to wyrazić, pani Banner – powiedziałam. – Okazała mi pani wiele dobroci, chociaż prawie mnie nie zna. Pani mąż tak samo, choć zobaczył mnie dziś po raz pierwszy w życiu.

W trakcie owej przemowy Florence spojrzała na mnie i zamrugała powiekami. Następnie położyła dłoń na oparciu krzesła i uśmiechnęła się dziwnie.

– Myślała pani, że Ralph jest moim mężem? – zapytała.

Zawahałam się, nieoczekiwanie zbita z tropu.

– No cóż, ja...

– On nie jest moim mężem! To mój brat.

Jej brat! Z rozbawieniem przyjęła moją zdumioną minę, po czym wybuchnęła śmiechem i znów wyglądała jak wesół dziewczyna z Green Street, którą poznałam wiele miesięcy wcześniej...

Nagle dziecko w pokoju na górze zapłakało i obie jednocześnie uniosłyśmy wzrok na sufit. Poczulałam, że się rumienię. Widząc to, przestała się uśmiechać.

– Cyril nie jest moim synem – wyjaśniła pospiesznie – choć traktuję go jak swoje dziecko. Jego matka kiedyś z nami mieszkała i zaopiekowaliśmy się nim, kiedy... nas opuściła. Bardzo go kochamy...

Pewne zakłopotanie, towarzyszące jej słowom, wskazywało, że kryje się w nich jakiś sekret: być może matka trafiła do więzienia albo Cyril był dzieckiem kuzynki, siostry, a może ukochanej Ralphi. Podobne rzeczy działy się w Whitstable nieraz, dlatego nie poświęciłam sprawie wiele uwagi. Skinęłam głową i ziewnęłam, a Florence odpowiedziała mi tym samym.

– Dobranoc, panno Astley – rzuciła z uniesioną ręką. Nie wyglądała już jak dziewczyna

z Green Street. Znów sprawiała wrażenie zmęczonej i brzydszej niż kiedykolwiek.

Odczekałam, aż dojdzie na górę (usłyszawszy nad głową krzątanie, domyśliłam się, że Florence dzieli pokój z dzieckiem), po czym wzięłam lampę i udałam się do wygódki. Podwórko było bardzo małe, ze wszystkich stron otoczone ścianami, z których wyglądały ciemne okna. Stałam chwilę na zimnych kamieniach, spoglądając na gwiazdy i wdychając obce wonie wschodniego Londynu, przesycone zapachem rzeki oraz duszonej kapusty. Nagły szelest wyrwał mnie z zamyślenia i drgnęłam w obawie, że to szczury. Nie były to jednak szczury, tylko cztery króliki; przycupnęły w swojej klatce, a gdy uniosłam lampę, ich oczy zaświeciły niczym klejnoty.

Spałam w halce, skulona między fotelami i ciasno owinięta kocem, na którym rozłożyłam suknię, żeby było cieplej. Mogłoby się to wydawać niezbyt zachęcające, lecz pomimo mej opłakanej sytuacji miękkość poduszek oraz ciepło bijące od gasnącego kominka sprawiły, że czułam się jak w siódmym niebie. Nocą zbudziłam się dwukrotnie, raz za sprawą krzyków na ulicy, po których trzasnęły sąsiednie drzwi i ktoś hałaśliwie rozgarnął pogrzebaczem popiół w kominku, a drugi raz, kiedy w pokoju Florence rozplakało się dziecko. Ów ostatni odgłos w ciemności przyprawił mnie o dreszcz, gdyż przypomniałam sobie wszystkie okropne noce u pani Best, w szarym pokoju wychodzącym na targ w Smithfield. Lecz przykre wrażenie nie trwało długo. Usłyszałam, jak Florence wstaje i idzie przez pokój, a następnie wraca (najprawdopodobniej z Cyrilem) do łóżka. Od tej chwili dziecko spało spokojnie, i ja również.

Rankiem obudził mnie trzask tylnych drzwi: pewnie to Ralph wychodził do pracy, bo zegar wskazywał za dziesięć siódmą. Wkrótce potem z góry dobiegły odgłosy porannej krzątania. Słyszałam też dźwięki dolatujące z ulicy; zdawały się rozbrzmiewać wręcz na wyciągnięcie ręki. Jakaż to różnica w porównaniu z Felicity Place, gdzie rankami panowała niezmacona cisza.

Leżałam nieruchomo, czując, jak poczucie bezpieczeństwa towarzyszące mi ubiegłej nocy ulatnia się bezpowrotnie. Nie miałam ochoty zwlec się z fotela, wciągnąć butów i pożegnawszy Florence, ponownie stać się opuszczoną dziewczyną. Salon wychłodził się przez noc, przez co moje poślanie było jedynym ciepłym zakątkiem w całym pokoju. Narzuciłam koc na głowę i jęknęłam. Przyniosło mi to pewną ulgę, dlatego jęknęłam jeszcze głośniejsze... Umilkłam dopiero, gdy skrzypnęły otwierane drzwi: odrzuciwszy koc, zobaczyłam Florence, która w półmroku mierzyła mnie badawczym spojrzeniem.

– Chyba nie jest pani znowu chora? – zapytała. Potrząsnęłam głową.

– Nie. Tak tylko... jęczałam.

– Aha. – Odwróciła głowę. – Ralph zostawił trochę herbaty. Napije się pani?

– Tak, proszę.

– Obawiam się, że potem będzie pani musiała wstać.

– Naturalnie – odrzekłam. – Już wstaję. – Lecz po wyjściu Florence okazało się, że to ponad moje siły. Mogłam tylko leżeć. Strasznie chciało mi się siku; wiedziałam, że to absolutnie niedopuszczalne wylegiwać się tak w cudzym salonie. Jednakże czułam się tak,

jakby nocą wyjęto mi wszystkie kości i zastąpiono je prętami ołowiu. Nie byłam w stanie kiwnąć palcem...

Florence przyniosła herbatę. Wypiłam ją i ponownie okryłam się kocem. Słyszałam, jak dziewczyna krząta się po kuchni, myjąc dziecko. Następnie wróciła do saloniku i znacząco rozsunęła zasłony.

– Jest za kwadrans ósma, panno Astley – oznajmiła. – Muszę zanieść Cyrila do sąsiadki. Gdy wrócę, będzie pani gotowa do wyjścia, prawda? Proszę mi to obiecać!

– Z całą pewnością – odpowiedziałam, kiedy jednak po pięciu minutach wróciła, nadal leżałam w tej samej pozycji. Popatrzyła na mnie i potrząsnęła głową. Odpowiedziałam jej bezradnym spojrzeniem.

– Przecież pani wie, że nie może tu zostać. A ja muszę wyjść do pracy, i to zaraz. Jeszcze trochę i będę spóźniona. – Z tymi słowy chwyciła skraj mego koca.

Złapałam go z drugiej strony.

– Nie mogę – powiedziałam. – Chyba jednak jestem chora.

– Jeśli jest pani chora, proszę iść tam, gdzie znajdzie pani właściwą opiekę!

– Nie jest ze mną aż tak źle! – zawołałam. – Jeśli tylko pozwoli mi pani poleżeć i nabrać sił... Proszę iść do pracy, a ja pomału pozbieram się i wyjdę. Po powrocie już mnie pani nie zastanie. Niech pani mi zaufa. Niczego nie ukradnę.

– Tak jakby było tu co kraść! – odburknęła. Puściła koc i podniosła rękę do czoła. – Głowa mi pęka! – mruknęła.

Spoglądałam na nią bez słowa. Wreszcie przywołała się do porządku.

– Chyba nie mam innego wyjścia, jak uwierzyć pani na słowo – oświadczyła z urazą. Chwyciła płaszcz wiszący na drzwiach i wciągnęła go pospiesznie. Następnie sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej kartkę papieru oraz monetę. – Przygotowałam pani listę hoteli i domów, gdzie można znaleźć pokój – powiedziała. – Pieniądze – trzymała w ręku pół korony – są od mojego brata. Kazał panią pozdrowić i życzyć powodzenia.

– Jest bardzo miły – odrzekłam.

Wzruszyła ramionami, zapięła guziki i nałożywszy kapelusz, przypięła go szpilką. Płaszcz i kapelusz miały odcień błota.

– W kuchni znajdzie pani kawałek bekonu. Jest jeszcze ciepły, proszę go zjeść na śniadanie. A potem... potem proszę naprawdę sobie iść.

– Ma pani moje słowo!

Skinąwszy głową, otworzyła drzwi. Lodowaty powiew z ulicy wtargnął do środka i przyprowadził mnie o gęsią skórkę. Wiatr wygiął rondo kapelusza Florence, która zmrużyła oczy i zacisnęła zęby.

– Panno Banner! – zawołałam. – Czy... czy będę mogła czasem do pani zajrzeć? Chciałabym... chciałabym osobiście podziękować pani bratu... – Chciałabym zobaczyć ją, to dokładnie miałam na myśli. Przyszłam tu po to, aby zaskarbić sobie jej przyjaźń. Ale nie wiedziałam, jak mam to powiedzieć.

Poprawiła kołnierz i zamrugła.

– Zrobi pani, jak zechce – skwitowała. I zatrzasnęła drzwi, pozostawiając za sobą zimny salonik. W oknie mignęła mi jeszcze jej postać.

Natychmiast cudownym trafem odzyskałam siły i wyskoczyłam spod koca. Bohatersko pobiegłam do lodowatej wygódki, a następnie znalazłam odłożony dla mnie kawałek bekonu i ukroiwszy sobie pajdę chleba, posypałam go rzeżuchą i zjadłam śniadanie na stojąco, przy kuchennym oknie, patrząc niewidzącym wzrokiem na teren rozciągający się na zewnątrz.

Po śniadaniu zatarłam ręce i rozglądając się dokoła, poczęłam rozmyślać, co dalej.

W kuchni było ciepło, bo ktoś – najpewniej Ralph – rozniecił pod kuchenką nieduży ogień i węgle zdążyły wypalić się zaledwie do połowy. Pomyślałam, że szkoda, aby płonęły na darmo, i postanowiłam zagrzać trochę wody do mycia. Otworzyłam szafkę, rozglądając się za odpowiednim rondlem, i mój wzrok padł na żelazko. Pomyślałam, że przecież jego właściciele na pewno nie mieliby nic przeciwko temu, bym nieco odprasowała sobie suknię...

Czekając, aż woda i żelazko się rozgrzeją, wróciłam do saloniku, gdzie ponownie rozstawiłam fotele i złożyłam pościel. Następnie uczyniłam coś, czego najpierw oszołomienie, potem zaś zmęczenie nie pozwoliły mi zrobić poprzedniego wieczoru – stanęłam na środku pokoju i bacznie rozejrzałam się dookoła.

Jak już wspomniałam, salonik był bardzo mały, na pewno dużo mniejszy niż moja sypialnia na Felicity Place. Nie było w nim palników gazowych, tylko lampy olejowe i świeczniki. Meble i ozdoby tworzyły moim zdaniem dość osobliwą zbieraninę. Podobnie jak u Diany, na ścianach nie było tapety; pociągnięto je jaskrawoniebieską farbą, jak w warsztacie, ozdobiono dwoma kalendarzami – aktualnym i zeszłorocznym – oraz kilkoma posępnymi reprodukcjami. Na podłodze leżały dwa chodniki, jeden stary i zdarty do włókien, drugi nowy, szorstki i pstry, w stylu wiejskim. Wyglądał na dzieło pasterza mającego chore oczy, który utkał go dla zabicia czasu w mroku hebrydzkiej nocy. Na półce nad kominkiem spoczywał falujący szal podobny do szala mojej matki, na którym rozstawiono bibeloty, jakie widywałam w dzieciństwie w domach wszystkich naszych krewnych i znajomych: zakurzoną porcelanową pastereczkę z niewprawnie doklejoną laską, kawałek koralu pod kopułą szkła upstrzonego sadzą oraz połyskujący zegar w kształcie karety. Obok nich umieszczono jednak mniej przewidywalne pamiątki, takie jak wygniecioną pocztówkę przedstawiającą robotników, z napisem: „Dokerzy: pół szylinga albo strajk!”, mocno sfatygowaną figurkę orientального bóstwa i kolorowy obrazek, na którym kobieta i mężczyzna w roboczych ubraniach ściskali się za ręce, podtrzymując wydęty sztandar z hasłem: „Siła w jedności!”.

Obojętnie przesunęłam po nich wzrokiem, a potem popatrzyłam na alkowę obok kominka, gdzie stały półki własnej roboty, doszczętnie wypełnione książkami i czasopismami. Kolekcja okazała się równie barwna i zakurzona jak ta na kominku. Nie brakowało kieszonkowych wydań klasyków: Longfellowa, Dickensa i tak dalej – wśród których dostrzegłam jedną lub dwie tanie powieści oraz znaczną liczbę książek

politycznych i dwa lub trzy tomy poezji. Przynajmniej jeden z nich („Żdźbła trawy” Walta Whitmana) widziałam w bibliotece Diany. Kiedyś sięgnęłam po tę książkę w wolnej chwili, lecz wydała mi się bezbrzeżnie nudna.

Chwilę studiowałam zawartość półek, po czym moją uwagę przykuły dwa zdjęcia wiszące powyżej. Pierwsze z nich przedstawiało rodzinę; było wystudiowane, ciekawe i intrygujące jak wszystkie rodzinne fotografie. Najpierw poszukałam Florence: miała na nim może piętnaście lat, była świeża, pulchna i przejęta; siedziała pomiędzy siwą kobietą i ciemnowłosą dziewczyną, o urodzie hożej szynkarki, najprawdopodobniej młodszą siostrą. Za nimi stali trzej chłopcy: Ralph, bez wąsów, z wysokim kołnierzem, starszy brat, bardzo do niego podobny, oraz jeszcze jeden, chyba najstarszy. Ojca nie było.

Drugi portret był zdjęciem pocztówkowym: wsunięto go za brzeg ramy większej fotografii, ale róg wygiął się nieco, odsłaniając fragment dedykacji skreślonej pochyłym pismem. Przedstawiał kobietę o gęstych brwiach i rozwianych ciemnych włosach: siedziała sztywno upozowana, a na jej twarzy malował się wyraz powagi. Pomyślałam, że to pewnie któraś z sióstr, po latach, albo przyjaciółka Florence, czy może kuzynka lub... ktokolwiek. Nachyliłam się, próbując odcyfrować dedykację, lecz tekst był nieczytelny, a zdjęcie nie zaciekawiało mnie do tego stopnia, bym spróbowała je wyciągnąć. Naraz usłyszałam bulgotanie wody w rondlu i pospiesznie wróciłam do kuchni.

Znalazłam małą blaszaną miednicę oraz kostkę zielonego mydła; z powodu braku ręcznika (uznałam, że to niegrzeczne wycierać się kuchenną ścierką) poskakałam przed kuchenką, dopóki nie wyschłam na tyle, by z powrotem wciągnąć brudne halki. Westchnęłam na wspomnienie łazienki Diany oraz rozmaitych mazideł, które wypróbowywałam godzinami. Mimo to poczucie czystości wydatnie poprawiło mi humor i gdy rozczesalam włosy, opatrzyłam twarz (przetarłam ją odrobiną octu i przypudrowałam mąką), a potem otrzepałam suknię z błota, wyprasowałam ją i włożyłam, poczułam się rześka, pokrzepiona i wesoła w sposób zgoła nieadekwatny do okoliczności. Przeszłam do salonu, od którego dzieliło mnie nie więcej niż dziesięć kroków,ostałam tam przez chwilę i znów wróciłam do kuchni. Dom był bardzo przytulny, choć niestety do czystych nie należał. Zauważyłam, że chodników dawno nikt nie trzepał. Na podłodze dostrzegłam liczne ślady błota. Każda półka i obrazek były równie zakurzone jak okopcony półka nad kominkiem. Pomyślałam, że gdyby to był mój dom, wszystko lśniłoby jak nowe.

Naraz wpadł mi do głowy genialny pomysł. Pobiełam do salonu i spojrzałam na zegar. Od wyjścia Florence upłynęła niespełna godzina; ani ona, ani Ralph nie wrócą do domu przed piątą. To dawało mi bitych osiem godzin, no, może trochę mniej, jeśli miałam za dnia poszukać sobie dachu nad głową. Czy osiem godzin wystarczy na gruntowne porządki? Nie miałam pojęcia: zwykle to Alice pomagała matce, przez co wiele się w życiu nie nasprzątałam, ostatnio zaś wyręczały mnie w tym służące. Lecz ogarnęła mnie niepowstrzymana chęć wysprzątania tego domu – domu, gdzie zaznałam tyle (wprawdzie krótkotrwałej, ale zawsze) radości. Pomyślałam sobie, że będzie to pożegnalny prezent dla Ralpha i Florence. Stanę się jak bohaterka baśni, która pod nieobecność krasnoludków

albo rozbójników sprząta ich chatkę tudzież jaskinię.

Myślę, że owego dnia harowałam ciężiej niż kiedykolwiek; później, cofając się myślami do owych pracowitych godzin, zachodziłam w głowę, czy aby nie obmywałam swej zbrukanej duszy. Zaczęłam od dołożenia do ognia pod kuchenką: chciałam zagrzać więcej wody. Zobaczywszy, że zużyłam do mycia wszystką wodę, która była w domu, pokuśtykałam Quilter Street z dwoma wielkimi wiadrami w poszukiwaniu pompy. Zastałam przy niej długi rząd innych kobiet i musiałam czekać pół godziny na swoją kolej. Pompa wypuszczała cienką strużkę wody, a czasem tylko krztusiła się i prychała. Kobiety mierzyły mnie podejrzliwym wzrokiem: patrzyły na moje oko, a zwłaszcza na głowę, ponieważ spod czapki Ralpha, którą włożyłam zamiast przemoczonego kapelusza, wystawały przystrzyżone włosy. Mimo to nie okazywały mi niechęci. Jedna lub dwie, które widziały, jak wychodzę z domu, zapytały, czy mieszkam z Bannerami. Odpowiedziałam, że tylko chwilowo. Moja odpowiedź bynajmniej ich nie zdziwiła, tak jakby chwilowe pomieszkiwanie u kogoś było w tej okolicy powszechnym zjawiskiem.

Uginając się pod ciężarem napełnionych wiader, wróciłam do domu i nastawiwszy wodę, zawiązałam w pasie wielki fartuch znaleziony w spiżarni. Najpierw poszłam do saloniku. Przetarłam wszystkie zabrudzone sprzęty mokrą szmatą, po czym umyłam okno i deski podłogowe.

Chodniki wyniosłam na podwórze i zawiesiwszy je na sznurze do bielizny trzepałam dopóty, dopóki nie rozboleła mnie ręka. Naraz otworzyły się drzwi sąsiedniego domu i na progu stanęła kobieta z zakasnymi rękawami i twarzą równie zaczerwienioną jak moja. Na mój widok skinęła głową. Odpowiedziałam jej tym samym.

– To nie lada zadanie – odezwała się – sprzątać u Bannerów.

Zadowolona z chwili wytchnienia posłałam jej szeroki uśmiech i wytarłam spocone czoło.

– Czyżby słynęli z bałaganu?

– A jakże – odparła kobieta. – Za bardzo dbają o cudze domy, a za mało o swój. W tym cały problem. – Jednakże nie mówiła tego złośliwie, a jej słowa nie miały oznaczać, że Florence i Ralph wtrącają się w cudze sprawy. Roztarłam obolałe ramię. – Pewnie jest pani nową lokatorką? – zapytała. Pokręciłam głową i powtórzyłam jej to samo, co kobietom z kolejki: że mieszkam na Quilter Street jedynie chwilowo. Podobnie jak jej poprzedniczki, przyjęła tę informację z doskonałą obojętnością. Kiedy podjęłam przerwane zajęcie, obserwowała mnie przez chwilę, po czym bez słowa wróciła do domu.

Po skończonym trzepaniu wymiotłam kominek. Znalazłam w spiżarni trochę grafitu i przystąpiłam do dzieła. Nie zajmowałam się tym, odkąd opuściłam dom, wielokrotnie obserwowałam jednak poczynania Zeny i owo zajęcie nie wydawało mi się szczególnie skomplikowane. Oczywiście teraz wyszło na jaw, że była to brudna, paskudna robota: zabrała mi godzinę i ostudziła nieco moją początkową werwę. Mimo to nie dawałam za wygraną. Zamiotłam podłogi, a potem wyszorowałam je porządnie. Następnie wymyłam kafle w kuchni, piec i kuchenne okno. Nie chciałam zapuszczać się na górę, ale po

skończonej robocie salonik, kuchnia, a nawet wychodek i podwórko lśniły czystością, a uwolnione spod grubej warstwy kurzu kolory odzyskały dawną świetność.

Ukoronowaniem moich wysiłków był próg, który najpierw zamiotłam, a potem umyłam i wyszorowałam kawałkiem piaskowca, aż dorównał bielą pozostałym w okolicy, a moje ręce, dotąd czarne od grafitu, były umazane kredą od paznokci aż po łokcie. Skończywszy, przysiadłam na chwilę na piętach, podziwiając efekt i prostując obolałe plecy, zbyt rozgrzana pracą, by zważać na styczniowy wicher. Naraz dostrzegłam, że ktoś wychodzi z sąsiedniego domu: była to dziewczynka w podartej sukieneczce i za dużych butach. Dreptała w moim kierunku, rozlewając po drodze herbatę z parującego kubka.

– Mama mówi, że pewnie pani ledwie dycha ze zmęczenia – powiedziała, wręczając mi gorący napój. Pochyliła głowę. – Mam jeno dopilnować, żeby kubek nie zginął.

Przesłodzona herbata zmętniała od kropli chudego mleka. Wypiłam szybko, podczas gdy dziewczynka drżała z zimna i przytupywała nogami.

– Nie poszłaś dzisiaj do szkoły? – zapytałam.

– Nie. Dziś sprzątanie, muszę pilnować, żeby dzieciaki nie plątały się mamie pod nogami. – Dziewczynka nie spuszczała oczu z moich przyszczyżonych kosmyków. Jej jasne włosy wisiały między sterczącymi łopatkami niedbale zaplecione w warkocz, jak niegdyś moje.

Było wpół do czwartej i gdy wróciłam do kuchni, żeby umyć ręce, zastałam dom niemal zupełnie pogrążony w mroku. Zdjęłam fartuch i zapaliłam lampę, po czym przez kilka minut spacerowałam między pokojem a kuchnią, podziwiając zmiany, których dokonałam. Ale się ucieszą, myślałam jak dziecko. Ucieszą się jak nic...! Jednakże nie byłam tak radosna jak sześć godzin wcześniej. Podobnie jak zmierzch zasnuł okno, tak i moją radość przyćmiła konieczność znalezienia sobie nowego dachu nad głową. Podniosłam listę pozostawioną przez Florence. Miała ładny charakter pisma, lecz na papierze widniała smuga atramentu w miejscu, gdzie oparła na kartce zmęczoną dłoń.

Rozpaczliwie odwlekałam moment opuszczenia domu, wzdragając się na myśl o oglądaniu pomieszczeń takich jak to, w którym nocowałam z Zeną. Wyjdę za godzinę, postanowiłam i z determinacją skupiłam się na wizji zachwyconych Bannerów, którzy zastaną po powrocie wysprzątanym dom. Zaraz, zaraz, pomyślałam w przyływie nowego entuzjazmu, o ileż bardziej się ucieszą, jeśli w tym czystym domu będzie na nich czekał gorący posiłek! Szybko się zorientowałam, że w kuchni nie było wielu zapasów, ale przecież miałam pozostawione przez Ralpa pół korony... Nawet nie pomyślałam, aby zachować je na własne potrzeby. Chwyciłam monetę – leżała tam, gdzie położyła ją Florence, podnosiłam ją tylko po to, by wytrzeć stół – i pokuśtykałam Quilter Street w kierunku targowiska na Hackney Road.

Pół godziny później byłam z powrotem. Kupiłam chleb, mięso, warzywa oraz ananasa, który tak okazał się puszył się na wózku handlarza, że nie mogłam minąć go obojętnie. Przez półtora roku jadłam tylko kotleciki i bażanty, pasztety oraz owoce kandyzowane, pamiętałam jednak potrawę, którą zwykła przyrządzać pani Milne – złożona z gniecionych

ziemniaków, duszonej kapusty, wołowiny konserwowej i cebuli. Pamiętam, że Gracie i ja oblizywałyśmy się na sam widok. Uznawszy, że nie będzie zbyt trudna, postanowiłam przygotować ją dla Ralpa i Florence.

Ugotowałam kapustę i ziemniaki i właśnie smażyłam cebulę, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Drgnęłam, lekko spłoszona. Czułam się tak swobodnie, że odruchowo chciałam otworzyć, ale czy aby na pewno mam do tego prawo? Czy nie nadchodziła chwila, gdy uczynność stawała się nachalnością? Spojrzałam na patelnię z cebulą i swoje podkasane rękawy. Może właśnie przekroczyłam tę granicę?

Słyszając jednak ponowne pukanie, bez wahania podeszłam do drzwi i otworzyłam. Ujrzałam ładną dziewczynę, z ciemnymi włosami wystającymi spod aksamitnego beretu z pomponem.

– O, Florrie nie ma w domu? – wykrzyknęła na mój widok i pospiesznie zlustrowała moje ręce, suknię, podbite oko oraz włosy.

– Nie, panna Banner jeszcze nie wróciła z pracy. Jestem sama. – Pociągnęłam nosem, łowiąc swąd przypalonej cebuli. – Właśnie coś smażę. Proszę wybaczyć... – I pobiegłam do kuchni ratować kolację. Ku swemu zdziwieniu usłyszałam trzask zamykanych drzwi i zobaczyłam, że dziewczyna podąża za mną. Kiedy ponownie na nią spojrzałam, rozpięła płaszcz, ze zdumieniem rozglądając się dokoła.

– Mój Boże! – zawołała. Mówiła w dość afektowany sposób, ale wcale nie była wyniosła. – Zajrzałam, bo zobaczyłam próg i pomyślałam, że Florrie doznała chwilowego zaćmienia umysłu. Teraz jednak widzę, że albo doszczętnie oszalała, albo zaprzęgała do roboty zastęp dobrych wrózek.

– To ja... – odpowiedziałam. Dziewczyna odsłoniła białe zęby w uśmiechu.

– Wobec tego mam przyjemność z samym królem wrózek. A może królową? Trudno powiedzieć, czy to włosy nie pasują do kostiumu, czy odwrotnie. O ile – znów się roześmiała – to, co mówię, ma w ogóle jakiś sens.

Szczerze mówiąc, nie dostrzegłam w tym żadnego sensu. Odparłam sztywno, że zapuszczam włosy.

– Aha – odrzekła i jej uśmiech nieco zbladł. Następnie spytała z pewnym niedowierzaniem: – Mieszka pani z Florrie i Ralphem?

– Byli tak dobrzy, że pozwolili mi przenocować w salonie, ale muszę się wyprowadzić. Właściwie... to którą ma pani godzinę?

Dziewczyna pokazała mi swój zegarek: była za kwadrans piąta, znacznie później, niż myślałam.

– Muszę się zbierać. – Zdjęłam patelnię z pieca, cebula zbrązowiła nieco mocniej niż chciałam. Rozejrzałam się za miską.

– Och – dziewczyna zbyła mój pośpiech machnięciem ręki – proszę przynajmniej napić się ze mną herbaty. – Nastawiła czajnik, a ja sprawdziłam ziemniaki, dźgając je widelcem. Po połączeniu składników potrawa nie wyglądała jak dzieło pani Milne, nie była też tak smakowita. Postawiłam ją na szafce i zmarszczyłam brwi. Dziewczyna oparła się o

kredens, najwyraźniej zadomowiona, i wypła łyk herbaty. W pewnej chwili ziewnęła.

– Co za dzień! – powiedziała. – Czy bardzo śmiesz? Całe popołudnie spędziłam w rurze odpływowej.

– W rurze odpływowej?!

– Nie inaczej. Jestem pomocnicą inspektora sanitarnego. Proszę nie robić takiej miny, zdobycie tej posady uważam za swój osobisty sukces. Panuje opinia, że kobiety są zbyt delikatne do takiej pracy.

– Ja na pewno byłabym zbyt delikatna – wyznałam.

– Och, ależ to coś wspaniałego! Czasem tylko muszę zaglądać do rur, tak jak dzisiaj. Przeważnie dokonuję pomiarów, rozmawiam z pracownikami i sprawdzam, czy mają czym oddychać i gdzie załatwiać swoje potrzeby, czy nie jest im za gorąco lub za zimno. Działam z nakazu rządowego... czy pani wie, co to znaczy? To znaczy, że mam prawo obejrzeć biuro lub warsztat, a jeśli coś jest nie w porządku, żądam, by to naprawiono. Mogę doprowadzić do zamknięcia firmy i remontu budynku... – Pomachała rękami. – Brygadziści mnie nienawidzą. Zachłanni kapitaliści od Bow do Richmond wprost nie mogą na mnie patrzeć. Miałabym zrezygnować z takiej pracy?

Z uśmiechem przyjąłem jej entuzjazm. Mogła być inspektorem sanitarnym, ale miała w sobie też coś z aktorki. Wypiła kolejny łyk herbaty.

– Od jak dawna jest pani przyjaciółką Florrie? – zapytała.

– Przyjaciółka to za duże słowo...

– Zatem nie zna jej pani zbyt dobrze?

– Właściwie w ogóle.

– Proszę żałować – odparła, potrząsając głową. – Od kilku miesięcy nie jest sobą. Zupełnie nie... – Dodałaby coś jeszcze, ale w tym momencie szczęknęły frontowe drzwi i w salonie rozległy się kroki.

– Do licha! – jęknęłam. Odstawiwszy kubek rozejrzałam się dziko i niewiele myśląc wbiegłam do spiżarni, nie zamieniwszy z dziewczyną ani słowa. Skuliłam się w ciasnym pomieszczeniu i przymknęłam drzwi.

Następnie przyłożyłam do nich ucho i zamieniłam się w słuch.

– Jest tu kto? – zabrzmiał głos Florence. Usłyszałam, jak ostrożnie wchodzi do kuchni. Musiała chyba zauważyć gościa, gdyż zawołała: – Ach, to ty, Annie! Chwała Bogu. Już myślałam... Co się tu dzieje?

– Nie jestem pewna.

– Czemu tak dziwnie wyglądasz? O co chodzi? Co się stało z progiem? I co mają znaczyć te garnki?

– Florrie...

– Co?

– Mogę ci to powiedzieć, właściwie chyba nie mam innego wyjścia...

– Co? Przerażasz mnie.

– W twojej spiżarni jest dziewczyna.

Zapadła cisza, podczas której błyskawicznie rozważyłam możliwości. Nie było ich wiele, po namyśle wybrałam najbardziej honorową. Ująwszy klamkę, powoli otworzyłam drzwi. Florence wzdygnęła się na mój widok.

– Właśnie miałam wyjść – zapewniłam. – Przysięgam. – Spojrzałam na Annie, która pokiwała głową.

– Miała – odrzekła. – Naprawdę.

Florence nie spuszczała ze mnie wzroku. Wyszłam ze spiżarni i prześlizgnęłam się do salonu. Zmarszczyła brwi.

– Co pani tu robiła? – zapytała, kiedy szukałam kapelusza. – Dlaczego wszystko tak dziwnie wygląda? – Sięgnęła po zapalki, po czym zapaliła dwie lampy olejowe oraz kilka świec. Światło odbiło się w tysiącu wypolerowanych powierzchni. Florence drgnęła. – Posprzątała pani dom!

– Tylko dół. I podwórko. I próg – wyliczałam z narastającą rozpaczą. – I ugotowałam kolację.

Wytrzeszczyła oczy.

– Dlaczego?!

– Bo było brudno. Sąsiadka mówiła, że słyniecie z bałaganu...

– Poznała pani sąsiadkę?

– Poczęstowała mnie herbatą.

– Zostawiam panią w domu na jeden dzień, a pani zmienia go nie do poznania. Wchodzi pani w komitewę z naszymi sąsiadami, a teraz pewnie omotała pani moją najlepszą przyjaciółkę! Ciekawe, co ona pani naopowiadała.

– O przepraszam, nic jej nie opowiadałam! – zawołała z kuchni Annie.

Szarpnęłam za luźną nić wystającą z rękawa.

– Myślałam, że się pani ucieszy – powiedziałam cicho. – Myślałam... – Myślałam, że mnie polubi.

W świecie Diany taki manewr miałby szansę na powodzenie. A przynajmniej coś do niego zbliżonego.

– Lubiłam swój bałagan – skwitowała.

– Nie wierzę – odparłam, a gdy się zawahała, powiedziałam coś, co planowałam powiedzieć od samego początku: – Niech pani pozwoli mi zostać, panno Banner! Proszę mnie nie wyrzucać!

Spojrzała na mnie w popłochu.

– Nie mogę, panno Astley!

– Mogłabym spać w salonie, jak zeszłej nocy. Mogłabym wam sprzątać i gotować. Mogłabym pracować. – Pospiesznie wyrzucałam z siebie kolejne słowa. – Och, jakże mi tego brakowało w St John's Wood! Ale diabeł, z którym mieszkałam, kazał to robić służbie, żebym nie niszczyła sobie rąk. Ale gdybym z wami została... mogłabym zajmować się dzieckiem. Ja nie dam mu laudanum, gdy zapłacze!

Oczy Florence zrobiły się jeszcze większe.

– Sprzątać i prać? Opiekować się Cyrilem? Ależ to wykluczone!

– Dlaczego? Spotkałam dziś na ulicy z pięćdziesiąt kobiet, które wykonują te wszystkie prace! Przecież to normalne, prawda? Gdybym była pani żoną... to znaczy, żoną Ralpa... należałoby to do moich obowiązków.

Florence zamasyżyła skrzyżowała ręce na piersi.

– To najgorszy argument, jakiego mogła pani użyć w tym domu, panno Astley. – W tej samej chwili otworzyły się frontowe drzwi i wszedł Ralph. W jednej ręce trzymał wieczorną gazetę, w drugiej Cyrila.

– A niech mnie! – zawołał. – Widziałaś ten próg? Aż szkoda po nim deptać. – Na mój widok uśmiechnął się szeroko. – Witam, pani jeszcze tutaj? – Rozejrzał się po salonie. – Boże Przenajświętszy! Chyba nie pomyliłem domów, co?

Florence chwyciła dziecko i popchnęła Ralpa w stronę kuchni. Usłyszałam, jak mężczyzna wita radosnym okrzykiem najpierw Annie, potem wołowinę z ziemniakami, a wreszcie ananasa. Florence szamotała się z Cyrilem, który wił się jak piskorz, gotów w każdej chwili uderzyć w płacz. Podeszłam do niej i ze słowami: „Proszę mi go dać, maluchy mnie uwielbiają”, wyciągnęłam ręce, co zakrawało na wyczyn niemal bohaterski, gdyż ostatni raz trzymałam dziecko cztery lata temu i wcale nie było z tego powodu zadowolone. Florence podała mi chłopca, który cudownym zrzędzeniem losu (może chwyciłam go tak niewprawnie, że oniemiał ze zdziwienia) ucichł i przytulił się do mnie z westchnieniem.

Mając więcej doświadczenia w tej kwestii, pomyślałabym pewnie, że widok przybranego syna w bezpiecznych ramionach opiekunki ostatecznie przekona Florence o celowości mego pozostania na Quilter Street. Popatrzyłam na nią; na jej twarzy zobaczyłam wyraz, który przelotnie zagościł na niej poprzedniego wieczoru: była to melancholijna czułość połączona z troską. Niesforny kosmyk wydostał się z koka i zawisł nad brwią. Kiedy go odgarnęła, wydało mi się, że na jej palcu dostrzegam łzę.

Do diaska, pomyślałam, marnowałam się w rewii, powinnam była spróbować sił w melodramacie. Przygryzłam wargę i głośno przełknęłam ślinę.

– Żegnaj, Cyrilu – powiedziałam lekko drżącym głosem. – Muszę włożyć swój mokry kapelusz, wyjść na ciemną ulicę i poszukać sobie jakiejś ławki, na której spędzę noc...

Przesadziłam. Florence pociągnęła nosem i znów zrobiła surową minę.

– No dobrze – ustąpiła. – Może pani zostać... na tydzień. Jeśli wszystko będzie w porządku, zostanie pani na miesiąc. Damy pani utrzymanie w zamian za opiekę nad Cyrilem i prowadzenie domu. Ale musi mi pani obiecać, panno Astley, że w razie jakichkolwiek zastrzeżeń natychmiast się pani wyprowadzi.

Obiecałam. Posadziłam sobie dziecko na biodrze, a Florence odwróciła wzrok. Nie sprawdziłam, jaką miała minę. Uśmiechnęłam się tylko i nachyliwszy się nad Cyrilem (wydzielał dość kwaśną woń), pocałowałam go w główkę.

Jakie to szczęście, że nie zdradziłam prawdy o Dianie, pomyślałam. Czy to ważne, że nie jestem do końca tym, za kogo się podawałam? Kiedyś byłam zwyczajną dziewczyną i

ponownie mogłam nią być: zwyczajność mogła mi wręcz przynieść tak pożądane wytchnienie. Wzdrygnęłam się na przelotne wspomnienie ostatnich wydarzeń i odczułam ulgę na myśl, że Florence jest tak pospolita i nieefektywna. Obrzuciłam ją ukradkowym spojrzeniem; wytarła nos i zawołała do Ralpa, żeby nastawił czajnik. Moje skłonności zaprowadziły mnie na manowce, wiedziałam jednak, że w tym wypadku mi to nie grozi. Niegdyś czułe serce stwardniało i obrosło nieprzepuszczalną skorupą: nie było szans, by któryś z mieszkańców Quilter Street mógł to zmienić.

Rozdział 17

Jedna z dam, która przybyła na okropne przyjęcie Diany przebrana za Marię Antoninę, zjawiała się nie w stroju królowej, lecz pasterki, z laską pasterską w dłoni. Słyszałam, jak opowiadała innej zaproszonej (która wzięła ją za małą Mary z dziecięcego wierszyka), że Maria Antonina kazała wybudować na tyłach pałacowego ogrodu niedużą chatkę, gdzie zabawiała się z przyjaciółmi, również przebranymi za postaci z plebsu. Podczas pierwszych tygodni pobytu na Quilter Street nieraz gorzko wspominałam tę historię. Pierwszego dnia, kiedy włożyłam fartuch i wysprzątałam dom Florence, chyba czułam się trochę jak Maria Antonina, podobne myśli towarzyszyły mi również na drugi dzień. Trzeciego dnia jednak, trzeciego dnia stania w kolejce do pompy w oczekiwaniu na odrobinę mętnawej wody, szorowania kominka i pieca oraz pucowania progu i wychodka, trzeciego dnia najchętniej powiesiłabym swą laseczkę na kołku i wróciła do pałacu. Lecz wrota pałacu były oczywiście zamknięte i musiałam poważnie wziąć się do roboty. Na dodatek miałam pod opieką energicznego malca, który albo wiercił mi się na rękę, albo pełzał po podłodze, obijając główkę o meble, przeważnie zaś ryczał w kołysce, wymuszając swoją porcję mleka i uwagi. Gdyby w domu znajdował się gin, wbrew przyrzeczeniu danemu Florence pewnie dałabym małemu kapkę, a przynajmniej sama łyknęłabym kieliszek, aby nieco umilić sobie żmudne prace. Ale ginu nie było, Cyril dokazywał na całego, a zajęcia pozostały niezmiennie żmudne. Nie mogłam się skarżyć, nawet w duchu, wiedziałam bowiem, że wszystko to było lepsze od życia, jakie wiodłabym zimą na ulicy, gdyby przyszło mi opuścić Bethnal Green.

Dlatego w milczeniu zaciskałam zęby. Często jednak myślałam o Felicity Place. Z sentymentem wspominałam cichy, piękny plac oraz okazały dom Diany z jego miłymi pokojami, jakże pachnącymi, jasnymi, ciepłymi i czystymi, tak bardzo różnymi od domku Florence, położonego w jednej z najbardziej hałaśliwych i ubogich dzielnic miasta, gdzie jedno pomieszczenie pełniło funkcję sypialni, jadalni, biblioteki oraz salonu, okna klekotały, kominki kopciły, drzwi bezustannie otwierały się i zamykały, jakby ktoś ustawicznie łomotał w nie pięścią. Odnosiłam wrażenie, że okoliczne domy wykonano z papieru, gdyż nieprzerwany szum głosów ludzi i zwierząt zdawał się przenikać ściany. Właściwie powinnam czuć się swojsko, dorastałam przecież w podobnych warunkach: kuzyni ganiałi w kółko po schodach, a w domu co wieczór roiło się od krewniaków

grających w karty, sączących piwo bądź wiodących zaciekle spory. Lecz odzwyczaiłam się od podobnych hałasów i teraz męczyły mnie niezmiernie.

Do tego domu zaglądało mnóstwo osób. Na przykład rodzina Florence: brat z żoną i dziećmi oraz Janet, siostra. Wspomniany brat był najstarszy z rodzeństwa (średni wyemigrował do Kanady), pracował jako rzeźnik i niekiedy przynosił nam mięso, ale niestety lubił się przechwalać: przeniósł się do Epping i uważał, że to głupota ze strony Ralph'a siedzieć na Quilter Street, gdzie dorastali wszyscy członkowie rodziny. Niezbyt za nim przepadałam. Natomiast Janet, która zaglądała do nas częściej, polubiłam od razu. Miała osiemnaście lub dziewiętnaście lat, była ładna, o mocnej budowie; oglądając zdjęcie wzięłam ją za urodzoną szynkarę, dlatego ubawiła mnie wiadomość, że pracuje w gospodzie w City i wynajmuje pokój od właścicieli, tuż nad lokalem. Florence utyskiwała na nią bez przerwy: matka wcześniej je odumarła, w związku z czym ciężar opieki nad Janet spadł właśnie na Florence, ta zaś wzorem wszystkich starszych sióstr obawiała się, że Janet da się oczarować pierwszemu mężczyźnie, który zwróci na nią uwagę.

– Bez namysłu wyjdzie za mąż – oświadczyła ze znużeniem po pierwszej wizycie siostry.
– Będzie przez całe życie rodzić dzieci, zaraz zbrzydnie i umrze w wieku czterdziestu trzech lat jak nasza matka.

Janet przyszła na kolację, po czym została na noc. Spały razem z Florence; leżąc w salonie, słyszałam ich chichoty i szepty, przez co nie mogłam zmrużyć oka. Sama Janet bynajmniej nie była zdziwiona, patrząc, jak podaję do stołu albo magluję bieliznę jej brata.

– Jak się masz, Nancy! – wołała. Od początku mówiła do mnie „Nancy”. Przy naszym pierwszym spotkaniu miałam jeszcze podbite oko. Na mój widok gwizdnęła. – Założę się, że to sprawka dziewczyny. Mam rację? Dziewczyna zawsze skacze do oczu. Mężczyzna celuje w zęby.

Kiedy dom nie drżał od energicznych kroków Janet na schodach, trząsł się od dyskusji i śmiechu przyjaciółek Florence. Regularnie przynosiły książki, gazetki oraz plotki, którymi wymieniały się przy herbacie. Uważałam je za dość szczególny gatunek. Wszystkie pracowały, lecz podobnie jak Annie Page, asystentka inspektora sanitarnego, nie wykonywały pospolitych, nudnych zawodów takich jak modniarka, krawcowa czy sklepikarka. Wszystkie działały w towarzystwach dobroczynności i przytułkach: nosiły listy kalek, imigrantów bądź osieroconych dziewcząt, którym miały za zadanie znaleźć dom lub pracę. Każda z ich opowieści rozpoczynała się w ten sam sposób: „Dzisiaj do biura przyszła dziewczyna...”.

– Dzisiaj do biura przyszła dziewczyna prosto z więzienia. Matka zabrała jej dziecko i przepadła jak kamień w wodę...

– Dzisiaj do biura przyszła pewna nieszczęśliwa kobieta. Przywieziono ją z Indii jako służącą, i teraz państwo nie chcą jej opłacić powrotu...

– Dzisiaj do biura przyszła kobieta oszukana przez pewnego zamożnego dżentelmena. Tak ją pobił...

Lecz nie było nam dane dosłuchać owej historii do końca, gdyż wzrok opowiadającej

spoczął na mnie, przycupniętej na fotelu obok Florence. Dziewczyna spłonęła rumieńcem, a następnie podniosła filiżankę do ust i zmieniła temat. Wszystkie znały moją historię (tę zmyśloną) z ust samej Florence. I albo w milczeniu rumieniły się nad swoimi filiżankami, albo odciągały mnie na stronę, pytając, jak się czuję, proponując usługi prawnika, który specjalizuje się w podobnych sprawach bądź doradzając okłady z warzyw na pokaleczony policzek...

Wszyscy z kręgu znajomych Ralph'a i Florence byli w tych sprawach wręcz do obrzydzenia dobrzy, mili i gotowi do natychmiastowej pomocy. Wkrótce przekonałam się też, że Bannerowie odgrywali ważną rolę w lokalnym ruchu laburzystowskim: bez przerwy głowili się nad jakimś projektem, planem mającym na celu zatwierdzenie bądź odrzucenie aktu parlamentarnego, przez co salonik stawał się miejscem organizowanych naprędce spotkań tudzież burzliwych debat. Ralph pracował jako przecinacz w fabryce jedwabiu, sprawował też funkcję sekretarza związku zawodowego. Nie licząc posady w zakładzie dla dziewcząt, Florence pracowała jako wolontariuszka we Wspólnocie Kobiet: to właśnie zadania związane z tą organizacją (a nie, jak początkowo myślałam, listy opuszczonych dziewcząt) pochłaniały ją owego pierwszego, pamiętnego wieczoru oraz wiele następnych. Podliczała budżet i pisała listy. Niekiedy zerkałam jej przez ramię, lecz niewiele z tego wszystkiego rozumiałam.

– Co to właściwie znaczy: „wspólnota”? – spytałam kiedyś. Na Felicity Place nigdy nie używano tego słowa.

Mimo to na Quilter Street zdarzały się chwile, gdy roznosząc herbatę, skręcając papierosy i niańcząc dzieci przy wtórze śmiechów i sprzeczek, czułam się tak, jakbym nadal krążyła po salonie Diany, ubrana tylko w tunikę. Tam nikt nie pytał mnie o zdanie, gdyż nie sądzono, bym miała coś ciekawego do powiedzenia, ale przynajmniej lubiono na mnie patrzeć. W domu Florence nikt na mnie nie patrzył, a co gorsza, wszyscy wychodzili z założenia, że jestem równie dobra i energiczna jak oni. Żyłam w ciągłym strachu, że niebacznie wyprowadzę ich z błędu, że ktoś zapyta mnie o zdanie na temat SDF lub ILP, a moja odpowiedź uświadomi im nie tylko, że myślę SDF z WLF, a ILP z WTUL, ale i że nie mam zielonego pojęcia, co w ogóle oznaczają te skróty. Gdy po sześciotygodniowym pobycie na Bethnal Green wyznałam nieśmiało, że nie widzę różnicy pomiędzy torysami i liberałami, wszyscy uznali to za dobry żart.

– Święta racja, panno Astley! – zawołał jakiś mężczyzna. – W gruncie rzeczy nie ma między nimi żadnej różnicy. Gdyby wszyscy postrzegali sprawę równie trzeźwo jak pani, mielibyśmy znacznie ułatwione zadanie.

Skwitowałam to uśmiechem i więcej się nie odezwałam. Wkrótce potem zebrałam filiżanki i poszłam z Cyrilem do kuchni. Czekaając na zagotowanie wody, zaśpiewałam mu starą piosenkę rewiową, na co wierzgnął nóżkami i zagulgotał radośnie.

Na progu stanęła Florence.

– Jaka ładna piosenka – rzuciła nieuważnie i potarła oczy. – Ralph i ja wychodzimy. Zajmiesz się Cyrilem, prawda? U jednej z naszych ubogich rodzin ma się zjawić komornik.

Obiecaliśmy, że wpadniemy, w razie gdyby miało dojść do przepychanek...

Był to dla nich chleb powszedni; zawsze znalazł się jakiś skrzywdzony przez los nieszczęśnik, który na gwałt potrzebował pieniędzy, pomocy, napisania listu bądź wstawiennictwa na posterunku. Wszyscy jak w dym ciągnęli do Ralpha i Florence; w ciągu tygodnia od mojego przybycia Ralph kilkakrotnie zrywał się od stołu w samej koszuli i spieszył pocieszać nieszczęśnika, który stracił pracę. Uważałam, że oboje grubo przesadzają. W Whitstable żyliśmy z sąsiadami we względnej przyjaźni, lecz uprzejmość miała swoje granice: matka nigdy nie traciła czasu na zajmowanie się nieudolnymi gospodyniami, pijakami czy obibokami. Florence i Ralph pomagali wszystkim bez wyjątku, nawet – czy może raczej zwłaszcza – niefrasobliwym ojcom i niechlujnym matkom, przeciwko którym zwracali się inni mieszkańcy Bethnal Green. Na wieść o tym, że wybierają się wspierać kolejne ofiary losu, zrobiłam kwaśną minę.

– Jesteście prawdziwymi aniołami – oznajmiłam, napełniając miednicę mydlinami. – Ani chwili dla siebie. Dzięki moim staraniom mieszkacie w ładnym domu, ale nie macie czasu, żeby choć trochę w nim pobycć. Oboje nieźle zarabiacie, a najchętniej wszystko byście rozdali!

– Gdybym chciała zamknąć się w domu i spoglądać wyłącznie na ładne ściany – odparła Florence, jak zawsze pocierając twarz ręką – przeniosłabym się do Hampstead! Mieszkam tu od urodzenia, na tej ulicy nie ma rodziny, która w potrzebie odmówiłaby pomocy nam i matce. To racja, oboje nieźle zarabiamy, myślisz jednak, że cieszyłabym się ze swoich trzydziestu szylingów, wiedząc, że pani Monks z dziewczynkami musi wyżyć za dziesięć? A pani Kenny z naprzeciwnka, ta z chorym mężem, ma do dyspozycji trzy szylingi za papierowe kwiaty, które zwija po nocach, stopniowo tracąc wzrok...

– Dobrze, już dobrze – odpowiedziałam.

Często wygłaszała podobne tyrady; mówiła jak Córa Ludu z sentymentalnej powieści o życiu East Endu. Maria Jex namiętnie zaczytywała się w podobnych bzdurach, a Diana szydziła z niej niemiłosiernie. Ale nie powiedziałam tego Florence. Nie powiedziałam nic. Lecz gdy Bannerowie i ich przyjaciele opuścili dom, ciężko opadłam na fotel. Prawdę mówiąc, nienawidziłam ich dobroczynności, tych wszystkich szlachetnych czynów, misji, osieroconych podopiecznych. Nienawidziłam, ponieważ wiedziałam, że jestem jedną z nich. Zrazu uważałam, że Florence pozwoliła mi zostać przez wzgląd na mnie samą, lecz cóż to za wyróżnienie, skoro ona i jej brat regularnie przygarniali jakiegoś włóczęgę i karmili go przy własnym stole? Nie chodzi o to, że mnie lekceważyli. Ralph był najpocziwszym mężczyzną, jakiego znałam, i nikt, nawet najbardziej zatwardziała safistka w mieście, nie mógłby pozostać wobec niego obojętnym. Ja, która zaliczałam się do ich grona, pokochałam go z całego serca. Florence też była dla mnie dobra, na swój znużony, roztargniony sposób. Ale choć jadła to, co dla nich ugotowałam, mimo że oddawała mi pod opiekę Cyrila, a po upływie miesiąca pozwoliła mi zostać i kazała Ralphowi znieść ze strychu składane łóżko, żebym nie musiała się gnieść na fotelach, odnosiłam wrażenie, że tak naprawdę nie robi tego dla mnie. Po prostu dzięki mojej obecności zyskiwała czas, aby

móc poświęcić się innym celom. Dała mi pracę, tak jak dama zatrudniłaby nieszczęśnicę wypuszczoną z więzienia.

Nie byłabym sobą, gdyby jej obojętność nie drażniła mnie do żywego. Spędziłam półtora roku na Felicity Place, szlifując maniery na potrzeby lubieżnych dam, aż zyskałam w tej dziedzinie prawdziwy kunszt: nie mogłam go zaprzepaścić tylko dlatego, że nauczyłam się czyścić kominek. Lecz w wypadku Florence moje wysiłki spełzały na niczym. Ona nie może być lesbijką, powtarzałam w duchu: bo nawet jeśli nie flirtowała ze mną, nigdy nie widziałam, by robiła słodkie oczy do jednej z dziewcząt, które tłumnie przewijały się przez nasz salonik. Z drugiej strony, nie widziałam też, by kiedykolwiek flirtowała z mężczyzną. Wreszcie doszłam do wniosku, że jest zbyt dobra, by tracić czas na miłostki.

Zresztą nie przybyłam na Quilter Street, żeby flirtować, ale by wieść normalne życie. Brak potencjalnego obiektu westchnień tylko ułatwiał mi zadanie. Zapuściłam włosy, które po tygodniu lub dwóch i tak straciły swój żołnierski urok. Nawet zaczęłam je podkreślać. Im częściej chodziłam w przyciasnych trzewikach, tym mniej mnie uwierały, lecz wymieniłam je na straganie z używaną odzieżą na buciki z kokardkami. To samo zrobiłam z kapeluszem i podniszczoną suknią: ich miejsce zajął kapelusz z kwiatkiem na drucie oraz sukienka ze wstążką przy szyi.

– Jaka ładna sukienka! – wykrzyknął Ralph, kiedy włożyłam ją po raz pierwszy, ale on pochwaliłby nawet worek od kartofli, gdyby sądził, że to mnie uszczęśliwi.

Prawda wyglądała tak, że od chwili opuszczenia St John's Wood wyglądałam koszmarnie, w sukni z kokardą zaś wyjątkowo koszmarnie. Moja obecna odzież była podobna do ubrań, jakie nosiłam w Whitstable oraz w początkowym okresie pracy u Kitty; pamiętałam też, że uchodziłam wówczas za niebrzydką dziewczynę. Czułam jednak, jakby męski strój na zawsze odciął mnie od dziewczęcości: moja szczęka stała się mocniej zarysowana, brwi bardziej krzaczaste, biodra smuklejsze, a dłonie nadspodziewanie duże, odpowiednie do fasonów ubrań, które wybierała dla mnie Diana. Wprawdzie podbite oko dość szybko się zagoiło, ale książka Dickie pozostawiła na moim policzku niedużą bliznę (nadal ją mam), co w połączeniu z krzepkością sylwetki, uzyskaną dzięki sprzątanii i noszeniu wiader, nadało mi urok młodego wyrostka. Gdy ochlapując się rankiem w kuchni nad miednicą łowiłam swoje odbicie w pociemniałej szybie, wyglądałam jak młodzieniec w szatni jakiegoś męskiego klubu, który obmywa się po meczu bokserskim. Ależ Diana by mnie podziwiała! Lecz jak już wspomniałam, na Quilter Street brakowało zachwyconego audytorium. Kiedy Florence i Ralph schodzili na śniadanie, byłam już ubrana i uczesana. Florence w biegu łykała herbatę, wołając, że nie ma czasu na jedzenie, bo musi po drodze zajrzeć do Wspólnoty. Ralph nakładał sobie wędzonego śledzia z jej talerza („Mmm, Cyrilu, jak to smacznie wygląda!”), a Florence wybiegała z domu, nie oglądając się za siebie, otulona szalem jak dziewięćdziesięcioletnia staruszka.

Choćbym nie wiem ile o niej myślała, co z braku lepszych tematów do rozważań robiłam nader często, za nic nie mogłam jej rozgryźć. Florence, którą poznałam na Green Street, była wesoła, miała włosy sterczące jak sprężynki, nosiła suknie w kolorze musztardy i

pokazywała w uśmiechu ładne zęby. Tymczasem Florence Banner z Bethnal Green była wiecznie ponura i zmęczona. Jej włosy oklapły, a suknie miały barwę rdzy, kurzu albo popiołu, uśmiech zaś był tak rzadkim zjawiskiem, że nieomal przejmował dreszczem.

Odkryłam, że cechowało ją kapryśne usposobienie. Ofiary losu z Bethnal Green mogły liczyć na jej anielską dobroć i wyrozumiałość, w domu jednak bywała przygnębiona i drażliwa; nieraz widywałam, jak brat i przyjaciele chodzą na paluszkach, aby jej nie denerwować. Wykazywali przy tym podziwu godną cierpliwość. Zdarzało się, że przez kilka dni z rzędu dopisywał jej dobry humor, po czym wracała ze spaceru lub budziła się rano odmieniona nie do poznania. Moim zdaniem najdziwniejsze ze wszystkiego było jej zachowanie wobec Cyrila, gdyż choć kochała go jak własne dziecko, czasem spoglądała nań z niechęcią i odpychała małe rączki, jakby budził w niej wstręt, innym razem zaś chwyciła go w objęcia i obsypywała pocałunkami, aż zaczynał piszczeć. Gdy pewnego razu, po kilku miesiącach od mojego przybycia na Quilter Street, rozmowa zeszła na temat urodzin, uświadomiłam sobie z pewnym zdziwieniem, że urodziny małego musiały przejść niezauważone. Na moje pytanie Ralph odrzekł, że istotnie, wypadały w lipcu, ale jakoś nie przyszło im do głowy, by je uczcić. „Czyżby socjaliści nie obchodzili urodzin?“, zapytałam z rozbawieniem, na co Ralph odpowiedział uśmiechem, Florence zaś wstała i bez słowa wyszła z pokoju. Jej zachowanie ponownie dało mi do myślenia na temat ewentualnej tajemnicy związanej z dzieckiem, Florence jednak nie puszczała pary z ust, a ja nie chciałam się wtrącać. Przyszło mi do głowy, że nadmierna ciekawość z mojej strony mogłaby ją skłonić do pytań o rzekomego dżentelmena, który najpierw otoczył mnie zbytkiem, a następnie pobił i wyrzucił na bruk. Po pierwszym wieczorze nigdy nie wracała do tego tematu, co przyjąłam z niemałą ulgą. Była tak dobra i uczciwa, że nie chciałabym jej okłamywać.

Nie chciałabym jej dokuczyć w jakikolwiek sposób. Harowała tak ciężko i wracała taka zmęczona, że niekiedy krążyłam po pokoju, bezsilnie załamując ręce, i miałam ochotę nią potrząsnąć. Wyczerpywała ją nie tyle praca w zakładzie dla dziewcząt, ile niekończące się obowiązki w towarzystwie i związku – sterty listów oraz ksiąg, które kładła na stole po kolacji i nad którymi ślęczała do późna, mrużąc czerwone i zażawione oczy. Czasem z braku lepszego zajęcia brałam krzesło i siadałam obok, by nieco ją odciążyć: dawała mi koperty do adresowania lub inne mało ważne zajęcia. Gdy wiosną Wspólnota założyła lokalny związek szwaczek i Florence zaczęła odwiedzać pracownice z Bethnal Green (te wszystkie nieszczęśnice, które godzinami siedziały samotnie nad robotą i dostawały za to grosze), chodziłam razem z nią. Oglądałyśmy rozdzierające sceny, kobiety przyjmowały nasze wizyty z zadowoleniem, a Wspólnota z wdzięcznością, lecz tak naprawdę robiłam to jedynie przez wzgląd na Florence. Nie mogłam znieść myśli, że miałyby sama chodzić po nocy ulicami East Endu.

Wreszcie (jak wspomniałam, gospodyni domowa szuka sobie urozmaicenia rutynowych zajęć) zaczęłam przyrządzać dla niej wymyślne potrawy. Była chuda i nie wyglądała z tym dobrze; widok jej zapadniętych policzków napełniał mnie bezbrzeżnym smutkiem. I

podczas gdy Wspólnota Kobiet postawiła sobie za cel zjednoczyć robotnice wschodniego Londynu, moim celem było podtuczyć Florence. Zrazu moje starania przynosiły mizerne skutki, gdyż choć regularnie odwiedzałam mięsne stragany na targu Whitechapel, polując na mięso mielone i serdelki, króliki, flaczki oraz podroby, prawdopodobieństwo, że przypalę mięso albo go nie dosmażę było takie samo jak to, że potrawa wyjdzie jak należy. Florence i Ralph, nienawykli do zbyt wyrefinowanej kuchni, bynajmniej na to nie zważali. Lecz któregoś dnia pod koniec sierpnia pomyślałam, że rozpoczął się sezon na ostrygi. Kupiłam beczkę ostryg oraz nóż, a gdy wsunęłam ostrze w szczelinę muszli, stało się tak, jakbym przekręciła klucz w szufladzie z matczynymi przepisami, wydobywając je z mroków niepamięci. Przyrządziłam ostrygi zapiekane w cieście: Florence przerwała pracę i zjadła wszystko do ostatniej okruszynki. Następnego wieczoru przygotowałam placki z ostrygami, a potem zupę z ostryg. Podawałam ostrygi smażone i marynowane, obtaczane w mące i duszone w śmietanie.

Gdy podałam Florence talerz z tymi ostatnimi, uśmiechnęła się, a kiedy skosztowała, westchnęła. Wymiotła sos skórką od chleba, następnie oblizała się i otarła usta palcami. Wróciłam myślami do innego salonu, gdzie podobną kolacją wkradłam się do serca innej dziewczyny. Florence podniosła łyżkę i ponownie westchnęła.

– Och – powiedziała – gdybym miała wymienić jedną, tylko jedną potrawę, jakiej życzyłabym sobie w raju, na pewno wskazałabym ostrygi. Co o tym sądzisz, Nance?

Nigdy dotąd nie mówiła do mnie „Nance”, nigdy też nie słyszałam z jej ust podobnej uwagi. Roześmiałam się, to samo zrobił Ralph. Florence przyłączyła się do ogólnej wesołości.

– Mogą być ostrygi – odrzekłam.

– W moim raju byłby marcepan – wtrącił Ralph: był ogromnie łasy na słodczyce.

– A obok talerza leżałby papieros – dodałam. – W przeciwnym razie nie byłoby warto w ogóle zabierać się do jedzenia.

– Święta prawda. Mój stół stałby na wzgórzu z widokiem na miasto, gdzie nie uświadczylbyś ani jednego komina: wszystkie domy byłyby oświetlone i ogrzewane elektrycznością.

– Ależ Ralph! – zaoponowałam. – Tylko pomyśl, jakie to byłoby nudne, móc zajrzeć w każdy kąt! W moim raju nie byłoby ani elektryczności, ani nawet domów, tylko... – ...kucyki i wróżki latające na linach, miałam na końcu języka, cofając się myślami do wieczorów w Brit.

Ale nie zamierzałam wdawać się w zawile tłumaczenia.

– Czyli wygląda na to, że wszyscy zajmiemy oddzielne raje? – skwitowała Florence.

Ralph potrząsnął głową.

– W moim raju znajdzie się miejsce dla ciebie – zapewnił. – I Cyrila.

– I pewnie dla pani Besant. – Florence przełknęła kolejny kęs potrawy. – A kto byłby w twoim raju, Nancy?

Patrzyła na mnie z uśmiechem, ja też się uśmiechałam. Lecz gdy usłyszałam jej słowa,

mój uśmiech zbladł. Spojrzałam na swoje ręce, leżące na stole: na Felicity Place stały się białe jak śnieg, teraz jednak spierzchły, poczerwieniały i mocno pachniały sodą. Na falbance mankietów widniały plamy tłuszczu; bo nigdy nie nauczyłam się jak należy podwijać rękawów sukni. Przygryzając wargę, szarpnęłam za jedną z falbanek. Tak naprawdę nie znałam odpowiedzi na to pytanie. W każdym razie nie było nikogo, kto chciałby mnie ujrzeć w swoim rajcu...

Ponownie przeniosłam wzrok na Florence.

– Cóż, na pewno ty i Ralph – odrzekłam wreszcie. – Podejrzewam, że traficie do wszystkich rajców, gotowi służyć radą, jak je urządzić.

Ralph wybuchnął śmiechem. Florence przekrzywiła głowę i na jej ustach zamajaczył blady uśmiezek. Po chwili zamrugała i podchwyciła moje spojrzenie.

– A ty, oczywiście, będziesz w moim... – powiedziała.

– Naprawdę, Florence?

– Naturalnie. A któż inny przyrządzałby mi ostrygi?

Słyszałam w życiu miłsze komplementy, ale nie ostatnio. Pochyliłam głowę, czując, że się rumienię.

Kiedy ponownie spojrzałam na Florence, wpatrywała się w róg pokoju. Odwróciłam się, podążając za jej wzrokiem: patrzyła na portret rodzinny. Domyśliłam się, że pewnie myśli o matce. Lecz w ramce tkwiło przeciw równie małe zdjęcie, przedstawiające poważną młodą kobietę o gęstych brwiach. Nigdy się nie dowiedziałam, kim była.

– Kim jest dziewczyna ze zdjęcia? – zapytałam Ralpa. – Przydałaby jej się szczotka do włosów.

Ralph zerknął na mnie, ale nie odpowiedział.

– To Eleonora Marks – wyręczyła go Florence i lekko zadrżał jej głos.

– Eleonora Marks? Czy miałam okazję ją poznać? Czy to ta kuzynka, która pracuje u handlarza drobiu?

Florence wytrzeszczyła na mnie oczy, jakbym przemówiła w obcym języku. Ralph odłożył widelec.

– Eleonora Marks – wyjaśnił – to pisarka, działaczka i wielka socjalistka...

Poczerwieniałam jak burak: to było gorsze niż pytać o znaczenie wyrazu „wspólnota”.

– Nie przejmuj się – dorzucił Ralph na widok mojego zażenowania. – Skąd mogłaś wiedzieć? Jestem pewien, że gdybyś wymieniła znanych ci pisarzy, Flo i ja nie znalibyśmy połowy z nich.

– To prawda – odrzekłam z wdzięcznością, lecz choć czytałam u Diany wiele różnych książek, w owej chwili przychodziły mi do głowy tylko nieprzyzwoite. Te zaś miały jednego autora o pseudonimie „Anonim”.

Reszta kolacji przebiegła w ciszy. Kiedy ponownie spojrzałam na Florence, siedziała ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Wówczas pomyślałam, że nie chciałaby mnie w swoim rajcu, nawet jako kucharki. Nie była to przyjemna myśl.

Okazało się jednak, że wyciągnęłam błędne wnioski. Gdybym znalazła się w jej rajcu,

pewnie nawet by tego nie zauważyła, nie dbałaby również o obecność matki czy Eleonory Marks ani nawet Karola Marksa. Rozmyślała o kimś zupełnie innym, lecz dowiedziałam się o tym dopiero kilka tygodni później, jesienią tego samego roku.

Jak już zostało powiedziane, towarzyszyłam Florence w jej wieczornych eskapadach. Pewnego dnia odwiedziłyśmy szwaczkę w Mile End. W domu panowała bieda z nędzą, w pokojach prawie nie było mebli, nie licząc paru materaców, zdartego chodnika oraz zdezelowanego krzesła i stołu. W pomieszczeniu służącym jako pokój dzienny na odwróconej skrzyni leżały pozostałości lichej kolacji: skórka od chleba, słój z odrobiną smalcu oraz kubek wypełniony do połowy sinym mlekiem. Stół wypełniony był przyborami do szycia oraz poskładanymi ubraniami i kawałkami bibuły. Kobieta narzekała, że szpilki wciąż spadają na podłogę i dzieci depczą po nich bosymi nóżkami; ostatnio najmłodsze włożyło jedną do buzi i mało się nie zadławiło.

Potem Florence opowiedziała jej o Wspólnocie oraz niedawno założonym związku szwaczek. Zapytała, czy przyjdzie na zebranie. Kobieta potrząsnęła głową. Nie ma czasu, odparła, nie miałaby też z kim zostawić dzieci. Poza tym bała się, że dowiedzą się o tym przełożeni i za karę wyrzucą ją z pracy.

– Zresztą – uzupełniła – mój mąż nie pochwała takich rzeczy. Wprawdzie sam należy do związku, ale uważa, że kobietom nie trza mieszać się do takich spraw.

– A co pani uważa, pani Fryer? Czy pani zdaniem związek kobiet to dobra rzecz? Nie chciałaby pani zmiany, żeby przełożeni musieli płacić szwaczkom więcej i traktować was lepiej?

Pani Fryer potarła zmęczone oczy.

– Akurat. Wywaliliby mnie z roboty i znaleźli na moje miejsce tańszą pracownicę. Jest mnóstwo dziewcząt, które zazdroszczą mi nawet tych marnych groszy...

Florence nie ustępowała, wreszcie szwaczka straciła cierpliwość i wymawiając się brakiem czasu grzecznie, ale stanowczo poprosiła, żebyśmy sobie poszły. Florence wzruszyła ramionami.

– Proszę to jeszcze przemyśleć. Zna pani datę spotkania. Może pani przyprowadzić dzieci: znajdziemy kogoś, kto się nimi zajmie przez godzinę lub dwie.

Wstałyśmy; ponownie spojrzałam na stół i panujący na nim rozgardiasz. Na blacie leżały kamizelka, kilka chusteczek oraz komplet męskiej bielizny. Miałam ochotę podejść bliżej i pogłodzić materiał. Podchwyciwszy spojrzenie kobiety, wskazałam głową na stół.

– Co dokładnie pani robi, pani Fryer? – zapytałam. – To takie ładne.

– Jestem hafciarką, panienko – wyjaśniła. – Wyszywam ozdobne litery. – Podniosła koszulę i pokazała mi kieszeń; widniał na niej kwiatowy monogram, prześlicznie wyhaftowany na kremowym jedwabiu. – Trochę nie pasuje do mojego bałaganu – dodała ze smutkiem.

Odpowiedź uwięzła mi w gardle. Ładny monogram wywołał nieoczekiwane wspomnienie Felicity Place oraz pięknych ubrań, które tam nosiłam. Oczami wyobraźni ujrzałam surduty, kamizelki i koszule, ozdobione misternym „N. K.”, ekstrawaganckim i

jakże ekscytującym. Nie miałam wówczas pojęcia, że powstał w takim miejscu, wyszedł spod ręki kobiety równie nieszczęśliwej jak pani Fryer. Lecz czy miałyby to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Wiedziałam, że nie, i ogarnął mnie okropny wstyd połączony z zakłopotaniem. Florence stała przy drzwiach i patrzyła na mnie wyczekująco, a pani Fryer schyliła się, aby podnieść najmłodsze dziecko, które zaczęło płakać. Sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wymacałam szylinga oraz pensa, pozostałe z zakupów; wyjęłam monety i ukradkiem położyłam na stole, pośród eleganckich ubrań i chusteczek.

Pani Fryer dostrzegła mój gest i pokręciła głową.

– Ależ panienko... – zaproponowała.

– Dla dziecka. – Moje skrępowanie sięgnęło zenitu. – Dla malucha. Proszę.

Kobieta pochyliła głowę i wymamrotała słowa podziękowania. Dopiero na ulicy odważyłam się spojrzeć na Florence.

– To było miłe – odezwała się wreszcie. Czułam, że nie ma racji; mój gest przypominał raczej siarczyście wymierzony policzek. Ale nie potrafiłam tego wytłumaczyć Florence. – Oczywiście nie powinnaś była tego robić – dodała. – Teraz pomyśli, że Wspólnota składa się z bogatszych kobiet, a nie takich samych jak ona, które próbują się nawzajem wspierać.

– Ty nie jesteś taka jak ona – odparłam, mimowolnie urażona jej uwagą. – Wydaje ci się, że tak, ale tak naprawdę nie masz z nią nic wspólnego.

Pociągnęła nosem.

– Cóż, pewnie masz rację. Lecz wbrew pozorom wiele nas łączy. Mam z nią więcej wspólnego niż niektóre z pań, które pomagają biednym, bezrobotnym i wyrzuconym na bruk...

– Jak panna Derby – uzupełniłam.

– No właśnie – odrzekła z uśmiechem. – Jak panna Derby, twoja serdeczna przyjaciółka.

Puściła oko i ujęła mnie pod ramię. Widząc ją w tak wyśmienitym humorze, oddaliłam ponure wspomnienie mieszkania szwaczki i również odzyskałam dobry nastrój. W gęstniejących ciemnościach jesienno-wieczornego szłyśmy powoli w stronę Quilter Street. Florence ziewnęła.

– Biedna pani Fryer – powiedziała. – Ma całkowitą rację: kobiety nigdy nie będą walczyć o krótszy dzień pracy i wyższe pensje, dopóki istnieją dziewczęta, które z pocałowaniem ręki przyjmą posadę za każde pieniądze...

Nie słuchałam. Obserwowałam, jak blask latarni padał na wystające spod kapelusza włosy Florence, opromieniając je świetlistą łuną. Zastanawiałam się, czy ćma mogłaby uwięznąć w lokach, mylnie biorąc je za płomień świecy.

Po powrocie do domu Florence powiesiła płaszcz i jak zwykle zajęła się księgami rachunkowymi i dokumentami. Cicho weszłam na górę, aby zajrzeć do śpiącego Cyryla, po czym wróciłam do salonu i posiedziałam trochę z Ralphem. Zrobiło się chłodno, więc rozpałam w kominku nieduży ogień.

– Pierwszy dzień jesieni – zauważył, uzmysławiając mi, że spędziłam na Quilter Street już trzy pory roku. Jego słowa dziwnie mnie poruszyły. Popatrzyłam na niego z uśmiechem.

Nosił obecnie dłuższe wąsy, co jeszcze bardziej upodabniało go do marynarza z paczki playersów. Wyjątkowe podobieństwo łączące go z siostrą dodatkowo wzmagало moją sympatię. Nie miałam pojęcia, jak mogłam kiedyś wziąć go za jej męża.

Ogień buzował w kominku, a następnie nieco przygasł, dając miłe ciepło. O wpół do jedenastej Ralph klepnął poręcz fotela, wstał i życzył nam dobrej nocy, dokładnie tak, jak pierwszego wieczora, tyle że teraz całował na dobranoc również mnie, w kącie stało moje rozkładane łóżko, a na haczyku za drzwiami wisiał płaszcz.

Z zadowoleniem rozejrzałam się dokoła, po czym ziewnęłam i poszłam po czajnik.

– Zrób sobie przerwę – zwróciłam się do Florence, wskazując na książki. – Posiedź ze mną chwilę. – W mojej prośbie nie było nic szczególnego: ostatnio weszło nam w nawyk wspólne przesiadywanie wieczorem i opowiadanie, jak minął dzień. Florence popatrzyła na mnie z uśmiechem i odłożyła pióro.

Postawiłam czajnik na kuchni, a Florence wstała i przeciągnęła się.

– Cyril – powiedziała. Nadstawiłam uszu i po chwili złowiłam cichy, urywany płacz dochodzący z góry. Florence skierowała się ku schodom. – Uspokoję go, zanim obudzi Ralpa.

Po pięciu minutach wróciła z malcem: jego mokre rzęsy lśniły w świetle lampy, a włoski pociemniały mu od potu.

– Nie może zasnąć – wyjaśniła Florence. – Niech trochę z nami posiedzi. – Usiadła na fotelu przy ogniu, z dzieckiem przytulonym do piersi. Podałam jej herbatę; ostrożnie upiła łyk z filiżanki i ziewnęła. Następnie spojrzała na mnie i potarła oczy. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Nance!

– Ja tylko pilnuję, żebyś się nie przemęczała – odrzekłam zgodnie z prawdą. – Zbyt ciężko pracujesz.

– Jest tyle do zrobienia!

– Ale chyba nie wszystko musi spoczywać na twoich barkach. Nigdy nie masz tego dosyć?

– Mam – odparła i znowu ziewnęła. – Sama widzisz. Ale nie tego!

– Ależ Flo, przecież to syzyfowa praca. Po cóż się tak zadręczać?

– Jak to po co? Miałabym siedzieć z założonymi rękoma, wiedząc, że świat jest taki okrutny, choć można by w nim tyle zmienić...? Moja praca sama w sobie przynosi spełnienie, bez względu na jej efekty. – Wypiła kolejny łyk herbaty. – Podobnie jak miłość.

Miłość! Pociągnęłam nosem.

– Jednym słowem uważasz, że miłość jest nagrodą samą w sobie?

– A ty nie?

Zajrzałam w głąb swojej filiżanki.

– Może kiedyś tak myślałam – odrzekłam. – Ale... – Nigdy jej o tym nie opowiadałam.

Cyril zaczął się kręcić; Florence pocałowała go w główkę i szepnęła mu coś do ucha. Przez chwilę panowała cisza: pewnie uznała, że mam na myśli mężczyznę, z którym mieszkalam w St John's Wood. Nagle ponownie się odezwała, tym razem bardziej

zdecydowanym tonem:

– Poza tym nie uważam swoich zajęć za bezcelowe. Naprawdę idzie ku lepszemu. Wszędzie powstają związki, zrzeszające nie tylko mężczyzn, ale i kobiety, które robią to, co jeszcze dwadzieścia lat temu naraziłoby je na śmiech. Niedługo będą nawet mogły głosować! Niektórzy ludzie dają za wygraną, myśląc, że upadające imperium pociągnie ich za sobą, skazując na nieuchronną zagładę. Ale z ruiny powstają nowe wspaniałe rzeczy: nowe reguły pracy, nowi ludzie, nowe sposoby na życie i miłość...

Znowu ta miłość! Uniosłam palce do blizny, pozostałej po uderzeniu ostrym kantem książki Dickie. Florence opuściła głowę, żeby spojrzeć na dziecko przytulone do jej piersi.

– Wyobraź sobie świat za dwadzieścia lat! – podjęła ściszym tonem. – Druga dekada nowego stulecia. Cyril będzie młodym mężczyzną, prawie moim rówieśnikiem. Pomyśl tylko, co zobaczy, co będzie robił... – Spojrzałam na Florence, a potem na niemowlę, i prawie zdołałam ujrzeć to wszystko jej oczyma...

Naraz Florence lekko uniosła się na fotelu i sięgnawszy ręką do biblioteczki, wyjęła z wypełnionej półki jakąś książkę. Były to „Żdźbła trawy”; przerzuciła kartki, aby znaleźć właściwy fragment.

– Posłuchaj tego – powiedziała. Zaczęła czytać, cicho i z pewnym skrępowaniem, lecz nigdy dotąd nie słyszałam w jej głosie podobnej żarliwości. – „*O mater! O fils!*” – przeczytała. – „O dziatwo lądowa! O kwiaty prerii! O nieskończona przestrzeni! O melodio potężnych wynalazków! O miasta tętniące życiem! Niepokonane, burzliwe, dumne! O nurcie rwący! O kobiety! O ojcowie! O mężowie chmurni i żarliwi! O cudzie nad cudy! O niezrównany! O brodaci włóczędzy! O bardowie! O pogrążeni we śnie! Powstańcie! W gardle ptaka rodzi się krzyk! Nie słyszycie piania koguta?”

Przez chwilę siedziała nieruchomo, spoglądając na tekst; kiedy wreszcie uniosła na mnie wzrok, zobaczyłam ze zdumieniem, że jej oczy lśnią od łez.

– Nie uważasz, że to wspaniałe, Nancy? – zapytała. – Czyż to nie cudowny wiersz?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo – odrzekłam. Łzy Florence wyprowadziły mnie z równowagi. – Widywałam lepsze wersy na ścianach toalet. – Naprawdę tak było. – Co to za wiersz, który się nie rymuje? Brakuje w nim rymów i melodyjności. – Odebrawszy jej tomik, odczytałam tekst (był podkreślony ołówkiem), po czym zaśpiewałam go na melodię popularnej piosenki rewiowej. Florence roześmiała się i przytrzymując Cyrila jedną ręką, drugą usiłowała wyrwać mi książkę.

– Potworze! – zawołała. – Ty przebrzydła filisterko!

– Lubię dobrą poezję – odparłam z urazą. – Umiem rozpoznać piękny poemat, lecz ten do takich nie należy. – Przekartkowałam książkę i odczytałam wyjątkowo nedorzeczne ustępy (których nie brakowało), z przesadnym scenicznym akcentem jankesa. – „O towarzyszu!” – zaczęłam. – „O ty i ja, o dwoje nas; O siło, wolności i wieczności! O pokonać różnice! Precz z występkiem! Precz z dyskryminacją zawodów i płci! O doprowadzić do równości! O przyciąganie! O dotkliwe pragnienie bycia razem – choć ty nie wiesz, dlaczego, i ja nie wiem...”

Ostatnie słowa przeszły w niewyraźny pomruk. Florence przestała się śmiać i posępnie utkwiała wzrok w kominku. W jej piwnych oczach odbiły się pomarańczowe płomienie. Zamknęłam książkę i włożyłam ją na półkę. Zapadła długa cisza.

Wreszcie Florence zaczerpnęła tchu.

– Nance – odezwała się nieswoim głosem. – Czy pamiętasz ten dzień na Green Street, kiedy spotkałyśmy się na ulicy? Pamiętasz, jak umówiliśmy się na spotkanie, na które potem nie przyszłaś...?

– Oczywiście – odrzekłam z zakłopotaniem.

Na ustach Florence błąkał się dziwny, nieobecny uśmiezek.

– Nigdy ci nie mówiłam – podjęła – co robiłam tamtego wieczoru, prawda?

Potrząsnęłam głową. Doskonale pamiętałam za to, co sama robiłam: po kolacji znalazłam się z Dianą w jej pięknej sypialni, po czym jak niepyszna wróciłam do swego pokoju. Nigdy jednak nie zastanawiałam się nad tym, co robiła Florence, a ona istotnie nic na ten temat nie wspominała.

– Co takiego robiłaś? – zapytałam. – Poszłaś sama na... na ten wykład?

– Tak – odpowiedziała. Ponownie chwyciła głęboki oddech. – Poznałam tam pewną... dziewczynę.

– Dziewczynę?

– Tak. Miała na imię Lilian. Od chwili gdy ją zobaczyłam, wprost nie mogłam oderwać od niej oczu. Była taka... niezwykła. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie, pewnie nie rozumiesz...

Rozumiałam, och, jak rozumiałam! Patrząc na Florence poczułam, jak ogarnia mnie nagłe ciepło, a potem chłód. Kaszlnęła, unosząc rękę do ust.

– Po skończonym wykładzie – ciągnęła, dalej wpatrując się w ogień – Lilian zadała bardzo mądre pytanie. Mówca wyglądał na kompletnie zbitego z pantafelku. Wówczas spojrzałam na nią i wiedziałam, że muszę ją poznać. Podeszłam i zaczęłyśmy rozmawiać. Rozmawiałyśmy... Nance, rozmawiałyśmy przez godzinę bez przerwy! Miała doprawdy niezwykle poglądy. Odnosiłam wrażenie, że czytała wszystko i miała o wszystkim wyrobione zdanie.

Florence snuła swą opowieść. Zostały przyjaciółkami, Lilian ją odwiedzała...

– Kochałaś ją! – powiedziałam.

Florence poczerwieniała, a potem skinęła głową.

– Ktokolwiek ją znał, nie mógł jej nie kochać choć odrobinę.

– Ale Flo, ty ją kochałaś inaczej! Kochałaś ją jak... lesbijka!

Zamrugnęła powiekami i kładąc palec na ustach, poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Czułam, że to odgadniesz...

– Odgadnę! Ja... nie jestem pewna. Nigdy nie myślałam, że... cóż, sama nie wiem, co myślałam...

Odwróciła głowę.

– Ona też mnie kochała – dorzuciła po chwili. – Kochała mnie jak nie wiem co! Ale

inaczej. Wcale mi to nie przeszkadzało. Co więcej, miała przyjaciela, który pragnął się z nią ożenić. Ale ona nie chciała, wierzyła w związek oparty na wolności. Nance, ona była najbardziej zdecydowaną kobietą, jaką znałam!

Była nieznośna, skwitowałam w duchu, lecz owo „była” nie uszło mojej uwagi. Przełknęłam ślinę. Florence rzuciła mi przelotne spojrzenie i znów popatrzyła w ogień.

– Po kilku miesiącach – podjęła – zobaczyłam, że Lilian nie czuje się... najlepiej. Któregoś dnia przyszła do nas z walizką. Spodziewała się dziecka: z tego powodu straciła mieszkanie, a jej przyjaciel, jak się okazało, beznadziejny obłudnik, wstydził się przyjąć ją pod swój dach. Nie miała dokąd pójść... Oczywiście kazaliśmy jej zostać. Ralph nie protestował, kochał ją prawie tak bardzo jak ja. Postanowiliśmy mieszkać razem i wychować dziecko. Cieszyłam się – cieszyłam! – że tamten ją zostawił, a gospodyni wyrzuciła na bruk...

Florence skrzywiła się i zdrapała paznokciem skrawek popiołu, który opadł jej na spódnicę.

– To chyba były najszcześniejsze miesiące mojego życia. Przebywanie z Lilian było... sama nie wiem, jak to określić... oszałamiające, cały czas chodziłam wprost oszołomiona szczęściem. Odmieniła nasz dom, w sensie dosłownym, nie tylko jego atmosferę. Zerwaliśmy tapetę i pomalowaliśmy ściany na niebiesko. Utkąła chodnik – Florence wskazała na pstrokaty chodniczek, domniemane dzieło niewidomego szkockiego pasterza. Odruchowo zdjęłam z niego nogi. – Nieważne, że nie zostaaliśmy kochankami: byliśmy ze sobą blisko, bliżej niż siostry. Spałyśmy razem na górze. Czytałyśmy razem. Nauczyła mnie wielu rzeczy. Zdjęcie Eleonory Marks – wskazała na niedużą fotografię – należało do niej. Eleonora Marks była jej bohaterką; zawsze powtarzałam, że są do siebie podobne, nie mam żadnego zdjęcia Lily. Tomik Whitmana też był jej własnością. Fragment, który przeczytałaś, zawsze mi o nas przypomina. Twierdziła, że jesteśmy towarzyszami, o ile tylko kobiety mogą nimi być. – Zwilżyła językiem suche wargi. – Jeśli kobiety mogą być towarzyszami – uzupełniła – byłam jej towarzyszką...

Umilkła. Spojrzałam na nią i na śpiącego Cyrila, na jego zaróżowioną twarzyczkę o delikatnych rzęsach i wydętych usteczkach.

– A potem? – ponagliłam, spodziewając się najgorszego.

Florence zamrugnęła.

– Potem... cóż, potem umarła. Była drobna, poród okazał się bardzo ciężki, nie wytrzymała. Nie mogliśmy nawet znaleźć akuszerki, gdyż była niezamężna. W końcu ściągnęliśmy jakąś z Islington, przekonując, że Lilian jest żoną Ralpa. Zwracała się do niej „pani Banner”, wyobrażasz sobie? Może i była dobra, ale bardzo oschła. Nie pozwoliła nam wejść do pokoju, musieliśmy siedzieć tutaj i słuchać krzyków. Ralph bez przerwy załamywał ręce i płakał. Myślałam sobie: niech dziecko umrze, ach, niech to dziecko umrze, byle tylko ona przeżyła... Ale, jak widzisz, Cyril nie umarł, a Lilian wydawała się zdrowa, tylko bardzo zmęczona. Położna poleciła, żebyśmy jej nie przeszkadzali. Zastosowaliśmy się do tej prośby, a kiedy później zajrzałam na górę,

zobaczyłam, że Lilian zaczęła krwawić. Oczywiście akuszerki już nie było. Ralph pobiegł po doktora, ale nie udało jej się uratować. Jej dobre, szlachetne serce wykrwawiło się na śmierć...

Florence urwała. Przykucnęłam obok fotela i delikatnie dotknęłam palcami jej rękawa. Odpowiedziała mi bladym, roztargnionym uśmiechem.

– Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej – powiedziałam cicho, prawie do siebie. Czułam, jakbym chwyciła się za kark i tłukła własną głową o ścianę salonu. Jak mogłam być taka głupia i nie domyślić się prawdy? Sprawa z urodzinami Cyrila, a zarazem rocznicą śmierci Lilian. Dziwne depresje Florence, jej zmęczenie, irytacja, troskliwość brata i zrozumienie przyjaciół. Chwiejne emocje wobec chłopca: dziecka Lilian, a przecież również jej mordercy, któremu Florence niegdyś życzyła śmierci, byle tylko matka uszła z życiem...

Ponownie przeniosłam na nią wzrok, szukając sposobu, aby ją pocieszyć. Była smutna, a jednocześnie tak odległa: nigdy jej nie obejmowałam, teraz też bałam się choćby ująć ją za rękę. Dlatego klęczałam tylko obok fotela, delikatnie gładząc ją po ramieniu... wreszcie oprzytomniała i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

Odsunęłam się niechętnie.

– Ale się rozgadałam – zawołała. – Sama nie wiem, co mnie dzisiaj naszło.

– Cieszę się, że to zrobiłaś – odrzekłam. – Musisz... musisz strasznie za nią tęsknić.

Przez chwilę mierzyła mnie pustym spojrzeniem, jakby „straszna tęsknota” była uczuciem zgoła niewspółmiernym do rzeczywistego stanu ducha. Następnie pokiwała głową i odwróciła wzrok.

– Nie jest mi łatwo, wiem, że czasami dziwnie się zachowuję. Nieraz żałowałam, że sama nie umarłam. Marna ze mnie pociecha dla ciebie i Ralpa! Kiedy się zjawiałaś, chyba też nie potraktowałam cię najlepiej. Minęło wówczas pół roku od jej śmierci: myśl o tym, że miałyby tu zamieszkać inna dziewczyna, a zwłaszcza ty, którą spotkałam na krótko przed jej poznaniem... cóż! Na domiar wszystkiego twoja historia tak bardzo przypominała jej własną: mieszkałaś z mężczyzną, wyrzucił cię, gdy zaszłaś w ciążę... to doprawdy niesamowite. Potem wzięłaś Cyrila na ręce... Pewnie nawet tego nie pamiętasz. Wzięłaś go na ręce, a ja pomyślałam o Lilian, która nie miała możliwości nawet go przytulić... Nie wiedziałam, co byłoby gorsze: pozwolić ci na to czy kazać ci przestać. Wtedy się odezwałaś i czar prysł. Byłaś zupełnie inna niż Lily. W życiu nic nie sprawiło mi większej ulgi!

Roześmiała się; usiłowałam jej zawtórować i przywołałam na twarz coś, co w półmroku mogło uchodzić za uśmiech. Naraz Florence ziewnęła szeroko, po czym wstała i poprawiwszy Cyrila na ręku musnęła policzkiem jego główkę. Następnie uśmiechnęła się i wolnym krokiem podeszła do drzwi.

– Flo! – zawołałam, nim zdążyła nacisnąć klamkę. – Nigdy nie było żadnego mężczyzny. Mieszkałam z kobietą, lecz skłamałam, żebyś pozwoliła mi zostać. Jestem... jestem taka jak ty.

Florence popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Annie tak przypuszczała, odkąd cię zobaczyła. – Zmarszczyła brwi. – Skoro nie mieszkałaś z mężczyzną, twoja historia różni się od historii Lilian...

Przytaknęłam.

– I nigdy nie byłaś... w tarapatach.

– Moje kłopoty miały nieco inny charakter.

– A ja myślałam... – Florence spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy: nie wiedziałam, czy to gniew, smutek czy rozgoryczenie.

– Przepraszam – powiedziałam.

Ale ona tylko potrząsnęła głową i na chwilę zakryła ręką oczy. Kiedy je odsłoniła, na jej twarzy malowało się rozbawienie.

– Annie zawsze tak przypuszczała – powtórzyła. – Ale będzie miała używanie! Mogę jej powiedzieć?

– Możesz powiedzieć, komu chcesz – odparłam.

Potrząsnęła głową i wyszła z pokoju. Usiadłam i słuchałam, jak idzie po skrzypiących schodach, a potem krąży po pokoju na górze. Następnie wzięłam trochę tytoniu i bibułkę, skrzyłem sobie papierosa i zapaliłam. Wreszcie cisnęłam go do ognia i oparłszy głowę na rękach, wydałam z siebie stłumiony jęk.

Ależ byłam głupia! Wtargnęłam w życie Florence, zbyt pochłonięta swą nic nieznaczącą goryczą, by zauważyć jej rozpacz. Narzucałam się jej i Ralphowi, pełna podziwu dla mej przebiegłości i uroku; sądziłam, że odciskam na domu swój ślad i czynię go własnym. Wierzyłam, że historia, w której przyszło mi odegrać rolę, jest od początku do końca jasna, podczas gdy tak naprawdę fabuła rozwijała się w zupełnie innym kierunku, a ja niezdarnie powielalam to, co niezrównana Lilian wybornie robiła przede mną! Rozejrzałam się po pokoju, przesuając wzrokiem po niebieskich ścianach, okropnym chodniku, portretach. Raptem dostrzegłam ich rzeczywistą postać: tworzyły świątynię pamięci Lilian, którą sama nieświadomie pielęgnowałam. Chwyciłam zdjęcie Eleonory Marks – tyle że była to twarz Lilian, z rysami Eleonory. Przeczytałam dedykację: „Dla F. B. – napisano dużymi, zaokrąglonymi literami – mojej towarzyski na zawsze. L. V.”.

Jęknęłam głośniej. Miałam ochotę wrzucić fotografię do ognia w ślad za na wpół wypalonym papierosem, jednak pospiesznie wsunęłam ją z powrotem za ramkę. Czułam się zazdrosna o Lilian! Byłam bardziej zazdrosna niż kiedykolwiek! Nie z powodu domu, nie z powodu Cyrila czy nawet Ralpa, który okazał mi tyle dobroci, ale z płaczem załamywał ręce, kiedy tamta umierała na górze. Z powodu Florence. Ponieważ historia Lilian dała mi Florence, a zarazem odebrała ją na zawsze. Pomyślałam o wysiłkach ubiegłych miesięcy. Wbrew swym oczekiwaniom nie utuczyłam Florence ani jej nie uszczęśliwiłam, zdołałam jedynie nieco stłumić jej rozpacz, chwilowo odgonić wspomnienia. „Pamiętasz, jak umówiliśmy się na spotkanie, na które potem nie przyszłaś...?”. Oczy jej zalśniły, kiedy to mówiła, jakbym swą niesolidnością wyświadczyła jej niezwykłą przysługę.

Zrozumiałam, że za tę przysługę przyszło mi zapłacić słoną cenę. Ponownie wróciłam

myślami do wydarzeń owego wieczora oraz kolejnych nocy, do lubieżnych rozkoszy na Felicity Place, ubrań, obiadów, wina, *poses plastiques*. Oddałabym to wszystko, by w zamian znaleźć się na miejscu Lilian i poczuć na sobie urzeczony spójrzanie piwnych oczu Florence.

Rozdział 18

Dni i tygodnie, które nastąpiły po tym smutnym wyznaniu, wniosły na Quilter Street pewną zmianę. Sama Florence wydawała się bardziej ożywiona i weselsza, jakby opowiedziawszy swą historię, zrzuciła z ramion wielkie brzemie; teraz wyciągała zdrętwiałe ręce i prostowała dotąd zgarbione plecy. Nadal miewała przykławy złego humoru i chodziła na samotne spacerki, z których wracała pełna zadumy i przygnębienia. Lecz nie próbowała już ukryć melancholii ani zataić celu owych wędrówek, wyznając mi, że (powinno być się domyślić) odwiedza grób Lilian. Z czasem zaczęła nawet wspominać zmarłą przyjaciółkę jak gdyby nigdy nic. „Ależ Lilian by się z tego śmiała!”, mówiła, albo: „Szkoda, że nie ma z nami Lilian, ona na pewno by wiedziała”.

Jej nowe, łagodniejsze usposobienie wywierało wpływ na nas wszystkich. Atmosfera małego domu, którą dotąd uważałam za swobodną, podczas gdy w istocie ciążyły na niej wspomnienia dotyczące Lilian oraz smutek Ralph'a i Florence, wyraźnie oczyściła się i pojaśniała: zupełnie jakbyśmy wkraczali nie w zimowy okres mgieł i przymrozków, lecz w kojący czas wiosennych przemian. Widziałam, jak Ralph patrzy na uśmiechniętą, nucącą lub dokazującą z Cyrilem siostrę, a w jego oczach maluje się bezbrzeżna czułość. Zwykle w takich chwilach nachylał się nad nią i radośnie całował w policzek. Nawet Cyril zdawał się wyczuwać zmianę i również stał się bardziej pogodny.

Tymczasem ja zrobiłam się drażliwa i jeszcze bardziej skryta.

Nic nie mogłam na to poradzić. Zupełnie jakby Flo przerzuciła na mnie swój ciężar. W miarę upływu kolejnych tygodni dręczyły mnie coraz dziwniejsze i bardziej sprzeczne uczucia. Dawniej było mi żal Florence i podobnie jak Ralph z ulgą przyjmowałam poprawę jej nastroju, a fakt, że uczyniła ze mnie swą powiernicę, bardzo mi pochlebiał. Mimo to żałowałam z całego serca, że przyszło mi usłyszeć taką, a nie inną historię. Nie byłam w stanie nauczyć się cenić tragiczną Lilian i niejednokrotnie tłumiłam złość z powodu konieczności wysłuchiwanie peanów na jej cześć. Być może w mojej wyobraźni figurowała jako Kitty – jej tchórzliwy przyjaciel z całą pewnością miał rysy Waltera – ale nie mogłam znieść myśli, że Lilian, świadoma uczucia Florence, co noc spała obok niej i ani razu nie odważyła się choćby jej pocałować. Jak wytłumaczyć ową namiętność Florence? Patrząc na fotografię Eleonory Marks (nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że tak naprawdę spoglądam na twarz Lilian) dopóty, dopóki kontury nie rozmywały mi się

przed oczami. Była zupełnie inna niż ja – czyż Florence sama tego nie przyznała? Ba, powiedziała nawet, że sprawiło jej to ogromną ulgę! Pewnie miała na myśli, że Lilian była mądra i dobra, znała znaczenie wyrazu „wspólnota” i nigdy nie zadawała głupich pytań. A ja, cóż ja? Ja byłam tylko czysta i schludna.

Cóż, wyznanie Florence przyniosło zmianę i w tej ostatniej dziedzinie. Przestałam trzepać pstrokaty chodnik Lilian i uśmiechałam się, kiedy po nim deptano, patrząc, jak jego barwy bezpowrotnie tracą świeżość.

Potem jednak oczami wyobraźni widziałam Lilian w rajcu: tknęła kolejne chodniki, żeby Florence któregoś dnia usiadła na jednym z nich i oparła głowę o jej kolana. Wyobrażałam sobie, jak zapełnia półki tomikami esejów i wierszy, żeby obie miały co czytać. I przygotowuje piec w niedużej kuchni gdzieś na tyłach nieba, abym miała gdzie przyrządzać ostrygi, podczas gdy ona i Flo będą spacerowały pod rękę.

Zaczęłam patrzeć na dłonie Florence, czego dotąd nigdy nie robiłam, wyobrażając sobie, do czego bym je skłoniła, gdybym była na miejscu Lilian...

Na to również nic nie mogłam poradzić. W początkowym okresie pobytu na Quilter Street wmówiłam sobie, że Florence jest kimś w rodzaju świętej, wolnej od pragnień i namiętności, lecz w wyniku jej opowieści nieoczekiwanie ujrzałam ją obnażoną. I nie czułam się na siłach, by odwrócić wzrok.

Pewnego wieczoru na przykład – Ralph poszedł na zebranie swojego związku, a Cyril spał spokojnie na górze – Florence wykapała się i umyła włosy, po czym w szlafroku usiadła na fotelu i usnęła. Wcześniej pomogłam jej wylać z balii mydliny, a potem poszłam do kuchni zagrzać mleko. Kiedy wróciłam do salonu z kubkami, zastałam ją śpiącą przy kominku. Siedziała lekko obrócona, z głową odchyloną w tył i dłońmi splecionymi na kolanach. Oddychała głośno, niemal chrapliwie.

Stałam przed nią z parującymi kubkami. Zdjęła ręcznik z głowy; jej włosy spływały po koronkowej narzucie fotela jak aureola flamandzkiej madonny. Po raz pierwszy ujrzałam je w takim przepychu i teraz nie mogłam oderwać od nich oczu. Przypomniałam sobie, jak niegdyś określiłam je jako kasztanowate. Nie były kasztanowate, lecz nosiły w sobie tysiące odcieni złota, brązu i miedzi. Schnąc, stawały się coraz bardziej puszyste i lśniące.

Popatrzyłam na jej twarz – na rzęsy, szerokie różowe usta, zarys szczęki oraz miękko nakreśloną linię podbródka. Przeniosłam wzrok na jej dłonie: przypominałam sobie, jak na Green Street rozgarniała nimi upalne, czerwcowe powietrze, a wkrótce potem ujęła moją rękę; pamiętałam uścisk palców w płócienną rękawiczkę. Paznokcie, które dawniej obgryzała, były teraz schludnie przycięte i nienaruszone.

Moje spojrzenie ześlizgnęło się na jej szyję. Była gładka i bardzo biała, niżej, w trójkątym wycięciu szlafroka, rysowała się wypukłość piersi.

Patrzyłam i patrzyłam, czując w sercu drżenie, którego nie zaznałam od wieków. Niemal natychmiast poczułam to samo dużo niżej... Kubki zdrząły mi w dłoni; przestraszyłam się, że rozleję mleko. Odwróciłam się i ostrożnie postawiłam je na stole, po czym na palcach opuściłam pokój.

Z każdym krokiem, który mnie od niej oddalał, zrazu nieokreślone uczucie przybierało na sile: byłam jak brzechomówca, który zamyka w skrzyni protestujące lalki. Weszłam do kuchni i oparłam się o ścianę, dygocząc na całym ciele. Wróciłam do salonu dopiero wówczas, gdy pół godziny później Florence ocknęła się ze snu i powitała okrzykiem mleko, które zdążyło wystygnać i pokryć się kożuchem. Moje zmieszanie nie uszło jej uwagi.

– Co ci się stało? – zapytała.

– Nic, nic – odpowiedziałam, usilnie odwracając wzrok od jej trójkątnego dekoltu. Wiedziałam, że jeszcze jedno spojrzenie, a będę musiała podejść i ją pocałować.

Zamieszkawszy na Quilter Street, pragnęłam być zwykłą dziewczyną, lecz moje skłonności odżyły na nowo. Ba, z chwilą gdy poczytałam swe wyznanie i uważniej rozejrzałam się wokół, zobaczyłam, że w moim otoczeniu nie brakuje takich dziewcząt jak ja, i nie mogłam się nadziwić, że wcześniej ich nie zauważyłam. Wyglądało na to, że dwie dziewczyny z towarzystwa dobroczynności, przyjaciółki Florence, są parą: musiała szepnąć im słówko, gdyż podczas kolejnej wizyty patrzyły na mnie zupełnie inaczej niż dotychczas. Co do Annie Page, przy pierwszej nadarżającej się okazji objęła mnie serdecznie.

– Nancy! – zawołała. – Florrie mówi, że należysz do rodziny! Wspaniała wiadomość...

I choć moje zainteresowanie Flo sprawiało mi nie lada kłopoty, z ulgą przyjął fakt, że nie muszę się dłużej ukrywać. Uśpione cechy mojej osobowości ponownie obudziły się do życia, tworząc dobrze naoliwiony i sprawnie funkcjonujący mechanizm. Którejś nocy przyśniło mi się, że spaceruję po Leicester Square w starym mundurze, z włosami obciętymi jak żołnierz i rękawiczką w rozporoku (gwoli ścisłości była to jedna z rękawiczek Florence: odtąd nie mogłam na nią patrzeć bez skrępowania). Miewałam już na Quilter Street podobne sny, tyle że bez rękawiczki, tym razem jednak obudziłam się z dziwnym swędzeniem głowy i uporczywym pulsowaniem między nogami. Z niesmakiem dotknęłam przydługich loczków i kwiecistej sukienki. Owego dnia poszłam na targowisko w Whitechapel i w drodze powrotnej stanęłam przy sklepie z męską odzieżą, tęsknie przyklejając do witryny czoło i czubki palców...

Dlaczego nie, pomyślałam. Weszłam do środka – sprzedawca uznał zapewne, że robię zakupy dla brata – i kupiłam moleskinowe spodnie, kalesony, koszulę, szelki i sznurowane trzewiki, a po powrocie na Quilter Street zapukałam do drzwi dziewczyny, która za grosze strzygła sąsiadów.

– Tnij! – powiedziałam. – Szybko, zanim się rozmyślę!

Kiedy skracala moje loki (lesbijki zwykły przypisywać swym fryzutom szczególne znaczenie, lecz pamiętam to uczucie bardzo dokładnie), było tak, jakby nie obcinała mi włosów, lecz kawałek po kawałku uwalniała skrzydła, które zdążyły zarosnąć skórą...

Florence wróciła rozkojarzona i nie zwracała uwagi, czy w ogóle mam włosy na głowie, czy nie, ale Ralph spojrzał na mnie z uznaniem.

– Ładna fryzura! – powiedział.

Florence nie widziała mnie również w spodniach, gdyż przez wzgląd na sąsiadów obiecałam sobie, że będę je nosić tylko do prac domowych. Dlatego przed jej przyjściem ze Stratford zawsze zdążyłam się już przebrać w sukienkę i fartuch. Lecz pewnego dnia wróciła wcześniej. Weszła do domu tylnym wejściem, przez podwórko; ja stałam przy oknie, myjąc szybę. Okno było duże i podzielone na kilka części: pokryłam je pastą i kolejno wycierałam do czysta. Miałam na sobie spodnie i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami. Dobrze widać było moje zabrudzone ręce i żałobę za paznokciami. Dołek pomiędzy obojczykami zwilgotniał od potu, podobnie jak górna warga; przerwałam pracę, żeby ją wytrzeć. Niesforny kosmyk wpadał mi do oczu: bez przerwy musiałam go zdmuchiwać lub odsuwać nadgarstkiem. Wypolerowałam wszystkie szyby prócz jednej, tej na wprost mnie; przeciągnąwszy po niej gąbką podskoczyłam, gdyż dokładnie po drugiej stronie stała nieruchomo Florence. Ubrana w kapelusz i płaszcz, z torbą przewieszoną przez ramię, patrzyła na mnie jakby... cóż, od chwili gdy stanęłam w wieczorowej sukni przed Kitty Butler napotkałam zbyt wiele zachwyconych spojrzeń, by nie wiedzieć, dlaczego się rumieni.

Lecz podobnie jak w wypadku Kitty, ów zachwyt zdawał się sprawiać jej tyleż samo rozkoszy, co bólu. Podchwyciwszy mój wzrok, spuściła głowę i weszła do domu, mamrocząc po drodze: „Ależ wypucowałaś tę szybę!”. I choć cudownie było wiedzieć, że nieświadomie sprawiłam, iż ujrzała mnie w nowym świetle, i poczuć nic wzajemnego porozumienia, że zdenerwowania ugięły się pode mną nogi.

Potem Florence uparcie unikała mojego spojrzenia. Jak mogłoby jej na mnie zależeć, pomyślałam, skoro nadal oplakuje kogoś takiego jak Lilian?

Robiło się coraz zimniej. Święta spędziłam nie na Quilter Street, ale we Freemantle House, gdzie Florence urządziła kolację dla swych podopiecznych i potrzebowała pomocy przy pieczeniu gęsi i myciu naczyń. W przeddzień Nowego Roku wypiliśmy toast za rok 1895 oraz za „nieobecnych przyjaciół” – rzecz jasna miała na myśli Lilian; ja nigdy nie opowiadałam jej o moich utraconych przyjaciółach. W styczniu obchodziliśmy urodziny Ralphi. Rzecz dziwna, wypadały dokładnie tego samego dnia, co urodziny Diany; z uśmiechem patrzyłam, jak otwierał prezenty i przypominałam sobie popiersie Antinousa, zastanawiając się, czy nadal rzuca lodowate spojrzenia na rozgrzane wnętrza willi przy Felicity Place i przypomina o mnie Dianie.

Do tego stopnia przywykłam do domku w Bethnal Green i jego rutyny, że prawie nie mogłam uwierzyć, iż kiedykolwiek mieszkałam gdzie indziej. Przyzwyczaiłam się do ciągłej wrzawy i odgłosów ulicy. Kąpałam się raz w tygodniu, jak Florence i Ralph, w pozostałe dni zadowalając się wodą z miednicy: łazienka Diany stała się dziwnym i odległym wspomnieniem, niczym raj dla anioła, który został stamtąd strącony. Nosiłam teraz stale krótkie włosy. Zgodnie ze swym pierwotnym zamiarem wkładałam spodnie do prac w domu przynajmniej przez miesiąc: sąsiedzi zdołali przywyknąć do mojego widoku i wkrótce zasłynęłam w okolicy jako „ta, która nosi spodnie”, dlatego przestałam wieczorami przebierać się w suknię. Nikt nie zwracał na to szczególnej uwagi; w

niektórych domach w Bethnal Green posiadanie ubrań na zmianę uchodziło za luksus, toteż często widywało się kobiety w męzkowskich surdutach, a czasami nawet mężczyźni w damskich chustach. Córki pani Monks, sąsiadki z domku obok, na mój widok uciekały z piskiem, a związkowi koledzy Ralpa rzucali mi przeciągłe spojrzenia i tracili wątek. Ralph zaś niekiedy schodził na dół z koszulą bądź flanelową kamizelką i mówił: „Znalazłem to na dnie szuflady. Może ci się przyda...?”.

Co do Florence... cóż, coraz częściej widziałam, że spogląda na mnie tak, jak owego dnia zza szyby, ale zawsze, zawsze odwracała wzrok, a jej oczy stawały się mroczne i nieodgadnione. Pragnęłam, by spoczęły na mnie na dłużej, ale nie wiedziałam, jak tego dokonać. Na użytek Diany bywałam zuchwałą, bezdusznie flirtowałam z Zeną, lecz w obecności Florence ponownie stawałam się zalekzioną osiemnastolatką, drżącą z obawy, by nie popełnić gafy. Gdybyśmy tak były w Sono, myślałam. Gdybym znów była męską prostytutką, a ona zdenerwowanym dżentelmenem, którego mogłabym zaprowadzić w ciemny zaułek i rozebrać...

Ale nie znajdowałyśmy się w Soho, byłyśmy tylko dwiema nieśmiałymi lesbijkami, zawieszonym pomiędzy myślą a uczynkiem. Tymczasem miesiące mijały, a Eleonora Marks nadal spoglądała ze ściany, posępna, rozczochrana i obojętna na upływ czasu.

Przełom nastąpił pewnego lutowego dnia. Swoim zwyczajem wybrałam się do Whitechapel na targ. Do domu weszłam przez podwórko; tylne drzwi były nieco uchylone, dlatego bezszelestnie wślizgnęłam się do środka. Kładąc zakupy na kuchennej podłodze, usłyszałam głosy Florence i Annie dochodzące z saloniku. Drzwi między pomieszczeniami były otwarte na oścież, dzięki czemu wyraźnie słyszałam każde słowo.

– Pracuje u drukarza – mówiła Annie. – To najładniejsza kobieta, jaką w życiu widziałam.

– Och, Annie, zawsze powtarzasz to samo.

– Mówię ci. Siedziała przy biurku nad tekstem, słońce padało prosto na nią. Kiedy podniosła oczy, wyciągnęłam rękę. „Sue Bridehead? – zapytałam. – Mam na imię Jude...”.

Florence wybuchnęła śmiechem: wszyscy czytali właśnie kolejny rozdział tej powieści w czasopiśmie; podejrzewam, że znając dalszy ciąg opowieści, Annie nie pozwoliłaby sobie na taki żart.

– I co ona na to? – zapytała Florence. – Że o ile wie, Sue Bridehead pracuje w biurze obok...?

– Bynajmniej. Powiedziała: „Alleluja!”. Następnie ujęła moją rękę i wiedziałam, że wpadłam po uszy!

Flo ponownie się roześmiała, tym razem jednak z pewną nutą melancholii. Po chwili mruknęła coś, czego nie dosłyszałam, a co niezmiernie rozbawiło jej przyjaciółkę.

– A jak tam twój śliczny koleżka? – spytała ze śmiechem Annie.

Koleżka, pomyślałam, grzejąc ręce nad piecem. Jaki znowu koleżka? Wcale nie miałam wyrzutów sumienia, że podsłuchuję. Florence cmoknęła.

– Ona nie jest żadnym koleżką – odparła stanowczo. – Dobrze o tym wiesz.

– Nie? – zawołała Annie. – Taka dziewczyna, z takimi włosami, paradująca po twoim domu w portkach jak mały murarz...

Nie bacząc na nic, wyslizgnęłam się na korytarz i pilnie nadstawiłam ucha. Florence ponownie się roześmiała.

– Naprawdę – odrzekła. – Ona nie jest moim koleżką.

– Dlaczego? Dlaczegoż by nie? Załamujesz mnie, Florrie. To, co wyprawiasz, jest wbrew naturze. Zupełnie... zupełnie jakbyś miała w piecu kawał soczystej pieczeni, a żyła samym chlebem i wodą. Jeśli zaś sama nie jesteś zainteresowana, łaskawie miej na względzie swoje przyjaciółki i odstęp ją którejs.

– Ty obejdiesz się smakiem!

– Ja mam swoją Sue Bridehead. Proszę, proszę, czyżby ci jednak na niej zależało?

– Pewnie, że mi zależy – odrzekła cicho Florence. Tak wyteńczyłam słuch, że niemal słyszałam, jak mruga powiekami i zaciska usta.

– Zatem postanowione! Przyprowadź ją jutro do chłopca. – Jestem pewna, że tak właśnie powiedziała. – Przyprowadź ją do chłopca. Poznacie moją pannę Raymond...

– Bo ja wiem – odrzekła z wahaniem Florence. Zapadła cisza. Gdy Annie znów się odezwała, jej głos zabrzmiał nieco inaczej.

– Nie możesz wiecznie jej opłakiwać. Ona by tego nie chciała...

Florence prychnęła niecierpliwie.

– Miłość – odparła – to nie trzymanie kanarka w klatce. Kiedy tracisz ukochaną osobę, nie możesz tak po prostu zastąpić jej kimś innym.

– Moim zdaniem właśnie to powinnaś zrobić!

– Ty tak robisz, Annie.

– Ależ Florence, mogłabyś chociaż uchylić drzwi klatki, tylko odrobinę... Nowy kanarek siedzi na wyciągnięcie ręki i tłucze śliczną główką w pręty...

– A jeśli nawet go wpuszczę – zapytała Flo – a potem uznam, że nie podoba mi się tak, jak poprzedni? Jeśli... ach! – Z salonu dobiegł łoskot. – Nie wierzę, że przez ciebie porównałam ją do ptaszka!

Wiedziałam, że ma na myśli Lilian, nie mnie; odwróciłam głowę, żałując, że w ogóle podsłuchiwałam. W pokoju przez chwilę panowała cisza. Wreszcie usłyszałam, jak Florence wkłada łyżeczkę do filiżanki i miesza herbatę. Nim zdążyłam na palcach wrócić do kuchni, odezwała się ponownie, ściszym tonem.

– Myślisz, że to o nowym kanarku i prętach jest prawdą...?

Zawadziłam nogą o miotłę, przewracając ją na podłogę; musiałam krzyknąć i klasnąć w rękę, udając, że dopiero weszłam. Annie zawołała mnie do saloniku, mówiąc, że właśnie zaparzyły herbatę. Florence z namysłem uniosła na mnie wzrok.

Wkrótce potem Annie wyszła, a Florence siedziała cały wieczór nad papierami. Ostatnio sprawiła sobie okulary; odbijały światło, przez co nie wiedziałam, czy patrzy na mnie, czy uparcie wbija wzrok w książki. Jak zwykle życzyłyśmy sobie dobrej nocy, po czym obie nie mogłyśmy zasnąć. Słyszałam, jak przewraca się z boku na bok, w pewnej chwili zeszła do

wygódki. Być może po drodze stanęła przy drzwiach saloniku, nasłuchując, czy śpię. Nie zawołałam, żeby weszła do środka.

Następnego ranka byłam zbyt zmęczona, by przyjrzeć się jej szczególnie uważnie, kiedy jednak postawiłam na piecu patelnię z bekonem, Florence przysłała do kuchni i stanęła bardzo blisko mnie.

– Nance, znajdziesz czas dzisiaj wieczorem? – spytała cicho: pewnie nie chciała, żeby usłyszał ją Ralph, który był w sąsiednim pokoju.

– Dzisiaj wieczorem? – odparłam, ziewając. Ze złością spojrzałam na piec: położyłam wilgotny bekon na zbyt rozgrzaną patelnię, przez co zaczął parować i syczeć. – Dokąd się wybierasz? Chyba nie będziesz znowu zbierać zgłoszeń?

– Nie, nie chodzi o zgłoszenia. W ogóle nie chodzi o pracę, tylko o... rozrywkę.

– Rozrywkę! – Nigdy dotąd nie słyszałam z jej ust tego słowa i ni stąd, ni zowąd zabrzmiało ono niemal zdrożnie. Być może pomyślała o tym samym, gdyż zarumieniła się, bezwiednie podniosła łyżkę i zaczęła obracać ją w palcach.

– W pobliżu Cable Street jest szynk z oddzielną salą dla kobiet – podjęła. – Dziewczęta nazwały ją „Chłopcem w Łodzi”...

– Tak?

Zerknęła na mnie przelotnie, po czym znów odwróciła wzrok.

– Tak. Będzie też Annie z nową przyjaciółką. Ruth i Nora może też przyjdą.

– Ruth i Nora! – powtórzyłam z pozorną obojętnością: były to dwie przyjaciółki Florence, które okazały się parą. – Czyli same lesbijki, tak?

Ku mojemu zdziwieniu z powagą skinęła głową.

– Tak.

Same lesbijki! Poczułam zamęt w głowie. Minął rok, odkąd spędziłam wieczór w towarzystwie safistek: nie byłam pewna, czy nie wyszłam z wprawy. Co mam na siebie włożyć? Jaką pozę przybrać? Same lesbijki! Co sobie o mnie pomyślą? Co pomyślą o Florence?

– Wybierasz się bez względu na to, czy pójde z tobą? – zapytałam.

– Prawdę mówiąc mam na to wielką ochotę...

– Wobec tego pójde – oznajmiłam, po czym musiałam prędko spojrzeć na dymiącą patelnię i nie zauważyłam, czy Florence wyglądała na ucieszoną, zadowoloną czy obojętną.

Dokonałam przeglądu swej lichej garderoby w poszukiwaniu zapomnianej perły, która nadawałaby się na dzisiejszy wieczór. Rzecz jasna nie miałam nic odpowiedniego, może oprócz poplamionych spodni. W Klubie Tytoniowym wzbudziłyby pewnie pożądaną sensację, na tutejsze warunki były jednak zbyt śmiałe, toteż z żalem zrezygnowałam z nich na rzecz spódnicy, męskiej koszuli oraz krawata. Szybko wyprałam i wykrochmaliłam koszulę i kołnierzyk, tak że wyglądały jak nowe. Krawat był jedwabny i bardzo dobry gatunkowo; Ralph przyniósł go z warsztatu, miał bowiem niewielką skazę, którą bez trudu dało się naprawić u żydowskiego krawca. Jego niebieski odcień ładnie podkreślał kolor moich oczu.

Oczywiście przebrałam się dopiero po kolacji. Niezmiernie podekscytowana i rozweselona przegoniłam do kuchni biednego Ralpa z Cyrilem, po czym umyłam się i ubrałam przy kominku. Pomimo halek i gorsetu czułam się jak młodzieniec, który stroi się dla ukochanej; podczas gdy zapinałam koszulę i na oślep walczyłam z krawatem, z góry dobiegało skrzypienie podłogi i szelest sukni, przez co niemal uwierzyłam, że moja ukochana stroi się dla mnie.

Gdy wreszcie Florence pchnęła drzwi i weszła do saloniku, stanęłam jak oniemiała. Zamieniła codzienną suknię na tunikę, kamizelkę oraz spódnicę. Tę ostatnią uszyto z ciężkiej, zimowej tkaniny, śliwkowego koloru, bardzo miłego dla oka. Kamizelka była nieco jaśniejsza, tunika zaś prawie czerwona; przy szyi Florence przypięła broszkę: kilka okruchów granatu w złotej otoczce. Po raz pierwszy odstąpiła od ponurych czerni i brązów i wydawała się całkiem odmieniona. Czerwień oraz fiolet podkreślały różowość ust, złocisty połysk włosów, biel szyi i rąk oraz bladość półksiężyców paznokci.

– Bardzo ładnie wyglądasz – wykrztusiłam. Poczzerwieniała.

– Wszystkie moje nowsze ubrania zrobiły się przyciasne – odpowiedziała. Następnie obrzuciła wzrokiem mój strój. – Elegancko. Ten krawat bardzo do ciebie pasuje. Ale krzywo go zawiązałaś. Pokaż. – Podeszła bliżej i ujęła węzeł, aby go poprawić. Poczułam, jak krew zapulsowała żywiej pod jej palcami; opuściwszy ręce, próbowałam znaleźć w spódnicy kieszenie, do których mogłabym wsunąć dłonie. – Przestań się wiercić – powiedziała łagodnie, jakby upominała Cyrila, zauważyłam jednak, że jej głos stracił pozory zwykłego opanowania, a twarz zaróżowiła się zdradziecko.

Skończyła wiązać krawat i cofnęła się o krok.

– Jeszcze włosy – rzuciłam. Zamoczyłam dwie szczotki w dzbanku z wodą i gładko sczesalam do tyłu zwichrzone kosmyki, po czym natłuściłam ręce pomadą (miałam teraz makassar) i przejechałam nimi po włosach, aż zrobiły się ciężkie, a przegrzany pokój wypełniła intensywna woń. Florence stała oparta o framugę i śledziła moje ruchy. Kiedy skończyłam, wybuchnęła śmiechem.

– Raju, ale ślicznotki! – Uśmiechnięty Ralph stanął na korytarzu. Cyril plątał się u jego stóp. – Prawie ich nie poznaliśmy, prawda, synku? – Malec wyciągnął rączki do Florence. Podniosła go z podłogi. Ralph położył jej dłoń na ramieniu i dodał łagodniejszym tonem: – Pięknie wyglądasz, Flo. Od ponad roku nie wyglądałaś równie ładnie.

Wdzięcznie przechyliła głowę; wyglądali jak rycerz i jego dama ze średniowiecznego portretu. Następnie Ralph przeniósł wzrok na mnie i znów się uśmiechnął; wówczas nie wiedziałam, kogo z nich kocham bardziej.

– Dasz sobie radę z Cyrilem, prawda? – zapytała z niepokojem Florence, podając dziecko bratu i zapinając płaszcz.

– Ma się rozumieć!

– Nie wrócimy późno.

– Możecie wracać, kiedy chcecie, nie będę patrzył na zegar. Ale uważajcie na siebie. Musicie minąć po drodze niebezpieczne ulice...

Droga z Bethnal Green na Cable Street rzeczywiście wiodła przez najbiedniejsze, najbardziej niebezpieczne dzielnice miasta i nie zasługiwała na miano szczególnie przyjemnej. Znałam tę trasę, gdyż często chodziłam tamtędy z Florence: wiedziałam, które fabryki najbardziej ciemnią robotników i w których kamienicach zamieszkują najuboższe rodziny. Jednakże owego wieczoru przyświecał nam inny cel i ujrzałyśmy otoczenie w nieco odmiennym świetle. Mijałyśmy puby, gospody i szynki: nie przypominały dziś ponurych, odpychających miejsc, jakimi jawiły się zazwyczaj, lecz promieniowały ciepłem, blaskiem i feerią barw. W powietrzu, gęstym od zapachu piwa, zup i sosów, unosiły się wesołe okrzyki. Widziałyśmy czulące się pary, dziewczęta z wiśniami na kapeluszach i wargami umalowanymi pod kolor oraz dzieci pochylone nad parującymi talerzami flaków, nóżek i pieczonych kartofli. Kto wie, do jakich domów mieli powrócić za godzinę lub dwie? Teraz jednak ludzie i ulice – Diss Street, Sclater Street, Hare Street, Fashion Street, Plumbers Row, Coke Street, Pinclin Street, Little Pearl Street – emanowali osobliwym czarem.

– Miasto wydaje się dzisiaj takie wesołe! – zauważyła w zadumie Florence.

To dla ciebie, chciałam odpowiedzieć, na cześć twego przeobrażenia. Ale tylko z uśmiechem ujęłam ją pod ramię, wskazując na chłopaka w jaskrawożółtym, filcowym surducie, który gorzał w półmroku Brick Lane niczym latarnia.

– Znałam kiedyś dziewczynę, której spodobałoby się to ubranie...

Niebawem dotarłyśmy na Cable Street. Tam skręciłyśmy w lewo, a potem w prawo i na końcu ulicy ujrzałam szynk, do którego zmierzałyśmy: był to kanciasty budynek o płaskim dachu. Zawieszona nad drzwiami latarnia w śliwkowej osłonie oświetlała pstrokaty szyld z napisem „Fregata”, co przypomniało mi, że znajdujemy się w pobliżu Tamizy.

– Tędy – powiedziała Florence z pewnym zakłopotaniem.

Okrążywszy budynek, zaprowadziła mnie do drugiego, ciemniejszego wejścia położonego na tyłach. Stromymi i dość zdradziecko wyglądającymi schodami zeszyliśmy na dół, gdzie dawniej musiała znajdować się piwnica, i stanęłyśmy przed drzwiami z matowego szkła, prowadzącymi do „Chłopca w Łodzi”.

Pomieszczenie nie było szczególnie przestronne, panował w nim jednak taki półmrok, że minęła dłuższa chwila, nim oceniłam jego wielkość i wyłowiłam szczegóły tkwiące poza źródłami światła: trzaskającym kominkiem, lampami gazowymi oraz błyskiem mosiądzu, cyny oraz szkła za barem. Na oko w sali było jakieś dwadzieścia osób: część obsiadła ławy, niektóre opierały się o kontuar, a jeszcze inne oblegały stół bilardowy, ustawiony w najdalszym, najjaśniejszym kącie. Wolałam nie przyglądać się zbyt natarczywie obecnym, gdyż na nasz widok oczywiście uniosły się wszystkie głowy, a ja poczułam się dziwnie onieśmielona i skrępowana.

Ze spuszczonej oczami podążyłam za Florence w kierunku baru. Za kontuarem kobieta o kwadratowej szczęce polerowała właśnie kufel. Ujrzawszy Florence, odłożyła kufel i szmatkę i uśmiechnęła się szeroko.

– Kogóż moje oczy widzą? Florence! Miło cię znowu gościć! Ładnie wyglądasz! – Wyciągnęła rękę i uściśnęła palce Florence, mierząc ją pełnym uznania spojrzeniem. Następnie spojrzała w moją stronę.

– To moja przyjaciółka Nancy Astley – przedstawiła mnie nieśmiało Florence. – A to pani Swindles. Pani Swindles prowadzi bar. – Pani Swindles i ja wymieniliśmy uśmiechy i skinęłyśmy sobie głowami. Zdjęłam kapelusz i płaszcz, po czym przeczesałam palcami włosy; widząc to, szynkarka uniosła brew. Miałam nadzieję, że podzielała przy tym zdanie Annie Page: „No, no, Florence znalazła sobie ładnego koleżkę!”.

– Czego się napijesz, Nance? – spytała Florence. Odrzekłam, że wezmę to samo, co ona. Zawahala się, po czym zamówiła dwie szklanki grogu. – Usiądźmy.

Przeszliśmy przez salę (podłogę wysypano piaskiem, który chrzęścił pod naszymi butami) i usiadłyśmy przy stole pomiędzy dwoma ławami. Zajęłyśmy miejsca naprzeciw siebie i pomieszałyśmy cukier w swoich szklankach.

– Pewnie kiedyś często tu zaglądałaś – zagadnęłam. Pokiwała głową.

– Nie byłam tu od wieków...

– Nie?

– Od śmierci Lily. Szczerze powiedziawszy to dość zwariowane miejsce. Jakoś nie miałam nastroju...

Zajrzałam do swojej szklanki. Niespodziewany wybuch śmiechu za moimi plecami sprawił, że podskoczyłam z przestachu.

– Mówię mu – dobiegł głos dziewczyny – „Robię to tylko z przyjaciółmi, łaskawy panie”. A on mi na to: „Emily Pettinger twierdzi, że pieprzyła cię przez półtorej godziny”. „Pieprzenie to zupełnie co innego”, odpowiedziałam. „Jeśli mam ją... – tu musiała wykonać znaczący gest – będzie to pana słono kosztować”.

– I kosztowało, co? – dopowiedział inny głos. Pierwsza dziewczyna umilkła, być może po to, aby pociągnąć z kieliszka.

– Zabijcie mnie – zawołała – jeśli ten drań nie sięgnął do kieszeni, wyjął suwerena i położył go na stole jak gdyby nigdy nic...

Spojrzałam na Florence, a ona się uśmiechnęła.

– Ulicznice – wyjaśniła. – Połowa stałych bywalczyń to prostytutki. Masz coś przeciwko temu?

Jak mogłam mieć, skoro niegdyś sama należałam do ich grona? Potrząsnęłam głową.

– A ty? – zapytałam.

– Nie. Szkoda mi tylko, że muszą to robić...

Nie słuchałam, za bardzo pochłonęła mnie opowieść dziewczyny.

– Pieprzyłyśmy się przez pół godziny, potem zrobiłyśmy sobie muskanie aksamitu. A ten się gapi. Wreszcie Susie wzięła...

Ponownie zerknęłam na Florence i zmarszczyłam brwi.

– Spadły z księżycy, czy co? – powiedziałam. – Nic z tego nie rozumiem. – I rzeczywiście nie rozumiałam. Nikt z mojego otoczenia nie używał nigdy podobnych słów. –

Muskanie aksamitu – powtórzyłam. – Co to znaczy? Czy to się robi w teatrze?

Florence poczerwieniała.

– Mogłabyś spróbować – odpowiedziała. – Chociaż sędzę, że od razu by cię wyrzucili...

I podczas gdy wciąż nie mogłam pojąć, o co chodzi, rozchyliła usta i pokazawszy koniuszek języka, rzuciła pospieszne spojrzenie na moje krocze. Nigdy nie widziałam, by zrobiła coś podobnego, ów gest zdumiał mnie niezmiernie, a zarazem przejął dreszczem. Poczułam, jakby zrobiła to naprawdę: zwilgotniałam między udami i spłonęłam rumieńcem, po czym musiałam odwrócić twarz, aby ukryć zmieszanie.

Popatrzyłam na panią Swindles oraz połyskujący rząd cynowych kubków wiszących nad jej głową, następnie przeniosłam spojrzenie na grupę osób stojących przy stole bilardowym. Po chwili przyjrzałam im się uważniej.

– Mówiłaś, że będą tu same lesbijki – powiedziałam do Florence. – Przecież tam stoją mężczyźni.

– Mężczyźni? Jesteś pewna? – Spojrzała we wskazanym kierunku. Zgromadzeni przy stole zachowywali się bardzo hałaśliwie, połowa z nich nosiła kamizelki oraz spodnie i miała włosy przystrzyżone na więzienną modłę. Florence wyteżyła wzrok, po czym parsknęła śmiechem. – Mężczyźni? – powtórzyła. – To nie są mężczyźni! Jak mogłaś tak pomyśleć, Nancy?

Zamrugałam i spojrzałam uważniej. Rzeczywiście... Nie miałam przed sobą mężczyzn, lecz kobiety, na dodatek bardzo podobne do mnie...

Przełknęłam ślinę.

– Czy one podają się za mężczyzn? – spytałam.

Florence wzruszyła ramionami, nie zwracając uwagi na mój zmieniony głos.

– Pewnie niektóre tak. Większość z nich ubiera się i żyje, jak chce. – Podchwyciła mój wzrok. – Podejrzewałam, że zwykłaś robić to samo...

– Czy pomyślisz, że jestem głupia – zapytałam – jeśli wyznam, że uważałam się za wyjątek...?

Spojrzenie Florence nabrało łagodności.

– Aleś ty dziwna! – zauważyła. – Nigdy nie muskałaś aksamitu...

– Nie twierdę, że tego nie robiłam, po prostu tak tego nie nazywałam.

– No cóż. Ale używasz mnóstwa innych cudacznych określeń. Nigdy nie widziałaś kobiety w spodniach. Naprawdę, Nance, czasem... czasem myślę, że przyszyłaś na świat dorosła, jak Wenus w muszli na obrazie...

Zgarnęła palcem kroplę grogu spływającą po szklance i uniosła go do ust. Zaszło mi w gardle, a serce niebezpiecznie podskoczyło w piersi. Pociągnęłam nosem, rzucając ponowne spojrzenie na grupę przy stole bilardowym.

– I pomyśleć – dodałam po chwili – że mogłam jednak włożyć spodnie... – Florence wybuchnęła śmiechem.

Siedziałyśmy, popijając grog. Do lokalu napływało coraz więcej kobiet i w sali zrobiło się gwarno, duszno i gęsto od dymu. Podeszłam do baru po drugą kolejkę; wróciwszy,

zostałam przy stole Annie z Ruth i Norą oraz jeszcze jedną ładną i jasnowłosą dziewczynę, którą przedstawiono mi jako pannę Raymond.

– Panna Raymond pracuje w drukarni – wyjaśniła Annie, a ja musiałam udać, że słyszę o tym pierwszy raz. Kiedy po dwóch kwadransach panna Raymond udała się na poszukiwanie toalety, Annie kazała nam się przesiąść, tak by mogła zająć miejsce obok niej.

– Szybko, szybko! – zawołała. – Ona zaraz wróci! Nancy, tutaj!

Usiadłam przy ścianie obok Florence i przez długą chwilę rozkoszowałam się bliskością jej uda, przyciśniętego do mojej, smuklejszej nogi. Kiedy zwracała się w moją stronę, czułam na policzku jej oddech, gorący, słodki, pachnący rumem.

Wieczór upływał, chyba jeszcze nigdy nie bawiłam się tak wyśmienicie. Spojrzałam na Ruth i Norę: siedziały pochylone ku sobie i rozbawione. Spojrzałam na Annie: trzymała rękę na ramieniu panny Raymond i nie odrywała oczu od jej twarzy. Spojrzałam na Florence. Z uśmiechem popatrzyła mi w oczy.

– W porządku, Wenus? – zapytała. Jej włosy wymknęły się ze szpilek i wiły nad kołnierzem.

Następnie Nora zaczęła jedną ze swych żarliwych opowieści („Dzisiaj przyszła do biura...”), co sprawiło, że ziewnęłam i utkwiałam wzrok w grupie dokoła stołu bilardowego. Ku swemu zdumieniu stwierdziłam, że kobiety przerwały grę i spoglądają w moją stronę. Najwyraźniej rozmawiały na mój temat: jedna kiwała, a druga potrzasała głową, jeszcze inna wyteżała wzrok, stanowczo postukując kijem w podłogę. Poczułam się nieswojo: kto wie, może naruszyłam jakąś zasadę lesbijskiej etykiety, przychodząc tu z krótkimi włosami i w spódnicy? Odwróciłam głowę; kiedy spojrzałam ponownie ku tamtym, jedna z kobiet odłączyła się od towarzyszek i zmierzała do naszego stołu. Była postawna i miała rękawy podwinięte aż do łokci. Na jednym ramieniu widniał trywialny tatuaż, tak zielony i zamazany, że wyglądał jak siniak. Stanąwszy przy naszym stole, oparła wytatuowane ramię o poręcz ławy i nachyliła się w moją stronę.

– Wybacz, skarbie – odezwała się tubalnym głosem. – Ale moja przyjaciółka Jenny zaklina się, że ty jesteś ta Nan King, która występowała w rewii razem z Kitty Butler. Stawiam szylinga, że nie jesteś. Rozstrzygniesz?

Obrzuciłam swe towarzyszki pospiesznym spojrzeniem. Florence i Annie z pewnym zdziwieniem uniosły wzrok. Nora przerwała opowieść.

– Dalej, Nance – zachęciła z uśmiechem. – Czuję, że zanosi się na darmową kolejkę.

Panna Raymond parsknęła śmiechem. Oczywiście nikt nie wierzył, że naprawdę jestem Nan King, ja zaś spędziłam ostatnich pięć lat w ukryciu, wypierając się swej tożsamości.

Jednakże rum, ciepło oraz nowa utajona namiętność podziały na mnie niczym smar na zardzewiały zamek. Popatrzyłam na kobietę.

– Obawiam się, że przegrałaś zakład – oznajmiłam. – Jestem Nan King. – To była prawda, lecz poczułam się jak oszustka, tak jakbym powiedziała: „Jestem hrabia Rosebery”.

Dostrzegłam kątem oka, że Florence otworzyła usta. Patrząc na wytatuowaną kobietę, lekko wzruszyłam ramionami. Ona zaś cofnęła się o krok i z całej siły walnęła w oparcie ławy.

– Jenny, wygrałaś zakład! – zawołała ze śmiechem do przyjaciółki. – To naprawdę jest Nan King!

Grupa przy stole bilardowym zareagowała entuzjastycznym okrzykiem i połowa zgromadzonych ucichła jak jeden mąż. prostytutki przy sąsiednim stole wstały, żeby lepiej mi się przyjrzeć. „Nan King, tam jest Nan King!”, szeptano wokół. Jenny, przyjaciółka wytatuowanej kobiety, podeszła bliżej i wyciągnęła do mnie rękę.

– Panno King – powiedziała – od razu panią poznałam. Co to była za radość móc oglądać w Paragonie panią i pannę Butler!

– Jest pani bardzo miła – odrzekłam, ujmując jej rękę. Mówiąc to, podchwyciłam spojrzenie Florence.

– Co to ma znaczyć, Nance? – zapytała. – Naprawdę występowałaś w rewii? Dlaczego nic nam nie powiedziałaś?

– Stare dzieje...

Florence potrząsnęła głową i spojrzała na mnie przeciągle.

– Czyżby pani nie wiedziała, że jej przyjaciółka jest taką gwiazdą? – wtrąciła Jenny.

– Nie wiedziałyśmy, że w ogóle jest gwiazdą – odrzekła Annie.

– Ona i panna Butler... cóż to za duet! Nigdzie nie było takiej pary dandysów...

– Dandysów! – powtórzyła Florence.

– A jakże – ciągnęła Jenny, po czym dodała: – Zaraz, zaraz, chyba coś tu nawet mamy... – Przcisnęła się do kontuaru, a następnie skinęła ręką na szynkarkę i wskazała ścianę tuż za rzędami przewróconych butelek. Na kawałku spłowiałego rypsu wisiały tam dziesiątki kartek oraz zdjęć; zobaczyłam, jak pani Swindles sięga pomiędzy nie, wyjmując coś małego i wygniecionego i wręcza Jenny. Po chwili spoglądałam na fotografię przedstawiającą Kitty i mnie w oksfordzkich spodniach i słomkowych kapeluszach. Trzymałam rękę na ramieniu Kitty, a w palcach ścisnęłam niezapalony papierosa.

Patrzyłam i patrzyłam. Dokładnie pamiętałam sztywność i zapach tego kostiumu, ciepło ramienia Kitty. Mimo to czułam, jakbym spoglądała w cudzą przeszłość i owa myśl przyprawiła mnie o dreszcz.

Odebrano mi zdjęcie; najpierw Florence studiowała fotografię niemal równie uważnie jak ja, następnie uczyniły to Ruth i Nora, Annie i panna Raymond, a wreszcie Jenny, która podała ją przyjaciółkom.

– Cud, że jeszcze mamy to zdjęcie – powiedziała. – Pamiętam dziewczynę, która je powiesiła; bardzo panią lubiła. Zresztą zawsze była pani naszą ulubienicą. Kupiła je od pewnej handlarki z Burlington Arcade. Czy pani wiedziała, że stała tam kobieta, która sprzedawała zainteresowanym dziewczętom fotografie takie jak ta?

Potrząsnęłam głową; pomyśleć, że tyle razy przechadzałam się Burlington Arcade w poszukiwaniu zainteresowanych dżentelmenów i nigdy nie dostrzegłam owej niewiasty.

– To niesamowite, panno King! – zawołała inna z kobiet. – Zastać panią tutaj...

Odpowiedział jej znaczący pomruk; sens ostatniego zdania okazał się czytelny dla wszystkich. „Nie powiem, żebym się nigdy nie zastanawiała”, dobiegły mnie czyjeś słowa. Jenny ponownie nachyliła się w moją stronę.

– A panna Butler, jeżeli wolno spytać? Podobno też była jedną z nas.

– Właśnie – wtrąciła inna dziewczyna. – Też tak słyszałam.

Zawahałam się przez chwilę.

– Źle słyszałyście – odparłam. – Nie była.

– Ani trochę...?

– Nic a nic.

Jenny wzruszyła ramionami.

– No cóż, szkoda.

Z nagłym rozdrażnieniem wbiłam wzrok w kolana, lecz najgorsze miało dopiero nastąpić: jedna z prostytutek wcisnęła się między Ruth i Norę, wołając:

– Ach, panno King, proszę dla nas zaśpiewać!

Tuzin głosów natychmiast podchwycił jej prośbę.

– O tak, panno King, prosimy!

I niczym w koszmarnym śnie, jak spod ziemi wyciągnięto skądś sfatygowane pianino i pchnięto je po zapiaszczonej podłodze. Jedna z kobiet zasiadła na stołku, poruszyła palcami i odegrała niepewną gamę.

– Nie – zaprotestowałam. – Ja naprawdę nie mogę! – Spojrzałam w popłochu na Florence: patrzyła na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

– Daj spokój, Nan! – zawołała niedbale Jenny. – Nie psuj zabawy. Co to była za piosenka, ta o mruganiu do ładnych pań i suwerenach...?

Któraś z kobiet zaczęła śpiewać, wnet przyłączyła się do niej następna. Annie mało nie zachłysnęła się piwem.

– Chryste! – powiedziała. – Ty to śpiewałaś? Widziałam cię kiedyś w Holborn Empire! Rzuciłaś mi czekoladowego suwerena, prawie roztopił ci się w kieszeni. Zjadłam go i myślałam, że umrę! Och, Nancy!

Spojrzałam na nią i zacisnęłam usta. Wszystkie zgromadzone przy stole bilardowym odłożyły kije i otoczyły pianino; pianistka podchwyciła podaną nutę, dwadzieścia kobiet zaczęło śpiewać. Była to niemądra piosenka, przypomniałam sobie jednak, jak głos Kitty wibrował w refrenie, nadając melodii rozkoszną płynność, tak jakby idiotyczne słowa spływały miodem z jej ust. W tej salce brzmiało to zupełnie inaczej, choć równie prawdziwie i krzepiąco. Słuchając fałszujących dziewcząt, mimowolnie zaczęłam nucić pod nosem... Chwilę potem przyklęknęłam na ławie i śpiewałam ze wszystkimi. Podziękowały mi gromkimi brawami i okrzykami, tak że musiałam oprzeć głowę na rękę i przygryźć wargę, żeby się nie rozpłakać.

Przyszła kolej na drugą piosenkę; nie był to utwór z repertuaru mojego i Kitty, tylko coś zupełnie nowego, czego jeszcze nie znałam, dlatego nie mogłam przyłączyć się do chóru.

Usiadłam i położyłam głowę na poręczy ławy. Do naszego stołu podeszła dziewczyna z pasztetem wieprzowym w cieście, przysłanym przez panią Swindles „na koszt firmy”. Przez chwilę skubałam palcami ciasto, czując, że powoli się uspokajam. Ruth i Nora oparły łokcie o stół i spoglądały na mnie, zapominając o przerwanej rozmowie. Chwilami dolatywał do mnie głos Annie, która tłumaczyła coś pełnej niedowierzania panie Raymond.

– Nie, przysięgam, że nie miałyśmy pojęcia – mówiła. – Zjawiała się u Florrie z podbitym okiem i pęczkiem rukwi. Cicha woda...

Florence zwróciła twarz w moją stronę i utkwiała we mnie nieodgadnione spojrzenie.

– Naprawdę byłaś taka sławna? – zapytała, gdy zapalałam papierosa. – Śpiewałaś na scenie?

– Śpiewałam i tańczyłam. Kiedyś występowałam też w spektaklu w Britannii. – Klepnęłam się w udo. – „Gdzież jest książę, nasz pan?”

Roześmiała się, choć powiedziałam to z całkowitą powagą.

– Szkoda, że cię nie widziałam! Kiedy to było?

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym – odrzekłam po chwili zastanowienia. Wydęła wargi.

– Aha. Strajki trwały przez cały rok, nie miałam czasu na rewię. Wydaje mi się, że któregoś wieczoru stałam przed Britannią, zbierając datki dla dokerów... – Uśmiechnęła się. – Ale chętnie skosztowałabym czekoladowego suwerena.

– Na pewno bym ci go rzuciła...

Uniosła szklankę do ust, po czym, tknięta nową myślą, opuściła rękę.

– Co sprawiło – spytała – że opuściłaś scenę? Przecież odnosiłaś sukcesy? Co się stało?

Nie byłam jednak gotowa, by wyznać całą prawdę. Pchnęłam ku Florence talerz.

– Dokończ pasztet – powiedziałam. Następnie pochyliłam się, wołając nad stołem: – Hej, Annie! Bądź tak miła i poczęstuj mnie papierosem, dobrze? Ten jest do niczego.

– Cóż, gwiazdzie się nie odmawia...

Florence zjadła pasztet, a Ruth dzielnie jej w tym pomogła. Kobiety przy pianinie zmęczyły się i ochryły, po czym podjęły przerwana grę w bilard. prostytutki przy sąsiednim stole wstały i włożyły kapelusze: pewnie jak zwykle szykowały się do pracy w gospodach Wapping i Limehouse. Nora ziewnęła, ziewnęłyśmy i my, a Florence westchnęła.

– Idziemy? – zapytała. – Musi być bardzo późno.

– Jest prawie północ – odrzekła panna Raymond. Wstałyśmy i zapięłyśmy płaszcze.

– Muszę zamienić słówko z panią Swindles – oznajmiłam – i podziękować jej za pasztet.

– Tak też zrobiłam, a następnie podeszłam do stołu bilardowego, pozdrawiana po drodze przez tuzin kobiet. – Dobranoc – powiedziałam do Jenny. – Cieszę się, że wygrałaś szylinga.

Podawała mi rękę.

– Dobranoc, panno King! Szyling to pestka w porównaniu z radością, jaką sprawiła nam

twoja obecność.

– Odwiedzisz nas jeszcze, Nan? – spytała jej wytatuowana przyjaciółka.

Skinęłam głową.

– Mam nadzieję.

– Ale następnym razem zaśpiewasz nam jak należy, sama i w kostiumie.

– Tak, tak, bez dwóch zdań!

W odpowiedzi uśmiechnęłam się tylko i odeszłam. Naraz wpadło mi coś do głowy i ponownie przywołałam Jenny.

– To zdjęcie – powiedziałam cicho, gdy stanęła blisko mnie. – Sądysz, że pani Swindles miałaby coś przeciwko temu, żebym je zatrzymała?

Jenny natychmiast sięgnęła do kieszeni i wyjęła spłowiałą, pogniecioną fotografię.

– Bierz – odrzekła, dodając z pewnym zdziwieniem: – Czyżbyś nie miała własnych? Sądziłam...

– Tak między nami – wpadłam jej w słowo – moje odejście nastąpiło dość nagle. Straciłam mnóstwo rzeczy i aż do dzisiaj w ogóle o nich nie myślałam. Ale to... – Popatrzyłam na zdjęcie. – Cóż, chyba mała pamiątka nie zaszkodzi, co?

– Ma się rozumieć, że nie – odparła życzliwie Jenny. Popatrzyła na Florence i resztę. – Twoja dziewczyna czeka – przypomniała z uśmiechem.

Schowałam zdjęcie do kieszeni.

– No właśnie – odpowiedziałam z roztargnieniem.

– Czeka.

Podeszłam do przyjaciółek; przebrnęliśmy przez zatłoczoną salę i zdradzieckimi schodami wspięliśmy się na górę, wprost w lodowate objęcia lutowej nocy. Na ciemnej ulicy przed Fregatą panował spokój, lecz z Cable Street dobiegły odgłosy bijatyki. Klientela szynków tłumnie wylegała na zewnątrz, rozpoczynając chwiejną podróż do domu.

– Nigdy nie ma zatargów pomiędzy dziewczętami z „Chłopca” a okolicznymi mieszkańcami lub chuliganami? – zapytałam, kiedy ruszyliśmy przed siebie.

Annie postawiła wysoko kołnierz i ujęła pannę Raymond pod ramię.

– Czasami – odrzekła. – Czasami. Kiedyś grupka wyrostków ubrała świnie w kapelusze i spuściła ją na dół po schodach...

– Nie!

– Tak – potwierdziła Nora. – Innym razem któraś z kobiet wyszła z bójki ze złamanym nosem.

– Ale poszło o dziewczynę – przypomniała Florence, ziewając. – Oberwała od jej męża...

– Prawda wygląda tak – skwitowała Annie – że okolicę zamieszkuje taka mieszanka Żydów, Hindusów, Niemców, Polaków, socjalistów, anarchistów i fanatyków religijnych, że tutaj nic nikogo nie dziwi.

Jakby wbrew jej słowom z pobliskiego domu wyszło dwóch mężczyzn, którzy na nasz widok (Annie i panna Raymond szły, trzymając się pod ramię, Ruth z ręką w kieszeni Nory,

Florence i ja tuż obok siebie) wymienili półgłosem jakieś uwagi i uśmiechnęli się szyderczo. Kiedy nas mijali, jeden charknął i splunął, a drugi sięgnął zwiniętą ręką do krocza i krzyknął coś ze śmiechem.

Annie zerknęła na mnie i wzruszyła ramionami.

– Ciekawe, czy jakaś kobieta skończy kiedyś ze złamanym nosem z mojego powodu – powiedziała panna Raymond, żeby nas rozbawić.

– Z nosem może nie, ale sercem na pewno – odparłam szarmancko, odnotowując z satysfakcją, że zarówno Annie, jak i Florence rzuciły mi chmurne spojrzenia.

Nasza gromadka zmniejszała się powoli, gdyż w Whitechapel Ruth i Nora wsiadły do dorożki, która miała zawieźć je do City, w Shoreditch zaś mieszkała panna Raymond. Annie popatrzyła na czubki swoich butów.

– Jest późno, lepiej odprowadzę pannę Raymond do drzwi. Idźcie same, dogonię was...

Zostałyśmy tylko Florence i ja. Z powodu zimna energicznie maszerowałyśmy naprzód, Florence zaplotła ręce dokoła mojego ramienia, ciasno je obejmując. Na skraju Quilter Street przystanęłyśmy, by spojrzeć na ciemne, ponure wieże Columbia Market oraz zasnute dymem i mgłą, bezgwiazdne londyńskie niebo.

– Annie raczej już nas nie dogoni – mruknęła Florence, oglądając się w kierunku Shoreditch.

– Nie – odpowiedziałam. – Chyba nie...

Dom wydawał się duszny i gorący, ale po zdjęciu płaszczy i wyprawie do wygodki wkrótce znów zatrzęśliśmy się z zimna. Ralph rozłożył dla mnie łóżko i zostawił na półce kartkę informującą o herbacie pozostawionej w piecyku. Okazała się brunatna i zawieszista, ale i tak ją wypiliśmy, zaniósłszy kubki do saloniku, gdzie było najcieplej. Ogrzałyśmy ręce nad paroma rozżarzonymi węgielkami w spopielonym kominku.

Ralph odsunął krzesła, żeby zrobić miejsce na łóżko; przysiadłyśmy na nim nieśmiało. Jęknęły sprężyny i Florence się roześmiała. Lampa na stole rozsiewała wątłe światło, poza tym w pokoju było ciemno. Siedziałyśmy, popijając herbatę i patrząc w kominek: popiół opadał od czasu do czasu i trzaskały węgle.

– Ależ tu cicho – zauważyła Florence – w porównaniu z „Chłopcem”!

Podciągnęłam kolana pod brodę – łóżko było bardzo niskie – i oparłszy o nie policzek, spojrzałam na nią z uśmiechem.

– Cieszę się, że mnie tam zabrałaś – powiedziałam. – Nie pamiętam, kiedy spędziłam tak miły wieczór.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Cieszę się tym bardziej, że oglądałam cię w tak dobrym nastroju...

Uśmiechnęła się, a potem ziewnęła.

– Nie uważasz, że panna Raymond jest bardzo ładna? – zapytała.

– Dosyć.

Nie tak ładna, jak ty, miałam na końcu języka, spoglądając na twarz, którą niegdyś uważałam za pospolitą. Ach Flo, nikt nie jest taki jak ty!

Ale nie powiedziałam tego głośno. Florence uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Pamiętam inną dziewczynę, która kiedyś wpadła Annie w oko. Pozwoliliśmy im przenocować, gdyż Annie mieszkała wówczas z siostrą. Spały tutaj, a Lilian i ja na górze. Zachowywały się tak hałaśliwie, że nazajutrz pani Monks przyszła zapytać, czy nic nikomu nie dolega. Musieliśmy skłamać, że Lilian bolał ząb, podczas gdy tak naprawdę spała spokojnie obok mnie...

Ucichła. Poluzowałam krawat: na myśl o Flo, samotnej ze swą beznadziejną namiętnością, zalała mnie fala goryczy oraz, jak zwykle, podniecenia.

– Nie było trudno dzielić łóżka z kimś, kogo tak bardzo kochałaś?

– Strasznie! A zarazem cudownie.

– Nigdy jej... nie pocałowałaś?

– Czasem ją całowałam, jak spała, całowałam jej włosy. Miała bardzo ładne włosy...

Przypomniałam sobie czasy, kiedy leżałam obok Kitty, zanim jeszcze zostaliśmy kochankami.

– Patrzyłaś na nią, gdy spała – zapytałam nieco zmienionym tonem – w nadziei, że śni o tobie?

– Specjalnie zapalałam świecę!

– Nie chciałaś jej dotknąć, kiedy tak leżała u twojego boku?

– Z trudem się powstrzymywałam! Przerazało mnie to.

– Ale czy czasem nie dotykałaś siebie, wyobrażając sobie, że to jej palce...?

– A potem tak bardzo się tego wstydziłam! Kiedyś trąciłam ją niechcący, a ona powiedziała przez sen: „Jim!”. Tak się nazywał jej przyjaciel. „Jim!”, powtórzyła tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. Nie wiedziałam, jak mam zareagować, pragnęłam jednak... ach, Nance!... pragnęłam, żeby spała dalej jak pogrążona w transie, bym mogła jej dotykać i słuchać, jak mówi do mnie w ten sposób...!

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Węgiel w kominku trzasnął głośno, lecz żadna z nas nie zareagowała. Patrzyłyśmy na siebie, tak jakby żar jej słów roztopił nasze spojrzenia, łącząc je w jedno.

– Jim! Jim! – zawołałam żartobliwie.

Florence zamrużyła powiekami i zadrżała, mnie również przeszedł dreszcz. A potem powiedziałam tylko:

– Ach, Flo...

W niewyjaśniony sposób odległość pomiędzy naszymi wargami malała coraz bardziej. Florence uniosła rękę i dotknęła kącika moich ust, po czym wsunęła palce pomiędzy nasze złączone wargi i poczułam smak cukru. Zadygotałam tak bardzo, że musiałam zacisnąć pięści, upominając się w duchu: przestań, słyszysz? Jeszcze pomyśli, że nigdy nikogo nie całowałaś!

Lecz gdy ją objęłam, przekonałam się, że również drży, a kiedy opuściłam rękę na jej piersi, podskoczyła, po czym z uśmiechem przysunęła się bliżej.

– Mocniej! – powiedziała.

Padłyśmy na łóżko, które przejechało na kółkach o kilka cali. Rozpięłam jej bluzkę i przez koszulę poszukałam wargami twardej sutka. Florence zeszywniała i zaczęła szybciej oddychać. Ponownie ujęła dłońmi moją głowę i uniosła ją, aby mnie pocałować. Poruszałam się rytmicznie, czując jak ona robi to samo pode mną, pocierając tak powoli i delikatnie, że miałam nadzieję, iż nigdy nie przestanie...

Wreszcie jej ręka znieruchomiała w najwilgotniejszym miejscu.

– Mogę? – szepnęła.

Odpowiedziałam westchnieniem. Po chwili poczułam w środku jeden palec, dwa, potem chyba trzy...

Gdy skończyłam, ciało Florence również przeszło spazm i opadła na mnie całym ciężarem. Przycisnęłam ją do siebie i obsypałam pocałunkami, a potem leżałyśmy ciasno przytulone, czekając, aż serca uspokoją nam się w piersi.

Podnosząc się, uderzyła głową o stół: łóżko niepostrzeżenie znalazło się na drugim końcu pokoju. Wybuchnęła śmiechem. Rozebrałyśmy się; Florence zgasiła lampę i wślizgnęłyśmy się pod koce w wilgotnych halkach. Kiedy usnęła, podniosłam ręce do jej policzka i pocałowałam draśniętą brew.

Gdy się ocknęłam, była jeszcze noc, choć na zewnątrz odrobinę pojaśniało. Florence leżała oparta o poduszkę i patrzyła na mnie rozbudzona. Ujęłam jej rękę i pocałowałam, czując niebezpieczny ucisk w środku. Uśmiechnęła się, lecz w owym uśmiechu czaił się smutek, który przejął mnie chłodem.

– Co się stało? – szepnęłam. Poglądziła mnie po włosach.

– Tak sobie myślałam...

– O czym?

Nie odpowiedziała. Podciągnęłam się wyżej, zapominając o śnie.

– O czym, Florence?

– Patrzyłam na ciebie w ciemności; pierwszy raz widziałam, jak śpisz. Wyglądałaś tak obco. Wtedy uświadomiłam sobie, że tak naprawdę wcale cię nie znam...

– Nie znasz? Jak możesz tak mówić? Mieszkam z tobą od ponad roku!

– I dopiero wczoraj dowiedziałam się, że występowałaś w rewii! – odparła. – Jak mogłaś zataić coś takiego? Po co? O czym jeszcze nam nie mówiłaś? Równie dobrze mogłaś siedzieć w więzieniu. Albo w zakładzie dla obłąkanych. Mogłaś sprzedawać się na ulicy!

Przygryzłam wargi, po czym na wspomnienie jej życzliwości wobec ulicznic w szynku odrzekłam pospiesznie:

– Trafiłam kiedyś na ulicę, Flo. Powiedz, że mnie za to nie nienawidzisz!

Natychmiast cofnęła rękę.

– Na ulicę! Dobry Boże! Oczywiście, że cię nie nienawidzę, ale... ach, Nance! Pomyśleć, że byłaś taka, jak te nieszczęsne dziewczęta...

– Nie taka – zaprzeczyłam, odwracając wzrok. – Prawdę mówiąc, niezupełnie byłam dziewczyną.

– Jak to? – zapytała. – Co masz na myśli?

Poskrobałam paznokciem gładki materiał koca. Mam wyznać prawdę, którą ukrywałam tak długo? Spojrzałam na rękę Florence spoczywającą na kocu i na wspomnienie jej palców ponownie coś mnie ścisnęło w żołądku... Złapałam oddech.

– Byłaś kiedyś w Whitstable...?

Jak tylko zaczęłam, nie mogłam przerwać. Opowiedziałam jej wszystko: o życiu w gospodzie nad morzem, o Kitty Butler, dla której opuściłam rodzinę, a która z kolei zostawiła mnie dla Waltera Blissa. Opowiedziałam o swoim szaleństwie, maskaradzie, mieszkaniu z panią Milne i Gracie na Green Street, gdzie ujrzała mnie po raz pierwszy. Wreszcie wyznałam jej wszystko o Dianie, Felicity Place i Zenie.

Kiedy dotarłam do końca, było prawie jasno, w pokoju panował przenikliwy chłód. Podczas mojej opowieści Florence milczała; zmarszczka na czole, która pojawiła się na wzmiankę o nierządzie, stopniowo stawała się coraz głębsza.

– Chciałaś poznać moje tajemnice – zakończyłam.

Odwróciła głowę.

– Nie sądziłam, że masz ich aż tyle.

– Powiedziałaś, że mnie nie znienawidzisz.

– Trudno sobie wyobrazić, że robiłaś to wszystko... dla zabawy. I to... ach, Nance, zabawy tak okrutnej!

– To było dawno temu.

– Znałaś tylu ludzi... a teraz nie masz nikogo.

– Musiałam ich opuścić.

– A twoja rodzina? Na początku mówiłaś, że wyrzuciła cię na bruk. Ale to ty wyrzuciłaś ją ze swego serca! Przecież twoi bliscy muszą się zamartwiać na śmierć! Nigdy o nich nie myślisz?

– Czasami.

– Albo ta pani Milne z Green Street, która tak bardzo cię polubiła. Nigdy nie przyszło ci do głowy, aby odwiedzić ją i jej córkę?

– Wyprowadziły się i nie wiedziałam, jak je znaleźć. Zresztą było mi wstyd, że tak łatwo o nich zapomniałam.

– Zapomniałaś o nich z powodu tej... jak jej tam?

– Diany.

– Diany. Tak bardzo ci na niej zależało?

– Czy mi zależało? – Podparłam się na łokciu. – Nienawidziłam jej! To diabolic! Przecież ci mówiłam...

– A jednak zostałaś u niej tak długo...

Czułam się przytłoczona ciężarem własnej opowieści oraz szczegółów wyciąganych przez Florence.

– Trudno to wyjaśnić – odparłam. – Miała nade mną władzę. Była bogata. Miała... różne rzeczy.

– Najpierw mówiłaś, że skrzywdził cię mężczyzna. Potem, że to jednak była kobieta. Myślałam, że straciłaś przyjaciółkę...

– Straciłam przyjaciółkę, miała na imię Kitty i stało się to parę lat wcześniej.

– Diana była bogata; podbiła ci oko i skaleczyła cię, ponieważ... całowałaś jej pokojówkę. – Głos Florence nabrał ostrzejszych nut. – Co się stało z tą dziewczyną?

– Nie wiem. Nie wiem!

Przez chwilę leżaliśmy w milczeniu i łóżko wydało mi się naraz strasznie wąskie. Florence spoglądała na jaśniejący kwadrat okna. Obserwowałam ją z rozpaczą. Gdy włożyła palec do ust i zaczęła gryźć paznokiec, podniosłam rękę, aby ją powstrzymać, ale odepchnęła mnie i wstała.

– Dokąd idziesz? – zapytałam.

– Na górę. Muszę pomyśleć.

– Nie! – krzyknęłam. W tej samej chwili Cyril obudził się w swojej kołysce i zaczął kwilić. Nie zważając na jego płacz, chwyciłam Florence za nadgarstek i pociągnęłam ją z powrotem na łóżko. – Wiem, co chcesz zrobić – powiedziałam. – Pójdiesz tam i będziesz myśleć o Lilian!

– Nic na to nie poradzę! – odparła. – Nie poradzę. A ty... ty postępujesz tak samo, tylko po prostu do tej pory o tym nie wiedziałam. Tylko mi nie mów... nie mów, że nie myślałaś o Kitty zeszej nocy, kiedy mnie całowałaś!

Chwyciłam oddech, żeby zaprotestować, po czym ogarnęło mnie wahanie. Rzeczywiście, nie mogłam zaprzeczyć. Kitty była pierwszą osobą, którą całowałam; czułam się, jakby jej wargi wypaliły na moich ustach trwałe piętno. Ani sperma i łzy pederastów z Soho, ani wino i oślizgłe pieszczoty na Felicity Place nie mogły go zmasać. Zawsze o tym wiedziałam, lecz dotąd nie miało to żadnego znaczenia. Czy teraz powinno?

Jakie to ma znaczenie, o kim myśli Flo, kiedy mnie całuje?

– Wiem tylko – powiedziałam w końcu – że gdybyśmy nie zrobiły tego ostatniej nocy, najpewniej byśmy umarły. Więc jeśli mi teraz powiesz, że więcej tego nie chcesz...!

Nadal ją trzymałam, a Cyril płakał; naraz, cudownym zrzędzeniem losu, jego zawodzenia ucichły. Florence dała za wygraną i zwróciła twarz w moją stronę.

– Lubiłam myśleć o tobie jako o Wenus w muszli – odezwała się cicho. – Nigdy nie myślałam o kobietach, które znałaś, zanim tu przyszłaś...

– Dlaczego teraz musisz o nich myśleć?

– Bo ty myślisz! A gdyby Kitty znowu się tu zjawiała i chciała cię mieć z powrotem?

– To niemożliwe. Kitty odeszła, Flo. Tak jak Lilian. Wierz mi, prędeziej spodziewałabym się powrotu tej drugiej! – Zaczęłam się uśmiechać. – Jeśli wróci, pójdiesz do niej, a ja nie powiem ani słowa. A jeśli Kitty zjawi się po mnie, ty postąpisz tak samo. A potem zamieszkamy w oddzielnych rajach i będziemy machać do siebie ze swoich chmurek. Na razie jednak... Flo, czy nie może zostać tak, jak jest?

Było to dość dziwne założenie, lecz nasze losy również zasługiwały na miano osobliwych, a przeszłość przypominała szkatułkę ze źle dopasowanym wieczkiem.

Musiałśmy postępować z nią bardzo ostrożnie. Damy sobie radę, pomyślałam, kiedy Florence z westchnieniem wyciągnęła do mnie rękę. Byle tylko zawartość szkatułki pozostała nienaruszona.

Rozdział 19

Tego samego dnia wyniosłyśmy składane łóżko na strych (wydaje mi się, że kółka trwale ucierpiały), a ja przeniosłam swoje rzeczy do pokoju Florence i schowałam koszulę nocną pod jej poduszkę. Ralpa nie było; gdy wrócił i popatrzył na puste miejsce po łóżku, a potem na nasze rumieńce, podkrążone oczy i nabrzmiałe usta, zaczął intensywnie mrugać i przełykać ślinę, po czym usiadł i zasłonił się gazetą. Ale wieczorem, przed pójściem spać, serdecznie mnie ucałował. Spojrzałam na Florence.

– Dlaczego Ralph nie ma dziewczyny? – zapytałam po jego wyjściu.

Wzruszyła ramionami.

– Nie lubią go. Lesbijki wręcz go uwielbiają, ale zwykłe dziewczęta... cóż! Ma słabość do delikatnych panienek, ostatnia rzuciła go dla boksera.

– Biedny Ralph – powiedziałam. – Jest bardzo wyrozumiały wobec twoich... skłonności, nie uważasz?

Podeszła bliżej i usiadła na poręczy mojego fotela.

– Miał dość czasu, żeby się przyzwyczaić – odparła.

– Chcesz powiedzieć, że zawsze je miałaś?

– Cóż, zawsze kręciła się tu jakaś dziewczyna. Matka nigdy się nie zorientowała. Janet jest wszystko jedno: mówi, że dzięki temu ma więcej zalotników dla siebie. Ale Frank... – Był to najstarszy brat, który czasem odwiedzał nas wraz z rodziną. – ...Frank nie lubił, kiedy przychodziły zbyt często; nigdy nie zapomnę, jak kiedyś mnie za to uderzył. Podejrzewam, że nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, co między nami zaszło.

– Możemy udawać, jeśli chcesz – zaproponowałam. – Przyniesiemy składane łóżko i...

Odsunęła się, jakbym powiedziała coś obraźliwego.

– Udawać? Udawać, w moim własnym domu? Jeżeli Frank ma zastrzeżenia do mojego życia, może przestać nas odwiedzać. To samo dotyczy innych. Według ciebie powinnyśmy się czego wstydzić?

– Ależ nie. Tylko że Kitty...

– Och, Kitty! Kitty! Im więcej mi o niej opowiadasz, tym mniej ją lubię. Pomyśleć, że tak długo kazała ci się ukrywać i trwać w poczuciu winy, podczas gdy mogłaś cieszyć się życiem zgodnie ze swymi pragnieniami...

– Gdyby nie Kitty Butler – odparłam, bardziej dotknięta jej słowami, niż byłam skłonna

przyznać – w ogóle nie stałabym się lesbijką.

Florence obrzuciła mnie przeciągłym spojrzeniem: miałam na sobie spodnie.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – oświadczyła. – Prędzej czy później poznałabyś jakąś kobietę.

– Być może, ale wówczas byłabym żoną Freddy’ego i miałabym tuzin dzieciaków. No i na pewno nie poznałabym ciebie.

– Cóż, wygląda na to, że jednak mam jej za co dziękować.

Wspomnienie Kitty nadal budziło w moich myślach niemiły zgrzyt: sądzę, że Florence o tym wiedziała. Mimo to odrzekłam lekkim tonem:

– Owszem. Bądź łaskawa o tym nie zapominać. Mam nawet coś, co odświeży ci pamięć... – Sięgnęłam do kieszeni płaszcza po zdjęcie, które dostałam od Jenny, i postawiłam je na półce pod innymi fotografiami. – Twoja Lilian mogła dostawać dreszczy na widok Eleonory Marks. Pięć lat temu grzeczne dziewczynki wieszały sobie w sypialni moje zdjęcie.

– Nie chwal się – odpowiedziała. – Ta cała gadanina o rewii... Mnie nigdy niczego nie zaśpiewałaś.

Usiadła na moim miejscu; podeszłam bliżej i dotknęłam kolanami jej kolan.

– „Tommy” – zanuciłam; była to stara piosenka W. B. Faira – „Tommy, zrób miejsce dla swego koleżki”⁴.

Wybuchnęła śmiechem.

– Śpiewałaś to razem z Kitty?

– Chyba żartujesz! Nigdy by się nie odważyła w obawie, że jakaś lesbijka z widowni podchwyci te słowa i weźmie je na serio.

– Wobec tego zaśpiewaj mi coś, co śpiewałaś z Kitty.

– Cóż... – Pomysł nie bardzo przypadł mi do gustu, ale zaśpiewałam fragment piosenki o suwerenach, spacerując po salonie i wywijając nogami. Kiedy skończyłam, Florence potrząsnęła głową.

– Powinna być z ciebie dumna! – powiedziała łagodnie. – Gdybym nią była... – Nie dokończyła. Wstała, po czym podeszła i odsunawszy mi rozpięty kołnierzyk koszuli, pocałowała widoczny pod spodem kawałek szyi.

Dotąd wydawała mi się sztywna niczym gipsowy święty, a na dodatek nieładna. Lecz teraz nie była sztywna, owa śmiałość zaś przydała jej blasku i urody. Nie mogłam na nią patrzeć i nie chciać jej dotknąć. Nie mogłam zachwycać się świeżością zaróżowionych warg, aby nie zapragnąć podejść i przycisnąć do nich ust. Nie mogłam spoglądać na dłoń opartą o blat stołu, trzymającą pióro bądź podnoszącą filiżankę, by nie wyobrazić sobie natychmiast, jak ją całuję, muskam językiem lub ściskam. Siedziałam obok Florence w zatłoczonym pokoju i czułam, jak unoszą mi się włoski na ramionach, widziałam przy tym, jak jej ręce pokrywają się gęsią skórką, a policzki czerwienieją, i wiedziałam, że pragnie mnie równie mocno, jak ja jej. Czerpała jednak złośliwą satysfakcję z przeciągania wizyt swych przyjaciół: proponowała najpierw drugą, potem trzecią filiżankę herbaty, a ja

patrzyłam na to bezsilnie, trawiona pożądaniem.

– Ty kazałaś mi czekać przez dwa i pół roku – oświadczyła pewnego dnia, kiedy poszłam za nią do kuchni. – Nie zaszkodzi, jeśli sama poczekasz jeszcze godzinę...

Objęłam ją drżącymi ramionami i pogładziłam przez fałdy spódnicy, aż się zakrztusiła. Pchnęła mnie do spiżarni, gdzie zablokowałyśmy drzwi miotłą i pieściłyśmy się wśród toreb z mąką i puszek melasy, a czajnik gwizdał, napełniając kuchnię kłębamii pary, aż wreszcie Annie zapytała z salonu, co my tam wyprawiamy.

Prawda wyglądała tak, że obie zbyt długo obywałyśmy się bez pocałunków, i gdy wreszcie zaczęłyśmy się całować, nie mogłyśmy przestać.

Aż same się dziwiłyśmy swojej zachłanności.

– Miałam cię za marudę – wyznała jakiś tydzień lub dwa po wyprawie do szynku. – Pannę Obrażalską i Niedotykalską.

– A są takie? – zapytałam.

Poczerwieniała.

– Spotkałam jedną lub dwie...

Myśl, iż miała do czynienia z tyloma różnymi dziewczętami, że mogła je klasyfikować niczym gatunki ryb, niezmiernie dziwiła mnie i podniecała. Położyłam rękę na jej ramieniu; leżałyśmy obok siebie, nagie pomimo zimna, gdyż właśnie wykapałyśmy się w parującej balii i jeszcze nie zdążyłyśmy ochłonąć. Przesunęłam dłonią po gładkiej skórze Flo, czując, jak drży.

– Kto by pomyślał, że będziemy się dotykać i rozmawiać o takich rzeczach! – rzuciłam szeptem, gdyż Cyril spał obok w swojej kołysce. – Miałam cię za nadętą i zasadniczą. I nieśmiałą. Doprawdy, dziwię się, że taka nie jesteś, przy całej swej szlachetności i zacięciu do polityki!

– Socjalizm – odparła ze śmiechem – to nie Armia Zbawienia.

– Cóż, być może...

I na tym stanęło. Ale następnego wieczora Florence przyniosła książkę i kazała mi czytać na głos. Było to „W kierunku demokracji”, wiersze Edwarda Carpentera. Kiedy przewracałam kartki, czując obok ciepłe ciało Florence, poczułam, że pragnę jej bardziej niż kiedykolwiek.

– Przeglądałaś ją z Lilian? – zapytałam. Skinęła głową.

– Lubiła, jak jej czytałam, kiedy leżałyśmy w łóżku. Nie miała pojęcia, ile mnie to kosztowało...

Może jednak miała pojęcie, przeszło mi przez myśl i poczułam wzmożone podniecenie. Podałam książkę Florence.

– Twoja kolej.

– Przecież skończyłaś.

– Przeczytaj mi fragmenty, które czytałaś Lilian.

Zawahała się, po czym spełniła moją prośbę. Wsunęłam jej dłoń między uda; im mocniej dotykałam, tym bardziej zawodził ją głos.

– Istnieją książki pisane specjalnie w tym celu – powiedziałam, wspominając noce, kiedy dokładnie to samo robiłam z Dianą, może nawet w tym samym czasie, gdy udręczona Florence leżała obok Lilian. – Może chcesz, żebym ci którąś z nich kupiła? Wątpię, aby panu Carpenterowi spodobało się podobne wykorzystanie jego twórczości.

Dotknęła ustami mojej szyi.

– Och, sędzę, że nie miałby nic przeciwko temu.

Odsunęłam tomik, który opuściła na koc, i położyłam się na niej.

– A czy to – spytałam, poruszając biodrami – również uważasz za wkład do rewolucji?

– O tak!

Zsunęłam się niżej.

– To też?

– Z całą pewnością!

Wślizgnęłam się pod kołdrę.

– A co powiesz na to?

– Ach!

– No proszę – powiedziałam nieco później. – I pomyśleć, że od lat działałam w organizacji socjalistycznej, a dotychczas nie miałam o tym pojęcia...

„W kierunku demokracji” zadomowiło się przy łóżku na stałe, i tak jak Florence mawiała niekiedy: „Zaśpiewaj dla mnie w spodniach, koleżko”, tak ja szeptałam czasem przy kolacji: „Pobawimy się dziś w demokrację, Flo...?”. Oczywiście były piosenki, na przykład „Żony i narzeczone”, których nigdy jej nie śpiewałam. Zauważyłam też, że „Żdźbła trawy” pozostały na półce pod zdjęciami Eleonory Marks i Kitty. Nie zgłosiłam z tego powodu żadnych pretensji. Bo niby dlaczego? Zawarliśmy pewien układ. Nie było w nim miejsca na miłosne deklaracje.

– Cudownie zakochać się na wiosnę, prawda? – zapytała Annie któregoś kwietniowego wieczora. Ona i panna Raymond były już kochankami i godzinami przesiadywały w naszym salonie, czule patrząc sobie w oczy. – Wizytowałam dziś pewną fabrykę: było to najbardziej ponure i zrujnowane gmaszysko, jakie możecie sobie wyobrazić. Ale gdy wyszłam na dziedziniec, zobaczyłam wierzbę, zwykłą, starą wierzbę. Ozłocona promieniami słońca wyglądała wypisz wymaluj jak moja Emma. Mało nie rozplakałam się ze wzruszenia.

Florence prychnęła.

– Zawsze powtarzałam, że kobiety nie powinny mieć wstępu do służby państwowej. Płakać nad wierzbą? W życiu nie słyszałam podobnych bzdur. Doprawdy nie wiem, jak Emma to wytrzyma. Gdybym usłyszała, jak Nancy porównuje mnie do bazi, chyba zrobiłoby mi się niedobrze.

– No wiesz! Nancy, nigdy nie dostrzegłaś Florence w róży albo chryzantemie?

– Nigdy – odparłam. – Chociaż wczoraj widziałam na targu rybnym flądrę i podobieństwo było uderzające. O mało jej nie kupiłam...

Annie wzięła pannę Raymond za rękę i popatrzyła na nas ze zdumieniem.

– Nigdy nie widziałam równie nieczułych istot – oznajmiła.
– Jesteśmy zbyt rozsądne, by bawić się w sentymenty, prawda, Nance?
– I zbyt zapracowane – uzupełniłam, ziewając. Florence zrobiła zakłopotaną minę.
– Obawiam się, że najgorsze dopiero przed nami. Widzisz, obiecałam pani Macey ze związku, że pomogę przy organizowaniu zjazdu robotniczego...

– Jak mogłaś, Florence! – zawołałam.

– Cóż to takiego? – zapytała panna Raymond.

– Podstępny plan uknuty przez związkowców ze wschodniego Londynu w celu zwabienia socjalistów do Victoria Park.

– Wiesz – Florence wpadła mi w słowo – to wspaniała rzecz, jeśli tylko się powiedzie. Ma się odbyć pod koniec maja. Będą namioty, przemówienia i pochody; mamy nadzieję ściągnąć gości i mówców z całej Anglii, a może nawet z Francji i Niemiec.

– A ty obiecałaś, że pomożesz to wszystko zorganizować. Co oznacza – zwróciłam się gorzko do panny Raymond – że weźmie na siebie znacznie więcej obowiązków, niż powinna, a ja oczywiście będę zmuszona jej pomagać i siedzieć po nocach, wypisując listy do dyrektora Zakładów Futrzarskich w Hoxton, Związku Górników i Komitetu Hutników z Wapping, podczas gdy... – Podczas gdy, miałam na końcu języka, powinnam cisnąć papiery w ogień i rozkoszować się jej bliskością.

Florence popatrzyła na mnie z wyrzutem.

– Nie musisz pomagać, jeśli nie chcesz – powiedziała.

– Nie muszę pomagać? – powtórzyłam. – W tym domu?

Stało się dokładnie tak, jak przewidziałam. Florence wzięła na siebie tysiąc zadań, z czego ja przejęłam połowę, by uchronić ją przed zaharowaniem się na śmierć. Pod jej kierunkiem pisałam listy i podliczałam słupki cyfr, nosiłam torby plakatów i ulotek do obskurnych biur związkowych, odwiedzałam warsztaty stolarskie i godzinami szylałam obrusy, flagi oraz kostiumy na robotniczą paradę. Dom przy Quilter Street ponownie pokrył się kurzem, jedliśmy byle co i byle jak; nie miałam już czasu na przyrządzanie ostryg, lecz podawałam je na surowo. Połowa uszytych przeze mnie flag i połowa listów napisanych przez Florence nosiła liczne plamy od soku i tłuszczu.

Nawet Ralph się w to zaangażował. Jako sekretarz związku został poproszony o napisanie i wygłoszenie krótkiego przemówienia w przerwie pomiędzy dłuższymi mowami. Przemówienie miało nosić tytuł „Dlaczego socjalizm?”, a jego przygotowanie doprowadziło Ralpha, który nie należał do zbyt wytrawnych mówców, do stanu bliskiego obłądzenia. Godzinami przesiadywał przy stole, pisząc zaciekle, dopóki nie rozboleła go ręka, częściej jednak z otępieniem wpatrywał się w pustą kartkę, po czym rzucał się do półki z książkami w poszukiwaniu odnośnika i utyskiwał na brak poszukiwanych woluminów.

– Co się stało z „Białymi niewolnikami Anglii”? Kto pożyczył mojego Sidneya Webba? I gdzie, u licha, jest „W kierunku demokracji”?

Florence i ja patrzyłyśmy na niego, potrząsając głowami.

– Daj sobie spokój – przekonywałyśmy. – Jeśli nie chcesz przemawiać albo nie czujesz

się na siłach, nikt nie weźmie ci tego za złe.

Lecz Ralph obruszał się niezmiennie.

– O nie – odpowiadał. – To dla związku. Prawie skończyłem. – I ponownie wlepił wzrok w kartkę, żując koniuszek wąsa; wiedziałam, że wyobraża sobie dziesiątki wpatrzonych w siebie oczu i na samą myśl o tym oblewa się zimnym potem.

Pomyślałam, że w tym wypadku mogę mu przyjść z pomocą.

– Chciałabym usłyszeć kawałek twojego przemówienia – powiedziałam któregoś wieczora pod nieobecność Florence. – Nie zapominaj, że byłam kiedyś kimś w rodzaju aktorki. Mównica i scena to jedno i to samo.

– Masz rację – odrzekł ucieszony. Następnie pomachał zapisanymi kartkami. – Trochę się wstydzę.

– Ralph! Skoro wstydzisz się przede mną, we własnym salonie, pomyśl, co będzie w Victoria Park, gdy staniesz przed tłumem złożonym z kilkuset osób!

Ponownie przygryzł koniuszek wąsa, ale posłusznie utkwiał wzrok w tekście, po czym stanął przy zasłoniętym oknie i odchrząknął.

– Dlaczego socjalizm? – zaczął.

Skoczyłam na równe nogi.

– Fatalnie. Jak będziesz tak mamrotał, nikt z tyłu namiotu cię nie usłyszy.

– Jesteś surowym sędzią, Nancy – oświadczył.

– Jeszcze mi za to podziękujesz. A teraz wyprostuj plecy, unieś głowę i zacznij od początku. Niech głos płynie stąd... – Dotknęłam klamry jego paska, aż drgnął. – ...a nie z gardła. Mów.

– Dlaczego socjalizm? – przeczytał niskim, sztucznym głosem. – Oto kwestia, którą mamy sobie dzisiaj wyjaśnić. Dlaczego socjalizm? Odpowiedź będzie krótka.

Przygryzłam wargę.

– W tym momencie jakiś żartowniś wykrzyknie „Hura!”.

– Coś ty, Nance?

– Masz to jak w banku. Ale musisz to zignorować, inaczej przepadłeś. Dalej, chciałabym poznać całość.

Odczytał całe przemówienie (były tego dwie lub trzy strony), a ja słuchałam i marszczyłam brwi.

– Jeśli będziesz mówił do kartki – zawyrokowałam w końcu – nikt cię nie usłyszy. Znudzą się i zaczną gadać. Widywałam to setki razy.

– Ale ja muszę czytać – zaoponował.

Pokręciłam głową.

– Powinieneś nauczyć się tekstu na pamięć, nie ma rady.

– Co? Mam zapamiętać to wszystko? – Z rozpaczą spojrzął na kartki.

– Zajmie ci to dzień lub dwa – odpowiedziałam i położyłam mu rękę na ramieniu. – Inaczej będziesz musiał wymyślić sobie jakiś śmieszny kostium...

I tak przez cały kwiecień i połowę maja (gdyż zapamiętanie tekstu oczywiście potrwało

znacznie dłużej niż dzień lub dwa) mordowaliśmy we dwoje przemówienie, włączając zdanie po zdaniu do biednej głowy Ralpa i nakłaniając, by tam pozostało. Siadałam jako sufler, z tekstem w dłoni, wsłuchana w monotonne brzmienie głosu Ralpa; kazałam mu powtarzać tekst przy śniadaniu, kiedy myliśmy naczynia lub siedzieliśmy przy kominku; ba, stawałam na korytarzu i odpytywałam go na wrywki, kiedy moczył się w balii.

– Ileż to razy ekonomiści próbowali wam wmówić, że Anglia jest najbogatszym narodem świata? Gdybyście spytali, co przez to rozumieją, odpowiedzieliby... odpowiedzieliby...

– Uważaj! Odpowiedzieliby: Rozejrzyjcie się...

– Odpowiedzieliby: Rozejrzyjcie się wokół, spójrzcie na nasze pałace i kamienice, nasze wiejskie posiadłości i nasze...

– Nasze fabryki.

– Nasze fabryki i nasze...

– Nasze imperium, Ralph!

Z czasem oczywiście sama nauczyłam się tego okropnego przemówienia i mogłam odłożyć kartki, w końcu jednak Ralph również je opanował. Był w stanie wydukać tekst od początku do końca bez podpowiedzi i całość brzmiała niemalże rozsądnie.

Tymczasem dzień wiecu zbliżał się nieubłaganie, co spiętrzyło obowiązki, skłaniając nas do wzmożonego wysiłku. Pomimo początkowego niezadowolenia entuzjazm udzielił się i mnie, przez co byłam niemal równie stremowana i podekscytowana jak Florence.

– Żeby tylko nie padało! – westchnęła, spoglądając przez okno naszej sypialni na wieczorne niebo w przeddzień uroczystości. – Jeśli zacznie padać, parada będzie musiała odbyć się w namiocie, nie braliśmy tego pod uwagę! A jak przyjdzie burza z piorunami? Nikt nie będzie słyszał mówców.

– Nie będzie padać – odrzekłam. – Nie marudź.

Ale ona nadal z niepokojem patrzyła w niebo, aż wreszcie stanęłam obok i również popatrzyłam na chmury.

– Żeby tylko nie padało – powtórzyła.

Żeby odwrócić jej uwagę, chuchnęłam na okno i napisałam na zaparowanej szybie nasze inicjały: *N. A., F. B., 1895 & Zawsze*. Dokoła narysowałam serce i przeszyłam je strzałą.

W niedzielę nie padało: nad Bethnal Green rozciągało się tak czyste i błękitne niebo, jakby sam Bóg został socjalistą i dał nam swe błogosławieństwo. Wstaliśmy wcześniej, umyliśmy włosy, wykąpaliliśmy się i ubrali: wyglądało to jak bez mała przygotowania do wesela. Wspaniałomyślnie postanowiłam wyrzec się spodni (socjaliści i tak nie cieszyli się zbyt dobrą opinią) na rzecz granatowego kostiumu z czerwonym pendantem, krawata w tym samym kolorze oraz melonika. Był to elegancki strój, lecz gdy czekałam w salonie na Florence, spódnica drażniła mnie co nie miara. Wkrótce zjawił się Ralph, ubrany jak kancelista; bez przerwy poprawiał kołnierzyk, który cisnął go w szyję.

Florence włożyła mój ulubiony śliwkowy kostium; po drodze kupiłam kwiatek i przypięłam jej do żakietu. Była to duża stokrotka, która lśniła w blasku słońca niczym lampa.

– Dzięki niej nie stracisz mnie z oczu – żartowała Florence.

Victoria Park zmienił się dziś nie do poznania. Przez cały weekend robotnicy rozstawiali namioty, ławki i mównice; na każdym drzewie wisiały flagi i transparenty, działacze rozkładali na stołach swoje ulotki. Florence wyjęła listę zadań i poszła do pani Macey. Ralph i ja ruszyliśmy wśród opuszczonych sztandarów w kierunku namiotu, w którym miał wygłosić swoje przemówienie. Namiot okazał się największy ze wszystkich.

– Pomieści co najmniej siedemset osób! – zakomunikowali wesoło robotnicy ustawiający krzesła. To czyniło go większym niż niektóre teatry rewiowe, gdzie występowałam; słysząc te słowa, Ralph zbladł jak ściana i czym prędzej usiadł na ławce, by jeszcze raz przećwiczyć mowę.

Zabrałam Cyrila i poszłam się rozejrzeć. Po drodze zamieniłam parę słów ze znajomymi dziewczętami i pomogłam przy uciekających obrusach, pękających skrzynkach oraz rozetach, które ani rusz nie chciały się trzymać. Odnosiłam wrażenie, że otaczają mnie przedstawiciele wszystkich dziwacznych i filantropijnych organizacji i stowarzyszeń – działacze związków zawodowych i sufrażystki, chrześcijańscy scjentyści, chrześcijańscy socjaliści, żydowscy socjaliści, irlandzcy socjaliści, anarchiści, wegetarianie... „Czy to nie cudowne?“, słyszałam zewsząd, zarówno od obcych, jak i znajomych. „Czy kiedykolwiek widzieliście coś podobnego?“. Jakaś kobieta dała mi satynową wstążkę do kapelusza; przypięłam ją do koszulki Cyrila. Widząc go w barwach SDF-u ludzie z uśmiechem potrząsali głowami i mówili: „Czołem, towarzyszu!“.

– Na zawsze zapamięta ten dzień! – rzekł pewien mężczyzna, dotykając główki Cyrila, po czym dał mu pensa i powiódł wokół roziskrzonym wzrokiem. – Wszyscy go zapamiętamy...

Wiedziałam, że tak właśnie będzie. I choć nie szczędziłam Florence wyrzutów, a podczas szycia flag nie dbałam o krzywe ściegi i zabrudzenia, teraz z radością patrzyłam, jak park wypełnia się nieprzeliczoną rzeszą ludzi, a słońce wydobywa pełnię czaru z kolorów. Florence liczyła na pięć tysięcy uczestników, kiedy jednak weszłam na wzniesienie i posadziwszy sobie Cyrila na ramionach rozejrzałam się dokoła, zobaczyłam, że przybyło ich chyba z dziesięć razy tyle. Wydawało się, że wszyscy szarzy ludzie ze wschodniego Londynu zgromadzili się w Victoria Park, pogodni i ubrani w odświeżone stroje. Podejrzewam, że przyszli zarówno z uwagi na wiec socjalistów, jak i piękną pogodę; rozkładali koce pomiędzy namiotami, jedli drugie śniadanie, tulili dzieci i ukochane, a także bawili się z psami. Dostrzegłam jednak, że uważnie słuchają padających z mównic zdań, to potakując, to znów wyrażając sprzeciw; widziałam też, jak marszczą brwi nad treścią ulotek, podpisują się pod jakąś listą bądź sięgają do kieszeni po drobne na zbożny cel.

Kiedy tak stałam, zobaczyłam kobietę z gromadką dzieci przy spódnicy. Była to pani Fryer, biedna szwaczka, którą Florence i ja odwiedziłyśmy jesienią. Zawołałam na nią; podeszła z uśmiechem.

– Jednak zapisałam się do związku – oznajmiła. – Pani przyjaciółka mnie przekonała...

Rozmawialiśmy przez chwilę; jej dzieci jadły pieczone jabłka na patyku i dały kawałek Cyriłowi do polizania. Naraz zagrała muzyka i wszyscy wyciągnęli szyje: uniosłyśmy dzieci do góry i obserwowałyśmy robotniczą paradę: kobiety i mężczyźni w strojach reprezentujących wszystkie zawody nieśli transparenty, kwiaty i sztandary. Trwało to dobre pół godziny, a na zakończenie widzowie jęli gwizdać na palcach, klaskać i wiwatować. Pani Fryer wzruszyła się do łez, gdyż w pochodzie uczestniczyła najstarsza córka jej sąsiadki.

Żałowałam, że nie ma ze mną Florence; wypatrywałam jej śliwkowego kostiumu i stokrotki, lecz choć dostrzegłam niemalże wszystkich znajomych, którzy przewijali się przez nasz salonik, nie było jej w pobliżu. Wreszcie znalazłam ją w namiocie, gdzie odbywały się przemówienia: spędziła całe popołudnie, słuchając wykładów.

– Słyszałaś? – wykrzyknęła na mój widok. – Chodzą słuchy, że przyjedzie Eleonora Marks. Nie ruszę się stąd, żeby nie przegapić jej odczytu!

Okazało się, że od śniadania nie miała nic w ustach: kupiłam jej przekąskę oraz kubek piwa imbirowego. Po powrocie zastałam przy niej Ralpha. Spocony jak mysz i jeszcze bledszy niż rano, bez przerwy szarpał przyciasny kołnierzyk. Wszystkie miejsca w namiocie były zajęte, dużo osób stało. Panował nieznośny upał, ludzie byli wyjątkowo rozdrażnieni. Jeden z mówców rzucił jakąś niefortunną uwagę i został bezlitośnie wygwizdany.

– Nie wygwizdzą cię, Ralph – rzekłam na pocieszenie, lecz widząc jego niepokój, zostawiłam dziecko Florence i wyprowadziłam go na świeże powietrze. – Chodź, zapalimy papierosa. Nie możesz pokazać, że jesteś zdenerwowany.

Stanęliśmy przy wejściu do namiotu. Minęło nas kilku mężczyzn z warsztatu Ralpha, którzy na powitanie unieśli ręce. Zapaliłam dwa papierosy i podałam jeden Ralphowi. Ujął go drżącymi palcami i omal nie upuścił.

– Na pewno uważasz mnie za głupca – bąknął z przeproszającym uśmiechem.

– Nieprawda! Pamiętam, jak bardzo się bałam przed pierwszym występem. Myślałam, że wymiotuję.

– Przed chwilą miałem to samo uczucie.

– Każdy ma, a nikt nie wymiotuje. – Nie była to do końca prawda: często widywałam artystów pochylonych nad miskami lub cebrzykami, lecz oczywiście nie wspomniałam o tym Ralphowi.

– Występowałaś kiedyś przed wzburzoną publicznością, Nance? – zapytał.

– No pewnie – odrzekłam. – W jednym teatrze, w Deacon's w Islington, widzowie złapali artystę, który występował przed nami, zawiesili go nad rampą głową w dół i usiłowali podpalić mu włosy.

Słyszając to, Ralph zamrugał powiekami i czym prędzej zajrzał do namiotu: wolał się upewnić, że nie ma w nim żadnych płomieni, nad którymi nieprzyjaźni słuchacze mogliby chcieć go zawiesić. Popatrzył z niesmakiem na papierosa i rzucił go na ziemię.

– Wybacz – powiedział – ale będzie lepiej, jeśli jeszcze raz przećwiczę mowę. – I nim

zdążyłam odwieść go od tego pomysłu, oddalił się pospiesznie, pozostawiając mnie samą.

Bynajmniej mi to nie przeszkadzało: na zewnątrz było znacznie przyjemniej niż w środku namiotu. Z papierosem w ustach skrzyżowałam ręce na piersi i stanęłam przy płóciennej ścianie. Przymknęłam oczy i wystawiłam twarz ku słońcu, po czym wyjęłam papierosa i ziewnęłam szeroko.

W tej samej chwili podskoczyłam na dźwięk kobiecego głosu, który rozległ się tuż obok.

– No proszę! Nancy King na wiecu robotniczym! Kogo jak kogo, ale ciebie bym się tu nie spodziewała zobaczyć!

Otworzyłam oczy i upuściwszy papierosa, wydałam przeciągły okrzyk.

– Zena! Ach! Czy to naprawdę ty?

W rzeczy samej: stała przede mną nieco bardziej zaokrąglona i ładniejsza niż wówczas, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Była ubrana w czerwony płaszcz i miała bransoletkę z amuletami.

– Zena! – powtórzyłam. – Ach! Jak miło cię widzieć! – Chwyciłam ją za rękę i mocno uścisnęłam.

– Widziałam tu już dzisiaj chyba wszystkich znajomych – odrzekła ze śmiechem. – Potem zobaczyłam ciebie, z papierosem w ustach, koło namiotu i pomyślałam: Boże, czy to nie stara Nan King? A to ci dopiero, że trafiłyśmy na siebie akurat tutaj! Podeszłam bliżej, zauważyłam obcięte włosy i już wiedziałam, że to na pewno ty.

– Ach, Zeno, byłam przekonana, że nigdy więcej się nie spotkamy. – Zrobiła zakłopotaną minę, na co jeszcze mocniej ścisnęłam jej palce i dodałam innym tonem: – Miałaś tupet! Zostawić mnie w Kilburn w takiej sytuacji! Myślałam, że już po mnie.

– Też! – odparła, udając dotkniętą. – To ty ładnie mnie urządziłaś z tymi pieniędzmi.

– Wiem. Byłam okropna! Podejrzewam, że jednak nie pojechałaś do kolonii...

Zmarszczyła nos.

– Moja znajoma nie zagrzała miejsca w Australii. Mówi, że to miejsce roi się od nieokrzesanych gburów, którzy nie szukają gospodyń, tylko żon. Więc postanowiłam tu zostać. W Stepney nie jest wcale najgorzej.

– Mieszkaś w Stepney? No to jesteśmy niemalże sąsiadkami! Ja mieszkam w Bethnal Green. Z dziewczyną. Patrz, tam stoi. – Położyłam jej dłoń na ramieniu i wskazałam środek zatłoczonego namiotu. – Ta w pobliżu mównicy, z dzieckiem na rękę.

– Co takiego? – zdziwiła się Zena. – Chyba nie mówisz o Flo Banner z zakładu dla dziewcząt!

– Czyżbyś ją znała?

– Znam kilka dziewcząt, które mieszkały we Freemantle House. Wychwalają ją pod niebiosa! Pewnie słyszałaś, że połowa podopiecznych twojej Flo jest w niej zakochana na zabój...

– We Florence? Jesteś pewna?

– A jak! – Obie zajrzałyśmy do namiotu. Florence stała pod sceną i wymachiwała kartką, zawzięcie dyskutując z mówcą. – Ty i Flo Banner! – roześmiała się Zena. – Dam głowę, że

jej nie zamydlisz oczu pięknymi słowami.

– Święta racja – odpowiedziałam. Wciąż spoglądałam na Florence, rozpamiętując słowa Zeny. – Nie zamydlę.

Ponownie stanęliśmy w słońcu.

– A co u ciebie? – zapytałam. – Pewnie też kogoś masz, co?

– Owszem – odrzekła skromnie. – Prawdę powiedziawszy, mam dwie i jeszcze się nie zdecydowałam, którą wybrać...

– Dwie! Boże jedyny! – Wyobraziłam sobie konieczność wyboru pomiędzy dwiema dziewczętami pokroju Florence i ciarki mnie przeszły na samą myśl.

– Jedna gdzieś się tutaj kręci – ciągnęła Zena. – Należy do związku i... O, jest! Maud! – Na jej okrzyk dziewczyna w płaszczyku w niebiesko-brązową kratkę odwróciła się i podeszła bliżej. Zena wzięła ją pod rękę, a tamta popatrzyła na nią z uśmiechem.

– To panna Skinner – przedstawiła ją Zena, po czym zwróciła się do dziewczyny: – Maud, to jest Nan King, artystka rewiowa. – Panna Skinner, która liczyła sobie około dziewiętnastu lat i podczas mojego ostatniego występu w Brit pewnie nosiła jeszcze krótką spódniczkę, uprzejmie podała mi rękę. – Panna King mieszka z Flo Banner – ciągnęła Zena. Uścisk panny Skinner natychmiast przybrał na sile i dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

– Flo Banner? – zawołała dokładnie takim samym tonem, jak wcześniej tamta. – Flo Banner, ze związku? Ach! Czy byłaby pani tak dobra... miałam tu gdzieś program... czy mogłaby ją pani poprosić, by go dla mnie podpisała?

– Podpisała! – powtórzyłam.

Drżącą ręką podała mi biuletyn z kolejnością przemówień i rozkładem namiotów. Zobaczyłam, że nazwisko Florence widniało na liście organizatorów.

– No cóż – powiedziałam. – Oczywiście. Ale przecież sama może pani poprosić, ona tam stoi...

– To niemożliwe! – wykrzyknęła panna Skinner. – Nie mam odwagi...

W końcu wzięłam biuletyn, obiecując, że zrobię, co w mojej mocy. Panna Skinner popatrzyła na mnie z wdzięcznością i pospieszyła do przyjaciółek, by opowiedzieć im, kogo spotkała.

– Romantyczna, prawda? – odezwała się Zena, ponownie marszcząc nos. – Mogłabym ją zostawić dla tamtej, chociaż...

Potrząsnęłam głowę i raz jeszcze spojrzawszy na biuletyn, schowałam go do kieszeni spódnicy.

Rozmawialiśmy przez chwilę o różnych sprawach, po czym Zena spytała:

– Jednym słowem, jesteś szczęśliwa w Bethnal Green? Ale to nie to samo, co dawniej, prawda...?

– Nie lubię wracać myślami do tamtych dni, Zeno – odrzekłam z grymasem. – Zmieniłam się.

– Na to wygląda. Ta cała Diana Lethaby... Oczywiście widziałas ją?

– Dianę? – Potrząsnęłam głową. – W żadnym razie! Uważasz, że po tym okropnym

wieczorze wróciłabym na Felicity Place...?

Zena wytrzeszczyła oczy.

– Nie mów, że nic nie wiesz. Diana jest tutaj!

– Tutaj? To niemożliwe!

– A jednak! Mówię ci! Chyba wszyscy tu dzisiaj przyszli, ona też. Widziałam ją przy stoisku jakiejś gazety albo czasopisma. Myślałam, że na jej widok padnę trupem!

– Mój Boże.

Diana, tutaj! Myśl była okropna, a jednak... Cóż, jak to mówią, stare psy nigdy nie zapominają dawnych sztuczek. Wzmianka o Dianie sprawiła, że poczułam lekki ucisk w żołądku. Zerknąwszy do namiotu, zobaczyłam Florence, która znów perorowała, wymachując ręką w stronę mównicy. Następnie popatrzyłam na Zenę.

– Pokażesz mi gdzie? – zapytałam.

Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, po czym ująwszy mnie za rękę, poprowadziła przez tłum w kierunku jeziora, gdzie stanęliśmy pod osłoną zarośli.

– Tam – powiedziała ściszym tonem. – Obok stołu. Widzisz ją?

Skinęłam głową. Stała przy stoisku magazynu dla pań „Trzon”, w którym się czasem udzielała, i rozmawiała z jakąś kobietą; była to najwyraźniej jedna z Safon z pamiętnego balu kostiumowego, z szarfą sufrażystek na piersi. Diana ubrała się w szary kostium i miała kapelusz z podniesioną woalką. Wydawała się równie wyniosła i atrakcyjna jak zawsze. Kiedy tak na nią patrzyłam, oczami wyobraźni ujrzałam siebie, leżącą obok niej w skłębionej pościeli, z perłami wokół bioder, rozkołysane łóżko, skórzaną uprząż...

– Jak myślisz, co by zrobiła – zapytałam Zeny – gdybym do niej podeszła?

– Chyba nie zamierzasz!

– Dlaczego? Nie ma już nade mną władzy. – Mówiąc to, spojrzałam ponownie na Dianę i poczułam nawrót dawnej pokory... choć to może niewłaściwe słowo. Zupełnie jakby była mesmerystką na seansie, a ja otumanionym dziewczęciem, gotowym upokorzyć się przed wszystkimi na jedno skinienie medium...

– Cóż, ja tam do niej nie podejść – oznajmiła Zena.

Nie słuchałam. Rzuciwszy kolejne spojrzenie na namiot, wyszłam z krzaka i ruszyłam w stronę stoiska, machinalnie poprawiając krawat. Kiedy dzieliło nas około dwudziestu metrów, uniosłam rękę, żeby zdjąć kapelusz, gdy naraz zwróciła twarz w moją stronę i odniosłam wrażenie, że spogląda prosto na mnie. Jej spojrzenie stało się ostre, sardoniczne, a zarazem pożądlive, dokładnie takie, jak zapamiętałam. Serce podskoczyło mi w piersi – ze strachu! – tak jakby ktoś zarzucił wędkę i złapał je na haczyk.

Wówczas Diana zawołała:

– Reggie! Reggie, chodź tutaj! Mało się nie potknęłam.

– Idę, już idę – dobiegła z tyłu burkliwa odpowiedź; odwróciwszy się, ujrzałam nadąsanego chłopca. Lizał lody, trzymając je w pewnej odległości od siebie, najwyraźniej w obawie, że zachłapie spodnie. Spodnie istotnie były ładne, w kroku rysowało się wyraźne wybrzuszenie. Sam chłopiec, wysoki i szczupły, miał ciemne, bardzo krótko

przystrzyżone włosy, ładną twarz i dziewczęco zaróżowione usta...

Gdy stanął obok Diany, ta nachyliła się i wyjąwszy z jego kieszeni chusteczkę, zaczęła wycierać mu nogawkę na wysokości uda. Chyba jednak lody kapnęły mu na spodnie. Druga dama spoglądała na to z uśmiechem, po czym mruknęła coś, co sprawiło, że ładny chłopiec oblał się rumieńcem.

Patrzyłam na to ze zdumieniem; wreszcie powoli zrobiłam krok w tył, najpierw jeden, a potem następny. Nie wiem, czy Diana ponownie uniosła wzrok, nie widziałam. Kiedy Reggie uniósł rękę, by polizać lody, mankiet zsunął mu się nieco, odsłaniając zegarek... Potrząsając głową, pobiegłam z powrotem za krzak i ukryłam twarz na ramieniu Zeny.

Gdy znów popatrzyłam na Dianę, trzymała Reggiego pod rękę. Stali rozbawieni, z głowami nachylonymi ku sobie. Zerknęłam na Zenę. Przygryzła wargę.

– Bogatemu diabeł dzieci kołysze, daję słowo – powiedziała. Następnie znowu przygryzła wargę i zachichotała.

Ja też się roześmiałam.

– Mam nadzieję, że dostanie to, na co zasłużyła! – odrzekłam, rzucając w ich kierunku kolejne rozgoryczone spojrzenie.

Zena spojrzała na mnie z ukosa.

– Kto? – spytała. – Diana czy...?

Skrzywiłam się bez słowa.

Wróciłyśmy do namiotu przemówień i Zena oświadczyła, że musi poszukać Maud.

– Między nami zgoda? – zapytałam, kiedy podałyśmy sobie ręce.

Kiwnęła głową.

– Musisz mnie kiedyś przedstawić pannie Banner.

– Tak. A ty musisz nas odwiedzić i powiedzieć jej, że mi wybaczyłaś: piekielnie suszyła mi głowę z twojego powodu.

Uśmiechnęła się, po czym coś ściągnęło jej uwagę i odwróciła głowę.

– To moja druga dziewczyna – rzuciła pospiesznie, wskazując na barczystą kobietę o nieco męskim wyglądzie, która spoglądała na nas z niezadowoleniem. – Ta lubi stawiać na swoim – dodała z grymasem Zena.

– Rzeczywiście, wygląda na nieustępliwą. Lepiej już idź, nie chcę mieć znowu podbitego oka.

Z uśmiechem uścisnęła mi palce; zobaczyłam, jak podchodzi do kobiety i całuje ją w policzek, po czym obie znikają w tłumie. Wróciłam do namiotu. Było tu jeszcze bardziej duszno niż przedtem, powietrze zgęstniało od dymu, słońce padało gdzieś na spocone twarze słuchaczy, nadając im żółtawy odcień. Na mównicy męczyła się jakaś kobieta; kilkanaście osób powstało z miejsc i kłóciło się z nią zawzięcie. Florence siedziała przed podium, Cyril dokazywał na jej kolanach. Obok niej dostrzegłam Annie i pannę Raymond z jeszcze jedną, nieznaną mi, ładną jasnowłosą dziewczyną. Ralph siedział w pobliżu; miał mokre czoło i twarz napiętą ze strachu.

Obok Florence było puste miejsce; usiadłam i wzięłam dziecko z jej rąk.

– Gdzieś ty się podziewała? – zapytała głośno, abym ją usłyszała pomimo wrzawy. – Niedobrze. Przyszła spora grupka krzykaczy. Biedny Ralph ma przemawiać następny: jest tak rozgorączkowany, że mogłabym usmażyć na nim jajko.

Podrzuciłam Cyrila na kolanie.

– Flo – powiedziałam – nigdy nie zgadniesz, kogo przed chwilą widziałam!

– Kogo? – spytała. Spojrzała na mnie z trwogą. – Chyba nie Eleonorę Marks?!

– Nie, nie, w żadnym razie. Spotkałam Zenę, dziewczynę, którą poznałam u Diany Lethaby. Widziałam też samą Dianę! Przyszły tu obie, masz pojęcie? Kiedy zobaczyłam Dianę, myślałam, że umrę! – Trzęsłam Cyrilem, aż zaczął piszczeć.

Lecz Florence zeszywniała.

– Boże! – powiedziała tonem, od którego aż się wzdrygnęłam. – Czy twoja paskudna przeszłość musi przesładować nas nawet tutaj? Nie wysłuchałaś ani jednego przemówienia, podejrzewam, że nie przejrzałaś też żadnej ulotki. Myślisz wyłącznie o sobie i kobietach, które... które...

– Kobietach, które pieprzyłam, to pewnie chciałaś powiedzieć – dokończyłam cicho. Odsunęła się, dotknięta i zaszokowana, a mnie ogarnęła nagła złość. – Cóż, przynajmniej mogę to powiedzieć. Ty nie miałaś tyle szczęścia z Lilian.

Florence otworzyła usta, jej oczy zalśniły łzami.

– Ty mała żmijo – syknęła – jak możesz mówić mi takie rzeczy?

– Ponieważ mam dość wysłuchiwania historii o wspaniałej Lilian, ot co!

– Bo była wspaniała. Była. To ona powinna tu siedzieć, nie ty. Wszystko by rozumiała, podczas gdy ty...

– Pewnie wolałabyś widzieć ją tutaj zamiast mnie? – odparłam, niewiele myśląc.

Rzuciła mi łzawe spojrzenie. Ja też byłam bliska płaczu, dławilo mnie w gardle.

– Nance – powiedziała łagodniejszym tonem, ale uniosłam rękę i odwróciłam głowę.

– Zawarłyśmy układ, prawda? – odrzekłam, starając się, by moje słowa nie zabrzmiały z goryczą. A kiedy nie odpowiedziała, dodałam: – Bóg jeden wie, że sama wolałabym się teraz znaleźć gdzie indziej!

Chciałam jej dokuczyć, lecz gdy wstała i odeszła, zasłaniając oczy rękami, zrobiło mi się strasznie przykro. Sięgnęłam do kieszeni po chustkę i wyjęłam program panny Skinner. Bezwiednie utkwiałam w nim wzrok, oszołomiona nieoczekiwanym zwrotem wydarzeń. Tymczasem kobieta na mównicy dalej ochryple dyskutowała z natrętami z widowni. Powietrze wydawało się nabrzmiące okrzykami, dymem i złością.

Uniosłam wzrok. Florence stała pod ścianą z Annie i panną Raymond; potrząsała głową, a one uspokajająco kładły jej ręce na ramionach. Podchwyciłam spojrzenie Annie; podeszła bliżej i rzuciła mi ostrożny uśmiech.

– Powinnaś już wiedzieć, że lepiej nie zadzierać z Florrie – odezwała się, siadając obok mnie. – Ma język ostry jak brzytwa.

– Mówi prawdę – oświadczyłam z rezygnacją. – A to boli najbardziej. – Westchnęłam, po czym zmieniłam temat: – Jak ci minął dzień, Annie?

– Wybornie – odpowiedziała. – Jest cudownie.
– Kim jest ta dziewczyna obok twojej Emmy? – Wskazałam na jasnowłosą kobietę, stojącą przy panie Raymond.

– To pani Costello. Owdowiała siostra Emmy.

– Aha! – Słyszałam o niej wcześniej, lecz nie sądziłam, że okaże się tak młoda i ładna. – Niczego sobie. Szkoda, że nie jest... taka, jak my. Nie ma na to żadnej nadziei?

– Niestety, nie. Ale to przemiła dziewczyna. Miała wspaniałego męża; Emma mówi, że jej siostra traci nadzieję, iż kiedykolwiek znajdzie godnego mu następcę. Wszyscy mężczyźni, jacy się nią interesują, okazują się bokserami...

Uśmiechnęłam się blado; szczerze powiedziawszy, pani Costello nie bardzo mnie interesowała. Słuchając jednym uchem wywodów Annie, zerkałam na Florence. Stała w znacznej odległości ode mnie, trzymając w ręku chusteczkę, lecz na jej poblaskich policzkach nie było śladu łez. I choć uparcie kierowałam wzrok w jej stronę, wyraźnie nie miała ochoty odwzajemnić spojrzenia.

Już miałam do niej podejść, kiedy wrzawa przybrała na sile: kobieta skończyła przemawiać i schodziła z podium przy wtórze niemrawych oklasków. Naturalnie to oznaczało, że przyszła kolej na Ralpa. Patrzyłam wraz z Annie, jak wywołany na podium chwiejnie wchodzi po schodkach i zajmuje miejsce na mównicy.

Spojrzałam niepewnie na Annie; przygryzła wargę. Widownia nieco przycichła, choć zachowanie zgromadzonych i tak pozostawiało wiele do życzenia. Wyglądało na to, że poważni słuchacze zmęczeni się i opuścili namiot, ustępując miejsca znudzonej, ziewającej i hałaśliwej gawiedzi.

Ralph stanął teraz przed zde gustowanym audytorium i odchrząknął. Widziałam, że trzyma w ręku tekst przemówienia, pewnie na wypadek, gdyby się pogubił. Czoło miał spocone i cały zeszywniał. Byłam przekonana, że przy takim napięciu nigdy nie zdoła dostatecznie głośno wydobyć głosu z gardła.

Odkasznął raz jeszcze i zaczął.

– Dlaczego socjalizm? Oto kwestia, którą mamy sobie dzisiaj wyjaśnić.

Jego głos z trudem docierał do trzeciego rzędu, gdzie siedziałam wraz z Annie. Ktoś z tyłu krzyknął: „Głośniej!”. Zawtórował mu wybuch gromkiego śmiechu. Ralph ponownie odchrząknął.

– Dlaczego socjalizm? – powtórzył donośniej, lecz zarazem nieco ochryple. – Odpowiedź będzie krótka.

– Widać mamy jednak za co Bogu dziękować! – odpowiedział mu okrzyk z tłumu, dokładnie tak, jak przewidziałam. Ralph rozejrzał się w popłochu, zbity z tropu. Ujrzałam ze zgrozą, że stracił wątek i musiał zajrzeć do tekstu. W potwornej ciszy odszukał właściwe zdanie i jął odczytywać przemówienie z nosem wlepionym w kartkę, podobnie jak w saloniku na Quilter Street.

– Ile razy – wydukał – ekonomiści mówili wam, że Anglia to najbogatszy naród świata...?

Mimowolnie recytowałam wraz z nim, popędzając go w duchu, Ralph jednak mamrotał i cedził słowa, kilka razy nawet podniósł papier do światła, nie mogąc odczytać tekstu. Zobaczyłam, że prowadzący, który siedział na tyłach podium, ma wyraźną ochotę wstać i powiedzieć mu, żeby mówił głośniej albo dał sobie spokój. Florence, blada i przejęta, z troską śledziła wysiłki brata, zapominając o własnych zmartwieniach.

Ralph dotarł do statystyk.

– Dwieście lat temu – przeczytał – wartość gruntu i kapitału Wielkiej Brytanii wynosiła pięćset milionów funtów, dzisiaj jest warta... jest warta... – Ponownie uniósł kartkę. Jakiś mężczyzna zerwał się z miejsca i wrzasnął:

– Ktoś ty, człowieku? Socjalista czy belfer? – Słyszając to, Ralph skurczył się, jakby otrzymał cios w twarz.

– O nie! – szepnęła Annie. – Biedny Ralph! Nie mogę tego znieść!

– Ja też nie – odpowiedziałam. Wstałam i podawszy jej Cyrila, wbiegłam na podium, przeskakując po dwa schodki naraz. Prowadzący chciał zastąpić mi drogę, ale powstrzymałam go ruchem ręki i stanęłam przy spoconym Ralphie.

– Och, Nance – jęknął. W życiu nie widziałam go tak bliskiego płaczu. Mocno ścisnęłam go za ramię i popatrzyłam na widownię. W namiocie zapadła cisza jak makiem zasiał; ludzie z zapartym tchem patrzyli, jak wbiegam na podium i zajmuję miejsce obok Ralpa. Korzystając z chwili spokoju, postanowiłam kuć żelazo, póki gorące.

– A więc nie lubicie matematyki? – wykrzyknęłam ile sił w płucach, podejmując przerwany wątek. – Być może ciężko wam myśleć w milionach, pomyślmy zatem w tysiącach. Weźmy na przykład trzysta tysięcy. Jak myślicie, o czym mówię? O pensji Lorda Majora? – Odpowiedziały mi chichoty: kilka lat wcześniej informacja o wysokości zarobków przewodniczącego rady Londynu wywołała niemały skandal. Wyłowiłam z tłumu tych, co się śmiali, i zwróciłam się bezpośrednio do nich: – Nie, łaskawa pani – powiedziałam. – Nie mówię o funtach, ani nawet szylingach. Mówię o ludziach. O mężczyznach, kobietach i dzieciach zamieszkujących warsztaty Londynu, Londynu! Najbogatszego miasta najbogatszego państwa największego imperium świata! W tej chwili...

Przemawiałam dalej w tym duchu i śmiechy przycichły. Opowiadałam o biedakach i o tych wszystkich ludziach z Bethnal Green, którzy umrą w tym roku w łózkach wciśniętych w kąk warsztatu.

– Czy będzie pan jednym z nich? – zawołałam, dodając jeszcze parę retorycznych ozdobników. – A może pani? Albo jej wiekowa matka? Albo ten mały chłopiec. – Dzieciak wybuchnął płaczem. – Ile będziemy mieli lat, kiedy umrzemy? – zapytałam. Zwróciłam się do Ralpa, który wpatrywał się we mnie z nabożnym podziwem, i zawołałam głośno, aby wszyscy mogli usłyszeć: – Panie Banner, proszę nam powiedzieć, ile wynosi średnia długość życia w Bethnal Green?

Ralph oniemiał, a kiedy z całej siły uszczypnęłam go w ramię, obwieścił:

– Dwadzieścia dziewięć!

– Ile? – wykrzyknęłam, jakbyśmy brali udział w komediowym dialogu, na co Ralph wrzasnął jeszcze głośniejsze: – Dwadzieścia dziewięć!

– Dwadzieścia dziewięć – powtórzyłam, zwracając się do widowni. – A gdybym była wielką damą, panie Banner? Gdybym tak mieszkała w Hampstead albo... albo w St John's Wood, żyjąc wygodnie z udziałów w Bryant i May? Jaka jest przeciętna długość życia owych dam?

– Pięćdziesiąt pięć lat – odparł bez wahania. – Pięćdziesiąt pięć! Prawie dwa razy tyle. – Przypomniał sobie treść przemówienia i pod moim milczącym naciskiem mówił dalej, niemal równie głośno jak ja. – Na każdą osobę, która umiera w eleganckich dzielnicach miasta, przypadają cztery z East Endu. Wiele z nich umrze na choroby, którym ich bogaci sąsiedzi umieją zapobiegać i które potrafią leczyć. Wielu umrze zabitych przez maszyny w swoich warsztatach. A inni po prostu z głodu. Tak jest, jeszcze tego wieczoru jedna lub dwie osoby odejdą z tego świata, zagłodzone na śmierć... I to wszystko po tym, jak według ekonomistów w ciągu dwustu lat majątek Wielkiej Brytanii powiększył się dwudziestokrotnie! W najbogatszym mieście na ziemi!

Odpowiedziały mu pojedyncze okrzyki. Poczekaliśmy, aż umilkną.

– Dlaczego tak się dzieje? – zapytałam tak cicho, że ludzie wychylili się do przodu i marszczyli brwi, wyciągając słuch. – Dlatego, że robotnicy są rozrzutni? Dlatego, że wolą wydawać pieniądze na piwo i gin, wyprawy do teatrów, na tytoń oraz wyścigi, zamiast kupić dzieciom chleb i mięso? Tak utrzymują bogacze. Ale czy to prawda? Kiedy bogaci zaczynają mówić o biednych, nagle prawda przybiera najdziwniejszą postać. Pomyślcie tylko: gdybyśmy włamali się do domu bogacza, nazwałby nas złodziejami i posłał do więzienia. Gdybyśmy postawili nogę na jego ziemi, poszczułby nas psami jako złoczyńców! Gdybyśmy zabrali mu trochę złota, byłibyśmy kieszonkowcami, a gdybyśmy w zamian za złoto zażądali pieniędzy, nazwałby nas oszustami i paserami! Lecz w jaki sposób sam doszedł do pieniędzy, jeśli nie kradzieżą i rozbojem? Bogacz okrada swoich konkurentów, zagrabia ziemię i ograda ją murem, zabiera nasze zdrowie, naszą wolność, kradnie owoce naszej pracy i zmusza nas, byśmy je od niego odkupili! Czy nazywa się to kradzieżą, niewolnictwem i paserstwem? Nie: znamy to pod nazwą „inicjatywy”, „zaradności” i „kapitalizmu”. Znamy to pod nazwą „praw natury”. Ale czy to naturalne, że niemowlęta umierają z braku mleka? Czy to naturalne, że kobiety szyją po nocach w ciasnych i dusznych warsztatach? Naturalne, że mężczyźni i chłopcy ryzykują śmierć lub kalectwo, aby zdobyć parę węgielków na opał, a piekarze dławią się dymem, piekąc nam chleb?

Stopniowo podnosiłam głos, by wreszcie ryknąć na całe gardło.

– Czy to naturalne? Czy tak ma wyglądać sprawiedliwość?

– Nie! – odpowiedziało ze sto głosów. – Nie! Nie!

– Socjaliści w pełni się z wami zgadzają! – wrzasnął Ralph. Zmiał kartkę z przemówieniem i potrząsnął zaciśniętą pięścią. – Dostyc patrzania, jak wszystko idzie do kieszeni bogatych nierobów! Nie chcemy części ich majątku, ochłapu, który od czasu do

czasu raczą nam rzucić. Pragniemy daleko idących zmian! Żądamy należytego wykorzystania pieniędzy, a nie ich gromadzenia! Chcemy widzieć, jak nasze dzieci rosną, a ciasne, mroczne warsztaty odchodzą w niepamięć!

Odpowiedziały mu wiwaty. Ralph podniósł rękę.

– Teraz wiwatujecie – powiedział. – Łatwo wiwatować, kiedy dopisuje pogoda. Musicie jednak zrobić coś więcej. Musicie działać. Ci z was, którzy pracują, zarówno mężczyźni, jak kobiety, wstąpcie do związków! Ci, którzy mają prawo do głosowania, niech głosują! Głosujcie, aby tacy jak wy mogli reprezentować was w parlamencie. I róbcie wszystko, aby wasze siostry, córki i żony mogły głosować razem z wami!

– Idźcie do domu – podjęłam, postępując krok do przodu – i postawcie sobie pytanie, jakie dzisiaj zadał wam pan Banner: dlaczego socjalizm? Będziecie zmuszeni odpowiedzieć tak samo jak my: ponieważ mieszkańcy Wielkiej Brytanii wypruwali sobie żyły w systemie feudalnym i kapitalistycznym, zyskując w zamian nędzę, strach i choroby. Ponieważ ani dobroczynność, ani liche reformy nie poprawią sytuacji najbiedniejszych, nie sprawią tego również podatki, kolejny rząd kapitalistyczny ani nawet obalenie Izby Lordów! Sprawi to jedynie oddanie ziemi i przemysłu w ręce robotników. Ponieważ socjalizm jest jedyną gwarancją sprawiedliwości społecznej, gdzie dobra są dzielone nie pomiędzy obiboków, lecz ludzi ciężko pracujących, czyli was: was, dzięki którym bogacze urosli w siłę, dając w zamian guzik z pętelką!

Nastała sekunda ciszy, po czym gruchnęły oklaski. Spojrzałam na Ralpha – miał czerwone policzki i rzęsy mokre od łez – i chwyciwszy go za rękę, uniosłam ją wysoko do góry. Kiedy owacje wreszcie ucichły, popatrzyłam na Florence, która tymczasem usiadła obok Annie i Cyrila i obserwowała mnie z dłonią przyciśniętą do ust.

Prowadzący podszedł, żeby uścisnąć nam ręce. Następnie zeszedł z podium i natychmiast otoczyły nas uśmiechnięte twarze ludzi, którzy nie szczędzili nam słów uznania.

– Całkowity sukces! – zawołała Annie, wysuwając się przed wszystkich. – Byłeś niesamowity, Ralph!

Ralph spłonął rumieńcem.

– To zasługa Nancy – odpowiedział nieśmiało. Annie wyszczerzyła zęby i zwróciła się do mnie.

– Brawo! – wykrzyknęła. – Cóż za wystąpienie! Gdybym miała kwiat, na pewno bym go rzuciła! – Nie mogła dodać nic więcej, gdyż zza jej pleców wyszła starsza kobieta i ruszyła w moim kierunku. Była to pani Macey ze Wspólnoty Kobiet.

– Moja droga! – powiedziała. – Muszę pani pogratulować! Jaka poruszająca mowa! Podobno kiedyś była pani aktorką...?

– Tak mówią? – odrzekłam. – Owszem, kiedyś.

– Cóż, skoro mamy w naszych szeregach taki talent, nie możemy pozwolić, aby się zmarnował. Proszę obiecać, że jeszcze wystąpi pani w naszej sprawie. Jeden charyzmatyczny mówca potrafi zdziałać cuda wśród tłumu niezdecydowanych słuchaczy.

– Uczynię to z przyjemnością – odrzekłam. – Ale sama będzie pani musiała napisać

przemówienie...

– Naturalnie! Naturalnie! – Klasnęła w ręce i uniosła wzrok. – Ach! Wyobraźcie sobie te wiece i debaty, a może nawet... kto wie?... cykl wykładów!

Popatrzyłam na nią w osłupieniu. Naraz ktoś stanął obok mnie; odwróciwszy się, zobaczyłam panią Costello, siostrę Emmy Raymond. Była zarumieniona i podekscytowana.

– Cudowne przemówienie! – powiedziała nieśmiało. – Mało się nie rozplakałam. – Jej śliczna twarzyczka była blada i poważna, a wielkie, niebieskie oczy lśniły jak gwiazdy. Ponownie przeszło mi przez myśl, że szkoda, iż nie jest jedną z nas... zaraz jednak przypomniałam sobie słowa Annie: że straciła dobrego męża i szukała drugiego.

– Bardzo pani uprzejma – odrzekłam gorąco. – Ale tak naprawdę wszystkie pochwały należą się panu Bannerowi. To on napisał przemówienie. – Z tymi słowy pociągnęłam do siebie Ralpa. – Ralph – powiedziałam – to pani Costello, owdowiała siostra panny Raymond. Twoja mowa zrobiła na niej wielkie wrażenie.

– Naprawdę – zapewniła go pani Costello.

Ujął wyciągniętą rękę, cieleńco wpatrzony w twarz kobiety.

– Zawsze uważałam, że na świecie dzieje się wiele niesprawiedliwości – ciągnęła pani Costello – ale aż do dzisiaj wydawało mi się, że nie jestem w stanie temu zaradzić...

Nadal bezwiednie ściskali sobie dłonie. Wycofałam się do Annie, panny Raymond i Florence. Annie położyła mi rękę na ramieniu.

– Cykl wykładów, hm? – powiedziała. – No proszę! – Spojrzała na Flo: – Jesteś zadowolona?

Odkąd zeszałam z podium, Florence ani razu się do mnie nie uśmiechnęła. Teraz też się nie uśmiechała. Kiedy się odezwała, na jej twarzy malowały się smutek, powaga i niemalże zdumienie, jakby dziwiły ją własne słowa.

– Byłabym zadowolona – oświadczyła – gdyby Nancy wierzyła w to, co mówi, a nie klepała bezmyślnie, jak cholerna papuga!

Annie zerknęła z zakłopotaniem na pannę Raymond.

– Daj spokój, Florrie...

Bez słowa popatrzyłam na Florence, a następnie odwróciłam głowę, czując, jak moja radość z przemówienia i reakcji tłumu ulatnia się niczym powietrze z przekłutego balonu.

W namiocie ucichło; ludzie, wykorzystując przerwę, wylegli na słońce i dołączyli do cizby kłębiącej się na zewnątrz.

– Usiądźmy na chwilę, dobrze? – zaproponowała pojednawczo panna Raymond. Gdy skierowałyśmy się w stronę rzędu pustych krzeseł, podbiegła do mnie nieznajoma dziewczynka.

– Przepraszam, panienko – zagadnęła. – Czy to pani przed chwilą przemawiała?

Kiwnęłam głową.

– Pewna dama chciałaby się z panią zobaczyć. Czeka na zewnątrz.

Annie ze śmiechem uniosła brwi.

– Czyżby kolejna propozycja cyklu wykładów? – zachichotała.

Z wahaniem popatrzyłam na dziewczynkę.

– Dama, powiadasz?

– Tak, panienko – odrzekła zdecydowanie. – Dama. Bardzo elegancka, w kapeluszu z woalką.

Drgnęłam, rzucając przelotne spojrzenie na Florence. Dama w woalce: mogła to być tylko jedna osoba. Pewnie Diana jednak mnie zauważyła, widziała, jak przemawiałam, a teraz pragnie... Bóg jeden wie czego. Zadrżałam na samą myśl. Dziewczynka odeszła; odprowadziłam ją wzrokiem, a Florence podążyła za moim spojrzeniem. W rogu namiotu, tam gdzie podniesiono płótno, aby utworzyć wejście, widniała kwadratowa plama światła tak oślepiającego, że musiałam zmrużyć oczy. Na skraju kwadratu stała kobieta z twarzą zasłoniętą szerokim rondem kapelusza z woalką. Uniosła woalkę. Wtedy zobaczyłam jej twarz.

– Proszę, idź do niej – usłyszałam lodowaty głos Florence. – Pewnie chce cię zaprosić z powrotem do St John's Wood. Tam nie będziesz musiała myśleć o socjalizmie...

Odwróciłam się w jej stronę; byłam tak blada, że na chwilę odjęło jej mowę.

– To nie jest Diana – szepnęłam. – Ach, Flo! To nie Diana...

To była Kitty.

Stałam przez chwilę jak wrośnięta w ziemię. Spotkałam dzisiaj dwie kochanki i oto stała przede mną trzecia, czy też raczej pierwsza: pierwsza miłość, miłość prawdziwa, najlepsza, miłość, która złamała mi serce, tak że nigdy nie zagoiło się jak należy...

Nie oglądając się na Florence, ruszyłam przed siebie i stanąwszy przed Kitty, przetarłam ręką oczy. Kiedy znów na nią spojrzałam, zdawała się otoczona miriadami roztańczonych punkcików światła.

– Nan – powiedziała, uśmiechając się trochę nerwowo. – Chyba mnie nie zapomniałaś? – Głos drżał jej z lekka, jak zwykle w chwilach wzruszenia. Mówiła z nieco czystszy, mniej charakterystycznym akcentem niż dawniej.

– Czy zapomniałam? – powtórzyłam, odzyskując wreszcie głos. – Nie. Jestem tylko zdziwiona. – Spojrzałam na nią i przełknęłam ślinę. Jej oczy były równie brązowe jak zawsze, miała tak samo ciemne rzęsy i zaróżowione wargi... Ale zmieniła się, zobaczyłam to od razu. W okolicach ust i brwi rysowały się pojedyncze zmarszczki, jakby na potwierdzenie lat dzielących nas od ostatniej rozmowy; zapuściła też włosy, które wiły się nad uszami w ciężkich, lśniących puklach. Zmarszczki i loki sprawiły, że nie wyglądała już jak chłopiec: zgodnie ze słowami dziewczynki, którą do mnie przysłała, wyglądała jak dama. Odwzajemniła moje spojrzenie.

– Bardzo się zmieniłaś – zauważyła w końcu. Wzruszyłam ramionami.

– Ma się rozumieć. Kiedy się ostatnio widziałyśmy, miałam dziewiętnaście lat. Wkrótce skończę dwadzieścia pięć.

– Za dwa tygodnie – uzupełniła i wargi zadrżały jej lekko. – Pamiętam, widzisz?

Poczerwieniałam i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zajrzała w głąb namiotu.

– Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie – podjęła – kiedy zobaczyłam cię na podium.

Nigdy nie przypuszczałam, że skończysz jako obrończyni praw klasy robotniczej!

– Ja też nie – odpowiedziałam. Uśmiechnęliśmy się do siebie. – Jakim cudem tu trafiłaś?
– zapytałam.

– Wynajmuję pokoje w Bow. Od tygodnia wszyscy mówili mi, że w niedzielę powinnam przyjść do parku, bo szykuje się niezwykle widowisko.

– Tak?

– O tak!

– Przyszłaś... sama?

Pospiesznie odwróciła wzrok.

– Tak. Walter jest w Liverpoolu. Znow zajmuje się organizacją przedstawień: kupił udziały w tamtejszym teatrze i wynajął dla nas dom. Mam dojechać do niego, jak wszystko będzie gotowe.

– Nadal występujesz?

– Raczej nie. Mieliśmy... mieliśmy wspólny numer...

– Wiem – odrzekłam. – Widziałam was. W Middlesex.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Wtedy gdy spotkałaś Billy-Boya? Ach, Nan, gdybym wiedziała, że jesteś na widowni!
Kiedy Bill przyszedł i powiedział, że cię widział...

– Nie mogłam zbyt długo na was patrzeć.

– Tacy byliśmy okropni? – Uśmiechnęła się, ale potrząsnęłam głową.

– Nie o to chodzi...

Uśmiech Kitty nieco zbladł.

– Czyli przestaliście występować? – powiedziałam po chwili. – Z jakiego powodu?

– Cóż, Walter jest teraz bardzo zajęty. Poza tym... nie rozgłaszaliśmy tego, ale byłam chora. – Zawahała się. – Spodziewałam się dziecka...

Zdrętwiałam na samą myśl.

– Przykro mi – szepnęłam.

Wzruszyła ramionami.

– Walter był bardzo rozczarowany. Ale było, minęło. Tyle tylko że nie jestem tak silna, jak dawniej...

Umilkłyśmy. Popatrzyłam na tłum, a potem znow na Kitty. Poczzerwieniała.

– Nan, Bill mówił, że kiedy cię widział, wyglądałaś... wyglądałaś jak chłopiec.

– Zgadza się. Zupełnie jak chłopiec.

Roześmiała się, po czym zmarszczyła brwi, nie bardzo wiedząc, jak to rozumieć.

– Powiedział też, że mieszkasz z... z...

– Z kobietą. To prawda.

Poczzerwieniała jeszcze bardziej.

– Nadal z nią jesteś?

– Nie, mieszkam teraz z dziewczyną w Bethnal Green.

– Ach!

Po chwili wahania uczyniłam to samo, co podczas rozmowy z Zeną dwie godziny wcześniej. Weszłam w cień rzucany przez namiot, a Kitty podążyła za mną.

– To ona – powiedziałam, wskazując na krzesła ustawione przed podium. – Dziewczyna z małym chłopcem.

Annie i panna Raymond odeszły, Florence siedziała sama. Kiedy na nią wskazałam, spojrziała w moją stronę, po czym przeniosła wzrok na Kitty. Ta wyjąkała kolejne „ach!”, po którym nastąpił nerwowy uśmiezek.

– Ma na imię Flo – dodałam. – Jest socjalistką, ona mnie w to wciągnęła... – Kiedy mówiłam, Florence zdjęła kapelusz; Cyril pociągnął za szpilki i jął nawijać sobie na paluszki jej loki. Oblała się rumieńcem. Zobaczyłam, że rzuca kolejne spojrzenie na Kitty, która spoglądała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie mogę przestać na ciebie patrzeć – odezwała się z niepewnym uśmiechem. – Kiedy uciekaś, początkowo byłam przekonana, że wrócisz. Dokąd poszłaś? Co robiłaś? Próbowaliśmy cię odnaleźć. Nie dawałaś znaku życia i stopniowo nabrałam pewności, że więcej cię nie zobaczymy. Myślałam... ach, Nan, myślałam, że zrobiłaś sobie krzywdę.

Przełknęłam ślinę.

– To ty mnie skrzywdziłaś, Kitty. Nikt inny, tylko właśnie ty.

– Teraz to wiem. Uważasz, że nie jestem tego świadoma? Wstydzę się nawet z tobą rozmawiać. Tak strasznie żałuję tego, co się stało.

– Nie musisz niczego żałować – odrzekłam niezręcznie.

Ona jednak mówiła dalej, jakby nie słyszała: że tak bardzo żałuje, że postąpiła okropnie. I tak strasznie, strasznie jej przykro...

Wreszcie potrząsnęłam głową.

– Och! – zawołałam. – Jakie to ma teraz znaczenie? Żadnego!

– Żadnego? – powtórzyła.

Serce zakołatało mi w piersi. Kiedy nic nie odpowiedziałam, podeszła bliżej i jęła pospiesznie wyrzucać z siebie słowa.

– Ach, Nan, tyle razy wyobrażałam sobie, że cię odnajdę, i planowałam, co wtedy powiem. Nie mogę odejść, zanim tego nie usłyszysz!

– Nie chcę słuchać – odparłam w przypiływie nagłego strachu. Chyba nawet zasłoniłam sobie uszy. Ale Kitty chwyciła mnie za rękę i mówiła dalej, stojąc tuż na wprost mnie.

– Musisz mnie wysłuchać! Musisz wiedzieć. Nie wolno ci uważać, że bezmyślnie podjęłam tamtą decyzję. I że nie złamała mi serca.

– Dlaczegoż więc to zrobiłaś?

– Ponieważ byłam głupia! Ponieważ myślałam, że życie na scenie jest dla mnie największą wartością. Ponieważ wierzyłam, że będę gwiazdą. No i nie sądziłam, że naprawdę mogę cię utracić... – Zawahała się na chwilę. Dokoła nas panowało niezmiennie zamieszanie: dzieci biegały z piskiem, straganiarze wyklócali się głośno i nawoływali, flagi i szarfy furkotały w majowym wietrze. Kitty nabrała tchu. – Wróć do mnie, Nan – poprosiła.

Wróć do mnie... Coś we mnie ciągnęło do niej niczym szpilka do magnesu i wiedziałam, że tak będzie zawsze. Lecz inna częśćka pamiętała i nadal wszystko pamięta.

– Mam do ciebie wrócić? – powtórzyłam. – Przecież jesteś żoną Waltera.

– To nic nie znaczy – odrzekła pospiesznie. – Między nami nic już... nie ma. Gdybyśmy tylko byli ostrożne...

– Ostrożne! – Wzdrygnęłam się na samą myśl. – Ostrożne! Ostrożne! Nic innego od ciebie nie słyszałam. Byłyśmy tak ostrożne, że równie dobrze mogłyśmy położyć się do trumny! – Wyrwałam jej rękę. – Jestem teraz z kimś, kto się mnie nie wstydzi.

Ale Kitty podeszła bliżej i ponownie ujęła mnie za rękę.

– Mówisz o tej dziewczynie z dzieckiem? – zapytała, wskazując głową namiot. – Nie kochasz jej, widzę to w twoich oczach. Nie tak, jak kochałaś mnie. Nie pamiętasz? Byłaś moja przed wszystkimi i wciąż należysz do mnie. Nie pasujesz do niej ani do jej fanatycznych przyjaciół. Popatrz na swoje ubranie, przecież to istne łachmany! Rozejrzyj się dokoła: przecież wyjechałaś z Whitstable, żeby od tego uciec!

Przez chwilę spoglądałam na nią oszołomiona, po czym zrobiłam to, co poleciła: zobaczyłam Annie i pannę Raymond, Ralpa, który nadal z uwielbieniem wpatrywał się w panią Costello, Norę i Ruth, stojące przy podium z grupką dziewcząt, które pamiętałam z „Chłopca”. W odległym końcu namiotu – nie zauważyłam jej wcześniej – siedziała Zena, pod ramię z roslą przyjaciółką, obok nich stali koledzy Ralpa; widząc, że spoglądam w tamtą stronę, unieśli szklanki. Wśród nich wszystkich zaś tkwiła Florence, z głową pochyloną w stronę Cyrila, który nie przestawał tarmosić jej za włosy. Była zaróżowiona i uśmiechnięta, lecz gdy uniosła ku mnie wzrok, w jej oczach zalśniły łzy, być może spowodowane tylko szarpaniem malca, i dostrzegłam w nich smutek, jakiego nigdy przedtem nie widziałam.

Nie mogłam jej odpowiedzieć uśmiechem. Kiedy jednak ponownie przeniosłam spojrzenie na Kitty, byłam spokojna i głos nie zdrzął mi ani razu.

– Mylisz się – powiedziałam. – Moje miejsce jest tutaj, wśród tych ludzi. Co do Florence, kocham ją bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Puściła moją rękę i cofnęła się gwałtownie, jakbym ją uderzyła.

– Chcesz mi dokuczyć – odrzekła bez tchu. – Przemawia przez ciebie zraniona duma...

Potrząsnęłam głową.

– Mówię tak, bo to szczerą prawdą. Żegnaj, Kitty.

– Nan! – krzyknęła. Przystanąłam.

– Nie nazywaj mnie tak – syknęłam ze złością. – Nikt tak na mnie nie mówi. Nie tak mam na imię i nigdy tak się nie nazywałam.

Przełknęła ślinę i ponownie zrobiła krok w moją stronę.

– Nancy – powiedziała, siląc się na opanowanie. – Posłuchaj mnie: nadal mam twoje rzeczy. Wszystko, co zostawiłaś w Stamford Hill.

– Nie chcę ich – odparłam bez namysłu. – Możesz je zatrzymać albo wyrzucić, wszystko

mi jedno.

– Mam listy od twojej rodziny! Twój ojciec przyjechał do Londynu, żeby cię szukać. Do dzisiaj przysyłają mi listy, pytając, czy o tobie nie słyszałam...

Ojciec! Na widok Diany zobaczyłam siebie w atlasowej pościeli. Teraz zaś ujrzałam ojca w fartuchu aż do ziemi, a obok niego matkę, brata i Alice. Zobaczyłam morze. Oczy zapiekły mnie jak od soli.

– Możesz mi odesłać listy – rzuciłam ochryplym głosem; pomyślałam, że napiszę i opowiem im o Florence. A jeśli im się to nie spodoba, cóż, przynajmniej będą wiedzieli, że jestem cała i zdrowa...

Kitty stanęła tuż przy mnie i jeszcze bardziej zniżyła głos.

– Mam też twoje pieniądze – powiedziała. – Zachowaliśmy wszystko, Nan. Masz prawie siedemset funtów!

Potrząsnęłam głową: zapomniałam o pieniądzach.

– Nie miałabym na co ich wydać – oświadczyłam. Naraz jednak przypomniałam sobie o Zenie, która straciła przeze mnie oszczędności, po czym pomyślałam o Florence i wyobraziłam sobie, jak wkłada siedemset funtów do puszki dla biednych, monetę za monetą.

Czy to sprawi, że pokocha mnie bardziej niż Lilian?

– Pieniądze też możesz mi przysłać – zdecydowałam wreszcie i podałam jej adres. Skinęła głową, mówiąc, że zapamięta.

Popatrzyłyśmy na siebie. Miała wilgotne, lekko rozchylone usta, na bladej twarzy uwydatniły się piegi. Mimowolnie wróciłam myślami do owego pamiętnego wieczoru, kiedy poznałam ją i pokochałam, a potem ona pocałowała mnie w rękę i nazwała Syreną. Być może Kitty pomyślała o tym samym.

– Czy to ma się tak skończyć? – zapytała. – Nie chcesz mnie więcej widzieć? Mogłabyś przyjść w odwiedziny...

Pokręciłam głową.

– Spójrz na mnie – powiedziałam. – Spójrz na moje włosy. Co pomyśleliby twoi sąsiedzi? Wstydziliby się iść obok mnie ulicą, ktoś mógłby obsypać cię wyzwiskami...

Poczerwieniała i zatrzepotała rzęsami.

– Zmieniłaś się – powtórzyła, a ja odparłam po prostu:

– Tak, Kitty. Zmieniłam się.

Podniosła rękę, żeby opuścić woalkę.

– Żegnaj – szepnęła.

Skinęłam głową. Kitty odwróciła się, a ja stałam i patrzyłam za nią; byłam cała obolała, jakby moje ciało pokrywały setki drobnych ran i zadrapań.

Nie mogę pozwolić ci tak odejść, pomyślałam. Nim zdążyła oddalić się na dobre, wyszłam na słońce i rozejrzałam się dookoła. Na trawie obok namiotu zobaczyłam wieniec: był to fragment dekoracji, który odpadł od reszty i leżał porzucony na ziemi. Nachyliwszy się, wyjęłam jedną z róż, po czym zawołałam chłopca, który stał nieopodal i

dałam mu kwiat oraz pensa, tłumacząc, co ma zrobić. Następnie cofnęłam się z powrotem w cień, pod ścianę namiotu, i wyteżyłam wzrok. Chłopiec podbiegł do Kitty: zobaczyłam, jak odwraca się na jego wołanie. Podał jej różę, wskazując w kierunku miejsca, gdzie stałam ukryta. Popatrzyła w moją stronę i przyjęła różę. Chłopiec pobiegł w te pędy wydać pieniędzy, a Kitty dalej stała nieruchomo, z różą w zaciśniętych palcach; widziałam, jak lekko obraca głowę, próbując mnie dojrzeć. Chyba jej się nie udało, musiała jednak odgadnąć, że patrzę, po chwili bowiem skłoniła się lekko: było to najsmutniejsze, najbardziej rozdzierające pożegnanie, jakie kiedykolwiek przyszło mi przeżyć. Potem odwróciła się i straciłam ją z oczu.

Ja również obróciłam się na pięcie i wróciłam do namiotu. Najpierw ujrzałam Zenę, która właśnie wychodziła na zewnątrz, a potem Ralpa i panią Costello, z wolna idących obok siebie. Nie przystanęłam, aby z nimi porozmawiać; uśmiechnęłam się tylko i poszłam prosto do miejsca, gdzie zostawiłam Florence.

Ale jej tam nie było. Nigdzie nie mogłam jej dostrzec.

– Annie – zawołałam; ona i panna Raymond stały przy podium wraz z grupą pozostałych dziewcząt. – Annie, gdzie jest Flo?

Annie rozejrzała się po namiocie i wzruszyła ramionami.

– Przed chwilą tu była – odrzekła. – Nie widziałam, jak wychodziła. – Na zewnątrz prowadziło tylko jedno wyjście, pewnie minęła mnie niezauważona, kiedy patrzyłam za Kitty...

Serce podskoczyło mi w piersi: poczułam, że jeśli zaraz nie znajdę Florence, utracę ją na zawsze. Wybiegłam z namiotu i rozejrzałam się w popłochu. Rozpoznałam w tłumie panią Macey. Zapytałam, czy widziała Florence. Nie, nie widziała. Ponownie natknęłam się na panią Fryer: może ona widziała pannę Banner? Wydawało jej się, że dostrzegła ją przed chwilą wraz z dzieckiem, zmierzającą w stronę Bethnal Green...

Nie tracąc czasu na podziękowania, pospieszyłam naprzód i torowałam sobie drogę przez zwartą ciżbę, spocona ze strachu i zdenerwowania. Raz jeszcze minęłam stoisko „Trzonu”, ale nie odwróciłam głowy, by sprawdzić, czy Diana i jej nowa maskotka wciąż tam są. Podążałam przed siebie, wypatrując zakietu i połyskujących włosów Florence oraz szarfy Cyrila.

Wreszcie pozostawiłam za sobą największy tłum i znalazłam się w zachodniej części parku, koło jeziora. Młodzi ludzie bawili się w najlepsze, pływając, krzycząc i rozchlapując wodę, obojętni na przemówienia i debaty toczące się w namiotach i wokół stoisk. Znajdowało się tu również kilka ławek; na jednej z nich – mało nie krzyknęłam na ten widok! – dostrzegłam Florence. Cyril stał kilka kroków przed nią, mocząc w jeziorze rączki oraz rąbek koszulki. Przystanęłam na chwilę, by zaczerpnąć tchu, i wytarłam spocone czoło, a potem powoli ruszyłam w ich kierunku.

Malec zauważył mnie pierwszy, krzyknął i pomachał rączką. Florence uniosła głowę i napotkawszy moje spojrzenie, przełknęła ślinę. Obracała w palcach stokrotkę. Usiadłam obok Flo i oparłam rękę na kolanie, przez co dotknęłam lekko jej ramienia.

– Myślałam – rzuciłam bez tchu – że mi zginęłaś...

Patrzyła na Cyrila.

– Widziałam, jak rozmawiałas z Kitty.

– Tak.

– Mówiłaś... mówiłaś, że ona nigdy nie wróci. – Na twarzy Florence malowała się bezbrzeżna rozpacz.

– Przepraszam, Flo. Tak bardzo przepraszam! Wiem, że to niesprawiedliwe, ona wróciła, a Lilian nigdy...

Przechyliła głowę.

– Przyszła prosić, żebyś do niej wróciła?

Kiwnęłam głową.

– Czy sprawiłoby ci to jakąkolwiek różnicę? – spytałam cicho.

– Czy by mi sprawiło? – Przełknęła ślinę. – Myślałam, że już odeszłaś. Widziałam twoją twarz...

– I co pomyślałaś?

Utkwiła wzrok w stokrotce.

– Postanowiłam iść do domu. Nie chciałam tu dłużej zostać, nawet dla Eleonory Marks! Doszłam aż tutaj i pomyślałam: co będę robić w domu, skoro ciebie tam nie ma...? – Obróciła w palcach stokrotkę; dwa lub trzy płatki sfrunęły na spódnicę i przyłgnęły do wełnianej tkaniny. Spojrzałam na trawnik, po czym raz jeszcze odwróciłam ku niej twarz i zaczęłam mówić tak żarliwie, jakby chodziło o życie.

– Flo, miałaś rację, jeśli chodzi o przemówienie, które wygłosiłam z Ralphem. Tamte słowa nie pochodziły ode mnie i nie traktowałam ich poważnie, przynajmniej wówczas. – Urwałam i uniosłam rękę do czoła. – Ach! Mam wrażenie, jakbym przez całe życie powtarzała tylko cudze frazesy. Teraz, kiedy chcę powiedzieć coś od siebie, nie mogę zebrać myśli.

– Jeśli zastanawiasz się, jak mi powiedzieć, że odchodzisz...

– Zastanawiam się – przerwałam jej – jak ci powiedzieć, że cię kocham, że jesteś moim światem, że ty, Ralph i Cyril staliście się dla mnie rodziną, choć tak bezwzględnie potraktowałam swoich bliskich. – Zachryłam; Florence spoglądała na mnie bez słowa. – Kitty złamała mi serce – podjęłam – i uważałam, że już nigdy się nie zagoi! Sądziłam, że tylko ona może to sprawić, i od pięciu lat podświadomie wyczekiwałam jej powrotu. Przez pięć lat niemalże bałam się o niej myśleć w obawie, że rozpacz przyprawi mnie o szaleństwo. I oto przyszła i powiedziała wszystko to, co tak bardzo pragnęłam usłyszeć, a ja zrozumiałam, że moje serce już się zrosło, dzięki tobie. Rozmowa z nią mi to uświadomiła. Właśnie to zobaczyłaś w mojej twarzy. – Coś połaskotało mnie w policzek; przesunęłam rękę i poczułam pod palcami łzy. – Ach, Flo! – zawołałam. – Powiedz, proszę, powiedz, że pozwolisz mi się kochać i z tobą zostać! Wiem, że nie jestem Lily...

– Nie, nie jesteś Lily – odparła. – Myślałam, że wiem, co to znaczy, ale nie wiedziałam, dopóki nie zobaczyłam, jak patrzysz na Kitty. Tak długo tęskniłam za Lily, że uwierzyłam, iż

pragnienie czegokolwiek to jedynie forma tęsknoty za nią. Teraz zrozumiałam, że tylko ciebie pragnę, tylko ciebie...

Przysunęłam się bliżej; program w kieszeni zaszeleścił i przypomniałam sobie romantyczną pannę Skinner oraz dziewczęta, które według Zeny miały być po uszy zakochane we Flo. Otworzyłam usta, żeby jej o tym powiedzieć, ale zrezygnowałam: być może nic nie zauważyła. Ponownie przesunęłam wzrokiem po otoczeniu: po rozradowanych twarzach ludzi, namiotach i straganach, wstęgach, flagach i transparentach. Wydawało mi się, jakby to pasja Florence, i nic innego, tchnęła życie w cały park. Następnie znów popatrzyłam na nią i ująwszy jej rękę – nie bacząc na stokrotkę i ciekawskie spojrzenia – nachyliłam się i pocałowałam dłoń Flo.

Cyril nadal moczył w wodzie rąbek koszulki. Popołudniowe słońce rzucało podłużne cienie na zdeptaną trawę. Z namiotu przemówień dochodziło stłumione echo owacji.

Przypisy

[← 1]

W Wielkiej Brytanii istnieje tradycja gwiazdkowego sezonu teatralnego, podczas którego wystawiane są bajki dla dzieci (wszystkie przypisy od tłumaczki).

[← 2]

„The Light of the World” (1854) – obraz autorstwa Williama Holmana Hunta (1827-1910), jednego z prerafaelitów.

[← 3]

Damy z Llangollen – Eleonor Butler i Sarah Ponsonby: przyjaciółki, które w 1778 roku uciekły z domów rodzinnych, aby razem zamieszkać; ich związek eufemistycznie określano mianem „przyjaźni romantycznej”, sankcjonowanej XVIII-wiecznym kodeksem obyczajowym.

[← 4]

Dwuznaczność: *tom* (ang.) – lesbijka.

Spis treści

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Część druga

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Część trzecia

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Przypisy